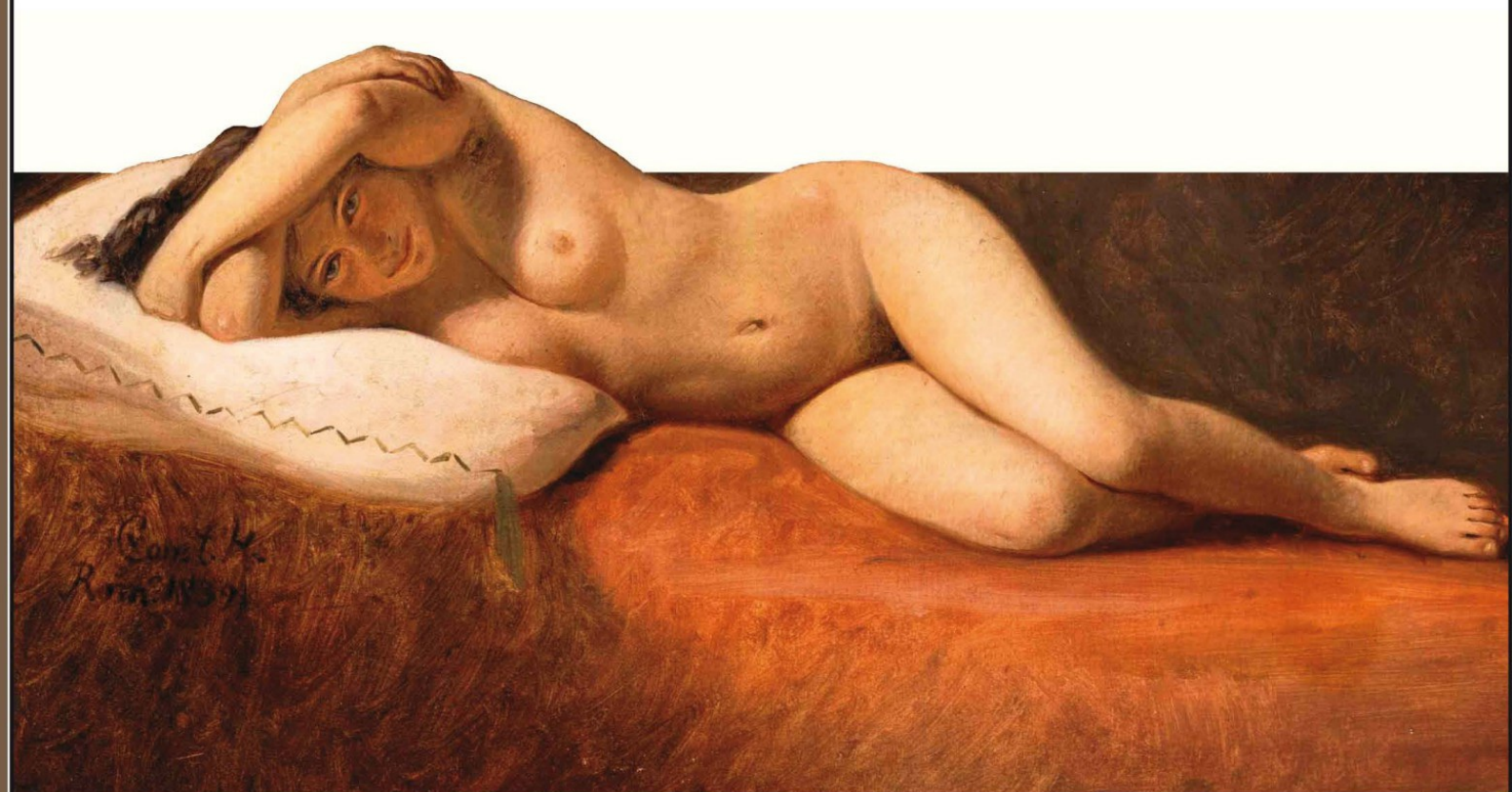


Reay Tannahill

Historia  
seksu



Reay Tannahill

*Historia*  
*seksu*

Z angielskiego przełożył  
Grzegorz Woźniak

Książka i Wiedza

Tytuł oryginału angielskiego  
*Sex in History*

Zdjęcie na okładce  
fragment obrazu Constantina Hansena "Akt"  
Zdjęcia według wydania Alethei



Tekst - wydanie Książka i Wiedza. Dodano brakujący rozdział ósmy - Indie

# Spis treści

Przedmowa

CZEŚĆ PIERWSZA: PREHISTORIA

1. NA POCZĄTKU

Uroda a pozycja w czasie kopulacji

Monogamia czy poligamia

Seks a role społeczne

Pierwsze tabu

Problemy demograficzne

Symbole seksualne epoki paleolitu

2. MĘŻCZYŻNA PANEM

Rewolucja neolitu

Skąd się biorą dzieci

Drugie tabu

Mężczyzna – ojciec

Eksplozja demograficzna

Bogini, ale taka sobie

CZEŚĆ DRUGA: BLISKI WSCHÓD, EGIPT I EUROPA 3000 P.n.e–1100 n.e.

3. PIERWSZE CYWILIZACJE

Stan zamężny

Maladies d'amour

Znak przymierza

Kwestia potomstwa

Antykoncepcja

Kompleks edypa

Druga najstarsza profesja

4. GRECJA

Mężczyzna i chłopiec

Wcale nie gorsze

Samozaspokojenie

Służebnice afrodyty

5. RZYM

Pierwsze sufrażystki?

Ciężka praca nad urodą

Sprawy ducha

Podstawy rozwodu

Problemy demograficzne

6. CHRZEŚCIJAŃSTWO

Seks a celibat

Święte małżeństwo

Małżeństwo świeckie

Kobieta we wczesnym okresie historii kościoła

Grzeszne ciało

Grzech sodomii

Osiągnięcia chrześcijańskie

## CZĘŚĆ TRZECIA: AZJA i ŚWIAT ARABSKI DO OKRESU ŚREDNIOWIECZA

### 7. CHINY

Chmury i deszcz

Tajemnice jodeitowej komnaty

„Łyse kury” i „Dźwięczne kulki”

Tajemnicza alkowa

Dziewczęta z zielonej altany

Pokuta po chińsku

### 8. INDIE

Problem miłości

Praktyka seksu

Życie rodzinne

Wokół kamasutry

Klejnot w kwiecie lotosu

### 9. ISLAM

Rozwój haremu

Arabskie pieśni miłosne

W wielkim seraju

Eunuchowie

## CZĘŚĆ CZWARTA: ROZSZERZAJĄCY SIĘ ŚWIAT 1100-1800

### 10. EUROPA, 1100–1550

Kobieta damą

Dama alegorią

Maria

Marta

Maria magdalena

Renesans

### 11. PRZEDSIĘWZIĘCIA IMPERIALNE

„Rozwiążność odpychająca, nienaturalna”

Jako te gady

Grzesznicy i święty

Problemy demograficzne

Róże meksyku

Narodziny metysa

Indie właściwe

Dom na obczyźnie

Naturalna moralność

### 12. EUROPA I AMERYKA 1550-1800

Małżeństwo protestanckie

Patriarchowie pielgrzymów

Rodzina w europie

Europejska wersja naturalnej moralności

Boski markiz

Teorie nasienia

CZEŚĆ PIĄTA: KU WSPÓŁCZESNOŚCI 1800-1989

13. WIEK XIX

Miejsce kobiety

Kobiety upadłe

Damy z półświatka i inne

Cena grzechu

Apetyt na dziewice

Powrót do Aten

Angielski występek

14. WIELKA DEBATA

Prawdziwych przyjaciół...

Moralność na ścieżce wojennej

Pokłosie

Okres przejściowy

Antykoncepcja

Rewolucja biologiczna

Rewolucja feministek

EPILOG

Aids

Czynniki ryzyka

Deja vu

Ostatnia krucjata

Envoi

PODZIĘKOWANIA

ILUSTRACJE I ŹRÓDŁA

PRZYPISY I ŹRÓDŁA

BIBLIOGRAFIA



# PRZEDMOWA

Zamierzam w tej książce przedstawić właściwy człowiekowi popęd płciowy oraz jego społeczne i moralne konsekwencje w szerokim ujęciu historycznym, obejmującym różnorodność postaw, obyczajów i praktyk seksualnych w wielkich systemach cywilizacyjno-kulturowych od zarania dziejów po dzień dzisiejszy. Jest to więc historia seksu jako takiego, a zarazem historia stosunków obu płci i wpływu seksu i seksualizmu na rozwój naszego gatunku. Krótko mówiąc, cel nakreśliłam sobie ambitny.

Może nawet zbyt ambitny. Na kilkuset zaledwie stronach nie sposób bowiem przedstawić zagadnienia w całej jego złożoności, trzeba się trzymać głównego nurtu. Mam jednak nadzieję, że wzmianki o taoistowskich podręcznikach seksu, o tureckich eunuchach, wymyślnych przedmiotach używanych przez starożytnych Greków w miłosnych uściskach przynajmniej częściowo zrekompensują ewentualne braki i luki.

Chciałabym także na wstępie podzielić się z Czytelnikami dwiema uwagami.

Pierwsza dotyczy języka. Otóż mimo prób i wysiłków reformatorów nasz język pozostaje językiem mężczyzn. Nie da się ukryć, że choćby takie określenie jak „braterstwo” ma wyraźnie męską konotację. Mówiąc „człowiek”, też w istocie mówimy o osobniku płci męskiej. Stanowi to nie lada utrudnienie, gdy idzie o przejrzystość wywodu. Inna, także spora trudność, wiąże się ze słownictwem seksualnym. W tej dziedzinie wybór ogranicza się de facto do terminologii medycznej lub... wulgaryzmów, a te mają czasami dziwne losy. Są słowa do niedawna uważane za wielce nieprzyzwoite, które znalazły swe miejsce na salonach. Ale są i takie, które dawniej nie miały żadnego ładunku emocjonalnego, a dziś stoczyły się do rynsztoka. Z dwojga złego tam, gdzie musiałam dokonywać wyboru, decydowałam się na terminologię medyczną, zakładając, że będzie budzić mniej emocji.

Druga uwaga dotyczy moich przekonań. Skoro piszę o seksie i ujmuję rzecz na historycznym tle ścierania się płci, powinnam Czytelnikom ujawnić własny pogląd na te sprawy. Nie wierzę bowiem w absolutny obiektywizm ani w tej, ani w żadnej innej sprawie. Jeśli więc o mnie chodzi, zgadzam się z nieżyjącym już francuskim psychoanalitykiem Jacquesem Lacanem i jego tezą, że „nie ma kobiety przez duże K”. A kobieta pisana małą literą to istota różniąca się od mężczyzny pod względem fizycznym i psychicznym, ale tylko o tyle, o ile tenże różni się od niej – w sumie więc niewiele. Książka, którą oddaję Państwu do rąk, nie jest ani dziełem feministki, ani manifestem antyfeministki. Pod tym względem jest to praca neutralna.

Pisząc te słowa, jestem w takim samym kłopotcie jak wtedy, gdy oddawałam do rąk Czytelników moją poprzednią książkę *Food in History* (*Historia jedzenia*); nie mam możliwości wymienienia wszystkich wybitnych specjalistów z dziedziny antropologii, archeologii, biochemii, genetyki, fizjologii, psychoanalizy, nie mówiąc już o

seksuologii, z których rady i wiedzy korzystałam. Jestem im głęboko wdzięczna za trud i cierpliwość. Chciałabym jednak wspomnieć o kilku osobach, bez których życzliwości i zachęty nie zdołałabym skończyć tej książki. Są to (w porządku alfabetycznym): Patricia Day, John Parker, Christopher Sinclair - Steveasori, Soi Stein oraz zawsze niezwykle uprzejmi i służący pomocą pracownicy wspaniałej, nieocenionej Biblioteki Londyńskiej. Dziękuję im z całego serca.



## CZEŚĆ PIERWSZA

---

# PREHISTORIA

---

*Udokumentowana historia ludzkiego gatunku, zaczyna się około trzeciego tysiąclecia przed naszą erą. O tym, co było wcześniej, zwłaszcza jak się układały stosunki obu płci, wiemy niewiele, bo niewiele jest źródeł. Wydaje się, że na początku człowiek prowadził życie – delikatnie mówiąc – rozwiązłe. Ustatkował się nieco, gdy wprowadził się do jaskini i stworzył „rodzinę”, co nastąpiło jakieś ćwierć miliona lat temu. Nadal jednak nasz protoplasta w linii męskiej żył w nieświadomości swojej roli w prokreacji. Wiedzę na ten temat posiadał chyba nie wcześniej niż w dziesiątym tysiącleciu przed naszą erą, kiedy to z łowcy-zbieracza przemienił się w rolnika-hodowcę. Ale gdy już ta wiedza mu się objawiła, męskie ego jęło puchnąć jak balon, a wraz z nim poczucie własności wobec otoczenia. Reszty dopełniła rewolucja, jaka dokonała się w neolicie. Na skutek korzystnego zbiegu okoliczności mężczyzna stał się odkrywcą, myślicielem i wynalazcą, motorem postępu, podczas gdy kobieta zajmowała się bardziej przyziemnymi sprawami. W efekcie między nim a kobietą wytworzyła się luka intelektualna, co zaważyło na równoprawnych do tej pory stosunkach obu płci. Rewolucja spowodowała, że mężczyzna stał się pewny siebie, a jeszcze bardziej pewny swej przewagi nad kobietą.*

*Gdy zaczyna się udokumentowana historia naszego gatunku, mężczyzna jest już bez wątpienia panem.*

# 1. NA POCZĄTKU

**23** października 4004 roku p.n.e., rankiem, dokładnie o godzinie dziewiątej, „stworzył Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę”.

Ani roku, ani dnia, ani tym bardziej godziny Stworzenia w Biblii nie ma. Informacje te podali dwaj siedemnastowieczni mędracy na podstawie drobiazgowej analizy chronologicznej Starego Testamentu[1]. Współcześni byli im za to wdzięczni, bo biblijne treści traktowano wtedy niesłychanie dosłownie. Dokładna data i godzina Stworzenia dawały poczucie komfortu i pewności pochodzenia.

Ale dwieście lat później, w erze wiktoriańskiej, nowa nauka jęła kruszyć biblijne aksjomaty. W roku 1859 ukazało się dzieło Charlesa Darwina O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego, stanowiące syntezę poglądów od dawna dyskutowanych w kręgach uczonych, lecz prawie nie znanych społeczeństwu. Praca Darwina odnosiła się co prawda do świata zwierząt i roślin, a nie ludzi, ale logika wyvodu wskazywała, że nie było czegoś takiego jak jednostkowy akt Stworzenia, że człowiek, podobnie jak pozostałe gatunki, powstał na drodze ewolucji – rozwoju od niższych do wyższych form życia. Ową niższą formę według Pochodzenia człowieka – drugiego fundamentalnego dzieła Darwina, ogłoszonego w roku 1871 – stanowiły włochate bestie o czterech chwytnych kończynach, należące do rzędu człekokształtnych, krótko mówiąc – małpy.

Na wieść o tym małżonka biskupa Worcesteru miała zakrzyknąć: „Miejmy nadzieję, że to nieprawda, a jeśli prawda, módlmy się, żeby się nie wydała”. Historia nie notuje, czy damie tej przyszło do głowy zapytać: „A jakie właściwie małpy?” Czy to

takie ważne? Z punktu widzenia historii dwóch płci – ważne, czy gatunek ludzki wywodzi się od gibona, od szympansa czy goryla, Darwin tej kwestii nie rozstrzygał, bo nie mógł. W czasach, gdy zgłębiał problemy „natury i otoczenia”, a więc wpływu z jednej strony cech dziedzicznych, z drugiej – środowiska na ewolucję gatunków, nie zdawano sobie jeszcze sprawy z roli genów i hormonów – zbadano je dopiero na początku XX wieku, dwadzieścia lat po jego śmierci – nie wykopano jeszcze żadnych szczątków pracźlowieka i nie istniały żadne prace o zachowaniu się zwierząt.

W ciągu stulecia po publikacji Pochodzenia człowieka pokolenia biologów, zoologów, antropologów wypełniły luki, których Darwin nie był nawet świadom, ale mimo to pradzieje człowieka są niejasne, a to, co „wiadomo”, opiera się bardziej na spekulacji niż faktach.

Generalnie przyjmuje się, że rodzaj ludzki jął się wyodrębnić z człekokształtnych najwcześniej dwadzieścia, najpóźniej czternaście milionów lat temu, gdy antropoidy zaczęły się dzielić na trzy gatunki. Pierwszy dał początek gorylom, szympansom i orangutanom, drugi – wielkim małpom naziemnym podobnym do dzisiejszego pawiana, które zamieszkiwały kiedyś głównie tereny współczesnej nam Azji, ale nie przetrwały, trzeci zapoczątkował rodzinę człowiekowatych, a więc naszych bezpośrednich, choć dalekich (nadal jeszcze wiodących nadrzewny tryb życia) przodków[2].

Kilka milionów lat później, gdy za sprawą przemieszczeń w płaszczu Ziemi zmienił się jej klimat, nasz protoplasta musiał zejść z drzewa i puścić się w wędrówki po sawannie w poszukiwaniu jedzenia.

Nauczył się chwycić drobną zwierzynę oraz insekty i zasmakował w nich, wzbogacił więc swoją dietę o proteiny, co zapewne przyspieszyło ewolucję. Późniejsze dzieje dowodzą, że mięsożerni są sprawniejsi fizycznie niż wegetarianie[3].

A praprzodek musiał zadbać o swoją sprawność, bo w walce o byt konkurował z bestiami znacznie od niego silniejszymi, szybszymi i bardziej krwiożerczymi. Niejako z musu poczynił interesujące odkrycie, że lepiej mieć dwie ręce i dwie nogi niż cztery łapy. Górnymi kończynami można miotać pociski we wrogów, a na dolnych biegać. Nazywa się to naukowo dwunożnym chodem w postawie spionizowanej.

Z punktu widzenia ewolucji odkrycie to było raczej katalizatorem niż zwieńczeniem rozwoju, ale wśród jego bezpośrednich, choć odległych skutków można wymienić Wenus z Milo, Kamasutrę, Miss Świata i Radość seksu, ponieważ spionizowana

postawa dała człowiekowi inne spojrzenie na tradycyjne sposoby parzenia się, a później skłoniła do innej, bo dokonywanej z innej perspektywy, oceny urody[4].

## URODA A POZYCJA W CZASIE KOPULACJI

Parzenie się naczelnych zwykle przebiega tak, że samica wypina zad, umożliwiając samcowi penetrację. Sam akt kopulacji trwa krótko, jest dość brutalny, jednoznaczny, jeśli idzie o cel, bo taka jest jego fizjologia. Przestaje ona jednak odgrywać wyłączną rolę, gdy partnerzy zwracają się ku sobie, przyjmując pozycję frontálną – twarzą w twarz. W takim układzie wszystko – mięśnie, zakończenia nerwowe, uwrażliwienie tkanek, a także kąt penetracji – przyczynia się do szczególnych wrażeń zmysłowych, przynajmniej u osobników płci żeńskiej, jakich nie doznają żadne poza człowiekowatymi gatunki naczelnych. Istnieje nawet hipoteza, że uczucie orgazmu, którego nie doświadczają samice antropoidów, wykształciło się właśnie na skutek nowej pozycji podczas kopulacji[5]. Wykluczyć tego nie można, istotniejsze jest jednak, że seks uprawiany w nowy sposób przestał służyć wyłącznie zaspokojeniu instynktu zachowania gatunku, że stał się czynnością samą w sobie przyjemną. Oba te czynniki wpływały na późniejszy rozwój gatunku ludzkiego czasami w sposób oczywisty, czasami zakamuflowany.

Towarzyszyło temu wiele innych zmian. Można założyć, że z chwilą upowszechnienia się pozycji frontálnej praczłowiek pozbył się już odziedziczonej po przodkach sierści pokrywającej jego ciało. Z czasem uznał, że tu i ówdzie warto jednak mieć trochę włosów, aby zmniejszyć tarcie w czasie stosunku. Nowy sposób kopulacji spowodował także – wedle brytyjskiego genetyka C. D. Darlingtona – „występujące dziś ogromne zróżnicowanie w budowie organów płciowych w zależności od rasy i osobnika”. Klasycznym przykładem przywoływanym na poparcie tej tezy są Buszmeni z Kalahari. Mons pubis (wzgórek łonowy) buszmeńskich kobiet jest wyjątkowo duży. Ta anatomiczna cecha sprawia, że penisy mężczyzn w stanie erekcji układają się niemal horyzontalnie, bo tylko w takim układzie mogą ominąć przeszkodę, co z kolei jest przedmiotem drwin ze strony sąsiadujących z Buszmenami plemion i oczywiście negatywnie wpływa na wzajemne stosunki.

Inna sprawa, że – jak twierdzą niektórzy – pozycja frontálna dała samcom

możliwość gwałtu na samicach, czego nie spotyka się u innych gatunków rzędu naczelnych, bo nie pozwala na to fizjologia. W świecie istot żywych poza ludźmi tylko jeden gatunek pajaków zdolny jest do krycia samic wbrew ich woli[6].

Darwin nie absolutyzował doboru naturalnego, przeciwnie, uważał, że może dokonywać się na różnych płaszczyznach i w różny sposób. Zakładał na przykład istnienie swego rodzaju doboru seksualnego, działającego na korzyść najbardziej pożądanых przez ludzki gatunek cech płciowych. Jednostki postrzegane jako bardziej atrakcyjne mają więcej szans na kopulację, wcześniej osiągają dojrzałość i płodzą liczniejsze potomstwo, co w procesie dziedziczenia przechyla, a raczej powinno przechylać, szalę na rzecz osobników uznawanych za urodziwych i pociągających. Chociaż to, co widzimy w dzisiejszym świecie, zdaje się nie potwierdzać tej tezy, można z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, że takie cechy jak choćby brody u mężczyzn i brak uwłosienia u kobiet, wyższy wzrost tych pierwszych i kształtna sylwetka tych ostatnich to wynik doboru płciowego.

Jak długo pracłowiek uprawiał seks na sposób swoich starszych braci w ewolucji, tak długo przed oczami miał wyłącznie zad partnerki. Wynikały z tego określone predylekcje estetyczne – ceniło się krągłe pośladki. Prakobieta nie oglądała partnera w czasie kopulacji i być może w tym właśnie fakcie tkwi prazródło porzekadła, że „nieważne, czy piękny, byle był jurny”. Kiedy jednak pozycja uległa zmianie, mężczyźni, przynajmniej znakomita ich większość, bo jest parę wyjątków, jak choćby Hotentoci, przenieśli sympatie z pośladków na piersi i brzuch. Rysy twarzy zaczęły nabierać znaczenia nie tylko w oczach mężczyzn, ale także kobiet. Studiując dziś galerię ludzkich portretów obrazujących pięć tysięcy lat naszej cywilizacji, można dostrzec określone typy urody wiążące się z określonymi epokami historycznymi. Każdy z tych typów odpowiada ideałom piękna nie swojej, ale poprzedniej generacji.

Nie wiadomo, kiedy tak naprawdę gatunek człowiekowatych powszechnie przyjął nową pozycję. Wielu rzeczy nie wiemy, i to nie tylko dotyczących tamtej ery, ale także epok znacznie nam bliższych, a przeto bardziej podatnych na analizę naukową. Nie wiemy na przykład, ile czasu zajęło człowiekowatym wyzwolenie kończyn górnych i przysposobienie ich do wytwarzania narzędzi. Nie wiemy nic o rozwoju inteligencji. Nie wiemy, kiedy zmienił się kształt ich zębów, a musiał, gdy przestały pełnić funkcje obronne i rosły w sposób umożliwiający wydawanie artykułowanych dźwięków, czyli mowy. I nie tylko o mowę chodzi, bo z nowym kształtem uzębienia pracłowiek nabrał

umiejętności całowania, takiego dogłębnego – z językiem.

Wiemy tylko jedno, że mniej więcej dwieście tysięcy lat temu z człowiekowatych wyewoluował homo erectus – istota bardziej zbliżona do człowieka niżli małpy – a z niego wkrótce miał powstać rodzaj określany nader wątpliwą nazwą homo sapiens.

## MONOGAMIA CZY POLIGAMIA

O początkach homo sapiens wiemy niewiele więcej niż o jego poprzednikach i ich świecie. Większość naszej wiedzy o protoplastach sprzed roku 3000 p.n.e., kiedy pojawiają się pierwsze źródła pisane, bazuje na dość ograniczonej liczbie znalezisk archeologicznych i na analizie wzorców myślowych prymitywnych ludów, które przetrwały do naszych czasów.

Znaleziska można różnie interpretować, a na przykładzie ludów prymitywnych, jak za pomocą statystyki, można udowodnić każdą tezę. Tak więc wiedza o pierwszych 150 tysiącach lat istnienia gatunku homo sapiens to w gruncie rzeczy miłąkie akademickie spekulacje na podstawie jakichś tam narzędzi, kości i innych śmieci znajdujących na miejscach ludzkich siedzib. Co się tyczy życia osobistego naszych protoplastów, wiemy jedynie, że musieli stworzyć jakiś system wierzeń religijnych bądź humanitarnych, za których sprawą dbali o chorych czy starców i grzebali zmarłych. Ich życie płciowe pozostaje tajemnicą.

Ale historia stanowi logiczny ciąg zdarzeń, z których każde w jakiś sposób łączy się z tym, co było wcześniej. Tak więc życie płciowe i rodzinne homini sapientis musiało się kształtować wedle tego, jak żyli jego poprzednicy sprzed pięciuset tysięcy, pięciu milionów czy wręcz piętnastu milionów lat. Warto więc, bo to ciekawe i pouczające, zastanowić się, który gatunek małp najbardziej przypomina naszego przodka, nawet jeśli nie uda nam się rozstrzygnąć tej kwestii w sposób absolutnie przekonujący. Powiadam – warto, bo wiele zagadnień o charakterze emocjonalnym, które i dziś frapują ludzkie umysły, jak choćby pytanie, kto – kobieta czy mężczyzna – odgrywał u zarania dziejów dominującą rolę w ludzkiej gromadzie, czy pochodzenie określano w linii męskiej czy żeńskiej, kogo bardziej czczono – boginie płodności czy bogów symbolizujących męskich szowinistów – można by (przypuszczalnie) rozstrzygnąć, gdybyśmy wiedzieli, czy nasi protoplasci bardziej przypominali

monogamiczny gatunek gibbonów, czy znacznie bardziej rozwinięte szympansy. W tym pierwszym wypadku praludzka społeczność hołdowałaby zasadzie patriarchy, w drugim mielibyśmy do czynienia z matriarchatem.

Nasz przodek nie miał wyjścia – musiał nauczyć się mówić.

Łowy czy wytwarzanie narzędzi to czynności zespołowe, ich uczestnicy musieli więc posiadać umiejętność komunikowania się na wyższym poziomie aniżeli małpy. Nawet gibony, najbardziej elokwentne z małp, posługują się ograniczoną liczbą dźwięków i sekwencji dźwiękowych. Wszelako każdy znak dźwiękowy ma konkretne znaczenie, a jeden z nich jest nader ciekawy i może dać wgląd w sytuację naszych protoplastów. Otóż gibbon potrafi wydać dźwięk niosący ostrzeżenie: odczep się od mojej partnerki!<sup>7</sup> Ze wszystkich małp tylko gibony mają coś takiego w słowniku, bo tylko wśród nich występuje instytucja małżonki. Nie spotyka się tego typu stałych związków wśród innych antropoidów. Żyją w grupach, w niektórych przeważają samce, w innych samice. Szympanse na przykład parzą się z kilkoma samcami po kolei, nie okazując względów żadnemu z nich, Monogamię gibbonów tłumaczy się na ogół faktem, że u ich samic nie występuje esterus – ruja, faza cyklu płciowego, w której możliwe jest zapłodnienie i w której samica objawia popęd płciowy i dopuszcza samca do kopulacji. Ta cecha odróżnia samice gibona od innych małp, a jednocześnie upodobnia do kobiet. Twierdzi się, że skoro gibbonowa może za sprawą swoich cech fizjologicznych stale dopuszczać samca do kopulacji i skoro może on zaspokajać swój popęd, kiedy sobie życzy, wystarcza mu tylko jedna partnerka. Ale nie można odrzucić innego poglądu, bardziej chyba prawdopodobnego, że gibbon nie tyle nie musi, ile zwyczajnie nie pragnie mieć innych partnerek. Monogamia zdaje się rozwiązaniem komfortowym.

Inaczej niż szympan, goryl czy pawian gibbon nie musi być na zawołanie każdej samicy w stadzie, akurat mającej ruję.

Na pomysł, że gibbon jest naszym najbliższym krewnym, jako pierwszy wpadł Ernest Haeckel, współczesny Darwinowi popularyzator nauk. Koncepcja ta przypadła do gustu zachodnim historykom, bo była nader wygodna. Skoro życie rodzinne gibona tak bardzo przypomina model współczesnej rodziny na Zachodzie, to jakże łatwo zrekonstruować, jak to wyglądało u zarania dziejów. Był więc mąż, była żona, były dzieci, żyli sobie razem, a gdy dzieci dorastały, opuszczały rodzinne gniazdo (bądź zwyczajnie były z niego wyrzucane) i szły na swoje. Jeśli tak się zaczynało – jak się



kończy, wiemy – łatwo sobie wyobrazić, co się działo w tysiącletniach spinających początek i koniec. A więc mężczyzna wyprawiał się na łowy, kobieta dbała o dom (albo jaskinię), od czasu do czasu spotykali się z sąsiadami zza najbliższej górki. Niestety, rzeczywisty obraz wcale nie jest taki sielski. Przez większą część liczącej pięć tysięcy lat udokumentowanej historii naszego gatunku częściej żyliśmy w poligamii niż w związkach monogamicznych.

Rozwiązły szympanś tylko na pierwszy rzut oka nie wydaje się stosownym kandydatem na naszego najbliższego kuzyna. Gdy jednak policzyć mu chromosomy, zbadać łańcuchy hemoglobiny – a to tylko dwa z wielu stosunkowo niedawnych odkryć, okaże się, że to wręcz krewniak. Na jego rzecz świadczy też poziom inteligencji.

Podczas gdy gibbon pod tym względem otrzymał od natury najskromniejsze wyposażenie ze wszystkich małp, szympanś w toku trwającej pięć, sześć (lub siedem) milionów lat ewolucji własnego gatunku nauczył się wiele. Potrafi posługiwać się prostymi narzędziami, jak choćby garścią liści czy gąbką, aby wybrać wodę ze szczelin, wie, jak dostać się do mrówek, rozgrzebując kijem mrowisko, umie z patyka zmaistrować dźwignię, potrafi bronić się, miotając w napastnika gałęzie, kamienie i co tam jeszcze znajdzie pod łapą. Umie zapolować na antylopę i małpę – raczy się czasami młodymi sztukami. Potrafi stanąć, a nawet przemieszczać się w pozycji pionowej, no i porozumiewa się z otoczeniem językiem gestów i pomruków, i to dość bogatym. W rzeczy samej dzisiejszy szympanś zachowuje się tak, jak zapewne zachowywał się nasz protoplasta z gatunku człowiekowatych, gdy stawiał pierwszy krok na drodze ewolucji[8].

Jeśli wtedy, na samym początku, nasz praprzodek rzeczywiście podobny był szympanśom, to u jego progenitury musiała nastąpić co najmniej jedna, ale za to ważna zmiana. Zachodziła, rzecz jasna, stopniowo. Kiedy się zaczęła i kiedy proces zmian dobiegł końca, nie wiemy i nie będziemy wiedzieć. Wiemy natomiast, czego dotyczył:

cykl płciowy, charakterystyczny dla zwierząt, przekształcił się w kobiecy cykl menstruacyjny, co wywołało daleko idące konsekwencje. Kobieta odkryła swój seksualizm, a to odbiło się generalnie na stosunkach obu płci. Wątpliwe jednak, aby ta zmiana miała sprzyjać upowszechnieniu się monogamii. Antropologowie chętnie kojarzą monogamię z zanikiem rui (ignorując pięć tysięcy lat związków poligamicznych w udokumentowanej historii naszego gatunku), ale genetycy mają

całkiem inne zdanie, Darwin twierdził, że treścią życia jest walka o byt i zachowanie gatunku. Ale jego duchowi spadkobiercy, socjobiologowie, wyszli z tezą, że nie ludzie, lecz geny są pierwszorzędnymi uczestnikami tej 19 walki. Właśnie one, mikroskopijne cząstki chromosomów, co jak ongiś poeci sprawują rząd dusz na naszym świecie, walczą o przetrwanie zacieklej i brutalniej niż naj ambitniejsi karierowicze. Mają jeden cel: mnożyć się, mnożyć i trwać. Jeśli to przyjąć za podstawę – uważają socjobiologowie – automatycznie wyjaśnia się wiele po zornie niezrozumiałych ludzkich postaw i czynów. Tak więc wedle ich teorii, gdy w paleolicie warunki klimatyczne i wszystko, co się z tym łączy, ulegało okresowo pogorszeniu (a takich okresów było wiele), wtedy za sprawą dbających o swój interes genów oboje rodzice zajmowali się potomstwem. Każdy z nich dbał o własną genetyczną lokatę. W efekcie powstawał związek typu monogamicznego, nawet wbrew tradycji czy obyczajom plemiennym. Gdy warunki zewnętrzne ulegały poprawie, do opieki nad dzieckiem – czyli wspólną inwestycją genetyczną – wystarczała matka. Uwolniony od obowiązków rodzicielskich ojciec zaczynał nurzać się w rozpuście, rozsiewając geny na prawo i lewo, bo na tym polegał ich – genów – interes. Inaczej mówiąc, Casanovą epoki kamiennej wcale nie powodowały chucie, ale DNA zawarte w jego chromosomach. Paniom nie dana była tego typu biologiczna *carte blanche*. Damskie geny lokowały się tylko w jeden sposób i w jednym miejscu – w łonie matki i w organizmie płodu, co znakomicie tłumaczy cechę zwaną uczuciami macierzyńskimi[9].

Nie ma podstaw, aby twierdzić, że w paleolicie przeważały związki typu monogamicznego albo przeciwnie – poligamia. Owszem, zanik cyklu płciowego, rui, sprzyjał monogamii, co nie znaczy, że monogamia stanowiła zasadę. Geny zależnie od okoliczności sprzyjały albo związkom monogamicznym, albo poligamicznym, ale też nie stanowiły wyłącznego czynnika. Można więc chyba wysunąć hipotezę, że nasz rodzaj u zarania swych dziejów przypominał w sferze zachowania szympanse, ale w miarę wykształcania się cech właściwych ludziom i objawiania „natury człowieka”, będącej wspólnym owocem cech dziedzicznych oraz działania czynników środowiskowych, zmieniał się tryb i styl życia naszych protoplastów. Przez większość udokumentowanej historii rodzaju ludzkiego „natura człowieka” sprawiała, że w okresach zagrożenia jednostki łączyły się, gdy zaś warunki zewnętrzne stawały się bardziej sprzyjające, stosunki wewnątrzplemienne rozluźniały się. Przez miliony lat.

warunki zewnętrzne ulegały ciągłym zmianom – lodowiec raz napierał, raz cofał się – w konsekwencji zmieniał się model życia naszych praprzodków. Wahadło stale przesuwało się od stanów bliskich monogamii ku związkom bliskim rozwiązłości, i na odwrót. Nie można wykluczyć, że palma pierwszeństwa, jeśli idzie o rozwiązłość, należy się kobietom, a nie mężczyznom. Kobiety bowiem stanowiły w pierwotnych społeczeństwach znakomitą mniejszość.

## SEKS A ROLE SPOŁECZNE

Mimo trudnych warunków homo erectus nie tylko trwał, ale wręcz rozwinął się, i to w zdumiewający sposób. Jedno zdaje się pewne – bez względu na upodobania do monogamii, czy przeciwnie, warunki, w jakich przyszło mu funkcjonować, sprzyjały życiu w gromadzie.

Homo erectus prowadził ruchliwy tryb życia tyleż z wyboru, co z konieczności. Owszem, odziedziczył poczucie przynależności do określonego obszaru, ale w miarę jak rozwijał się jego mózg, instykt miejsca tracił na znaczeniu. Gdy w okresie zmian klimatycznych ziemia jałowiała, roślinność ubożała, a zwierzyny ubywało, praprzodkowi świtało, że swoje miejsce wyeksploatował do końca i czas powędrować gdzie indziej. Bywało, że teren, na który przybył, już do kogoś należał. Wtedy rozpętywała się wojna. Pokonanych przepędzano, a jeśli było ich niewielu, włączano do plemienia zwycięzców.

Jakieś 350 tysięcy lat temu nasz praprzodek odkrył zalety życia osiadłego. Stało się to za sprawą zmian klimatycznych, zmian zdecydowanie na gorsze. Przez większą część plejstocenu – wedle stratygrafii oznacza to ostatnie dwa miliony lat – klimat ulegał cyklicznym zmianom. A to grzało słońce i było przyjemnie, a to ścisnął mróz, i tak bez przerwy. Gdy wiało chłodem, lodowce zamknięte w wysokich pasmach górskich zaczynały schodzić w doliny, łączyć się i przeć na południe, skuwając wielometrową warstwą zmarzliny tereny po dzisiejszy Nowy Jork, Londyn i Kijów. W takich okresach półmilionowa ludzka społeczność – na tyle ocenia się liczbę ówczesnych mieszkańców naszej planety[10] – skupiała się w wąskiej strefie klimatu w miarę umiarkowanego wokół Morza Śródziemnego.

Tylko tam jeszcze występowała pora roku podobna do naszego lata.

Na Saharze, co dziś wydaje się nieprawdopodobne, kwitło życie, padały obfite deszcze, żywiąc wiele gatunków roślin i zwierząt. Ale ten i ów z naszych protoplastów, jak choćby *homo erectus*, którego szczątki odkryto w Zhoukoutian (Czoukoutien) w północnych Chinach [tzw. człowiek pekiński – *przyp. tłum.*], znalazł inny sposób na przetrwanie w okresie lodowcowym: odkrył zalety jaskiń, a nade wszystko wynalazł coś, czego nikt przed nim nie dokonał – ogień.

Trzeba było dziesiątków tysięcy lat, nim to samo odkryto w Europie, ale tak czy owak ciepło bijące od ogniska, światło rozpraszające groźną ciemność wywarły rewolucyjny wpływ na rozwój naszego gatunku, na jego ucłowieczenie.

Człowiek, który uganiał się za zwierzyną, skory był do wędrówek. Jaskiniowiec cenił zalety pieczar. Gdy już znalazł sposobną grootę i gdy wokół nie brakowało zwierza, osiadał na stałe.

Życie w jaskini rządziło się własną logiką. Do wyjątków jednak należały wielkie groty, jak słynna z malowideł trzystumetrowa Altamira w północnej Hiszpanii. Częściej znajdowano skromniejsze pomieszczenia, jak Lascaux we Francji. Jej główna komora liczy niecałe trzydzieści metrów długości i dziesięć szerokości. Lokatorzy sprzed piętnastu tysięcy lat, którzy zostawili na ścianach Lascaux bogactwo malowideł, głównie zwierząt, i tak byli szczęśliwcami. Większość im współczesnych mieszkała skromniej, a na pewno ciasniej.

Przejście od życia w otwartej przestrzeni do życia wśród kamiennych ścian w sensie fizycznym i psychologicznym musiało prowadzić do perturbacji społecznych. Każdy mieszkaniec miał co prawda wyznaczone miejsce bliżej lub dalej od ogniska, zależnie od hierarchii w gromadzie, ale przetasowania, koniunkturalne sojusze i wrogość stawały się nieuchronne. Niewykluczone, że właśnie w tym okresie pojęcie „rodzina” jęło nabierać rzeczywistego znaczenia.

Prehistoryczna rodzina skupiała się wokół kobiety, jak cytoplazma wokół jądra w komórce. Była to konsekwencja szczególnej roli matki i stosunków opartych na macierzyństwie, wyraźnie i zdecydowanie różnych od innych stosunków wewnątrzgrupowych. Trzeba pamiętać, że rola mężczyzny w prokreacji została odkryta nader późno, jeśli za miarę czasu przyjąć etapy ewolucji naszego gatunku.

Jeszcze w ubiegłym stuleciu antropologowie ze zdumieniem znajdowali prymitywne szczepy nieświadome związku między kopulacją a poczęciem. Wydaje się, że wszyscy nasi przodkowie żyli w niewiedzy na ten temat mniej więcej do roku 9000

p.n.e.

Przez większą część paleolitu człowiek traktował otaczający go świat na zasadzie ja – ty. Podczas gdy dzisiejszy mieszczuch postrzega świat w kategoriach przedmiotu, to człowiek prymitywny widział w morzu, drzewach, ziemi, zwierzętach, ptakach i rybach takie same jak on, choć różne od siebie wyglądem, podmioty. Nawet gdy nauczył się wytwarzać narzędzia, gdy zmieniał tryb życia i rozwijał umiejętność myślenia, niewiele różnił się od bestii, z którymi dzielił swój świat. Nadal ledwie odbijał od swych kuzynów z rzędu naczelnych. Dopiero pod koniec paleolitu jął ewoluować w kierunku gatunku, który w XX stuleciu naszej ery zacznie podbijać kosmos. Zapewne nie zastanawiał się nad otoczeniem. Wszystko wokół jawiło mu się jako naturalne, oczywiste i niezmiennie, a więc nie budzące szczególnej ciekawości. Naturalne było dlań i to, że kobieta, podobnie jak łania, kobyła czy kłępa i w ogóle każda samica, albo nosi w sobie płód, albo zajmuje się miotem, i tak w kółko przez całe dorosłe życie. Nie zastanawiał się, dlaczego ogier wspina się na kobyłę, a tryk na owcę. Robił to samo, dobierał się do kobiety, bo tak podpowiada instynkt i tak się zaspokaja żądze. Seks i moralność jęły się pojawiać znacznie później, na jednym z ostatnich etapów ewolucji ludzkiego gatunku.

Poczucie ojcostwa objawia się w dwóch dziedzinach – społecznej i biologicznej, Ta pierwsza może funkcjonować niezależnie od drugiej, ale w rozwiązłym społeczeństwie o ojcostwie w ogóle nie ma mowy. Odpowiedzialność za potomstwo spoczywa wyłącznie na kobiecie i w stosunku do niej określa się związki krwi. Inaczej jest w społecznościach, w których związek mężczyzny z kobietą lub kilkoma bądź kilkunastoma kobietami jednocześnie ma charakter ciągły.

W takich warunkach poczucie ojcostwa objawia się niejako automatycznie. Jeśli posłużyć się przykładem współczesnych ludów prymitywnych, można stwierdzić, że mężczyzna epoki paleolitu rzeczywiście gotów był brać na siebie obowiązki wynikające z ojcostwa. Pełnił więc funkcje przewodnika stada, doradcy i opiekuna tak dzieci, jak i kobiety (kobiet), z którą pozostawał w związkach o charakterze seksualnym. Niemniej jego rola – jeśli to właściwe słowo w odniesieniu do epoki kamiennej – z psychologicznego punktu widzenia była drugorzędna. W darwinowskiej walce o zachowanie gatunku mężczyzna wykonywał czynności pomocnicze.

Co innego w walce o byt. Bez jądła, które mężczyzna zdobywał, kobieta – kreatorka życia – niewiele by zdziałała. W szczytowych okresach naporu lodowców

właśnie on ratował gatunek ludzki przed totalną zagładą, w konsekwencji więc jego status wzrastał.

Gdy warunki klimatyczne poprawiały się i kobieta mogła zdobywać tyle samo środków do życia co on, jego rola znów ulegała marginalizacji.

W paleolicie można wyróżnić dwa typy systemów społecznych.

Na niektórych obszarach gospodarka plemienna opierała się na jednym gatunku zwierząt. Na terenach dzisiejszej Francji podstawę stanowił jelen. Miał mniej więcej takie znaczenie dla ówczesnych jak znacznie później bizon dla mieszkańców Ameryki Północnej. Migracja zwierząt wpływała na tryb życia plemion, które od nich zależały. Łowcy podążali za zwierzyną, a jeśli plemię żyło z łowów, dominowali w nim mężczyźni-myśliwi.

Pod koniec omawianego okresu przewagę miały zapewne plemiona uprawiające gospodarkę mieszaną, zbieracko-łowiecką, korzystające ze wszystkiego, w co obfitowały okolice: zwierzyny, ryb, skorupiaków, ptaków i roślin. Urządzały sobie mniej lub więcej stałe siedziby w pieczarach lub jaskiniach, a latem zakładały obozy w pobliżu dorocznych szlaków wędrówek jeleni, owiec, kóz itd.

Nie ma oczywiście żadnych materialnych dowodów na istnienie w paleolicie systemu wewnątrzgrupowego podziału pracy i obowiązków, ale wedle dość zgodnej opinii badaczy podział taki występował.

Mężczyzna polował, kobieta zajmowała się zbieractwem. Jedną tylko kwestią pozostaje dyskusyjna, mianowicie wydajność pracy kobiet. Zdaniem niektórych znawców kobieta dostarczała tyle jedła co mężczyzna, i tak rzeczywiście mogło być, bo niby dlaczego młoda, zdrowa kobieta nie mogłaby polować równie zręcznie jak młody, zdrowy mężczyzna., a poza tym w przeciwieństwie do społeczności na wyższym stopniu rozwoju, ludy prymitywne nie traktują ciąży jako czynnika obniżającego sprawność. Kobiety z japońskiego plemienia Ainu w czasie ciąży oddają się wysiłkowym ćwiczeniom fizycznym, uważają bowiem, że to dobrze wpływa na poród. Kobiety z plemienia Mbuti, należącego do ludu Pigmejów, traktują poród jak coś tak zwyczajnego, że w dwie, trzy godziny po wydaniu na świat dziecka wracają na koczowniczy szlak. Karmienie też nie nastęrcza problemów, jeśli w grupie jest kilka karmiących matek. Mogą się zastępować, umożliwiając reszcie normalną pracę w polu. Ale też praca w polu to nie to samo co podchodzenie jelenia czy wabienie wielkiego, włochatego mamuta w pułapkę. Tego typu łowy, zwłaszcza w trudnych

warunkach klimatycznych i w czasach, gdy zwierzyny jest mało, wymagają żelaznej kondycji. Wtedy kobieta w ciąży niewiele może zdziałać i jako pierwsza pada ofiarą głodu i chłodu.

Mało też się w nią inwestuje. Nawet w naszych czasach spotyka się sytuacje, kiedy rodzice odmawiają córce wyższego wykształcenia, uznając, że wysiłek i tak pójdzie na marne, gdy dziewczyna wyjdzie za mąż. Nie można więc wykluczyć, że w paleolicie podobnie podchodzono do nauki sztuki łowieckiej.

Z badań nad ludzkim genomem wynika, że szczególne uzdolnienia mężczyzny w zakresie łowiectwa rozwijały się stosunkowo dawno, jakiś milion lat temu. A i dziś mężczyzna osiąga wyraźnie lepsze niż kobieta wyniki w testach na orientację przestrzenną. Dwóch amerykańskich badaczy wykazało ostatnio, że istnieje wyraźny związek między tym, co składa się na orientację w przestrzeni, a uzdolnieniami łowieckimi. Osoby lepiej orientujące się w przestrzeni trafniej oceniają dystans i celniej miotają przedmioty. Genetyka wskazuje na uprzywilejowaną pozycję mężczyzny pod tym względem[11].

Kobieta zajmująca się zbieractwem, wyszukująca jadalne rośliny, brodząca po płycznach w poszukiwaniu skorupiaków i mięczaków, rozglądająca się za orzechami i żołędziami nie musi ani trafnie określać dystansu, ani charakteryzować się cełnym okiem, Z drugiej jednak strony ustalono, że kobiety znacznie lepiej widzą w mroku i na ogół mają ostrzejszy słuch[12]. Tego typu uzdolnienia z pewnością przydają się, gdy podchodzi się jakiegoś niewielkie zwierzę bądź wypatruje krabów lub raków w mętnej wodzie.

Czy więc człowiek prymitywny był przede wszystkim myśliwym czy raczej zbieraczem? Nie jest to akademickie pytanie, bo z odpowiedzi wynikają dość ważne konsekwencje. Jeśli podstawę gospodarki plemienia stanowiło myślistwo, wszystko – obyczaj i tryb życia – faworyzowało myśliwych, bo od nich zależało przetrwanie. A gdy świat się zmieniał i zabijanie zwierząt przestawało odgrywać zasadniczą rolę, raz ustalone postawy trwały i mężczyźni przypadają uprzywilejowana pozycja w gromadzie.

W społecznościach łowiecko-zbierackich sytuacja kształtowała się inaczej. W sprzyjających warunkach klimatycznych kobieta-zbieraczka dostarczała mniej więcej tyle samo środków do życia co mężczyzna, powstawała więc pewna równowaga między przedstawicielami obu płci, W dalszej ewolucji mężczyzna-myśliwy



przemienił się w pasterza, a kobieta-zbieraczka w rolniczkę uprawiającą ziemię.

Taki podział pracy jął wpływać zasadniczo na stosunki męsko-damskie.

## PIERWSZE TABU

Przenosiny do jaskini wpłynęły na ukształtowanie się nowej struktury plemiennej. Stabilizacja, jaką oferowała jaskinia, sprzyjała rozwojowi instytucji wcale nie obcych badaczom współczesnych organizacji związkowych.

Warunki klimatyczne epoki lodowcowej, kiedy powstawała i rozwijała się cywilizacja jaskiniowa, sprawiały, że podstawą gospodarki stały się potężne zwierzęta typu mamuta włochatego, wołu piżmowego czy bizona. Zwierza tych rozmiarów nie da się upolować w pojedynkę czy w kilka osób, tym bardziej jeśli w zespole są ciężarne kobiety lub dzieci. Konieczne jest działanie w większej grupie, zwłaszcza gdy zwierz wymknie się z terytorium danego plemienia na żerowiska należące do innego.

Historycy zgadzają się, że na tym etapie rozwoju człowieka musiało dojść do rozszerzenia kontaktów międzyplemiennych – prowadzono negocjacje i zawierano sojusze w sprawach łowów. W konsekwencji musiało dochodzić do zgromadzeń typu – nazwijmy to – towarzyskiego, a jednocześnie wewnątrz plemienia formowały się mniejsze struktury, zrazu dość luźno związane, później nabierające cech klanów. Każde plemię zachowywało pewien stopień niezależności, ale też łączyły je wspólne bądź podobne standardy myślenia, normy obyczajowe i rytuały, zwłaszcza te, które odbywano w większej gromadzie, jak choćby ceremonie wejścia młodego człowieka w świat dorosłych. Te ostatnie przetrwały zresztą do naszych czasów, jeśli z tego punktu widzenia spojrzeć na przykład na lekcje przysposobienia do życia w rodzinie czy wychowania seksualnego w szkołach.

Jednym ze skutków coraz intensywniejszych kontaktów międzyplemiennych musiało być rozszerzenie horyzontów emocjonalnych.

„Miłość od pierwszego wejrzenia” zdarza się wyłącznie między obcymi sobie ludźmi. Historycy, wspierający swoje teorie na znacznie późniejszym systemie norm i obyczajów feudalno-dynastycznych, są zdania, że na wczesnym etapie rozwoju społecznego preferowano raczej „małżeństwa” wewnątrzplemienne, widząc w nich

instrument umacniania sojuszy politycznych. Łapiąc dwie sroki za ogon, ci sami historycy idą dalej: twierdzą, że związki innego typu zaczęły być tępione, co w ostatecznym rachunku doprowadziło do wykluczenia związków kazirodczych, na których wspierała się najwcześniejsza faza rozwoju rodzaju ludzkiego.

Kazirodstwo to skrajna forma metody zwanej w hodowli kojarzeniem wsobnym. Przeniesiona na ludzką społeczność polega na wstępowaniu w związki typu małżeńskiego w obrębie ściśle określonej grupy połączonej więzami krwi. W hodowli prowadzi do stworzenia bądź udoskonalenia rasy najlepiej przystosowanej do określonych warunków, w genetyce oznacza jednak ślepy zaułek. Za każdym razem dochodzi bowiem do wymiany tego samego materiału genetycznego, co ogranicza, jeśli nie wyklucza, mechanizmy doboru naturalnego. W efekcie populacja wsobna traci możliwość naturalnego przystosowywania się do zmieniających się warunków zewnętrznych i degeneruje się. Zbiorowości hołdujące kojarzeniom typu wolnego, to znaczy łączeniu osobników niespokrewnionych ze sobą, tworzą materiał genetyczny sprzyjający mechanizmom doboru naturalnego, wykształcają przeto cechy niezbędne do przystosowania się do zmieniających się warunków zewnętrznych, a więc rozwoju[13].

U zarania historii, nim rozwinęły się kontakty międzyplemienne, regułą było kojarzenie wsobne. Przez długie okresy dziejów naszego gatunku mieliśmy do czynienia z niewielkimi, czterdzieste-pięćdziesięcioosobowymi gromadkami, których życie upływało w tej samej zbiorowości. Nie wiedziały nawet, że gdzieś tam może istnieć ktoś do nich podobny. Z drugiej jednak strony trudno sobie wyobrazić, aby nasz gatunek był w stanie przetrwać głębokie wahania klimatyczne w plejstocenie bez pewnych mutacji w obrębie DNA, które pozwalały stawiać czoło zmieniającym się warunkom zewnętrznym. Trzeba więc przyjąć, że w obyczajowość plemienną wpisane były pewne ograniczenia, wykluczające przynajmniej ekstremalne formy kojarzenia wsobnego – kazirodstwa – bo inaczej nie byłoby mowy o mechanizmach przystosowawczych. Tabu odnoszące się do stosunków kazirodczych ma charakter nader powszechny i kto wie, czy od samego początku nie było wpisane w ludzką naturę. Uchodziło za naturalną część dziedzictwa, za wyróżnik człowieczeństwa. I nie bez kozery w późniejszych czasach w starożytnym Egipcie i Persji władcy świadomie i rozmyślnie łamali owo tabu. Manifestowali w ten sposób swoją boskość.

Przyjęło się sądzić, że zwierzęta, które nie potrafią odróżnić swego potomstwa od

obcych, z samej istoty podatne są na stosunki kazirodcze. Tezie tej zdają się przeczyć niedawne badania nad afrykańskimi pawianami. Zaobserwowano pewien interesujący mechanizm, dość radykalnie wykluczający związki kazirodcze. Badania trwały siedem lat, obserwacji poddano trzy grupy małp. Spośród dwudziestu samców piętnaście zmieniło przynależność grupową przed osiągnięciem wieku rozrodczego, Z pozostałej piątki część padła, reszta zniknęła bez śladu. Trudno mówić o obyczaju, ale mechanizm wykluczania stosunków kazirodczych jawi się jako wysoce skuteczny[14]. Także inne gatunki małp zdają się kierować czymś, co moglibyśmy nazwać instynktownym tabu. Dorosłe samice makaków z zasady nie dopuszczają do siebie swoich synów. Twierdzi się, że podobnie zachowują się samice szympansov[15]. Inaczej gibony. Tata gibbon po stracie małżonki przenosi męskie uczucia na córkę, owdowiała gibbonowa pociesza się w ramionach syna.

Nie wdając się w szczegóły, można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że pierwsze tabu w naszych dziejach odnosiło się nie do kanibalizmu, jak twierdzi wielu, ale do stosunków kazirodczych. Gdy upowszechniły się kontakty międzyplemienne, regułą stały się związki osobników nie połączonych więzami krwi, a przyspieszony rozwój naszego gatunku w ostatnich pięćdziesięciu tysiącach lat przed rewolucją, jaką niosła epoka neolitu, zawdzięczamy, przynajmniej w znacznej części, walorom intelektualnym i fizycznym takiego właśnie modelu stosunków międzyludzkich.

## **PROBLEMY DEMOGRAFICZNE**

Z faktu, że kobieta okresu paleolitu przez większą część dorosłego życia chodziła w ciąży, niańczyła i karmiła, wcale nie wynika, iż jej skórzanej spódnicy czepiała się stale rosąca gromadka maluchów. Dzieci rodziło się niewiele, a jeszcze mniej przeżywało okres niemowlęctwa. Jeszcze dziś na niektórych obszarach Afryki spory odsetek kobiet (20–40 procent w Gabonie, Sudanie, Kamerunie i Kongu) wydaje na świat martwe płody. Wskaźnik śmiertelności niemowląt na poziomie 45 procent w Kongu wcale nie należy do rzadkości[16]. W paleolicie nie mogło być aż tak tragicznie, bo rodzaj ludzki uległby zagładzie.

O liczbie żywych urodzin i liczbie osobników, którzy dożyli wieku dojrzałego, można wnioskować na podstawie ocen demograficznych.

Zakłada się, że milion lat temu ludzka populacja sięgała około pięciuset tysięcy. Dziesięć tysięcy lat p.n.e., u zarania rewolucji okresu neolitu, liczba ludności w skali całej planety wzrosła do trzech milionów[17]. Z porównania tych liczb płynnie wniosek, że przez długie okresy przyrost naturalny był bliski zeru, to znaczy, że liczba urodzin równała się liczbie zgonów. Teoretycznie rzecz biorąc, z zerowym przyrostem mamy do czynienia, gdy para (zakładamy monogamię) wydaje na świat dwójkę dzieci. Gdy z każdego małżeństwa rodzi się troje dzieci, liczba ludności wzrasta sześciokrotnie w ciągu stulecia, a sto lat to cztery pokolenia. Tymczasem na sześciokrotny wzrost ludności świata trzeba było aż miliona lat! Oczywiście rachunek i oceny są bardzo uproszczone i dają pole do rozmaitych spekulacji.

Pierwsza może dotyczyć liczby kobiet. Otóż wiele wskazuje na to, że w społeczeństwie prehistorycznym kobiety stanowiły znakomitą mniejszość. Z badań ludzkich szczątków odnajdywanych w wykopaliskach wynika, że mężczyzn było dwa, może nawet trzy razy więcej niż kobiet i że mężczyzna żył przeciętnie osiem lat dłużej[18]. Jeśli tak, to każda kobieta musiała wydać na świat i wychować co najmniej czwórkę dzieci, aby utrzymał się zerowy przyrost naturalny.

Druga sprawa to stosunkowo krótki okres rozrodczości u kobiet.

Za czasów człowieka neandertalskiego (około siedemdziesięciu tysięcy lat temu) tylko dwie ludzkie istoty z dziesięciu, którym udało się dotrzeć do wieku pokwitania, miały szansę dożyć lat trzydziestu. Około trzydziestu tysięcy lat temu nastąpiła pewna poprawa i – jak się ocenia – dwanaście osób na sto miało szansę dożyć czterdziestki. Okres poprawy był jednak stosunkowo krótki. Wkrótce bowiem 86 osób na sto nie dożywało nawet trzydziestki, a z pozostałej czternastki ledwie pięciu miało szansę na oglądanie świata w wieku lat 40[19], Okres rozrodczości u przeciętnej kobiety trwał 15-16 lat.

Populacja ludzka rosła jednak wolniej, niż mogłoby wynikać z opisanych uwarunkowań. Składało się na to wiele przyczyn, także takich, na które ludzie nie mieli wpływu. Choroby stanowiły bez wątpienia poważny czynnik obniżający tempo przyrostu naturalnego.

Jakie choroby? To trudno powiedzieć na podstawie szczątków kości, a tylko takim materiałem dysponują badacze. Ale spójrzmy na dzisiejszy świat. Rzeżączka i pewne choroby wywoływane przez nicien powodują epidemiczne wręcz występowanie bezpłodności u kobiet na południe od Sahary. Można założyć, że w czasach

prehistorycznych było podobnie, choć skąpa liczba ludzkich skupisk siłą rzeczy ograniczała przenoszenie się zarazków. Zwyczajna higiena jest dość świeżym wynalazkiem. Jej brak zbierał śmiertelne żniwo, zwłaszcza w czasie ciąży i porodu.

A głód i niedożywienie? Jedno i drugie występowało cyklicznie przez większość naszych dziejów, a w okresach zlodowacenia sięgało rozmiarów wręcz katastrofalnych. Niedożywienie negatywnie wpływa na rozrodczość. Po pierwsze, opóźnia wiek pokwitania u dziewcząt, po wtóre – jest przyczyną poronień i martwych urodzeń, po trzecie – powoduje większą śmiertelność niemowląt i często prowadzi do zgonu matki w czasie porodu. Wśród ludu Bantu w Afryce w latach czterdziestych z dwunastu ciąż tylko dwie kończyły się szczęśliwym rozwiązaniem[20]. W Indiach jeszcze na początku lat siedemdziesiątych dziewięć na sto dzieci umierało na skutek niedożywienia przed osiągnięciem pięciu lat[21]. Istnieje opinia, że nieodpowiednia dieta u dzieci do lat dwóch na trwałe ogranicza ich rozwój umysłowy. Skoro ofiarą niedożywienia w paleolicie padały nie jednostki, ale całe plemiona, musiało się to odbić na rozwoju intelektualnym i fizycznym całego ludzkiego gatunku.

Długi okres laktacji u kobiet wpływa na ograniczenie zdolności rozrodczych. Samice z gatunku *homo erectus* karmiły małe znacznie dłużej niż samice innych naczelnych. Wykopaliska z Zhoukoutian świadczą, że dzieci żyjące w tamtych okolicach (na północ od Pekinu) miały więcej mlecznych zębów niż małpie szczenięta na tym samym etapie rozwoju. Dziś ocenia się, że wydłużony okres karmienia piersią u pewnych ludów afrykańskich sprawia, iż tamtejsze kobiety rodzą statystycznie czworo dzieci mniej niż ich odpowiedniczki w innych krajach. W Bangladeszu ten sam wskaźnik sięga sześciu, a nawet siedmiu urodzeń[22].

Nasi przedhistoryczni przodkowie mieli niewiele możliwości przeciwdziałania przeszkodom ograniczającym ich rozwój ilościowy i jakościowy. W instynkt człowieka wpisana była dramatyczna świadomość skutków, jakie niesie brak szans na zdobycie wystarczających środków do życia. W późniejszej historii gatunku znajdziemy niejedną dowód uciekania się do rozmaitych praktyk, aby zachować optymalną dla danego terenu gęstość zaludnienia, inaczej mówiąc, ograniczyć liczbę osobników, których trzeba wykarmić.

Pierwszą i niejako najbardziej naturalną praktykę stanowiło dzieciobójstwo. Jeszcze w dziewiętnastowiecznej Europie, a także w Indiach i Chinach, praktyka ta była równie powszechna jak dziś aborcja w krajach zachodnich. Nie zawsze i nie

wszędzie uprawiano te praktyki w sposób świadomy i zamierzony. Ale przecież wystarczy nie otulić oseska, nie walczyć z chorobą, a skutek będzie ten sam.

Były jednak nacje i miejsca, gdzie dzieciobójstwo przybierało charakter masowy. Jeszcze w czasach niemal nam współczesnych niektóre polinezyjskie plemiona uśmiercały dwie trzecie niemowląt.

Wojownicze plemię koczowników Jaga, zamieszkujące pewne tereny dzisiejszej Angoli, miało dokonywać mordów wszystkich osesków, aby matki nie opóźniały marszu, a lukę demograficzną uzupełniało, wykradając dzieci z innych plemion. W zachodniej Australii w XIX wieku żył ponoć lud aborygenów pożerający co dziesiąte z nowo narodzonych dzieci i w ten sposób ograniczający liczbę ludności do zasobności terytorium[23].

Ofiarą dzieciobójstwa padały przede wszystkim dziewczynki, nie z powodu męskiego szowinizmu, ale dlatego, że dziecię płci żeńskiej wyrasta na kobietę, a ta „produkuje” nową istotę do wykarmienia.

Co innego chłopcy. Zawsze można liczyć, że nie pożyją dłużej, bo zginą w bójkach z rówieśnikami bądź w walkach międzyplemiennych.

Inną metodą ograniczania przyrostu naturalnego pod koniec paleolitu mogła być antykoncepcja – nie taki świeży wynalazek, jak się dziś powszechnie wydaje. Jeszcze w czasach, gdy nie uprawiano pól i nie było gospodarki rolnej, kobiety znały właściwości rozmaitych roślin. Do dziś ludy prymitywne stosują pewne zioła z takim samym skutkiem jak nowoczesna kobieta pigułkę antykoncepcyjną.

Nauka potwierdza antykoncepcyjne działania rozmaitych środków pochodzenia roślinnego, mających zresztą historię znacznie dłuższą niż pigułka. W paragwajskim dorzeczu Amazonki występuje na przykład roślina o uczonej nazwie *Steuia rebaudiana*. Miejscowe kobiety suszą ją, gotują i piją – kubek dziennie – gdy chcą uniknąć ciąży.

Indianie Nawajo w tym samym celu stosują napar z pewnego rodzaju traw, Szoszoni z Nevady parzą sobie herbatkę z miejscowego rodzaju pietruszki (*Sison amomum*), a Indianie Hopi używają wysuszonej i zmielonej kanawalii. Badania laboratoryjne potwierdziły zwłaszcza antykoncepcyjne działania mikstur z Paragwaju i Nevady[24]. Rola mężczyzny w prokreacji pozostawała jednak nieodgadniona, oczywiste jest więc, że wysiłki w kwestii kontroli urodzin i ograniczania przyrostu naturalnego skupiano na kobietach.

Dotyczyło to również sfery obyczajowej. Tak właśnie należy oceniać rozmaite tabu



nakładane na kobiety w okresie menstruacji, bo trudno znaleźć inne uzasadnienia. Weźmy za przykład Indian Carrier z Brytyjskiej Kolumbii. Jeszcze w XIX wieku dziewczynki, gdy zaczynały miesiączkować, musiały opuszczać społeczność plemienną i kryć się samotnie w lasach przez trzy, cztery lata. Uważano, że sam ich widok sprowadza nieszczęście na każdego, kto je ujrzy, a wydeptywane przez nie ścieżki w puszczy uchodziły za nieczyste[25].

Jeśli pominąć mistyczne wierzenia, obyczaj ten miał bardzo praktyczny sens: wieloletnia izolacja młodej kobiety prowadziła do bezpłodności.

Z perspektywy naszych czasów trudno wyobrazić sobie, że prawdziwi Flintstonowie sprzed dziesiątków tysięcy lat mogli mieć świadomość zagrożeń, jakie niesie niekontrolowany wzrost ludności, a przeto doceniali konieczność ograniczania przyrostu naturalnego.

Warto wszakże zwrócić uwagę, że zdaniem specjalistów istnieje ścisła korelacja między warunkami życia a trendami demograficznymi.

Gdy warunki są złe, populacja stabilizuje się, gdy ulegają poprawie, na ogół wzrasta. Fred Flintstone nie formułował żadnych teorii, co nie znaczy, że nie wyczuwał zagrożeń i uwarunkowań. Nie da się bowiem wytłumaczyć gwałtownego wzrostu ludzkiej populacji w neolicie wyłącznie lepszą dietą. W neolicie w ogóle nastąpiła prawdziwa rewolucja. Nasz praprzodek dokonał wtedy epokowego odkrycia – pojął, że ma wpływ na zasoby żywności.

## **SYMBOLE SEKSUALNE EPOKI PALEOLITU**

Niewiele wiemy o ludziach paleolitu. Owszem, mamy pojęcie, gdzie i jak mieszkali, ale jacy naprawdę byli, jak wyglądali i co myśleli, trudno nam cokolwiek powiedzieć. Nie wiemy więc, czy byli ponurzy i poważni, jak chcą ich widzieć równie poważni badacze, czy może mieli poczucie humoru i lubili się bawić. Czy odnajdywane w rozmaitych wykopaliskach figurki paleolitycznych Wenus to przedmioty kultu, symbole płodności, czy może realistyczne wizerunki kobiet budzących męskie emocje.

Narzędzia znajdowane w wykopaliskach stanowią cenny materiał badawczy i na ich podstawie sporo da się ustalić. Weźmy kościany haczyk na ryby. Jego funkcja jest oczywista, a fakt, że praprzodek wpadł na pomysł, żeby coś takiego zмайstrować,



świadczy o zmyśle technicznym. Schody zaczynają się, gdy mamy do czynienia nie z narzędziami, ale choćby ze sławetnymi figurkami paleolitycznych Wenus.

Znaleziono ich ponad sześćdziesiąt, głównie w środkowej Europie, ale także na Ukrainie, Syberii i we Francji. Pochodzą sprzed dwudziestu tysięcy lat. Niektóre rzeźbiono z mamucich kości, inne z kamienia, jeszcze inne lepiono z gliny zmieszanej z popiołem i wypalano. Są niewielkie – 10–15 centymetrów – i rzecz ciekawa: poza dwoma wyjątkami pozbawione rysów twarzy, jakby twórcy skupiali całą uwagę i talent wyłącznie na sylwetce, z zasady bardzo obfitej.

Sześćdziesiąt lat temu jeden z badaczy orzekł: „Są to postaci kobiece o przesadnie podkreślonych cechach macierzyńskich”[26]. Niby proste, ale każdy ze współczesnych badaczy zdaje się widzieć co innego:

„Seksualny charakter” figurek nie budzi najmniejszych wątpliwości. Na te cechy twórcy kładli największy nacisk (Grahame Clark).

„W żadnych innych rzeźbach kobiecych seksualizm nie odgrywa mniejszej roli” (René Nougier).

Figurki Wenus to „magiczna inwokacja płodności” (Walter Torbriigge).

„Nie są żadnym symbolem płodności. To po prostu rzeźby wyobrażające kobiety tuż po porodzie, a więc o zdeformowanych ciężą kształtach” (Richard Lewinsohn).

Figurki te należy oceniać w kontekście sztuki jaskiniowej, a ta w swej istocie wyrażała treści religijne (szkoła Andre Leroi-Gourhana).

„Z dużą dozą prawdopodobieństwa można odrzucić pogląd, że figurki te mają znaczenie kultowe” (Charles Seltman)[27].

Uogólniając desygnaty słowa „twórca” bądź „artysta”, zwykle mamy na myśli osoby rodzaju męskiego, bo taka jest konwencja językowa i obyczajowa. To z kolei implikuje określone postawy natury seksualnej i między innymi właśnie dlatego mało kto chce widzieć w figurkach Wenus wizerunki zwykłych kobiet z epoki. A przecież sprawa może być niezwykle prosta. Oto artysta, który dał się już poznać jako twórca naskalnych malowideł dzikich zwierząt, a więc dwuwymiarowych wizerunków otaczającej go rzeczywistości, zapragnął sporządzić trójwymiarowe dzieło. A dlaczego kobiety? Proste – bo tylko ona mogła być modelką. Nikt inny, żadne stworzenie, nie zechciałoby siedzieć bez ruchu przez czas potrzebny, by artysta mógł wyciosać bądź ulepić rzeźbę. U źródeł poglądu, że figurki Wenus nie są rzeźbami z natury i nie reprezentują sztuki realistycznej, leży instynktowna niechęć, wręcz

obrzydzenie, do fizycznego typu kobiety, jaki przedstawiają. Wspomniany Richard Lewinsohn powiedział:

„Życie seksualne w paleolicie wyprane było z wszelkiej erotyki; spójrzmy na Wenus (z Willendorfu w Austrii), toż to jedna kupa tłuszczu!” A spójrzmy inaczej. Odrzućmy współczesne ideały, będące wytworem gorsetu i w ogóle zachodniej kultury, a dostrzeżemy uderzające podobieństwo między figurkami Wenus z obwisłymi piersiami i wydatnym brzuchem a kobietami z prymitywnych plemion. Owszem, paleolityczne Wenus mają jeszcze obfitsze kształty, ale rzeźbiono je w czasach, gdy modelki tak właśnie wyglądały. Lodowiec ledwie się cofnął i geny nie zdążyły przysposobić ludzkiego ciała do nowych, łagodniejszych warunków klimatycznych. Udokumentowana historia naszego gatunku świadczy, że w chłodniejszym klimacie ludzie obrastają w dodatkową warstwę tłuszczu, po części dlatego, że jadają tłuszciej, a po części, że taki jest ich metabolizm. Tłuszcz chroni przed zimmem. Teza, że tłusta Wenus nie mogła się podobać, że żaden mężczyzna nie spoglądał na nią pożądlwym okiem, dowodzi tylko arogancji badaczy, stosujących współczesne standardy damskiej urody, a te nijak się mają do innych, znanych nam z historii.

Nie można więc wykluczyć, że Wenus spełniała dokładnie taką samą rolę jak panienka na rozkładówce w dzisiejszym „Playboyu”.

Zwróćmy uwagę, że artysta rzeźbiący Wenus podkreślał, wręcz przerysowywał, typowo kobiece cechy – piersi i mons pubis, a w drugiej kolejności brzuch i pośladki, które – nawiasem mówiąc – nie są wyłącznym wyróżnikiem płci żeńskiej. Również mężczyźni bywają brzuchaci i pupiaci. Kto wie, czy nie czynił tego świadomie, czy nie przyświecał mu taki sam zamiar jak dzisiejszym karykaturzystom. A może deformował sylwetkę, kierując się swoim poczuciem estetyki, może po prostu lubił damskie krągłości bardziej niż cokolwiek innego. Przemawiałby za tym fakt, że inne części ciała Wenus – ramiona, łydki, a przede wszystkim twarz – są ledwie zarysowane.

Brak wyraźnych rysów twarzy wcale nie znaczy, że mamy do czynienia ze sztuką abstrakcyjną. Malowidła naskalne cechował realizm, ale miały one znaczenie magiczne. Artysta wierzył, że malując zwierzę, rzuca nań czar, poddaje swojej kontroli. Skoro tak, łatwo sobie wyobrazić, że modelka godziła się pozować, nie miała nic przeciwko temu, aby rzeźbić jej ciało, ale zastrzegła sobie anonimowość.

Twarz musiała pozostać nierozpoznawalna, aby dzieło – jak malowidła zwierząt – nie sprowadziło na nią nieszczęścia. Z podobnym zjawiskiem spotykamy się także w

znacznie późniejszych epokach. Islamskie hadisy na przykład zakazywały portretowania ludzi.

Na podstawie oglądu paleolitycznych Wenus jedno można stwierdzić z całą pewnością: mieszkanki ówczesnej środkowej Europy – one bowiem były modelkami – miały obfite kształty, obwisłe piersi i rozstępy na brzuchu, co zapewne miało związek z licznymi ciążami.

Znawcy epoki wyciągają oczywiście znacznie więcej wniosków i formułują wiele rozmaitych teorii. Wedle jednej, obecnie zarzuconej, figurki Wenus miały reprezentować istotę macierzyństwa ze wszystkim, co się z tym łączy. Można się zgodzić, że niektóre z odnalezionych figurek wyobrażają kobietę w ciąży, choć i ten pogląd ma przeciwników.

Jeden z historyków medycyny, analizując Wenus z Laugerie Basse we Francji, stwierdził, że „rzeczywiście nie można wykluczyć, iż przedstawia ona kobietę oczekującą rozwiązania, ale równie dobrze można postawić tezę, że [modelka] cierpiała na owrzodzenie jajników”[28]. Do sprawy można też podejść inaczej, nie spierać się o to, co artysta wyobraził w swoim dziele, ale co pragnął wyobrazić. Jeśli macierzyństwo, to dlaczego wśród znalezisk nigdy nie odkryto rzeźby matki z dzieckiem? Teoria „macierzyńska” byłaby wtedy bardziej prawdopodobna.

Inna teoria łączy obfite kształty Wenus z rozwojem wierzeń religijnych, a nade wszystko z symboliką sakralną. Tak więc Wenus to bogini płodności, a przynajmniej symbol kultu płodności, jeśli przyjąć, że na ówczesnym etapie rozwoju nie istniało jeszcze pojęcie istoty nadprzyrodzonej. Problem jednak w tym, że ówczesnie płodność wcale nie była w cenie, przeciwnie. Dziecko to kłopot, im więcej dzieci, tym więcej kłopotów. Jeśli już do płodności przywiązywano jakąkolwiek wagę, to w innym sensie – żeby donosić ciążę, żeby urodzić żywe niemowlę, żeby wykarcić dziecko i uchronić je od niebezpieczeństw, dopóki się nie usamodzielni. Niech ktoś spróbuje wyrazić te wszystkie treści w jednej dziesięciocentymetrowej rzeźbie. Jeśli męczyzna epoki paleolitu przykładął wagę do płodności, to wyłącznie w odniesieniu do zwierząt, którymi się żywił. Z całą pewnością bardziej sobie cenił cielną łanię czy kłepę niżli ciężarną partnerkę z jaskini. Wszelkie kulty płodności znane z udokumentowanej historii ludzkiego gatunku odnoszą się do ziemi i zwierząt, a nie ludzi. Krótko mówiąc, ważniejsza była żyzna ziemia i obfitość zwierza, a i to dopiero wtedy, gdy nasz praprzodek osiadł i zaczął gospodarzyć – orać, siał i hodować – co nastąpiło

stosunkowo niedawno, jakieś dziewięć tysięcy lat przed naszą erą.

Zostawiając na boku spory o magiczne znaczenie figurek Wenus, możemy się zgodzić, że większość, jeśli nie wszystkie, daje nam pojęcie o wyglądzie naszych protoplastek. O wyglądzie ich towarzyszy nie wiemy zgoła nic, bo prawie nie ma dzieł wyobrażających mężczyzn. Tylko na malowidłach naskalnych przedstawiających sceny myśliwskie występuje trochę wyraźnie męskich postaci, niektóre przybrane w maski i skóry zwierzęce. Przywdziewano je na polowania, by zmylić zwierza, ale podobne stroje zakładali też szamani i czarownicy w czasie rozmaitych ceremonii. I jeszcze jedno: w dziełach sztuki epoki paleolitu mężczyzn przedstawia się głównie za pomocą symboli fallicznych, co raczej jest ciekawostką, bo niewiele nam to mówi[\*].

Przy założeniu, że w paleolicie nie zdawano sobie jeszcze sprawy z biologicznego udziału ojca w procesie prokreacji, zyskujemy dodatkowy argument przeciwko tezie, że Wenus stanowiła symbol płodności. Znaki falliczne, jeśli cokolwiek wyrażały, to chyba tylko męskość, zapewne wybujałą. Skoro tak, logika podpowiadałaby, że figurki Wenus to nic innego jak wyobrażenie kobiecości – kobiety jako partnerki seksualnej mężczyzny-fallusa.

---

[\*] A jeśli już, to więcej mówi o ekspertach, którzy czegoś takiego dopatrują się zawsze, wszędzie i we wszystkim (por, Freud), nawet w najbardziej neutralnych rzeczach.

## 2. MĘŻCZYŻNA PANEM

**D**wanaście tysięcy lat temu mężczyźni i kobiety posiadli już wiele typowo ludzkich cech i umiejętności, nadal jednak niewiele różnili się od bestii – lwów, wilków czy szakali – jeśli idzie o wpływ na otaczający ich świat. Owszem, nauczyli się myśleć i korzystać z szarych komórek, potrafili wyrabiać narzędzia i sporządzać odzienie, umieli budować szałas, malowali, rzeźbili, przygotowywali jedzenie, ale ciągle pozostawali w totalnej zależności od środowiska. Cały gmach ich życia wspierał się na jednym fundamencie – zasobach pożywienia, jakie dawało naturalne otoczenie, na które nie wywierali żadnego wpływu. Ale szykowała się już rewolucja – jej zacznem było odkrycie, że rośliny można sadzić, a zwierzęta hodować. Gdy nadeszła (w neolicie, czyli młodszej epoce kamiennej), zmieniła wszystko: oblicze ziemi, faunę, florę oraz – a może przede wszystkim – ludzką egzystencję.

Nie była rewolucją w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, nie wyznaczały jej żadne szczególne wydarzenia, które dałoby się umiejscowić w czasie. Był to raczej etap w rozwoju naszego gatunku.

Najwcześniej, bo około roku 9750 p.n.e., zaczął się w Azji Południowo-Wschodniej. Na Bliskim Wschodzie, na terenach najlepiej zbadanych przez archeologów, około roku 8000 p.n.e., w Meksyku tysiąc lat później, na północy naszego kontynentu tuż przed rokiem 5000 p.n.e., a na Wyspach Brytyjskich jeszcze później, bo około roku 4000 p.n.e.

W neolicie ludzie zaczęli osiedlać się na stałe i z myśliwych bądź zbieraczy przekształcali w rolników. Botanicy mogą nam powiedzieć, jakie rośliny zaczęto wtedy hodować. Zoologowie wyjaśniają, jak przebiegało udomawianie zwierząt.

Archeologowie gotowi są pokazać wytwory rąk naszych protoplastów z neolitu – ceramikę zwykłą i bogato zdobioną: misy, dzbany, naczynia, a także figury bogów i królów, którym przodkowie nasi czuli się poddani. W wykopaliskach znajdujemy jeszcze coś, co ma nieocenioną wprost wartość – gliniane tabliczki z przeróżnymi inskrypcjami – dowód, że przodkowie nauczyli się pisać, czytać, rachować, że wymyślili kalendarz, a wraz z nim pewne cykliczne rytuały, że stworzyli prawa i płacili podatki.

Jednego tylko wyraźnie brakuje w owych siedmiu mileniach dzielących zaranie naszego gatunku, gdy życie było „ciężkie, brutalne i krótkie”, od jego rozkwitu, zwanego początkiem cywilizacji. Brakuje mianowicie odkryć.

## REWOLUCJA NEOLITU

Przełom epoki neolitu zaistniał dzięki szczęśliwemu zbiegowi dwóch okoliczności: zmieniającego się klimatu i umysłowości człowieka. Zmiany klimatyczne występowały już wcześniej, i to nieraz. Lodowiec cofał się, klimat łagodniał, ale brakowało drugiego czynnika – ludzkiego.

Okolo roku 11 000 p.n.e. lodowiec po raz ostatni (jak do tej pory) jął się cofać na północ, skutkiem czego na (dzisiejszym) Bliskim Wschodzie utworzył się obszar wspaniałego klimatu, z gorącym latem i deszczową porą zimową, sprzyjający szybkiej wegetacji traw. Otwarte przestrzenie porastały bujnymi kępami dzikiego jęczmienia i pszenicy. Plemię, które trafiało tu w porze, gdy ziarno dojrzało, a kłosa były jeszcze pełne, zyskiwało zapas jedzenia na cały rok. Z co większych pól dziko rosnącego zboża utrzymać się mogło kilka plemion. Koła jeszcze nie wymyślono, zwierząt pociągowych nie było, o transporcie zapasów nie mogło więc być mowy. Logiczne jest, że kto dotarł na miejsce obfitości, zostawał. Tak powstały pierwsze ludzkie osady.

Dzikie pola z czasem ubożały. Kryzysowi mogła zapobiec tylko uprawa ziemi, i tak właśnie się stało. Zbieracze zostali rolnikami. Ściślej rzecz biorąc, nie zbieracze, lecz zbieraczki. Im bowiem, kobietom, przypada zasługa za dziejową zmianę – mało który fakt można tak nazwać. To kobieta pierwsza posiadała wiedzę, będącą podstawą rolnictwa, że roślina powstaje z ziarna. Odkryła tę tajemnicę jeszcze w paleolicie,

nosiła się z nią przez dobrych kilka tysięcy lat, nie umiając spożytkować jej w praktyce, bo do tego potrzebny był umysł bardziej rozwinięty. Wreszcie stało się, a sprawy dopełniła zmiana klimatu.

Taki był początek przemian zgoła rewolucyjnych. Bo zmieniło się wszystko, cały sens życia. Zaczęła się praca i obowiązki, a to oznaczało dyscyplinę, także myślenia, z tego zaś wynikną daleko idące konsekwencje.

Tymczasem trzeba było się zająć tym, co pod ręką, przede wszystkim strzec pól przed czworonożnymi głodomorami. Pod koniec paleolitu człowiek udomowił małego wilczka azjatyckiego, czy niąc zeń psa, Z innymi zwierzętami było gorzej. Ryzyko zbyt duże, skórka zdawała się niewarta wyprawki. Do czasu. Pola, co skusiły ludzi, ściągały także drobniejsze zwierzęta, a te potrafią być żarłoczne. Zwyczajna owca zżera cetnar zielonek w ciągu tygodnia. Zwierzęta trzymały się na obrzeżach pól, ale pustoszyły uprawy. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że lepiej je schwytać i zamknąć w jakiejś zagrodzie, niż bez przerwy odpędzać. Można im było dać nadwyżki, a po żniwach spasać na ścierniskach. Owce i kozy – łagodne z natury – dość łatwo poddają się woli człowieka i tak około 9000 roku p.n.e. rozpoczęło się udomawianie zwierząt, najpierw na terenach dzisiejszego Iraku i Rumunii.

Przez setki tysięcy lat mężczyzna uganiał się za zwierzętami, a kobieta zbierała rośliny. Geny i zwyczajna logika były za tym, żeby nie zmieniać przypisanych płciom ról. Kobieta więc grzebała w ziemi, mężczyzna zajmował się zwierzętami. Socha i pług to niewieści wynalazek – pochodne patyka, którym ongiś kobieta rozgrzebywała ściółkę w poszukiwaniu jadalnych korzonków. Zasługą mężczyzny jest odkrycie, że ze zwierząt można pozyskiwać nie tylko mięso, sadło, runo i skóry, ale także mleko. Ze zsiadłego otrzymuje się ser – cenne uzupełnienie diety. Udomowienie zwierząt miało jeszcze jeden niebagatelny skutek. Mężczyzna nie musiał już wyruszać na łowy, nie musiał uganiać się po leśnych ostępach, wędrować za zwierzem, dbać o kondycję i żyć w ciągłym napięciu. Uwolniony od tego wszystkiego, miał czas. Mógł sobie usiąść i myśleć.

Brzmi to może śmiesznie, ale śmieszne nie jest. Czas na myślenie zaowocował bowiem doniosłymi skutkami. Liczne wynalazki i znakomita większość przemian w życiu społecznym w ciągu siedmiu tysięcy lat między zaraniem neolitu a początkiem udokumentowanej historii mają zdecydowanie męską proveniencję. Co bezczelniejsi historycy tłumaczą ten fakt przyrodzoną przewagą mężczyzn nad kobietami. Feministki



próbują temu zaprzeczać, twierdząc, że wkład kobiet w dzieło postępu jest rozmyślnie pomniejszany, że kobieta doby neolitu została tak upodlona przez mężczyzn, iż w ogóle jej nie słuchano. Odrzucając dzisiejsze emocje i uprzedzenia, wypada jednak stwierdzić, że kobieta neolitu miała zwyczajnie zbyt dużo zajęć i pracy, by zajmować się filozofowaniem. Wszystko było na jej głowie – gospodarstwo, dzieci i młócka, ściślej żmudne, męczące łuskanie ziarna. Mężczyzna zajmował się wyłącznie trzodą, miał więc czas na konstruktywne myślenie – zastanawiał się, dziwił, kojarzył fakty i zjawiska, dochodził do wniosków, na których powstał gmach naszej cywilizacji.

Tak zapewne było, ale obraz trzeba uzupełnić o jeszcze jeden element. Myślenie, pożyteczne samo w sobie, nie zrodziłoby tak wspaniałych owoców, gdyby nie ambicja – mierzenie sił na zamiary i zaufanie we własne siły, a coś takiego właśnie się objawiło, wręcz wybuchło. Człowiek uwierzył w siebie!

## **SKĄD SIĘ BIORĄ DZIECI**

Homo sapiens nie był przybyszem znikąd. Gdy zaczęła się rewolucja neolitu, miał za sobą ponad sto tysięcy lat na tej ziemi. Wiele działał, wiele się nauczył, ale – jakkolwiek trudno w to uwierzyć – nadal nie był świadom podstawowych faktów biologicznych.

Uwierzyć trudno, ale i trudno się dziwić, bo nawet w XX wieku naszej ery ignorancja w tym zakresie jest doprawdy głęboka. Weźmy przykład plemienia Bellonese z Wysp Salomona. Wierzy ono, że dzieci są darem od istot nadprzyrodzonych, czuwających nad przodkami ojców, a stosunek seksualny służy wyłącznie przyjemności. Dopiero w latach trzydziestych chrześcijańscy misjonarze uświadomili im, że jest inaczej. Weźmy australijskich aborygenów. Jeszcze do lat sześćdziesiątych plemiona znad rzeki Tully w Queenslandzie żywiły przekonanie, że ciąża zaczyna się wtedy, gdy kobieta usiadzie na popiele z ogniska, na którym przysły ojciec upiekł rybę. Wedle wierzeń innych aborygenów zapłodnienie następuje wtedy, i tylko wtedy, gdy kobieta spożyje kawałek ludzkiego mięsa. Mieszkańcy Wysp Trobrianda na Morzu Salomona, podpatrując zwierzęta, odkryli związek między kopulacją a powstaniem nowego życia, ale do głowy im nie przyszło, że taki sam mechanizm funkcjonuje u ludzi. Lud Hua z Papui-Nowej Gwinei do dziś wierzy, że

mężczyzna też może zająć w ciążę (jeśli zje oposa – małego miejscowego gryzonia z gatunku torbaczy) i że umrze przy porodzie[\*]. Pewna aborygenka z Australii, gdy uświadomiono ją o roli ojca, odrzekła z pogardą: „On nic!”[1]. Bywa, że osoby świadome biologicznej roli ojca mają kłopoty z ogarnięciem wszystkich związanych z tym subtelności. W Indiach na przykład, i to całkiem współcześnie, dostojny wódz plemienia Sema oświadczył gościowi z Europy, że „to śmieszne zakładać, że ciąża może się rozwinąć po jednym tylko stosunku”[2]. Darwin gotów byłby podzielić ten pogląd bez najmniejszych zastrzeżeń, nie zdawał sobie bowiem sprawy, że do zapłodnienia wystarczy pojedynczy plemnik.

Niektórzy antropologowie uważają te opowieści za bzdurę, wynik nieporozumienia albo wręcz żartów tubylców, którzy kpią sobie z naiwności badaczy z Zachodu. U schyłku XX i zarania XXI wieku – powiadają – seks dla nikogo nie stanowi już tajemnicy.

Nie byłabym taka pewna. Oto w nasyconej mediami Anglii w roku 1977 pewna młoda kobieta, która urodziła czarne dziecko z ojca Murzyna, pisze do znanego kobiecego magazynu list, pytając, czy jeśli wyjdzie teraz za białego, to będzie nadal rodzić czarne dzieci. Boi się, że takie mogą być skutki „czarnej krwi” w jej ustroju. Inna czytelniczka pyta, czy jedna i ta sama pigułka wystarczy, żeby uprawiać bezpieczny seks tak z mężem, jak i kochankiem. Zdarza się, że przeznaczone dla kobiet tabletki antykoncepcyjne łykają także mężowie i kochankowie, wychodząc z założenia, że „ostrożności nigdy za wiele”[3].

W czasach paleolitu ciążę traktowano jako zjawisko z samej swojej istoty naturalne. Kobieta jest w ciąży, bo jest, i nie ma się nad czym zastanawiać. Pod tym względem samice zwierząt i ludzi wcale się nie różniły. Różniły się natomiast pod innym względem i kto wie, czy obserwacja tej jedynej różnicy nie dała początku „studiom” nad biologią rozrodu. Otóż samice ludzi na półkuli północnej, gdzie gatunek ten najpierw zyskał świadomość swej odrębności, różniły się od zwierząt z tej samej półkuli (rzecz nie dotyczy półkuli południowej, przynajmniej nie w takim samym zakresie) tym, że raz w miesiącu zaczynały w tajemniczy sposób krwawić.

## DRUGIE TABU

W czasach prehistorycznych, a i później, jeśli odwołać się choćby do Księgi Powtórzonego Prawa, krew była synonimem życia. Niemal od pierwszej chwili, gdy człowiekowi (niekoniecznie mężczyźnie, bo równie dobrze owa pierwsza mogła być kobieta) zaświtało pytanie: dlaczego?, gdy więc ostatecznie odciął się od swoich małych korzeni, otóż od tego właśnie momentu człowiek jął się zastanawiać nad sprawami życia i śmierci, ciała, krwi i ducha. Łatwo sobie wyobrazić, do jakich dochodził wniosków, bo narzucały się same. Odkrywał, że krew jest niezbędna do życia, a skoro tak, to może jest jego istotą. Krew towarzyszy narodzinom, często też śmierci. W pojęciu naszego praprzodka krew musiała nieść w sobie tajemną moc, skoro dawała życie. Nic dziwnego, że zaczęła odgrywać znaczącą rolę w rozmaitych magicznych obrzędach, i tych związanych z kultem zmarłych, i tych dotyczących bogów i duchów[4].

Krew miała więc znaczenie mistyczne, co oczywiście wpływało na postrzeganie zjawiska menstruacji, a i dziś jeszcze mistyka krwi odbija się echem w debatach wokół statusu kobiet – ich usytuowania względem drugiej płci. Co do pochodzenia tabu związanego z menstruacją więcej jest sporów niż wspólnych poglądów. Jedno wszakże wydaje się pewne, mianowicie że powstało ono raczej na gruncie ignorancji, może lenistwa, a nie z chęci dokuczenia czy upodlenia.

Fizjologiczne mechanizmy owulacji zbadano i rozpoznano stosunkowo niedawno. U zarania dziejów uwagę budziła wyłącznie krew, a ta miała znaczenie magiczne. Człowieka pierwotnego mogła zastanawiać pewna niekonsekwencja. Kojarzył krew z życiem, przeto jej upływ powinien zagrażać zdrowiu. Ale kobieta nie umierała, ba – nawet nie słabła. Krew pojawiała się jakby bez wyraźnej przyczyny, co więcej „rana” nie krzepła, krew płynęła przez kilka dni. Nic takiego nie objawiało się ani u mężczyzn, ani u chłopców, ani nawet u dziewczynek, tylko u kobiet, i to nie wszystkich, ale co młodszych. Sprawa była tajemnicza, a to zawsze rodzi strach. Nic dziwnego, że krew menstruacyjną postrzegano jako coś niezwykłego, obdarzonego szczególną mocą i zaczęto stosować w rozmaitych praktykach magicznych, szamańskich, w eksperymentach alchemicznych, i to jeszcze do niedawna, niemal do końca XVII wieku, a tu i ówdzie (choćby w Tybecie) do dziś.

Z czasem człowiek odkrył, że pojawienie się miesiączki oznacza fizyczną dojrzałość kobiety, że od tej chwili może ona zająć w ciążę. Jednocześnie zanik miesiączki w czasie ciąży wskazywał, że ma to związek z powstaniem nowego życia.

Jeśli za punkt odniesienia przyjąć współczesne ludy na prymitywnym etapie rozwoju, można sobie wyobrazić, że człowiek – mężczyzna – paleolitu mógł zareagować na te doniosłe odkrycia dwojako. Po pierwsze, mogła go ogarnąć zwyczajna zazdrość, że u kobiet występuje taki wyraźny znak osiągnięcia dojrzałości. Chłopcom nie było to dane. Przeciwnie, granica, za którą zaczyna się wiek męski, była nieokreślona, a do męskości w ogóle dochodziło się etapami. Psychologowie, przynajmniej niektórzy, są zdania, że rytuały towarzyszące przyjęciu młodego człowieka w krąg mężczyzn, które odgrywają tak ogromną rolę w życiu plemiennym, zrodziły się właśnie z poczucia zazdrości. Nie chodziło o to, że młody człowiek ma odtąd brać na siebie męskie obowiązki (jak głosi przeważający pogląd), ale o stworzenie jakby męskiego odpowiednika pierwszej miesiączki[5].

Jeśli rzeczywiście rytuał pasowania na mężczyznę miał naśladować pierwszą menstruację, to fizjologia wyklucza wszelkie dalsze analogie. Mężczyzna nie mógł zająć w ciążę, nie mógł dawać życia. Był pewnie taki moment, kiedy uznał, że może uda się i pod tym względem dorównać kobiecie, jeśli tylko sięgnie po krew. Rzeczywiście, większość obrzędów związanych z wejściem w wiek męski ma dość krwawy charakter, a już wyjątkowo krwawe i nader wymowne są praktyki uprawiane przez pewne plemiona, współcześnie żyjące w głębi Australii i na Nowej Gwinei. Otóż część ich rytuału inicjacji polega na tym, iż chłopcu nacina się członek po spodniej stronie, od krocza ku żołądki. Czasami na dwa centymetry, czasami nacięcie biegnie przez całą długość przyrodzenia. Krew toczącą się z otwartej rany nazywa się w języku plemiennym „męską menstruacją”. Można by pomyśleć, że jest to rodzaj żartu, a może kpiny z kobiet, ale tak nie jest, bo tabu nakładane na kobietę w okresie menstruacji odnosi się także do mężczyzn i trwa tak długo, jak długo z pociętego penisa toczy się krew[6].

Nie wiemy i nie będziemy wiedzieć, jak długo mężczyzna pierwotny próbował dobyć ze swych organów płciowych ów specjalny rodzaj krwi, który kojarzył z poczęciem. Legend tyczących tych spraw jest mnóstwo, stale powstają nowe, każde pokolenie ma swoją mitologię. Faktów ustalić się nie da, ale na podstawie mitów i legend, nawet tych odrzucanych przez naukę, możemy stwierdzić, że człowiek zawsze usiłował zgłębić trapiące go pytanie, dlaczego to właśnie kobiety rodzą dzieci. Odpowiedzi nie znajdował, co jak każdy bezowocny wysiłek musiało rodzić frustrację. Frustracja z kolei często daje początek niechęci czy nawet obrzydzenia.

Mistyka krwi, a także zwyczajna ignorancja sprawiły, że mężczyzna zaczął unikać kobiet w czasie menstruacji, izolował się od nich, bo tak podpowiadał rozsądek – od nieznanego lepiej trzymać się z daleka – a kobieta zapewne nie protestowała.

Wiele wskazuje na to, że musiała przyłożyć rękę do powstania tabu, bo nie mogło się ono zrodzić wyłącznie z męskich uprzedzeń. Może uznała, że nie ma się o co spierać, a może doceniła wartość kilku dni wolnych od zwykłych zajęć. Nie da się też wykluczyć, że ją samą menstruacja napawała przerażeniem. Przez większość dorosłego życia kobieta paleolitu albo nosiła w sobie płód, albo karmiła. W czasie ciąży i laktacji miesiączka nie występuje. Tak więc menstruacja była stosunkowo rzadkim zjawiskiem. (Tabu związane z menstruacją przybierało w dziejach rozmaite formy, w skrajnych wypadkach wręcz okrutne. Nierzadko miesiączkującą kobietę traktowano jak czarownicę. Najczęściej jednak postrzegano ją jako istotę nieczystą, niekoniecznie – dodajmy – w sensie mistycznym. I nie ma się co dziwić. Higiena ma krótką historię, a regularne mycie ciała do dziś nie jest czynnością powszechną.)

Jakakolwiek była geneza tabu związanego z menstruacją, nie przyniosło ono kobietom żadnych korzyści. Niektórzy antropolodzy twierdzą, że człowiek pierwotny postrzegał prokreację w kategoriach cudu (co jest tezą dość ryzykowną; egzaltacja bardziej kojarzy się z disneyowską Królową Śnieżką niżli z jaskiniowcem dygocącym z zimna w pieczarze na skraju lodowca), przeto w tabu związanym z menstruacją wyraża się nabożny stosunek do kobiety jako nosicielki życia. Rozwijając tę myśl, twierdzą, że w izolacji osoby, która gwarantuje przetrwanie gatunku, wyraża się szacunek, a nie przygana. Izolacja była więc przywilejem, a nie karą[7]. Wątpliwy to pogląd, jeśli zważyć, że menstruacja jest zaprzeczeniem ciąży, a co ważniejsze, poród postrzegano pierwotnie w kategoriach naturalnych czynności fizjologicznych. Skoro tak, gdzie tu miejsce na egzaltację! Kobieta rodzi, bo rodzi, i nie ma się czym zachwycać. Rację mogą mieć współczesne bojowniczkę o prawa kobiet wyrażające pogląd, że tabu, gdy już zaistniało, stało się instrumentem dyskryminacji kobiet[8]. Mężczyzna, który w neolicie zdobył dominującą rolę, korzystał z każdej okazji, aby tę pozycję umacniać.

Nie wiadomo, kiedy i jak mężczyzna odkrył, że bez jego udziału płód nie powstanie, że kobieta sama z siebie nie jest w stanie wydać na świat potomstwa. Niewykluczone, że stało się to na początku neolitu. Ważniejsze są konsekwencje. Otóż odkrycie to umocniło jego niechętny stosunek do menstruacji. Skoro nasienie jest

katalizatorem procesu, którego finałem jest narodzenie dziecka, to menstruacja świadczy, że życie, które mężczyzna złożył w łonie kobiety, zostało zmarnowane. Menstruacja stanowiła więc obrazę męskiej dumy, dowód zlekceważenia jego ojcowskich wysiłków.

## MEŹCZYŻNA – OJCIEC

Model życia codziennego w paleolicie, kiedy kopulacje były częste, ciąża niemal permanentna, kiedy jedynym kalendarzem był księżyc, a dziewięć miesięcy w stosunku do długości życia – prawie tak długie jak dziś dwa lata, nie sprzyjał odkryciu roli mężczyzny w prokreacji. Teoretycznie do odkrycia takiego mogło dojść już nazajutrz po awansie naszych protoplastów do gatunku homo sapiens, ale za tą teorią nie stoją żadne dowody. Mężczyzna paleolitu żył zapewne w nieświadomości swego udziału w dziele zachowania gatunku.

Za tym, że odkrycie to dokonało się w neolicie, a ściślej w jego pierwszej fazie, przemawiają trzy okoliczności. Po pierwsze, z początkiem neolitu mężczyzna uzyskuje wyraźnie dominującą rolę w społeczeństwie; wcześniej obie płci miały te same prawa. Po drugie, jeśli przyjąć, że do tego odkrycia przyczynił się czynnik zewnętrzny, to zapewne była nim obserwacja zwierząt hodowlanych. Pierwszymi zwierzętami, które człowiek przysposobił do hodowli, były kozy lub – co bardziej prawdopodobne – owce. Hodowca nie musiał nawet mieć szczególnie wyrobionego zmysłu obserwacji, by zauważyć, że owce oddzielone od tryków nie dają mleka i nie rodzą jagniąt i że sprawy mają się inaczej, gdy w stadzie znajdzie się samiec. Dzięki udomowieniu zwierząt człowiek po raz pierwszy zyskał możliwość stałej obserwacji jednych i tych samych egzemplarzy. Musiał więc zwrócić uwagę na kilka prostych faktów, choćby na to, że między kryciem a miotem istnieje ścisły związek i że między kryciem a cieleniem się zwierząt upływa określony czas. Prawdziwym zaś szokiem w sensie psychicznym musiało być dlań odkrycie, że jeden tryk może pokryć kilkadziesiąt owiec. Cóż to za potęga! A skoro dana jest trykowi, to jakaż musi być jego, mężczyzny, moc!

Najbardziej znacząca wydaje się trzecia okoliczność, choć też budzi wiele wątpliwości. Otóż przez siedem tysięcy lat neolitu na dzisiejszym Bliskim Wschodzie

mężczyzna zdominował kobietę, wyrósł na prawdziwego despotę. Korzenie tego zjawiska tkwią zapewne w fakcie, że zajmował się trzodą i zwierzętami pociągowymi, kontrolował więc podstawowe filary gospodarki. Miał także czas, żeby myśleć. Był wojownikiem i dbał o bezpieczeństwo. Gdyby jednak gmach męskiej supremacji wspierał się wyłącznie na tych fundamentach, nie byłby tak solidny i trwały, jakim się okazał. Musiał więc zaistnieć jeszcze inny czynnik. Pewność siebie, arogancja, władczość – cechy charakteryzujące mężczyznę u schyłku neolitu i zarania udokumentowanej historii ludzkiego gatunku – miały mocniejsze korzenie niż tylko poczucie własnej wartości płynące z dobrze wykonanej pracy. Otóż jak prorocy ze Starego Testamentu, jak święci z Nowego Testamentu mężczyzna doznał objawienia. Objawieniem była dlań jego własna rola w prokreacji, walny udział w dziele tworzenia nowego życia, czego mu do tej pory odmawiano. Poczul się więc mocny i silny jak nigdy.

Mógł oto, patrząc na dziecko, stwierdzać: mój syn, a o kobiecie powiadać: mojażona. Skoro syn miał być jego, i tylko Jego, kobieta nie mogła mieć innych partnerów. Jej swoboda seksualna została więc radykalnie ograniczona. Mężczyzna, jeśli chciał i jeśli było go na to stać, mógł sobie pozwolić na harem, kobieta musiała być wierna jednemu partnerowi.

Jeśli pragnęła dochować wierności, nie było problemu. W innych wypadkach mężczyźni pozostawały rozwiązania – nazwijmy to – siłowe, a więc przemoc fizyczna bądź psychiczna. Model wzajemnych stosunków mężczyzn i kobiet zależał w znacznym stopniu od typu społeczności, do których należeli.

W czasie rewolucji neolitu rozwinęły się dwa takie typy społeczności: rolnicza i pasterska. Pierwsza wiodła życie osiadłe. Rolnik staje się zakładnikiem ziemi, która go żywi, i źródeł wody, bez której nie ma upraw. Żyje z tego, co wyhoduje na polu, trzoda ma mniejsze znaczenie. W tego typu społecznościach pierwszorzędną rolę odgrywały zrazu kobiety, ale sytuacja zmieniała się, gdy człowiek zaczął udomowiać i hodować bydło, co nastąpiło około roku 6000 p.n.e. Rychło też nauczył się, jak prostym zabiegiem chirurgicznym przemieniać byka w wołu, czyniąc zeń zwierzę pociągowe – pierwszą „maszynę”, która odegrała w dziejach naszego gatunku równie doniosłą rolę jak maszyna parowa. Zwierzęta były domena mężczyzny. To on wykastrował byka, zaprzął go do sochy, a później do pługa, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Wojownik, myśliciel, nosiciel nasienia i hodowca zwierząt wkroczył



na obszar należący do tej pory do kobiety. Stał się ekspertem produkcji roślinnej, i to znacznie lepszym niż jego partnerka, bardziej twórczym. Eksperymentował, przecierał nowe szlaki, stawał się wynalazcą i prainżynierem. Nawet jeśli jego rzeczywisty wkład w życie wspólnoty niewiele przewyższał wkład kobiet, to (świadomie lub nie) nadawał mu większą rangę. Z pracą jest jak ze sprawiedliwością, im o niej głośniejsze, tym wydaje się rzetelniejsza, a o pracy mężczyzny mówiło się więcej i była bardziej widoczna niż praca kobiet. Mimo tych nowych okoliczności kobiecie w społeczeństwie rolniczym udawało się zachować coś z dawnego poczucia własnej wartości i godności.

W społecznościach pasterskich sprawy miały się inaczej. Plemiona pasterskie były szalenie ruchliwe. Przemieszczały się wedle pór roku po bezkresnych równinach Azji Środkowej i po węższym, ale żyzniejszym pasie pastwisk w północnej części kontynentu europejskiego. Według niektórych teorii plemiona koczownicze wywodzą się od paleolitycznych szczepów myśliwskich, według innych koczownicy to ci, którym nie udało się na roli, albo ci, dla których zabrakło miejsca – pola nie wszystkich mogły wyżywić, „Nadliczbowych” wypędzano ze społeczności osiadłych. Życie koczowników zależało od stada, a stadem zajmowali się mężczyźni. Siłą rzeczy im przypadała rola dominująca, a kobiety stanowiły jakby część inwentarza. Nie przypadkiem dzisiejsze, zorientowane na mężczyzn zachodnie społeczeństwa doszukują się swoich moralnych i filozoficznych korzeni wśród koczowniczych plemion hebrajskich, a współcześni Hindusi wywodzą swoją historię od indoeuropejskich pasterzy z Rigwedy.

## **EKSPLOZJA DEMOGRAFICZNA**

Ludzką populację w dziesiątym tysiącleciu przed naszą erą ocenia się na mniej więcej trzy miliony. Siedem tysięcy lat później liczba ta wzrosła do stu milionów[9]. Jeśli w paleolicie (40 tysięcy lat przed naszą erą), w rejonie gór Zagros na południowym zachodzie dzisiejszego Iranu na 50 kilometrów kwadratowych przypadała jedna ludzka istota, to w połowie szóstego tysiąclecia przed naszą erą już pięćset osób[10].

Była to prawdziwa eksplozja demograficzna, ale nie wynikała z ojcowskich zapędów mężczyzn, którzy właśnie odkryli swoją rolę w prokreacji, lecz z zasadniczej

poprawy poziomu wyżywienia. Właśnie obfitość jadała, która zapoczątkowała i nadała zasadniczy kształt rewolucji neolitu, miała decydujący wpływ na wzrost populacji. Przestały funkcjonować dawne mechanizmy ograniczające przyrost naturalny, zastąpiły je inne, sprzyjające ekspansji ludzkiego gatunku. Więcej dzieci to więcej rąk do pracy na polach, a w konsekwencji jeszcze większe plony. Lepsza dieta to większa płodność kobiet, mniejsza śmiertelność niemowląt, a także – choć wskaźnik nadal nie był imponujący – wydłużenie życia, U zarania neolitu „statystyczny mężczyzna”, mieszkający na obszarze dzisiejszego Maroka, żył przeciętnie 33 lata, kobieta – 28. W szóstym tysiącleciu przed naszą erą mieszkaniec Catal Huviiik w (dzisiejszej) tureckiej Anatolii, który dożył w jakim takim zdrowiu osiemnastych urodzin, mógł spodziewać się, że dotrwa do 34 roku życia, a jego rówieśnica – do 30 roku. Mieszkaniec Cypru kilkaset lat później dożywał słusznego wieku 35 lat, a jego partnerka – 33[11]. Jak widać, kobieta wyniosła więcej korzyści z nowej, bogatszej diety, lepiej odżywiona, lepiej znosiła ciążę. Każdy dodatkowy rok jej życia przekładał się na wzrost liczby lat płodnych. Sądząc po wykopaliskach w Catal Huviiik, dzietność kobiet sięgała czwórki pociech.

Zmiana klimatu sprzyjająca produkcji rolnej, a w konsekwencji obfitość pożywienia otworzyły przed człowiekiem nowe horyzonty. Pozwalały na migracje nowego typu – świadome, z wyboru, a nie jak dawniej, gdy w pogoni za umykającą zwierzyną człowiek odkrywał nowe ziemie, jak choćby azjatyccy łowcy, którzy przez Cieśninę Beringa zapuścili się do Ameryki. W neolicie człowiek przemieszczał z mniej do bardziej żyznych okolic, a gdy robiło się ciasno, jeszcze dalej.

Wykopaliska w Catal Huviiik wskazują, że miejscowa ludność składała się z trzech typów: euroafrykańskiego, protośródziemnomorskiego i alpejskiego[12]. Całkiem niezła mozaika jak na tak wczesny okres rozwoju naszego gatunku! Handel już się rozwijał, przeto wśród osiadłych społeczności spotykało się tych, co widywali obce ziemie, a może nawet przywozili sobie cudzoziemskie niewiasty.

Kupcy z południowej Grecji wyprawiali się aż do Melos – wyspy odległej od ich siedzib o dobre 120 kilometrów. Kusił ich obsydian – szkliwo wulkaniczne. Obsydian, ale już ze wschodniej Turcji, obok muszli z Zatoki Perskiej oraz turkusów z północnego wschodu, stanowił główny towar sprowadzany przez mieszkańców równin w południowo-zachodnim Iranie[13].

Migracja i handel sprzyjały kontaktom międzyludzkim na skalę dotychczas nie

znaną. Genetyczna różnorodność oraz lepsza dieta, a także wiara we własne siły wydały na świat nowe pokolenie gatunku homo sapiens – liczniejsze i znacznie bardziej dynamiczne.

## **BOGINI, ALE TAKA SOBIE**

Człowiek tworzy sobie bogów na własny obraz i podobieństwo. Status boga zależy od statusu wyznawcy, o czym przekonały się plemiona, które w neolicie jęły przemieniać się w mieszkańców osad, wiosek, wsi i na koniec miast. Dla niektórych było to bolesne doświadczenie.

Rola bóstw pierwszej rangi przypadła, rzecz jasna, bogom silniejszych plemion. Bóstwa słabszych zajęły miejsce w drugim szeregu, stając się patronami poszczególnych dziedzin czy obszarów życia. Ale dla wszystkich znalazło się jakieś miejsce. Bogowie księżyca, mądrości, wody, boginie lata, urodzin czy owoców ziemi pospołu ze swymi boskimi krewnymi i pociotkami, krótko mówiąc – wszyscy, otrzymali stosowny przydział do ówczesnego panteonu.

Był to swoisty polityczny kontrakt. Podpowiedziało go samo życie, a dokonał się pod koniec neolitu, gdy powstawały nowe struktury społeczne. Niestety, nie poznamy wierzeń i życia religijnego wcześniejszych społeczeństw, bo nie sposób dziś dojść pochodzenia bogów sprzed początku cywilizacji. Tę datujemy od Sumerów, pierwszego ludu, który posługiwał się słowem pisanym. W piaskach Mezopotamii zachowało się nawet sporo glinianych tabliczek z pismem klinowym sprzed pięciu tysięcy lat, ale to o wiele za mało. Niektóre tabliczki nadgryzł żab czasu, w pasjonującym serialu o bóstwach i bogach brak więc wielu odcinków.

Kiedy bóstwa jęły wstępować na scenę historii, każde miało imię, określoną specjalność oraz osobowość, nierzadko bardzo ciekawą, czasami wręcz ekscentryczną. Ale przeszłość spowita jest zasłoną tajemnicy równie gęstą jak ta, co otacza ludy, które bóstwa powołały do życia. Z pewnością musiały istnieć bóstwa uosabiające niebo i morze, słońce i księżyc, deszcz i ziemię. Różne plemiona zapewne różnie je sobie wyobrażały. W Catal Hüyük w Anatolii na miejscu dawnej świątyni z około 6000 roku p.n.e. odkryto relief, który może świadczyć o kulcie płodności w neolicie. Przedstawia trzy bycze głowy, umieszczone pionowo, jedna nad drugą; nad

nimi widnieje postać kobiety z rozłożonymi rękami i nogami, z której łona wylania się bycze ciele[14].

Bardziej wyraziste niż sami bogowie są związane z nimi mity.

Istnieje ich wiele, stanowią nieodłączną część dziejów religii, towarzyszyły jej od początku. Są w podaniach odniesienia do autentycznych wydarzeń, choćby wojen czy powodzi, są także pierwsze próby wyjaśnienia zjawisk, których istoty człowiek nie umiał zgłębić, jak choćby mechanizmów rządzących wszechświatem. Wyraźnie górują zwłaszcza dwa mity: mit tyczący kreacji, powstania świata, i mit odrodzenia. Oba występują w niemal wszystkich znanych systemach religijnych.

Trudno powiedzieć, który z mitów ma starszą proveniencję, ale ciekawe jest, iż mit o kreacji (a więc o magicznym stworzeniu nieba, ziemi, człowieka, zwierzęcia, ptaka i ryby) funkcjonował szerzej wśród plemion myśliwskich, a później pasterskich. Mit odrodzenia (stanowiący próbę zrozumienia corocznego ożywienia przyrody) utrzymywał się raczej w społecznościach rolniczych. Jest w tym pewna logika. Rolnik czeka kresu zimy i nadejścia wiosny, gdy ziemia zaczyna cudownie ożywać.

Przez trzy tysiące lat udokumentowanej historii plemiona koczownicze wielokrotnie najeżdżały na rolnicze ludy Mezopotamii, Egiptu czy północno-zachodnich Indii. Niezależnie od tego, czy wyprawa miała charakter krwawy, czy obywało się bez przelewu krwi, dalekosiężny skutek był zawsze ten sam, bo przewaga należała do bardziej dynamicznych, bardziej przedsiębiorczych, wykarmionych na mięsie przybyszów. Narzucali oni osiadłym oraczom swój ustrój eksponujący rolę mężczyzny i swoje wierzenia, także podkreślające znaczenie mężczyzn. W różnych miejscach procesy te przebiegały różnie. Wiara przybyszów mogła wręcz wyprzeć wiarę zastanej społeczności, ale bywało, że obie religie przenikały się.

Wedle najwcześniejszego ze znanych nam mitów o stworzeniu, sumeryjskiego, którego zapis niestety zachował się tylko we fragmentach, świat wziął swój początek od bogini Nammu („morze”). Ona bowiem sama jedna zrodziła niebo i ziemię. Kilka pokoleń później, po trzech najazdach ludów koczowniczych, zrab mitu pozostał w istocie taki sam, ale rola Nammu (teraz pod imieniem Tiamat, „ocean słonej wody”) została wyraźnie ograniczona. Nie działa już ona w pojedynkę, ale wspólnie z Apsu – „oceanem słodkiej wody” – i z tego związku zrodzili się bogowie, ale także demony, ludzie-skorpiony oraz centaury. Nammu-Tiamat zginęła z rąk bohaterskiego boga Marduka, który zgładził ją za pomocą pioruna, huraganu i ognia, przeciął na pół,

otworzył jak ostrygę i z jednej części stworzył niebo.

W nowym, uzupełnionym micie zamiast dawnej bogini-stworzycielki pojawia się bóg – bohaterski Marduk. Dociekając źródeł nowej wersji, możemy wskazać na kilka momentów. Po pierwsze, stosunki społeczne w Babilonie (stamtąd wywodzi się mit o Marduku) po kolejnych podbojach nomadów sprzyjały pozycji mężczyzn, po wtóre, sam Marduk jest – można by rzec – bogiem z awansu. Wylansował go zdobywca, wielki król nomadów Hammurabi. Wcześniej Marduk był bóstwem drugiego planu.

W rzeczy samej, za sprawą polityki większość mitów poddawano wielokrotnym rewizjom i korektom. Traktowano je instrumentalnie.

Bogowie i boginie zamieniali się rolami, inne też stawały się ich wzajemne układy, a przyczyną tego nie była bynajmniej utrata popularności tego czy innego bóstwa. Awansował ten bóg, który reprezentował potężniejsze miasto-państwo czy społeczność. Tracił ten, za którym stała słabsza siła polityczna.

Wiele, i to potężnych, miast-państw miało swoje boginie, żadna jednak nie sytuowała się na szczycie panteonu. Owszem, w licznych mitach o stworzeniu świata mówi się o związku, małżeństwie, bogini niebios z bogiem ziemi. Można to przyjąć za pewien kompromis między pierwotnymi wierzeniami nomadów i wiarą ludów osiadłych.

Częściej jednak w roli stwórcy niepodzielnie występuje bóg-mężczyzna. W starożytnym Egipcie system wierzeń miał dość płynny charakter, w konsekwencji istniało wiele wersji stworzenia świata. Wedle jednych początkiem wszystkiego był kosmiczny coitus, wedle innych boski fiat, a wedle jeszcze innych zaczynem był akt masturbacji (w czym wyraża się świeżo nabyta wiedza o mocy nasienia).

Według najstarszych kronik koczowniczych plemion indoeuropejskich, przemierzających równiny dzisiejszych Indii, świat powstał ze świętego pierwiastka purusza – pramężczyzny. Kananejczycy stworzenie przypisywali Jahwe. Mocą jego słowa, bo ono było na początku, z chaosu wyłonił się świat. Żaden ze znanych mitów o stworzeniu, z wyjątkiem niekompletnego zapisu sumeryjskiego, nie czyni szczególnych koncesji dla kobiet.

Nieco inaczej rzecz się ma z mitami o odrodzeniu. Pobrzmiewa w nich echo czasów, gdy kobieta uchodziła za wyłączną rodzicielkę i gdy tylko ona zajmowała się uprawą ziemi. Jako bogini płodności dość dzielnie stawiała czoło drapieżnym bogom nomadów, ale w końcu doznała klęski. W najstarszych sumeryjskich mitach o

odrodzeniu występuje bogini Inanna, Co pewien czas opuszcza świat, udając się do podziemia. Pod jej nieobecność ziemia niczego nie rodzi. Ale Inanna jest postacią wyjątkową, bo we wszystkich innych źródłach na jej miejscu pojawia się bóg mężczyzna. Ani w mitologii sumeryjskiej, ani babilońskiej, egipskiej, ugaryckiej, ani też hetyckiej czy hebrajskiej – słowem, w całej mitologii bliskowschodniej – nie ma żadnej opowieści, w której bogini występowałyby w pierwszorzędnej roli. Owszem, w panteonach są kobiece bóstwa. Niektóre, jak choćby babilońska Ishtar (wcielenie wcześniejszej Inanny), krwiożercza kananejska Anat czy cierpliwa Izis z Egiptu, mają przypisaną dość ważną rolę, ale żadna nie dorównuje znaczeniem przedstawicielom drugiej płci: Dumuziemu, zwanemu również Tammuzem, Baalowi i Ozyrysowi – głównym bóstwom urodzaju. Gdy oni, bogowie, zstępują do podziemi, ludziom zagraża głód, gdy wracają na powierzchnię, ziemia znów zaczyna rodzić. Tylko w kulturze chińskiej bogini występuje jako współtwórczyni świata. W chińskich wierzeniach pojawia się postać Wielkiej Matki, obdarzonej nieskończoną siłą witalną, z której – w czasie stosunku – czerpią jej partnerzy, ich bowiem siły witalne wymagają ciągłego uzupełniania.

Wróćmy jednak do Europy. Istnieje dość rozpowszechniony błędny pogląd, że w starożytnej Grecji kobiety zyskały wreszcie wybitne miejsce w panteonie bóstw. Świadczyć o tym mają zabytki kultury minojskiej – wizerunki Bogini Matki z wykopalisk na Krecie. Za mało jednak wiemy o ówczesnych wierzeniach, aby jednoznacznie przesądzać o roli i pozycji kobiet w hierarchii bóstw. W późniejszym okresie pojawia się Demeter – Matka Ziemia – córka Kronosa i Rei.

W rzeczywistości to ledwie bogini ziarna, prawdziwym zaś bogiem płodności był Adonis. W imperium rzymskim popularne były Izyda i Kybele, ale nie należały do ścisłej czołówki bóstw, W ogóle koncepcja Wielkiej Bogini jest produktem czasów wiktoriańskich. Właśnie wtedy pojawiły się nowe dyscypliny – antropologia i archeologia, ówczesny zaś obyczaj wyniósł kobietę, zwłaszcza matkę, na wyjątkowo wysoki piedestał. Wedle tej miary dziewiętnastowieczni badacze analizowali dawne systemy politeistyczne i na nowo pisali historię. Prawdą jest, że wiktoriańskie damy traktowano ze szczególną rewerencją, ale władzy nie miały żadnej i to zjawisko odbija się echem w dziełach wiktoriańskich historyków. Ich boginie są dokładnie takie same – otoczone chwałą, ale bez realnych wpływów.

W czasach rzymskich idea Wielkiej Bogini straciła jakiegokolwiek znaczenie,

zmieniły się bowiem społeczne funkcje religii. Z jednej strony religia została wmontowana w system władzy, z drugiej – wierzeniami kupczono jak nigdy dotąd. Różne kulty mnożyły się jak grzyby po deszczu, wyrażając gusty, pragnienia i frustracje zainteresowanych. Kapłani, jak dzisiejsi właściciele nocnych klubów, byli gotowi odpowiedzieć na każdy obstalunek. Dziś, gdy jest takie zapotrzebowanie, najmuje się striptizerki, w tamtych czasach tworzono stosowne kulty damskich bóstw.

Gdy nasza cywilizacja zdołała wreszcie okrzepnąć, „czysta” religia i wiara płynąca z potrzeby ducha odeszły w przeszłość. Miejsce Najwyższego bądź Najwyższej zajęli kapłani i władcy. W społecznościach politeistycznych – de facto we wszystkich poza Hebrajczykami i wyznawcami Zaratustry – o statusie poszczególnych uczestników i uczestniczek panteonu decydowała polityka i – używając dzisiejszej nomenklatury – polityczny marketing, a nie wiara jako taka.

Gdy sytuacja się zmieniła i religia wzięła górę nad polityką, na szczycie znalazło się miejsce dla jednej tylko boskiej postaci i nie jest nią – jak wiemy – kobieta.

Jeśli kiedykolwiek w dziejach i pradziejach naszego gatunku Opatrzność miała cechy kobiece, to chyba tylko w neolicie, gdy kobietę postrzegano jako jedyną nosicielkę życia i gdy odgrywała ona pierwszorzędną rolę w systemie gospodarczym, będąc jedyną specjalistką od uprawy ziemi, i gdy mężczyzna jeszcze się sobą nie zachwycał[15].

---

[\*] Wierzenie ma związek z objawami chorób wywołanych dietą ubogą w węglowodany, a obfitującą w proteiny. Spożycie opsa może wywołać puchlinę żołądka i rzeczywiście doprowadzić do zejścia.

## CZEŚĆ DRUGA

---

# BLISKI WSCHÓD, EGIPT I EUROPA

### 3000 p.n.e–1100 n.e.

---

*Mężczyzna uznał się za istotę doskonalszą od kobiety pod każdym względem, co rychło znalazło odbicie w prawach i obyczajach. W najwcześniejszych historycznie cywilizacjach, a więc tych, które rozwinęły się na Bliskim Wschodzie, kobietę sprowadzono do roli przedmiotu. Stanowiła najpierw własność ojca, potem męża, na koniec syna. Ale sytuacja kobiet nie została jeszcze ostatecznie przesądzona, prawa bowiem dopiero się kształtowały, a proces nie był łatwy.*

*Z jednej strony wpływały nań interesy polityczne mężczyzn, z drugiej – religia z licznymi bóstwami. W starożytnej Grecji, której kultura przynajmniej w części wywodziła się z tradycji Bliskiego Wschodu, hetery – wykształcone kurtyzany – odnosiły triumfy nad pederastami. Wynoszone na piedestał rzymskie matrony wywalczyły sobie tak znaczny margines swobody, że wstrząsnęły całym imperium.*

*Wszystkiemu jednak położył kres wywodzący się z Bliskiego Wschodu monoteizm, zwłaszcza religia Hebrajczyków, którzy nie czynili różnicy między prawami boskimi a świeckimi. Pięcioksiąg to kompilacja obyczajów Bliskiego Wschodu i przykazań danych na Synaju. Za jednymi i drugimi stał autorytet Boga, przeto były obowiązującym prawem. Stosunki społeczne wykreowane jeszcze w neolicie umocniły się i ostatecznie utrwały, gdy władzę nad Zachodem przejął po Rzymie Kościół chrześcijański, wzniesiony na solidnych, hebrajskich fundamentach. Wzajemne usytuowanie kobiet i mężczyzn skamieniało w otocze tradycyjnych obyczajów hebrajskich jak muszka w bursztynie. Do dawnych uprzedzeń rodem z Bliskiego Wschodu Ojcowie Kościoła dodali nowe. Seks stał się grzechem, a homoseksualizm zagrożeniem dla państwa.*



### 3. PIERWSZE CYWILIZACJE

Całkiem niedawno uczeni pracujący nad pierwszym pełnym słownikiem Sumerów natknęli się na prawdziwą zagadkę translatorską – zdanie o przedziwnej treści. Biedzili się tygodniami, próbowali różnych metod, ale tajemniczy zapis za każdym razem układał się w zdanie: „Położył gorącą rybę na jej pępku”<sup>[1]</sup>.

Błąd w sztuce? Niewykluczone, Ale w języku kochanków z różnych epok pępek ma wiele erotycznych znaczeń, a gorąca ryba też nie powinna budzić zdziwienia, jeśli potraktować ją jako miłosny rekwizyt, którego nowomodnym odpowiednikiem bywa choćby kostka lodu. Równie dobrze „gorąca ryba” może być sumeryjskim eufemizmem – synonimem słowa „penis”. W każdym zresztą języku jest ich pełno. W dziewiętnastowiecznej angielszczyźnie funkcjonowały na przykład określenia: „gęsia szyjka”, „ruchliwy króliczek”, „kiełbaska” czy nawet „gorący pudding”.

Jeśli Sumerowie mieli pod tym względem uboższe słownictwo i intymne stosunki męsko-damskie pomijali milczeniem, to określenia dotyczące wzajemnego usytuowania mężczyzn i kobiet w społeczeństwie są wielce wymowne i świadczą o uprzywilejowanej pozycji tych pierwszych. Weźmy choćby słowa dingir i dngir.ama – bóg i bogini. To drugie w dosłownym przekładzie znaczy: bóg matka. Podobnie dumu-syn oraz dumu.mi – córka, dosłownie: syn kobieta. Niewykluczone, że mamy do czynienia ze skrótami, że wcześniej funkcjonowały nieco dłuższe i nie zawierające elementu dyskryminacji określenia „bóg ojciec”, „syn mężczyzna” jako męskie odpowiedniki „bóg matka” i „syn kobieta”. Być może skrót pojawił się dopiero w języku pisanym. Pismo klinowe, a takie wymyślili Sumerowie, wygodne nie jest. Z punktu widzenia skryby, co siedział z rylcem w dłoni nad wilgotną tabliczką z gliny,

każdy skrót był błogosławieństwem, ale tak czy owak fakt, że z dwóch rodzajników zachował się tylko żeński, wiele mówi o stosunkach w Sumerze.

Jeszcze wymowniejszy pod tym względem jest młodszy od sumeryjskiego język akadyjski. Należy do języków fleksyjnych, a więc takich, w których o funkcji słowa decyduje jego końcówka. Syn po akadyjsku to mar-u, córka – marn-t-u. Podobnie brat to oh-u, siostra – ah-at-u. Nawet tali jednoznaczne i z samej natury żeńskie słowo jak sinnish-t-a, kobieta, którego rdzeń – sinnish – nie może budzić żadnych wątpliwości, wyposażono w żeński morfem „t”. W akadyjskim występowały tylko dwa rodzaje – męski i żeński, i tylko ten drugi wyróżnia się specjalnym afiksem[2].

Język to ważna wskazówka. Wyrażają się w nim obyczaje i prawa ludów, które go stworzyły i nadały kształt społecznościom posługującym się nim. Społeczności Sumerów, starożytnych Egipcjan, a później Hebrajczyków kształtowały się wyraźnie pod męską ręką.

Nasz gatunek ma obsesję na punkcie klasyfikacji, zamiłowanie do ładu i porządku, dzięki czemu nastąpił rozwój cywilizacyjny, zwłaszcza postęp nauki i techniki. Ale to samo zamiłowanie zaważyło jednocześnie negatywnie na stosunkach międzyludzkich, gdy zaczęliśmy się szeregować według koloru skóry, rasy czy płci, wprowadzać rozmaite kategorie, grupy, szukać wspólnych mianowników, co było wygodne z politycznego punktu widzenia. Lecz z pola widzenia umknął nam człowiek – jednostka ludzka, która żyje i umiera, kocha i nienawidzi, włada bądź poddaje się władzy. Oczywiście rządzić można tylko zorganizowaną społecznością. Nie da się przykrawać praw do potrzeb poszczególnych jednostek, podobnie jak nie da się analizować historii bez uciekania się do uogólnień. Uogólnienia bywają jednak zwodnicze. Jeśli, uogólniając problem, stwierdzimy, że w znakomitej większości społeczeństw w przeszłości i dziś mężczyzna odgrywał i odgrywa rolę dominującą, będzie to prawda, tyle że zubożona o wszystko, co działo się i dzieje w stosunkach męsko-damskich na poziomie jednostki. A tam zawsze iskrzyło. Dowiemy się o tym tylko wtedy, gdy weźmiemy pod lupę losy nie ogółu, ale jednostek. Kłopot w tym, że źródeł do takiej analizy – biografii i autobiografii – przetrwało niewiele.

Obyczaj, prawo i klimat społeczny na Bliskim Wschodzie w okresie, gdy rozwijały się najstarsze ze znanych nam cywilizacji, faworyzowały mężczyzn pod każdym względem. Kobiety przywiązano do domu, zamknięto w rodzinie, nie pozwalano im nawet ukazywać się obcym, zniewolono więc fizycznie i psychicznie. Tak to można

uogólnić, ale przecież i wtedy nie wszystkie kobiety dały się spętać, bo niektóre, silniejsze duchem, potrafiły nawet w tych warunkach realizować swoje własne ambicje i cele, narzucać swoją wolę mężom i dzieciom. Musieli też być mężczyźni, którzy na to przystawali, często dla świętego spokoju i rzadko otwarcie.

Ale w historii, tej najwcześniejszej, zapisała się tylko garstka kobiet. Około trzeciego tysiąclecia przed naszą erą, za czasów I dynastii, Egipcem rządziła królowa Mervetnit. Uważa się, że właśnie ona odegrała istotną rolę w zjednoczeniu Starego Państwa, a w każdym razie w rozładowaniu napięcia politycznego po zjednoczeniu. Tysiąc pięćset lat później, za czasów XVIII dynastii, ster rządów w Egipcie objęła inna dama, wdowa – królowa Hatszepsut. Panowała w latach 1505–1480 p.n.e. Podnosi się zwłaszcza jej zasługi w rozwoju handlu. Artyści zwykle przedstawiali królową w męskim stroju, w męskich pozach, a nawet z symboliczną brodą[3], co zapewne dyktowała polityka. Inne wybitne kobiety starożytnego Egiptu to Teje, Nefretiti. Arsinoe, Berenika i Kleopatra. W historii Asyrii zapisały się Nakija – małżonka króla Sanacheriba, i Szammuramat (Semiramida) – małżonka króla SzamsiAdada – którą Herodot nazwał „najpiękniejszą, najokrutniejszą, najpotężniejszą i najbardziej lubieżną ze wszystkich władczyń Orientu”. Hebrajczycy, wierni swoim pasterskim korzeniom, nie oddali berła ani tronu żadnej kobiecie. Niewiasta mogła być żoną, matką, córą króla, ale o samodzielnej karierze politycznej nie było mowy. Te więc, które zapisały się na kartach Biblii – Jezabel, Tamar, Abigail i bohaterska Debora – musiały mieć nie lada osobowość[4].

W starożytnym Egipcie kobietom przysługiwały takie same prawa jak mężczyznom. Mogły więc, co później tak bardzo oburzało Greków, porzucać mężczyzn i zawiązywać nowe związki. Takie miały prawo, ale życie wielce je ograniczało. I wtedy, i dziś, żeby być naprawdę wolną i niezależną, trzeba mieć pieniądze. Najlepiej było je odziedziczyć, w starożytnym Egipcie bowiem kobieta miała niewiele możliwości zarobkowania. Najwyżej mogła zostać tancerką albo grać na jakimś instrumencie, co wymagało odpowiednich zdolności nie tylko zresztą do muzyki, ale także do gotowości świadczenia usług seksualnych. Mało więc było karier. Tak naprawdę istniały tylko dwa typy kobiet – żony i niewolnice – całkowicie poddane woli pana. Znajdywane w wykopaliskach szkielety kobiet, zwłaszcza z nizin społecznych, dowodnie świadczą, że przemoc fizyczna nie należała do rzadkości. Na kościach przedramienia antropologowie stwierdzili wiele uszkodzeń typowych dla

sytuacji, gdy ofiara zasłania się ręką przed ciosem w głowę[5]. Zgodnie z prawem karnym starożytnego Egiptu żona i dzieci mężczyzny skazanego za popełnienie przestępstwa też ponosiły karę – zwykle stawały się niewolnikami (taki sam obyczaj istniał w państwie Majów w Ameryce Środkowej, które rozwinęło się tam w wiekach średnich).

W Babilonii sytuacja prawna kobiet przedstawiała się gorzej niż w Egipcie, z drugiej jednak strony miały większe niż w państwie faraonów możliwości zarobkowania. Już w trzecim tysiącleciu przed naszą erą spotyka się kobiety sekretarki, bo najmowano je do rycia klinowych znaków na glinianych tabliczkach. Kobiety zajmowały się też wróżbiarstwem, ródźkarstwem, wynajmowały się do służby na dniówki. Pracowały też jako fryzjerki, nosicielki wody, kucharki, prządki, tkaczki, zatrudniały się jako mamki, śpiewaczki i lampiarki [kaganki i lampy olejne wymagały ciągłych zabiegów, powstała więc osobna profesja – *przyp. tłum.*]. Lista kobiecych zawodów jest długa i chociaż obejmowała niemal wyłącznie prace fizyczne, mało ambitne i nużące, dawała szansę ucieczki od tyranii domowego ogniska. Niektóre kobiety poświęciły się służbie bogom, zyskując w zamian za śluby czystości wolność myślenia, i nie tylko to. Kapłanki nad U u zajmowały się handlem, z powodzeniem konkurując z mężczyznami. Kupowały, sprzedawały, oddawały w dzierżawę, udzielały pożyczek w gotówce i zbożu, inwestowały, importowały, eksportowały, aktywnie działały na rynku niewolników, zarządzały ziemią i zespołami pracowników. Nie opuszczając swych cel, odgrywały istotną rolę w gospodarce.

Kobiety hebrajskie miały znacznie mniej możliwości niż mieszkanki Babilonu, ale więcej niż Egipcjanki. Prawo nie zabraniało im posiadania majątku, ale mało która miała coś na własność. Mogły też najmować się jako służące, perfumiarki, kucharki i piekarki. Bez przeszkód – przynajmniej na początku – mogły uprawiać prostytutkę, ale na tym lista dostępnych zajęć praktycznie się zamyka. Alternatywą była funkcja matki i żony, a żonom stawiano nader wysokie wymagania[6].

## STAN ZAMEŻNY

„Niewiastę dzielną któż znajdzie?” – napisano w Księdze Przysłów (31, 10 i dalsze). Rzeczywiście, mało która sprosta wymaganiom, o jakich mowa w Biblii. Dobra żona

powinna dbać o wełnę, runo i pożywienie, wstawać przed świtem, zajmować się rodziną, zawiadywać służbą, kupować ziemię, zakładać winnice, prowadzić rodzinne rachunki, pracować do późna. Powinna radzić sobie z wrzecionem i kądzielą, pomagać potrzebującym, ubierać męża w szkarłaty, siebie w biel i fiolet, tkąć płótna na potrzeby domu i na sprzedaż, spoglądać w przyszłość z optymizmem, być mądra, uprzejma i gospodarna i, broń Boże, nie próżnować. Nie musiała ani roztaczać szczególnego uroku, ani odznaczać się urodą. To pierwsze budziło podejrzliwość, drugie traktowano jako przejaw próżności. Musiała natomiast być płodna. Płodność stanowiła zasadniczy warunek, bo jak napisano w Biblii: „Małżonka twoja jak płodny szczerp winny we wnętrzu twojego domu” (Psalm 128 (127), 3).

W zamian małżonka miała prawo liczyć na łaskawość męża na równi z innymi małżonkami i konkubinami. Musiała wszakże dbać o jego cześć i honor, bo gdyby mu w czymś uchybiła, mógł ją oddalić. Gdyby zaś sprzeniewierzyła się małżeńskiej wierności, czekała ją jedna tylko kara, wyjątkowo surowa – cudzołożnice kamienowano. Pod tym względem kobiety Hebrajczyków miały rzeczywiście gorzej niż Egipcjanki i Babilonki. W Babilonii zdradzony mąż mógł przebaczyć małżonce i odstąpić od żądania wykonania wyroku. W Egipcie cudzołożnicę oczyszczano od winy i kary na podstawie li tylko jej słowa (jeśli nie przyłapano jej *in flagranti*).

W Egipcie istniała instytucja rozwodów, czego nie dopuszczały prawa Babilonii, a tym bardziej ludu Izraela (ani zresztą większości państw europejskich do XIX stulecia). Najczęstszym powodem rozwodu była bezpłodność, a ściślej fakt, że żona nie rodzi potomstwa. W Babilonii mąż mógł się rozwieść, jeśli stwierdził, że małżonka jest rozrzutna. Rozwód nie był jedynym rozwiązaniem, po jakie mógł sięgnąć. Zawsze bowiem mógł sprowadzić niegodną małżonkę do stanu niewolnicy<sup>[7]</sup>.

Około roku 2350 p.n.e. władca Sumeru Uruinimgina (Urukagina) z Lagasz położył kres poliandrii. Co prawda, nie ma dowodów, aby poliandria była w Sumerze zjawiskiem powszechnym, ale Uruinimgina – znany reformator – zadbał również o oczyszczenie pola w tej dziedzinie. Uczynił to skutecznie, skoro od czasów babilońskich nigdzie na Bliskim Wschodzie kobieta nie miała więcej niż jednego małżonka (jednocześnie). Poliandria została przekreślona raz na zawsze. Co innego poligamia. W tej kwestii ani prawa, ani obyczaj nie były surowe, zwłaszcza wśród Hebrajczyków, którzy cenili sobie posiadanie wielu żon. Jeszcze w pierwszym wieku naszej ery żydowski historyk Józef Flawiusz pisał: „Odwieczny nasz obyczaj uświęca

posiadanie wielu żon”[8]. Król Salomon, który władał w latach około 970–930 p.n.e., miał ponoć siedemset żon oraz trzysta nałożnic. Gdy w 700 roku p.n.e. Asyryjczycy zagrozili Jerozolimie, Ezechiasz (król Judy), miał odwrócić niebezpieczeństwo, opłacając się najeźdźcom. Dał im 30 talentów złota, 800 srebra oraz „wiele innych bogactw, jak również swoje córki, harem i muzykantów obu płci”[9].

W Egipcie w trzecim tysiącleciu przed naszą erą poligamia była zjawiskiem powszechnym. Później stopniowo, chyba z przyczyn ekonomicznych, jąta ustępować związkom monogamicznym. Znamienny wyjątek stanowili faraonowie. Egipska monogamia miała dość specyficzny charakter, bo nie wykluczała posiadania gromady konkubin i niewolnic. Tak samo było w Babilonii. Mężczyzna miał prawo do jednej legalnej żony, jeśli jednak było go stać i sumienie mu pozwalało, mógł sobie sprawić jedną bądź kilka dodatkowych małżonek i konkubin. Nieoficjalną małżonkę nazywano aszszetu bądź esirtu, co dosłownie znaczy „rywalka”. (Hebrajczycy mieli, zdaje się, podobny problem, skoro drugie żony określano słowem sarot – zazdrośnica). Ciekawy przepis prawny Babilończyków kładł na legalną małżonkę, która nie dała mężowi potomstwa, obowiązek wystarania się o stosowne zastępstwo[10].

Generalnie rzecz biorąc, status tak zwanych wolnych Egipcjanek, Żydówek czy mieszanek Babilonii był tylko odrobinę lepszy niż niewolnic. W dzieciństwie stanowiły własność ojca, później – męża, od którego, jeśli miały szczęście, mogły zaznać miłości. Częściej jednak ich rola sprowadzała się do rodzenia dzieci i dbania o dom, a mąż traktował je jak służące: sprawnych na ogół się nie dostrzega, a te, co nie wypełniają swych obowiązków, oddala się i karze. Wybór kary należał do męża. Kobieta mogła zachować tytuł własności do posagu, mogła też dziedziczyć po mężu, co jednak opatrywano szczególnymi warunkami, bo pieniądze i majątek z zasady należały się synom. Zalecał bowiem egipski skryba Ani w swoich Maksymach. „Ożeń się za młodu i niech małżonka da ci syna. Niech rodzi, póki sama młoda. Mądrze jest płodzić dzieci, a szczęśliwym ten, co ma wielką rodzinę”[11].

Taki wzór stosunków obu płci, ustanowiony na Bliskim Wschodzie trzy tysiące lat temu, rozwinie się i przetrwa z niewielkimi modyfikacjami, zależnie od czasu i miejsca, aż po połowę XIX stulecia naszej ery tak w Europie, jak i Azji, Afryce i obu Amerykach.



## MALADIES D'AMOUR

I rzeczywiście, tak jak radził Ani, w starożytności żeniono się młodo, co nie pozostawało bez wpływu na zdrowie kobiet, W wielu medycznych traktatach z epoki wspomina się o „kobiecych przypadłościach”. W Mezopotamii, a także wśród Hebrajczyków, wydawano za mąż jedenasto-, dwunastoletnie dziewczynki. W Egipcie zdaniem jednego z wybitnych badaczy zdarzały się nawet młodsze, sześćioletnie żony[12].

Egipcjcy cyrulikowie nie należeli do szczególnie dobrych diagnostów. Papirus z Kahun – najstarszy w świecie „podręcznik” medycyny (datowany na około 1900 rok p.n.e.) – dowodzi, że ówczesni medycy nie odróżniali symptomów od choroby. Na podstawie zapisów z Kahun można zidentyfikować tylko kilka schorzeń, ale i te są wymowne. Tak więc mieszkanki starożytnego Egiptu miały bez wątpienia kłopoty z trawieniem, bo na liście niedomagań wymienionych w papirusie jest „chęć wymiotowania”, a także „puchlina treści ciała”. Częstym przypadkiem musiały być stany zapalne narządów rodnych, bo pisze się o „chorobie”, zapewne owrzodzeniu, „warg sromowych”. Znano też dolegliwości związane z patologicznym ułożeniem macicy, jest bowiem w papirusie stosowny opis i rada: „Gdy kobieta skarży się na ból pleców i ma uczucie ciężenia między nogami, powiedz jej, że powodem jest opuszczenie macicy”[13].

Papirus z Kahun dotyczy wyłącznie chorób kobiecych, na których, jak się okazuje, starożytni Egipcjanie niewiele się znali, a na pewno mniej niż na męskich przypadłościach, łącznie z impotencją. Zachował się bowiem zapis o pacjencie, co „nie był w stanie wykonywać swoich obowiązków” (język starożytnych był równie bogaty w eufemizmy jak współczesny), i o innym, którego „męskość miękła w obecności partnerki”. Kochankom z owego czasu groziła „choroba kopulacyjna”, pod którym to terminem wcale nie kryje się typowa melancholia post coitum, ale rozmaite choroby weneryczne, od rzeżączki po owrzodzenie jąder. Nie wiadomo, czy starożytni Egipcjanie zdawali sobie sprawę, jak się te choroby przenoszą. Dla Akadyjczyków nie było to tajemnicą. „Te białe krosty... to od kobiety, z którą był w łóżku” – czytamy w jednym ze źródeł[14]. W innym dokumencie można się dopatrzeć opisu szczególnego rodzaju zapalenia wątroby, którego zarazki wedle dzisiejszych hipotez przenoszone są drogą kontaktów homoseksualnych[15].

W społeczeństwach mających obsesję na punkcie męskich potomków problem zapłodnienia traktowano ze szczególną uwagą. Cztery tysiące lat temu testy ciążowe były równie popularne jak dziś, choć niekoniecznie równie skuteczne. Jedną z prób zalecanych starożytnym medykom polegała na tym, że przygotowywano dwa worki ziarna, z pszenicą i jęczmieniem, które kobieta miała codziennie „zraszać własną wodą... i jeśli ziarno w obu workach zacznie kiełkować, to znak, że urodzi, jeśli nie, to dziecka nie będzie”. Za pomocą tej samej próby można było określić płeć dziecka. Jeśli pierwsza kiełkowała pszenica, w drodze był syn, jeśli jęczmień – córka (pszenicę ceniono znacznie wyżej niż jęczmień). W Mezopotamii uważano, że „krosta na czole matki to znak, iż nosi w sobie syna”. Miano także „gwarantowany” test na stwierdzenie, czy kobieta jest płodna. W tym celu należało „pokruszyć arbuza i rozmieszać w mleku kobiety, co urodziła syna, i podawać pacjentce. Jeśli po przyjęciu mikstury wymiotuje, będzie rodzić, jeśli tylko beknie, to nigdy nie zajdzie w ciążę”[16].

W Babilonii kobieta po porożeniu i w czasie menstruacji uchodziła za nieczystą – po porodzie przez trzydzieści dni, a miesiączkę liczono na sześć dni, kiedy kobieta nosiła podpaskę (którą Sumerowie nazywali *tug.nig.usz.a* – krwawym bandażem). Nie wolno jej było w tym czasie niczego dotknąć, wszystko bowiem pod jej dotykiem stawało się nieczyste, łącznie z mężczyzną, który by się do niej „zbliżył”[\*1]. Królewski edykt nakazywał miesiączkującym kobietom trzymać się z dala od monarchy. Po menstruacji kobieta miała obowiązek oczyszczenia się, co można było uczynić w dwojaki sposób: albo wziąć kąpiel, albo po prostu umyć ręce. Starożytni Egipcjanie nie byli więc wcale tacy schludni, jak się ich często próbuje przedstawić. (O braku higieny świadczy przykład faraona Ramzesa II, który słynął nie tylko z liczego potomstwa – miał ponoć spłodzić ponad 170 dzieci – ale także z licznych wągrów na twarzy[17]).

Starożytni ludy hebrajskie bardziej ceniły sobie ablucje rytualne niżli zwykłą kąpiel. Tej ostatniej zażywali nie częściej niż sąsiedzi. Inaczej wszakże traktowali pojęcie nieczystości. Jeśli mężczyzna dotknął łóżka, krzesła bądź innej nieczystej rzeczy, czyli takiej, z którą miała kontakt miesiączkująca kobieta, sam stawał się nieczysty do końca dnia. W razie polucji bądź jakiegokolwiek wysięku mężczyzna był nieczysty przez siedem dni. Jedno zdaje się pewne, mianowicie, że autorstwo pojęcia „kwarantanna” należy przyznać ludom Bliskiego Wschodu[18].



## ZNAK PRZYMIERZA

Spotyka się pogląd, że obrzezanie – czyli usunięcie napletka skrywającego żołądź – miało zrazu sens nader praktyczny, że chodziło wyłącznie o względy higieniczne<sup>[\*2]</sup>, konkretnie o to, aby pod napletkiem nie gromadziły się drobiny piasku, co groziło infekcją. Mężczyźni nosili wtedy dość luźne szaty i takie niebezpieczeństwo istniało. Wystarczyłaby jednak drobna poprawka w kroju albo nieco inaczej upięte szaty i byłoby po kłopotcie. Pogląd o praktycznym sensie obrzezania nie wytrzymuje też konfrontacji z faktami historycznymi. Otóż zabieg ten stosowano najszerzej w starożytnym Egipcie i Afryce. Dokonywano go nie na oseskach, lecz na młodzieńcach wchodzących w dorosłe życie. Wskazuje to więc raczej na rytualny niż sanitarny charakter zabiegu. Gdyby chodziło o względy higieniczne, napletek usuwano by wcześniej. Niewykluczone, że praktyka ta miała podkreślać męskość. Być może skrawek skóry osłaniający czubek penisa postrzegano jako coś kobiecego, czego trzeba się pozbyć w imię prawdziwej męskości.

Na podstawie dostępnych materiałów archeologicznych – malowideł, rzeźb, mumii – trudno ocenić zakres tej praktyki w Egipcie, bo biorąc choćby rzeźby, są postaci obrzezane i nieobrzezane. Nie była to więc praktyka powszechna, ale nie ograniczała się też do jednej grupy czy klasy. Faraonowie bywali obrzezywani, ale nie wszyscy, to samo dotyczy kapłanów, a także ludzi z nizin społecznych, jak choćby pasterzy<sup>[19]</sup>.

Wedle Strabona – greckiego podróżnika i geografą żyjącego na przełomie staro- nowożytnej ery – Egipcjanie obrzezywali nie tylko mężczyzn, ale dokonywali podobnego zabiegu także na kobietach. W rzeczy samej czynią to do dziś. Zabieg na kobietach, niesłusznie nazywany damskim obrzezaniem, ma swoją historię i w różnych krajach i epokach przybierał różne formy. Czasami polega wyłącznie na rytualnej defloracji – usunięciu błony dziewiczej, czasami na resekcji łechtaczki, a czasami na całkowitym bądź częściowym wycięciu warg sromowych. W ekstremalnej wersji jest to zabieg bolesny i zostawia trwałe ślady na psychice kobiety. Wydaje się, że bez względu na formę ma służyć jednemu celowi, mianowicie zniechęcać kobiety do uprawiania stosunków pozamałżeńskich przez usunięcie tkanek wrażliwych na bodźce seksualne. Według niedawnych danych Kairskiego Towarzystwa Planowania Rodziny około 90 procent Egipcjanek, które odpowiedziały na ankietę, przeszło zabieg resekcji łechtaczki bądź usunięcia w całości lub częściowo warg sromowych<sup>[20]</sup>.

Nie można wykluczyć, że obrzezywanie było dość powszechne w starożytnym Egipcie, podobnie jak w innej epoce w królestwach Majów i Inków w Ameryce i na niektórych wyspach Polinezji. W Mezopotamii jednak do czasu, gdy Hebrajczycy uczynili z obrzezania akt wiary, była to praktyka nieznaną. Można więc założyć, że Żydzi przejęli ten obyczaj od Egipcjan i przenieśli do Mezopotamii w czasie Exodusu, nieco go modyfikując. Obrzezaniu poddaje się bowiem nie młodzieńców, ale ośeski, a zabieg ma charakter obowiązkowy i symbolizuje wieczne przymierze ludu Izraela z Bogiem. Pogański obrzęd nabrał więc charakteru sacrum. Spotyka się pogląd, że obrzezanie miało być zrazu znakiem przynależności plemiennej, wyróżniającym dzieci Izraela od politeistycznych sąsiadów. Jeśli tak, tego typu znak tożsamości byłby nader kłopotliwy, zważywszy, że nagość i nieskromność uchodziły za śmiertelny grzech, nie mówiąc już o tym, że taki wyróżnik przynależności plemiennej groził wręcz katastrofą, gdy jego nosiciel dostawał się w ręce wrogów. Znacznie praktyczniejsze byłoby coś na kształt hinduskiego znaku tikka albo kwiatu u nakrycia głowy, jak u górali szkockich, czy specjalnego uścisku dłoni u masonów.

Wedle więc wszelkiego prawdopodobieństwa obrzezanie było rzeczywiście tym, za co powszechnie uchodzi, to znaczy znakiem przymierza. Rzekł Pan do Abrahama: „Ty zaś, a po tobie twoje potomstwo przez wszystkie pokolenia, zachowujcie przymierze ze mną. Przymierze, które będziecie zachowywali między mną a wami, czyli twoim przyszłym potomstwem, polega na tym: wszyscy wasi mężczyźni mają być obrzezani; będziecie obrzezywać ciało napletka na znak przymierza waszego ze mną” (Rdz 17, 9–11). W zwykłym akcie braterstwa krwi nie ma znaczenia miejsce, z którego utacza się kroplę krwi, a jeśli już, częściej jest to palec lub ręka niż cokolwiek innego. Bóg wchodził jednak w przymierze nie tylko z Abrahamem, ale także z jego potomkami, i właśnie dla podkreślenia tego krew utoczono z Abrahamowego organu płciowego.

Współcześni psychoanalicy uważają, że akt obrzezania na bezwolnym dziecku żydowskim pozostawia trwałą ślad w jego psychice. Stale przypomina mu, że nie jest w pełni niezależny, a w późniejszym wieku przyprawia o kompleks kastracji. Bardzo to ładna teoria, choć pomija prosty fakt, że według Freuda również osobnicy nieobrzezani żyją w ciągłym strachu przed kastracją[21]. Warto dodać, że w czasach biblijnych na Bliskim Wschodzie populacja eunuchów była wystarczająco duża, aby wytworzyć kompleks kastrata bez dodatkowego impulsu w postaci obrzezania.

## KWESTIA POTOMSTWA

Bez względu na to, jak oceniać kompleks kastrata, jedno można stwierdzić z całą pewnością: starożytni Hebrajczycy mieli prawdziwą obsesję na punkcie własnych... jąder[\*3]. W całej, pełnej nakazów Biblii jest tylko jeden przypadek, kiedy żonie nie wolno udzielać pomocy mężowi. W Księdze Powtórzonego Prawa zapisano: „Jeśli się bić będą mężczyźni, mężczyzna i jego brat, i zbliży się żona jednego z nich i – chcąc wyrwać męża z rąk bijącego – wyciągnie rękę i chwyci go za części wstydlive, odetniesz jej rękę, nie będzie twe oko miało litości” (Pwt 25, 11–12). Nie tylko chyba Żydówki miały skłonność do łapania panów za męskość w czasie rękoczynów, bo podobny zapis znajdujemy w kodeksie Asyryjczyków: „Jeśli kobieta w bijatyce zgniecie jądro mężczyzny – ma jej być obcięty palec. Jeśli i drugie jądro, mimo że lekarz je podwiązał, jest uszkodzone i ulega zapaleniu albo jeśli kobieta zgmiotła także drugie jądro, tedy wydrzeć jej trzeba obie [piersi lub oba sutki]”[22].

Ale prawo przewidywało też kary za skrzywdzenie kobiety w ciąży. „Gdyby mężczyźni bijąc się – czytamy w Księdze Wyjścia – uderzyli kobietę brzemienną powodując poronienie, ale bez jakiegokolwiek szkody, to (winny) zostanie ukarany grzywną, jaką (na nich) nałoży mąż tej kobiety, i wypłaci ją za pośrednictwem sędziów polubownych. Jeżeli zaś ona poniesie jakąś szkodę, wówczas on odda życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę” (Wj 21, 22–24). W Asyrii mężczyzna, który napadł na pełnoprawną kobietę i „sprawił, że straciła owoc łona swego”, podlegał karze grzywny, chłosty oraz pracy przymusowej przez miesiąc. Jeśli jednak ofiara nie należała do osób korzystających z pełni praw, karę ograniczano do grzywny. Hetyci podchodzili do sprawy w sposób buchalteryjny. Za skrzywdzenie kobiety w końcowym okresie ciąży karano dziesięcioma szeklami srebra, natomiast do szóstego miesiąca grzywna wynosiła połowę tej sumy[23].

Aborcję traktowano jak przestępstwo kryminalne. W Asyrii za świadome uszkodzenie płodu karano kobietę „wbiciem na pal i odmawiano jej pogrzebu”. Jeśli kobieta zmarła w wyniku zabiegu przerwania ciąży, wbijano na pal jej zwłoki i też odmawiano pochówku. Prawo nie wspomina o zbrodni dzieciobójstwa pewnie dlatego, że jeśli zabijano, to głównie dziewczynki, cenione niżej niż chłopcy. Zapewne też dlatego za przerwanie ciąży wyznaczano nader surową karę, że ofiarą zabiegu mógł być przyszły mężczyzna. Tylko w tradycji hebrajskiej zawiera się zakaz

dzieciobójstwa: zabraniano oddawania dzieci Molochowi. Słowo „Moloch” nie jest – jak kiedyś sądzono – synonimem demona, oznacza raczej praktykę składania ofiar z dzieci. Semantyczna różnica nie zmienia istoty procederu[24].

Przytoczone przykłady świadczą, że starożytni, zwłaszcza Hebrajczycy, z wielką troską odnosili się do swojego potomstwa. Lud wybrany powinien być silny i liczny, to zaś zależało przede wszystkim od rozrodczości i należytej opieki nad dziećmi Izraela. Jest więc logiczne, że stworzono system prawny preferujący stosowne związki, a zarazem wykluczający nieodpowiednie kontakty seksualne.

Józef Flawiusz pisał: „Prawo nie uznaje żadnych kontaktów seksualnych poza naturalnym związkiem mężczyzny i kobiety, i to wyłącznie w celu zrodzenia potomstwa...” Tak wyrażało się *principium*, obwarowane szczegółowymi nakazami, zakazami i przywilejami. I tak, mężczyznę, który wstępował w związki małżeńskie, zwalniano od służby wojskowej i obowiązków zawodowych na rok, aby „zażywał szczęścia z kobietą, którą był pojął”. Oczywiście chodziło o to, aby świeżo poślubieni od razu zabrali się do świętych obowiązków rodzinnych. Tak sformułowane prawo miało wszakże jeden, niezamierzony, ale ciekawy skutek – co bogatsi stale wstępowali w nowe związki.

Innym skutkiem stało się donosicielstwo i oskarżenia o uprawianie niedozwolonych, a więc nieproduktywnych form kontaktów seksualnych. Podczas gdy w Babilonii godzono się z istnieniem zorganizowanej grupy homoseksualnych prostytutek, lud Izraela wykluczał wszelkie tego typu związki pod groźbą najsroższych kar. „Ktokolwiek obcuje cieleśnie z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą, popełnia obrzydliwość. Obaj będą ukarani śmiercią, sami tę śmierć na siebie ściągnęli”. Równie groźnie brzmi jeden z następnych zapisów: „Ktokolwiek obcuje cieleśnie ze zwierzęciem wylewając nasienie, będzie ukarany śmiercią. Zwierzę także zabijecie. Jeśli kobieta zbliży się do jakiegoś zwierzęcia, aby z nim się złączyć, zabijesz i kobietę, i zwierzę. Oboje będą ukarani śmiercią, sami śmierć na siebie ściągnęli” (Kapł 20, 13, 15–16). Zoofilia – stosunki seksualne ze zwierzętami hodowlanymi – nie była rzadkim zjawiskiem wśród ludów pasterskich. Gdy pierwotne plemiona koczownicze zaczęły prowadzić życie osiadłe, sodomię postrzegano w kategoriach obyczaju, który powinien odejść w przeszłość. Obyczaj wszakże był chyba głęboko zakorzeniony, a walka z nim trudna, skoro nawet tolerancyjni Hetyci wprowadzili karę śmierci za sodomię[25].

# ANTYKONCEPCJA

Z czasem boskie przykazanie: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się” (Rdz 1, 28), straciło nieco na sile. Owszem, seks w formie „nieproduktywnej” nadal podlegał anatemie, ale w warunkach zaczynającej się diaspory liczna rodzina stanowiła duże obciążenie. Idea kontroli urodzin stawała się coraz bardziej kusząca. Mówimy o mniej więcej trzecim stuleciu przed naszą erą, ale antykoncepcja miała już za sobą dość długą i burzliwą historię.

Zanim ruszymy jej szlakiem, wypada wspomnieć, że dopiero pod koniec XVII stulecia naszej ery uczeni odkryli, iż ejakulat to niejednorodna ciecz, lecz zawiesina zawierająca miliony plemników, a jeszcze później – w XIX wieku – stwierdzono, iż zapłodnienie następuje przy udziale jednego tylko plemnika. Do tego czasu nikt z zajmujących się antykoncepcją nie zdawał sobie sprawy z istoty zjawiska zapłodnienia i wyzwania, jakie niesie.

Ale od samego początku metody antykoncepcji szły w dobrym kierunku. Starożytni Egipcjanie uznali, że najważniejsze jest niedopuszczenie ejakulatu do macicy, stosowali więc dwie metody: jedna polegała na zatrzymaniu go w pochwie za pomocą wsiąkliwej tkaniny, druga – na zablokowaniu szyjki macicznej. Z lektury przepisów zawartych w materiałach źródłowych nie zawsze jasno wynika, którą z dwu metod autor zaleca. Nie da się też zidentyfikować wszystkich składników konkretnych środków antykoncepcyjnych. W papirusie z Kahun, w którym znajdujemy najstarsze ze znanych receptur, zaleca się mieszaninę krokodyłowego łajna i pasty (kremu?) o nazwie ayut. Czym był ayut – nie wiemy, wiemy tylko, że miksturę należało wsunąć w głąb pochwy jak tampon. Zalecano także mieszaninę miodu z sodą amoniakalną (węglanem sodu) oraz gumę ayut.

Łatwo sobie wyobrazić, jaki to musiało rozsiewać zapach! Ale to i tak nic w porównaniu z innymi pozycjami w staroegipskiej farmakopei. Ważniejsze, czy zalecane środki rzeczywiście działały. Trudno to stwierdzić. Ówczesni farmaceuci, podobnie jak twórcy przepisów kulinarnych, nie zawracali sobie głowy podawaniem właściwych proporcji poszczególnych składników. Zagadek zresztą jest więcej. Weźmy środek na bazie krokodyłowego łajna. Może gotowa mikstura miała konsystencję gąbki i umieszczona w pochwie mogła rzeczywiście wchłaniać ejakulat, zabezpieczając kobietę przed konsekwencjami stosunku? Jeśli z kolei przyjąć, że

mieszanina łajna i ayut miała gęstszą konsystencję i pewne właściwości elastyczne, to mogła funkcjonować jak rodzaj diafragmy albo kapturka dopochwowego.

Młodszy o trzysta lat od papirusu z Kahun papirus Ebersa zaleca inną metodę: kawałek płótna namoczyć w miodzie z kielkami akacji i stosować dopochwowo. Warto zwrócić uwagę, że zalecenia lekarskie, nie tylko te cytowane, ale i późniejsze, nie zawierają żadnych wskazówek technicznych. Nie wyjaśniają, jak wprowadzić ten czy inny tampon na właściwe miejsce. Palcami się nie da, bo za krótkie, musiano więc korzystać z czegoś w rodzaju aplikatora, albo trzeba przyjąć, że tampon z łajna czy zwitek płótna był na tyle spory, że i bez aplikatora wypełniał szczelnie całą pochwę wokół szyjki. Jeśli tak, to sposobniejsze wydaje się płótno z miodem, bo łatwiej je wyjąć po użyciu. Krokodylę łajno jako materiał organiczny zapewne rozkładało się we wnętrzu pochwy i dopiero był kłopot.

Z powyższego przeglądu można by wnosić, że orientowano się głównie na mechaniczne zabezpieczenie przed niepożądaną ciążą, ale byłby to wniosek przedwczesny. Starożytni Egipcjanie poczynili zadziwiające postępy w chemii. Lekarze zapewne zdawali sobie sprawę, że niektóre preparaty chemiczne znakomicie wspomagają działanie środków mechanicznych. Współcześni nam uczeni, którzy znają wszystkie tajemnice ejakulatu, nasienia i mobilności plemników, wiedzą, że płyny o oleistych właściwościach redukują ruchliwość męskich komórek rozrodczych, wiedzą też, że kwaśne środowisko ogranicza ich żywotność, że takie związki jak choćby kwas mlekowy są zabójcze dla plemników, a zwykła sól ma właściwości plemnikobójcze. Jeśli bogatsi o tę wiedzę spojrzymy na staroegipskie receptury, stwierdzimy, że poszukiwania szły rzeczywiście w dobrym kierunku. Mikstura na bazie miodu – oleista przecież – musiała ograniczać ruchliwość plemników. Ciekawsza jest sprawa z kielkami akacji. Zawierają one kwas mlekowy, który do dziś stanowi główny składnik najrozmaitszych żelów, kremów i globulek plemnikobójczych. Co się tyczy krokodylego łajna, to dzisiejsi specjaliści są zdania, że znacznie skuteczniejsze byłoby łajno słonia. Odchody krokodyla mają odczyn alkaliczny, a więc sprzyjający plemnikom. Łajno słonia daje odczyn kwaśny, zabójczy dla nasienia. W świecie islamu aż do XIII wieku naszej ery zalecano je i używano jako skuteczny środek antykoncepcyjny[26].

Receptur była różnorodność, wśród nich i takie, których działanie opierało się wyłącznie na dobrej wierze użytkowniczki, bo trudno dopatrzeć się w nich innych



zalet. Na przykład w jednym z papirusów zaleca się „okadzanie” pochwy przed stosunkiem dymem z mimi (?), a przez kolejne cztery dni po stosunku kobieta powinna pić miksturę z „tłuszczu, zioła m’atet i słodkiego piwa”. Sądząc po składnikach, mikstura pewnie przyspieszała perystaltykę jelit, i chyba tylko tyle.

Opisane środki i metody to jakby pradiafragma i protokapturek dopochwowy, ale Egipcjanie nie ograniczali się do tego. Prowadzili intensywne badania nad – używając dzisiejszej nomenklatury – pigułką. Nie tylko zresztą oni. W historii naszego gatunku ileż to ton rozmaitych ziół, liści, korzeni suszono, mielono, naparzano i łykano po to tylko, aby uniknąć konsekwencji erotycznych szaleństw. Zdaniem historyków medycyny większość tych środków nie miała żadnej wartości, jeśli pominąć działania magiczne. Z drugiej strony można na sprawę spojrzeć jak na ciąg badań i doświadczeń, które jednak nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Dobór ingrediencji zwykle opierał się na pewnej logice, choć częściej była to logika wiary niżli nauki.

Na początku ograniczanie przyrostu miało charakter wręcz żywiołowy. Każda metoda była dobra. Obok środków mechanicznych i chemicznych stosowano na szeroką skalę inne, jak choćby przerywanie ciąży, dzieciobójstwo, abstynencję seksualną, uciekano się do „bezpiecznych” związków, uprawiając zoofilię, stosunki homoseksualne i analne. Próbowano ograniczać rozrodczość, przedłużając okres karmienia piersią. Sięgano także po środki ograniczające bądź tłumiące popęd. Trudno dziś powiedzieć, która metoda cieszyła się największą popularnością, ale historia zdaje się wskazywać, że dzieciobójstwo wcale nie musiało zamykać listy, przeciwnie – chyba ją otwierało.

Jeśli zaś idzie o antykoncepcję, wiele wskazuje na to, że najbardziej rozpowszechnionym sposobem kontroli urodzin stał się *coitus interruptus*. Stosunek przerywany, bo to właśnie oznacza łaciński termin, był (i jest) najtańszym i najmniej skomplikowanym sposobem unikania niechcianej ciąży. Zaistniał jako dość wygodna metoda antykoncepcji, gdy odkryto związek między ejakulatem a zapłodnieniem. Przy wszystkich swoich zaletach *coitus interruptus* ma wady. Po pierwsze, nie daje stuprocentowej gwarancji, po wtóre, zależy od mężczyzny, podczas gdy to raczej kobieta była bardziej zainteresowana uniknięciem ciąży. W rzeczy samej jednym z powodów stałego poszukiwania skutecznych naparów, płynów czy proszków antykoncepcyjnych, słowem, wygodnych środków chemicznych, był fakt, iż tylko w ten sposób kobieta mogłaby w pełni kontrolować sytuację.

Z punktu widzenia Hebrajczyków *coitus interruptus* obciążony był jeszcze jedną, zasadniczą wadą. Otóż Tora – nauka Pięcioksięgu – na której opiera się cały żydowski system prawny, zawierała przykazanie adresowane do mężów, aby byli płodni i rozmnażali się. Oznaczało to, że wszelkie sposoby ograniczania liczebności rodziny stawały się sprawą kobiet. Jednym z takich środków, który akceptowano i stosowano, była gąbka. Niektóre autorytety wręcz zalecały, aby dziewczęta w wieku jedenastu–dwunastu lat, karmiące matki i kobiety w ciąży obowiązkowo zabezpieczały się kawałkiem gąbki – w tamtych czasach panowało przekonanie, że ciąża nie wyklucza ponownego zapłodnienia, co grozi uszkodzeniem już zawiązanego płodu. Innym sposobem mogła być metoda dość szeroko stosowana przez prostytutki, polegająca na energicznym skakaniu po stosunku w nadziei, że w ten sposób da się usunąć całe nasienie z ciała. Jeszcze innym środkiem był „korzenny napój”. Wedle Rabana Jochanana, który odtworzył recepturę z III wieku naszej ery, napój przyrządzano z aleksandryjskiej gumy, płynnego ałunu oraz krokusów. Składniki te, „po denarze [około 4,55 grama – *przyp. tłum.*] każdy”, starannie mieszano, a następnie rozpuszczano w trzech pucharach wina. Jako środek antykoncepcyjny napój był bez wartości, leczyl natomiast rzeżączkę. Z dodatkiem dwóch kwart piwa mógł doprowadzić do trwałej bezpłodności, znakomicie też leczyl żółtaczkę. Mężczyznom nie wolno było go przyjmować.

Wracając do *coitus interruptus*, trzeba wspomnieć, że metodę tę wbrew nakazom Tory stosował biblijny Onan, za co został ukarany – Pan zabił go na miejscu. Sprawa Onana obrosła w wiele nieporozumień i niejasności co do istoty jego grzechu. Według żydowskiej tradycji kobieta wychodząc za mąż stawała się własnością nie tylko małżonka, ale całej jego rodziny, bo przecież zapłacono za nią stosowną kwotę. Sprawy komplikowały się, gdy mąż umarł, a jeszcze bardziej, gdy umarł bezpotomnie. Owdowiała małżonka traciła sens istnienia i stawała się ciężarem dla rodziny. Wyjściem był lewirat, ciążący na mężczyźnie obowiązek poślubienia bratowej, spłodzenia syna i wychowania go tak, jakby był pierworodnym zmarłego brata[\*4]. Onan jednak tego obowiązku nie chciał wypełnić.

Według Księgi Rodzaju (38, 8–10) najstarszy syn Judy Er zginął bezpotomnie, a wtedy Juda rzekł do Onana: „Idź do żony twego brata i dopełnij z nią obowiązku szwagra, a tak sprawisz, że twój brat będzie miał potomstwo. Onan wiedząc, że potomstwo nie będzie jego, ilekroć zbliżał się do żony swego brata, unikał



zapłodnienia, aby nie dać potomstwa swemu bratu. Złe było w oczach Pana to, co czynił, i dlatego także zesłał na niego śmierć”.

Ale co właściwie oburzyło Pana? *coitus interruptus*? Akt masturbacji? Odmowa spełnienia obowiązku nakładanego przez lewirat? Późniejsi katolicki teologowie, wykluczający wszelkie formy antykoncepcji poza abstynencją seksualną, uważali, że grzech Onana to stosunek przerywany. S. A. Tissot, lekarz z Lozanny, uznał, że Onan zgrzeszył w inny sposób. W 1760 roku wydał książkę *Onanizm – dysertacja na temat schorzeń na tle masturbacji*, za której sprawą biblijnego Onana zaczęto postrzegać jako zbrodzenia, co dopuścił się strasznego grzechu zwanego samogwałtem. Rabini tymczasem orzekli, że upadek Onana to wynik świadomego naruszenia prawa lewiratu, i był to bardzo sprytny werdykt. Prawo powinno być święte, ale *coitus interruptus* bywa czasami pożyteczny. Jeden z rabinów wyraził opinię, że gdy żona karmi dziecko, mąż „ma obowiązek wnikać, ale reszty powinien dopełnić na zewnątrz”[27].

Żydzi znaleźli sposób, aby uniknąć ewentualnej „powtórki” Onana. Wymyślono ceremoniał *chality*, który pozwala na oficjalne odmówienie powinności nakładanych przez lewirat. [Polega on na tym, że niechciana przez szwagra wdowa zdejmuje mu sandał i splota przed nim. Od tego momentu wolno jej poślubić innego – *przyp. tłum.*]. Warto jednak na marginesie przynajmniej wyrazić zdziwienie, że naród, który tak głęboko potępia kazirodztwo, wykształcił obyczaj lewiratu, będący w istocie jego formą.

## KOMPLEKS EDYPA

Z drugiej jednak strony Hebrajczycy skrupulatnie przestrzegali wszystkiego, co w danych im na Synaju przykazaniach określone zostało jako tabu. W Księdze Kapłańskiej zawarto długą listę zakazów. Tak więc: „Nie będziesz odsłaniać nagości swojej siostry... córki twojego syna lub córki twojej córki... Nie będziesz odsłaniać nagości siostry swojego ojca... siostry swojej matki... brata swego ojca; nie będziesz się zbliżał do jego żony... Nie będziesz odsłaniał nagości swojej bratowej... Byłaby to rozpusta!” (Kpł 18, 7–18). Gdy rabini jęli interpretować intencje prawodawcy, na liście zakazanych związków znalazła się nawet „babka ze strony matki żony stryjecznego brata”[28].

Zakazy adresowano głównie do mężczyzn, uważając, że to oni są stroną aktywną. Więzy powinowactwa z rodziną przyszłej żony zadzierzgały się z momentem zrzekowin i od tej chwili nabierały mocy wszelkie odnośne zakazy. Za ich naruszenie groziły surowe kary, od chłosty przez ukamienowanie po całopalenie.

Dziś trudno, wręcz nie sposób, dociec, na ile w tradycji Hebrajczyków wyrażały się wcześniejsze, prehistoryczne obyczaje, a na ile wpływy sąsiadów – Asyryjczyków i Hetytów (którzy wykształcili równie surowe prawa dotyczące kazirodztwa). Niewykluczone też, że restrykcyjne przepisy ukształtowały się pod wpływem doświadczeń wyniesionych z Egiptu, w którym stosunki kazirodcze stanowiły prerogatywę zniechęconych faraonów. Z takich związków rodziły się niemal wyłącznie córki, co być może utrwaliło się w pamięci pokoleń na długie lata po wyjściu ku Ziemi Obiecanej. Żywiąc przekonanie, że o mocy i sile narodu stanowią jego synowie, Żydzi zdecydowanie wykluczyli związki, których owocem są głównie dzieci płci żeńskiej.

Przez długie okresy historii Egiptu więcej, a na pewno czystszej krwi monarszej płynęło w żyłach kobiet niżli mężczyzn. Zdarzało się, że kobiety pełniły władzę królewską na własną rękę i we własnym imieniu, co jednak budziło sprzeciwy i z reguły prowadziło do przesilen na szczytach władzy. Sprawy rozwijały się wedle tego samego scenariusza. Z pierwszego małżeństwa faraona rodziły się same córki, a prawa do tronu domagał się syn ze związku drugiej kategorii. Pretendent, aby wzmocnić swoją pozycję, brał za żonę którąś z przyrodnich sióstr. Z tego typu związków – twierdzą genetycy – też rodzą się głównie dziewczynki. W efekcie trudna sytuacja dynastyczna powtarzała się w kolejnym i następnych pokoleniach, a kryzys przedłużał się. Tak było zwłaszcza w drugim tysiącleciu przed naszą erą oraz później za czasów Ptolemeuszy – ostatniej dynastii faraonów wywodzącej się z Macedonii.

Ciekawe wyniki dały badania brytyjskiego biologa C. D. Darlingtona, który odtworzył drzewo genealogiczne XVIII dynastii faraonów (ok. 1570–1345 p.n.e.). Pierwszorzędną postacią tego okresu był Amenhotep IV, który pod imieniem Echnatona – „światłość Atona” – podjął próbę osłabienia potęgi kapłanów tebańskich [detronizując starych bogów i wprowadzając na ich miejsce jednego boga tarczy słonecznej Atona – *przyp. tłum.*].

Start miał raczej trudny. Sądząc z rzeźb i malowideł, Amenhotep cierpiał na gruźlicę, nadczynność tarczycy, akromegalię, czyli przerost tkanek miękkich i kości

dłoni, łuków brwiowych, nosa, uszu, języka, żuchwy oraz zewnętrznych narządów płciowych – tak przynajmniej diagnozują historycy medycyny[29]. Jego życie emocjonalne też nie było zdrowe. Za pierwszą żonę pojął własną matkę, Teje, energiczną damę rodem z Nubii. Miał z nią córkę. Następnie ożenił się z kuzynką ze strony matki Nefretiti. Z tego małżeństwa zrodziły się trzy córki. Z trzecią i czwartą żoną nie łączyły go więzy krwi, doczekał się więc synów. Młodszy przeszedł do historii pod imieniem Tutenchamona. Po raz piąty i ostatni Amenhotep ożenił się z własną córką – trzecią i najmłodszą ze związku z Nefretiti. Z tego małżeństwa też urodziła się córka, która zmarła w dzieciństwie. Prawa Amenhotepa do tronu nikt nie podważał, nie musiał więc zawierać kazirodzich małżeństw politycznych. Obaj jego synowie wstąpili jednak w związki małżeńskie z przyrodnimi siostrami. Pierwszy nie doczekał się dzieci, drugi – Tutenchamon – spłodził dwójkę, ale przyszły na świat martwe[30].

Reformy ustrojowe Amenhotepa miały krótki żywot, podobnie jak styl w sztuce i architekturze, któremu patronował. Jeśli historia o nim nie zapomniała, to tylko dlatego, że stał się archetypem Edypa – głównego bohatera tebańskich mitów, tragicznej postaci dramatu Sofoklesa – od którego wzięł nazwę kompleks, przez pierwsze trzydzieści lat XX wieku stanowiący fundament freudowskiej szkoły psychoanalizy.

Amenhotep w odróżnieniu od Edypa nie dopuścił się ojcobójstwa, wręcz postarał się zatrzeć wszelkie ślady swego pochodzenia. Niemniej jego biografia jest w wielu punktach zbieżna z historią Edypa. Obaj podjęli walkę z molochem władzy – Edyp ze sfinksem, Amenhotep z kapłanami, na obu ciążyła klątwa, obaj poślubili własne matki i obu spotkał dramatyczny koniec. Różnica może polegać tylko na tym, że Egipcjanin raczej nie cierpiał na kompleks winy, co nie przeszkodziło, że legenda Amenhotepa przeniosła się trzy tysiące lat temu na drugi brzeg Morza Śródziemnego i znalazła trwałe miejsce w dziedzictwie kulturowym Zachodu[31].

## **DRUGA NAJSTARSZA PROFESJA**

Jeśli pod słowem „profesja” rozumieć zespół czynności wykonywanych – jakbyśmy dziś powiedzieli – etatowo, to historyczne pierwszeństwo należy się szamanom i

czarownikom. Zawód prostytutki jest młodszy o tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy lat. U zarania historii wszakże oba zajęcia były biec wspólnym torem, bo gdy z nastaniem cywilizacji szamani i czarownicy przemienili się w kapłanów, prostytutki na wiele lat znalazły wygodną ostoję w świątyniach.

Materiałów źródłowych dotyczących seksu jako takiego jest niewiele, trzeba więc sięgać do literatury, historii medycyny, dziejów prawa. Ale prawo ma to do siebie, że skupia się na tym, z czym dane społeczeństwo się nie godzi. Podobnie medycyna – lekarzy bardziej interesują patologie niż stan normalny. W literaturze także więcej stron poświęcono przypadkom i osobom niezwykłym niżli tym, co otaczają nas na co dzień.

Na szczęście, od czasu do czasu znajdujemy coś, co tchnie prawdziwym życiem, choćby wbrew intencji autora. Przykładem może być *Poemat o Gilgameszu* – starobabiloński epos, składający się z dwunastu opowieści, które dają nam wgląd w życie i filozofię Sumerów i ich sąsiadów z około 2000 roku p.n.e. Gilgamesz – w dwóch trzecich bóg, w jednej trzeciej człowiek – to legendarny władca Uruku nad Eufratem, o którym poddani powiadali, iż „nigdy się nie uznoi – on, Gilgamesz, człowiek boleśnie radosny... Nie dopuszcza Gilgamesz miłośnicy do kochanka – córce mocarza do swego bohatera iść nie dozwoli” [tłum. Józef Wittlin]. Sprawa stała się na tyle kłopotliwa, że dobra bogini Aruru postanowiła interweniować. Aby odwrócić uwagę Gilgamesza od pań, stworzyła Enkidu – włochatą bestię, ale człowieka w istocie, co jął nękać mieszkańców Uruk. Gilgamesz – stary spryciarz – uznał, że lepszy będzie fortel niżli rozwiązanie siłowe, i miast wyprawić się na Enkidu, posłał... „nierządnicę ze świątyni miłości, dziecię rozkoszy”, aby odnalazła i poskromiła potwora.

Tak też się stało. Panienska udała się do Enkidu...

„Więc zwlekła niewiasta przepaskę ze swych piersi, odkryła wzgórze rozkoszy, iżby jej ciała zażywał. Bez fochów była powolna pochoci jego... Sześć dni, sześć nocy doświadczał Enkidu niewiasty; sześć dni, sześć nocy łączył się z nią w miłowaniu” [tłum. Józef Wittlin].

Gdy odpoczął, dziewczyna sprowadziła go w doliny, między ludzi.

W czasach Sumeru i Babilonii profesja kobiety do wynajęcia nie miała negatywnej konotacji. Za panowania króla Hammurabiego (ok. 1728-1686 p.n.e.) w świątyniach obok kapłanów, służby i rzemieślników funkcjonowały otaczane wyjątkowym

szacunkiem kapłanki, nierzadko z dostojnych rodów, oraz postrzegane jako święte prostytutki ułatwiające kontakt wiernych z bóstwami. Nie wiadomo dokładnie, w jakim celu stworzono instytucję świętej prostytucji. Można przypuszczać, że wywodzi się ona z dawnych obrzędów ku czci bóstw urodzaju. Pomijając proveniencję, zauważmy tylko, że zarobki świętych prostytutek stanowiły dość poważną pozycję w dochodach świątyni.

Instytucja utrzymała się długo. Jeszcze tysiąc lat po Hammurabim grecki historyk Herodot zdumiewał się liczbą świętych prostytutek. „Każda kobieta tego kraju – pisał – musi raz w życiu udać się do świątyni i oddać obcemu... Nie wolno jej wcześniej odejść do domu, zanim jakiś obcy mężczyzna nie rzuci jej srebrnej monety, a ona mu się odda poza obrębem świątyni... Kobieta nie ma prawa wyboru, musi pójść z pierwszym, który rzuci jej monetę. Gdy pójdzie i zlegnie z nim, wykona swoją powinność względem bogini i może udać się do domu”. Herodot nie powstrzymał się od komentarza: „Wysokie i przystojne wracają do domu dość szybko, brzydkie spędzają w świątyni wiele czasu, nim uda im się spełnić obowiązek określony prawem, Niektóre siedzą w świątyni trzy, nawet cztery lata”[32]. Pomijając zatroskanie Herodota, wypada stwierdzić, że prostytucja w Babilonii nie była zabawą dla amatorów, ale sprawą absolutnie profesjonalną. Nie ma żadnych dowodów, aby Babilończycy byli bardziej tolerancyjni wobec „pozaobowiązkowej” niewierności małżeńskiej aniżeli ich sąsiedzi. Ich paragrafy są równie surowe i jednoznaczne.

Wiemy, że istniały trzy kategorie świątobliwych nierządnic, nie wiemy jednak, czy były im przypisane jakieś specjalności. Pierwszą grupę, zwaną *harimtu* (wyraz należy do tej samej rodziny co *harem*), stanowiły – jak się wydaje – kobiety świeckie. Druga – *gadisztu* – gromadziła chyba kapłanki, a trzecia – *isztaritu* – oznaczała służebnice bogini Isztar. Zachowała się rada, a raczej ostrzeżenie, jakiego pewien Babilończyk udzielił synowi: „Nie bierz *harimtu* za żonę, bo mężów jej nie zliczysz, nie bierz też *isztaritu*, bo bogowie są jej przeznaczeniem”.

Dziewczęta trafiały do zawodu najczęściej z woli i za sprawą rodziców – pewnie dlatego, że było to tańsze rozwiązanie niż małżeństwo – ale wśród *harimtu*. bywały mężatki oddalone przez mężów lub takie, co same odeszły z domu. Świątobliwym nierządnicom nie wolno było podejmować innych zajęć ani wstępować w związki małżeńskie. Ta, która decydowała się na małżeństwo, automatycznie wychodziła z zawodu. Bywały takie, co porzucały pracę, aby zająć się dziećmi, których doczekały

się w świątynnej służbie, ale i takie, które trwały do końca na świątobliwym posterunku. Istnieje babilońska przypowieść o leciwej prostytutce, która nie godzi się, aby nazwano ją starą, skoro narzędzia pracy ma w absolutnym porządku[33].

Prostytutki wyższej klasy dysponowały pomieszczeniami w świątyni, reszta pełniła swoje powołanie na „ulicy, na skrzyżowaniach i w miejscach publicznych” – zwykle w tawernie, oberży blisko portu bądź dzielnicy handlowej. Oberżyści odprawiali specjalne modły do Isztar – bogini miłości – błagając ją o wstawiennictwo i nakłanianie klientów, aby odwiedzili ich „tawernę – wspaniałą nawet W tawernie trudno być świątobliwą. Wygląda więc na to, że oddanie się w służbę Isztar miało mniej więcej taką samą wartość jak dziś zawierzenie przez kierowcę swej osoby i pojazdu w opiekę św. Krzysztofowi – patronowi zmotoryzowanych[34]. Ale też nikt nie protestował, nikt nie miał za złe prostytutkom oferującym swoje usługi na rogach ulic. Więcej nawet – Asyryjczycy (i nie tylko oni) wręcz nakazywali nierządnicom aktywny marketing. „Zwykłej nierządnicy nie wolno nakrywać głowy (jak innym kobietom). Ma chodzić z odkrytym czołem. Kto by spotkał zwykłą nierządnicę z nakryciem głowy, mają zatrzymać... Dajcie jej pięćdziesiąt kijów, a jej głowę pomażcie smołą”[35].

Na tyle, na ile daje się ustalić, egipskie „nałożnice bogów” nie udzielały się seksualnie. Głównie ozdabiały swoją obecnością orszak królowej bądź księżnej, której przysługiwał tytuł „boskiej towarzyszki”. Herodot podkreśla, że „Egipcjanie jako pierwsi zakazali stosunków seksualnych w świątyniach, bo nie godzą się one z obrządkiem”[36]. Nie wdając się w dywagacje, czy rzeczywiście był taki zakaz i czy wynikał z etyki religijnej, wydaje się, że w Egipcie nie było społecznego zapotrzebowania na zorganizowaną prostytutkę. Od samego początku państwowości bogacze mieli tam do dyspozycji gromady pochodzących z innych plemion niewolnic, a biedni (zwłaszcza rzemieślnicy) żyli we wspólnotach i nie przejmowali się małżeńskimi formalnościami. Z pięciu kobiet, które wymienia jeden z dokumentów sądowych z epoki, cztery żyły w nielegalnych związkach i tylko jedna była w świetle prawa mężatką[37]. Usługi seksualne świadczyły także wędrowne trupy „tancerek i muzykantek”, traktując to jako dodatkowe zajęcie.

Żydzi, w których religii nie ma miejsca dla boginek[\*5], stale walczyli z obcymi wierzeniami, obyczajami, zwłaszcza kultem rozwiązłości. Taką wolę zawsze deklarowali, rzeczywistość bywała inna. Oto w Judei, niedługo po królu Salomonie,

„zaczął się w kraju nierząd sakralny. Postępowali według wszelkich obrzydliwości pogan, których Pan wypędził sprzed Izraelitów” (1 Krl 14, 24). Raz po raz trzeba było wszczynać moralne krucjaty przeciwko tym, co wymykali się do podejrzanych dzielnic (w Palestynie lokowano je tuż przy miejskich murach) i zadawali z kobietami lekkich obyczajów: „Kto z nierządnicami przestaje, dobra roztrwoni” (Prz 29, 3). Ale wbrew zakazom Żydówki też wstępowały do drugiego z najstarszych zawodów świata. Głównie – jak się wydaje – z przyczyn ekonomicznych, gdy nie miały innych możliwości zdobycia środków do życia. Przede wszystkim więc prostytutkami zostawały bezdzietne wdowy oraz kobiety opuszczone przez mężów. Klientów nie brakowało, bo tylko znakomitą mniejszość męskiej populacji było stać na konkubiny i utrzymywanie kilku małżonek, a męska żądza seksualnych nowości nie zna granic.

Nie wydaje się, aby kompilatorzy Starego Testamentu mieli jakiś szczególny powód, by nienawidzić prostytutki, jednak stronicie Biblii pełne są niechęci, a język, jakim się pisze o nierządnicach, graniczy z obscenicznym. W grę wchodziła pewnie polityka. W Księdze Ezechiela z nierządniczy czyni się synonim wszelkich grzechów Jerozolimy. „Były dwie kobiety, córki tej samej matki. Uprawiały nierząd w Egipcie – od młodości uprawiały nierząd. Tam już ściskano ich piersi i przygniatalo dziewicze ich łona”. Pod imionami nierządnic – Oholi i Oholiby, kryją się Samaria i Jerozolima. Ohola „nie poniechała swego nierządu z Egipcie, bo tam sypiali z nią w młodości jej i przygniatali dziewicze jej łono, oddając się z nią swoim czynom nierządny”. Dlatego, powiada Pan, „wydałem ją w ręce jej kochanków, w ręce Asyryjczyków, do których pałała miłością. Ci zaś odkryli jej nagość, zabrali jej synów i córki, a ją samą zabili mieczem, tak że stała się dla kobiet przestrożą, bo wykonano na niej wyrok” (Ez 23, 2–4, 9–10).

Paradoksem historii jest, że obscena skierowano przeciwko Jerozolimie, wspaniałej stolicy króla Salomona, patrona Pieśni nad pieśniami – cudownej poezji skomponowanej na okazję jednego z siedmiuset Salomonowych ślubów (Pnp 1, 13–15; 2, 10–12).

Mój miły jest mi woreczkiem mirry  
wśród piersi mych położonym.  
Gronem henny jest mi umiłowany mój  
w winnicach Engaddi.



O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja,  
jak piękna,  
oczy twe jak gołębice!  
Miły mój odzywa się  
i mówi do mnie:  
„Powstań, przyjaciółko ma,  
piękna ma, i pójdź!  
Bo oto minęła już zima,  
deszcz ustał i przeszedł.  
Na ziemi widać już kwiaty,  
nadszedł czas przycinania winnic,  
i głos synogarlicy już słyszać w naszej krainie...”[39]

---

[\*1] Jeszcze w XIX wieku w Europie lekarze uważali, że pod dotknięciem kobiety w czasie menstruacji szynka ulega zepsuciu.

[\*2] Niewykluczone, że pogląd ten zrodził się w tych samych kręgach lekarzy, którzy całkiem współcześnie zalecali obrzezanie jako skuteczny środek zapobiegający nowotworom męskich narządów płciowych. Jeszcze stosunkowo niedawno niemal wszystkich chłopców przychodzących na świat w szpitalach w USA pozbawiano napletka. Dziś słyszy się, że obrzezanie ma zapobiegać różnym schorzeniom przenoszonym drogą płciową, zwłaszcza infekcjom, które otwierają drogę wirusowi HIV.

[\*3] W dzisiejszym Izraelu mężczyźni z choćby nieznaczoną wadą organów płciowych nie wolno poślubić rodowitej Żydówki. Wolno mu wszakże wejść w związek małżeński z neofitką bądź osobą z nieprawego łoża.

[\*4] Podobny obyczaj obowiązywał w Indiach do początków naszej ery, a także wśród Inków w Peru, gdzie dotrwał do XV wieku.

[\*5] Tak było, choć dziś niektórzy protestanci, równie mocno związani ze Starym Testamentem jak Żydzi, czynią wysiłki, aby Jahwe wyrażał cechy obu płci. W czerwcu 1974 roku na spotkaniu Światowej Rady Kościołów w Berlinie amerykańska teolog profesor Nelle Morton wywodziła, że w starohebrajskim Boga nazywano *elohim*. Rdzeń Eloh to żeńska forma i oznacza boginię, końcówka *im* jest męską końcówką w liczbie mnogiej. Zdaniem Morton słowo *Jahwe* wywodzi się od nazwy jednej z bogiń Sumeru[38]. Brytyjska sufrażystka Emmeline Goulden Pankhurst (1858–1928) miała radzić swoim zwolenniczkom: „Módl się, dziecko, do Opatrzności, **ona** cię wysłucha”.

## 4. GRECJA

**S**tarożytna Grecja – kraina bez zmyy i skaży, czysty intelekt, ucieleśnienie piękna.

Tak jak z dostojnego Partenonu czas zmywał farbę, zostawiając nagi fryz, tak całe pokolenia badaczy klasyku wyprały wizerunek Aten ze wszystkiego co ludzkie. A to nieprawda, że starożytni zajmowali się wyłącznie filozofią i złotym podziałem odcinka. Gdyby tak było, w naszym słowniku nie zaistniałyby pojęcia: androginia, afrodyzjak, erotyzm, hermafrodytyzm, homoseksualizm, narcyzm, nimfomania, pederastia, satyriasis czy zoofilia. Słowa te mają grecką proveniencję, a opisy większości czynności i zjawisk, jakie wyrażają, znajdziemy choćby u Homera.

Nie tylko u niego, także u Hezjoda, Plutarcha, Pauzanasza – zawodowych kustoszy i brązowników greckich mitów, ale też twórców wspaniałego, żywego, śmiałego i niezbyt jednak moralnego świata, w którym bogowie i herosi z równym zapałem oddają się sprawom łóżkowym, co bohaterskim czynom, świata, w którym to, co zwyczajne i ludzkie, miesza się z tym, co ezoteryczne, w jedną niepodzielną całość. Ich strofy to elementarz, z którego ówczesna młodzież uczyła się trudnej sztuki czytania, ale także tolerancji i życia takim, jakim ono jest. Weźmy Afrodytę, boginię miłości zmysłowej, a mówiąc krótko – seksu[\*1].

Otóż nie jest prawdą, że zrodziła się niepokalanie z morskiej piany, jak przedstawił to Botticelli, bo Hezjod w Teogonii daje zupełnie inny obraz: Kronos – syn Uranosa, boga Niebios, i Gai, bogini Ziemi – wykastrował ojca, a jądra rzucił w morze. Uniosła je fala, a nasienie jęło się burzyć jak morska piana i z niej to właśnie zrodziła się Afrodyta, co później zległa z Hermesem i Dionizosem. Z pierwszego związku zrodziła się Hermafrodyta – dwupłciowe bóstwo, z drugiego – Priap, uosobienie męskości, z

fallusem w stanie permanentnej erekcji.

Równie jurni jak bogowie byli herosi. O Heraklesie, którego lud grecki podziwiał i czcił za siłę, odwagę i wytrwałość, powiada się, że jednej tylko nocy zdeflorował pięćdziesiąt dziewic. Kochał także inaczej, o czym świadczy jego romans z bratankiem Ionem i miłość do „urodziwego Hylasa”, za którego sprawą wycofał się z wyprawy do Kolchidy. Tezeusz – bohater Ateńczyków – uwiódł w swoim życiu tyle panien, co zabił potworów[1].

I herosi, i bogowie to z jednej strony pełnokrwiste postaci, z drugiej jednak nadludzie i przeciętny Grek nie mógł im się równać, co nie znaczy, że nie próbował przynajmniej częściowo zyskać ich przymioty.

Zwróćmy uwagę, że wszystkie postaci występujące w mitologii charakteryzuje nie tylko piękno ducha, ale i ciała. Konwencja ta przetrwa w zachodniej literaturze po lata pięćdziesiąte XX wieku, kiedy to, zwłaszcza w filmach, pojawi się wzorzec antybohatera. W pojęciu starożytnych Greków szlachetna dusza i piękne rysy stanowiły nierozłączną całość. Jedno warunkuje drugie, w pięknym ciele więc musi istnieć kryształowa dusza. Taki był aksjomat, z którym co prawda nie wszyscy badacze są gotowi się zgodzić, a jeszcze mniej zadało sobie trud zgłębienia jego korzeni. Wydaje się jednak, że jedność duszy i ciała to jakby przedłużenie, logiczne zwięźczenie tezy, iż wszystko, co nas otacza – rzeczy, zjawiska, świat materialny i metafizyczny – rządzi się prawami symetrii, w każdym razie piękno i symetria zdają się stanowić fundament greckiego oglądu rzeczywistości i... kamień węgielny wyjątkowej instytucji społecznej w starożytnej Grecji, jaką bez wątpienia była pederastia.

## MEŃCZYNA I CHŁOPIEC

W naszych czasach słowo „pederastia” ma negatywną konotację i najczęściej rozumie się je jako grzeszny pociąg starszych panów do niedojrzałych chłopców. W starożytnej Grecji wyrażało miłość mężczyzny do chłopca już po pokwitaniu, ale jeszcze przed okresem dojrzałości. „Dwunastolatek, co za wspaniałość – pisał Straton z Lampsaku. – Cudowniejszy jeszcze jest młodzieniec trzynaście mający lat, a jeszcze słodszy jest kwiat miłości co rozkwita w wieku lat czternastu, a piętnastolatek jest jeszcze czarowniejszy, a szesnaście lat to zaiste boski wiek”[2].

Związków homoseksualnych w dzisiejszym znaczeniu, a więc (najczęściej) związków dwóch dorosłych z tej samej mniej więcej grupy wiekowej, raczej nie znajdziemy w starożytnych Atenach, a stosunków z chłopcami w wieku przed pokwitaniem zabraniało prawo, podobnie jak w większości innych cywilizacji.

W czasach rozkwitu pederastii (VI–IV wiek p.n.e.) Grecy uparcie utrzymywali, że stanowi ona immanentną część wyższego wykształcenia. Teoretycznie wyglądało to tak, że młody człowiek po wyjściu ze zwykłej szkoły dostawał się pod opiekę dojrzałego mężczyzny, zwykle w wieku trzydziestu kilku lat, który odpowiadał za jego dalszy rozwój intelektualny i moralny, odnosił się doń uprzejmie, okazywał zrozumienie, serdeczność i miłość w najszlachetniejszym wydaniu, mając – jak twierdził Sokrates – jeden tylko cel: moralną doskonałość ukochanego podopiecznego[\*2].

Badacze klasyku mają różne poglądy na źródła pederastii w starożytnych Atenach, choć większość jest zdania, że zrodziła się ona najpierw w sąsiedniej Sparcie i stamtąd przeniosła do Aten. W Sparcie pederastii sprzyjał zmilitaryzowany ustrój i ścisła segregacja płci. W Atenach „import” ten trafił na podatny grunt otwartej na wszelkie nowinki elity społecznej i politycznej. Warto przypomnieć, że ateńską cywilizację, która później wpłynęła na kulturę całego Zachodu, stworzyło społeczeństwo stosunkowo skromne liczbowo. Owszem, Ateny miały imponującą jak na owe czasy liczbę ludności, jeśli jednak odliczyć niewolników i cudzoziemców, zostaje ledwie 30 tysięcy obywateli, którzy sprawowali rządy w *polis*. Do IV wieku p.n.e., kiedy Ateny popadły w swego rodzaju polityczny letarg, każdy obywatel, który miał czas i ochotę, mógł wystąpić na forum Zgromadzenia i wyrazić swoje zdanie o wszystkim, o czym debatowano. Spośród uprawnionych co roku wybierano pięćsetosobową radę. Władzę sądowniczą sprawował trybunał w składzie stu jeden bądź (w zależności od wagi sprawy) tysiąca jeden sędziów. Uczestnictwo w podejmowaniu decyzji w sprawach publicznych poczytywano sobie za obywatelski obowiązek i Ateńczyk był gotów na jego rzecz zrezygnować z wielu przyjemności, ponieważ z wykonania obywatelskich powinności czerpał ogromną satysfakcję, a przede wszystkim przywiązywał wielką wagę do swojej obywatelskiej reputacji i liczył się z opinią rodaków. Jak trafnie zauważył jeden z historyków, Ateńczyk był ambitny, a i chętnie naśladował innych[3]. W tak małej społeczności, w której wszyscy wszystkich znali, jeśli nie osobiście, to z widzenia, wystarczyło, że prominentny

obywatel pokazywał się w towarzystwie młodego, przystojnego ucznia, aby stworzyła się moda, a w konsekwencji obyczaj. Ze związku mistrza z uczniem korzystały obie strony. Im przystojniejszy był uczeń, tym szlachetniejszy musiał być jego umysł, a głęboki umysł dobrze świadczył o mistrzu. Z drugiej strony, im wybitniejsza była pozycja mistrza, tym więcej chwały spływało na chłopca, co oddał się doń na naukę, a próżni byli jednakowo – mistrz i uczeń.

Uczone spory dotyczą również kwestii, czy pederastia w greckim wydaniu miała wyłącznie charakter duchowy, czy także cielesny. Badacze przyjmujący biblijny punkt widzenia na homoseksualizm radzi by byli postrzegać to zjawisko w kategoriach czystych związków duchowych. Twierdzą więc, że cielesność w wypowiedziach filozofów to metafora, a nie odbicie rzeczywistości. Ale fakty są faktami, żeby wspomnieć choćby Alkibiadesa – ucznia Sokratesa. Oto zdarzyło mu się, gdy przybył na ucztę, ujrzeć swojego mistrza w objęciach gospodarza.

„Takżeś sobie wyrachował, żeby dostać miejsce obok najpiękniejszego w całym towarzystwie – rzekł ze złością. Na co zirytowany Sokrates zwrócił się do gospodarza w te słowa:

– Agatonie, zmiłuj się, pomóż, bo ta miłość tego człowieka to rozpacz doprawdy. Odkąd się w nim zakochałem, już mi nie wolno nigdy ani spojrzeć, ani pogadać z nikim ładnym. On i o mnie zazdrosny i mnie zazdrości, wyprawia sceny, łaje, dobrze, że nie bije”[4].

Dialog dość wyrazisty, ale można go odczytać jako metaforę, ciąg dalszy także, choć brzmi jeszcze dosadniej. Alkibiades opowiada bowiem, że gdy położył się obok Sokratesa i próbował go objąć, poniósł klęskę: „Najprzebieglejsze z mojej strony wysiłki tylko wzmogły jego triumf... Zlekceważył «kwiat» mojej urody, zignorował, wręcz obraził”[5]. Jeśli przyjąć, że Sokrates manifestował li tylko swoją intelektualną przewagę i chciał udzielić lekcji uczniowi, to zadał sobie niebywale dużo trudu.

W istocie najważniejsze w tym dialogu jest co innego. Zwróćmy uwagę, że Alkibiades szczerze i otwarcie opowiada o próbie uwiedzenia mistrza. Właśnie fakt, że czyni to bez najmniejszej żenady, pozwala stwierdzić, iż pederastię w fizycznym tego pojęcia znaczeniu traktowano jako zwyczajny temat konwersacji, przynajmniej w kręgu przyjaciół Sokratesa.

Sam Sokrates wyżywał się wyłącznie w słowie mówionym, nie zostawił żadnych tekstów. Wszystko, co wiemy o nim i jego nauce, pochodzi z drugiej ręki, od takich

pisarzy jak Ksenofont, Platon czy Atenajos, którzy jednak mieszały prawdę ze zwyczajnymi plotkami. Niektóre ich opowieści budzą uzasadnione podejrzenia. Zwolennicy szkoły miłości intelektualnej czy miłości dusz twierdzą, że Sokrates na forum publicznym potępiał miłość cielesną, że Platon głosił wyłącznie chwałę miłości czystej, a Arystoteles wręcz uważał, że pederastię należy wyjąć spod prawa.

Oponenci mniej skłonni do stosowania judeochrześcijańskich norm moralnych są zdania, że intelektualizacja seksu na taką skalę jest co najmniej nieprawdopodobna. Ateńczycy ani nie stronili od kontaktów fizycznych, ani nie byli wobec nich obojętni. Raczej przeciwnie, skoro z lubością i tłumnie nawiedzali *gimnazjony*, w których młodzi chłopcy, nadzy jak ich Bóg stworzył, biegali, skakali, brali się za bary, rzucali oszczepem, połyskując namaszczone oliwą skórą i obnosząc penisy z przewiązanym kusząco napletkiem. Homoseksualizm z udziałem nastolatków jest zjawiskiem nader powszechnym nawet w społeczeństwach, w których nie brak niewolnic i prostytutek, czyniących to, czego nie wolno pilnie strzeżonym córkom bogatych rodów. Większość znanych w historii społeczeństw i cywilizacji starała się albo ignorować zjawisko, albo je penalizować I tylko starożytni Grecy oraz piętnastowieczni Majowie na Jukatanie nadali pederastii formę instytucjonalną.

Nie można wykluczyć, że grecka pederastia, jak średniowieczne bajki o dworskiej miłości, mieści się kategorii sentymentalnych ideałów, co to w teorii są kryształowe i nieskalane, a w praktyce wyglądają całkiem inaczej. Nawet Platon przyznawał, że uczucia mają nie tylko duchowy charakter, pisząc o „przysięgach wypowiedzianych przez kochanków, o nocach spędzanych na progu u ukochanego, o poniżeniach, jakich odeń się doznaje”[6]. A Arystofanes wręcz się naigrawał. W *Ptakach* jedna z postaci taką oto wznosi skargę:

Z moim synem

Źle się obszedłeś, gdy wracał z boiska,

Aniś poklepał, aniś go uściskał,

Ani przygarnął, ani podmacał z dołu[7].

[tłum. Artur Sandauer]

Ciekawe, że Sofokles skazał Edypa na straszny los z powodu klątwy ciężącej na jego ojcu za to, że zakochał się w pięknym chłopcu. Ciekawe, bo sam Sofokles



najlepiej chyba wiedział, że pederastia nie jest zbrodnią, nie jest nawet tragedią, jeśli już to farszą, jak świadczy jego własna biografia[8].

Nie sposób jednak odróżnić autentycznych czy – jak kto woli – zgodnych z założeniem układów mistrz–uczeń od fałszywych, a więc takich, co w istocie miały inną treść, i na tym chyba zasadza się największa trudność w ocenie zjawiska greckiej pederastii. Zapewne istniały autentyczne związki, w których mistrz-filozof poświęcał się wychowaniu i kształceniu ucznia i darzył go serdecznymi uczuciami, bo historia zna tego typu przypadki. Dość wspomnieć o średniowiecznej Arabii bądź o rozmaitych grupach odrodzenia duchowego, w których głosi się chwałę miłości idealnej. Zdarza się sublimacja uczuć, kiedy pociąg fizyczny przeradza się w czystą adorację. Ale nie brak też cyników i – jeśli oprzeć się na dowodach w postaci malarstwa wazowego – można przyjąć, że wśród Ateńczyków ich nie brakowało.

Generalnie rzecz biorąc, greckie malowidła wazowe przedstawiają dwa rodzaje stosunków homoseksualnych. Pierwsze to stosunki analne z udziałem partnerów z mniej więcej tego samego przedziału wiekowego. Grecki medyk z epoki wyjaśniał, że niektórzy mężczyźni czerpią satysfakcję z tego sposobu uprawiania miłości, co jego zdaniem wynika ze szczególnej wrażliwości, a przeto podatności na ruchy frykcyjne, tkanek wewnątrz rectum[9]. Częściej spotyka się inny rodzaj stosunków, kiedy aktywny uczestnik wsuwa członek między uda biernego partnera. W roli aktywnego partnera bądź inicjatora zwykle występuje starsza osoba, wyobrażana często w błagalnej pozie, w skłonie, z opuszczoną głową. Młodszy partner przeciwnie – stoi wyprostowany, nierzadko z miną, jakby brzydziły go awanse starca[10]. W malowidłach trudno dopatrzeć się apoteozy związków typu mistrz–uczeń, nauczyciel–podopieczny. Jeśli odrzucić tezę, że powstały one na zamówienie młodego aroganta, który chciał się uwiecznić w momencie triumfu, a odrzucić trzeba, bo to teza nieprawdopodobna, należy przyjąć, że artyści przedstawiali sceny z życia i szydzili z podstarzałych pederastów mniej więcej tak, jak na całym świecie kpi się ze starzejących się lowelasów uganiających się za młodymi ciałami.

Przeciętny Ateńczyk odnosił się więc do pederastów bez specjalnego entuzjazmu, ale jednocześnie emocjonował się romansami na wysokim szczeblu, które nierzadko prowadziły do kryzysów politycznych. Archelaos Macedoński, Aleksander Pogrobowiec, syn Aleksandra Wielkiego, Periander z Ambrakii (Arty) czy Hipparch, syn Pizystrata z Aten, polegli z rąk pięknych chłopców, z którymi romansowali bądź



(Periander) próbowali romansować. Wszyscy też byli tyranami, przeto morderstwa nabierały znaczenia politycznego, a kochający inaczej sprawcy chodzili w glorii bojowników o wolność i swobody obywatelskie. Zjawisko zresztą miało szerszą skalę. W Sparcie, a także na Eubei i w Tebach kojarzono pederastię z *Virtutis militaris*. Platon (mimo uprzedzeń) pisał: „...Gdyby to można było stworzyć państwo lub wojsko złożone z miłośników i oblubieńców... Tacy, choćby ich mało było, zwyciężaliby pewnie cały świat. Bo mężczyzna, który kocha... wolałby raczej sto razy zginąć, [niż] opuścić oblubieńca albo mu nie pomóc w niebezpieczeństwie – toż nie ma takiego tchórza, którego by sam Eros męstwem wtedy nie natchnął, tak żeby dorównał najtęższemu z natury”[11]. Słynny Święty Hufiec tebański składał się wyłącznie z zakochanych w sobie męskich par. Okrywał się sławą przez 33 lata, poległ dopiero pod połączonymi siłami króla Filipa i Aleksandra Macedońskiego w bitwie pod Cheroneją [w roku 338 p.n.e. –*przyp. tłum.*]. Z trzystuosobowego składu nie ocalał nikt.

Na takiej płaszczyźnie pederastia z pewnością znajdowała akceptację. Nawet ci, co nigdy nie wchodzili w tego typu związki, okazywali co najmniej zrozumienie. Ale związki męsko-męskie miały także inny, mniej – nazwijmy to – szlachetny wymiar.

Agaton, wielki tragik ateński, zapewne nie budził ani zdziwienia, ani obrzydzenia przyjaciół z bohemy, gdy zjawiał się odziany w damskie szaty – szafranowy chiton, narzutkę – z siatką na włosach i w koturnach. Ale prostytuujący się chłopcy w damskich sukniach i pełnym makijażu byli uważani za bezwstydników i budzili obrzydzenie. „Łatwiej ukryć pięć słoni pod pachą niż takiego jednego” – brzmiało ateńskie porzekadło, wyrażające chyba przyganę. A chłopcy zawodowcy oferowali się na godziny albo umawiali na dłuższe okresy. W zapisach sądowych zachowała się sprawa niejakiego Teodota. Jeden z jego klientów-kochanków oskarżył innego o świadome naruszenie nietykalności cielesnej młodzieńca, za co wedle ówczesnych (początek IV wieku p.n.e.) praw groziła banicja i konfiskata majątku[12]. W grę wchodziła zapewne zazdrość i nie był to chyba odosobniony wypadek, bo młodzi na brak klientów nie narzekali.

Banicja i konfiskata to nie jedyne kary, a naruszenie nietykalności cielesnej chłopca nie jedyne przestępstwo obyczajowe ścigane z całą surowością. Na początku VI w. p.n.e. Solon – wielki prawodawca, mędrzec i... pederasta – żądał kary śmierci dla każdego dorosłego mężczyzny, który bez wyraźnego i legalnego powodu wkroczy na

teren szkoły (a więc między chłopców w wieku przed pokwitaniem). Surowość kary implikuje, że pederastia w dzisiejszym znaczeniu tego słowa nie była czymś nieznanym. Za przestępstwo karane z mocy prawa Solon uznał również kontakty niewolnika z chłopcem wolno urodzonym. Zapewne nie chodziło o niewolników nauczycieli, a skoro zaistniał paragraf, wcześniej musiał być powód. Przestępstwem było także namawianie chłopca do świadczenia usług seksualnych. Winnego pozbawiano na zawsze praw obywatelskich[13]. Przy całej surowości przepisów prawa karano tylko osoby złapane na gorącym uczynku.

Dwa stulecia znaczone pederastią należą do najwspanialszych okresów w historii klasycznej Grecji, co wcale nie znaczy, że między homoseksualnym rozpasaniem a rozkwitem kultury istnieje bezpośredni związek. Nie wydaje się też do przyjęcia argument, że gdyby pederastia została zepchnięta do podziemia, to na zasadzie sublimacji powstałyby jeszcze wspanialsze dzieła ateńskiej sztuki i jeszcze bardziej zdumiewające rozmachem budowle. I nie mieliby racji ci, co chcieliby twierdzić, że ateńska kultura rozkwitła w klimacie obyczajowej swobody, że homoseksualiści, ciesząc się pełną tolerancją, mogli się realizować twórczo. Bo to trochę nie tak. Partenon na przykład nie był dziełem jednego człowieka czy ekskluzywnej grupy. Przy budowie pracowały tysiące ludzi – zwykłych zjadaczy chleba, rzemieślników, którzy nie mieli nic wspólnego z elitarnymi modami na takie czy inne związki erotyczno-towarzyskie. Zamówień na rozmaite czynności związane z budową udzielano naprawdę szeroko. Wiemy na przykład, że pewien Ateńczyk prowadzący jednoosobową firmę – jak dziś byśmy powiedzieli – dostał zamówienie na zwiezenie dziesięciu fur marmuru z Pentelikonu. Inny, zatrudniający dwóch pracowników i trzech niewolników, został zakontraktowany do rzeźbienia jednej z kolumn. Niewiele wiemy o prywatnym życiu głównych budowniczych – Fidiasza, Iktinosa i Kalikratesa. Nie należeli jednak do elity, pewnie więc nie zaprzęтали sobie głowy chłopcami. Praksyteles – ostatni z wielkich artystów epoki – zdecydowanie przepadał za kobietami, a najbardziej za Finre, głośną kurtyzaną, którą uwiecznił jako Afrodytę z Knidos.

W podsumowaniu, jak się wydaje, można powiedzieć jedno: ukształtowana pod wpływem – nazwijmy to – oświatowej pederastii postawa Ateńczyków sprzyjała rozwojowi kultury. Wydaje się też, że bez niej – w greckim wydaniu – bez jej wpływu na życie umysłowe filozoficzny fundament zachodniej cywilizacji byłby znacznie

uboższy. „Nie sposób dziś określić – zauważył hiszpański humanista i myśliciel Jose Ortega y Gasset – jak dalece idee Platona wniknęły w podstawy współczesnej cywilizacji zachodniej, ale przecież zwykli, szarzy ludzie na Zachodzie do dziś posługują się platońskimi pojęciami”. Robert Flaceliere, francuski myśliciel i zdecydowany przeciwnik pederastii, pisał, że „tezy Platona zachowałyby dokładnie tę samą wagę i wartość, gdyby zbudowano je na fundamencie orientacji heteroseksualnej”[14]. To stwierdzenie jest unikiem. Platon, który nigdy się nie ożenił, ale w swym długim, osiemdziesięcioletnim życiu miał wiele „namiętnych przyjaźni”, zapewne nie rozwinąłby swej teorii miłości, gdyby nie przepajająca jego epokę atmosfera pederastii.

## WCALE NIE GORSZE

„Kobiety wcale nie są gorsze od mężczyzn” – stwierdził Sokrates, uprzejmie dodając, co już nie było tak miłe, że wszystko, czego „kobietom trzeba, to odrobinę więcej kondycji fizycznej i energii umysłowej”[15]. Ale i tak Sokrates był niezmiernie hojny w swoim komplementach, bo generalnie rzecz biorąc, starożytni Grecy nie mieli wysokiego mniemania o kobietach, a te – zwłaszcza gdy w modzie była pederastia – odpłacały się pięknym za nadobne.

Trudno ocenić, jaki wpływ miała pederastia na stosunek Ateńczyków do kobiet. Niektórzy uczeni w ogóle uważają, że w istocie jest sprawą bez głębszego znaczenia. Krótkowzroczna to opinia i nie do przyjęcia, pomija bowiem fakt, że zjawisko mające dość szeroki zasięg nie mogło nie wywierać wpływu na inne obszary życia. Według niektórych badaczy epoki Grecy niemal od zarania swojej cywilizacji traktowali kobiety z pogardą, czemu zaprzeczają inni.

Ale temu ostatniemu pogładowi przeczy grecka literatura. Kobieta w starożytnej Grecji zajmowała pozycję wyraźnie niższą niż mężczyzna. Takie stosunki – wedle niektórych opinii – miały się ukształtować pod wpływem nieokrzesanych Dorów, którzy w drugim tysiącleciu przed naszą erą zaczęli napływać do Grecji od północy. Nie jest to jednak pogląd zbyt przekonujący, bo w skupiskach Dorów kobiety traktowano ze znacznie większą atencją niżli w Atenach. Ludzie obwiniający o wszystko Dorów czynią to pewnie w szlachetnym porywie, aby usprawiedliwić

Ateńczyków i ich naganną postawę wobec drugiej płci.

Faktem jest, że prawna i polityczna pozycja kobiet w Atenach nie różniła się wiele od pozycji niewolników. Przez całe życie kobieta podlegała władzy mężczyzny, jak nie ojca, to męża, jak nie męża, to krewnego, uważanego za głowę rodu. Dziewczyny nie miały prawa do edukacji, większość czasu spędzały w zamknięciu wśród innych niewiast, a za mąż wychodziły wedle woli mężczyzn. Mężatki rzadko zasiadały do wspólnego stołu z mężami, a nigdy, kiedy małżonek podejmował gości. Rzadko też wychodziły z domu, nigdy jednak same, ale z osobą towarzyszącą. Nie wolno im było zabierać ze sobą więcej niż trzy sztuki odzienia i nie więcej jadła, niż można było kupić za obola, czyli kanapkę i kubek mleka, gdyby przeliczyć na dzisiejsze ceny. Jeśli już kobieta musiała wyjść z domu po zmierzchu, mogła się poruszać wyłącznie powozem, i to koniecznie oświetlonym[16].

Nie było mowy o zawarciu znajomości z jakimkolwiek mężczyzną. Całe męskie otoczenie kobiety ateńskiej to mąż i krewni. U Plutarcha znajdujemy zabawną, ale wymowną opowieść o pewnym władcy imieniem Hieronim. Otóż zrobił on kiedyś małżonce awanturę, że nie zwróciła mu uwagi, iż ma bardzo nieświeży oddech, a właśnie się o tym dowiedział. „Wydawało mi się, że wszyscy mężczyźni tak wonieją” – odpowiedziała małżonka[17]. Mąż miał prawo oddalić żonę bez specjalnych powodów, a wręcz obowiązek to uczynić, gdyby jakimś sposobem dopuściła się cudzołóstwa. Żonie przysługiwały znacznie mniejsze prawa. Teoretycznie mogła wystąpić o rozwód, ale tylko w razie jakiegoś wielce nagannego czynu męża, a za taki nie uważano zdrady małżeńskiej ani z obcą damą, ani z chłopcem[\*3].

Zwolennicy innej szkoły myślenia uważają, że kobiety w starożytnej Grecji wcale nie miały tak źle. Przyznają, że prawo nie było po ich stronie, ale korzystały z określonych swobód. Mogły na przykład chodzić do teatru, odwiedzać pracownie rzeźbiarskie, brać udział w Tesmoforiach – kilkudniowych kobiecych imprezach, o których mężczyźni szeptali, że wyprawia się tam niestworzone rzeczy. Eurypides, którego Sofokles uważał za antifeministę (w swoich sztukach wyjątkowo wrednie przedstawiał kobiety), a jednocześnie za wielce sobie ceniącego damskie towarzystwo w łóżku[18], stale zrędził, że kobiety nic tylko plotkują, że bez przerwy coś tam sobie szepczą, a co gorsza, gadają nawet w obecności mężczyzn. Oskarżyciel w procesie prostytutki zwrócił się do sędziów w te słowa: „Uniewinnicie tę kobietę, pójdziecie do domu i cóż powiecie waszym żonom i córkom... Opowiecie o sprawie i o tym, jak

wnikliwie ważyliście za i przeciw, a wasze kobiety zapytają: I co postanowiliście? Uniewinniliśmy ją – odpowiedcie! A to jakby dolać oliwy do ognia!”<sup>19</sup> Status kobiet ateńskich nie różnił się pod względem prawnym i miejsca w społeczeństwie od statusu niewiast w Babilonii, Egipcie i w społecznościach hebrajskich. To prawda, że w dziedzinie filozofii, sztuki, polityki Grecy grali na wysokiej nucie, ale w sprawach bardziej przyziemnych wcale się nie popisali. Zresztą w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą kobiety wszędzie traktowano jak przedmiot, i nie zmienia generalnego obrazu fakt, że nieliczne zdołały się mimo wszystko przebić. Grecy wszystkie kobiety bez względu na wiek i stan rodzinny określali słowem gyne, co dosłownie znaczy „nosicielka dzieci”.

Jest jeszcze coś, na co warto zwrócić uwagę. Otóż jeśli w Babilonii i starożytnym Egipcie mówiono o kobietach z... przekąsem, jeśli Hebrajczycy potępiali awanturnice (czyli niewierne małżonki) i kurtyzany, to Grecy poszli jeszcze dalej. Do III wieku p.n.e. wszystkie bez wyjątku kobiety mieli za istoty nierozumne, obarczone kompleksem seksu i moralnie ułomne. Dlaczego? No cóż – nierozumne, bo odmawiano im prawa do oświaty, z kompleksem seksu, bo skarżyły się, że mężowie rzadko z nimi sypiają, moralnie ułomne, bo miały pretensje do mężczyzn, że marnują czas na filozofowanie i popisy w Zgromadzeniu, zamiast zarabiać na życie. Z całą pewnością harmonia domowego ogniska nie należała do cech charakterystycznych starożytnej Grecji.

W greckich tragediach występuje wiele kobiecych postaci. Jest więc Klitajmestra – zabójczyni męża, jest Medea, co zabiła brata i poćwiartowała własne dzieci, jest Fedra, co rzuciła fałszywe oskarżenie na pasierba i z rozpacz popeliła samobójstwo, jest Elektra – współwinna matkobójstwa. Nawet pozytywne postaci mają wady. Afrodyta – piękna bogini miłości – była straszną złośnicą. Helena trojańska, najbardziej pożądana z kobiet, była chytra, zimna i próżna. Wierna Penelopa, przez dwadzieścia długich lat czekająca na niezbyt wiernego męża, też miała feler, bo po takim okresie leżenia odłogiem żaden Grek nie dałby jej szans na sukces w małżeństwie. Bohaterska niby Alkestis, co oddała życie za męża, to zwyczajny podnóżek.

Tak to widzieli Ateńczycy. Za Alkestis nie daliby złamanego obola, bo ich nudziła, ale mieć ją za żonę, to co innego. Hezjod, wieśniak z Beocji i poeta, którego współcześni z VIII stulecia p.n.e. cenili niemal równie wysoko jak Homera, wyjaśnił

sens i cel małżeństwa. „Ten, kto nie wstępuje w związki małżeńskie chcąc uniknąć nieszczęść, jakie kobieta sprowadza, nie będzie miał na kim się wesprzeć na stare lata, bo nie doczeka się dzieci... Z drugiej strony szczęśliwy los może sprawić, że ten, co musi wstąpić w związki małżeńskie, doczeka się rozsądnej i dobrej żony. Ale nawet on przekona się, że zło przeważa nad dobrem”. Hezjod zalecał, aby mężczyzna (jeśli już) zenił się w wieku trzydziestu lat. Kobieta wchodząca w związek małżeński winna mieć szesnaście lat. Ale generalnie rzecz biorąc, „lepiej kupić kobietę, niż się z nią zenić, bo pochodzącą z zakupu można w razie czego zaprząć do pługa”[20].

Ani cienia romantyzmu i sentymentu. Inny żonkoś – Ischomachos – mówi do swojej świeżo poślubionej, czternastoletniej małżonki: „Mógłbym oczywiście wziąć inną białogłową, aby dzieliła ze mną łóżce, i jestem pewien, że zdajesz sobie z tego doskonale sprawę. Ale zastanowiwszy się, rozpatrzywszy wszystkie możliwe kandydatki do prowadzenia domu i opieki nad dziećmi, wybrałem cię, a twoi rodzice mnie, też spośród wielu kandydatów”.

Ateńska definicja dobrej małżonki nie różni się od hebrajskiej. Tak więc dobra żona musi być wierna, cnotliwa, rozsądna, musi prząść, tkać i szyć, umieć zarządzać gospodarstwem, wyznaczać zadania służbie, oszczędnie zawiadywać finansami i majątkiem męża, no i oczywiście rodzić dzieci. Aby ten obowiązek spełnić, powinna sypiać z mężem „przynajmniej trzy razy w miesiącu”[21].

Gdyby ówczesnemu Grekowi dane było znać opinię Rudyarda Kiplinga, że „kobieta to kobieta, ale dobre cygaro to dopiero coś”[22], podpisałyby się pod nią obiema rękami. Grek był niechętny kobietom i równie niechętnie odnosił się do instytucji małżeństwa, a że jednocześnie męska populacja wysiekała się nawzajem w licznych wojnach, w Grecji wystąpiło zjawisko chyba bez precedensu w historii naszego gatunku, mianowicie nadwyżka niezamężnych kobiet. Przybrałaby ona wręcz katastrofalne rozmiary, gdyby nie zakorzeniony obyczaj dzieciobójstwa, którego ofiarami padały głównie dziewczynki. W Sparcie zabijano również chłopców, ale Sparta stanowiła swego rodzaju wyjątek, ściśle kontrolując nie tylko liczebność, ale i jakość materiału ludzkiego. Wszystkie nowo narodzone dzieci poddawano urzędowym oględzinom. Słabe, chore i źle rokujące porzucano w rozpadlinach na zboczach Tajgetu, gdzie kończyły swój krótki żywot.

Od połowy X do końca VII wieku p.n.e. zwłaszcza Ateny borykały się z nadmiarem ludności. Był to rezultat wielkiej wędrówki ludów, zapoczątkowanej naporem Dorów.



Problem zaczął tracić na ostrości, gdy około 750 roku p.n.e. zaczęła się kolonizacja zamorskich ziem, co nie znaczy, że przestał istnieć. Niewykluczone więc, że zjawisko pederastii i niechęci do kobiet było podświadomą próbą ograniczenia populacji do pożądanych rozmiarów. Arystoteles pisał, że na Krecie pederastię ujęto w pewne normy prawne jako instrument kontroli procesów demograficznych[23]. Ze swej strony wzywał do ograniczania przyrostu naturalnego. Postulował, aby państwo określało liczbę dzieci w rodzinie. Zalecał też stosowanie mieszanki oliwy z oliwek, olejku cedrowego, gumy arabskiej i pasty ołowiowej jako skutecznego środka antykoncepcyjnego. Mieszkankę tę należało „umieścić w łonie, w miejscu, gdzie gromadzi się nasienie”. Dwa tysiące lat później Marie Stopes potwierdziła w badaniach laboratoryjnych antykoncepcyjne właściwości oliwy z oliwek[24].

Wydaje się jednak, że mieszkanki Aten nie miały szczególnej potrzeby uciekania się do środków antykoncepcyjnych, nie mówiąc już o aborcji. Mężowie rzadko je nawiedzali, a bywało, że w ogóle nie interesowali się swoimi ślubnymi. Kobiety całe swoje niewyżyte uczucia przenosiły na synów (jeśli doczekały się potomstwa). Podnosiły ich pod niebiosa, idealizowały, a jednocześnie lżyły najgorszymi słowami. Dorosły człowiek może zrozumieć taką huśtawkę uczuć, dziecko na pewno nie[25]. Rosły więc pokolenia Greków święcie przekonanych, że kobiety są z natury nieprzewidywalne, niezgłębione i lepiej nie mieć z nimi nic wspólnego.

Plutarch szydził ze Spartan i ich modelu małżeństwa. Spartański małżonek z zasady był skoszarowany i z rzadka tylko wykradał się do żony[\*4]. Bywało więc, że dzielny mieszkaniec Sparty zostawał szczęśliwym ojcem, nie wiedząc nawet, jak małżonka wygląda w świetle dnia[27]. Niewykluczone, że podobny model funkcjonował w Atenach. I tu, i tam rodzin z dużą liczbą dzieci praktycznie nie było, chyba że wśród biedoty, ale o biedocie historia milczy, daje tylko do zrozumienia, że do upadku wspaniałej kultury antycznej przyczynił się nie nadmiar ludności, ale przeciwnie – zbyt mała jej liczba.

## **SAMOZASPOKOJENIE**

Nie wszystkie zaniedbywane małżonki wyłącznie lamentowały.

Niektóre znajdowały sobie pocieszycieli, korzystając z pomocy licznych



zawodowych stręczycielek. Większość jednak – jak się wydaje – uciekała się do mniej ryzykownych sposobów zaspokojenia naturalnych popędów, do masturbacji lub pocieszania w objęciach innych kobiet. (Warto przy okazji zauważyć, że słowo „homoseksualizm” nie wywodzi się od łacińskiego *homo*, czyli człowieka, ale od greckiego przymiotnika *homos* – tożsamy, identyczny.)

Grecy nie widzieli w masturbacji niczego zdrożnego, postrzegali ją raczej jako wentyl bezpieczeństwa. W literaturze z epoki, zwłaszcza w komediach attyckich, znajdujemy sporo wzmianek o praktykach onanistycznych, głównie mężczyzn, co świadczy, że autorzy przed III wiekiem p.n.e. niewiele wiedzieli – i pisali – o tym, co kobiety robią w zaciszu swoich sypialni. To zaś, co robiły, walnie przyczyniło się do rozkwitu miasta o nazwie Milet.

Milet, bogaty ośrodek handlowy w Azji Mniejszej, był największym w ówczesnym świecie centrum produkcji wielce poręcznego instrumentu, zwanego przez Greków *olisbos*, co we współczesnej angielszczyźnie przekłada się na *dildo*, czyli – wedle uczonej definicji – „substytut *membrum virile*”, a w przekładzie na język powszechnie zrozumiały oznacza sztuczny członek. Wyrabiano go z drewna bądź wypchanej skóry, a przed użyciem obficie namaszczano oliwą z oliwek. Wśród zabytków literatury z III wieku p.n.e. znajdujemy m.in. krótką sztukę sceniczną, w istocie dialog dwóch młodych dam, tyczącą owego narzędzia. Jedna z pań zwie się Metro, druga Korito. Ta pierwsza zwraca się do drugiej o wypożyczenie... no właśnie – sztucznego członka. Niestety Korito pożyczyła już go innej przyjaciółce, a ta puściła dalej w obieg. Zrozpaczona Metro pyta, gdzie mogłaby nabyć przyrząd. Korito poleca szewca imieniem Cerdon, co nie wzbudza entuzjazmu przyjaciółki. Zna ona bowiem dwóch mistrzów dratwy o tym imieniu, ale „żadnemu nie powierzyłaby tak odpowiedzialnego zadania”. Korito chwali jednak swego dostawcę, zachwyca się wspaniałą robotą i przekonuje Metro, aby złożyła u Cerdona stosowne zamówienie. Metro daje wiarę przyjaciółce i oddala się, aby obstałować sobie upragniony *olisbos*[28].

*Olisbos* wykorzystywano nie tylko w samotności i w pojedynkę, bo wielce sobie ów przyrząd ceniły damy uprawiające miłość lesbijską – *tribadię* – jak nazywali to ówczesi. Wedle Ateńczyków siedliskiem *tribadii* była przede wszystkim Sparta. Plutarch zauważył nawet, że „w Sparcie miłość jest w takiej cenie, iż nawet najbardziej szanowane damy durzą się w dziewczynach”[29]. Plutarch nie dostrzegął jednak żadnej paraleli między spartańską *tribadią* a ateńską pederastią. Drugim

siedliskiem *tribadii* była ponoć wyspa Leukadia. W każdym razie pierwsza ilustrowana książka ukazująca rozmaite sposoby uprawiania *tribadii* przypisywana jest niejkiej Filanis, mieszkance Leukadii.

Ale za główny ośrodek *tribadii* uchodzi oczywiście Lesbos – wyspa, na której „namiętna Safona nuciła miłosne pieśni”.

O Safonie, niestety, wiemy niewiele i niewiele też zachowało się z jej twórczości. Pisała w trudnym, wyspiarskim dialekcie, który sprawiał wiele kłopotów helleńskim i rzymskim kopistom. Na Lesbos miała prowadzić szkołę dla wysoko urodzonych dziewcząt (co wskazuje, że ojczyzna Safony wyprzedzała Ateny w edukacji kobiet).

Współcześni cenili i wielbili jej talent poetycki do tego stopnia, że zwali ją Dziesiątą Muzą. Zachwycił się nią Byron [a w Polsce Jan Kochanowski i Maria Jasnorzewska-Pawlikowska – *przyp. tłum.*].

Nazywał jej poezję „palącą”. I rzeczywiście strofy Safony pulsują namiętnością. Są to głównie ody poświęcone jej uczennicom, niesłychanie trudne do przetłumaczenia ze względu na skomplikowane metrum. Przykładem niech będzie *Pieśń do Gongili*:

Gongilo, proszę cię, zjaw się przede mną  
w szacie białej jak mleko –  
i znów żądza piękna zatrzepoce

Tej szaty zazdrozczą ci wszystkie  
i to mnie raduje: bo sama Cypryda  
cię strzeże, ta,  
którą w swoich modlitwach dziś wzywam[\*5].

Są opinie, że Dziesiąta Muza w swojej poezji głosiła wyłącznie chwałę miłości dusz. Ale kto wgłębił się w twórczość Safony, nie ma wątpliwości co do jej erotycznego charakteru. Apulejusz, który znał się na rzeczy, oceniał poezję Safony jako „zmysłową” i „figlarną”. Wedle Owidiusza jej wiersze to wręcz podręcznik miłości lesbijskiej. Właśnie za sprawą Safony poetycko brzmiąca „miłość lesbijska” wyparła siermiężną *tribadię* wywodzącą się od *tribo*, ocieranie się.

## ŚLŹEBNICE AFRODYTY

„Hetery sprawiają nam przyjemność, konkubiny dbają o codzienne sprawy, a żony dają spadkobierców i zajmują się domem”[30]. W drugiej połowie IV, a już na pewno w III wieku p.n.e. Ateńscy zaczynają objawiać zainteresowanie płcią odmienną, co nie znaczy, że żonami. Nie wzdychają do nich, nie interesuje ich dom ani rodzina, ale coś całkiem innego. Zmiana nastawienia do kobiet ma związek z ogólnym poszerzeniem horyzontów, co wiązało się z podbojami Aleksandra Wielkiego, a także z gospodarczą prosperity i obniżeniem aktywności politycznej. Ateńczyk obrastał w bogactwa, miał mniej obowiązków, a więc więcej czasu i środków na... no właśnie. Zmiana trybu życia znajduje odbicie w sztuce. Pojawiają się nowe trendy. Do tej pory rzeźbiarze tworzyli głównie męskie akty, teraz zaczynają odkrywać piękno kobiecego ciała. W literaturze też. „Stare komedie” o treściach głównie politycznych ustępują miejsca „nowym”, ukazującym romantyczne związki męsko-damskie. (Nadal jednak kobietom nie wolno występować na scenie; role kobiece grają aktorzy, w partiach łóżkowych przywdziewają cieliste stroje z namalowanym wzgórkim łonowym i piersiami.) Najdobitniej jednak nowe prądy wyrażają się w rosnącej popularności, nie mówiąc już o dochodach, „służebnic Afrodyty”. prostytutki rzeczywiście zbierają żniwo, pracują na pełnych obrotach, o czym świadczy zabawny przydomek „Klepsydra”, jakim obdarzono Metis, jedną z najbardziej wziętych profesjonalistek. Nazwano ją tak z powodu czasomierza, wedle którego ściśle określała czas trwania usługi, za jaką klient zapłacił[31].

Elitę profesji stanowiły hetery – piękne, utalentowane, dowcipne, nierzadko odcytane w literaturze kobiety, znajdujące się także na buchalterii, co należy do umiejętności potrzebnych w tym zawodzie. Prawdziwa kurtyzana zniewala nie tylko pięknem ciała, ale wdziękiem, czarem i jeszcze czymś, co trudno określić. Weźmy wymowny przykład z innej epoki. Słynna Madame de Pompadour była kochanką Ludwika XV przez pięć ledwie lat, ale wywierała wpływ na politykę przez ponad piętnaście lat. Hetery kusily Ateńczyków. Celowały we wszystkim, czego odmawiali oni prawowitym małżonkom, co dla tych ostatnich musiało być upokarzające. Mężowie biesiadowali z heterami, podczas gdy małżonki nie wolno było usiąść do stołu w męskim towarzystwie. Jakże więc żony mogły nabrać ogłady, osłuchać się choćby na tyle, żeby czasami wyrazić w miarę rozsądną uwagę? Żony trzymano krótko

wedle znanej skądinąd formuły *Kinder, Küche und Kirche*, podczas gdy wywodzące się z mniej szlachejnych – mówiąc delikatnie – rodów hetery niemal od dzieciństwa ćwiczyły się we wszystkim, co jest potrzebne, by błyszczeć w towarzystwie, i nie tylko w tym. Większość prawowitych małżonek wiedziała o sztuce miłości niewiele więcej niż to, czego nauczyła się od mężów, których bardziej interesował owoc związku – syn – niżli związek jako taki. Krótko mówiąc, żony nie stanowiły żadnej konkurencji dla heter. Tym ostatnim powodziło się zdecydowanie lepiej, tak jak lepiej od żon w całej historii naszego gatunku miały się kurtyzany i ich liczne następczynie.

W zdecydowanie męskim świecie hetery odnosiły sukces. Czasami wielki. Tais, hetera w służbie króla Persów Cyrusa Wielkiego, tak omotała serca i ciała swych lidyjskich kochanków w VI wieku p.n.e., że z całą ochotą oddali swój kraj pod perską dominację[\*6]. Inna Tais, tym razem z Aten, została kochanką Aleksandra Wielkiego. Powiada się, że to ona namówiła go do spalenia Persepolis. Gdy Aleksandra zabrakło, Tais została nałożnicą króla Egiptu Ptolemeusza I i władała państwem nad Nilem. Największa ze wszystkich, Aspazja, prowadziła w Atenach salon polityczno-literacki, goszcząc najmożniejszych i najbardziej wpływowych obywateli. To dla niej Perykles rzucił żonę i opuścił rodzinę. Za jej sprawą Ateny przystąpiły do wojny z Samos[32].

Gdy hetery zbyt obrosły w piórka i jęły wywierać zbyt duże wpływy, Ateńczycy uderzyli na alarm, że kobiety mieszają się do polityki.

Głównie chodziło im o zbytnią pazerność pań. Lukian z Samosaty – autor wielu dowcipnych tekstów – napisał między innymi *Rozmowy heter*. Jest wśród nich dialog zubożonego żeglarza imieniem Dorion z niewdzięczną kochanką Myrtale, która go rzuciła dla bogatego kupca z Bitynii.

– Wszystko było dobrze – skarży się biedak – dopóki przywoziłem ci wspaniałe prezenty.

Myrtale zgadza się, aby przeprowadzić dokładne rachunki.

– A więc – mówi Dorion – najpierw para trzewików z Sikanii – to dwie drachmy. Zapisz dwie drachmy.

– Ale za to spędziłam z tobą dwie noce.

– Później przywiozłem ci alabastrowy flakon na pachnidła z Syrii, co kosztowało dwie drachmy.

– No tak, ale przed podróżą dałam ci piękną koszulę... tę, co drugi oficer zostawił u mnie, gdy ofiarowałam mu noc.

– To prawda... ale później przywiozłem ci cebule z Cypru, a także pięć śledzi i cztery okonie, a także przyniosłem ze statku sześć sucharów w koszyku, nie mówiąc już o sandałach wyszywanych złotem, ty niewdzięcznico. I jeszcze podarowałem ci cały wielki ser!

– Pięć drachm, niech będzie.

– A ten twój kochaś z Bitynii nie dał ci nawet główki czosnku!

Właśnie, chciałbym wiedzieć, co od niego naprawdę dostałaś.

Niestety Bityńczyk nie tylko zapłacił za czynsz, ale jeszcze podarował swojej nowej kochance perły, parę kolczyków, dywan, nie mówiąc już o pewnej sumce w gotówce, a trzeźwo myśląca dziewczyna umie liczyć i zna wartość materialnych wyrazów uwielbienia. Heterzy zdawały sobie sprawę, że wdzięk i czar trwają krótko, starały się więc o stosowne zabezpieczenie. Świadczy o tym list Filumeny (nie wiemy, czy była postacią autentyczną czy tylko tworem wyobraźni Alkifrona, słynnego twórcy *Listów heter*[\*7]) do kochanka Krytona:

„Dlaczego dręczysz się tą pisaniną? Trzeba mi pięćdziesiąt sztuk złota, a listów nie trzeba. Jeżeli więc kochasz, daj, jeśli zaś kochasz pieniądze, nie nudź. Bywaj zdrow!”

Niektórym kurtyzanom udało się zgromadzić tyle środków, że mogły sobie pozwolić na spektakularne dary na cele publiczne. Lamia z Aten odbudowała galerię obrazów w Sikion w pobliżu Koryntu. Pochodząca z Tracji Rodope, która uprawiała swój fach w Egipcie, miała samodzielnie sfinansować budowę piramidy[33].

Niżej od heter plasowały się konkubiny. Niewiele o nich wiemy. W czasach klasyku obyczaj trzymania konkubin zaczął zanikać. Nie wytrzymały konkurencji ani z pięknymi chłopcami, ani z utalentowanymi heterami, ani ze zwykłymi prostytutkami, które kosztowały taniej i zawsze były chętne do usług. Konkubinom w ogóle wiodło się źle, a ich sytuacja przedstawiała się wręcz fatalnie. Nie cieszyły się niezależnością heter, a z drugiej strony nie miały praw należnych prawowitym małżonkom. Pan i władca mógł je, gdy mu się znudziły, oddać w każdej chwili bądź sprzedać do burdelu[34].

Pierwsze w Atenach przybytki tego typu stworzył i wyposażył Solon na początku VI wieku p.n.e. Gorzej nie mógł wymyślić, bo przy ówczesnych uwarunkowaniach był to żaden interes. Ale około IV wieku przedsięwzięcie się rozkręciło. „Dziewczyny z obnażonymi piersiami, w cienkich gazowych tunikach, wystawiały się na pokaz przed domami... chude, tłuste, grube, kościste, zgarbione, młode, stare, dojrzałe i takie

średnie – co kto woli. Wciągają przechodniów do środka, do domu, mówiąc: tatuśku, gdy jesteś stary, albo: braciszku lub chłopcze, gdyś młody. I każdą możesz mieć za drobną opłatą, bez żadnego ryzyka”[35]. Opłata wahała się od obola do statera, czyli od paru groszy po kilka złotych, w zależności od kategorii domu i konkretnej usługi. Właściciele płacili roczny podatek.

Kto nie chciał korzystać z przybytków, mógł wziąć dziewczynę z ulicy, bo były i takie. Niektóre bardzo przemyślnie, jeśli idzie o techniki marketingowe. Zachował się do naszych czasów sandał należący bez wątpienia do panienki ulicznej. Rzeźbiona odpowiednio podeszwa zostawiała na drodze ślad układający się w napis: chodź ze mną.

Prostytucja kwitła zwłaszcza w miastach na szlakach handlowych, jak choćby Korynt – miasto dwóch portów i niezliczonych prostytutek, nierządnic, bajzelówek, oferujących usługi zwłaszcza żeglarzom. W miejscowej świątyni Afrodyty służyło ponoć tysiąc heter, poświęcających swój czas i umiejętności bogini (i jej wyznawcom).

Takie akty poświęcenia składały nie same dziewczyny, ale ludzie pragnący dokonać handlu wymiennego z bogami. Ksenofont z Koryntu, „pobożny atleta”, przed igrzyskami w Olimpii złożył uroczysty ślub, że jeśli wygra pentatlon, ofiaruje Afrodycie „kontyngent”, czyli setkę, prostytutek. W świątynnej służbie dziewczyny wykonywały zadania miłosne i religijne. Gdy król perski Kserkses zagrażał Grecji, hetery z Koryntu modliły się za cały naród. Skutecznie, jak widać, bo po klęsce pod Salaminą i Platejami Kserkses zrezygnował z dalszego marszu.

Nie należy jednak wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków. Sens istnienia heter był nader konkretny – wyciągnąć, ile się da, z tego, co się ma, i dorobić się. Ale też hetery odegrały pionierską rolę w stosunkach męsko-damskich. Jako pierwsze w dziejach wypracowały swego rodzaju *détente* z przedstawicielami drugiej płci. Kapłanki *naditu* w Babilonii podziwiano za ich umysł, prostytutki na całym świecie ceni się za ich ciała. Hetery czarowały jednym i drugim.

Paradoks historii sprawił, że ich sukces stał się także sukcesem żon w tym sensie, że przyspieszył proces emancypacji kobiet. Doszło do tego w starożytnym Rzymie. Nie zaraz i nie od początku. Najpierw Rzymianki musiały przełamać taką samą niechęć swoich mężczyzn.

Krótko mówiąc, stanęły wobec takiego samego zadania jak hetery w Grecji.



Zastosowały jednak inną strategię. Wydały męskiej części Rzymu wojnę, co niestety zaważyło na przyszłości rzymskiego imperium.

---

[\*1] Jej syn Eros był bogiem miłosnych uczuć.

[\*2] Pederastia w greckim rozumieniu odrodziła się w X stuleciu naszej ery wśród buddyjskich mnichów w Japonii, którzy cenili sobie podobne związki między mistrzem a uczniem. Starszy mnich stawał się nauczycielem i przewodnikiem nowicjusza, który odwdzięczał się miłością i przywiązaniem. Później podobne związki występowały także wśród klasy wojowników, ślubujących sobie wierność do końca życia. W XVII stuleciu jednak klasyczne formy pederastii ustąpiły miejsca zwykłym związkom homoseksualnym dorosłych mężczyzn, zwłaszcza w środowisku teatralnym. W japońskim teatrze występują wyłącznie mężczyźni.

[\*3] Opinia, że tylko mężczyzna może dopuścić się cudzołóstwa, przetrwała niemal do naszych dni. W Anglii dopiero w 1923 roku sądy jęły uznawać zdradę małżeńską za wystarczający powód do orzeczenia rozwodu z winy męża.

[\*4] Podobny obyczaj utrzymywał się do początku XX w. wśród Najarów w Keralil na południu Indii. Zgodnie z nim małżonek mógł odwiedzać żonę wyłącznie w nocy[26].

[\*5] Safona, *Pieśni*, przekład z oryginału greckiego Nikos Chadzinkolau, Wydawnictwo Poznańskie 1988 – *przyp. tłum.*

[\*6] Między nią a Matą Hari istnieje długa lista kurtyzan, mniej lub bardziej zaangażowanych w działalność wywiadowczą i agenturalną. Na początku XIX w. Fouche we Francji i Metternich w Austrii świadomie kazali werbować prostytutki do współpracy z policją.

[\*7] Alkifron, *Listy heter*, przekład z oryginału greckiego Haliny Wiszniewskiej, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1987 – *przyp. tłum.*



## 5. RZYM

Czystość – zauważył na początku II wieku naszej ery poeta i satyryk Juwenalis – to cnota, co odeszła w przeszłość razem ze Złotym Wiekiem. Juwenalis był stoikiem, mówiąc o przeszłości miał na myśli czasy odległe, gdy wszystko było jasne i proste, gdy pierwotnemu „buchającemu żołądkami” Rzymianinowi, jego bogom, trzodzie, „licznym dzieciom” i „siermiężnej żonie góralce” wystarczała jaskinia[1].

No cóż, dawnych dobrych czasów jest tyle, ile osób, które do nich wzdychają, a w okresie, kiedy Juwenalis obrzucał swoje rodaczki karcącym spojrzeniem, mało która odznaczała się cnotą czystości. Co innego wcześniej! Do V wieku p.n.e. znakomita większość Rzymianek żyła w stanie absolutnie bezgrzesznym.

Lud Rzymu wywodzi się z plemion pasterskich, a ostatecznie ukształtował się pod wpływem Etrusków, którzy podbili Italików, niosąc ze sobą światło cywilizacji greckiej i kartagińskiej. Taki był zrąb, na którym wyrosła nacja ludzi poważnych, co głosili chwałę mores maiorum, cnót przodków, a więc poczucia obowiązku i służby, dyscypliny, przedsiębiorczości, umiarkowania, skromności i odpowiedzialności. *Pietas, officium, constantia, virtus i gravitas* – oto lista zasad moralnych. Życ dla ojczyzny i rodziny – takie były ideały, spoza których wszakże czasami przezierano samo życie. Retorycy szermowali przykładem rzymskich matron z okresu wczesnej republiki, podnosili ich cnoty i mówili o życiu pełnym poświęceń. Takie też ono było, ale tyleż z przekonania, co konieczności. Wystarczy wspomnieć, że do końca I wieku p.n.e. mąż miał prawo zabić małżonkę schwytaną *in flagranti* z kochankiem bądź przypadkowym amatorem jej wdzięków[\*1], a i za inne przewinienia też karano śmiercią. Wystarczającym powodem do rozwodu było nieumiarkowanie w picciu, co w

rzeczy samej oznaczało każdą kroplę ponad minimum. Pijaństwo to dowód rozwiązłości moralnej i seksualnej – głoszono. „Naganne i perwersyjne zachowanie”, podobnie jak bezpłodność, także stanowiły wystarczający powód do oddalenia małżonki.

Jak wszędzie w starożytnym świecie, tak i w Rzymie kobiety i dzieci traktowano jako własność mężczyzn. Pod jednym jednak względem los Rzymianek był inny – zakres ich obowiązków był znacznie szerszy niż gdzie indziej. Kobieta miała nie tylko rodzić, nie tylko prowadzić dom, ale także aktywnie udzielać się we wszystkich interesach rodzinnych. Było to prawo – albo obyczaj – jakby żywcem przeniesione z neolitu, świadczyło o niebywałym tempie społecznej transformacji w Italii. W ustroju plemiennym kobieta spełniała ważną rolę w budowaniu materialnych podstaw egzystencji, w bardziej rozwiniętych systemach, w których występuje wyraźny podział pracy, jej rola ulega ograniczeniu i właściwie sprowadza się do pilnowania domowego ogniska. Ale w Rzymie było inaczej. Transformacja dokonała się tak szybko, że kobiet nie dało się zamknąć w kuchni i sypialni jak w innych krajach ówczesnego świata. Miały więc Rzymianki większe poczucie własnej wartości i godności.

Wiele z nich na tym poprzestawało, bo wiele kobiet, w rzeczy samej większość, także dziś gotowa jest w imię własnej wygody zrezygnować z należnych swobód i godzi się na intelektualne i emocjonalne zniewolenie. Dla niejednej poczucie bezpieczeństwa, jakie łączy się z rodzinnym gniazdem, nawet niezbyt przyjemnym, stanowi perspektywę znacznie bardziej kuszącą niżli wolność. Ale nawet te, które nie myślą o emancypacji, zdają sobie sprawę, że ich życie mogłoby być lepsze. Rzymianki też miały tego świadomość. Zainspirowały więc pewne, niewielkie w istocie, zmiany w prawodawstwie rodzinnym, które jednak miały daleko idące skutki.

W starożytnym Rzymie istniały trzy formy związków małżeńskich. Pierwsza, *confarreatio*, odpowiada z grubsza dzisiejszemu małżeństwu usankcjonowanemu przez Kościół. Śluby składano uroczyście, a rozwiązanie takiego związku było niezwykle trudne. Druga forma małżeństwa, *coemptio*, to jakby pozostałość dawnego obyczaju nabywania żony drogą kupna. Stosowna ceremonia jest skromna, można ją skojarzyć z dzisiejszym ślubem cywilnym. Z tej formy korzystali głównie ci, co nie mieli ochoty wyrzucać pieniędzy na bardziej uroczystą oprawę wejścia na nową drogę życia. Wspólne dla *confarreatio* i *coemptio* było przekazanie kobiety spod kurateli ojca w

ręce męża. Inaczej mówiąc, jeden mężczyzna przekazywał kobietę z całym jej majątkiem (jeśli takowy miała) w posiadanie drugiego. Z tą chwilą stawała się ona własnością rodziny męża. Podlegała jej jurysdykcji i wyrokom, gdyby w czymkolwiek uchybiła jako małżonka.

Trzeci typ małżeństwa, zwany *usus*, polegał na tym, że zaczynało ono prawnie obowiązywać dopiero po roku „wspólnego trwania”. Było to więc swego rodzaju małżeństwo na próbę, które mogło, ale nie musiało doprowadzić do trwałego związku. Przez rok kobieta pozostawała we władzy ojca i dopiero gdy próba wypadła pomyślnie, przechodziła pod władzę męża.

Formuła małżeństwa *usus* pozostawiała kobietom dość spory margines manewru. „Wspólne trwanie” rozumiano dosłownie. Wystarczyły więc trzy dni nieobecności kobiety w domu (przyszłego) męża, a roczną próbę zaczynało liczyć od nowa, to zaś otwierało wspaniałe perspektywy, bo przy odrobinie sprytu i kalkulacji moment przejścia pod wyłączną władzę męża można było odwlekać w nieskończoność. System ten był korzystny dla dziewczyn, które wypychano za mąż zwykle w wieku trzynastu, czternastu lat. Owszem, młodej małżonce nadal groziła śmierć na miejscu, gdyby przyłapano ją *in flagrante delicto*, ale drobniejsze przewinienia uchodziły jej na sucho. Podlegała własnemu ojcu, mogła więc liczyć na łagodniejszy wymiar kary niż ten, który orzekłaby rodzina pełnoprawnego małżonka.

Gdyby małżeństwo przez *usus* ceniły sobie wyłącznie panny młode, instytucja pewnie nie przetrwałaby długo, ale stało się inaczej. Zapewne zagrały interesy ojców. Nie wiemy tego dokładnie, bo wiedza o okresie od V do III wieku p.n.e. ma wiele luk, ale wygląda na to, że do czasu uprawomocnienia się małżeństwa ojciec sprawował kontrolę nad majątkiem wydanej za mąż córki i miał też prawo żądać zwrotu posagu, gdyby związek nie został ostatecznie zawarty. Rzymianie, jak ziemscy baronowie w georgiańskiej Anglii, niechętnie parcelowali swe posiadłości.

Obyczaj utrwalił się. Młoda mężatka pozostawała pod jurysdykcją ojca do ukończenia 25 roku życia (kiedy uznawano ją za dojrzałą, biorąc pod uwagę przeciętną długość życia). Taki układ dawał nie tylko prawnie określone korzyści, ale gwarantował kobietom znaczny margines swobody. Pozostawały w ręku ojca, a być „w rękach”, to nie to samo co być stale na oku. Poza tym mało który ojciec zdobywał się na surowe traktowanie własnej córki.

W rezultacie pod koniec III wieku p.n.e. Rzymianki niemal całkowicie wymknęły

się spod męskiej kontroli. Tak przynajmniej twierdzili mężczyźni. Zdania kobiet w tej mierze nie znamy. Nie ma żadnych źródeł spisanych damską ręką, które mogłyby potwierdzić męskie lamente bądź im zaprzeczyć. Tak czy owak, powstały warunki, w których kobiety gotowe były postąpić krok dalej, podjąć działania, które z pewnością oburzyłyby ich znające mores prababki.

## PIERWSZE SUFRAŻYSTKI?

W 215 roku p.n.e., w krytycznym okresie wojen punickich, uchwalono w Rzymie z inicjatywy trybuna C. Oppiusa prawo zabraniające kobietom posiadania więcej niż pół uncji złota, korzystania w mieście z lektyk i noszenia barwnych szat. Złoto to dla kobiet biżuteria, a dla wojska – źródło przetrwania. Lektyki kosztują, podobnie jak purpura do barwienia tkanin, którą sprowadzano zza morza, konkretnie z Tyru, pieniądze zaś potrzebne były do sfinansowania kampanii wojennych. Prawo Oppiusa, jak wiele innych znanych z historii przepisów mających ograniczyć nadmierną konsumpcję, wymierzone było przeciwko kobietom nie dlatego, że mężczyźni żywią głębokie przekonanie, iż rozrzutność to przyrodzona cecha damskiej połowy społeczeństwa, ale dlatego, że tak było łatwiej. Męski koszyk zakupów wyglądał zdecydowanie inaczej, był bardziej różnorodny. Podczas gdy kobiety nabywały błyskotki, mężczyźni kupowali wino, oliwę, bursztyn, szkło, płótna, papirus, rzeźby, terakotę, korzenie. Obrót tymi towarami trudno kontrolować, a jeśli już, to tylko ograniczając podaż, co jest praktycznie niewykonalne. W efekcie na wprowadzeniu restrykcyjnych przepisów – obliczonych tak na ograniczenie rynku, jak i na efekt psychologiczny – ucierpiały przede wszystkim kobiety.

Rzym przetrwał kryzys 215 roku. Czternaście lat później wojna z Kartagimą dobiegła końca, ale prawo Oppiusa obowiązywało nadal. Debaty trwały sześć lat – był już rok 195 p.n.e. – twardogłowi nie ustępowali, a kobiety coraz dobitniej manifestowały swoje niezadowolenie. Wbrew wszystkiemu, „radom, skromności, męzowskim zakazom, jęły wylegać na ulice Rzymu i zdążyć na forum... Tłum potęgniał z każdym dniem, a do mieszkańek Rzymu dołączyły kobiety z prowincji”. Pospołu naparły na siedziby dwóch trybunów, najbardziej zagorzałych zwolenników utrzymania restrykcyjnego prawa.

„Krew mnie zalewała – grzmiał Katon w Senacie – gdy idąc tu, do was, musiałem się przedzierać przez cały legion kobiet...” Jeśli kobieta pragnie coś oznajmić – ciągnął – to niech uczyni to w cichości domu, niech się zwróci do męża, ale do polityki niech się nie miesza, bo to nie jej sprawa. A poza tym – lamentował – gdyby mężowie trzymali żony w ryzach, nie doszłoby do tak oburzających scen, jakich właśnie był świadkiem. „Kobiety to uparte i narowiste bestie, a takim cugli popuszczać nie wolno, bo poniosą... Niby chcą swobód, a w istocie znacznie więcej” – ostrzegał. Wystarczy je spuścić z oka, a zaczną się buntować, to zaś grozi ich mężom śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Nie! – wołał. – Nie wolno nam skapitulować. „Jeśli ustąpimy w tej sprawie, wkrótce będą się domagać praw równym mężczyznom”. Bogate domagają się zniesienia prawa [Oppiusa] tylko po to, aby mogły paradować przybrane w złoto i purpurę, na którą biedniejszych nie stać. „Zali pragniecie, aby nastąpiła era ścigania się w strojach?... Dajcie kobiecie pieniądze, a wyda wszystkie. Gdy wyda swoje, sięgnie do kiesy męża, a gdy biedak będzie się wzbraniał, znajdzie innego...”

Nie wszyscy byli tego zdania. Trybun Lucjusz Waleriusz zdecydowanie odrzucił tezę Katona, że wystarczy ustąpić w tej jednej sprawie, by kobiety wymknęły się spod wszelkiej kontroli. „Nic takiego nie nastąpi – mówił z przekonaniem – jak długo bowiem będzie istnieć mężczyzna, kobieta będzie mu poddana. Bo niczego innego nie pragnie. Przeciwnie, modli się, aby los zaoszczędził jej sierocych czy wdowich wolności”. Nasze kobiety zabiegają wyłącznie o sprawiedliwość – wołał. – O nic innego. To przecież nasze żony i córki, i tylko im – mieszkankom Rzymu – prawo zabrania stroić się wedle woli. Nie zabrania tego cudzoziemkom. „I spójrzcie tylko! Cudzoziemki strojne w purpurę i złoto przemierzają ulice naszego miasta, jakby to ich mężowie, a nie my, władali imperium. Takiego upokorzenia nie wytrzymałby żaden mężczyzna, a co dopiero kobieta, którą lada drobiazg wyprowadza z równowagi. Elegancja, biżuteria, wypielęgnowane piękno – oto czego pragnie kobieta”[2].

Wiele w tych słowach ukrytej zjadliwości – Katon przynajmniej mówił szczerze, co myśli – ale filipika Waleriusza pomogła. Prawo zmieniono. Historia przyznała jednak rację Katonowi. Dwieście lat po batalii o prawo Oppiusa kronikarz Waleriusz Maksymus, autor zbioru anegdot historycznych, zauważał, że senatorzy, którzy znieśli ów przepis, „nie zdawali sobie sprawy z rozrzutności, do jakiej prowadzi kobiece umiłowanie wszelkich nowości w modzie, i z bezczelności, na jaką sobie zaczną

pozwalać, gdy już raz udało im się wygrać z prawem”[3].

Gdyby ówczesna moda zmieniała się równie szybko jak dzisiejsza, gdyby trzeba było a to skracać, a to wydłużać, a to kroić tak, a to siak, imperium pewnie by nie upadło. Tymczasem zasadniczy krój stroju i sylwetka pozostawały bez zmian, a wyróżnikiem mody stawała się tkanina, z której sporządzano szaty, i dodatki. Zabiegano więc o barwniki z Tyru, o naszyjniki, brosze, pierścienie, złote bransolety, kolie i kolczyki z drogimi kamieniami, sprowadzane wielkim kosztem z najdalszych zakątków Azji, o bawełniane materie z Indii i cenniejsze niż złoto jedwabie z Chin – za funt jedwabiu płacono funtem kruszcu.

Ekspansja imperium i poszerzanie granic znanego świata sprawiały, że do Rzymu płynął nieprzerwany strumień bogactw. Później jednak, jak kiedyś w Grecji, strumień jął toczyć się w drugą stronę. Wedle Pliniusza [Starszego] ujemne saldo Rzymu w handlu z Azją sięgało w I stuleciu naszej ery sumy równej dzisiejszym 40 milionom dolarów rocznie. Na ówczesne czasy była to suma ogromna, jeśli zważyć, że na początku republiki z wypraw na Galię, Hiszpanię i ziemie zachodniej Azji zwożono łupy cztero-albo nawet pięciokrotnie mniejsze[4]. Blisko połowę importu stanowiły korzenie z Azji i wschodniej Afryki. Kolejne miejsca zajmowały jedwabie z Chin, kość słoniowa z Afryki, bursztyn z Germanii i kadzidła z Arabii.

Problem w tym, że Rzym miał niewiele do zaoferowania w zamian za owe „niezbędne luksusy”. W Merwie lub Kaszgarze w Środkowej Azji, gdzie spotykały się karawany przemierzające „jedwabny szlak”, chińscy kupcy z Lojang wielce marudzili. Owszem, przyjmowali w barterze trochę rzymskich wyrobów ze szkła, niewielkie ilości ceramiki, azbestu, tkanin, koralu, rzeźbionych kamieni, wina, ale głównie domagali się złota i srebra, zwłaszcza tego ostatniego. W Rzymie bardziej ceniono złoto, więc interes w srebrze wydawał się nader korzystny. Z czasem jednak kruszców zabrakło. Wyczerpały się złoża srebra w Grecji, a w kopalniach na Półwyspie Apenińskim w II stuleciu naszej ery wystąpiły kłopoty, którym inżynierowie nie byli w stanie zaradzić. Sięgnięto bowiem takich głębokości, że nie dawano sobie rady z wodą zatapiającą szyby. Z kryzysem próbowano walczyć, wprowadzając pieniądze o mniejszej zawartości kruszcu, zrazu powoli, później coraz szybciej. Deprecjacja pieniądza jak lawina zniszczyła podstawy gospodarki.

Imperium rzymskie upadło pod presją wielu okoliczności natury politycznej, społecznej i wojskowej. Każda odegrała jakąś rolę, a która była najważniejsza – tego

uczeni nie rozstrzygnęli. Nie ma jednak wątpliwości, że jakiś udział w upadku imperium miała również rozrzutność, umiłowanie zbytku, zwłaszcza zaś kaprysy rzymskich pań.

## CIEŻKA PRACA NAD URODĄ

Kobiety należące do klas wyższych korzystały ze swobód bez precedensu w starożytnym świecie. Wolno im było robić absolutnie wszystko, pod warunkiem że nie miało to większego znaczenia [politycznego]. Otaczał je rodzaj intelektualnego cordon sanitaire, wzniesionego na bazie praw i obyczajów, wewnątrz którego mogły sobie robić, co im się żywnie podoba, ale którego nie wolno im było przekraczać. Za murem bowiem roztaczał się świat wielkiej polityki, a ten stanowił męską domenę. Intruzów innej płci nie tolerowano. Kobiety więc trwały w swoim świecie, zajmując się wydawaniem pieniędzy, podnoszeniem urody (by przypodobać się kochankom), religią i wnoszeniem pozwów rozwodowych.

Seneka szydził ze współczesnych za mistrzowskie opanowanie trudnej skądinąd sztuki nicnierobienia[5]. O kobietach nie wspominał, choć to one celowały w tej sztuce. Mężczyzna, wstając o świcie, wsuwał sandały, zarzucał togę – jedyną część odzienia, którą zdejmował na noc – wypijał kubek wody i był gotów stawić czoło wyzwaniom dnia. Wpadał na chwilę do golibrody, a po południu zdążał do łaźni. Małżonka takich pseudoobowiązków miała więcej. Budziła się w swojej alkwie (tylko prostytutki spędzali noc we wspólnej sypialni) grubo po świcie, wsuwała stopy w ranne pantofle, poprawiała przepaski na biodrach i piersiach, których nie zdjęła, kładąc się do łóżka, zarzucała na siebie spodnią szatę, na to tunikę, sięgała po kubek wody i... zasiadała przed lustrem, poddając się wprawnym rękóm służebnic, które spieszyły z całą kolekcją rozmaitych preparatów służących urodzie, a nade wszystko dobremu samopoczuciu damy, zamierzającej objawić się światu w całej swojej świetności.

Od zarania udokumentowanej historii kobiety, a także mężczyźni, czyniły (i czynią) wszystko, aby poprawić bądź ulepszyć to, co dała im natura. Już w Sumerze malowały węgłem powieki, aby podkreślić oczy, i dodawały sobie rumieńców barwiczką. W Atenach – jak można przeczytać u Arystofanesa – stosowały już kremy na bazie



tłuszczu, róż, puder (z bieli ołowianej), tusz (z wodorostów morskich) i rozmaite maseczki. Ich jakość pozostawiała sporo do życzenia, a na pewno żaden z ówczesnych kosmetyków nie był odporny na wodę, co złośliwcowi Eubulosowi dało okazję do kpin. „Kiedy się wyjdzie na miasto w letnim upale, z oczu spływają czarne strumyki, mieszając się z różem na policzkach, a włosy siwieją od pudru na czole!”[6]

Grecki peplos, a później chiton – szaty wierzchnie – krojono oszczędnie, ściskano w pasie, bluzując górę, co nie pozostało bez wpływu na to, co noszono pod spodem. Faktem jest, że Grecy dali początek gorseciarstwu. Wymyślili stanik, i to w dość seksownej formie, co jak „bardotki” wypychał piersi ku górze, może nie tak udanie jak późniejszy wynalazek Francuzów. Wymyślili też pasy, głównie zresztą na użytek heter, które wciskając się w coś takiego, ukrywały ciążę. Dla dziewczyn cierpiących, że tu i ówdzie natura dała im za mało, szyli puchowe nakładki. Noszone pod chitonem na biodrach nadawały chudej panience wymarzone kształty. „Co za krągły zadek!” – mogła usłyszeć[7].

Rzymianki nosiły szaty znacznie obszerniejsze i bardziej osłaniające figurę, chyba że było je stać na jedwabie i nie bały się uszczypliwych uwag o braku skromności. W obfitej szacie trudno ukazać zalety figury, więcej przeto uwagi, a i pieniędzy, rzymskie elegantki poświęcały twarzy i włosom. Rankiem, zaraz po przebudzeniu, zmywały wczorajszy makijaż i nocną maseczkę, potem przystępowały do pracy nad fryzurą. Zajęcie było żmudne i wymagało nie lada wysiłku. „Niektóre traktują włosy specjalnymi płynami, aby lśniły w słońcu, inne barwią na rudo, bo brzydzi ich naturalny kolor. [Moda na rude włosy zaczęła się pod wpływem kontaktów z plemionami germańskimi.] Te, co preferują czarny kolor włosów, wydają męzowski majątek na farby z Arabii. Potem biorą się za specjalne żelastwa, grzeją je na ogniu i za ich pomocą układają włosy w loki i loczki, osobliwie nad czołem, co wymaga specjalnych trudów i wysiłków!”[8] Siwe włosy pracowicie usuwano. Gdy już się nie dawało, co śmielsze i zamożniejsze damy sięgały po peruki. Sporządzano je z włosów sprowadzanych aż z Indii, co było kosztowne, bo obłożone wysokim cłem, ale i tak uchodziło za lepsze rozwiązanie niżli receptury zalecane przez starożytnych mistrzów grzebienia. W Mezopotamii siwiznę próbowano likwidować okładami z mikstury, zawierającej opium, wywar z pęcherzy czarnego wołu, skorpiona i świni oraz głów czarnego kruka i bociana. Egipcjanie zalecali mieszankę tynktury z oliwą, kocią macicą i kruczym jajem. Na łysinę pomagała ponoć maść z sadła lwa, hipopotama,

krokodyla, węża oraz koziorożca[9].

Po fryzjerce do pracy przystępowała specjalistka zwana *ornatrix*. Do jej kompetencji należał makijaż. „Zrobienie” twarzy trwało równie długo jak układanie fryzury. Najpierw był podkład z tłuszczu z owczego runa (rodzaj lanoliny), na to warstwy kremów, toników i maści z takich surowców jak: jęczmień, mielone rogi jelenie, miód, pianka z czerwonej salety. Oczy, policzki, brwi i wargi traktowano preparatami, o których wspominał Arystofanes. Kiedy już uroda została podniesiona na wyższy poziom (cała procedura zostanie powtórzona popołudniem, po wizycie w łaźni), elegantka zaczynała się zastanawiać nad biżuterią, co też wymagało czasu, bo błyskotek noszono sporo. Jeszcze tylko wierzchnia tunika, chusteczka, wachlarz z pawich piór, coś osłaniającego twarz od słońca, jeśli pogoda tego wymagała, i dama mogła pokazać się światu. Ruszała więc w miasto, najpierw do krawcowej i jubilera, bo to najważniejsze. Podróżowała w lektyce. Odwiedzała przyjaciółki, zaglądała do świątyni, udawała się do teatru i cyrku na krwawe walki gladiatorów, odwiedzała łaźnie publiczne, co też należało do obowiązków towarzyskich. Przed wieczorem wracała do domu, aby wydać stosowne polecenia w sprawie kolacji lub bankietu, jeśli spodziewała się gości. I tak dobiegał końca pełen trudów dzień rzymskiej damy z towarzystwa[10].

## SPRAWY DUCHA

Religia niejedno ma imię i funkcje też spełnia wielorakie. Tak było i tak jest. Rzymianka uciekała w religię od nudy. Świątynia dostarczała przeżyć duchowych, czasami także innej natury.

Większość rzymskich bóstw uosabiała surowe nakazy i zakazy moralne, ale były też inne, odziedziczone, jeśli można tak powiedzieć, po przodkach, które roztaczały opiekę nad wiernymi w zamian za stosowne dary i ofiary. Jednym z takich bóstw była Westa, strażniczka domowego ogniska, należąca do najważniejszych patronów Rzymu. Z nią wiązano powodzenie i losy państwa. Na jej cześć palono święty ogień, którego strzegły kapłanki. W czasach historycznych ekipa westalek liczyła sześć dziewcząt wyznaczanych przez najwyższego kapłana spośród dwudziestu (jeśli tyle się stawiło) kandydatek – dziewczynek w wieku 6–9 lat, wywodzących się ze szlacheckich rodów.

Był to, rzecz jasna, zaszczyt, ale niezbyt pociągający, skoro Swetoniusz zauważa, że gdy za panowania Augusta przyszło uzupełnić skład strażniczek, „wielu obywateli dokładało starań, aby imiona swych córek usunąć z listy kandydatek”[11]. Być może dlatego, że majątek westalek przechodził na rzecz państwa.

Służba w świątyni trwała trzydzieści lat, a kapłanki musiały przez ten czas pozostać dziewicami. Potem mogły wyjść za mąż bądź zostać w świątyni. Morale i zawodową rzetelność westalek traktowano jak sprawę wagi państwowej. Gdy w 216 roku p.n.e. Rzym poniósł klęskę w bitwie pod Kannami, odpowiedzialność złożono nie na nieudolnych dowódców, ale na... westalki, że niby nie dopełniły świątych obowiązków. Dwie z nich skazano na śmierć. Sto lat później w stan oskarżenia postawiono całą szóstkę. Trzem zarzucono zbrodnię utraty dziewictwa i ukarano, zamurując żywcem w podziemiach. Plutarch pisał później, relacjonując, jak skazane odprowadzono na miejsce kaźni, że ani świat, ani Rzym nie widział „bardziej zatrważającego widowiska”[12].

Ale pod wpływem kultury greckiej rzymski panteon nabierał barw i nieco złagodniał, gdy znalazło się w nim miejsce dla bóstw życzliwszych ludziom. Wenus – staroitalską boginię wiosny i ogrodów (nim nastąpiła Ceres) – zaczęto utożsamiać z grecką Afrodytą, powierzając jej nowe funkcje – matki narodu, strażniczki małżeństwa, a jednocześnie patronki nierządnic. Tych nie brakowało. Circus Maximus to jedno z miejsc, gdzie polowały na rozpalonych po krwawych igrzyskach klientów. Pełno ich też było w pobliżu koszar pretorianów na wschodnim przedmieściu Rzymu, nie mówiąc o burdelach w każdym mieście na Półwyspie Apenińskim. Na cześć Wenus odbywały się coroczne uroczystości. Mężatki składały jej hołdy pierwszego kwietnia, prostytutki (obu płci) – dwudziestego trzeciego.

Podobną karierę zrobił rzymski bóg płodności Liber. Skojarzono go z greckim Priapem, a za boski znak przyjęto wizerunek fallusa. Był symbolem seksu, ale także podbojów, buntu, i chronił przed złymi urokami. Krótko mówiąc, spełniał wiele magicznych funkcji. Słowo *fallus* wywodzi się z greki. Jego łaciński odpowiednik to *fascinum*, co oznacza także „ducha magii”. Od *fascinum* wywodzi się czasownik „fascynować”, który z biegiem lat sporządniał i nie ma dziś obscenicznego znaczenia.

Szczególne miejsce wśród bóstw i bogów sprowadzonych z Grecji przypada Dionizosowi – opiekunowi winnic i wina. W rzymskim wcieleniu stał się Bachusem – patronem pijaków. Jego kult pojawił się po wojnach punickich i przez jakiś czas

rozwijał bez przeszkód.

Potem jednak – jak pisze Liwiusz – Rzym się ocknął; stało się to za sprawą niejakiego Aebutiusza, chłopca, który właśnie miał osiągnąć pełnoletność. Chłopcem opiekował się ojczym – człowiek podłego charakteru. Bojąc się, że gdy Aebutiusz uzyska pełnię praw cywilnych, wyjdą na jaw jego – ojczyma – machlojki związane z majątkiem należącym prawnie do chłopca, postanowił go zabić albo w inny sposób – najlepiej szantażem – zmusić do milczenia. W spisek wciągnął matkę chłopca. Ta oświadczyła synowi, że życzyłaby sobie, aby został nowicjuszem kultu Bachusa, na co ten w naiwności swojej wyraził zgodę. Na szczęście zwierzył się z planów swojej dziewczynie. Hispala, wybranka młodzieńca, wiedziała o życiu więcej niż on. „Niech cię ręka boska broni” – ostrzegła go, wielce poruszona, wyjawiając tajemnicę bachanalii. Rzecz w tym, że niewinne ongiś misteria ku czci Bachusa, odbywające się trzy razy w roku pod egidą i okiem matron, przemieniły się w orgie. Do udziału w obrzędach – ongiś zastrzeżonych dla kobiet – dopuszczono mężczyzn, zaczęto je odbywać pięć razy w miesiącu, zawsze pod osłoną nocy, łamiąc wszelkie prawne i obyczajowe zakazy. Kobiety z rozwianym włosiem biegły nad brzegi Tybru, dzierżąc w rękach rozpalone pochodnie. Topiły je w rzece, a gorejący płomień w magiczny sposób ponownie się rozpalał[\*2]. Podnieceni mężczyźni rzucali się na nowicjuszy – młodych ludzi przed dwudziestką – gwałcąc ich i deprawując. Kto próbował się bronić, ginął. W atmosferze rozpasania puszczały wszelkie hamulce.

Opowieść Hispali miała ten skutek, że władze podjęły interwencję. Aresztowano siedem tysięcy osób (rzymscy historycy uwielbiali okrągłe liczby), z wybitnych nawet rodów. Mężczyzn skazano na śmierć, kobiety oddano pod kuratelę rodzin. Brak dowodów, aby bachiczne bractwa miały charakter polityczny, ale podczas tajnych obrzędów rzeczywiście dochodziło do najprzeróżniejszych przestępstw i zbrodni. Spiskowano w celu obalenia testamentów, nakłaniano świadków do składania fałszywych zeznań, nie brakło morderstw[13]. W konsekwencji kult Bachusa został zakazany. Dopuszczano tylko obrzędy z udziałem co najwyżej trzech kobiet i dwóch mężczyzn, i to za specjalnym zezwoleniem władz. Stosowną uchwałą Senatu (186 rok p.n.e.) rozesłano do *civitates foederatae* – państw sprzymierzonych – z prośbą o wcielenie w życie.

Kult Bachusa jako pierwszy zwrócił na siebie uwagę władz i jako pierwszy został wykluczony. Tymczasem ze wschodu nadciągało nowe niebezpieczeństwo. Nowe

bóstwa sprowadzały się do Rzymu razem z cudzoziemskimi niewolnikami, inne przenikały z Grecji, dokąd przywędrowały zza mórz z żołnierzami Aleksandra Wielkiego wracającymi z wypraw wojennych.

Na kilka lat przed Bachusem zjawiała się w Rzymie Kybele – frygijska bogini płododajnej przyrody. Trafiła tu za sprawą *Ksiąg sybillińskich*, w których w czasie wojen z Hannibalem dopatrzono się niezwykle aktualnej przepowiedni. Otóż Rzym miał ocaleć, jeśli do miasta sprowadzi się *Magna Mater* – Wielka Macierz. Kybele pasowała jak znalazł. Zaraz zbudowano jej świątynię, a do posług wyznaczono specjalnych kapłanów eunuchów, którzy nosili się jak dzisiejsi wyznawcy Hare Kriszna i też urządzali koncerty na tamburynach i piszczałkach. Ze wzrostem liczby wyznawców obrzędy na cześć Kybele nabrały innej miary, przekształcając się w akty zbiorowej hysterii, w czasie których dewoci zadawali sobie ciężkie rany.

Po Bachusie i Kybele rozsypał się worek z bóstwami z importu. Z Persji przybył Mitra – bóg słońca, za nim Baal – bóstwo semickie, z Egiptu – Izis-Izyda i Serapis. Mitrę czcili zwłaszcza wojskowi, a Izis zachwycały się kobiety ku niechęci mężczyzn, którzy wkrótce jęli traktować Izydę jako źródło i symbol zła w kobiecym wydaniu. Rychło znaleziono na to materialne dowody. Oto w roku 19 naszej ery wybuchła afera niejakiej Pauliny – młodej rzymskiej damy. W religijnym uniesieniu oddała się ona towarzyszowi Izydy – bogu Anubisowi, odkrywając po fakcie, iż zamiast z bogiem spędziła noc z całkiem zwyczajnym śmiertelnikiem, wyznawcą Anubisa. W świętym oburzeniu uderzyła na alarm. W rezultacie kapłanów Izydy ukrzyżowano, a sporą liczbę wiernych deportowano na Sardinie, gdzie szerzyła się plaga moskitów i gdzie – jak później napisał Tyberiusz – „klimat dopełnił reszty”[14].

Mimo spektakularnych akcji, które wszczynano w imię obrony ustalonego porządku moralno-politycznego, nowe prądy religijne rozszerzały się i umacniały. Miały wiele wspólnych cech. Wyrastały z jednego pnia, z mitu o odrodzeniu, utrzymującego się zwłaszcza wśród pierwotnych społeczności rolniczych. Bogowie mieszczący się w tej tradycji cierpieli, umierali i odradzali na nowo. Wspólne były też uroczyste ceremonie przyjmowania do wspólnoty i obrzędy oczyszczenia przez okresowe posty. Ważne jest jeszcze co innego: każde z wyznań czcilo jednego boga. To właśnie otwierało drogę do chrześcijańskiego monoteizmu, który wkrótce miał upowszechnić się w politeistycznym do tej pory Rzymie.

Nowe kultury kładły także nacisk na osobiste postawy wiernych. Droga do zbawienia



wiodła nie przez mechaniczne stosowanie się do nakazów i zakazów, ale przez cnoty i osobiste zaangażowanie. Nowe religie zdawały się więc nadawać życiu sens, jakiego w Rzymie brakowało. Barwne ceremoniały i ekstaza z jednej strony, a z drugiej wszechogarniające poczucie pokoju po spełnieniu religijnych obowiązków, wszystko to oddziaływało na wyobraźnię także, a może zwłaszcza, kobiet. Otwierało przed nimi jakby nowy świat, a w każdym razie przydawało pustemu do tej pory życiu pewnej treści. Nie bez kozery kobiety, zwłaszcza te nie mające zbyt wielu zajęć, należą do najmniej krytycznych i najbardziej żarliwych wyznawczyń chrześcijaństwa. Zaczęło się to właśnie w omawianej epoce, gdy prądy płynące z Bliskiego Wschodu torowały drogę chrześcijaństwu.

## PODSTAWY ROZWODU

Wiele wody musiało spłynąć w Tybrze i wiele musiało się wydarzyć, nim Rzymianki stały się apostołami Kościoła chrześcijańskiego. Tymczasem, z początkiem II stulecia naszej ery, rzymskie damy szarogęsiły się coraz bardziej i coraz bezwzględniej wykorzystywały swoją pozycję. „Dorobek jej rośnie – pisał Juwenalis o jednej z nich. – W ciągu pięciu zim zmieniła ośmiu mężów. Wyryjcie to na jej nagrobku!”[\[15\]](#)

Kobiety rozwodziły się z nudów, mężczyźni z różnych przyczyn. Czasami dlatego, że na gładkim do tej pory obliczu małżonki pokazywały się zmarszczki, czasami dlatego, że mieli dość niemoralnego zachowania, próżności albo ciągłych docinków i złości. Z roku 131 p.n.e. pochodzi znamienna opinia jednego z rzymskich prawodawców: „Gdyby dało się żyć bez żon, panowie, nie zadawalibyśmy sobie trudu. Niestety, natura zrzędziła inaczej. Wprawdzie nie da się z nimi żyć w pokoju i spokoju, ale też nie da się żyć bez nich. Musimy się więc poświęcić w imię przyszłości!”[\[16\]](#) Kilkadziesiąt lat później Marcus Tullius Cicero – mówca, polityk, pisarz i poeta – rozwiódł się właśnie z żoną Terencją i na pytanie, czy ożeni się ponownie, odpowiadał z przekonaniem, że nie. „Nie sposób parać się filozofią, walcząc z żoną”[\[17\]](#). Rychło jednak zmienił zdanie. Zapomniał, że rozwodząc się, musi spłacić żoniny posag, a pieniądze mógł zdobyć w jeden tylko sposób – żeniąc się po raz wtóry.

Rzymianka nie była wymarzoną żoną, Rzymianinowi też daleko było do ideału

męża. Rzymska emancypantka była apodyktyczna, agresywna, chciała dominować, w niczym nie znała umiarkowania. Odznaczała się więc wielu niezdolnymi cechami dzisiejszych walczących feministek. Rzymianin też miał swoje wady i w rzeczy samej trudno było z nim wytrzymać. Obrzydliwy egoista, intelektualny pedant bez wyobraźni i poczucia humoru, który co najgorsze bez przerwy moralizował i wygłaszał kazania. Krótko mówiąc, oboje byli sobie warci, co rzadkością wcale nie jest, a z pewnością nie było w starożytnym świecie. Ale w przeciwieństwie do kobiet w innych krajach Rzymianki nie wahały się o tym mówić, więc i o ich małżeńskich nieszczęściach stało się głośno.

U zarania republiki małżeństwo uznawano za zawarte, gdy odbyły się stosowne ceremonie, a związek został skonsumowany. Później prawo się zmieniło. W III stuleciu p.n.e. małżonkami byli mężczyzna i kobieta „żyjący wspólnie za wspólną zgodą”. Taka definicja otwierała szeroko wrota do rozwodu. Wystarczyło, że jedna lub druga strona podważyła bądź przymiotnik, bądź przysłówkę. Wcześniej kobieta takiego prawa nie miała. Gdy stało się jej udziałem, jęła z niego korzystać z zapalem i w nadmiarze.

Ale każdy kij ma dwa końce. Wyzwolenie emocjonalne kobiety to jedno, a materialna niezależność to drugie. Nie zawsze więc kobieta decydowała o sobie i swoim rozwodzie. Jeśli należała do arystokracji, która traktowała małżeństwo jako element aliansu politycznego, mogło się zdarzyć, i zdarzało, że nie tyle wychodziła za mąż i rozwodziła się, gdy przyszła jej na to ochota, ile wydawano ją i rozwodzono bez jej woli w celu przypieczętowania bądź rozwiązania politycznych sojuszy rodziny. Dość wspomnieć o Liwii, matce Katona Młodszego i babce Brutusa (zabójcy Cezara). Otóż najpierw wydano ją za politycznego współnika jej brata. Gdy drogi obu panów się rozeszły, rozwiedziono ją i wydano za innego. Cezar rozwiódł się z Pompeją (drugą żoną) z powodów politycznych. Oskarżona o zdradę, została uniewinniona, ale Cezar mimo to usunął ją ze swego otoczenia. „Żona Cezara musi być poza wszelkim podejrzeniem” – oświadczył pontifex maximus w trybunale, poświęcając małżeństwo umocnieniu swojej politycznej pozycji najwyższego kapłana i pretora Rzymu.

August – wnuk siostry Cezara i jego przybrany syn – miał się za strażnika *sancte matrimonio*, a jednak nie zawahał się rozwieść ze Skrybonią pod zarzutem „moralnego wyuzdania” (Skrybonia ponoć naraziła się jednej z jego kochanek), aby ożenić się z Liwią Druzyllą – siedemnastoletnią wtedy mężatką i w dodatku w szóstym miesiącu ciąży. Julia, córka Augusta z małżeństwa ze Skrybonią, też padła ofiarą powszechnego



ówcześnie przekonania, że małżeństwo to sprawa raczej polityczna niż ludzka, choć bardziej litowano się nad jej małżonkami niż nad nią. Dwóm z nich kazano się rozwieść i poślubić Julię. Jeden – Tyberiusz – stawiał nawet opór. Później jednak nie żałował, choć dziesięcioletnie małżeństwo z przedsiębiorczą Augustówną okazało się nader trudne. Los wynagrodził mu wyrzeczenia i upokorzenia, gdy po śmierci Augusta obwołano go cezarem.

Z początkiem cesarstwa pozamałżeńskie szaleństwa Rzymianek ukrócono. Nie uczynili tego mężowie (choć ten i ów starał się coś zrobić na własną rękę), ale ustanowione przez Augusta prawa, które – pewnie nie do końca w sposób zamierzony – przenosiły zdradę małżeńską spod jurysdykcji rodziny w sferę prawa karnego.

Penalizacja cudzołóstwa dotykała głównie kobiety. I tak mąż, który przyłapał żonę na zdradzie, musiał się z nią rozwieść. Gdyby tego nie uczynił, podlegał postępowaniu prokuratorskiemu. Małżonkę uznaną za winną zdrady skazywano na banicję, pozbawiano tytułu własności do połowy posagu i trzeciej części osobistego majątku, jeśli takowy posiadała. Nie mogła wstąpić w nowy związek małżeński, bo każdy, kto chciałby ją poślubić, popełniał przestępstwo. Współdziałowiec zdrady (jeśli był żonaty) też podlegał banicji, ale – co ważne – gdzie indziej niż kochanka. W rzeczy samej każdy żonaty mężczyzna współwinny zdrady podlegał karze. Kawalerowie cieszyli się pod tym względem immunitetem. Żonatego mężczyznę przyłapanego na stosunku z kobietą nie będącą zarejestrowaną prostytutką uznawano za winnego „czynu nieobyczajnego”. W rezultacie wprowadzenia tego przepisu lawinowo wzrosła liczba próśb o zaliczenie w poczet nierządnic, a gdy z wnioskiem jeły występować szanowane skądinąd damy, Senat pospieszył z nowelizacją prawa. I tak w IV wieku n.e. wprowadzono jednolity dla obu płci system kar za zdradę małżeńską[\*3]. Postęp, a jakże, a jednocześnie regres, bo zdradę karano śmiercią.

W historii Rzymu nie brak wybitnych i silnych kobiet. Mądrą i świątłą damą była bez wątpienia Kornelia, córka Scypiona Afrykańskiego, małżonka Semproniusza Grakcha [która po śmierci męża odrzuciła starania króla Egiptu Ptolemeusza VII – *przyp. tłum.*]. Za silną osobowość uchodziła Praecia – ponoć wywierała przemożny wpływ na swego kochanka, trybuna Korneliusza. Wielkimi postaciami były Serwilia – matka Brutusa, i Porcja – jego żona. O małżonce Augusta Liwii powiada się, że walnie przyczyniła się do umocnienia wprowadzanych przezeń reform. Ale inne wybitne damy z całym zapalem podważały nowy ład. Dość wymienić obie Julie – córkę i wnuczkę

Augusta, Druzyllę, Poppeę czy Mesalinę.

Imiona bywają mylące. Wiele dam z rzymskich rodów panujących nosiło te same bądź podobne imiona. Mylą się nawet historycy. Zbieżność imion sprawia, że zbrodnie jednej przypisują jej imiennicze. Mężczyźni tradycyjnie nosili dwa, czasami nawet trzy imiona. Kobietom skapiono i tego. Miały jedno imię – rodowe. Przydawano doń imię męża. I tak spośród trzech sióstr trybuna Publiusza Klodiusza jedna zasłynęła jako Klodia Piusa, druga jako Klodia Agrypina, trzecia jako Klodia Oktawiana. Za czasów cesarstwa kobiety dorobiły się dwóch imion. Pierwsze nadal było imieniem rodu, drugie brały po ojcu lub matce. Ale gdy związki małżeńskie zawierano w obrębie tych samych rodów – jak choćby dynastie julijska i klaudyjska – pojawiała się nadprodukcja takich samych imion – na przykład Julii i Klaudii.

Dezorientację pogłębia fakt, że damy nosiły nie tylko takie same imiona, ale z lubością popełniały te same grzechy – pychy, lubieżności, nieumiarkowania, nie mówiąc już o grzechu zabójstwa, bo niejedna sięgała po truciznę w celu rozwiązania problemów rodzinnych i politycznych. Czy więc rzymskie damy były obciążone dziedzicznie, czy skłonność do grzechu miały zapisaną w genach? Niekoniecznie. Współcześni wytykali im jeśli nie zbrodnie, to co najmniej występki, ale zwykle tak jest, że nonkonformistów oskarża się o wszystko, co najgorsze. Zaczęło się to od II stulecia p.n.e. i trwa po dziś dzień. Kto nie płynie z prądem, kto próbuje kontestować, kto chce myśleć inaczej, temu reszta nie może darować. W historii aż nadto przykładów wojującej nietolerancji i rzucania oskarżeń o wszystko – o orgie, kanibalizm, krwawe biesiady rytualne i inne obrzydlistwa. Pod ścianą stawiano Żydów, montanistów, uczniów Karpokratesa, manichejczyków, gnostyków, katarów, albigensów, waldensów, ruch ubogich spod znaku Henryka z Lozanny, Braci Apostolskich, adamitów – inaczej mówiąc, wszystkich heterodoksów – na równi z „poganami” – Cyganami, czarownicami, Aztekami, Inkami i kim tam jeszcze[18]. Rzymianie nie byli fanatykami, myśleli racjonalnie, nie posuwali się więc do irracjonalnych oskarżeń. Wystarczały im zwyczajne – o rozpustę, ekscesy seksualne, skrytobójstwo. Co do tych pierwszych, to rzeczywiście orgie być może stanowiły część rozmaitych obrzędów religijnych i pseudoreligijnych, w których sporo kobiet ochoczo brało udział. Ale w oskarżeniach o trucicielstwo jest chyba dużo przesady. Więcej osób ginęło od zatrucia choćby salmonellą niż z rąk rzekomych trucielek. Bakterie i wirusy zbierały bogate żniwo w całym świecie.

Co nie znaczy, że Rzymianki żyły skromnie, powściągliwie i spokojnie. Przeciwnie, wiele znakomicie wykształconych, inteligentnych i śmiertelnie znudzonych dam rzeczywiście dopuszczało się zdumiewających czynów. Kto im na to pozwalał? Jak to się działo, że w społeczeństwie zdominowanym przez mężczyzn tolerowano coś takiego?

Składało się na to kilka okoliczności. Po pierwsze, damy wystrzegały się polityki. Swoje intrygi i szaleństwa rozgrywały na innym obszarze. Po wtóre – Rzymianin, dopóki miał święty spokój, ani nie zwracał szczególnej uwagi na wyczyny żony, ani się nią specjalnie nie przejmował. A co najważniejsze, kobiet było mało, mniej niż mężczyzn, a mężczyzna chciał się żenić, chciał mieć potomka, no i oczywiście łakomym okiem spoglądał na posag. Nawet jeśli z żoną nie bardzo mu się układało, to perspektywa oddania posagu jawiła się jako znacznie gorsze nieszczęście. Tolerował więc szaleństwa choćby dlatego, że na jego miejsce u boku małżonki czyhała konkurencja. Zwróćmy uwagę, że w łacińskim słowniku nie ma określenia „stara panna”.

## PROBLEMY DEMOGRAFICZNE

Wedle Kasjusza Diona, autora Historii rzymskiej, z początkiem cesarstwa wśród wolnej ludności Rzymu więcej było mężczyzn niż kobiet. Według niektórych ocen różnica sięgała 17 procent[19]. Dziewczęta traktowano jako luksus i marnotrawstwo pieniędzy, co mogło być jedną z przyczyn braku równowagi demograficznej. Zwyczajowy posag w kręgach zamożnej części społeczeństwa sięgał ogromnej sumy miliona sestercji, co odpowiadało mniej więcej 80 kilogramom złota. Posag wypłacano w trzech rocznych ratach. Cynceron, gdy przyszło mu płacić ostatnią część posagu córki Tulii, zastanawiał się, czy nie taniej będzie ją rozwieść[20]. Wśród mniej zamożnej części społeczeństwa dawano oczywiście skromniejszą wyprawę, ale mimo to wydanie córki za mąż stanowiło nie lada obciążenie dla rodzinnego budżetu.

Antyczne prawa, znane jako „prawa Romulusa”, nakładały na rodziców obowiązek odchowania wszystkich synów, a spośród córek tylko pierworodnej. Tradycja przetrwała po czasy cesarstwa. Niechciane dzieci, głównie dziewczynki, ale nie tylko, bo także dzieci chore, synów z nieprawego łoża bądź takich, których narodzinom

towarzyszyły złe wróżby, porzucano w wyznaczonych w tym celu miejscach w mieście. Jeśli dziecku los sprzyjał, to zabierała je jakaś litościwa rodzina, jeśli nie, ginęło z głodu i wyczerpania[21]. Tej formie dzieciobójstwa położono kres dopiero w IV wieku naszej ery, choć nie do końca. Praktykowano ją bowiem nadal, tyle że w sposób mniej publiczny. Ofiarą padały głównie dziewczęta, co odbiło się później negatywnie na wskaźnikach przyrostu naturalnego.

W ogóle Rzymianie nie byli chętnymi rodzicami. Bezdzietne małżeństwa (z wyboru bądź konieczności) wcale nie należały do wyjątków. Semproniusz Grakchus spłodził z Kornelią aż dwanaścioro potomstwa, ale przeżyła ledwie trójka, dziewięcioro zmarło niemal zaraz po urodzeniu. Współczesnych mało obchodził wskaźnik śmiertelności niemowląt, ale temperament „matki Grakchów”, jej zdolności rozrodcze budziły powszechny podziw.

Dwa najwyższe szczeble w rzymskiej hierarchii społecznej zajmowali patrycjusze – członkowie najbardziej wpływowych rodów, i ekwici – pierwotnie rycerze konni, z których później powstała klasa bogatych mieszczan. Jedni i drudzy dbali przede wszystkim o to, aby ich majątek nie uległ rozproszeniu. Starali się więc ograniczać liczbę spadkobierców. Poza okresami przesileń, gdy wojna zbierała żniwo, w bogatych rodzinach poprzestawano zwykle na dwóch synach. Pierwszy miał dziedziczyć rodzinne bogactwa, drugi czekał w kolejce na wypadek, gdyby pierwszemu coś się stało.

Trzecią w hierarchii, bardzo liczną i zróżnicowaną warstwę stanowili ludzie o znacznie niższym statusie materialnym. Obejmowała ona i nieźle prosperujących rzemieślników, i zbuntowanych artystów bez grosza przy duszy, i plebs żyjący z państwowych datków. Ci pierwsi naśladowali postawy patrycjuszy i ekwitów, drudzy należeli do najzacieklejszych krytyków instytucji małżeństwa, a trzecich zwyczajnie nie było stać na zakładanie rodziny i płodzenie potomstwa, jako że annona, czyli darmowa racja chleba, przysługiwała wyłącznie mężczyznom i nie starczała na wykarmienie rodziny.

Na dole drabiny społecznej plasowali się niewolnicy i wyzwolenicy, którym nie przysługiwały żadne prawa obywatelskie. Małżeństwa niewolników należały do rzadkości. Po pierwsze dlatego, że brakowało kobiet – niewolniczą populację stanowili głównie mężczyźni. Po wtóre, na małżeństwa nie godzili się właściciele. Tolerowali związki nieformalne, bo w ten sposób stosunkowo małym kosztem

zwiększali zasoby siły roboczej. Nader interesującą grupę stanowili wyzwolenicy – niewolnicy, których obdarzono wolnością bądź którzy sami wykupili się z niewoli. Jeśli wierzyć Petroniuszowi, ogólnie uważano ich za prostaków, ludzi niegodnych szacunku, choć dostrzegano ich talenty. Wielu bowiem dorobiło się znacznego majątku. Wyzwoleniec, który chciał się żenić, nie miał wielkiego wyboru. Wyżej nie mógł, niżej nie chciał, a w swojej warstwie znajdował niewiele kandydatek, jeśli już, to kobiety dość wyemancypowane, co raczej zniechęcało mężczyznę myślącego o założeniu rodziny. Poza tym niezmiernie rzadko właściciel obdarowywał wolnością osobę młodą. W konsekwencji i w tej warstwie społecznej wskaźnik przyrostu naturalnego utrzymywał się na dość niskim poziomie.

Tak więc uwarunkowania społeczne nie sprzyjały ani płodzeniu dzieci, ani nawet instytucji małżeństwa jako takiej. Z drugiej jednak strony już w roku 403 p.n.e. powstawały prawa promujące związki małżeńskie. Złożyły się na to co najmniej dwie przyczyny: kryzys demograficzny związany z ciągłymi wojnami i społeczna reakcja na grecką pederastię. Rzymianie byli pojętymi uczniami – od greckich kolonistów zamieszkujących wybrzeża dzisiejszej Zatoki Neapolitańskiej nauczyli się nie tylko alfabetu i imion homeryckich bóstw. Jeszcze w czasach cesarstwa Rzym mógł się „poszczycić” środowiskiem homo- i biseksualistów hołdującym ateńskim tradycjom. Należeli doń między innymi poeci Horacy i Marcjalis (Marcus Valerius Martialis).

Rzymianin, który wstępował w związki małżeńskie i zakładał, że będzie miał dwoje, najwyżej troje dzieci, zapewne nie pozostawiał sprawy w rękach bogów. Miał racjonalną naturę, myślał logicznie, cenił ład i porządek i nie zostawiał niczego przypadkowi. Historycy, którzy twierdzą, że Rzymianie nie stosowali środków antykoncepcyjnych, jako argument wysuwają Sztukę kochania Owidiusza. Wskazują, że w dziele tym, podręczniku dla pań swawolnych[\*4], nie ma ani słowa o antykoncepcji (i dobrze, że nie ma, bo czytelniczki wiedziały znacznie więcej o sprawie niżli autor). Nie tylko u Owidiusza nie ma nic na temat kontroli urodzin. Nie ma także u innych, poza jedynym Juwenalisem, który nie przepuścił żadnej okazji, aby wytknąć rodakom grzechy i grzeszki.

Rzeczywiście ani wielcy poeci, ani historycy, ani filozofowie nie zostawili żadnego zapisu w interesującej nas kwestii, co nie znaczy, że Rzymianin, zwłaszcza ten, którego było na to stać, nie miał dostępu do informacji czy też poruszał się po omacku. Przeciwnie, istniały receptury i sposoby, po które zawsze można było sięgnąć, choć w



świetle tego, co wiemy o życiu rodzinnym Rzymian, możemy z pewną dozą prawdopodobieństwa założyć, że w małżeńskiej sypialni nieczęsto z nich korzystano, bo mąż i żona rzadko ze sobą sypiali. Tak więc abstynencja seksualna wydaje się najbardziej rozpowszechnionym w Rzymie sposobem unikania niechcianej ciąży. Drugim był chyba *coitus interruptus*, na równi z oliwą z oliwek rekomendowaną jeszcze przez Arystotelesa w IV wieku p.n.e. Ten ostatni środek stosowały oczywiście panie, przedkładając go nad inny, opisany przez Lukrecjusza trzysta lat po Arystotelesie. Nie był to zresztą środek, lecz pewna technika, którą zdaniem Lukrecjusza z powodzeniem stosowały profesjonalistki w miłosnym zawodzie. Polegała na takiej pracy biodrami w czasie stosunku, że ejakulat lądował poza strefą zagrożenia[23]. Greckie hetery stosowały jeszcze lepszy i bardziej gwarantowany sposób. Wystarczy spojrzeć na malowidła wazowe, aby się przekonać, że tylko wyjątkowo, gdy klient się upierał, przystawały na klasyczny stosunek. Z zasady transakcja opiewała na stosunek analny[24].

Niezmordowany Pliniusz – mąż głęboko moralny – tępił antykoncepcję, jak mógł, czyniąc wyjątek dla nazbyt płodnych kobiet. Zalecał im środki na obniżenie libido. Nie były one wynikiem badań naukowych, ale działały zapewne skutecznie, bo której kobiecie chciałoby się myśleć o łóżku, jeśli najpierw miała „nasmarować się mysimi odchodami” – jak brzmiała jedna z receptur Pliniusza. Miał ich zresztą wiele. Dobry rezultat dawał ponoć przyjmowany doustnie winny bądź octowy roztwór ślimaczych i gołębich odchodów. Dobrze też było rozetrzeć na podłodze pod łóżkiem kogucie jądra i krew. „Głębokie obrzydzenie do stosunku seksualnego” – zapewniał Pliniusz – ogarnie tę, która namaści sobie lędźwie „krwią z jąder dzikiego, czarnego byka”[25]. Pewnie i tak, tylko że najpierw trzeba było tę bestię schwytać.

Rówieśnik Pliniusza Dioskurides Pedaniusz – grecki lekarz, autor dzieła *De materia medica*, uważanego za wzór jeszcze w XVI wieku – także zostawił kilka interesujących rad. Wedle jednej tuż po stosunku należało umieścić w szyjce macicznej nieco (ilości nie sprecyzował) pieprzu. Dlaczego? Trudno powiedzieć. Być może, Dioskurides dzielił wiarę Hipokratesa i Teofrasta [aleksandryjskiego autora Historii roślin – *przyp. tłum.*] w lecznicze działanie piper nigrum, a może po prostu twórczo rozwijał dawny sposób. Kiedyś bowiem sądzono, iż skutecznym środkiem antykoncepcyjnym jest... kichanie. Skoro tak, trzeba kichanie wywołać w miejscu najbardziej strategicznym. Ale o Dioskuridesie warto pamiętać z innego powodu. Był

prekursorem sławetnej metody Ogino-Knausa, znanej także jako kalendarzyk małżeński albo „watykańska ruletka”, wedle której kobieta może sobie wyliczać tzw. bezpieczne dni. Dioskurides gwarantował bezpieczne stosunki w pierwszych pięciu dniach po menstruacji[26].

Znacznie pewniejsze wydają się rady Soranusa z Efezu, lekarza, którego nazwisko stało się w średniowieczu synonimem medycyny. Żył i praktykował na początku II wieku naszej ery. Studia odbył w Aleksandrii – Mekce ówczesnej nauki. W przeciwieństwie do innych wyraźnie oddzielał antykoncepcję od przerywania ciąży. Ostrzegał przed wszelkimi środkami doustnymi. Nie wierzył w ich skuteczność, uważał natomiast, że niszczą system trawienny. Nie wierzył też w zbawienne działanie amuletów, talizmanów i tym podobnych rzeczy[\*5]. Jako najlepszy środek antykoncepcyjny zalecał tampony dopochwowe z wełny nasyczonej oleistymi substancjami (co zapewne osłabiało mobilność plemników) lub roztworami ściągającymi, pod których wpływem następował skurcz szyjki macicznej. Nie były to pewnie środki stuprocentowo skuteczne, ale chyba najlepsze, jakie w ogóle wymyślono wtedy i w późniejszych wiekach, łączyły bowiem zalety środków chemicznych i mechanicznych.

Ale z punktu widzenia Rzymianek te i inne receptury obarczone były zasadniczą wadą – wykluczały spontaniczne akty miłosnego oddania. Trudno sobie wyobrazić, aby zawsze znajdował się pod ręką zapasik cedrowej czy gumowej żywicy bądź olejku kamforowego, po który można by sięgnąć w tych kilku szalonych minutach między pierwszym pocałunkiem a finałem uniesienia. Może dlatego w ówczesnej literaturze medycznej więcej niż o antykoncepcji pisze się o sposobach spędzania płodu (zalecając zwykle środki wymiotne bądź ćwiczenia fizyczne – skoki, przysiady itp.). Soranus dawał następującą radę: „Gdy już dochodzi do ejakulacji, kobieta powinna wstrzymać oddech, cofnąć się nieco, aby nasienie nie dostało się do ujścia szyjki macicznej, a zaraz potem wstać, kucnąć i zacząć kichać”. Na szczęście, zalecał jeszcze, aby po tym wszystkim solidnie przemyć pochwę, co dawało chyba lepszy rezultat niż kichanie w kucki[28].

Na podstawie mitu o Minosie i pięknej Pazyfae [córcie Heliosa i Perseis, co zapłonęła gwałtowną miłością do byka – *przyp. tłum.*] niektórzy badacze wysuwają tezę, że Rzymianie mogli wynaleźć prymitywną prezerwatywę sporządzaną z koziego pęcherza[29]. Wykluczyć tego nie można, ale o tym sposobie antykoncepcji zaczęto



wspominać dopiero w XVI wieku, teza więc, że już starożytni Rzymianie dysponowali kondonami, wydaje się nieprawdopodobna.

Sumując, wybrańcy, którzy posiadli sztukę czytania, mogli korzystać z wielu rad i receptur, jeśli idzie o zabezpieczenie się przed niepożądaną ciążą, inni mogli się zwrócić do miejscowej czarownicy, z podobnym zresztą skutkiem. Tak więc, kto chciał, mógł zaopatrzyć się w środki antykoncepcyjne, ale mało kto ich naprawdę potrzebował.

Na niski przyrost naturalny w starożytnym Rzymie składały się czynniki obiektywne i subiektywne. Do tych pierwszych należała wysoka śmiertelność niemowląt oraz stosunkowo krótki okres rozrodczy populacji. Przeciętny Rzymianin, jak jego przodek z okresu neolitu, rzadko dożywał trzydziestki. Śmiertelność niemowląt sięgała dwudziestu procent. Dziesięć procent całej ludności Italii skupiało się w samym Rzymie, co sprzyjało różnym epidemiom[30]. W połowie II wieku legionieści wracający z Mezopotamii przywlekli zarazki ospy. W niektórych miastach i prowincjach ofiarą epidemii padła niemal trzecia część mieszkańców. Sto lat później wybuchła inna zaraza – prawdopodobnie odra – zbierając śmiertelne żniwo. W samym Rzymie w okresie szczytowego nasilenia epidemii notowano pięć tysięcy zgonów dziennie[31]. Jak zwykle w takich okolicznościach najwięcej ofiar było wśród najsłabszych kręgów społeczeństwa – kobiet i dzieci z plebsu.

O braku opieki medycznej nie ma co mówić, ale zwróćmy uwagę na jeszcze jeden czynnik – napięcia i stesy związane z życiem w wielkim mieście. Pod tym względem starożytny Rzym nie różnił się chyba od swoich dzisiejszych odpowiedników na różnych kontynentach. Liczył 750 tysięcy mieszkańców, co i dziś stawiałoby go w rzędzie wielkich metropolii. W miejskim gwarze ciąża przestaje być zjawiskiem naturalnym. Stres sprzyja częstym powikłaniom, nie mówiąc już o infekcjach przy porodzie i zagrożeniach dla życia dziecka, jeśli urodziło się w miarę zdrowe.

Śmiertelne żniwo zbierały bliżej nieokreślone w materiałach źródłowych „przypadłości kobiece”. Niedawno sformułowano ciekawą hipotezę co do istoty owych „przypadłości”. Otóż u kilkunastoletnich dziewcząt śluzówka otaczająca szyjkę maciczną jest szczególnie wrażliwa na stany zapalne, zwłaszcza w kontakcie z nasieniem. Dojrzewa i uodparnia się dopiero u kobiet dwudziesto-, dwudziestokilkuletnich. W czasie infekcji często dochodzi do degeneracji śluzówki i powstania ogniska tkanki nowotworowej. Obserwacje te potwierdza brytyjska

statystyka. Gdy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dość powszechnie zaczęto stosować doustne środki przeciwciażowe, wyraźnie wzrosła liczba zgonów z powodu raka szyjki macicznej wśród kobiet do lat dwudziestu, podczas gdy ten sam wskaźnik w innych grupach wiekowych zmalał o 11–15 procent[32]. Młode Rzymianki osiągały dojrzałość biologiczną nieco wcześniej niż dzisiejsze dziewczęta, ale i tak małżeństwo w wieku lat trzynastu czy czternastu rodziło zagrożenia, o jakich mówimy. Dotyczy to głównie dziewcząt z wyższych klas społecznych. Biedota wchodziła w związki małżeńskie i rozpoczynała życie płciowe znacznie później, choćby dlatego, że nie było partnerów. Młody mężczyzna najpierw szedł do wojska, a jeśli nawet nie zaciągał się do legionów, to i tak nie było go stać na wczesny ożenek.

Tak przedstawiały się główne przyczyny stosunkowo niskiego przyrostu naturalnego. Były jeszcze inne, mniej widoczne zagrożenia, negatywnie wpływające na kondycję zdrowotną, ściślej na potencję i w ogóle zdolność rozrodczą bogatszych mieszkańców Rzymu. W roku 1966 amerykański socjolog Seabury Colum Gilfillan wysunął przekonującą tezę, że rzymscy patrycjusze cierpieli na chroniczne zatrucia związkami ołowiu. Ich obecność w organizmie prowadzi do bezpłodności u mężczyzn, a u kobiet do powikłań w czasie ciąży, poronień i martwych porodów[33]. W roku 1978 badania kliniczne wykazały, że zatrucia ołowiem obniżają zdolność uczenia się i koncentracji oraz sprzyjają niekontrolowanym zachowaniom u dzieci[34]. Pomijając długotrwałe skutki zatrucia ołowiem, objawiające się w latach dojrzałych, możemy stwierdzić, że rozwój osobowości rzymskiej młodzieży był daleki od ideału.

Ołów przedostawał się do organizmu z wielu źródeł. Wodę płynącą akweduktami rozprowadzano systemem ołowianych wodociągów. W powszechnym użyciu były naczynia ze stopów ołowiu. Puder do twarzy produkowano na bazie bieli ołowianej. Syropy używane do poprawy jakości win gotowano w kotłach wykładanych ołowiem, przez co ołów przedostawał się do trunku.

Sam trunek też nie pozostawał bez wpływu na potencję i zdolności rozrodcze Rzymian. Szekspir zauważył w Makbecie, że alkohol pobudza żądzę, ale osłabia jej realizację. Współczesne badania dowodzą, że alkohol negatywnie wpływa na działanie męskich gruczołów, a ściślej, obniża poziom testosteronu. Ciekawy rezultat przyniosły amerykańskie badania prowadzone przez 37 lat w grupie 14 tysięcy alkoholików. Stwierdzono, że co dziesiąty mężczyzna z tej grupy cierpiał na impotencję[35][\*6].

Rzymianie pili sporo, nawet jeśli założyć, że w opowieściach o orgiach jest dużo przesady, a pewnie jest, bo lubiono się popisywać. Novellius Torquatus chwalił się, że wypił duszkiem dziesięć litrów wina. Pomijając przechwałki, trzeba stwierdzić, że za kołnierz na pewno nie wylewano. Opilstwo zaczynało się popołudniem w łaźni i trwało do świtu. Poeta Marcjalis zastanawiał się kiedyś, co go opętało, że zaprosił na kolację gościa, którego nie znosił, i uznał, że musiało się to stać za sprawą dwóch i pół litra wina, które wlał w siebie. Rzymianie pili mocne, siedemnastoprocentowe wina. Dwa i pół litra wchłonięte przez Marcjalisa to mniej więcej trzy czwarte litra czystej wódki, sporo, nawet jeśli rzymskim zwyczajem biesiadnik rozwadniał trunk. Ale dawka Marcjalisa zdaje się raczej normą niż wyjątkiem i nie ma chyba wątpliwości, że Rzymianie byli alkoholikami ze wszystkimi tego faktu konsekwencjami, z impotencją włącznie.

Jeśli już jakiemuś wyjątkowo szczęśliwemu mieszkańcowi Rzymu udało się uniknąć zatrucia ołowiem i przykrych konsekwencji chronicznego opilstwa, to nadal groziło mu inne niebezpieczeństwo, negatywnie wpływające na potencję i życie płciowe. Siedliskiem owego zagrożenia były łaźnie, a przyzwoity Rzymianin do łaźni chodził codziennie.

Prosto z szatni trafiał do *tepidarium* – zagłębiał się w ciepłym powietrzu doprowadzanym systemem specjalnych przewodów. Następnie przechodził do *caldarium*, a tam było jak w ukropie. Woda w wannach miała tak wysoką temperaturę, że Seneka zakpił sobie kiedyś, iż powinni się w niej pluskać wyłącznie niewolnicy, i to za karę. A tymczasem – ciągnął – zrobiła się taka moda, że kto „nie daje się gotować żywcem”, tego z miejsca nazywają prowincjuszem, choćby nawet był samym Scypionem, znanym z dzielności i wytrwałości[37]. W *caldarium* spędzano długie godziny, na przemian nurzając się w wodzie i pocąc na ławach. Po stosownym czasie przechodziło się na powrót do *tepidarium*, aby trochę ochłonać, a na koniec co bardziej wytrzymali szli do *frigidarium* na szybką kąpiel w lodowatej wodzie.

Higiena higieną, ale skądinąd wiadomo, że gorące kąpiele negatywnie wpływają na produkcję plemników. Jądra mają niższą temperaturę niż reszta męskiego organizmu. Doświadczenia przeprowadzone niedawno w Kansas przez badaczy amerykańskich dowodzą, że nawet niewielki wzrost ciepłoty jąder, do 37 stopni, hamuje wytwarzanie męskich komórek rozrodczych. Tymczasem w *caldarium* utrzymywano temperaturę rzędu 43 stopni Celsjusza. W badaniach amerykańskich uzyskano również ciekawy

rezultat, gdy obniżano ciepłotę jąder. Otóż po serii zimnych kąpeli pewien człowiek, uchodzący za bezpłodnego od dwóch lat, został szczęśliwym ojcem (oczywiście po dziewięciu miesiącach). U dwóch innych uczestników eksperymentu zanotowano znacznie obfitszy ejakulat niż przed krioterapią, a co więcej, ich plemniki okazywały znacznie większą żywotność i ruchliwość niż przed eksperymentem[38].

Na podstawie prowadzonych dziś doświadczeń nie da się potwierdzić wszystkich hipotez dotyczących przeszłości, ale też nie powinno się ich lekceważyć. Nie ma więc racji pewien uczyony, który próbuje podważyć tezę co do zatrucia łożowiem, argumentując, że „gdyby tak było, gdyby Rzym stale truł się łożowiem, musielibyśmy mieć do czynienia z niezwykle fenomenem z dziedziny immunologii, bo spora część mieszkańców miasta, choć piła wodę z tego samego łożowianego wodociągu i posługiwała się tymi samymi naczyniami ze stopów łożowiu, zatruciu nie ulegała”[39]. No cóż, nie wszyscy pili równo, nie wszyscy doprawiali wino zatrutym syropem i nie wszystkie kobiety kilkanaście razy dziennie pudrowały nosy bielą łożowianą. Warto więc przyjrzeć się bliżej trybowi życia różnych rodzin. Weźmy choćby Marka Agrypę i Julię czy Germanika i Agrypinę. Z tego pierwszego małżeństwa zrodziło się pięcioro potomstwa, z drugiego – ośmioro, ale obaj wodzowie, Marek Agrypa i Germanik, sporo czasu spędzali poza Rzymem, a więc nie truli się łożowiem. Obaj też unikali alkoholu. O Germaniku Tacyt pisał, że był „człowiekiem nader skromnym w przyjemnościach”, a Agrypa należał do starej, dobrej rzymskiej szkoły[40].

Rzymianie doskonale zdawali sobie sprawę z zagrożeń, jakie niesie zmniejszający się wskaźnik urodzin. Od II wieku p.n.e. niemal obsesyjnie zaczęli walczyć o odwrócenie niebezpieczeństwa. Trzeba nam „mniej rozpusty, a więcej dzieci”[41] – alarmował Cynceron, domagając się stosownych ustaw, ale ustawy – wiadomo – nie są panaceum.

Wysięk ustawodawczy podjął cesarz August w 18 roku p.n.e. Dziewięć lat później prawa uzupełniono. I tak na wdowy nałożono obowiązek ponownego wyjścia za mąż, dając im na to dwa lata od śmierci małżonka. Rozwódcom nakazano wstąpić w związki małżeńskie w ciągu 18 miesięcy od rozvodu[\*7]. Kawaler nie miał prawa dziedziczenia majątku, a bezdzietnym małżeństwom w wieku rozrodczym dano prawo tylko do połowy należnego im spadku. Jednocześnie zliberalizowano dawne zasady zawierania małżeństw poza swoją klasą. Wolni obywatele (z wyjątkiem członków rodzin senatorskich) mogli żenić się z niewolnicami. Ustanowiono także system nagród

i wyróżnień dla małżeństw, które dochowały się trojga żyjącego potomstwa, przy czym za „żyjącego” uchodził również syn poległy na wojnie”[\*8]. Na prowincji za podstawę do szczególnych honorów przyjęto splódzenie i odchowanie co najmniej czwórki potomstwa. Systemem bodźców objęto także wyzwoleńców. Wyzwoleniec, który miał tylko jedno dziecko, musiał połowę majątku zapisać swojemu dawnemu właścicielowi. Posiadaczowi dwójki dzieci zabierano третią część majątku. Dopiero ojciec trojga miał prawo dysponować całością swego dorobku. Cudzołóstwo wyjęto spod jurysdykcji rodzinnej i oddano pod sądy publiczne. Wszystkim nakazom i zakazom towarzyszyła groźba konfiskaty majątku na rzecz państwa i pewnie dlatego owe prawa pozostały w mocy długo po tym, gdy już wiadomo było, że nie przynoszą oczekiwanego skutku – lepszych wskaźników przyrostu naturalnego[43.]

Właśnie, rezultatów nie dały, choć uspokoiły nieco atmosferę rozpasania, zwłaszcza na społecznych szczytach, bo dać nie mogły: takimi czy innymi paragrafami nie można rozwiązać problemu o charakterze bardziej medycznym niż społecznym. A był to problem specyficznie rzymski, wyjątkowy w skali ówczesnego świata.

Inne społeczności też ponosiły skutki i krótkiego życia, i wysokiego wskaźnika śmiertelności na skutek epidemii, głodu i wojen, też nie omijały ich „kobiece przypadłości” i rozmaite niekorzystne trendy obyczajowo-społeczne (choćby pederastia w ateńskim wydaniu). Zdarzało się, że ludności ubywało, jak w Grecji, nigdzie jednak zjawisko to nie przybrało tak kryzysowych rozmiarów i nigdzie nie miało tak długotrwałego charakteru jak w Rzymie.

Rzym był pod tym względem wyjątkowy. Po części przyczyniła się do tego postawa rzymskich możnowładców, którzy jak wielu im podobnych w historii naszego gatunku ograniczali liczbę dzieci w imię zachowania majątku. „Instynkt luksusu” kazał im sięgać po środki antykoncepcyjne, i nie tylko po nie, aby limitować liczbę uprawnionych do bogactwa. Nie bez wpływu były także stresy i napięcia związane z życiem w wielkim mieście. Ale zadziałał też czynnik psychologiczny. Rzymianie, którzy jak nikt przed nimi poszerzyli granice znanego świata, mieli własne rozumienie tego, czym jest i czym powinno być życie na wysokiej stopie, uznając zarazem, że należy im się to z racji podbojów, zasług i czego tam jeszcze. A owo dobre życie to łaźnia, bieżąca woda i wino do woli – niby drobiazgi, a przecież wpłynęły na bieg historii.

Gdyby szukać jednego, najważniejszego czynnika, który zdecydował o upadku

imperium rzymskiego, byłby nim zapewne deficyt ludności. Właśnie nikły przyrost naturalny i fatalna w skutkach deprecjacja rzymskiej waluty spowodowały, że Rzym nie był w stanie ani strzec własnych granic, ani skutecznie rządzić imperium, nie mówiąc już o trzymaniu w ryzach „barbarzyńców”, którzy nienawidzili Rzymu z całego serca, równie mocno zazdroszcząc mu wszystkiego, co osiągnął. Barbarzyńska penetracja rzymskich eszelonów władzy wbiła ostatni gwóźdź do trumny organizmu państwowego – najbardziej chyba logicznego i pięknego, jaki ludzkość kiedykolwiek wymyśliła.

---

[\*1] W tej mierze rzymskie dziedzictwo okazało się niebywale trwałe. W niektórych krajach europejskich, zwłaszcza we Francji, zabójstwo w afekcie stanowiło uznawaną prawem okoliczność łagodzącą. Sądy stosowały ją także wobec kobiet, co targnęły się na życie małżonków.

[\*2] Mieszanka, którą sycono głównie, składała się z niegaszonego wapna, siarki i oleju skalnego. Czegoś takiego woda nie gasi.

[\*3] Czas niesie zmiany. Za Mussoliniego uznano, że cudzołóstwo jest przestępstwem kobiet, bo tylko one mogą je popełnić. Stosowny przepis utrzymał się we włoskim kodeksie aż po lata siedemdziesiąte.

[\*4] W istocie *Sztuka kochania* to niewinny podręcznik flirtu, a na pewno nie seksu. Autor wskazuje drogę do sypialni, ale progu nie przekracza. Radzi tylko, jak dama powinna się zachować, gdy już tam trafi.

Leż na wznak, jeżeli nieba

dały ci uroczą buzię.

Jeśli masz plecy precudne.

kładź się na brzuszku, łobuzie.

Wysoka winna opierać

na łóżku kolana swoje

i z lekko schyloną głową

toczyć swe miłosne boje...[22]

[przeł. Julian Ejsmond]

[\*5] Był w tym raczej odosobniony. Ludzie lubią być zwodzeni. Aecjusz z Amidy zalecał w VI w.: „Noś z sobą kawałeczek lwiej macicy w pojemniczku z kości słoniowej. To bardzo skuteczne”[27].

[\*6] Z innego badania wynikałoby, że mężczyzna pragnący mieć syna powinien raczej zatrudnić się w rzeźni niż w barze lub gorzelni. Ze studium przeprowadzonego w 1987 roku wyraźnie wynika, że w rodzinach barmanów rodzi się więcej córek niż chłopców, a w rodzinach masarzy i rzeźników na odwrót.

[\*7] Podobne prawa obowiązywały między innymi w osiemnastowiecznej Polsce; wprowadzono je z myślą o podniesieniu wydajności produkcji rolnej. I tak wdowa po rolniku musiała w ciągu roku ponownie wyjść za mąż pod groźbą eksmisji z gospodarstwa. Młody wdowiec z dziećmi miał pół roku



na znalezienie nowej żony, też pod groźbą utraty ziemi<sup>[42]</sup>.

<sup>[\*8]</sup> „Prawo trojga dzieci” dotyczyło wyłącznie mieszkańców samego Rzymu; rychło zresztą zaczęto je stosować jako formę wysokiego wyróżnienia za postawę obywatelską. Cesarz Domicjan nadał godność „ojca trojga dzieci” poecie Marcjalisowi, który w ogóle nie miał potomstwa.



## 6. CHRZEŚCIJAŃSTWO

**E**rozja imperium rzymskiego następowała stopniowo, ale nieprzerwanie. Przyjmuje się czasami, że ostateczny rozpad nastąpił w roku 410, gdy Alaryk, wódz Wizygotów, spustoszył i splądrował Rzym. Wydaje się jednak, że w rzeczywistości zakończyła się jedna, a zaczęła druga epoka sto lat wcześniej, gdy cesarz Konstantyn ogłosił swobodę wyznaniową dla coraz liczniejszych chrześcijan, a potem sprzymierzył się z Kościołem.

Decyzja Konstantyna wynikała tak z motywów religijnych, jak i politycznych. Wojsko, podpora jego poprzedników, samo w istocie zaczęło zagrażać trwałości imperium. Rzymski system prawny, finansowy i handlowy był nieadekwatny do nowych zadań. Wydawało się, że tylko chrześcijaństwo – religia obca, bo zrodzona poza Rzymem, ale od trzech stuleci działająca na terenie imperium – niesie możliwość zjednoczenia heterogenicznego zbioru ludów i narodów zamieszkujących wielkie państwo rzymskie, rozciągające się od szkockich nizin na północnym zachodzie po azjatyckie wybrzeża Morza Czarnego na wschodzie.

Kościół, zorganizowany wedle struktur administracyjnych imperium, z diecezjami i prowincjami odpowiadającymi jednostkom terytorialnym państwa, miał wszystkie cechy skutecznego aparatu władzy i decyzja Konstantyna okazała się słuszna. Podczas gdy zwarty do tej pory organizm rozpadał się w części europejskiej na samodzielne, czasami trwale, a czasami efemeryczne niezależne państwa i państewka, a imperium pod władzą „nowego Rzymu” – Konstantynopola – skurczyło się do niewielkiego obszaru wokół Bosforu, Kościół trwał niezachwianie, jednocząc ludy dawnego cesarstwa. Ale już nie w jego imieniu i nie w jego interesie.

W trudnym i ciągle nie do końca zgłębnionym okresie V–XI wieku, gdy trwała wielka wędrówka ludów, gdy rozmaite państwa pojawiały się i znikaly, a wraz z nimi ich twórcy, gdy Europa stale się przepoczwarzala, tylko powstały w Galilei Kościół, czerpiący i z babilońskiego realizmu, i z hebrajskiego absolutyzmu, a także z platonizmu rodem z Grecji i rzymskiego materializmu, trwał, rozwijał się i poszerzał swoje wpływy, stanowiąc jedyne spoiwo i jedyną mocną ostoję w targanym niepokojami świecie. Pod każdym niemal względem, nie wyłączając militarnego, bo przecież pod jego egidą powstały armie krzyżowców, Kościół stał się rzeczywistym sukcesorem cesarstwa rzymskiego.

Gdyby nie okoliczności polityczne, chrześcijańska moralność zapewne nie zawładnęła tak głęboko umysłem Zachodu. A zawładnęła, wręcz skuła wszelką myśl, tak mocno, skutecznie i na tak długo, że dopiero teraz paraliż zaczyna ustępować. Ale sytuacja w Europie po upadku Rzymu tak się ukształtowała, że inaczej chyba być nie mogło. Dwa czynniki odegrały rolę decydującą: erozja państwa, a w konsekwencji brak skutecznego systemu wdrażania prawa i porządku, oraz postępujący upadek oświaty. Umiejętność czytania i pisania stawała się zjawiskiem rzadkim.

Upadek władzy centralnej, regres gospodarczy, powrót do prymitywnych, barterowych form wymiany handlowej – wszystko to sprawiło, że Europa zaczęła się atomizować. Poszczególne społeczności zamykały się w sobie, traciły styczność ze światem zewnętrznym, prawa państwowe przestawały obowiązywać bądź okazywały się nieskuteczne. Kościołowi wszakże zależało na stabilizacji, bo tylko w takich warunkach mógł liczyć na stały dopływ funduszy niezbędnych do jego funkcjonowania. Lukę powstałą po upadku władzy świeckiej zaczęli wypełniać proboszczowie, zbrojni w kościelne przykazania, i nie tylko, bo także w ogień piekielny (instrument znacznie skuteczniejszy niż jakakolwiek inna metoda jakiegokolwiek instytucji powołanej do zaprowadzenia ładu i porządku), pod których groźbą narzucali określoną moralność i wdrażali określone normy postępowania. Te zaś miały charakter powszechny, obowiązywały wszędzie. W taki sposób przez kilka stuleci chrześcijańską moralność wszczepiono głęboko i trwale.

Jej zasady, generalnie rzecz biorąc, wywodzą się z trzech źródeł: z wybranych części Starego Testamentu, z całego Nowego Testamentu i z dorobku, zapisów oraz nauk chrześcijańskich myślicieli, którzy wzięli na siebie trud interpretacji wszelkich niejasności zawartych w podstawowych tekstach.

Ojcowie Kościoła – osobistości bez wątpienia wybitne – byli tylko ludźmi, a ludzkie doświadczenie ma ograniczony charakter. W oświeconym społeczeństwie ich myśli, wnioski i nauki podlegałyby stałej weryfikacji. Toczyłaby się nieustanna twórcza dyskusja. Ale wraz ze światem, który odszedł w przeszłość, upadła oświata, a sztuka pisania i czytania jęła podlegać ścisłej reglamentacji. W średniowieczu uprawiano ją wyłącznie w klasztorach, a o tym, co mogło być czytane i co mogło znaleźć się na kartach inkunabułów, decydował Kościół. Klasztorni skrybowie pracownicy powielali jedynie słuszne teksty. Wszystko, co tchnęło nieortodoksyjną myślą, skazywano na niebyt. Pomijając kwestię, czy była to zamierzona cenzura, warto zauważyć, że nigdy przedtem i potem nie udało się stworzyć równie szczelnego, skutecznego i wszechogarniającego systemu reglamentacji myśli.

Skutek był taki, że nikt nie podważał nauk Ojców Kościoła, i takie też – niepodważalne – nauki te pozostały. Przemyslenia ludzi – powtórzmy – wybitnych, ale oceniających świat i bliźnich z bardzo specyficznego, subiektywnego punktu widzenia, zyskały rangę prawd objawionych. Pochylmy się więc z podziwem przed takimi gigantami jak św. Augustyn czy św. Hieronim, bo prawda jest taka, że na pojęciu „grzech”, do dziś zresztą, bardziej zaważyły seksualne jeremiady ich i garstki ich towarzyszy, żyjących u schyłku cesarstwa rzymskiego, niż nauki Jezusa z Nazaretu i kamienne tablice dane człowiekowi na górze Synaj.

## SEKS A CELIBAT

„Chciałbym – pisał św. Hieronim w IV wieku – aby każdy mąż brał sobie za żonę taką, co nie potrafi sypiać sama, bo się boi”<sup>[1]</sup>.

Św. Hieronim, jeden z najsurowszych, a i najbardziej inspirujących (jeśli oceniać go z bezpiecznej, historycznej perspektywy) Ojców Kościoła, miał instytucję małżeństwa w głębokiej pogardzie. Nie był w tym odosobniony. Nie była to sprawa wyłącznie osobistych preferencji. Misjonarze potrafili bowiem dostrzec i docenić zjawiska sprzyjające powiększaniu szeregów wyznawców, a seksualna wstrzeźliwość stanowiła istotny składnik ascezy. Okazała się ona magnesem, przyciągającym materialistycznych Rzymian do religii chrześcijańskiej. Nie tylko zresztą do niej, bo i do innych systemów religijnych zrodzonych na Bliskim

Wschodzie. Różnica wszakże polegała na tym, że gdy inne religie wymagały od wyznawców tylko pewnych okresów wstrzemięźliwości, chrześcijaństwo uczyniło z tego najwyższą cnotę[\*1] i permanentny obowiązek.

Już na początku pierwszego stulecia naszej ery św. Paweł wyłożył pogląd, że celibat stanowi wartość cenniejszą niżli małżeństwo. Zmuszony do udzielenia nagany małemu skupisku chrześcijan w Koryncie – jednym z najmniej ludnych miast starożytnego świata – za nazbyt świeckie podejście do spraw seksu, wołał: „Czyż nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusa? Czyż wzięwszy członki Chrystusa będę je czynił członkami nierządniczy? Przenigdy! Albo czyż nie wiecie, że ten, kto się łączy z nierządnicą, stanowi z nią jedno ciało? *Będą bowiem* – jak jest powiedziane – *dwoje jednym ciałem*” (1 Kor 6, 15–16).

Był św. Paweł pierwszym myślicielem w historii Zachodu, który postawił znak równania między życiem duchowym a seksem, ale też zapędził się w kozi róg. Skoro seks z nierządnicami pozostaje w sprzeczności z zasadami wiary, to *per implicite* seks małżeński należałoby postrzegać jako czynność błogosławioną. Ale św. Paweł znalazł wyjście, deklarując, że jeszcze większą wartość stanowi celibat, uwalnia bowiem wierzącego od wszelkich obowiązków, które mogłyby zakłócić obcowanie z Panem. Dodał jednak, że celibat wymaga wielkiej samokontroli, na którą nie każdy może się zdobyć. Bardziej temperamentnym osobom radził nawet, że jeśli już nie potrafią zapanować nad sobą, „niech wstępują w związki małżeńskie... Mąż niech oddaje powinność żonie, podobnie też żona mężowi... Nie unikajcie jedno drugiego, chyba że na jakiś czas, za obopólną zgodą, aby oddać się modlitwie, potem znów wróćcie do siebie, aby – wskutek waszej niewstrzemięźliwości – nie kusił was szatan” (1 Kor, 7, 9 oraz 3–5).

W rzeczy samej św. Paweł nie był takim reakcjonistą, jak przedstawia się go w późniejszych interpretacjach jego prac. Jako człowiek swojej epoki uważał, że małżeństwo jest dobre, ale życie w celibacie – lepsze, jeśli kogoś na to stać. Z czasem jednak przywódcy Kościoła odarli jego tezę ze wszystkiego, co nie zgadzało się z ostatecznym wnioskiem, że wartością najwyższą jest abstynencja seksualna, i dokonywali niebywałych manipulacji myślowych, aby to wykazać, bo przecież małżeństwu błogosławił Bóg, a Chrystus uczynił je sakramentem. No cóż, gdyby nie było intelektualnych wyzwania, nie byłoby teologii, a Ojcowie Kościoła okazali się godni zadania. W sukurs pospieszyli im filozofowie spod znaku gnozy i manicheizmu,

głoszący, że każda cielesność jest z gruntu zła, nie mówiąc o tym, że kobieta w całości, a mężczyzna od pasa w dół są tworam szatana[2].

Podobne treści przepelniają apokryfy Nowego Testamentu – umoralniające opowieści o życiu pierwszych chrześcijan i przypadkach apostołów, przedstawianych nie jako ezoteryczne postaci, ale ludzie śmiali, odważni i do głębi przekonani, że „seks to wynalazek szatana”, a małżeństwo to „życie ze zmałą i skazą”[3].

Wielkie znaczenie miały także osobiste postawy czołowych apologetów chrześcijaństwa, zwłaszcza Tertuliana, Hieronima i Augustyna – myślicieli, którzy obok św. Pawła wywarli najgłębszy wpływ na chrześcijańskie koncepcje seksualizmu. Żaden z nich nie był ascetą z urodzenia, przeciwnie, wiedli zrazu normalne życie (także płciowe), a Hieronim uchodził nawet za hulakę. Później zaczęli żyć w celibacie, a do dawnych grzechów odnosili się z obrzydzeniem, tępiąc je z zapalem. Hieronim po okresie hulaszczym poświęcił się ascezie, żył jako pustelnik na pustyni Chalcis – nawiasem mówiąc, dość popularnej wśród eremitów w IV stuleciu naszej ery. Ale – jak wspominał – cierpiał straszne katusze, gdy grzeszna wyobraźnia podsuwała mu obrazy tańczących dziewcząt. Augustyn przyznawał, że stale zanosił modły do Boga o łaskę życia w czystości, ale nie natychmiast[4].

Właśnie Augustyn najpełniej wyraził głębokie przekonanie Ojców Kościoła, że akt płciowy jest z samej swojej istoty odrażający. Arnobiusz miał go za czynność brudną i poniżającą, Metodiusz za nieprzystojną, Hieronim za nieczystą, Tertulian za bezwstydną, a św. Ambroży za plugawą. W rzeczy samej panował pogląd, choć nikt nie śmiał go wyartykułować, że Bóg powinien był wymyślić lepszy sposób prokreacji. Augustyn, chyba na zasadzie reakcji na własne doświadczenia, rozważał tak postawiony problem i rozwiązał go, stwierdzając, że Bóg nie ponosi winy za niedoskonałości procesu prokreacji, a cała odpowiedzialność za to, że jest, jak jest, spada na Adama i Ewę.

Wedle jego teorii mężczyzna i kobieta w zamyśle Stwórcy byli istotami ducha, w pełni panującymi nad ciałami: „I nie ogarniały ich żądze, więc nie musieli z nimi walczyć!”[5] Seks w rajskim wydaniu, jeśli w Raju dochodziło do aktów płciowych, musiał więc być raczej chłodny, wyzuty z wszelkiego erotyzmu, spontaniczności i uniesienia. Sprowadzał się do mechanicznego wykorzystania instrumentów danych przez Stwórcę w celu wypełnienia obowiązków składających się na proces prokreacji.

Gdy jednak Adam z Ewą zgrzeszyli, zaczęli odczuwać nie znane do tej pory i z gruntu egoistyczne emocje (co Augustyn określa mianem „pożądliwości”), nad którymi nie potrafili zapanować. Zdali też sobie sprawę, że są nadzy, i ogarnęło ich uczucie wstydu, co Augustyn objaśnia w kategoriach konsekwencji za akt nieposłuszeństwa wobec Stwórcy. Zawstydzili się, bo ich organa płciowe dały nagle znać o swoim istnieniu. A ponieważ nie mogli nad nimi, czyli nad sobą, zapanować, sięgnęli po liście figowe, aby ukryć *pudenda* – tak właśnie zaczęto nazywać męskie i żeńskie zewnętrzne organa płciowe (od łacińskiego *pudere* – wstydzić się).

Augustyn uważał, że pierwotny grzech nieposłuszeństwa, przekazywany kolejnym generacjom potomków Adama i Ewy za sprawą dziedzicznej „pożądliwości”, nadal obciąża ludzką społeczność, i na tym gruncie wyjaśniał perwersyjność i pobudliwość organów płciowych, z którą tak trudno walczyć, a także niezgłębioną naturę bodźców seksualnych oraz wstyd, jaki towarzyszy aktowi płciowemu. Żądza i seks stanowią immanentny składnik grzechu pierwotnego, a każdy akt płciowy ludzi po wygnaniu z Raju jest sam w sobie wyrazem zła, podobnie jak każdy jego owoc – dziecko bowiem rodzi się obciążone grzechem pierwotnym. Bóg natchnął pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę czystym fizycznym instynktem służącym zachowaniu gatunku, ale pożądliwość uczyniła zeń coś plugawego[6].

Jednym ze skutków takiej racjonalizacji problemu stało się ponowne „odkrycie” czystości Jezusa z Nazaretu, którego poczęcia nie skalał żaden akt natury seksualnej. Ostateczny wniosek brzmiał, że najlepsza i najskuteczniejsza droga do zbawienia wiedzie poprzez odrzucenie seksualizmu, a tym samym bagażu winy dziedziczonej po Adamie i Ewie. Tylko życie w celibacie dawało nadzieję na osiągnięcie stanu łaski, jaki był dany pierwotnym mieszkańcom Raju.

Przed wszystkimi, którzy byli za słabi na życie w celibacie, wytyczono równie trudny do osiągnięcia cel. Skoro nie mogą się obyć bez seksu, to niechże ten seks będzie czysty, jak był w Raju przed grzechem, wolny od grzesznych namiętności, i niech służy wyłącznie płodzeniu kolejnych pokoleń wiernych[\*2]. Dziś augustiański stosunek – zimny, beznamiętny, uprawiany na zasadzie celu, co uświęca środki – może się jawić jako poniżający, nieprzystojny, bezwstydnny, czyli taki, jak chcieli Ojcowie Kościoła. Wtedy jednak takie pojęcie seksu odzwierciedlało dominujący klimat intelektualny.

Augustyn chciał uzasadnić negatywny stosunek Ojców Kościoła do seksu i udało

mu się to w całej pełni. Jego wywód zaspokaja i wymogi wiary, i intelektu. Ciało to nic innego jak ułomny wehikuł myśli i duszy, powiadał, i na takim zrębie Kościół stworzył chrześcijańską moralność. Przemyślenia Augustyna wywarły ogromny wpływ na życie późniejszych pokoleń. Jedno wszakże wydaje się jasne: jeśli seks uprawiany dla przyjemności jest grzechem, to znakomitą większość zwykłych ludzi stanowią zatwardziali grzesznicy.

## ŚWIĘTE MAŁŻEŃSTWO

Jest oczywiste, że stan kapłański wymagał czystości. Celibat miał się stać oznaką władzy moralnej. Łatwo to jednak nie przyszło, bo w owym okresie dopuszczano do święceń żonatych mężczyzn, choć z drugiej strony po otrzymaniu święceń nie wolno było wstępować w związki małżeńskie. Już w roku 386 papież Syrycjusz w dekreście, uważanym za pierwszy, autentyczny dokument kościelny tej miary, nakazał żonатыm prezbiterom i diakonom powstrzymywanie się od stosunków seksualnych z małżonkami<sup>[\*3]</sup>. Nic to nie dało, podobnie jak nic nie dały przysięgi składane przez przyszłych księży przed otrzymaniem święceń, że powstrzymają się od wszelkich stosunków seksualnych. Obowiązek takiego ślubowania wprowadzono jakiś czas po wspomnianym papieskim dekreście. A zresztą gdyby te i tym podobne nakazy rzeczywiście przyniosły zamierzony skutek, niewiele by to zmieniło, jeśli idzie o publiczny wizerunek kleru. Co najwyżej ten i ów sługa Kościoła miałby spokojniejsze sumienie.

Kościół borykał się z problemem celibatu księży przez wiele stuleci. Władza centralna była zbyt słaba, aby ryzykować radykalne kroki w tej mierze. Bała się, że nakaz absolutnej abstynencji seksualnej będzie powszechnie i publicznie łamany. Sama zresztą też nie miała zbyt czystego konta. (Papieżstwo miało swoje wzloty i upadki, ale najbardziej spektakularny okres utraty autorytetu zanotowano w X wieku, kiedy o tym, kogo papież przyjmie, kogo mianuje i w ogóle o wszystkim co papieskie, decydowały dwie dość kontrowersyjne włoskie damy – Teodora i Marozia.)

Ale w drugiej połowie XI wieku pozycja papieży umocniła się i Grzegorz VII wydał edykt o zakazie księży małżeństw, który jednak spotkał się z dość gwałtownymi reakcjami w świecie chrześcijańskim. Nie wszędzie, ale jednak. W



Niemczech na przykład księża głosili, że nie oddalą małżonek nawet za cenę życia. W końcu jednak Kościół wygrał wojnę o celibat i zasadę tę wprowadzono. Nigdy przedtem, a i chyba nigdy potem, Kościół nie był tak blisko celu, o który mu naprawdę chodziło. Celibat był tylko instrumentem – ideałem zaś stan absolutnej czystości. Ideały mają to do siebie, że na ogół pozostają nieosiągalne. Istota problemu polegała na tym, że wielu kandydatów do posługi duchowej zakładało sutanny nie z powołania, ale dlatego, że poza Kościołem nie mogli realizować swych prawdziwych ambicji. Droga do karier w nauce, administracji czy choćby wymiarze sprawiedliwości wiodła przez struktury kościelne. Warto o tym pamiętać, analizując rozmaite dane, jak choćby takie, że w trzynastowiecznej Anglii co dwunasty dorosły mężczyzna nosił sutannę[8]. Wątpliwe bowiem, aby było aż tyle autentycznych powołań, aby aż tylu mężczyzn odczuwało konieczność zinstytucjonalizowania chęci tłumienia własnego popędu płciowego. Ale per analogiam nie powinno się też wyprowadzać fałszywych wniosków z przypadku biskupa Liege, który do chwili swojej dymisji w roku 1274 spłodził co najmniej 65 bastardów. Nie wszyscy ludzie Kościoła tak energicznie naruszali zasadę celibatu.

Zastanawiać może, dlaczego zakaz zawierania przez księży zwykłych, konwencjonalnych związków małżeńskich wprowadzono tak późno, gdy zacierała się już pamięć o instytucji zwanej syneisaktism. Słowo to oznacza małżeństwo duchowe – białe – jakbyśmy dziś powiedzieli – a więc takie, którego za zgodą obu stron nigdy się nie konsumuje. Instytucja takiego właśnie małżeństwa funkcjonowała za pełnym przyzwoleniem, wręcz aprobatą Kościoła aż do IV wieku. Wielu pustelników szukających ciszy i spokoju na pustyni wchodziło w tego typu związki ze swymi gospodyniami. Wypada dodać, że pustynne eremy nie wyglądały tak, jak się powszechnie wydaje, czy też tak, jak miałyby to wynikać ze współcześnie rozumianej definicji. Instytucja syneisaktism budziła jednak określone wątpliwości, i to nie wyłącznie doktrynalne, więc z początkiem V wieku rozmaite wysokie gremia kościelne zaczęły wydawać oficjalne zakazy wchodzenia w tego typu związki i generalnie walczyć z obyczajem wprowadzania w księże domostwa „obcych kobiet” jako gospodyń czy „towarzyszek”[9].

Do czasu wprowadzenia celibatu wielu aspirantów do służby bożej starało się brać co najlepsze z obu stanów – świeckiego i duchownego. Żenili się młodo, a do święceń przystępowali, gdy życie małżeńsko-rodzinne zaczynało tracić blask. Wielu, co nie

znaczy, że wszyscy. Nie brakowało bowiem żyjących w celibacie z przekonania. Ale byli i tacy, co cnotę traktowali jako dobrą inwestycję na przyszłość, licząc na awanse w hierarchii kościelnej. Wiadomo, że spośród dwóch równie kwalifikowanych kandydatów na biskupa więcej szans miał żyjący w celibacie. A niezależnie od tego, ilu kapłanów podporządkowało się zasadzie celibatu, nie wszyscy skutecznie walczyli ze swą grzeszną naturą. Dość przytoczyć reprimendę, jakiej w IX wieku udzielił swym księżom biskup Verceil. „Niektórzy z was – ostrzegął ostro – popadli w taką niewolę własnych namiętności, że pokazują się publicznie z bezwstydnicami, dzielą z nimi mieszkanie i zasiadają przy wspólnym stole. Ulegając ich wdziękowi, pozwalają im panoszyć się w swych domach i płodzą z nimi bastardów... Co gorsza, w imię spełniania ich zachcianek sprawiają im stroje kosztem Kościoła i kosztem biednych”[10]. Koniec końców Kościół przegrał bitwę o czystość w swoich szeregach. Próba narzucenia zasady czystości mężczyznom, którzy z samej natury nie są ascetami pod żadnym względem, okazała się niewykonalna.

## MAŁŻEŃSTWO ŚWIECKIE

Współcześni słudzy Kościoła mówią czasami o rodzinie tak, jakby chodziło o chrześcijański wynalazek. Tymczasem ich poprzednicy nierzadko postrzegali ją jako dzieło samego szatana.

Skoro musicie, to siężeńcie – głosili Ojcowie Kościoła, zwracając się do swoich owieczek, a jednocześnie roztaczali przed nimi takie wizje radości płynących z małżeństwa, że każdy Grek i każdy Rzymianin tylko by przyklasnął. Dzieci to „gorzka przyjemność”, a małżonka jest istotą słabą, niezrównoważoną, nierozumną, chwiejną emocjonalnie, lekkoduszną, kłamliwą i niegodną zaufania, jeśli idzie o sprawy publiczne”. Pożycie małżeńskie to jedno wielkie, wręcz śmiertelne ryzyko, choć Jan Chryzostom oraz Metodiusz przyznawali, że jeśli małżonkowie ograniczą swoje uściski, węzeł małżeński niekoniecznie zamknie drogę do wiecznego zbawienia. Klemens z Aleksandrii poszedł nawet krok dalej, choć trudno powiedzieć, czy w dobrym kierunku. Małżeństwo – wywodził – stwarza, co prawda, większe pokusy, ale przez to daje większą okazję do wykazania się samodyscypliną, niesie więc w sobie pewne wartości[12].

Generalnie rzecz biorąc, małżeństwo w rozumieniu Kościoła to koncesja na rzecz ludzkich słabości, a te słabości to i popęd płciowy, i chęć posiadania towarzyski życia, i pragnienie potomstwa. Kościół robił, co mógł, aby wiernym zożydzić i instytucję, i słabości. Głosił więc, że jedno małżeństwo w życiu zupełnie wystarczy, by zaspokoić potrzebę posiadania towarzyski. Drugie to już cudzołóstwo, trzecie – rozpusta, a czwarte to nic innego jak zwyczajne „świństwo”.

Kościół nie chciał uznać pożycia małżonków za nieodłączną część związku małżeńskiego i przez pięć stuleci, od VII po XII wiek, toczył nie kończącą się debatę na temat istoty małżeństwa, zastanawiając się, czy jest to forma obopólnego kontraktu natury moralnej, na której potwierdzenie wystarczy stosowna ceremonia, czy też kontrakt należy jeszcze ratyfikować w łóżku. Ostateczna konkluzja, raczej wyrok, brzmiała: *nuptios non concubitus sed consensus facit* – o małżeństwie decyduje wola, a nie stosunek[13]. Małżeństwo, i tylko małżeństwo, daje co najwyżej prawo do odbywania stosunków seksualnych (ale nie nakłada na partnerów takiego obowiązku).

Z tego prawa nie powinno się korzystać zbyt często. Co surowi teologowie głosili konieczność powstrzymywania się od pożycia małżeńskiego: w czwartki – przez pamięć o uwięzieniu Chrystusa, w piątki – dla upamiętnienia ukrzyżowania, w soboty – na cześć Matki Bożej, w niedziele – przez pamięć o zmartwychwstaniu, i w poniedziałki – w hołdzie zmarłym. Na małżeńskie uściski pozostawały więc wtorki i środy, ale też nie wszystkie, jeśli pamiętać o licznych świętach i postach wpisanych w kościelny kalendarz – o wielkim poście, adwencie, o nakazie siedmio-, pięcio- czy trzydniowego postu przed przyjęciem komunii świętej i jeszcze innych okresach wymagających ascezy[14].

Przy tym wszystkim Tertulian ze zniewalającą szczerością zauważał, że to niemal cud, iż za sprawą kapłańskiego błogosławieństwa akt z natury swojej grzeszny może przemienić się w czynność uświęconą, jeśli tylko zainteresowani oddają się jej w sposób umiarkowany, i tylko wtedy, gdy jej owocem są narodziny dziecka. Generalnie jednak Ojcowie Kościoła mieli wątpliwości co do kwestii płodzenia dzieci. Nie byli pewni, czy biblijny nakaz: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się”, jest nadal aktualny. Sięgając do źródeł, dochodzili do wniosku, że nakaz ten miał jeden cel – stworzyć pokolenia, z których wyłoni się Mesjasz, a skoro Mesjasz już się objawił, prokreacja nie stanowi warunku sine qua. non zbawienia[15]. Z drugiej jednak strony propagacja wiernych jest instrumentem propagacji wiary. Pogodzono się więc z realiami, od

których zależy przybywanie owieczek.

Nadal jednak głoszono idee czystości małżeńskiej, co miało ten skutek, że Kościół od samego początku odrzucał możliwość rozwodu na podstawie braku potomstwa, która to instytucja funkcjonowała we wszystkich bez wyjątku społecznościach od zarania historii. Na przełomie XII i XIII wieku uczyniono jeszcze jeden krok, zaliczając małżeństwo do sakramentów, co oznaczało, że związek dwojga ludzi pobłogosławiony przez Kościół stawał się nierozzerwalny pod żadnym pozorem. W ten sposób niezamierzenie dano poczucie bezpieczeństwa sporej grupie kobiet, które dawniej mogły być w każdej chwili oddalone i skazane na niebyt za brak potomstwa, choć mogło to wynikać nie z ich, ale z męzkowskich ułomności.

Spotyka się często pogląd, że chrześcijaństwo wpłynęło pozytywnie na pozycję kobiet w społeczeństwie. Nie jest to prawda. Z jednym bowiem, wspomnianym wyżej wyjątkiem, społeczny i prawny status kobiet nie uległ zmianom. Poza przypadkami, gdy w grę wchodziły sprawy doktrynalne, Kościół chrześcijański u zarania przejął i usankcjonował mocą swego autorytetu pisane i zwyczajowe prawa Rzymu.

## KOBIETA WE WCZESNYM OKRESIE HISTORII KOŚCIOŁA

Nie trefione włosy, nie złote bransolety ani wspaniałe szaty są ozdobą kobiety – wieścił św. Piotr (w stylu i duchu Katona). „Największym jej skarbem, który Bóg widzi, jest szlachetna dusza”. Św. Paweł, człowiek swojej epoki, wskazywał, że kobieta powstała dla mężczyzny, ma więc ustępować mu we wszystkim. Kobieta – podkreślał – nie może głosić nauk w Kościele[\*4]. Ma milczeć i podporządkowywać się mężczyźnie, jak przystoi córce Ewy, co skłoniła Adama do grzechu[17].

Wygląda na to, że apostołowie napatrzili się na mieszkanki Rzymu i uznali, iż dobrą chrześcijanką może być tylko niewiasta stanowiąca zaprzeczenie rzymskiego wzoru. Kobieta powinna więc skrywać swe wdzięki, przysłaniać oblicze w kościele, odrzucić wszelkie kosmetyki, „okłady żądz” – jak mawiał Hieronim, pytając z emfazą: „A czegoż to [kobieta] może oczekiwać od Niebios, gdy maluje oblicze tak, że Stwórca jej nie pozna?”[18] Rzecz nie tylko w kosmetykach i boskim nakazie bycia au naturelle. Każda bowiem ponętna kobieta stanowiła zagrożenie dla mężczyzny i

przeszkodę na drodze ku zbawieniu. „Naturalną urodę – głosił Tertulian – też należy ukrywać, bo niesie ona groźbę dla tych, co ją zobaczą”[19].

Chrześcijaństwo oferowało kobiecie co najwyżej równość w sferze duchowej, który to dar przynosi więcej korzyści darczyńcy niż obdarowanej. Owszem, kobieta się liczyła, jeśli idzie o pracę, wkład w dzieło Kościoła na rzecz dobroczynności i ewangelizacji, ale w innej (nazwijmy ją – prywatnej) dziedzinie miała znać swoje miejsce i nie wykraczać poza nie. Nawet w Kościele wschodnim, w którym z powodu ścisłej segregacji płci duszpasterska rola kobiety ma określone znaczenie i w którym wdowom, dziewicom oraz diakonisom przysługuje określone miejsce w hierarchii, kobietom nie wolno składać ofiary mszalnej, udzielać chrztu, nauczać, udzielać błogosławieństwa, zajmować miejsca przy ołtarzu ani nawet odprawiać głośnych modłów w świątyni. Najdobitniej, choć pewnie nie do końca przemyślanie, postawę ówczesnego Kościoła wobec kobiet wyraził Klemens z Aleksandrii, mówiąc, że kobieta dorównuje mężczyźnie we wszystkim, z tym że mężczyzna wszystko robi lepiej[20].

Z pewnymi wyjątkami, bo jak wszędzie, tak i w Kościele kobiety okazały się niezastąpione, jeśli idzie o polityczne małżeństwa. Kościół bez wahań oddawał wysoko urodzone chrześcijańskie damy na małżonki dzikich, ale potężnych pogańskich książąt frankońskich czy saksońskich. W roku 496 Klotyldę Burgundzką wysłano na północ z misją nawrócenia króla Franków Chlodwiga. Później ich wnuczka Berta pożegłowała do Anglii, by pojąć za męża Ethelberta – władcę Kentu.

Z upływem stuleci chrześcijańskie księżniczki w stosownym wieku – niektóre, zwłaszcza z Merowingów i Karolingów, niezwykle zdolne i silne duchem – wyruszały na coraz dalsze rubieże w polityczno-kościelnych misjach zamążpójścia. Działo się tak nie tylko dlatego, że liczba pogańskich wodzów czekających po sąsiedzku na nawrócenie stale się zmniejszała, ale także, a może przede wszystkim dlatego, że trzeba było szukać partnerów coraz dalej, bo cesarz Justynian zadekretował, iż małżeństwo do piątego stopnia pokrewieństwa jest kazirodcze, a przeto wykluczone. Pięć stuleci później 154 papież Grzegorz VII rozszerzył ów zakaz do siódmego stopnia pokrewieństwa. Skutek był taki, że powstała siatka spowinowaconych ze sobą królewskich i książęcych rodów, obejmująca cały znany ówczesnie świat, od Irlandii na północy, po Jerozolimę na południu, i od Kastylii na Półwyspie Pirenejskim, po Nowogród na Rusi.

## GRZESZNE CIAŁO

W małych, zamkniętych społecznościach, zwłaszcza wiejskich, w których wszyscy byli w jakimś stopniu spokrewnieni, wspomnianego zakazu nie dało się przestrzegać i wątpliwe, aby lokalni proboszczowie rzeczywiście próbowali go wdrażać. Jak większość nakazów Kościoła, tak i ten stosowano na tym poziomie raczej wybiórczo. Uzbrojony bardziej w praktykę niżli teorię, ksiądz półanalfabeta załatwiał przypadki naruszania aktów wiary wedle własnego wyczucia i tylko co trudniejsze i co poważniejsze grzechy przedstawiał biskupowi lub diecezjalnemu penitencjariuszowi, który wizytował parafie w charakterze wędrownego trybunału kościelnego. Można zakładać, że większość sług bożych w parafiach kierowała się „ogólnymi zasadami”, według których nie ma mowy o pożyciu seksualnym poza małżeństwem, a stosunek małżonków ma służyć wyłącznie prokreacji.

Nie da się stwierdzić ani ocenić, jak stanowisko Kościoła w kwestii prokreacji wpłynęło na zjawiska demograficzne w średniowiecznej Europie. Po pierwsze, brak jakichkolwiek danych o stanie ludności i trendach demograficznych od końca III do początku VII wieku, kiedy rozmaite zarazy i plagi (było ich chyba piętnaście) pustoszyły kontynent. Zaczęło się od Bizancjum, w którym w latach 541–544 zaraza – jak podaje ówczesny historyk Evagrius – pochłonęła 300 tysięcy ofiar (czyli co trzeciego albo co drugiego mieszkańca). Potem plaga zaczęła się przemieszczać na zachód i wygasła dopiero dwieście lat później. Około roku 570 wybuchła z kolei epidemia ospy, obejmując cały kontynent. Skutek był dramatyczny. Wedle dzisiejszych ocen ludność Europy z mniej więcej 36 milionów około roku 200 zmniejszyła się do 26 milionów w 600 roku[21]. Warto dodać, że ludność chrześcijańska ucierpiała zapewne bardziej niż żydowska czy muzułmańska, bo higiena nie była częścią jej religii. Już Hieronim powiadał, że kto nurza się w wierze, ten nie musi się oczyszczać w inny sposób[22]. Wątpliwe, aby sama siła ducha stanowiła skuteczną ochronę przed pchłami, które roznosiły zarazki epidemii.

Plagi zbierały większe żniwo na południu, gdzie mieścił się matecznik wiary, i niewykluczone, że właśnie to zaważyło na stosunku Kościoła do seksu i prokreacji. Być może tu należy szukać źródeł absolutnego zakazu wszelkich praktyk ograniczających zbrojne dzieło mnożenia ludzkiego gatunku. Wątpliwe jednak, aby miało to wpływ na populację. Gdy liczba ludności znów zaczęła wzrastać, większy



przyrost, wręcz skokowy, notowano na północy kontynentu i był to raczej wynik przełomu w gospodarce rolnej i poziomie wyżywienia ludności niżli skutek księżych połajenek[23]. Tak więc kościelne nakazy i przykazania w sferze moralności mogły przyczynić się do dzietności w rodzinach chrześcijańskich oraz do zauważalnego, i to przez kilka stuleci, spadku urodzeń z nieprawego łoża. Dziś kościelne zakazy są najczęściej omijane, wtedy jednak, na początku średniowiecza, wywierały ogromny wpływ na wszystko. Życie toczyło się w zamkniętych społecznościach, miejscowy ksiądz miał oko na wszystko i mało komu uchodziło na sucho łamanie przykazań, zwłaszcza dotyczących seksu. A w tym obszarze uprawianie czegokolwiek poza małżeństwem i wyłącznie z myślą o prokreacji i w pozycji: mężczyzna-władca nad kobietą, obłożone było srogą pokutą[\*5].

System i skala pokut nie nosiły watykańskiego imprimatur, nie opracowywano ich centralnie, ale na szczeblu regionalnym. Musiały być dziełem nie byle jakich specjalistów, bo wykazywali się szeroką – zakładamy, że teoretyczną – wiedzą na temat rozmaitych ekstrawagancji seksualnych. Fakt, że w instrukcjach pokutnych wymienia się rzeczywiście mnogość „grzechów”, wcale nie oznacza, iż zwykły ksiądz miał z nimi często (jeśli w ogóle) do czynienia. Raczej zdziwiłby się, słysząc o czymś takim w konfesjonale.

Z jednym wszakże grzechem spowiednicy musieli spotykać się nader często: z wytryskiem nie towarzyszącym spełnianiu czynności małżeńskich. Pokutą za zwykłą polucję było siedem dni postu. Gdy jednak penitent, nie daj Boże, własnoręcznie doprowadzał się do ejakulacji – musiał pościć przez dni dwadzieścia. Zakonnik za samogwałt w kościele dostawał trzydzieści dni postu, ale biskup już pięćdziesiąt. Znaczenie miał fakt, iż grzesznik dopuszczał się naruszenia zasad w samotności, bo już za *coitus interruptus* groziła znacznie surowsza pokuta.

Za największy jednak grzech w sferze seksualnej uchodziła antykoncepcja. Potwierdza to współczesny amerykański badacz, który przeanalizował dwadzieścia zachowanych penitencjałów z VI–X wieku. Tylko w jednym grzech zapobiegania ciąży został potraktowany w miarę łagodnie. W pozostałych wszystko, co zaprzecza prokreacji, a więc stosunek analny, „użycie trucizn wywołujących bezpłodność”, stosunek oralny, traktowano niemal jak ludobójstwo i karano pokutą od trzech do piętnastu lat. Na mniejszą pokutę zasługuje „biedna kobieta, która dopuszcza się podobnego grzechu w obawie, że nie wyżywi jeszcze jednego potomka”, na większą –



osoba zamożna, „która czyni to dla rozpusty”[24]. Podobnie stopniowano karę za *coitus interruptus*. Pokutą był najczęściej post w różnych formach: zakaz picia, jedzenia (poza chlebem), współżycia seksualnego. Zawsze jednak pokuta tyczyła czynności, którą można określić jako przyjemności. W XI wieku wprowadzono alternatywną karę w postaci samobiczowania dla mnichów bądź chłosty – dla osób świeckich. Chłostę wymierzał proboszcz. Jeszcze inną formą było śpiewanie pokutnych psalmów. Człowiek, który doznał samoistnej polucji w nocy, powinien natychmiast wstać i odśpiewać siedem psalmów, a raniem – jeszcze trzydzieści.

Aborcja dokonana przed czterdziestym dniem ciąży (a więc przed momentem, w którym w płód wstępuje dusza) uchodziła za grzech nieco mniejszej miary aniżeli antykoncepcja w ogóle. Pewnie dlatego, że aborcja sama w sobie niesie cierpienie. Ze złośliwością niegodną świętego Hieronim zauważał, że rozpustne kobiety, które zażywają środki na spędzenie płodu, często od nich umierają i oczywiście trafiają do piekła, bo „dopuszczają się potrójnego zabójstwa – na sobie, na nienarodzonym dziecku i na boskim przykazaniu”[25].

Ciekawe, że zapobieganie ciąży poza małżeństwem traktowano jakby łagodniej. Czytamy oto w jednym z penitencjałów: „Człowiek świecki, co uwiedzie oddaną Bogu dziewicę i straci swoją [sic!] reputację i będzie miał z nią dziecko, ma pokutować przez lat trzy... Gdy jednak z takiego złączenia nie zrodzi się dziecko, niech człowiek ten pokutuje rok”[26]. Pływie z tego wniosek, że uwodzicielom i mężczyznom dopuszczającym się gwałtu wręcz zalecano stosowanie praktyk antykoncepcyjnych (i trzymanie języka za zębami w czasie spowiedzi)[27].

Generalnie rzecz oceniając, można powiedzieć, że surowe stanowisko Kościoła w kwestii zapobiegania ciąży wpłynęło bez wątpienia na życie rodzinne, ale wywarło jeszcze głębsze skutki, jeśli idzie o wiedzę na temat metod zapobiegania ciąży, jakie istniały i jakie rozwinięto od czasów Arystotelesa. (Wiedza w postaci ksiąg ograniczała się do klasztorów – wszystko, z czym Kościół nie zgadzał się, skazywano na niebyt.) W rezultacie kobieta, która wbrew stanowisku męża i księdza chciała sama decydować o swoim ciele, nie miała innego wyjścia, jak udać się do „babki”, uwierzyć w moc amuletów bądź sięgnąć po jakiś wątpliwy napar przygotowany przez miejscową „czarownicę”. I tak to trwało przez długie stulecia. Trudno się dziwić, że w średniowieczu zapobieganie ciąży traktowano w kategoriach magii, przesądów i zabobonu, jak u zarania dziejów ludzkiego gatunku.

## GRZECH SODOMII

Zwykły heterogrzesznik mógł jeszcze prosić o uwzględnienie okoliczności łagodzących, nawet przy tak poważnym przestępstwie jak unikanie biologicznych skutków stosunku, grzesznik homoseksualista (grzesznice homoseksualistki jakby umykają uwagi Kościoła) takich możliwości nie miał. Stosunki homoseksualne podlegały bezwarunkowej karze, tę zaś wymierzano wedle powagi przestępstwa: mniejszą za „grę wstępną”, najsurowszą za sodomię, „występek tak odpychający – powiadał papież Grzegorz III – że Stwórca gładził ogniem i siarką całe miasta, w których sodomici zamieszkiwali”[28].

Mocno powiedziane. Ale mieszkańcy Sodomy mieliby prawo wytoczyć autorowi tych słów proces o zniesławienie[\*6]. Biblia bowiem (Rodz 19, 4–11) powiada o sprawie tylko tyle, że Bóg wysłał do Sodomy dwóch aniołów z zadaniem zbadania sprawy zła, co toczyło miasto. Lot zaproponował im gościnę na noc, a wtedy mężczyźni z miasta otoczyli dom, pytając, gdzie są przybysze, bo chcieliby ich poznać[\*7].

Chcieli „poznać” czy „poswawolić” – jak chcą niektórzy translatorzy, czy wręcz „zgwałcić”. Stosowny czasownik użyty w hebrajskim oryginale brzmi *yadha* i może oznaczać jedno i drugie. Występuje on w Biblii – według obliczeń trzech autorów *Hebrajsko-angielskiego leksykonu biblijnego* – 943 razy, ale tylko 15 razy w kontekście seksualnym. We wszystkich przypadkach poza wątpliwym fragmentem o Sodomie i opowieści zawartej w Księdze Sędziów (K.Sędz. 19, 22)[\*8] *yadha* występuje w znaczeniu „poznać kogoś”, „obcować z kimś”[30].

„Sodoma” w języku ówczesnego ludu Izraela funkcjonowała trochę jak słowo-klucz, z którego korzystano, gdy trzeba było wytknąć rozmaite grzechy i godne potępienia przywary, jak pychę, sobkowstwo i brak pobożności. Tak było na początku. Później, gdy około II wieku p.n.e. widok rozpustnych Greków ranił pobożne żydowskie sumienia, Sodoma pojawia się także jako synonim „rozwiązłości” i „nieczystości”. W takim znaczeniu występuje w żydowskich pseudoepigrafach. Później, w reakcji na rozpanoszony homoseksualizm w Rzymie i pederastię w hellenizowanych miastach śródziemnomorskich słowu, przydano wiadomej treści i sprawa została ostatecznie przypieczętowana.

W pierwszym wieku naszej ery Filon z Aleksandrii [żydowski pisarz i filozof –

*przyp. tłum.*] przedstawił biblijną opowieść o Sodomie jako ponurą historię o homoseksualistach. Znał się widać na rzeczy, bo nakreślił naprawdę wstrząsający obraz miasta, dziwnie – nawiasem mówiąc – przypominający jego rodzinną Aleksandrię.

„Kraj Sodomitów – pisał – wszeteczny był i grzeszny, a osobliwie pleniła się tam rozpusta wszelaka... Za nic sobie mając prawa dane od natury, mieszkańcy pograżali się w opilstwie i obżarstwie i uprawiali niedozwolone stosunki. W swojej bezecnej żądzy nie tylko gwałcili żony sąsiadów, ale też mężczyźni polegali z mężczyznami, bez poszanowania dla natury, co jednym każe biernym być, a innym czynną odgrywać rolę. Gdy zaś zapragnęli mieć potomstwo, przekonali się, że ich nasienie stało się jałowe”. Na koniec Filon dodał jeszcze jedno przepiękne zdanie: „I tak krok po kroku przysposabiali mężczyzn do niewieścich uległości, zlegali na nich i zarażali niewieściami słabościami”[31].

Niewykluczone, że Filon niczego nie wymyślił, ale tylko spisał opowieść, która kursowała między ludźmi. Ważne jest co innego, mianowicie, że Ojcowie Kościoła przejęli jego interpretację, a kilka wieków później zachodni prawodawcy – z niewiedzy albo nadgorliwości – zaczęli nazywać sodomią całe seksualne zło, wszystko, co w ich pojęciu bądź wyobraźni wykraczało poza kategorię „naturalnego współżycia”. W amerykańskiej Wirginii – na przykład – kodeks karny wymienia sodomię jako występki przeciwko obyczajności i zakazuje stosunków oralnych i analnych bez względu na płeć partnerów, ale milczy na temat stosunków homoseksualnych.

Do III wieku naszej ery Rzym nie podejmował żadnych prawnych kroków przeciwko homoseksualistom, choć z czasów republiki mogło się zachować kilka paragrafów, z których można by skorzystać. Władcy cesarstwa mieli poniekąd związane ręce, przynajmniej do czasu przyjęcia chrześcijaństwa jako religii państwowej. Władza wspierała się na armii, a wojsko w swojej masie hołdowało kultowi Mitry – religii rodem ze Wschodu o wyraźnych homoseksualnych podtekstach. Każda inicjatywa ustawodawcza przeciwko homoseksualistom antagonizowałaby siły, na których wspierała się władza cesarska. Nawet po wprowadzeniu chrześcijaństwa rzadko kiedy, jeśli w ogóle, sięgano po prawne środki przeciwko pederastom.

Inaczej sprawy rozwinęły się w „nowym Rzymie” – Konstantynopolu. Cesarzowi Justynianowi udało się – co prawda nie na długo – narzucić rzymsko-chrześcijański

ład moralny na terenach objętych jego władzą, a więc na sporej części dawnego imperium rzymskiego. Justynian stawiał znak równości między bluźnierstwem a homoseksualizmem, w jednym i drugim widział źródło wszelkiego zła. „Właśnie – obwieszczał – za sprawą takich bezbożnych występków spadają na nas plagi – głód, trzęsienia ziemi i zarazy. Dlatego też napominamy mężczyzn, aby trzymali się z dala od takich czynów, bo duszę stracić mogą... Nakazujemy najświetniejszemu prefektowi stolicy naszej uwięzić tych, co mimo naszego napomnienia trwają w występny i bezbożnym życiu, i ukarać ich jak najsurowiej, aby miasto nasze i kraj nie zaznały szkody od ich bluźnierczych i bezwstydných czynów”[32]. Ogłoszono to w 538 roku, a jedną z owych najsurowszych kar – według Prokopiusza z Cezarei (który został później prefektem) – była kastracja. Po zabiegu okaleczonego przestępcę wystawiano na widok publiczny[33].

Jeszcze nie wysechł atrament na pandekcie Justyniana, gdy w roku 541 spadła na Konstantynopol wielka plaga. W ciągu trzech lat pochłonęła co najmniej trzecią część ludności. Dla cesarza i Kościoła był to widomy znak, że słusznie przestrzegali przed grzechem. Gdy zaraza wygasła, pospieszono z *novellą* do ustawy: „Zawsze łakniemy łaski Niebios i Pana, zwłaszcza teraz, w tym trudnym czasie, bo to mnogość naszych grzechów sprowadziła na nas Jego gniew... Powinniśmy więc uczynić wszystko, aby powstrzymać się od grzesznych myśli i czynów, a specjalnie... od bezbożnych uczynków i plugastw, których dopuszczają się niektórzy z naszych mężczyzn z innymi mężczyznami ich pokroju... Ogłaszamy przeto te prawa, abyśmy uniknęli losu Sodomy i Gomory, na które Pan sprowadził zagładę”[34].

Tak oto nieprecyzyjna opowieść biblijna, którą najpierw Żydzi ubarwili smugą dezaprobaty wobec greckich obyczajów, a później chrześcijanie wzbogacili pełną potępienia postawą wobec czynów „niezgodnych z naturą”, sprawiła, że homoseksualistów obwołano wrogami państwa.

Kościół oczywiście też. Homoseksualiści rzucali wyzwanie chrześcijańskiej moralności, co zagrażało autorytetowi Kościoła. Rychło więc rozpoczęła się prawdziwa krucjata przeciw występki. Od IV wieku homoseksualistom zaczęto odmawiać chrztu, ba – nawet nauk wiary, chyba że wyrzekli się grzechu[35]. Kościół wszelako doskonale wiedział, że zło czai się również w jego własnych szeregach. Można o tym wnosić z lektury pospiesznie wprowadzanych, szczegółowych paragrafów prawa kanonicznego. W roku 567, na drugim soborze w Tours, nadano

ranę powszechnie obowiązującego prawa zasadzie obowiązującej w zakonie benedyktynów, że sługom bożym nie wolno sypiać po dwóch w jednym łożu. Kilka wieków później tę zasadę rozciągnięto na siostry zakonne. Nakazano też, by nocą w dormitoriach paliły się światła[36]. Sobór w Toledo w roku 693, zatrwożony, że w Hiszpanii pleni się sodomia, zdecydował, iż jeśli „winny występku przeciwko naturze jest biskupem, księdzem bądź diakonem, ma być wydalony ze wspólnoty, skazany na banicję i wieczne potępienie”. Tym, co ułatwiali występki, wymierzano karę stu batów, golono głowy i też skazywano na banicję. Do kar kanonicznych król dodawał świeckie, najczęściej kastrację[37].

Ale dowodów na to, że klasztory były siedliskiem homoseksualizmu, właściwie nie ma, a skrupulatniejsza analiza praw i orzeczeń wewnątrzkościelnych wskazywałaby, że służy Kościoła częściej – jeśli już – grzeszyli normalnie, z płcią odmienną.

Jeśli zaś idzie o laików, to sobór w Ankarze ogłosił w roku 314 dwa prawa kanoniczne, których znaczenie nie jest zupełnie jasne. Wedle niektórych współczesnych badaczy problemu tyczyły one wyłącznie sodomitów w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, a więc osób dopuszczających się współżycia ze zwierzętami. Ale wedle ówczesnych przekonań odnosiły się do homoseksualistów. Skutek był taki, że na Zachodzie kary, które w zamierzeniu miały spadać na zoofilów, stosowano jako podstawowe narzędzie walki z homoseksualistami, na Wschodzie zaś zoofilię zaczęto traktować jak zwykłe cudzołóstwo. Kary wahały się w zależności od wieku sprawcy, jego stanu cywilnego i od tego, czy grzech miał charakter jednorazowy, czy też recydywy. Grzesznik w wieku ponad pięćdziesięciu lat, żonaty, pozbawiany był prawa do komunii świętej, chyba że na łożu śmierci[38].

Gdy Kościół rozszerzył swoje wpływy, zrodziła się konieczność opracowania łatwego i przejrzystego systemu zasad moralności chrześcijańskiej w celu ułatwienia pracy w parafiach. Nie było mowy o liberalizacji czy wyrozumiałości, ale system, który się zrodził, okazał się nieco bardziej racjonalny niż dotychczasowy. Jego celem było oczywiście wykorzenienie zła w postaci homoseksualizmu w myślach i uczynkach, ale też jakby przyznawano, że homoseksualizm wyraża się w równie wieloraki sposób jak związki heteroseksualne, że bywa ukryty, że może wybuchać w postaci namiętnych uczuć, pragnienia fizycznego kontaktu lub stosunku. Powstało więc pytanie, jak traktować grzech homoseksualizmu. Rozróżnić odcienie czy raczej przyjąć radykalny pogląd, że grzech jako taki jest niepodzielny.

W tej sprawie osiągnięto pewien kompromis. Doktryna doktryną, ale sprawiedliwość powinna być łaskawa. W rezultacie powstał ogromnie skomplikowany i szczegółowy spis występków i zalecanych pokut, a także okoliczności, jakie penitencjarz powinien brać pod uwagę, jak choćby wiek grzesznika, jego zawód i status. Dla ludzi w sutannach przewidziano surowsze kary niż dla świeckich. Ważono wszystko: czy grzesznik brał bierny udział w występkach czy był stroną aktywną, czy występku dopuszczał się często czy rzadko i w jakim zakresie. Niektóre opisy mogą napawać obrzydzeniem. Szczególnie surowe kary przewidziano dla zakonników zabawiających się sztucznymi fallusami i dla zakonników uprawiających homoseksualne stosunki kazirodcze.

Nie powinny dziwić pewne niekonsekwencje w stosowaniu kary. W Walii w VI wieku homoseksualista schwytywany na gorącym uczynku dostawał trzy lata pokuty, w Burgundii na początku VIII wieku – dziesięć lat. Za seks oralny kara mogła wynosić od siedmiu lat pokuty do dożywocia w zależności od miejsca zamieszkania grzesznika[39].

Frankoński *Cummean Penitential* z VII wieku wydaje się dość reprezentatywny dla tego typu opracowań, z których korzystali spowiednicy we wczesnym średniowieczu. Oto wybór grzechów i kar przewidzianych dla homoseksualistów:

Pocałunek:

*Grzesznik młodociany (przed ukończeniem dwudziestego roku życia):*

- „zwykły pocałunek” – sześć specjalnych postów,
- „pocałunek lubieżny, bez ejakulacji” – osiem specjalnych postów,
- „pocałunek z ejakulacją lub przytulaniem” – dziesięć specjalnych postów.

*Grzesznik dorosły (ukończone dwadzieścia lat):*

– kary podobne; zalecenie absolutnej abstynencji, post (życie o chlebie i wodzie), posiłki w samotności i suspensa na czas określony przez spowiednika.

Wzajemna masturbacja:

*Grzesznicy dorośli:*

- dwadzieścia do czterdziestu dni pokuty, – sto dni w wypadku recydywy,
- za nałogowe uprawianie onanizmu „oddzielenie od społeczności i nakazanie całorocznej pokuty”.

Stosunek pozorny (penis między uda biernego partnera):

- dwa lata pokuty,



– sto dni za pierwszy raz, rok za repetycję. (Punkt pierwszy odnosi się zapewne do dorosłych, drugi – do młodocianych, możliwe też, że surowszą karę nakładano na duchownych, łagodniejszą na świeckich).

Stosunek oralny:

- cztery lata pokuty,
- dla recydywistów i nałogowców – siedem lat.

Sodomia (stosunek analny):

- siedem lat pokuty.

Od VI do początku XI wieku homoseksualistów traktowano mniej więcej tak jak tych, co zgrzeszyli przeciwko przykazaniu o płodności i rozmnażaniu, a więc stosujących antykoncepcję w jakiegokolwiek formie[40]. Później klimat wokół homoseksualistów się zmieniał. Niewykluczone, że stało się tak na skutek wprowadzenia celibatu księży i obaw, że w tej sytuacji homoseksualizm zacznie się panoszyć w kręgach kościelno-klasztornych i jak zaraza przejdzie na świeckich. Biskup, później kardynał, Rotr Damiani uderzył na alarm, podnosząc w XI wieku dość kłopotliwy problem, że winny grzechu „sodomii” może przystąpić do spowiedzi u kapłana, z którym ów grzech popełnił[41]. Surowsze pokuty nikogo nie odstraszały. Zmieniono więc procedurę. Szczególnie ciężkie grzechy przeciwko zasadzie czystości wyjęto spod jurysdykcji proboszczów i przekazano pod osąd biskupa bądź diecezjalnego penitencjariusza. We Francji w roku 1300 wprowadzono zasadę, że „grzeszników przeciwko naturze w wieku ponad dwudziestu lat” należy kierować do biskupa. A jakie to były grzechy? Zoofilia, sodomia, seks oralny i stosunki pozorne. Pod jurysdykcję penitencjariusza generalnego przeszły grzechy popełnianie przez młodocianych z udziałem niewiast, zwłaszcza grzech „wytrysku sprowadzanego dłońmi”, pod czym należy rozumieć „wzajemną masturbację”. Proboszczom pozostawiono drobniejsze sprawy: ekscesy homoseksualne z udziałem chłopców do lat czternastu i kobiet do lat dwudziestu pięciu[\*9] i grzech zwykłego onanizmu[42].

Do zaostrzenia stanowiska Kościoła wobec homoseksualistów najbardziej przyczynił się św. Tomasz z Akwinu – wielki trzynastowieczny teolog i filozof, twórca tomizmu. Tak jak św. Augustyn dał teoretyczny fundament pod stanowisko Ojców Kościoła wobec zwykłego stosunku kobiety z mężczyzną, uznając, że akt ten jest dopuszczalny jedynie jako narzędzie prokreacji, tak św. Tomasz „udowodni!”, że homoseksualizm to zbrodnia, która sprowadziła zagładę na Sodomę i Gomorę, bo



zbrodnią być musi coś, co w oczach Stwórcy, a i heteroseksualnej większości, jest aktem „nienaturalnym”. Za punkt wyjścia wielki filozof przyjął tezę Augustyna, że Stwórca wyposażył człowieka w organy płciowe w jednym tylko celu: aby był „płodny i rozmnażał się”. Każde inne ich zastosowanie jest exdefinitione sprzeniewierzeniem. Jest więc sprzeniewierzeniem homoseksualizm, bo narusza naturalny porządek rzeczy dany od Boga (podobnie trzeba widzieć heteroseksualne stosunki analne i oralne oraz – rzecz jasna – zoofilię). Każde zaś odstępstwo od natury – jak już stwierdził Augustyn– jest ze swej istoty rozpustą i herezją, a przeto jest niedopuszczalne[\*10].

Filozofia Tomasza z Akwinu, stworzony przezeń spójny system teologiczno-dogmatyczny i model jedynej moralności wywarły głęboki i trwały wpływ nie tylko na jego pokolenie, ale także na późniejsze generacje. Niestety model jedynie słusznej postawy wyklucza wszelkie wyjątki. Coś, co się w nim nie mieści, wyrzucane jest poza nawias – najpierw danej filozofii, potem społeczeństwa. W konsekwencji od XIV wieku homoseksualiści jako grupa społeczna nie znajdują ani azylu, ani zrozumienia tak w Kościele zachodnim, jak i w zachodnim systemie państwowym.

## OSIĄGNIĘCIA CHRZEŚCIJAŃSKIE

Z punktu widzenia historii seksu dorobek wczesnego chrześcijaństwa jawi się wspaniale. Podczas gdy inne społeczności Zachodu z różnym nasileniem i surowością potępiały cudzołóstwo (na ogół), antykoncepcję (z rzadka), aborcję (czasami), homoseksualizm (też), dzieciobójstwo (nieczęsto), zoofilię (częściej) i onanizm (raczej nigdy), Kościół chrześcijański przyjął wobec tych zjawisk politykę totalnej proskrypcji.

Inne społeczności mniej lub bardziej liberalnie podchodziły do kwestii pożycia małżeńskiego, dopuszczając stosunki „trzy razy w miesiącu” (Solon), „codziennie w wypadku niepracujących (żydowska Miszna), „dwa razy w tygodniu dla robotników, raz w tygodniu dla poganiaczy osłów”. Kościół orzekł, że pożycie jest w ogóle niedopuszczalne, chyba że w celach rozrodczych.

Trudno ocenić, jak stanowisko to wpłynęło na życie zwykłych ludzi, bo jedyne zachowane teksty z wczesnego średniowiecza dotyczą zagadnień teologicznych, spraw

państwowych lub majątkowych. Nie ma jednak wątpliwości, że pod ścisłą kontrolą kleru, na fundamencie strachu, wstydu i uniesienia duchowego, powstała jednolita, ponadpaństwowa społeczność wiernych.

W świecie, co wychynął z mroków średniowiecza, grzech odgrywał znacznie większą, bo bezpośrednią, rolę w kształtowaniu zasad moralności chrześcijańskiej niżli obietnica zbawienia. Ze wszystkich zaś grzechów największy stygmat nosiły te związane z seksem, co zaowocowało dwoma skutkami. Z jednej strony wzrósł wsparty na ślubach czystości autorytet kapłanów, z drugiej – normalnych ludzi jęło targać przemożne poczucie winy, bo w oczach Kościoła seks był nie tylko występkiem, ale występkiem najwyższej miary.

Miało to swoje konsekwencje. Czystość w rozumieniu seksualnym traktowano jako wartość wyjątkową, mającą moc znoszenia innych grzechów. W porównaniu z występkiem seksem i herezją ani moralne, ani fizyczne akty barbarzyństwa, których wiele w chrześcijańskiej historii średniowiecza i renesansu, grzechem nie były.

I to właśnie stanowi najbardziej zdumiewające osiągnięcie chrześcijan.

---

[\\*1](#) Tę zaś trzeba pielęgnować, a w żadnym razie niczego nie ułatwiać, o czym świadczą dzieje Orygenes z Aleksandrii, który obowiązek wstrzeźliwości seksualnej rozwiązał radykalnie. Odczytując chyba nazbyt dosłownie przypowieść św. Mateusza o „rzezańcach, którzy się sami otrzebili dla królestwa niebieskiego” (M 19, 12. – według przekładu ks. Jakuba Wujka), sam się wykastrował. Położył w ten sposób kres nie tylko swemu życiu seksualnemu, ale też nadziejom na kanonizację. Ortodoksi w Piśmie niechętnie bowiem spoglądali na człowieka nie w pełni wyposażonego.

[\\*2](#) Logika, że seks wyzuty z namiętności jest lepszy niżli stosunek wsparty na uczuciu, sprawiła, iż w czasach wiktoriańskich niektórzy medycy zalecali pacjentom wizyty u prostytutek jako mniej szkodliwe niż sypianie z żoną.

[\\*3](#) W Anglii w roku 1978 na mocy postanowienia arcybiskupa Canterbury ponad dwustu biskupów anglikańskich biorących udział w międzynarodowej konferencji w Lambeth odseparowano od małżonek na czas trwania obrad, czyli na trzy tygodnie. Wielebnych biskupów umieszczono w pokojach Uniwersytetu Kent, a małżonki skoszarowano w bezpiecznej odległości – milę dalej[\[7\]](#).

[\\*4](#) Pogląd podtrzymywany jest do dziś. W roku 1977 Watykan obwieścił, że Kościół katolicki „nie czuje się upoważniony [sic!] do udzielania święceń kobietom”. Chrystus nie uczynił apostołem żadnej kobiety, nawet Marii, i Kościół od tej tradycji nigdy nie odstąpił. Kapłani powinni w „naturalny sposób” kojarzyć się z Chrystusem, z czym nie zgadzałby się wizerunek kobiety odprawiającej nabożeństwo[\[16\]](#).

[\\*5](#) Według teologów (żyjących w celibacie?) wszystkie inne pozycje były „nienaturalne”, bo przypominały parzenie się zwierząt, były sprzeczne z porządkiem rzeczy oraz naturą mężczyzny i

kobiety i – co najważniejsze – mogły wykluczyć zapłodnienie, przeto pozostawały w sprzeczności z istotą małżeństwa.

[\*6] Taki właśnie proces w roku 1976 próbowali wytoczyć papieżowi Pawłowi VI czterej przywódcy grupy Fuori – turyńskiej organizacji gejów – którzy poczuli się dotknięci wypowiedzią papieża, że homoseksualizm to „bezwstyd”, „ohyda” i „obrzydliwość”[29].

[\*7] Stosowny fragment w tłumaczeniu ks. Jakuba Wujka brzmi: „Gdzie są mężowie, którzy weszli do ciebie w nocy? Wywiedź ich tu, abyśmy ich poznali”. W Biblii Tysiąclecia ten sam wers 9 ma następujące brzmienie: „Gdzie są tu ci ludzie, którzy przyszli do ciebie tego wieczoru? Wyprowadź ich do nas, abyśmy mogli z nimi poswawolić” – różnica istotna, zwłaszcza w świetle dalszego wyводу autorki – *przyp. tłum.*

[\*8] Istotny fragment wersu 22 tegoż rozdziału brzmi według Biblii Tysiąclecia: „Wyprowadź męża, który przekroczył próg twego domu, chcemy z nim obcować”, a w przekładzie ks. Wujka: „Wywiedź męża, który wszedł do domu twego, że będziem z nim czynić, co chcemy” – *przyp. tłum.*

[\*9] Cezura wieku w wypadku kobiet wydaje się mocno spóźniona. Przypadała na dobrych kilka lat po pokwitaniu i na pięć – statystycznie biorąc – przed kresem życia. Przebija w tym echo dawnych rzymskich obyczajów, że dopiero dwudziestopięcioletnia kobieta jest naprawdę dorosła.

[\*10] Do dziś Kościół katolicki w pełni, a Kościoły protestanckie z niejakim wahaniem stosują się do tez Tomasza z Akwinu. W ogłoszonym w roku 1976 dokumencie watykańskim O niektórych zagadnieniach etyki seksualnej podtrzymano stanowisko, że stosunki homoseksualne nie znajdują żadnego usprawiedliwienia, że pozostają w sprzeczności z „poczuciem moralności” chrześcijańskiej, z naukami Pisma Świętego i „obiektywnie istniejącym ładem moralnym”. Jeden z członków zakonu jezuitów o „orientacji homoseksualnej” zauważył z pewną dozą optymizmu, że „nastąpi kiedyś taki dzień, kiedy Kościół zda sobie sprawę z destrukcyjnego wpływu głoszonej przez siebie polityki na setki tysięcy ludzkich istnień i politykę tę zmieni” (zapewne za kolejne siedemset lat). Z kolei Synod Generalny Kościoła anglikańskiego wydał w roku 1987 oświadczenie, w którym można się dopatrzeć pewnej liberalizacji stanowiska wobec homoseksualistów. Homoseksualizm – brzmi główny fragment – „odbiega od ideałów chrześcijańskich”. Stanowisko żydowskich ortodoksów nie różni się od watykańskiego. „Takie [homoseksualne] praktyki – oświadczył jednoznacznie główny rabin Jerozolimy – są ucieleśnieniem zła” („The Times”, 9 listopada 1987).

## CZEŚĆ TRZECIA

---

# AZJA i ŚWIAT ARABSKI DO OKRESU ŚREDNIOWIECZA

---

*Również w Azji mężczyzna odgrywał dominującą rolę i troszczył się o zachowanie gatunku, z tym że nie ograniczał się, jak jego europejski odpowiednik, do zwalczania praktyk, które celowi temu nie służyły, ale rozwijał i propagował wszystko, co rozrodczości mogło sprzyjać.*

*Seks stanowił w Azji nieodłączną część stylu życia, a w najdoskonalszym kształcie służył także rozwojowi ducha. Chiński taoizm i hinduski tantryzm wspierały się mocno na określonych praktykach seksualnych. Sytuacja prawna i społeczna Azjatek nie odbiegała od sytuacji mieszkanek Europy, w praktyce jednak miały one większą swobodę.*

*W Chinach, Indiach, a także w krajach arabskich praktykowano poligamię. Arabskie haremy przez ponad tysiąc lat ekscytowały żyjących w monogamii mieszkańców Zachodu. Nowa wiara – islam – pchnęła Arabów na drogę podbojów. Z początkiem średniowiecza zajęli oni niemal cały basen Morza Śródziemnego i zdobyli Persję. Dawni prymitywni nomadowie wyrosli na największych w świecie pośredników między Wschodem a Zachodem. Za ich sprawą sztuka, nauka i technika Zachodu przenikały na Wschód i odwrotnie, to od nich Europa zaczerpnęła ideę „czystej miłości”. Jej echa znajdujemy w europejskiej poezji, w pieśniach trubadurów i dworskich romansach, a co więcej, „czysta miłość” generalnie wpłynęła na stosunek do kobiet na Zachodzie, wręcz zmieniła ich społeczny wizerunek.*

## 7. CHINY

**P**odczas gdy wczesny Kościół chrześcijański propagował abstynencję seksualną jako najpewniejszą drogę do Nieba, mieszkańcy innego krańca świata, równie gorliwi w swojej wierze, głosili zupełnie przeciwny pogląd. „Im więcej kobiet mężczyzna posiedzie, tym większe płyną dlań korzyści ze stosunków z nimi” – brzmiała jedna z ich prawd, a wedle innej „najlepiej ma ten, co w nocy użyje więcej niż dziesięć kobiet[1]. Tak właśnie przedstawia się jedna z doktryn *dao* (tao) – Drogi, „Najwyższej Ścieżki Natury” – filozofii kształtującej życie społeczne i umysłowe Chińczyków przez ponad dwa tysiące lat.

Chińska cywilizacja, jedna z najwspanialszych kultur w dziejach naszego gatunku, powstała na ideach, które inne ludy odrzuciły na długiej drodze rozwoju od paleolitu do neolitu i dalej. Tylko Chińczycy nie wyparli się ścisłych związków z naturą i tylko oni uznali, że nie mają nic do zawdzięczenia bogom stworzonym na wzór i podobieństwo człowieka. W ich pojęciu istnienie to ciągły ruch i ciągłe zmiany, powstawanie i przemijanie, strumień energii płynącej w czasoprzestrzeni, w której nurza się wszystko i wszyscy, człowiek i zwierzę, trawa i drzewa, skały i góry, chmury, deszcz i wiatr, rzeki i morza. Nic nie jest dane raz na zawsze, bo wszystko stale powstaje i stale przemija. Dochodząc do końca niniejszego zdania, Czytelnik nie jest już tą samą istotą, jaką był na jego początku.

Kogo nie stać na abstrakcyjne myślenie, niech spróbuje ogarnąć chińską ideę stworzenia, wyobrażając sobie wielowymiarową mapę pogody z dynamicznym układem barycznym, stale zmieniającym się zachmurzeniem, wiatrami, burzami, słońcem, co raz przebija, a raz kryje się za brzeziennymi deszczem obłokami.

Wszystko to kręci się, obraca jak zespół kół, z których jedno napędza drugie, a wszystko za sprawą *ch'i* – esencji życia, co podąża „Najwyższą Ścieżką” – Drogą – *dao*.

Istota chińskiego sposobu postrzegania świata zasadza się, jak na nakreślonej wyżej mapie pogody, na ciągłym ruchu, ciągłym przemijaniu, falowaniu. Wszystkie składowe bądź powstają, bądź nikną. Gdy jeden element zaczyna górować, inny musi się cofnąć. Gdy jeden się kurczy i niknie, drugi musi się rozwijać. Element bierny ma odpowiednik w czynnym, by mógł zaistnieć pozytyw, musi powstać negatyw. Takie właśnie myślenie towarzyszyło Chińczykom od zarania, wszyscy doskonale je rozumieli, ale nikt nie zadawał sobie trudu, aby je wyartykułować, aż pojawiła się *Yi Qing* – *Księga przemian*, a w niej *yn* i *yang* – dwie siły, co pospołu wprawiają w ruch *ch'i* na Drodze Niebios. Pierwsza jest bierna, przyjmująca, druga – przeciwnie – aktywna i twórcza. „Gra *yn* i *yang* to właśnie *dao*, a skutek owego ciągłego, twórczego procesu zwie się zmianą”[2].

Filozofia, która powstała na gruncie idei Drogi, to taoizm. Jej wyznawcy uważali (i uważają nadal), że człowiek może żyć długo i szczęśliwie, a nawet osiągnąć nieśmiertelność, jeśli tylko nauczy się żyć w harmonii z naturą. Środkiem wiodącym do celu jest harmonijne napięcie między *yn* i *yang*, bo *yn* i *yang* są wszechobecne w naturze i w życiu każdego pojedynczego człowieka. Trzeba więc nauczyć się, jak pobudzać *yn* i *yang*, jak je umacniać, pamiętając, że czerpią one siły z wzajemnego oddziaływania na siebie.

*Yn* i *yang* są sobie przeciwstawne, a zarazem wzajemnie się uzupełniają, co znakomicie widać w naturze. Księżyc i zima to *yn*, słońce i lato to *yang*. Podobnie mężczyzna i kobieta, choć niezupełnie. Wbrew bowiem utartemu, wszelako mylnemu przekonaniu, wyrażanemu na Zachodzie, a czasami nawet w Chinach, kobieta nie jest wcieleniem czystego *yn*, a mężczyzna nie uosabia *yang*. Kobieta to „mniejsze y n”, mężczyzna – „mniejsze *yang*”. Jest to ujęcie zgodne z psychologią, bo w każdej kobiecie, nawet najbardziej pasywnej, kryje się odrobina *yang*, a w każdym mężczyźnie – coś z *yn*. Element podrzędny czerpie siły z nadrzędnego i jest to zasadnicza teza, na której wspiera się taoizm, a zarazem klucz do zrozumienia chińskiej koncepcji seksu.

Gdy człowiek jał kierować się własnym rozumem i wolą, zszedł z naturalnej Drogi. Może jednak na nią powrócić, jeśli temu celowi podporządkuje funkcje cielesne, w

tym oczywiście seks. W akcie płciowym współgrają i przejawiają się te same siły, które przepajają wszystko, a więc *yn* i *yang*. Emanacją tej pierwszej jest wilgotna wydzielina ułatwiająca penetrację, druga zaś przybiera postać nasienia.

Seksualne aplikacje taoizmu nie nastroczają szczególnych trudności, ba – są przyjemne, czego jednak nie można powiedzieć o innych obszarach ludzkiej aktywności, na których podążanie Drogą wymaga określonego wysiłku i dyscypliny, w których wszakże nie ma niczego tajemniczego. Taoistyczna recepta na długie i zdrowe życie wcale nie jest skomplikowana i niejeden ze współczesnych mistrzów medycyny podpisałby się pod nią obu rękami. Składają się na nią regularne ćwiczenia fizyczne, zrównoważona dieta, kontrola oddechu, kąpiele słoneczne i normalne pożycie. Jeden tylko punkt programu mógłby wzbudzić wątpliwości współczesnych specjalistów. Zalecany przez starych mistrzów eliksir nieśmiertelności zamieniliby zapewne na zwyczajną multiwitaminę[\*1]. Na tym poziomie wszystko zdaje się jasne i proste. Do czasu. Gdy bowiem owe proste recepty ująć w ramy harmonii *yn-yang*, sprawy zaczynają się komplikować i trudno je ogarnąć, a jeszcze trudniej realizować w praktyce.

Filozofia *dao* od samego początku obrastała w tak wiele mistycyzmów i niejasności, że mało kto mógł mieć nadzieję, iż uda mu się ją naprawdę zgłębić. Na podstawowym poziomie wystarczy intuicja, im głębiej wszakże, tym trudniej, a najtrudniej przedrzeć się przez warstwę werbalną. Pewne sformułowania brzmią wręcz nonsensownie. „Być to nie być, a nie być to być... Rzeczywistość jest pustką, a pustka rzeczywistością...”[3] Zapewne dlatego, że są to sprawy nie poddające się racjonalnej analizie, *dao* znalazło pełniejszy wyraz w dziełach, których racjonalizować nie trzeba – w kaligrafii, rzeźbie, malowidłach. Spróbujmy to sobie wyjaśnić na zasadzie porównania zabytków sztuki z naszego i chińskiego kręgu kulturowego. Jeśli renesansowe malowidła czy to Matki Bożej z Dzieciątkiem, czy Ostatniej Wieczerzy, czy choćby Ukrzyżowania ilustrują tylko pewne fragmenty dziejów Chrystusa, a przez to wiary, to trzynastowieczny krajobraz z epoki Song wyraża całą filozofię harmonii *yn* i *yang*. Tę samą harmonię może też wyrażać dzieło o dosadniejszych treściach, obrazujące na przykład, i to nader realistycznie, mężczyznę i kobietę w miłosnym uścisku, co oznacza, że harmonię *yn-yang* można zobrazować odpowiednio do wrażliwości artystycznej i twórcy, i odbiorcy.

Mistrzowie taoizmu funkcjonowali na poziomie niedostępnym dla zwykłego



zjadacza ryżu, który do płodów ich umysłów odnosił się zapewne z taką samą pokorą, z jaką dziś zwykły parafianin, co bywa w kościele raz w miesiącu, słucha wynurzeń wybitnych teologów. W obu wypadkach próg abstrakcji stanowi przeszkodę nie do pokonania. Na poziomie codziennej egzystencji taoizm obrósł więc w wiele elementów magicznych, filozofia przemieniła się w wiarę ze wszystkimi tego konsekwencjami. Tak jak Ojcowie Kościoła chrześcijańskiego na Zachodzie ukształtowali postawy swojej społeczności wobec seksu, tak mistrzowie taoizmu uczynili to dla Chińczyków. Mechanizm był podobny, ale skutki różne. Podczas gdy mieszkaniec średniowiecznej Europy wiedział – jakkolwiek niekoniecznie rozumiał, dlaczego tak jest – że seks to grzech, choć w pewnych warunkach dopuszczalny, tak w umyśle jego odpowiednika w Chinach tkwiło przekonanie – też nie do końca dlań zrozumiałe – że seks jest świętym obowiązkiem i należy go uprawiać często i z całą świadomością, że w ten sposób osiągnie się stan harmonii i wstąpi na drogę co podąża za Drogą Niebios, a ta z kolei podąża za drogą *dao*.

## CHMURY I DESZCZ

Skoro stosunek płciowy stanowi jedną z dróg wiodących ku niebiosom, nie ma żadnego powodu, aby sprawy seksu otaczać milczeniem, co nie znaczy, że należy o nich mówić. Chiński obyczaj nakazuje daleko idącą dyskrecję, jeśli idzie o poruszanie spraw osobistych w zwykłej rozmowie towarzyskiej. Ale są przecież inne formy ekspresji. Właśnie Chińczycy stworzyli pierwsze w dziejach popularne i jak najbardziej szczegółowe podręczniki seksu. Dla niejednego mieszkańca Zachodu nawet dziś jawią się one jako czysta pornografia. Ale o tym, czy coś jest pornografią, decyduje środowisko kulturowe. Chińczycy traktują owe dzieła jako poważne prace naukowe, mające edukować czytelnika, jak osiągać pożądaną harmonię *yn-yang*, inaczej mówiąc, harmonijne stosunki męsko-damskie. Były to produkty taoizmu, adresowane do przedstawicieli obu płci. Taoizm ze swej istoty wyraża postawy łagodne, przyjmujące – *yn*. Trudno się dziwić, że podręczniki tego typu dawano pannom wstępującym w związki małżeńskie.

Oficjalna bibliografia najważniejszych ksiąg z wczesnego okresu dynastii Hań (206 p.n.e.–24 n.e.) wymienia osiem takich podręczników. Z jednym wyjątkiem są to dzieła

obszerne, zawierające po dwadzieścia i więcej rozdziałów. Żadne z nich, niestety, nie zachowało się do naszych czasów w oryginalnej formie. Wiemy, że wydawano je wielokrotnie, kopiowano i przeredagowywano. Możemy jednak założyć, że osiem „nowych” ksiąg Sztuki Alkowsy, wymienionych (obok trzynastu innych „klasycznych dzieł taoistycznych” poświęconych temu samemu tematowi) w bibliografii dynastii Sui z VII wieku, nie różni się zasadniczo od pierwowzorów z okresu dynastii Hań. Księgi z okresu Sui też zaginęły, ale spore ich fragmenty zachowały się w japońskiej kompilacji z X wieku – *I-shin-po*. Właśnie około X wieku Japonia „odkryła” dla siebie chińską kulturę i czerpiąc z niej zaczęła budować podobną, ale własną, bogatą i wielce tolerancyjną cywilizację. A co się tyczy seksu, Japończycy pozostali wierni tradycyjnym chińskim wartościom znacznie dłużej niż sami Chińczycy i głosili chwałę satysfakcjonującego życia płciowego jeszcze długo potem, gdy Chińczycy przestali przywiązywać wagę do tego obszaru ludzkiej aktywności.

Większość chińskich podręczników, o których mowa, dzieli się, z grubsza rzecz biorąc, na sześć części. Pierwsza opisuje stosunek płciowy w szerszym, kosmicznym kontekście. Druga zawiera rady co do gry wstępnej. Po niej następuje opis samego aktu oraz stosownych technik i pozycji. Dalsze części dotyczą terapeutycznych właściwości pożycia i zawierają wskazówki, jak wybrać odpowiednią partnerkę i jak kobieta powinna postępować w okresie ciąży. Osobny rozdział obejmuje przydatne przepisy i receptury. Jak przystoi dobrem wydawnictwom, księgi były bogato ilustrowane, a ryciny służyły nie tylko ozdobie, ale miały ułatwiać lekturę i same w sobie służyć jako rodzaj instruktażu do wykorzystania w sypialni.

Gdy czerwony kwiat rozkwitnie  
I roztoczy swe wspaniałe wonie,  
Kiedy nocą igrasz i bawisz się z nią,  
Sięgnij po ryciny, pokaż jej i naśladowaj,  
Choć zarumieni się, zawstydzi i  
Nieśmiało będzie protestować...[4]

W każdym podręczniku podkreśla się znaczenie harmonijnego napięcia *yn-yang*, którego osiągnięciu ma służyć stosunek płciowy. W obcowaniu mężczyzny z kobietą odbija się to, co zachodzi między Ziemią a Niebem, gdy mgły unoszą się ku górze na spotkanie brzemiennych w deszcz chmur. „Chmury i deszcz” to literacka metafora

stosunku używana po dziś dzień. Pobrzmiwa w niej echo znacznie starszych i nie tak wysublimowanych jak taoizm wierzeń w moc natury.

Uważano, że żeński element *yn* jest w istocie niewyczerpalny, a *yang* – element męski, konkretnie nasienie, jest z samej swojej natury limitowany, a przez to szczególnie cenny. Można wszelako (zdaniem ekspertów wręcz powinno się) regularnie go wzmacniać przy pomocy *yn*, będącym przecież naturalnym jego odpowiednikiem i uzupełnieniem. Wzmocnienie *yang* następuje w procesie kopulacji.

Idealne rozwiązanie według autorów podręczników polega na maksymalnym przedłużeniu stosunku. Im dłużej męski organ pozostaje w kobiecym wnętrzu, tym więcej *yn* mężczyzna może zaczerpnąć. To jednak nie wszystko. Musi pobudzić kobietę do orgazmu, bo właśnie wtedy *yn* osiąga swoją maksymalną moc. W żadnej innej kulturze mężczyźni nie przywiązują tak wielkiej wagi do orgazmu partnerki. Dla Chińczyka szczytowanie partnerki liczyło się na równi z jego własnym. A nawet więcej, bo wzmocnienie *yang* nie ma sensu, jeśli mężczyzna ów cenny element rozmienia na drobne – marnuje, doznając wytrysku.

Wedle działającego w VII wieku mistrza taoizmu (i – jak się uważa – lekarza) Tunghsiiana można temu zapobiec, i to względnie łatwo. Wystarczy, aby w decydującym momencie „mężczyzna zamknął oczy, skupił myśli, przycisnął język do podniebienia, wygiął plecy i wyciągnął szyję, a jednocześnie otworzył szeroko nozdrza, zamknął usta, sprężył ramiona i wstrzymał oddech. Gdy to uczyni, nasienie wchłonie się do środka” (co oznacza, że nie dojdzie do normalnego wytrysku)[5]. Recepta mistrza to nic innego jak ćwiczenie samokontroli[\*2].

Obok metody *coitus reservatus*, bo do tego sprowadza się zalecenie Tunga, Chińczycy praktykowali również *coitus obstructus*, którego opis znajdujemy w dziele *Ważne sprawy Jadeitowej Komnaty*: „Kiedy w czasie stosunku mężczyzna poczuje, że zbliża się moment ejakulacji, powinien natychmiast dwoma palcami lewej dłoni – wskazującym i środkowym – ucisnąć mocno krocze między odbytem a moszną, a jednocześnie nabrać głęboko powietrza i kilkakrotnie zacisnąć zęby. Wtedy nasienie nie wydziela się na zewnątrz, lecz cofa się z Jadeitowej Łodygi[\*3] i płynie do mózgu”[7]. W rzeczywistości przy użyciu tej techniki nasienie nie trafia do „mózgu”, ale zwyczajnie do pęcherza moczowego, skąd wydalane jest później razem z uryną. Jest to więc w istocie *coitus interruptus* i można go zaliczyć do technik antykoncepcyjnych. Metodę tę stosowali także, w innej oczywiście epoce, Turcy,

Ormianie, mieszkańcy Markizów, a także członkowie dziewiętnastowiecznej sekty założonej przez Johna Humphreya Noyesa w miejscowości Oneida w stanie Nowy Jork.

Autorzy omawianych podręczników, zdając sobie sprawę, że nie wszyscy czytelnicy i nie we wszystkich okolicznościach będą w stanie zastosować zalecane metody, podkreślali konieczność „oszczędzania” nasienia. Zamieszczali dość szczegółowe informacje, ile owej cennej męczyzna może ewentualnie „zmarnować” bez szkody dla własnego organizmu. I tak, według *Pryncypiów zdrowego życia*, „na wiosnę męczyzna może pozwolić sobie na wydalanie nasienia raz na trzy dni, w lecie i na jesieni – dwa razy w miesiącu, zimą natomiast powinien zachować całe nasienie i w ogóle powstrzymać się od ejakulacji”. Zimą bowiem nawet jeden wytrysk powoduje utratę *yang* „stokroć groźniejszą niż na wiosnę”[8].

Zalecenia zawarte w Tajemnych radach dotyczących Jadeitowej Komnaty idą znacznie dalej i są bardziej szczegółowe. „Mocno zbudowany męczyzna w wieku lat piętnastu może ejakulować nawet dwa razy dziennie, chudy – tylko raz, podobnie jak i męczyzna w wieku lat dwudziestu. Silny, trzydziestoletni męczyzna może wydalać nasienie raz w ciągu dnia, słaby – raz na dwa dni”. W wieku lat czterdziestu, pięćdziesięciu i sześćdziesięciu ejakulację należy stopniowo ograniczać, od jednej na trzy do jednej na dwadzieścia dni. Energiczny i żywotny siedemdziesięcioletek może zaryzykować wytrysk raz na miesiąc, ale „męczyzna o słabszej kondycji nie powinien w tym wieku w ogóle ejakulować”[9].

Sun Szu-mo – taoista i znakomity znawca medycyny z VII wieku – przytacza wymowną opowieść, obrazującą niebezpieczeństwa, jakie może spowodować na sobie ktoś, kto nie będzie tych rad przestrzegał. Píše, że kiedyś zjawił się u niego po radę siedemdziesięcioletni wieśniak.

– Od wielu dni moje *yang* tak wibruje, że chce mi się zlegać z żoną nawet w ciągu dnia i za każdym razem dochodzić do kresu, a nie wiem, czy w moim wieku to dobrze, czy źle – zwierzył się pacjent.

– To bardzo niedobrze! To tak jak z lampką oliwną. Gdy kończy się olej, płomień dogorywa, ale tuż przed końcem wybucha jaskrawym światłem, by po chwili zniknąć na zawsze... Tak więc boję się o ciebie, ale niewiele mogę pomóc. Musisz bardzo uważać.

Sześć tygodni później jurny wieśniak wyzionął ducha, a mistrz Sun spisał jego

historię jako „ostrzeżenie dla potomnych”[10].

Filozofów spod znaku taoizmu bardziej interesowały kosmiczne implikacje męskiego nasienia niżli jego właściwości reprodukcyjne, co nie znaczy, że nie dostrzegali takiego zjawiska jak pragnienie posiadania potomstwa. Oczywiście – dostrzegali i postrzegali jako określony fakt wpisany w naturę. Przejawiał się w nim naturalny proces współgry sił *yn* i *yang*, z czego wynikały określone praktyczne konsekwencje. Aby dziecko urodziło się zdrowe i silne, akt poczęcia powinien przypaść na okres apogeum pierwiastka *yang* u ojca. Trzeba więc, żeby przyszły ojciec powstrzymywał się od ejakulacji w czasie kilku, a nawet kilkunastu stosunków poprzedzających ten, w czasie którego ma spłodzić potomka. W ten sposób jego *yang* zostanie należycie wzmocnione. Ale to nie wszystko. Trzeba bowiem, aby *yang* karmiło się w wielu różnych źródłach *yn*. Krótko mówiąc, przyszły ojciec powinien budować formę, uprawiając stosunki z wieloma kobietami. „Kto stale zmienia kobiety, z którymi zlega, ten odnosi wiele korzyści. Najlepiej ma ten, kto w ciągu nocy odbędzie stosunki z dziesięcioma i więcej kobietami”. Dlaczego? Otóż sypianie z jedną kobietą sprawia, że jej *yn* stopniowo słabnie, wyczerpuje się i „mężczyzna nie odnosi już z niego żadnych korzyści. A ponadto taka kobieta traci siły i chudnie”[11].

Partnerki na okres preliminariów należy dobierać starannie, wedle pewnych zasad. Nie muszą być ładne, ale powinny być przyjemne dla oka, dobrze wychowane, niewielkie, raczej puszyste, kształtne i młode, najlepiej takie, co właśnie dojrzały, bo *yn* takiej, co „ma włosy w nieładzie, niedelikatne rysy, krzywe zęby, długi kark, wystające jabłko Adama i chrapliwy, męski głos”, może wyrządzić męskiemu *yang* więcej szkody niż korzyści[12].

Podobnie jak starożytni Grecy i późniejsze pokolenia na Zachodzie, Chińczycy uważali, że najbardziej płodne dni u kobiet następują tuż po menstruacji. Mistrz Tung wyrokował, że „ze stosunku odbytego w pierwszym lub trzecim dniu [po menstruacji] zrodzi się syn, a gdy mężczyzna złączy się z kobietą w czwartym lub piątym dniu, wtedy narodzi się córka. Składanie nasienia w kobiecie po piątym dniu jest absolutnie bezcelowe”[13].

Bezcelowe, wręcz głupie, było „składanie” nasienia, gdy nieba nie były temu przyjazne. Dzieci spłodzone przy wtórze grzmotów bądź w czasie zaćmienia słońca, bądź wtedy, gdy na nieboskłonie wykwiłała tęcza, przy nowiu bądź zachmurzonym księżycu, czekał trudny los. Akt poczęcia wymagał też jasnego umysłu. Przyszły ojciec,

który wypił za dużo i płodził dziecko w stanie zamroczenia, mógł być pewien, że potomek w dorosłym życiu będzie cierpiał na epilepsję, wrzody i czyraki[14].

Zapewne niejednemu z najbardziej oddanych wyznawców taoizmu nieraz musiało przychodzić do głowy, że życie w celibacie byłoby łatwiejsze. O tym jednak w chińskiej kulturze nie mogło być mowy. Celibat kłóci się bowiem z naturą, z obowiązkami wobec przodków i w ogóle jest nie do przyjęcia. Taoiści uważali, że umysł człowieka pozbawionego seksu więdnie, a jego duch też cierpi. Mimo to wspomniany znawca medycyny Sun wyraził podobną opinię co nie znany mu św. Piotr, że byłoby wspaniale, gdyby udało się sprawić tak, aby „umysłu nie zakłócały myśli o stosunkach seksualnych”, ale – dodawał – „stan taki może osiągnąć jeden mężczyzna na dziesięć tysięcy”[15]. Ten bardzo ostrożny, wręcz niechętny stosunek do celibatu okaże się poważną przeszkodą w chrystianizacji Chin. Z tej samej przyczyny Chiny okażą się niepodatne na wpływy buddyzmu *hinajana*. Ten kierunek buddyzmu, podobnie jak religia chrześcijańska, głosi chwałę wstrzemięźliwości seksualnej.

## TAJEMNICE JADEITOWEJ KOMNATY

Wszystkie „ułomności” ciała i ducha można przypisać „wadliwym praktykom seksualnym”. W częściach poświęconych praktyce omawiane podręczniki wykładają szczegółowo wszystko, co wstępująca w życie kobieta powinna wiedzieć, choć niełatwym stylem, pełnym – zgodnie z chińskim obyczajem – poetyckich metafor i przenośni wywodzących się z magii, wierzeń religijnych i alchemii[\*4].

We wszystkich podręcznikach podkreśla się, że oboje partnerzy muszą być w odpowiednim nastroju i chętni. „Gdy mężczyzna się rusza, a kobieta nie reaguje, bądź gdy kobieta jest podniecona, a mężczyzna nie ma ochoty, wtedy akt płciowy przyniesie tylko szkodę i jej, i jemu”. Jeśli oboje mają pragnienie i oboje tego chcą, należy przejść do gry wstępnej. Gra wstępna jest nieodzownym składnikiem stosunku nie dlatego, że sama w sobie jest przyjemna, ale ponieważ dobrze wpływa na czynnik *yn* u kobiety z korzyścią dla niej i dla partnera.

W *Ars Amatoria* – pracy, która niewiele się różni od znanego dzieła Owidiusza, mistrz Tunghsian zwraca uwagę, że inne techniki należy stosować mając do czynienia z nową partnerką, inne wobec osoby, z którą utrzymuje się stałe związki. Rzecz w



delikatności, uwadze, w odkrywaniu nowego. Nie wolno szczędzić czułych słów, pieszczot i delikatnych pocałunków. Zwróćmy uwagę zwłaszcza na to ostatnie, bo na Zachodzie utrzymywał się pogląd, że Chińczyków brzydzą pocałunki, że kojarzą im się z aktem kanibalizmu. Jest to nieporozumienie. Polega ono na tym, że pocałunki z samej swojej istoty należą do intymnego świata Jadeitowej Komnaty i tam mają pozostać. Kobietę, która całuje mężczyznę na forum publicznym, uważano za wyuzdaną i nierządną[\*5].

W czasie gry wstępnej odsłania się „tysiące czarów”, jednocześnie zapomina się o „setkach smutków”. Kobieta ujmuje Jadeitową Gałąź, a ta rośnie i prężnieje pod jej dotykiem. Pod wpływem wzbierającego *yang* partnera Cynobrową Dolinę kobiety przenikają ożywcze prądy, a jej wnętrze wilgotnieje, jakby płynęło tam ukryte źródło. „Gdy tylko oboje dojdą do tej fazy, są gotowi, aby się złączyć w uścisku”.

Co nie znaczy, że natychmiast powinni to uczynić. Mistrz radzi zwlekać. Niech Jadeitową Gałąź – pisze – zatrzyma się u progu Cynobrowych Wrót, niech jej właściciel obdarzy partnerkę czułymi pocałunkami, niech nacieszy oczy widokiem jej ciała i Złotej Rozpadliny, niech pogładzi brzuch i piersi i obdarzy pieszczotą Taras Klejnotów, a gdy w partnerce narastać będzie pragnienie, niech bardziej zdecydowanie zacznie poruszać Wspaniałym Wierzchołkiem, do przodu i do tyłu, niech wniknie w Złotą Rozpadlinę aż po Jadeitowe Żyły, nie zapominając, że należy zadbać także o ścianki Sali Egzaminacyjnej, a następnie niech przycisnie Wierzchołek do Tarasu Klejnotów i poczeka chwilę. Gdy ukryte źródła zroszą obficie Cynobrową Dolinę, niech Dzielny Wierzchołek śmiało zdąży do środka.

„Najpierw wolno. Niech pierwsze pchnięcia przypominają ruchy karpia złapanego na haczyk. Szybsze ruchy niech przywiodą na myśl ptaka, co walczy z wiatrem. Do przodu i do tyłu, w górę i w dół, w prawo i lewo... jeden ruch niech wypływa z drugiego. Niech mężczyzna czyni tak jak mądry generał, co atakiem z flanki rozbija zwarte szeregi nieprzyjaciela”. A potem znów wolniej, „jak wąż, co sunie na zimowe siedlisko”. Niech unosi się w górę, a potem opada w dół „jak żagiel na wietrze”. I niech każdy ruch przypadnie w najstosowniejszym momencie. I niech pamięta, że nie wolno czynić tego w jeden, wygodny dla siebie sposób”[16].

Przy dziesięciu i więcej stosunkach w ciągu nocy, nawet jeśli w każdym kolejnym uczestniczyła nowa partnerka, łatwo o przesyt i znudzenie. Autorzy podręczników zdawali sobie z tego sprawę i jako remedium zalecali różnorodność pozycji, ale według



mistrza Tunghsiiana ich lista wcale nie jest nieskończona, bo istnieje ledwie trzydzieści podstawowych sposobów miłosnych uścisków. Pierwsze cztery mistrz wymienia tylko z nazwy, zakładając pewnie, że zainteresowani i tak wiedzą, o co chodzi. Owe cztery to – Bliskie Zespolecie, Solidne Związanie, Odsłonięte Skrzela oraz Róg Jednorożca. Nazwy innych pozycji brzmią równie barwnie, ale – sądząc z opisów – za poetyckimi metaforami kryje się coś z ćwiczeń akrobatycznych. Tak więc można się zespolic z partnerką w pozycji Wijącego Smoka bądź Mandaryńskich Kaczek, można to robić na sposób Bambusa przy Ołtarzu lub na wzór Złączonych Cykad. Można umieszczać Feniksa w Cynobrowej Rozpadlinie i można naśladować Figlujące Dzikie Konie. Feniks z Kurczakiem to pozycja zalecana w sytuacji, gdy w procesie ścierania się i wzmacniania *yn* i *yang* bierze udział wysoka dorodna kobieta i mężczyzna o znacznie skromniejszej posturze. Niektóre z zalecanych pozycji miały gwarantować nie tylko maksimum przyjemności, ale także leczyć rozmaite schorzenia (choćby „siedem rodzajów bólu”), zwłaszcza gdy realizacja uścisku odbywała się przy użyciu magicznej liczby ruchów posuwisto-zwrotnych. Szczególną moc *yang* miała liczba dziewięć, a jeszcze większą jej potęgą, czyli osiemdziesiąt jeden, zwana czasami „całkowitym *yang*”[17].

Przy całej swojej pomysłowości i godnej podziwu wyobraźni Chińczycy – podobnie jak Europejczycy z tej samej epoki historycznej – z najwyższą rewerencją traktowali jednak naj zwyczaj niej są z wszystkich możliwych pozycji – horyzontalną, twarzą w twarz – mężczyzna na górze, kobieta na dole. Uważali, że jest najbardziej naturalna, a przeto najważniejsza. „Mężczyzna i kobieta mają ruszać się zgodnie z kosmoem” – pouczał mistrz. „Mężczyzna winien wnikać od góry, a kobieta ma przyjmować od dołu”. W wielkim, pochodzącym z II wieku, klasycznym dziele poświęconym alchemii (ale obfitującym w symbolikę seksualną) Ts’an-t’ung-ch’i czytamy m.in.:

„Spójrzmy na kobietę i mężczyznę w seksualnym zespoleciu... nie wymaga ono szczególnych umiejętności i nikt ich tego nie musiał uczyć. Mężczyzna bowiem rodzi się z twarzą zwróconą w dół, kobieta przychodzi na świat z obliczem skierowanym ku górze. Takie też przyjmują pozycje w chwili śmierci [Chińczycy uważali, że topielec unosi się w wodzie twarzą w dół, topielica odwrotnie – przy p. aut], a nikt ich tego nie uczył... Tak też jest w czasie stosunku, oboje postępują wedle tego samego wzoru”[18].

Ciekawe, że w dziełach odsłaniających wszystkie tajemnice alkiwy nie ma nic na temat praktyk, które z grubsza można by określić mianem sadomasochistycznych. Nie ma ich nawet w księgach mniej szacownych. Pojawiają się dopiero w tekstach z końca XVII wieku, za panowania ogromnie purytańskiej mandzurskiej dynastii Qing. Do tego czasu wszelkie czynności seksualne oceniano wyłącznie wedle ewentualnych korzyści, jakie mogą przynieść procesowi *yn-yang*. Nie miano więc nic przeciwko stosunkom analnym i oralnym, pod warunkiem że ich uczestnik nie marnuje cennego *yang*, czyli nie dopuszcza do ejakulacji. Z drugiej strony, zwracano uwagę, że stosunki tego typu *per se* nie służą wzmocnieniu *yang*. Co innego „miłość francuska” w męskim wykonaniu. Do tej wręcz zachęcano, uznając, że – po pierwsze – sprzyja przygotowaniu kobiety do zasadniczej czynności, po wtóre – pozwala mężczyźnie czerpać *yn* niejako u źródła. Jeśli idzie o masturbację, to w damskim wykonaniu traktowano ją jako czynność absolutnie obojętną – wiadomo, zasoby *yn* są niewyczerpane – w męskim – zdecydowanie potępiano jako marnotrawstwo. Przedmiotem szczególnej uwagi były polucje nocne. Wedle chińskich wierzeń polucja to dzieło złego ducha, co zjawia się we śnie i pod postacią pięknej kobiety oddaje się śpiącemu mężczyźnie, aby wyssać zeń jego *yang*[\*6].

Z surową krytyką Chińczycy odnosili się do niektórych (mniej szanowanych) cesarzy, którzy kazali zdobić ściany swych pałaców freskami o treści erotycznej. (Pierwszym, który to uczynił, był Hsiao-ching panujący w II stuleciu p.n.e., uważany za wynalazcę sztuki erotycznej.) Niezbyt też cenili lustrzane parawany, którymi w VII wieku otaczano łoża w pałacowych Jadeitowych Komnatach. Z drugiej strony, nie mieli nic przeciwko ceremonialno-rytualnym publicznym, tłumnym aktom seksualnym. Praktyka taka pojawiła się pod koniec II stulecia, a w IV stała się dość powszechna. Zaczęło się od głębokiego, gospodarczego i politycznego kryzysu, jaki dotknął Chiny pod koniec panowania dynastii Hań. Wtedy to przywódca „kościół” taoistycznego Chang Chiieh postanowił obalić cesarza i założyć państwo wyznaniowe. Ze swoich zwolenników stworzył armię. Jej znakiem były żółte nakrycia głowy. Wprowadził też rytuał nocnych zbiorowych aktów seksualnych na początku i w połowie każdego miesiąca księżycowego. Ich cel określano mianem *shih-tsui*, co oznacza mniej więcej „uwolnienie się od winy”. Powstanie Żółtych Turbanów zostało krwawo stłumione, ale zapoczątkowane przez nich mistyczne praktyki raz po raz odżywały w Państwie Środka, zwłaszcza w Szantungu – tradycyjnym mateczniku czarowników, mediów i

magików. Jeszcze całkiem współcześnie, bo w roku 1950, w komunistycznych Chinach odkryto ponoć sektę taoistów, której „bezwstydnie rozpustni przywódcy” – jak pisał dziennik „Kuang-mingjih-pao” – nakłaniali uczestników do ekscesów seksualnych, twierdząc, że przez nie wiedzie droga do nieśmiertelności i że rozpusta uwolni ich od wszelkich chorób[19]. Nieważne, czy informacja gazety była prawdą czy wymysłem propagandowym, ważne, że w jednym zdaniu skojarzono taoizm, seks w masowym wykonaniu oraz wieczne życie.

Stosunki homoseksualne między dorosłymi bywały okresami modne, na przykład za dynastii Hań i później za dynastii Song (960– 1127 n.e.), a niemal nigdy nie wzbudzały negatywnych reakcji. Zapewne nie widziano nic złego w intymnym związku dwóch *yang*.

Oczywiście nie był to życiodajny związek jak między *yn* i *yang*, ale też nikomu nie szkodził. Na związki lesbijskie co najwyżej wzurzano ramionami, uznając, że stanowią „normalne” zjawisko, „efekt haremu” – jak moglibyśmy to określić – gdy liczne żony i nałożnice dzielą wspólne pomieszczenia w kobiecej części domu. Traktowano je obojętnie, z jednym wszakże wyjątkiem: zdecydowanie potępiano nadmierne korzystanie ze sztucznego fallusa. We wszystkich podręcznikach znajdują się ostrzeżenia, że instrument tego typu, z rzeźbionego drewna lub kości słoniowej – a takie stosowano – może uszkodzić delikatną tkankę wewnątrz Cynobrowej Doliny. Z podręczników dowiadujemy się również, jak wyglądały techniki użycia tego instrumentu. Otóż jedna z partnerek wtykała owo coś w swoją Cynobrową Dolinę, mocowała jedwabnym sznurem owiniętym wokół bioder i tak uzbrojona przystępowała do rzeczy. W jednej ze średniowiecznych powieści pojawia się ciekawa nazwa sztucznego Jadeitowego Konaru: Kantońskie Lędźwie. I nie jest to chyba prosty synonim, ale oznacza szczególny rodzaj rośliny w kształcie prącia, która zanurzona we wrzątku wzbiera i sztywnieje jak prawdziwy organ.

Homoseksualizm w męskim wykonaniu określano popularnie terminem *lung-yang* o wielce ciekawej etymologii. Jest to eponim pochodzący od imienia faworyta księcia Wei, żyjącego w IV wieku p.n.e. Faworyt nazywał się *Lung-yang-chun*, a takich jak on zwano *tuan-hsiit* Wiąże się to z kolei z opowieścią o władcy z dynastii Hań, co wolał obciąć rękaw swej szaty, niż zakłócić sen efebowi, z którym spędził upojne chwile, a który zasnął słodko na cesarskiej szacie. Kilku zresztą cesarzy z tej dynastii to pederacji w greckim znaczeniu tego słowa, a więc biseksualiści. W późniejszych

epokach biseksualizm znalazł się w Chinach na cenzurowanym. Jeden z pisarzy epoki Ming (1368– 1644 n.e.) ostrzegał z całym przekonaniem, że biseksualiści nader często płodzą hermafrodyty. Pisał, że pod koniec III stulecia, kiedy biseksualizm był dość powszechny, rodziło się wyraźnie więcej obojnaków niż w innych okresach[20], a obojnak – jak wiadomo – to potwór zdolny do najstraszliwszych zbrodni.

## **„ŁYSE KURY” I „DŹWIĘCZNE KULKI”**

Afrodyzjaki nie były chińskim wynalazkiem i Chińczycy nie byli pierwszymi ludźmi, którzy z nich korzystali. Nie ma jednak wątpliwości, że w Chinach zapotrzebowanie było zdecydowanie większe niż gdzie indziej. Chińczycy podchodzili do sprawy w sposób naukowy. Podczas gdy Grecy polegali na takich surowcach jak: cebula, jaja, miód, małże, kraby i ślimaki, wierząc w ich pobudzającą moc[21], Chińczycy sięgali po bardziej wysublimowane środki, na przykład boshniakia glabra, schizandra sinensis, cuscujaponica, polygala Japonia, cridium japonicum i inne, jak choćby coś, co opatrywali barwną nazwą „pastylki łysej kury”. Z tym ostatnim łączy się również barwna opowieść o pewnym urzędniku, który owo coś stosował regularnie i z takim powodzeniem, że w wieku siedemdziesięciu lat spłodził trzech synów, a małżonkę tak osłabił, że nie była w stanie ani siedzieć, ani leżeć. Kiedyś zdarzyło mu się resztki tegoż cudownego środka wyrzucić na podwórko, po którym właśnie przechadzał się kogut. Ptak dziobnął raz i drugi i zaraz wspiął się na pierwszą z brzegu kurę. Nie zląził z niej przez kilka dni, a cały czas dziobał biedną ofiarę w łeb, tak że gdy wreszcie skończył, ptaszyna zrobiła się kompletnie łysa. Niestety nie zachowało się więcej tego typu opowieści, ale mamy inną perełkę, mianowicie sam mistrz Tung zapewniał, że kto będzie brał „łysą kurę” systematycznie trzy razy dziennie przez dwa miesiące, ten z łatwością zadowolili czterdzieści kobiet.

Napój z „jelenich rogów” miał zapobiegać impotencji, wzmacniać energię (a przy okazji dobrze robił na zmęczenie i bóle kręgosłupa).

Z innych recept mistrza zwraca uwagę środek mający niwelować kłopoty (na które na Zachodzie dopiero niedawno zaczęto zwracać uwagę) związane z niedopasowaniem organów płciowych konkretnej pary. Dość wziąć boshniakia glabra, zemleć z pewnymi morskimi wodorostami, przesiać, zmieszać z płynem wyciśniętym z

wątroby białego psa zaszlachtowanego w noc po nowiu i trzykrotnie namaścić tym Jadeitową Gałąź, następnie obmyć organ świeżą źródlaną wodą czerpaną o świcie, a penis urosnie o co najmniej trzy cale[\*7].

Istniały również recepty gwarantujące zmniejszenie rozmiarów pochwy, ale mistrz zalecał szczególną ostrożność w ich stosowaniu, aby Cynobrowa Rozpadlina na zawsze nie zamknęła wiodących do niej wrót[22].

Składniki wymieniane w najstarszych recepturach na ogół nie były toksyczne, raczej obojętne dla organizmu, choć zwraca uwagę fakt, że zawierały sporo protein, co chyba dobrze wpływało na użytkowników, których dieta bazowała głównie na ryżu i jarzynach. Niektóre ze składników dobierano zapewne ze względu na ich kształt.

Pod łacińską nazwą boshniakia glabra kryje się pewien gatunek grzyba, rzeczywiście przypominający prącie w stanie erekcji. W średniowieczu sprawy wzięły jednak inny obrót, a w recepturach pojawiły się składniki groźne dla zdrowia, jak muszka Telini, która przenosi bakterie powodujące chroniczne stany zapalne dróg moczowych[\*8].

Większość środków zalecanych przez dawnych chińskich medyków można i dziś kupić w chińskiej czy japońskiej aptece, a w europejskich sex-shopach kto chce, może zaopatrzyć się w instrumenty od wieków stosowane w Chinach. O takich na przykład pierścieniach nakładanych na prącie bądź o „dźwięczących kulkach” wspominają erotyczne powieści z epoki Ming.

Pierścień ma gwarantować permanentną erekcję Jadeitowego Konaru. Bogaci sprawiali sobie urządzenie z – czegoż by innego – jadeitu lub kości słoniowej, biedni musieli się zadowalać improwizowanymi tekstylnymi przepaskami stosownych rozmiarów. Taki pierścień nakłada się na nasadę prącia i zabezpiecza przed zsunięciem jedwabnym sznurem przewiązany wokół bioder. Niektóre egzemplarze były bogato zdobione i rzeźbione. Nie ma wątpliwości, że poza zasadniczą spełniały także dodatkową funkcję – stymulowały Taras Klejnotów partnerki.

„Dźwięczące kulki”, znane również pod japońską nazwą *rin-notama*, a w Chinach jako „birmańskie dzwoneczki”, stosowano szeroko w całej Azji Południowo-Wschodniej. Jako pierwszy opisał je angielski podróżnik Ralph Fitch, który odwiedził Birnę pod koniec XVI wieku. „Mężczyźni – zauważał – noszą takie niewielkie kulki „na swoich intymnych organach... Specjalnie nacinają skórę, aby je tam umieścić”. Bogaci zamawiali sobie srebrne, „co błyszczą i wydają delikatne dźwięki”, biedni



prokurują coś takiego z ołowiu, a te wydają raczej cichy dźwięk. Bywa – pisał Fitch – że „król wyłuskuje sobie taką kulkę i daje w prezencie. Obdarowany traktuje to jako najwyższy honor”. Podobny opis dał florentyński kupiec Francesco Carletti, który odwiedził Tajlandię dwanaście lat po Fitchu. „Koraliki – pisał – są całkiem spore, jak orzechy laskowe”, krągłe lub owalne. Gdy dwa, trzy takie orzechy wszczepi się pod skórę, „członek nabiera wprost niewyobrażalnych rozmiarów”. I dodał, że według weneckiego szlachcica Niccolo dei Conti, który odwiedził Birmę sto lat przed nim, „są w kraju takie staruchy, które zajmują się wyłącznie handlem owymi koralikami”. Carletti sądził, że owe krągłe urządzenia wymyślono wyłącznie po to, żeby „powiększyć przyrodzenie do takich rozmiarów, aby nie można było uprawiać żadnych niegodziwych praktyk, także z mężczyznami”. Chodziło mu zapewne o stosunki analne. Fitch uważał podobnie. Jego zdaniem wynalazek miał „zapobiegać gwałtom na mężczyznach, co w przeszłości było w tych krajach tak rozpowszechnione, że martwiono się o potomstwo, którego było coraz mniej”. Obaj podróżnicy zgodnie zauważają też, że jedna z tajemnic dźwięczących kulek polega na tym, że szalenie podobały się kobietom[24].

Kobiety znalazły własny sposób na korzystanie z „birmańskich dzwoneczków”. Zaczęło się od tego, że wsuwały sobie taką krągłość do pochwy przed stosunkiem, aby spotęgować wrażenia towarzyszące miłosnym uniesieniom, z czasem zaś odkryły, że za pomocą „dzwoneczków” można sprawić sobie przyjemność bez udziału partnera. W tym celu trzeba było użyć co najmniej dwóch kulek, z których jedna, wydrążona, zawierała odrobinę rtęci, a druga – niewielką sprężynkę.

Obie wsuwało się do pochwy. Wystarczyło zakołysać biodrami albo poruszyć nogami, a metalowa para zaczynała rozkosznie szaleć we wnętrzu Jadeitowej Komnaty. Zachód, a ściślej – jego żeńska połowa – odkrywał dobrodziejstwo dzwoneczków *rin-no-tama* dwukrotnie. Po raz pierwszy w XVIII wieku i ponownie w zabawowej epoce lat dwudziestych XX stulecia. Nowoczesny zestaw do sprawiania sobie samotnej przyjemności składa się nie z dwóch, ale trzech kulek.

Mechaniczne „pomoce naukowe” pojawiły się w Chinach na fali przemian obyczajowych. Pruderia sprawiła, że podręczniki, z których korzystano przez ponad tysiąc lat, uznano za nieprzyzwoite i skazano na niebyt. Pojawił się też inny czynnik: społeczeństwo ubożało, a to, czego chwałę głosiły podręczniki, odnosiło się do osób na określonym poziomie zamożności. Krótko mówiąc, aby w pełni korzystać z

mądrości podręcznikowych, trzeba było mieć czas i pieniądze, a tego właśnie w zmieniającym się świecie zaczynało brakować.

Na początku XVII wieku o dawnych księgach nikt już nie pamiętał i naukę seksu trzeba było niejako zaczynać od nowa.

Do naszych czasów zachował się interesujący tekst pióra, czy raczej pędzelka, mistrza Shen Te-fu z epoki Ming, o „świątyni radosnych Budd” – właśnie, nie jednego bóstwa, ale wielu, złączonych w koedukacyjne pary. Wyobrażone były – opisuje Shen Te-fu – w sposób realistyczny, z pełnym męsko-damskim wyposażeniem, co nie tylko było widać, ale także można było dotknąć, a nawet poruszyć, bo rzeźby skonstruowano w nader przemyślny sposób. „Do świątyni tej prowadzono młodego księcia ze świeżo poślubioną małżonką. Para najpierw klękała i odprawiała modły, później młody małżonek i małżonka dotykali organów płciowych bóstw, ucząc się w ten sposób wszystkiego, co trzeba w zakresie pożycia małżeńskiego... Przybytek stworzono dlatego, że istniały obawy, iż wysoko urodzona młodzież wie niewiele albo zgoła nic o rozmaitych metodach miłosnych uścisków”[25]. Trudno o większą ironię historii. Żadnemu chyba z dawnych, głoszących chwałę seksu mistrzów taoizmu i żadnemu z podobnie myślących buddystów nie przyszłoby do głowy, że nadejdzie dzień, kiedy młodemu pokoleniu władców Państwa Środka przyjdzie się uczyć życia na ruchomym modelu samego Buddy!

## TAJEMNICZA ALKOWA

Korzenie pruderii w chińskim społeczeństwie tkwią w filozofii moralnej Konfucjusza, która w ostatnich dwóch stuleciach przed naszą erą jęła zyskiwać przewagę nad tradycyjnym taoizmem z jego zwracaniem się ku naturze i metafizycznym *dao*. Konfucjanizm akcentował zupełnie inne wartości. Odrzucał spontaniczność, podnosząc znaczenie rytuałów, ceremonii, hierarchii, władzy, instytucji społecznych, prawa i ścisłych podziałów klasowych. Konfucjanizm był więc pod wieloma względami przeciwieństwem taoizmu, co nie znaczy, że systemy te wzajemnie się wykluczały. Raczej współgrały, jak *yn* i *yang*. Rolę *yn* spełniał taoizm – filozofia natury, łagodna, intuicyjna i niezmiernie elastyczna, rolę *yang* konfucjanizm, z całą swoją liturgią codzienności i sztywnym rytuałem. Do końca XII wieku Chińczycy godzili jeden



system z drugim. Życie osobiste kształtowali wedle reguł taoizmu, uznając jednocześnie konfucjanizm za najlepszy fundament państwa i społeczeństwa.

Jednym z zasadniczych elementów konfucjańskiej koncepcji państwa jest rodzina, w której każdy zajmuje określone miejsce i w której przeszłość, teraźniejszość i przyszłość przeplatają się ze sobą jak w taoizmie. Ludzkie istnienie to ogniwo w łańcuchu zdarzeń, łączące przodków z wstępującym w życie pokoleniem. Na potomku spoczywają przeto obowiązki nie tylko względem ojca, ale przodków w ogóle. Od nich zaś, od tego, jak im się wiedzie w innym świecie, zależy przyszłość mieszkańców istniejącego świata. Kobiety w tym systemie nie spełniały żadnej roli. Należały do pośledniego gatunku, z którym – jak mówił Konfucjusz – „trudno obcować. Gdy im się pofolguje, wymykają się spod kontroli, gdy trzyma się je na dystans, stają się nieznosne”[26]. Kobieta to biologiczna konieczność, bo bez niej nie da się spłodzić potomka, ściślej – syna. On to bowiem ma przejąć obowiązki wobec przodków. Ze szczególnej roli, jaka w systemie konfucjańskim przypada męskim potomkom, wynika bardzo ciekawa (z zachodniego punktu widzenia) konsekwencja.

Okazuje się, że ów niezwykle sztywny i zrytualizowany system wręcz zachęcał do wyczynów seksualnych. Niemal nakazywał, jak omawiane wyżej podręczniki, do nurzania się w *yn* przed ejakulacją.

Dlaczego? Proste – kto wchłonie więcej *yn*, ten ma więcej szans na spłodzenie zdrowego, dorodnego syna.

Bez względu na filozoficzne ambicje autorów podręczniki miały doniosłe znaczenie praktyczne. Wytaczały pewną ścieżkę w labiryncie skomplikowanych stosunków rodzinno-społecznych. A był to rzeczywiście labirynt albo – by użyć innego porównania – pajęczna sieć wzajemnych uzależnień rozmaitych czynników, z których każdy miał swoją wagę. Chodzi o stosunki klasowe, wzajemne usytuowanie kobiet i mężczyzn, poligamię i wreszcie o to, co podkreśliliśmy wyżej – pragnienie spłodzenia męskiego potomka.

Poligamia w Chinach była zjawiskiem o znacznie szerszej skali niż gdzie indziej i przetrwała o wiele dłużej niż w innych systemach kulturowo-cywilizacyjnych. Król Salomon miał całą kolekcję żon i nałożnic, ale większość jego poddanych żyła w monogamii. Kobieta była kosztowną inwestycją i ten, komu udało się sprawić sobie choćby jedną niewiastę, miał się za szczęśliwca. Podobnie w Chinach.

Zwykły wieśniak posiadał przeważnie jedną towarzyszkę życia. Ale na wyższych

szczeblach hierarchii społecznej było już inaczej, a Chiny w odróżnieniu od innych społeczeństw miały nader liczną klasę średnią. Im kto zamożniejszy, tym więcej miał małżonek i nałożnic, bo każdy żywił ambicję posiadania wielkiej rodziny. Ci, co w ramach klasy średniej plasowali się na ostatnich miejscach, mieli od trzech do dwunastu żon i nałożnic, ale w wyższych warstwach trzydzieści i więcej własnych kobiet nie należało do rzadkości. Przy takich liczbach zalecenie, żeby sypiać z dziesięcioma kobietami w ciągu nocy, staje się absolutnie zrozumiałe, ba – można je postrzegać w kategoriach obowiązku.

Bo na mężu spoczywał obowiązek nie tylko utrzymania swoich kobiet, ale także zaspokajania ich potrzeb emocjonalnych i – oczywiście – seksualnych. „Póki nałożnica nie skończy pięćdziesiątego roku życia, mąż ma sypiać z nią raz na pięć dni”[27] – czytamy w Li-ki, konfucjańskiej „Księdze rytuałów”. Dbać trzeba o każdą z kobiet, nie ma mowy o wyróżnianiu jednych kosztem drugich, bo może to doprowadzić do konfliktów wśród damskiej części rodziny, zrujnować spokój, a w konsekwencji zaszkodzić karierze pana domu. Temu bowiem, kto nie potrafi zaprowadzić ładu we własnym domu, nie można powierzyć żadnej odpowiedzialnej funkcji czy urzędu.

Sprawę wyboru przyszłej małżonki powierzano fachowcom. Działali oni mniej więcej tak jak dziś pośrednicy w handlu nieruchomościami. W rzeczy samej żony nabywano tak, jak dziś kupuje się domy. Swat – czy jak go nazwać – sprawdzał najpierw, czy oferowany obiekt odpowiada opisowi i nie ma ukrytych wad, a więc czy kandydatka na oblubienicę jest dziewicą, czy jest zdrowa i rodzice są w porządku, zwłaszcza zaś czy nie ma prawnych przeszkód do zawarcia transakcji – czy między stronami przyszłej umowy nie zachodzą stosunki pokrewieństwa. (Kazirodztwo traktowano jako absolutne tabu, i to do tego stopnia, że nawet przypadkowa zbieżność nazwisk wykluczała małżeństwo). Na koniec, tak jak agent od nieruchomości sprawdza, czy w miejscowym planie zabudowy nie kryją się jakieś przykre niespodzianki, swat upewniał się, czy w znakach na niebie i wróżbach nie ma niczego podejrzanego. Pozostawało już tylko uzgodnienie ceny.

Gdy i to załatwiono, kandydat na męża udawał się z oficjalną wizytą do rodziców wybranki, niosąc w darze... gęś. Taki był zwyczaj, skąd się wziął – nie wiadomo. Do siebie wracał już w towarzystwie małżonki. Jeszcze tego samego dnia odbywała się uczta weselna, a nocą, w Tajemniczej Alkowie, specjalnym pomieszczeniu przeznaczonym na ten właśnie cel, dokonywała się konsumpcja nowego związku.

A związek oznaczał, że małżonka oddaje się pod opiekę męża razem z orszakiem sióstr i służebnic, które automatycznie stawały się nałożnicami małżonka. Transakcja miała więc charakter hurtowy, co oszczędzało małżonkowi trudów dalszych poszukiwań, a małżonce różniej było w znajomym otoczeniu. Z chwilą ślubu wchodziła bowiem ostatecznie do rodziny męża, której na ogół nie znała.

Rodzina w chińskim wydaniu jest niezwykle rozległa. Obejmuje nie tylko rodziców, ale także braci, siostry, ciotki i wujów. Związki rodzinne są bardzo silne. Rodzina trzyma się razem i mieszka na ogół razem, nie w jednym domu – bo musiałyby to być ogromna budowla – ale w najbliższym sąsiedztwie. Prezentacja małżonki i jej orszaku nowej rodzinie odbywała się nazajutrz po zawarciu umowy i jej przypiecztowaniu w Tajemniczej Alkowie. Tego też dnia młodą żonę prowadzono do sali przodków, aby przedstawić nowego członka rodziny „drogim nieobecnym”. Następnego dnia małżonka udawała się z pożegnalną wizytą do rodziców, których oglądała po raz ostatni w życiu, chyba że w trzymiesięcznym „okresie gwarancyjnym” wyszło na jaw coś, na podstawie czego małżeństwo można by uznać za niebyłe. Czymś takim mogła być stwierdzona bezpłodność małżonki lub nieuleczalna choroba. Mąż miał wtedy prawo oddalić żonę. W praktyce rzadko do tego dochodziło. Po pierwsze, stanowiłoby to obrazę rodziny małżonki, po wtóre – oddalając żonę, oddalało się jednocześnie cały przynależny orszak sióstr i służebnic, a to z oczywistych przyczyn raczej się nie kalkulowało.

Rzecz ciekawa, że przy wszystkich różnicach dzielących małżeństwo chińskie od zachodniego ideał chińskiej małżonki niewiele odbiegał od ideału hebrajskiego, greckiego czy starorzymskiego. Żona nie musiała być szczególnie inteligentna, mądra czy przystojna. Ważne, aby była „uprzejma, łagodna, spokojna, czysta i starowna”. Dobra małżonka powinna „prząść, tkąć, nie powinna zaś figlować i pozwalać sobie na żarty. Powinna z wdziękiem podawać jedzenie i napoje gościom... Niech nie słucha nieprzystojnych rozmów i nie patrzy, na co nie należy... Niech dba o swój wygląd, a wychodząc z domu niech się nie maluje zbyt krzykliwie, niech się godnie zachowuje, nie miesza się z gminem. I niech nikogo nie podgląda i nie gapi się przez okno...”[28] Aż trudno sobie wyobrazić, że powyższy opis żoninych cnót nie wyszedł spod pióra hebrajskiego kaznodziei czy ateńskiego mizoginisty, ale spod pędzelka Pan Chao – damy wielce oświeconej, jednej z pierwszych i największych uczonych kobiet w Chinach, która przyczyniła się do sporządzenia oficjalnej kroniki dynastii Hań.

Uczona i konfucjanistka, ale nie feministka (przynajmniej nie we współczesnym znaczeniu tego słowa), Pan Chao uważała jednak, że dziewczętom należy się taka sama edukacja na podstawowym poziomie jak chłopcom. A tymczasem za jej czasów (zmarła w 161 roku n.e., dożywszy bardzo słusznego wieku) i przez następnych osiem stuleci znakomita większość nawet wysoko urodzonych dam nie posiadała umiejętności czytania i pisania. Kreślić i czytać hieroglify potrafiły wyłącznie te, co miały na tyle silną wolę i sposobność, żeby samej się nauczyć, oraz – jak hę tery w Grecji – eleganckie kurtyzany, które tego typu wiedzę traktowały jako nieodłączną część swego zawodu. Nie dziwi więc, iż większość utworów ukazujących trudny los mężatek wyszła spod pędzelka mężczyzn.

Jakże gorzko być kobietą, Trudno sobie wyobrazić gorszy los!

...Nikt nad nią łzy nie uroni, gdy wydają ją za mąż

...Miłość męża jest równie daleka jak Droga Mleczna,

A przy tym kobieta ma go wielbić jak słonecznik słońce.

Jej serce goreje jak ogień, jego bije chłodem jak woda.

I wszystko, co złe, to zawsze jej wina...[29]

Rola żony sprowadzała się do funkcji matki i gospodyni. Każda z żon miała sobie przypisane miejsce w damskiej gromadzie i swoje codzienne obowiązki. Wolne chwile spędzała najczęściej przed lustrem, trefiąc włosy i malując twarz. Równie często wdawała się w pozamałżeńskie afery, co zdaje się nie nastęczało zbyt wiele trudności. Gdyby jakimś cudem Rzymianka z czasów cesarstwa trafiła do chińskiego babińca, poczułaby się chyba jak u siebie.

A w babińcu, mimo rad i zaleceń zawartych w uczonych księgach, aż wrzało od intryg. W tej sytuacji trudno się dziwić, że dorośli synowie pana domu często naruszali ojcowskie prawo własności, dobierając się do jego konkubin i nałożnic. Swego pana i władcę małżonka widywała z zasady tylko przy posiłkach i – oczywiście – w łóżku. Rzadko też mąż zaszczycał ją rozmową, i to tylko o sprawach domowych. Konfucjusz niezwykle surowo odnosił się do kobiet próbujących mieszać się w sprawy męża, nie mówiąc już o sprawach publicznych. Udział kobiet w sprawach państwa to – jego zdaniem – źródło wszelkiego zła. „Kobieta, którą niebaczenie dopuści się do spraw publicznych – stwierdzał wybitny mąż stanu z II wieku naszej ery Yang Chen – narobi

wyłącznie bałaganu, wprowadzi zamęt w państwie i przyniesie wstyd cesarskiej władzy... Przeto kobiecie nie wolno brać udziału w żadnych urzędowych sprawach”[30].

Yang Chen miał powody, żeby tak twierdzić. W jego czasach bowiem na cesarskim dworze panoszyła się klika złożona z nałożnic i eunuchów, mających mieć nad nimi pieczę. Bałagan, do jakiego ów babiniec doprowadził, przyczynił się do upadku dynastii Hań.

Równie mocno jak udział kobiet w sprawach państwa uczniowie Konfucjusza potępiali wszelkie przypadkowe kontakty cielesne między mężem a żoną lub konkubinami. Ich zdaniem wywoływało to niepotrzebne podniecenie, co mogło wywrócić do góry nogami starannie ułożony kalendarz, wedle którego mąż obsługiwał swój damski inwentarz. „Mężczyźni nie wolno przyjmować niczego bezpośrednio z rąk kobiet, i odwrotnie – niech kobieta niczego nie bierze z rąk mężczyzny” – pouczano w Li-ki. „Jeśli mężczyzna chce coś kobiecie podać, niech kobieta podsunie mu bambusową tacę... Parom nie wolno było udawać się wspólnie do źródła ani zażywać wspólnie kąpieli czy nawet składać odzienia na tym samym miejscu”[31][\*9]. Była to z pewnością przesada, ale wcale nie różniła się od radykalnych zasad, jakie wprowadzano w Kościele chrześcijańskim, aby wykluczyć wszelkie niestosowne kontakty między mężczyznami a kobietami. Dość wspomnieć o drugim synodzie w Macon w 585 roku i ogłoszonym tam zakazie grzebania mężczyzn we wspólnej mogile z kobietą, chyba że zwłoki kobiety zdążyły już ulec rozkładowi[32].

Większość mieszkańców Państwa Środka zdawała się traktować konfucjańskie zasady segregacji płciowej z należytą dozą rozsądku.

Poeta Szu-Ma Hsiang-ju – konfucjanista oczywiście i bardziej cnotliwy od innych – stwierdzał z dumą, że niemal codziennie wystawia się na pokusy i daje sobie z tym radę, podczas gdy inni wyznawcy zwyczajnie tchórzą, unikając sytuacji, które mogłyby ich niezdrowo podniecić[33]. Niejeden chrześcijanin mógłby na podobnej zasadzie podważyć przykazanie Ojców Kościoła, aby kobiety skrywały wdzięki, by nie sprowadzać niebezpieczeństwa na męskie dusze. Bez względu jednak na sposób realizowania konfucjańskich nakazów i zakazów i bez względu na to, jak sztuczne i nienaturalne wydają nam się dziś, głęboko zapadły one w świadomość społeczną, a na ich fundamencie wyrosła obyczajowość nakazująca uprzejmość i szacunek wobec najgorszej nawet nałożnicy. W społecznościach monogamicznych nie traktowano tak

nawet najwyżej urodzonych niewiast.

Konfucjański paternalizm – choć można by tego oczekiwać – nie ograniczał kobiecych swobód. Żony, nałożnice i wdowy – te ostatnie określano dość brutalnym terminem „osób oczekujących na śmierć”[\*10]

– znakomicie dawały sobie radę. Ko Hung – filozof z III wieku – zastanawiając się nad funkcjonowaniem zasad segregacji wedle płci, zauważał ponuro, że dziewczęta i kobiety niewiele sobie z nich robią.

„Chodzą na zakupy, odwiedzają krewnych, nawet późną nocą, w świetle gwiazd lub pochodni, prowadząc ze sobą cały orszak służby... Chodzą także do buddyjskich świątyń, przyglądają się polowaniom i połowom ryb, urządzają sobie pikniki na trawie, nawet podróżują w otwartych lektykach, każąc zatrzymywać się w każdej napotkanej wiosce czy mieście, popijając, śpiewając i bawiąc się po drodze”. Taki brak szacunku dla zasad przyzwoitości – konkludował Ko Hung z wyraźną zgrozą – grozi upadkiem rodziny i zagładą państwa[34].

## DZIEWCZĘTA Z ZIELONEJ ALTANY

Mogłoby się wydawać, że w społeczeństwie poligamicznym prostytutka będzie zjawiskiem zupełnie nieznanym. Nic bardziej mylnego. Świadomy swego stanu i obowiązków Chińczyk regularnie odwiedzał domy uciech, choć niekoniecznie w celach seksualnych, raczej przeciwnie, żeby od seksu nieco odpocząć. Zielona Altana – tak nazywano domy publiczne ze względu na barwę, jaką pokrywano drewniane ściany na wzór i podobieństwo bogatych rezydencji – stanowiła rodzaj azylu, dawała wytchnienie od domu ze wszystkimi jego problemami. W Altanie można było nieźle zjeść i wypić, posłuchać muzyki i śpiewu, zabawić się, a nawet zostać na noc. Do XIX wieku domy publiczne oferujące wyłącznie seks należały do rzadkości i funkcjonowały wyłącznie w ubogich dzielnicach, których mieszkańców nie było stać na więcej niż jedną małżonkę.

Do mniej więcej początków II stulecia p.n.e. feudałowie i wysocy urzędnicy państwowi utrzymywali zespoły tancerek i muzykantek, które świadczyły również usługi seksualne właścicielowi, członkom dworu oraz gościom. Bywało, że władca sprzedawał dziewczynę albo dawał ją w prezencie jakiemuś równemu sobie



dygnitarzowi. Zdarzało się, że całą taneczną trupę posyłano komuś w darze, gdy wymagały tego względy dyplomatyczne. Co najmniej raz – bo zachował się tylko jeden tego typu zapis – próbowano użyć tancerek jako łapówki, oferując cały zespół pewnemu sędziemu. W czasach dynastii Hań pojawiły się pierwsze burdele. Otwierano je zrazu z myślą o powstającej warstwie kupieckiej, która albo jeszcze nie miała środków, albo nie śmiała fundować sobie prywatnych zespołów baletowych.

Cesarz Wu z dynastii Hań ustanowił także instytucję „markietanek” towarzyszących wojsku. Pod tym względem wyprzedził innych władców nie tylko na swoim kontynencie.

Podobnie jak w wielu innych krajach, prostytutki dzieliły się na kilka klas. Najmniej kwalifikowane nie miały do zaoferowania nic poza własnym ciałem, ale wielkie kurtyzany umiały pięknie tańczyć, śpiewać, były odcytane, inteligentne, same dobierały sobie klientów i oczywiście dysponowały własnymi rezydencjami, a co najmniej własną sypialnią. Do zawodu trafiały rozmaite dziewczęta i w rozmaity sposób. Czasami właściciel burdelu zwyczajnie kupował dziewczynę od jakiejś ubogiej rodziny, czasami dziewczynę porywano, nie brakowało też oddalonych nałożnic, dla których tego typu praca stanowiła jedyną szansę w życiu. Dziewczęta zwykle zawierały umowę z właścicielem Altany. Właściciele zrzeszali się w stosownych organizacjach zawodowych, płacili podatki i korzystali z takich samych praw i obowiązków jak inni przedsiębiorcy, co oznaczało, że mogli skarżyć pracownice nie wywiązujące się z kontraktu, a z drugiej strony dziewczęta miały prawo odwołać się do sądu, gdy właściciel traktował je zbyt okrutnie. Dziewczyny też się zrzeszały i pospołu z właścicielami tępiły niezrzeszoną konkurencję.

Wstępującą do zawodu poddawano ocenie i w zależności od wyniku aplikowano stosowne szkolenie. Dziewczęta uczyły się chętnie, każda bowiem marzyła, że podbije serce jakiegoś możnego klienta, który wykupi ją z Altany, uczyni żoną albo przynajmniej nałożnicą.

Zwykła prostytutka na ogół nie trafiała wyżej niż do kogoś z klasy średniej. Co innego mistrzynie w zawodzie – wielkie kurtyzany. Za taką trzeba było drogo zapłacić, ale też uważano, że to dobra inwestycja, gdy jej beneficjentem miał być młody człowiek. Wzięta kurtyzana stanowiła przede wszystkim niezwykle cenne źródło informacji, wiedziała, co piszczą w politycznej czy gospodarczej trawie, a co więcej, nierzadko dawny możny klient nadal otaczał ją i jej nowego męża ojcowską opieką.



Podobnie jak greckie hetery, chińskie kurtyzany chętnie i szybko nabierały umiejętności i obycia, jakie nie dane były żonom. Z kurtyzaną rozmawiano inaczej niż z małżonką, nie pomijając polityki, biznesu, filozofii i literatury. Edukacja w tych dziedzinach stała się dostępna dla dobrze urodzonych panien dopiero pod koniec pierwszego milenium. „Pracujące dziewczęta” tymczasem korzystały z nieformalnych wykładów młodych adeptów nauki. Jak zawsze i wszędzie, tak i w Chinach studenci i cyganeria grawitowali do rozrywkowych dzielnic wielkich miast. Tak było choćby w Czangan – jednej z chińskich stolic – wielkim centrum administracyjnym i edukacyjnym. Młodzi ludzie nauki Ignęli do „dzielnicy północnej”, gdzie znajdowała się większość miejskich domów uciech. Wyszkolona dziewczyna stawała się nader atrakcyjna, pewnie więc dlatego, aby nie kusila, obowiązywały ją szczególne ograniczenia. Nie wolno jej było opuszczać miejsca pracy, chyba że w celu wzięcia udziału w ceremoniach religijnych i podobnych, jak choćby w uroczystościach weselnych (najmowano je, aby odprowadzały oblubienicę do Tajemniczej Alkowy). Wychodziły też na zewnątrz wtedy, gdy wynajmowano je do zabawiania gości na bankietach i przyjęciach, urządzanych – nawiasem mówiąc – nie w domach prywatnych, lecz w miejscach publicznych. Chiński zwyczaj przyjmowania gości w restauracjach wziął się z dość prostego powodu – nie sposób w warunkach domowych przygotować tyle dań, ile wedle obyczaju trzeba podać, aby godnie przyjąć gościa. Tak więc od samego zarania chińskiej historii utarł się zwyczaj urządzania przyjęć w wyspecjalizowanych placówkach, bez udziału żon i nałożnic, za to w towarzystwie odpowiednio szkolonego damskiego personelu najmowanego w stosownych firmach.

W stołecznym mieście Hangzhou, które w roku 1276 zdobył wnuk Czyngis-chana Kubilaj, kładąc kres dynastii Song, istniały trzy rodzaje domów uciech. Do najniższej kategorii należały wa-she, tanie placówki pod zarządem państwowym, służące prostym żołnierzom i żeglarzom, jak również ubogiej ludności cywilnej. Personel składał się z dziewcząt wziętych w jasyr w czasie wypraw wojennych oraz żon skazańców, które – jak w wielu innych społeczeństwach – ponosiły karę za winy mężów.

Średnią kategorię stanowiły „winiarnie”. Niektóre znajdowały się pod ścisłą kontrolą poborców podatkowych i służyły niemal wyłącznie urzędnikom administracji państwowej, inne podlegały prywatnym firmom, ale w obu panowała miła atmosfera, dziewczyny były na odpowiednim poziomie, kuchnia także. Lokale były otwarte do

świtu. W niektórych obowiązkach dziewcząt ograniczały się do dotrzymywania towarzystwa gościom w czasie posiłku, w innych klienci mieli do dyspozycji dyskretne pomieszczenia na piętrze. Informowały o tym „bambusowe latarnie, kryte czerwonym jedwabiem, zawieszane nad drzwiami pod daszkiem z bambusowych liści, aby świeciły również podczas deszczu. Dzięki nim można było rozpoznać owe miejsca”[35]. Mamy oto pierwszą w historii dzielnicę „czerwonych latarni”.

Placówki najwyższej kategorii obsługiwały wysokich urzędników, bogatych kupców, pisarzy, artystów. Nazywano je różnie: „domami śpiewających dziewcząt”, „domami pieśni” i zwyczajnie – „herbaciarniami”. Tanie nie były. Przyjemność kosztowała parę tysięcy kesz – jak nazywano miedziane monety z dziurką, nanizywane dla wygody na sznurek jak korale. Goszczono go najpierw herbatą, potem prowadzono na górę. Przedstawiano dziewczęta, z których wybierał sobie towarzyszkę na resztę dnia. Rozpoczął się posiłek, następnie część artystyczna. Wszystko zgodnie z obyczajem i protokołem i za osobną opłatą, ale też wszystko na najwyższym poziomie, począwszy od personelu, na meblach i „klimatyzacji” skończywszy. Zimą pomieszczenia ogrzewano przenośnymi piecykami na węgiel drzewny, latem chłodzono pojemnikami z lodem. Spełniano każde życzenie klienta. Zachował się zapis o pewnym ekscentryku, który zażyczył sobie nowej zastawy stołowej, a także czapki i stroju. Wszystko to oczywiście dostarczono.

Tylko niewielka część przychodów takich instytucji pochodziła z usług stricte seksualnych. W rzeczy samej ani właściciel, ani personel nie przykładali szczególnej wagi do tej sfery działalności. Mniej bowiem ryzykowna, a bardziej dochodowa była – nazwijmy to – działalność artystyczna, a więc dotrzymywanie towarzystwa i bawienie gości. Goście wszakże nie byli od tego, aby nie korzystać z usług typu łóżkowego. Kobieta sypiąca z wieloma mężczyznami miała z samej definicji potężne *yn*. Warto więc było czerpać z tego źródła, zwłaszcza że stosunek z profesjonalistką nie wymagał takiej samokontroli jak z małżonką czy nałożnicą. Nie trzeba było oszczędzać nasienia, bo zysk w postaci *yn* był zdecydowanie większy niż związany z ewentualną ejakulacją ubytek gang.

Dopiero około VII czy VIII wieku naszej ery, a więc znacznie później niż w Egipcie, chińscy medycy odkryli, że pewne schorzenia (jak rzeżączka) przenoszą się drogą stosunków płciowych. Opóźnienie dość uderzające, jeśli wziąć pod uwagę, że chińska medycyna generalnie stała na wyższym poziomie niż zachodnia. Być może w

warunkach, gdy model życia preferował liczne stosunki z licznymi partnerkami, rzeczywiście trudno było powiązać skutek, czyli schorzenie, z przyczyną, czyli konkretnym kontaktem seksualnym. W każdym razie dopiero z początkiem XVI wieku, gdy zidentyfikowano kiłę, lekarze zaczęli poważnie ostrzegać przed stosunkami z prostytutkami.

Prostytutki stanowiły niezwykle mobilną warstwę ludności, co w konfucjańskim systemie klas i warstw było zjawiskiem rzadkim.

Większość z nich wywodziła się raczej ze społecznych nizin, ale wiele awansowało do warstw średnich, a nawet wyższych, bez czego chińska poligamia nie przetrwałaby tak długo. W żadnym społeczeństwie, poza sytuacjami wyjątkowymi, np. w okresach powojennych, nie ma takiej nadwyżki kobiet, aby jakaś, choćby liczbowo niewielka, ale wpływowa warstwa mogła sobie uzurpować po trzy do trzydziestu kobiet do wyłącznej dyspozycji jednego mężczyzny. Chińskie dane demograficzne, choć bogatsze niż innych krajów, dość trudno zinterpretować. W roku 754 ludność Chin liczyła, z grubsza biorąc, 52 miliony. Zaraz potem wybuchła krwawa wojna domowa. Trwała osiem lat. Później Chiny żyły w pokoju przez około 75 lat, ale liczba ludności utrzymywała się na poziomie ledwie 30 milionów. Podobna zagadka powtarza się w XII wieku. Wedle danych z roku 1125 Chiny liczyły około stu milionów mieszkańców. Wkrótce potem zaczął się najazd Mongołów, ale jeszcze w roku 1290 ludność liczyła ledwie 60 milionów[36]. Można przypuszczać, że obie wojny zebrały największe żniwo wśród chłopów i że to było najważniejszą przyczyną tego stanu rzeczy. Prawdopodobnie więc zarówno z tego powodu, jak i dlatego, że biedni mieli najwyżej jedną żonę, w ogólnej populacji występowała nadwyżka kobiet.

Pierwsza, czy – jak kto woli – główna małżonka wywodziła się zwykle z tej samej warstwy społecznej co mąż. Gdy jednak małżonek postanawiał zwiększyć swój stan damskiego posiadania, nie musiał już ograniczać wyboru do swojej klasy. Mógł rozglądać się za kimś atrakcyjnym pod innymi względami i tak trafiał do prostytutek – kobiet z niższych klas, ale atrakcyjnych, bo konkurencja sprawiała, że do zawodu trafiały najlepsze dziewczyny. Taki układ miał wiele zalet i satysfakcjonował wszystkich. Po pierwsze, był ekonomiczny.

Po wtóre, do zawodu, a przezeń do klas wyższych trafiały najprzystojniejsze panny z klas niższych, dzięki czemu brzydsze, które pozostawały we własnym środowisku, miały mniejszą konkurencję.

Pod każdym zresztą względem: i wtedy, gdy szukały stosownej partii, i w męzkim gospodarstwie.

Chińczycy – panowie wielce praktyczni i pragmatyczni – dbali, aby zjawienie się nowej żony czy nałożnicy nie wywoływało napięć i kryzysów w damskiej części gospodarstwa. Jak na wszystko, tak i na taką sytuację mieli gotowy wzór postępowania, o czym wiemy z zapisu z około roku 1550. Sporządził go pewien bogaty kupiec (nie znamy jego tożsamości) i jest to w istocie rada, jakiej udzielał swym synom. „Mężczyzna – pisał – powinien panować nad swymi żądzami. Najlepiej gdy przez parę dni nie zbliża się do nowo przybyłej, a jednocześnie koncentruje uwagę na pozostałych [kobietach]. Gdy zlega z którąś ze starych nałożnic lub żon, nowo przybyła powinna stać przy łożu z kości słoniowej. Dopiero po czterech, pięciu dniach może pójść do łoża z nową, ale koniecznie w obecności pierwszej małżonki i nałożnic. Takie postępowanie gwarantuje, że wśród kobiet zapanuje harmonia i szczęście”[37].

## POKUTA PO CHIŃSKU

Interesująca jest konfrontacja chińskiego „kodeksu występków” z wczesnochrześcijańskimi penitencjami. Nie chodzi o wymiar postów i innych pokut, ale o to, co w danej kulturze uważano za grzech.

Chińskie zapisy czyta się mniej więcej tak jak psychozabawy we współczesnych pismach kobiecych, w których czytelniczki żmudnie obliczają punkty i wedle nich wystawiają sobie oceny.

Pod koniec XIII wieku, gdy władzę w Chinach przejmowali Mongołowie, Chińczycy zaczęli się szczególnie troskać o bezpieczeństwo swoich kobiet. Trudno im się dziwić, gdyż pod niejednym dachem kwaterowało zwycięskie żołdactwo. Na tym właśnie tle zmieniały się obyczaje, społeczeństwo stawało się wyraźnie pruderyjne, co można ocenić na podstawie Tablicy Cnót i Błędów. Jest to rodzaj kodeksu honorowego, w którym każdy uczynek – dobry lub zły – opatrzony jest odpowiednią liczbą punktów dodatnich lub ujemnych, wyrażających ocenę moralną. I tak zabójstwo to tysiąc punktów ujemnych, ale uratowanie komuś życia – pięćset punktów dodatnich. Przeprowadzając wedle takiej tabeli rachunek sumienia, Chińczyk mógł sam sobie wystawić świadectwo moralności.

Pierwsza i najbardziej szczegółowa z tablic zawiera dziesięć rozdziałów[38]. Trzeci dotyczy występków natury seksualnej. Są w nim wyłącznie punkty ujemne.

Gwałt: na zamężnej kobiecie – 500 punktów karnych; na żonie służącego – 200; na wdowie lub dziewicy – 1000; na wdowie po służącym bądź na jego córce – 500; na mniszce – tyle ujemnych punktów, że nie da się zliczyć; na prostytutce – 50.

Niekontrolowana żądza: gdy obiektem jest męzatka – 200 punktów; gdy małżonka służącego – 100; pożądanie wdowy lub dziewicy – 500; gdy obiektem pożądania jest wdowa po służącym lub jego córka – 200 za każdą z nich; molestowanie mniszki – 1000 punktów; prostytutki – 50.

Chwalenie się podbojami seksualnymi: 50 punktów, gdy w grę wchodziła męzatka; 100 – za opowiadanie o zdobyciu wdowy lub dziewicy; 200 – za mniszkę; 50 – za prostytutkę.

Opowiadanie o rzekomych podbojach seksualnych: 50 punktów, gdy kłamstwo dotyczy męzatki; 200 – za opowiadanie kłamstw o wdowie, dziewicy lub mniszce; 10 – za niezgodne z prawdą opowiadanie o uwiedzeniu prostytutki.

Uwagę zwraca rozróżnienie obiektów seksualnych zapędów lub seksualnej wyobraźni i – co ważniejsze – szczególna ochrona wdów. W innych społeczeństwach wdowy nie cieszyły się taką estymą. Przesłstwo, którego ofiarą padała wdowa, pociągało za sobą mniejszy wymiar kary niż występki wobec kobiety zamężnej. Chińczycy stosowali zupełnie inną miarę, co można chyba wyjaśnić kultem przodków. Wdowa zasługuje na szczególny szacunek jako „relikt” po drogim nieobecny. Ciekawe jest również, że zwykły – nazwijmy to – gwałt na prostytutce uważano za czyn stosunkowo mniej naganny niż gwałt popełniony w porywie grzesznej namiętności. Zwróćmy też uwagę, że głoszenie plotek na temat zamężnej kobiety pociąga za sobą identyczną karę niezależnie od tego, czy plotka jest prawdziwa.

Przytoczmy jeszcze kilka przykładów z tej wielce pouczającej księgi:

- przesadnie wielka liczb żon i nałożnic – 50 punktów;
- wyróżnianie jednej kobiety kosztem innych – 10, ale gdy skutkiem tego faworyta odnosi się nieuprzejmie do pozostałych kobiet – 20;
- omawianie wdzięków cudzych kobiet – 1;
- czynienie tego z upodobaniem – 1;
- rozpustny sen – 1; rozpustny czyn w wyniku takiego snu – 5;
- śpiewanie nieprzyzwoitych pieśni – 2;

- studiowanie ich – 20;
- zbieranie nieprzyzwoitych obrazków – 10 punktów za egzemplarz;
- przypadkowe dotknięcie cudzej kobiety – 1; dotknięcie z nieczystą intencją – 10; dotknięcie w celu udzielenia jej pomocy – bez punktu; gdy jednak takie dotknięcie powoduje podniecenie – 10;
- rozpustne myśli na temat kobiety widzianej na ulicy – 10;
- utrzymywanie znajomości z osobą prowadzącą rozpustny tryb życia i uprawiającą hazard – 50;
- pójście do teatru – 1;
- występ w teatrze – 50;
- podnoszenie cnót cudzej kobiety – bez punktu;
- pochwała jej mądrości i szlachetności – 5;
- wywlekanie brudów cudzych kobiet – 20; czynienie tego z myślą o pobudzeniu poczucia wstydu u słuchaczki – bez punktu.

-

Chińska lista grzechów wydaje się bardziej złożona, ciekawsza i przy swej ekscentryczności chyba bardziej zrównoważona aniżeli jej odpowiedniczka z tej samej epoki na cierpiętniczym chrześcijańskim Zachodzie. Ale z nadejściem neokonfucjanizmu – filozofii mędrców łączącej elementy taoizmu i wierzeń buddyjskich – wszystko to uległo zmianie.

Wielka kultura chińska, jedna z najwspanialszych w dziejach naszego świata, jęła przybierać cechy moralnego wiktorianizmu.

[\*1] I słusznie, eliksiry bowiem raczej skracały, niż wydłużały życie. Trudno, aby było inaczej, skoro wśród składników znajdowały się ołów i arsenik.

[\*2] W 1976 roku Zachód wstąpił na ścieżkę wytyczoną przez Tunga. Dziesięć lat wcześniej słynna para amerykańskich seksuologów – Masters i Johnson – stwierdziła, że orgazm i ejakulacja to dwa odrębne procesy fizjologiczne i że mężczyzna jest w stanie doznać uczucia szczytowania, i to wielokrotnie, nim ejakulacja położy kres dalszym możliwościom w tym względzie. W roku 1976 inna seksuolog, dr Mina Robbins z Kalifornii, zapowiedziała na forum Międzynarodowej Konferencji Seksuologicznej, że wkrótce będzie można sobie sprawić urządzenie, które ostrzegać będzie mężczyznę o mającej nastąpić ejakulacji, dzięki czemu zainteresowany będzie miał jeszcze chwilę, aby powstrzymać wytrysk, a powstrzyma go, stosując odpowiednią technikę kontroli oddechu – trzeba oddychać wolno, ale rytmicznie, leżąc spokojnie[6].

[\*3] „Jadeitowa Łodyga” to jeden z wielu wymyślonych przez Chińczyków poetyckich synonimów



prącia. Warto podkreślić, że w metaforze tej nie chodzi o zwykły zielonkawy minerał, ale o jego bardziej cenną, kremowo-różową odmianę. Inne, często stosowane metafory to: Czerwony Ptak, Koronowy Pień, Kolumna Niebiańskiego Smoka, Rosnący Grzybek. Żeńskie organy płciowe to: Rozkwitająca Peonia, Żółty Lotos, Otwarty Dżban, Cynobrowe Wrota.

[\*4] Przez meandry chińskiego stylu rzeczywiście trudno się przedrzeć, ale nie brak śmiałości. W roku 1961 dr Robert Van Gulik (pierwszy na Zachodzie poważny badacz zagadnień seksu w Chinach) uznał za stosowne cytować co znakomitsze fragmenty z chińskich podręczników w przekładzie łacińskim, a nie angielskim. Rezultat jest dość zabawny. Oto przykład: – Cum coitumperpetrate desideranti Caulis mihijaspius surgere nolet, utrum sollicitare eum debeo an non – rzekł Żółty Cesarz. – Na pewno nie – odparła Ciemna Dziewczyna.

[\*5] Do dziś zresztą w wielu krajach obowiązuje podobny obyczaj. Sąd kryminalny w Kuwejcie, który w maju 1974 roku rozpatrywał sprawę dwojga młodych ludzi, nie mających jeszcze osiemnastu lat, oskarżonych o całowanie się na ulicy, orzekł, że publiczne pocałunki stanowią wykroczenie ścigane z mocy prawa.

[\*6] Podobnie wierzono w Europie na początku średniowiecza.

[\*7] Pewnie tylko w oczach właściciela. Medycyna nie zna żadnych sposobów na powiększanie czy wydłużanie męskiego organu płciowego ani w stanie erekcji, ani tym bardziej w stanie spoczynku. Przeciętna długość tegoż, notowana obecnie na Zachodzie, wynosi 9,51 cm. Niestety nie dysponujemy żadnymi danymi odnoszącymi się do osobników żyjących w Chinach w VII w. n.e.

[\*8] Wiadomo, że tradycyjne środki, jeśli działały, to tylko dlatego, że pacjent pokładał w nich wiarę, bo ówczesna chemia była bezsilna. Wierzącemu mogła więc pomóc i zwykła sałata, i małże, i krewetki czy szparagi. Wiara czyni cuda. I tak w 1988 roku amerykańska firma farmaceutyczna Eli Lilly podała, że udało jej się wyprodukować naprawdę skuteczny afrodyzjak. Wartość akcji tej firmy wzrosła o dwa miliony dolarów jednego tylko dnia[23].

[\*9] Dwa tysiące lat później podobne zasady segregacji wedle płci przyjęto w sekcie American Shakers. Kobiety miały jadać osobno, modlić się osobno, nie wolno im było nawet podać mężczyźnie ręki na powitanie. Mało tego, z czasem segregację posunięto tak daleko, że wprowadzono totalny zakaz stosunków seksualnych. Matka Lee – założycielka sekty – miała widzenie: dane jej było ujrzeć Raj oraz Adama i Ewę w grzesznym uścisku, od którego zaczęło się wszelkie zło. W konsekwencji wezwwała swoich wyznawców do absolutnej czystości.

[\*10] We współczesnym języku japońskim wdowę określa się słowem faiboin, które dosłownie oznacza właśnie „osobę oczekującą na śmierć”.



## 8. INDIE

**K**to to wymyślił? Kto pierwszy wpadł na pomysł? I kto – jeśli ktoś taki istniał – sprawił, że pomysł, a może i samo dzieło, przeniknął z jednej kultury do drugiej?

Jak naprawdę dokonywała się wymiana myśli, sztuki, wynalazków w starożytnym świecie? Temat to nie zgłębiony, a gdy faktów mało, otwiera się pole do wszelakich spekulacji i trzeba poruszać się ostrożnie, bo to, co prawdopodobne, nie zawsze okazuje się możliwe i odwrotnie. Pytań jest więcej niż odpowiedzi. „Kto jako pierwszy wspominał w takiej – dajmy na to – Baktirii w I stuleciu p.n.e. o czymś takim jak koło zębate? A ktoś to uczynił. Czy Ch'in Lun – kupiec z rzymskiej ówczesnie Syrii – który dotarł do Chin w roku 226, interesował się kartografią? Czy egzemplarz dzieła al-Haithama o optyce mógł trafić do Kantonu czy Hangzhou jeszcze za życia autora?”<sup>[1]</sup> Takie pytania stawia jeden ze współczesnych historyków brytyjskich. Moglibyśmy dorzucić jeszcze parę kwestii. Na przykład: czy mogło się zdarzyć, że któryś z rzymskich żeglarzy, co wyprawił się po korzenie, bawełnę i kość słoniową do zachodnich Indii, zostawił tam egzemplarz *Sztuki kochania* Owidiusza? Czy możemy przyjąć, że Fa-Hsien – chiński podróżnik, który pod koniec IV wieku przemierzył prawie cały subkontynent indyjski, miał ze sobą dzieło *Mistrza Jung-chenga zasady seksu*?

Nie ma żadnych wątpliwości, że wielkie hinduskie dzieła erotyczne to prace oryginalne, pióra miejscowych autorów, ale też nie można wykluczyć, iż pomysł zrodził się gdzie indziej, a hinduscy mistrzowie literatury przysposobili na użytek swoich czytelników coś, co już istniało. Chińskie księgi erotyczne były na rynku czytelniczym od co najmniej II stulecia p.n.e., *Sztuka kochania* Owidiusza pod koniec

I wieku, a Indie od dawna przecież utrzymywały kontakty handlowe tak z Chinami, jak i z Rzymem. Pierwsze – wedle wszelkiego prawdopodobieństwa – a na pewno największe dzieło hinduskiej literatury erotycznej *Kamasutra* (przypisywane mędrcomu nazwiskiem Mallanaga Watsjajana) powstało między III a V wiekiem naszej ery i nawet na pierwszy rzut oka można w nim dostrzec pewne podobieństwa do prac taoistów oraz Owidiusza. Wpływ tych pierwszych widać choćby w skrupulatnym, klinicznym wręcz opisie rozmaitych technik seksualnych (ale bez rozpoetyzowanej, pełnej eufemizmów stylistyki, charakterystycznej dla dawnych chińskich mistrzów), z Owidiuszem natomiast może się kojarzyć dość cyniczne podejście do sztuki flirtu (z pominięciem elegijnych kupletów).

Ale błędem byłoby traktowanie *Kamasutry* jako swoistej kompilacji, bo to dzieło znacznie większej miary – produkt ówczesnej kultury hinduskiej, jak *Sztuka kochania* była produktem obyczajów Rzymu za czasów Augusta. Wszystko, co stanowi o wartości *Kamasutry* – systematyka, treść wyrażająca postawy pełne tolerancji, a nawet czułości, pewna elitarność, przeplatanie się wątków sentymentalnych z wyraźnie brutalnymi – to cechy ówczesnego społeczeństwa Indii i bez wątpienia cechy twórcy ukształtowanego przez swoją epokę i środowisko kulturowe.

Gdy powstawała *Kamasutra*, Indie pozostawały pod przemożnym wpływem hinduizmu – religii, której doktryna nosząca cechy klasowe i rasowe znajdowała odbicie we wszystkich dziedzinach życia. Fundamentem hinduizmu jest weda – co dosłownie znaczy „wiedza”, ale także oznacza literaturę (najpierw mówioną, później spisana) – rodzaj biblii jasnoskórych Ariów, najeźdźców z północy, którzy około drugiego tysiąclecia przed naszą erą wyparli pierwotnych, ciemnoskórych mieszkańców subkontynentu daleko na jego południowe krańce i wprowadzili czwórpodział społeczeństwa na hierarchicznie usytuowane klasy. Miejsce najwyższe zajmowali bramini, niżej stali kszatrijasi, jeszcze niżej – wajsjasi, a najniżej – siudrowie, ale nawet ci górowali nad podbitymi autochtonami, nie mającymi żadnego statusu społecznego.

Hierarchiczną strukturę – wpisana w socjoreligijny system wedyjski – umacniała i utrzymywała doktryna *karnuj*, stanowiąca o przeznaczeniu każdej żyjącej istoty – czy to człowieka, czy zwierzęcia, czy owada. *Karma* to nagromadzenie dobrych i złych uczynków. Dusza istoty, która dokonała więcej dobrych uczynków, odradza się w następnym wcieleniu na wyższym poziomie. Kto żył źle, tego dusza odrodzi się w

podlejszym wcieleniu. Oznacza to, że nawet najmarniejsza z ludzkich istot, żyjąc chwalebnie i doskonaląc *karmę*, ma szansę w drodze reinkarnacji wznieść się na szczyty i dostąpić zbawienia, polegającego na wyzwoleniu od przeżywania życia ciągle na nowo, a więc od reinkarnacji. Tak więc właściwe zachowanie miało ogromną wagę, zwłaszcza dla braminów – najdoskonalszej z klas, najbliższej wyzwoleniu od nieustannej wędrówki. Rzecz w tym, aby niestosownym postępowaniem nie zmarnować szansy.

Ten, kto postępuje właściwie, dąży do osiągnięcia Czterech Celów. Cel czwarty – wyzwolenie – zależy od spełnienia trzech pierwszych. Wszelkie wysiłki trzeba więc koncentrować właśnie na nich, a pierwszy – właściwy dla przywódców i kapłanów – to *dharma*, czyli obowiązki religijne, moralne i obowiązki względem społeczeństwa – różne w zależności od klasy i kasty. W sumie obligacje te wytyczały zasady właściwego postępowania w każdym obszarze ludzkich działań. W sensie politycznym służyły umacnianiu ładu i porządku sprzyjającego interesom przywódców państwowych i religijnych.

*Dharma*, choć najważniejsza, nie ujmowała znaczenia dwóm pozostałym celom, a były nimi: *artha*, czyli bogactwo, i *kama* – przyjemności i miłość. Z zachodniego punktu widzenia oba te cele mogą się wydawać wręcz trywialne, nie mające nic wspólnego z doskonaleniem duchowym. Ale hinduscy mędracy doskonale poznali tajniki ludzkiej natury i uważali, że niedostatek materialny i emocjonalny stanowiłby lichy fundament dla życia duchowego. Jedno tylko zastrzegli: aby ani *artha*, ani *kama* nie przysłaniały innych celów, czego jednak nie należy rozumieć w sposób doktrynerski, bo od zasady są wyjątki, co trafnie podkreśla *Kamasutra*. „Kiedy *Dharma*, *Artha* i *Kama* rywalizują ze sobą, to na ogół *Dharmę* przekłada się nad *Arthę*, *Arthę* zaś nad *Kamę*. Ale u króla pierwszeństwo ma *Artha*, ponieważ zapewnia środki do życia”[\*].

*Artha* i *kama* stanowiły zapewne koncesję na rzecz wrodzonych popędów ludzkiego gatunku – łyżkę miodu, mającą ułatwić przyjęcie tego, co wyższe i ważniejsze, ale też same w sobie stanowiły uświęcony cel. Dla Hindusa, jak dla chińskiego taoisty, seks to obowiązek płynący z nakazów wiary. Co prawda, sam przez się nie gwarantuje zbawienia, ale też nie wymaga szczególnych poświęceń, przeciwnie – stanowi nader przyjemny sposób wzmacniania *karmy*

# PROBLEM MIŁOŚCI

Nie wdając się w spekulacje na temat dokładnej daty powstania *Kamasutry*, jedno możemy stwierdzić z całą pewnością – dzieło to musiała sobie cenić elita towarzyska w czasach dynastii Guptów (IV i V wiek n.e.). W dziejach Indii były to złote lata – okres wspaniałej koniunktury, na której wyrosła klasa kupców, wajsja. Ich synowie i córki mieli pieniądze, czas, a nade wszystko ambicję zgłębienia tajników i zasad właściwego postępowania zgodnie z duchem czasów i nakazami religii. Tradycjoniści biadolili, co prawda, nad upadkiem obyczajów (jak w Rzymie na początku naszej ery i jak na Zachodzie w XX wieku), ale był to raczej głos wołającego na puszczy, choć w efekcie doszło jednak do znacznego ograniczenia swobód hinduskich kobiet.

Tymczasem jednak, jak wiemy z *Kamasutry*, dziewczęta z rodzin kupieckich cieszyły się znacznie większą swobodą niż w innych ówczesnych systemach państwowo-społecznych. To prawda, że podobnie jak ich koleżanki w innych krajach podlegały trójzależności – od ojca, męża i syna – ale hinduscy rodzice, i tylko oni, zalecali swym córkom na wydaniu, aby się stroiły, bywały w towarzystwie, pokazywały z najlepszej strony. „Kiedy nadejdzie pora zamążpójścia, rodzice powinni serdecznie przyjmować tych, którzy przychodzą... by starać się o rękę, i pod lada pozorem pokazywać [córkę] wystrojona”. Dziewczęta w czasach dynastii Guptów miały się rzeczywiście nieźle. Mogły nawet same wybierać sobie mężów, bo przewidywała to jedna z form zawierania małżeństwa. Jeśli w innych krajach kobiety generalnie dzieliły się na szanowane i upadłe, to w Indiach między tą pierwszą a drugą kategorią uczyniono miejsce dla wielu innych, które może nie są doskonałe, może nie zasługują na pełny szacunek, ale też nie trzeba ich potępiać.

Działo się tak między innymi dlatego, że pierwotny hinduizm, w przeciwieństwie na przykład do chrześcijaństwa, nie absolutyzował moralności, nie posługiwał się w stosunkach międzyludzkich miarą skończonego zła czy zdecydowanego dobra. *Dharma*, *artha* i *kama* wyznaczały drogę do doskonalenia *karmy*, a ta z samej istoty miała charakter jednostkowy. Nie istniała jedna *karma* dla wszystkich. Każda istota, każdy człowiek, postępując w określony, właściwy sposób, doskonalili własną *karmę*. W niej zaś skupia się i terażniejszość, i przeszłość, i przyszłość. Krzywda, którą ktoś komuś wyrządzi, jest być może karą, jaką ofiara ponosi za złe postępowanie w

poprzednim wcieleniu. Ale krzywdzicielowi przyjdzie zapewne zapłacić rachunek za swój czyn w jakimś przyszłym życiu.

Właśnie przez pryzmat tego swoistego fatalizmu, nie przystającego do naszych kategorii myślenia, trzeba spojrzeć na pewne fragmenty *Kamasutry*, w których wyrażają się postawy całkowicie odbiegające od przyjętego na Zachodzie sposobu postępowania. Cóż bowiem radzi *Kamasutra*, gdy dziewczyna nie chce oddać ręki zalotnikowi bądź zwodzi go, nie mogąc się zdecydować? Otóż w takich wypadkach należy wybrankę uśpić, upić, gdy trzeba – porwać, „wziąć w posiadanie”, a następnie kazać „przynieść z domu bramina święty ogień i przystąpić do ceremonii ślubnej”. „Według autorów starożytnych – zapewnia Watsjajana – małżeństwo zawarte w obecności ognia jest nierozzerwalne”. Równie szokującej rady udziela kurtyzanom, w rozdziale zatytułowanym „Jak wyciągnąć dużo pieniędzy od kochanka”: „Kiedy kurtyzana spostrzeże oziębłość kochanka, powinna zabezpieczyć wszystkie posiadane kosztowności, każąc je zająć przez podstawionego wierzyciela. Zrobiwszy to, jeżeli kochanek jest bogaty i przyjaźnie się do niej odnosi, nadal niech traktuje go z szacunkiem, a jeżeli jest biedny i bez środków, niech pozbędzie się go tak, jak gdyby nigdy nie miała z nim nic wspólnego”.

Ale też obok takiego brutalnego realizmu znajdujemy w *Kamasutrze* coś, co i Owidiusz, i Chińczycy pominęli w swoich dziełach, mianowicie konstatację, że seks to coś więcej niż jakiś tam flirt i pójscie do łóżka.

Literatura miłosna jest równie wiekowa jak udokumentowana historia naszego gatunku i równie zróżnicowana. Starożytni Egipcjanie celowali w utworach romantycznych, Grecy zostawili nam w dziedzictwie wiele rubaszości. Erotyka często występowała w poezji miłosnej, z drugiej jednak strony przed *Kamasutrą* prawie nie było wątków miłosnych w literaturze erotycznej. Właśnie *Kamasutra* zdecydowanie przełamała ten zaklęty krąg.

Ale też miłość w rozumieniu *Kamasutry* to coś więcej niż westchnienia, tęsknoty, pragnienia, kokieterie, namiętności i tych kilka trików czy chwytów opisanych przez Owidiusza. Mędrzec Watsjajana (czy ktoś, kto naprawdę skomponował *Kamasutrę*) dostrzega i podkreśla z całą życzliwością, że miłość wyraża się w owym przedziwnym splocie emocji, w tej niezwykle zwyczajnej reakcji chemicznej, jaka zachodzi między mężczyzną a kobietą, przysłaniając i wypierając wszystko inne. I nieraz świątły mędrzec przerywa wywód, aby podkreślić, że ci, co naprawdę się kochają, nie

muszą się uciekać do erotycznych taktyk, i że jego rady co do wyboru oblubienicy mają wtórne znaczenie, bo najpierw trzeba wybrankę pokochać.

Autor *Kamasutry* nie byłby sobą, gdyby nie postarał się o stosowną klasyfikację miłości. Daje taką, choć niezbyt spójną. Wyróżnia cztery rodzaje miłości, poczynając od najprostszej, nastawionej na „zespoleńie”, będącej czymś w rodzaju nałogu. Tak jak hazardzista miłuje grę jako taką, tak można miłować „zespoleńie”. Drugi rodzaj to umiłowanie pewnych form wyrażania miłości, jak: pocałunki, obejmowanie czy seks oralny. Z trzecim rodzajem mamy do czynienia, gdy miłość ma charakter spontaniczny, instynktowny i zaborczy. Czwarty rodzaj to miłość jednostronna, płynąca z uwielbienia do kochanej istoty.

Przy dwóch pierwszych typach miłości satysfakcja zależy bardziej od fizycznej wydajności partnerów niżli od harmonii zespoleńia. Wydajność da się wykształcić, jeśli odpowiednio zastosuje się rady i techniki wymyślone i rozwijane przez mądrych ludzi od wieków. Ale prawdziwi kochankowie nie potrzebują żadnych rad. Wystarczy im własny instynkt. W pewnym więc sensie wymykają się wszelkim zasadom i wznoszą się ponad prawa i reguły.

Tak też jest z cudzołożnikami. Hindusi, jak wszyscy inni, nie pochwalali cudzołóstwa, ale od zasady czynili bardzo interesujący wyjątek. Czytamy oto w *Kamasutrze*: „Wolno uwieść żonę innemu, jeżeli grozi niebezpieczeństwo, że umrze się z miłości do niej”. Dalej następuje skrupulatne wyliczenie wszelkich objawów, na podstawie których można precyzyjnie ocenić, czy niebezpieczeństwo jest realne i czy już trzeba podjąć kroki zaradcze. „Natężenie miłości [do zamężnej kobiety] ma dziesięć stopni, które wyrażają się następującymi objawami: 1 – miłość oczu, 2 – zniewolenie umysłu, 3 – myśl prześladowcza, 4 – bezsenność, 5 – wychudnięcie, 6 – wstręt do rozrywek, 7 – brak wstydu, 8 – szaleństwo, 9 – omdlenie lub utrata sił, 10 – wreszcie śmierć”.

Miłość i seks to dwie różne sprawy. Takie podejście jest bez wątpienia wielką zaletą *Kamasutry*, przydało jej wyraźnie ludzkiego charakteru, ale też okazało się zwodnicze, ponieważ wyprało treść z wszelkiej poezji. *Kamasutra* nie jest bowiem podręcznikiem miłości, jest przewodnikiem po sprawach seksu. Bardzo konkretnym, wręcz klinicznym, tak w treści, jak i stylistyce. Nie ma w niej westchnień, nie ma romantycznych epizodów, a w warstwie językowej kochankowie nie znajdą niczego, co upewniałoby ich, iż to, co się dzieje między nimi, jest wyjątkowe. Pod tym

względem *Kamasutra* nie wytrzymuje porównania choćby z chińskimi dziełami poświęconymi praktyce erotycznej, które nie stawiając granicy między miłością a seksem, traktowały oba te zjawiska znacznie subtelniej i delikatniej .

## PRAKTYKA SEKSU

Owidiusza interesowało głównie, jak skusić damę, by poszła do łóżka, Chińczyków – wszystko to, co w łóżku zachodzi, *Kamasutra* ogarnia znacznie większy horyzont. Pod tym względem przypomina miejscami dziewiętnastowieczne poradniki dobrych gospodyń – wyklada wszystko, co młoda pani domu powinna wiedzieć i robić. A powinna śpiewać, szyc, słać łóżka, grać na instrumencie, tańczyć, sporządzać naszyjniki i układać bukiety z kwiatów... Na tym wszakże kończy się podobieństwo. Ciąg dalszy jest już zupełnie inny. Oto młoda hinduska dama powinna również umieć rzucać czary, znać się na walce kogutów, kuropatw i baranów, na szermierce na broń i kije, powinna ćwiczyć się w strzelaniu z łuku do celu ruchomego i nieruchomego, nie mówiąc już o lepieniu figurek i płaskorzeźb. A to tylko niektóre z „sześćdziesięciu czterech sztuk wyzwolonych” zalecanych w *Kamasutrze*. Jak w innych społeczeństwach, pierwszym i najważniejszym obowiązkiem żony, stanowiącym o jej właściwym postępowaniu, było umiłanie życia mężowi.

Poważny badacz zagadnień seksu mógłby uznać *Kamasutrę* za dzieło mało odkrywcze, wręcz banalne. Ale obok trywialnych jest w niej wiele fragmentów dających interesujące wejrzenie bardziej zresztą w psychologię niżli mechanikę stosunków męsko-damskich. I tak obok czterech rodzajów miłości *Kamasutra* wymienia siedem rodzajów „zespoleń”. Trzy z nich to akty właściwe prawdziwym kochankom. „Związek z miłości namiętnej” zachodzi między kochankami, których los na czas jakiś rozdzielił. „Związek dla miłości przyszłej” – to „zespolecie dwojga osób, których miłość znajduje się za ledwie w załączku”. Z kolei „związek samorzutny” zachodzi wtedy, gdy „dwie osoby kochają się i łączą przez sympatię i z wzajemnego upodobania”. Dwie kolejne kategorie to „związek z miłości wymuszonej” – gdy partnerzy kochają kogoś innego, i „związek z miłości przeniesionej” – gdy „jedno z dwojga partnerów podczas połączenia wyobraża sobie, że jest w ramionach innej osoby, którą kocha naprawdę”. Dwa ostatnie typy „zespoleń” to związek osobnika



wyższej kasty z kobietą z nizin, trwający „jedynie przez okres konieczny do osiągnięcia rozkoszy przez mężczyznę”, i związek z „miłości pozornej między kurtyzaną a wieśniakiem [lub] między człowiekiem wykształconym a wieśniaczką”.

*Kamasutra* obfituje w tego rodzaju klasyfikacje i próby systematyzowania wszelkich zjawisk, czynności, podmiotów i przedmiotów, co bez wątpienia ułatwia poznanie. Ale nie wszystko daje się przecież w sposób jasny i prosty zaszufladkować raz na zawsze, a poza tym takie nieustanne kategoryzowanie staje się nudne, zwłaszcza dla czytelnika. Autor wszakże nie daje za wygraną. Wymienia czteiy rodzaje łagodnych uścisków, cztery typy uścisków bardziej namiętnych, osiem rodzajów miłosnych ukąszeń, osiem sposobów uprawiania miłości oralnej, dziewięć sposobów poruszania *lingą* (członkiem) we wnętrzu *joni* (waginy), czteiy części ciała, które można pieścić z osobna, trzy rodzaje całowania młodej dziewczyny („symbolicznie, ruchomo i dotykająco”) oraz cztery inne rodzaje pocałunków: „prosty, pochylony, odwracany i wyciśnięty”, a także „spinający”, kiedy „jedno z kochanków chwyta wargami wargi drugiego”. Watsjajana podkreśla, że tego ostatniego nie powinien praktykować mężczyzna noszący wąsy, a w innym fragmencie ostrzega przed próbą dokonywania czegoś takiego z kobietami z Awanti, bo te „lubią stosunek cielesny pod wszelkimi postaciami, z wyłączeniem jednak pieszczot towarzyszących”. W odróżnieniu od wcześniejszych dzieł z tej dziedziny, które rozmiary organów płciowych traktowały raczej marginalnie, *Kamasutra* sprawie tej poświęca wiele uwagi. I tak, wedle rozmiarów *lingi* mężczyzna może zaliczać się do jednej z trzech kategorii: zajęcy, byków i ogierów. Podobnie kobieta w zależności od rozmiarów *joni* może być gazelą, kłaczą lub słońcą. Watsjajana głosi chwałę związków „równych, tj. klasami, które sobie odpowiadają”, a więc byka z gazelą, ogiera z kłaczą i ogiera z gazelą. Ten ostatni nazywa najwyższym. Do niższych zalicza związki zająca z kłaczą oraz byka ze słońcą. Najniżej klasyfikuje związek zająca ze słońcą.

Mężczyzna skromnie wyposażony przez naturę, który stanie w obliczu konieczności zaspokojenia właścicielki obszerniejszej *joni*, może skorzystać z *apadrawji* – instrumentów pozwalających zniwelować kłopotliwą różnicę. Może więc nałożyć na *lingę* jeden, dwa lub więcej pierścieni, sporządzonych ze złota, srebra, miedzi, kości słoniowej lub rogu byka i stosownie rzeźbionych. Brak w *Kamasutrze* dokładnego opisu, jak używać owych urządzeń. Można się tylko domyślać, że pierścienie nakładano zawczasu i że przy pełnej erekcji nie zachodziło niebezpieczeństwo, że się

zsuną. Można też było „owinać *lingę* drutem”, sporządzając rodzaj spirali o „zwojach ułożonych bardzo blisko siebie”. Można też było sięgnąć po *jalakę* – „tubę otwartą z obu końców, chropawą na zewnątrz, pokrytą półkolistymi wypustkami, gładkimi w dotyku; ma ona rozmiar *joni*; przywiązuje się ją do paska”.

Można też było powiększyć *lingę* bez uciekania się do pomocy urządzeń mechanicznych. Procedura wszakże wydaje się bolesna. Należało bowiem nacierać *lingę* „włoskami pewnych owadów żyjących na drzewach” (gąsienice), następnie – przez dwa miesiące namaszczać oliwą, a później znów nacierać włoskami gąsienic. Rezultatem był obrzęk *lingi*, trwający ponoć miesiąc. Kogo nie było stać na takie poświęcenie, mógł liczyć na współpracę partnerki, która w czasie stosunku mogła przyjąć pozycję sprzyjającą kurczeniu *joni*, bądź zastosować kurację farmakologiczną. Ponoć maść z owocu *asteracantha longifolia* zwężała *joni* na jedną noc.

Watsjajana wspomina także, ale raczej nie poleca, technikę zwiększania rozmiarów *lingi* stosowaną ponoć na południu Indii i polegającą na implantowaniu rozmaitych przedmiotów w samą *lingę*. Opis nie jest zbyt dokładny. Można zakładać, że autor znał tę technikę raczej ze słyszenia. Otóż w nacięciu na skórze *lingi* wciska się rozmaite *apadrawja* o nazwach, z których niestety niewiele wynika, ale wśród innych jest „osiem kulek”, które należało umieścić w miejscu, gdzie „styka się cztery drogi”. Niewykluczone, że chodzi o coś w rodzaju dźwięczących kulek, które później stosowano w Birmie, Syjamie i Chinach. Azja Południowo-Wschodnia czerpała wiele z kultury Indii, zwłaszcza z południa subkontynentu.

Co się tyczy pozycji w czasie stosunku, to Watsjajana mógłby się wiele nauczyć od mistrza Tung-hsüana, który wymienia co prawda tylko trzydzieści, a Watsjajana więcej, ale ich lista w *Kamasutrze* jest dość naciągana, skoro osobno, jako *dziesięć różnych sposobów*, wymienia pozycje na byka, na psa, capa, jelenia, osła, kota, tygrysa, słonia, dzika i konia. Wiele pozycji opisywanych przez Watsjajanę wydaje się szalenie akrobatycznych, z czego chyba zdawał sobie sprawę, skoro powołując się na mędrca Suwarnanabhę, zauważa, że niektóre możliwe są wyłącznie w wodzie, ale podkreśla, że tego nie popiera, bo zespolenie w wodzie jest „przeciwnie zasadom religii”.

Taka pozycja jak „na wbijanie gwoźdźca” – „jedna noga na głowie mężczyzny, druga wyciągnięta obok” – wymagała nie lada umiejętności gimnastycznych. A w ogóle, kto by chciał w pełni stosować się do rad *Kamasutry*, musiałby być biegły w

wielu dziedzinach. Jeden z rodzajów flirtu na przykład wymaga sporej wiedzy z zakresu entomologii. Namiętne uniesienia – stwierdza Watsjajana – mają w sobie coś z kłótni, żeby nie powiedzieć, szarpaniny. Bywa, że kochankowie okładają się w czasie stosunku, drapią, gryzą i biją, wydając przy tym różne dźwięki. Do słabych odgłosów – jest ich osiem – należą: „Dźwięk *Hin* lub *Hinkara*. Donośny dźwięk wyrażający złość, czyli *Stanita*. Dźwięk przypominający gruchanie, czyli *Kudzi-ta*. Dźwięk *Phut*. Dźwięk *Phat*. Dźwięk *Sut*. Dźwięk *Piat*. Dźwięk *Phut* naśladuje odgłos pękającego bambusa, podczas gdy dźwięk *Phat* – odgłos przedmiotu wpadającego do wody”. Można dodać do tego różne inne odgłosy, „naśladujące brzęczenie pszczoł, gruchanie gołębia, kukanie kukułki, krzyk papugi, ćwierkanie wróbla, syk gęsi, wołanie przepiórki, krzyk pawia”. Integralną częścią zespolenia były ciosy (w plecy, ramiona, głowę, mostek) oraz ukąszenia i drapania. Watsjajana wymienia osiem rodzajów zadrapań paznokciami, a na zakończenie dokładnie opisuje, jak powinien wyglądać zadbane paznokcie.

„Znaki od paznokci, nawet dawne i prawie zatarte, przypominają kobiecie o miłości... Młoda kobieta, na której piersi widnieją takie ślady, wywrze wrażenie nawet na cudzoziemcu” – stwierdza Watsjajana, z czego płynie oczywisty wniosek, że społeczeństwo, przynajmniej elita w czasach dynastii Guptów, obnosiła się z oznakami miłosnych szaleństw bez najmniejszego skrępowania, co z kolei wskazuje na niezwykle otwartą postawę wobec seksu w ogóle, i to właśnie jest charakterystyczne dla Indii. Nawet w kulturze chińskiej, w której seks odgrywał równie wielką rolę, uważano, że te sprawy należy zamykać w czterech ścianach sypialni lub pokoju wynajętego w domu uciech, bo seks to sprawa bardzo osobista, prywatna, a nie publiczna. Ale w Indiach wyznaczono znacznie węższy margines prywatności, a już na pewno nie skrywano emocji. Seks traktowano jako coś naturalnego i dającego wiele radości, a poza wszystkim wpisany był w cel numer trzy – *kamę*, nie było więc co ukrywać. Przypomina to trochę modne postawy niektórych współczesnych kręgów towarzyskich na Zachodzie: skoro seks jest czynnością naturalną i przyjemną, trzeba o tym mówić bez owijania w bawełnę.

## ŻYCIE RODZINNE

Watsjajana zamieszcza w swoim dziele wiele pożytecznych rad i praktycznych przepisów. Uczy, jak sporządzać afrodyzjaki, ale podaje także przepisy na barwienie włosów, na pomadki wybielające zbyt czerwone usta (trzeba wziąć trochę specjalnej żywicy namoczonej w kroplach potu zebranych z jąder białego ogiera), radzi, jak nadać zwykłej wodzie wygląd mleka. Interesujące jest, że wśród mnogości najrozmaitszych receptur nie ma żadnego przepisu na środki antykoncepcyjne.

Nie bez powodu. *Kamasutra* wyraża, postawy bardzo ortodoksyjne. Dziś obruszamy się, słysząc, że antykoncepcja jest sprzeczna z naturą. Paktem jest, że przymiotnik „nienaturalne” w odniesieniu do środków antykoncepcyjnych stracił ostrość i wielce się zdevaluował, ale w epoce *Kamasutry* rozumiano go w tym właśnie kontekście dosłownie, a wszystko, co nienaturalne, pozostawało w sprzeczności z *karmą* i zakłócało ciąg reinkarnacji.

Tak więc o antykoncepcji i aborcji nie mogło być mowy, choć, jak to w Indiach, od zasady bywały wyjątki, wynikające zresztą z istoty Czterech Celów. Skoro na przykład powołaniem kurtyzan jest dostarczanie przyjemności, to w ich wypadku zapobieganie ciąży, która ograniczałaby możliwość pracy zgodnie z powołaniem, było dozwolone. A jeśli idzie o metody, to było w czym wybierać. Skuteczność niektórych (jak mielone wysuszone liście palmowe z czerwoną kredą) wydaje się wątpliwa. Ale są i inne. Radzono na przykład namaszczenie pochwy miksturą z miodu, *ghi* (sklarowanego masła) oraz nasion drzewa *palasa* (*butea frondosa*, zwanego także drzewem ognistym), co przywodzi na myśl – miód zwłaszcza – zalecenia Arystotelesa. Polecano sól; wydaje się, że chyba właśnie Hindusi jako pierwsi odkryli plemnikobójcze właściwości chlorku sodu. Kurtyzansom zalecano, aby przed stosunkiem wkładały do pochwy kawałek soli kamiennej umoczony w oleju[2].

Mimo encyklopedycznego zacięcia *Kamasutra* ma znamienne luki, właśnie w zakresie antykoncepcji. Wydaje się, że brak informacji w tej dziedzinie nie był przypadkowy. Autor zwyczajnie uznał, że nie ma potrzeby pisać o czymś, czego każda kurtyzana uczy się na początku kariery, a oświecanie mężatek w kwestii technik i środków, które mogłyby stosować bez wiedzy męża, byłoby wysoce niewłaściwe i podważałoby pozycję głowy domu, bo w Indiach, jak zresztą wszędzie, rządy w rodzinie sprawował mężczyzna. Ale też w porównaniu z innymi krajami rządy te wyglądały inaczej.

Koncepcja „wielkiej” czy „połączonej” rodziny nie była hinduskim wynalazkiem.

Na całym świecie od wieków synowie sprowadzali małżonki pod dach rodziców na wspólne mieszkanie. Zwyczaj jał upadać z rozwojem urbanizacji, ale w Chinach na przykład, mimo że zaczął zanikać wśród klas średnich i niższych i młodsze pokolenie „szło na swoje”, bo nie sposób było żyć inaczej w zatłoczonym mieście, utrzymywał się, i to długo, wśród warstw zamożnych. Nigdzie jednak wielopokoleniowa kohabitacja nie była tak popularna jak w Indiach. Synowie, córki, wujowie, ciotki, kuzyni i powinowaci żyli pod jednym dachem, bądź kilkoma wspólnymi, razem ze służbą, która też hołdowała temu obyczajowi. Z ekonomicznego i emocjonalnego punktu widzenia system ten z pewnością był korzystny dla jednostek słabszych, chroniąc je przed zagrożeniami z zewnątrz. Można powiedzieć, że Hindusi wymyślili i zastosowali koncepcję ubezpieczenia społecznego, wyprzedzając Zachód o dobre dwa tysiące lat.

Wielka rodzina to także ogrom problemów. Gdyby wspólnota rodzinna była pozostawiona sama sobie, szybko rozrosłaby się w organizm zbyt rozległy, aby nad nim zapanować. Ale Hindusi znaleźli na to radę. Z pomocą przyszło prawo sakralne i pasja nieustannego dzielenia, klasyfikowania i szufladkowania. Na wzór i podobieństwo czterech klas i Czterech Celów, do których przyzwoity człowiek powinien nieustannie dążyć, podzielono ludzkie życie – wygodnie, choć sztucznie – na cztery okresy: młodość, rozkwit, dojrzałość i starość. Wychodząc z wieku dziecięcego młody człowiek (jeśli należał do jednej z trzech wyższych klas – braminów, kszatrijów lub wajsjatów) otrzymywał święty sznur i jako *brahmaczarin* wiódł surowe, beżenne życie ucznia w domu swego mistrza[\*\*]. W wieku lat dwudziestu, gdy opanował Wedy lub przynajmniej ich część, wracał do domu rodzinnego i zawierał małżeństwo. Później, u schyłku wieku męskiego, gdy doczekał się wnuków, gdy „ogłądał świat oczami dzieci swych dzieci”[\*\*\*], opuszczał dom, aby żyć jako pustelnik, wolny od wszelkich więzów ziemskich, stając się na koniec bezdomnym wędrownikiem.

Naturalnie nie wszyscy, w istocie mniejszość, stosowali się do tego surowego reżimu, choć z drugiej strony *sannjasin*, bezdomny wędrownik, jest stałym elementem indyjskiego krajobrazu. Widmo nieuniknioności, nieodwracalnego przeznaczenia stale kładło się cieniem na władzę i autorytet ojca rodziny. Bez względu na to, jak wysoko wspiął się w drugim okresie życia, wszystko, co następowało potem, i tak sprzysięgało się przeciwko niemu. Majątek w zasadzie należał do całej rodziny. Po śmierci ojca zwykle (ale nie zawsze) dzielono go między synów, którzy mogli założyć

własne wspólnoty rodzinne. Czasami do podziału dochodziło jeszcze za życia ojca. A zresztą ojciec doszedłszy do pewnego wieku lub stanu musiał usuwać się w cień, abdykować jako głowa rodziny, nawet jeśli nie zostawał „pełnoetatowym” pustelnikiem.

Z takiego systemu wynikały dwie ciekawe i zapewne nie zamierzone konsekwencje. Otóż w sytuacji gdy na synach spoczywał święty obowiązek „dymisjonowania” ojca, który osiągnął trzeci okres życia, nie mogło być mowy o dyktatorskich rządach męskiej głowy domu. Nawet najsilniejsi duchem i ambicjami ojcowie nie dorastali do pięt hebrajskiemu *pater familias*. A po wtóre, niezależnie od prawnych i obyczajowych uwarunkowań, sprzyjających męskiej części społeczeństwa, hinduskie matki i żony zyskiwały niezwykle mocną pozycję. Cicha, posłuszna, kryjąca się w cieniu mężczyzny Hinduska to mit, stworzony zresztą przez obcych, którzy bardziej skupiali się na prawach niż na obserwacji ludzi. Gdy mąż odchodził na przepisaną prawem i obyczajem „emeryturę”, właśnie kobiecie przypadała faktyczna rola głowy domu. Tak więc rzekomo cicha i skromna Hinduska, a taką wydawała się w oczach cudzoziemca, sprawowała rządy w rodzinie.

Dojrzałe lata, gdy mąż wkraczał w trzeci okres, należały zapewne do najszczęśliwszych w życiu hinduskiej kobiety. We wczesnym okresie historii Indii zamążpójście następowało po osiągnięciu przez kobietę dojrzałości. Później obyczaj się zmienił i zgodnie z zasadami religii za mąż wydawano dziewczęta przed pokwitaniem, a jeszcze później, w średniowieczu, upowszechnił się zwyczaj wydawania za mąż bardzo młodych dziewczynek, wręcz dzieci. Dlaczego? Z wielu powodów. Po pierwsze, niezamężne córki uważano za obciążenie dla rodziny. Hindusi (jak zresztą wiele innych ludów) żywili przekonanie, że dziewczyna i kobieta to istoty rozpustne z samej swojej natury, gotowe przy lada okazji zmarnować dziewictwo i zejść na złą drogę. Lepiej wydać ją za mąż, nim stanie się nieszczęście. Po wtóre, pewną rolę odgrywał deficyt kobiet. Owszem, Indie przeżyły okres wojen, zwłaszcza w czasie najazdów z północy około pierwszego tysiąclecia naszej ery. Na południu też notowano wiele lokalnych konfliktów. Ale liczba ofiar była chyba niewielka i nie doprowadziła do tak poważnych zaburzeń demograficznych, ze wszystkimi ich konsekwencjami, jak choćby w Chinach. Przemawia za tym fakt, że w Indiach nie obserwowano głębszych fluktuacji, jeśli idzie o liczbę ludności[3]. Wojny nie pociągnęły za sobą zachwiania równowagi demograficznej na rzecz żeńskiej części

ludności. Co innego klęski głodu, a głód nawiedzał Indie falami. Nie wywołał wprawdzie dramatycznego spadku populacji, ale obniżył wskaźnik przyrostu naturalnego. Gdy zaczynał się głód, dbano przede wszystkim o męskich potomków. Głodowały córki i matki, a nie synowie i bracia. Co więcej, ratując się przed głodem, biedota często uciekała się do dzieciobójstwa, a ofiarą padały zwykle dziewczęta. Takich praktyk dopuszczali się bogaci przecież radżputowie jeszcze w XIX wieku. Niezależnie od klęsk głodu, deficyt żeńskiej populacji miał jeszcze jedno źródło: wskaźnik śmiertelności wśród dziewcząt, które rozpoczynały życie małżeńskie stanowczo za wcześnie, musiał być wysoki.

W II i III wieku naszej ery za ideał uważano małżeństwo, w którym wiek małżonki nie przekraczał jednej trzeciej liczby lat męża. Księgi praw Manu zalecały osiem lat dla dziewcząt i dwadzieścia cztery dla mężczyzn jako stosowny wiek do wstępowania w związki małżeńskie[4]. Trudno powiedzieć, czy rzeczywiście przestrzegano tego co do joty, ale tak czy owak panna młoda nie wprowadzała się do domu męża przed osiągnięciem wieku pokwitania, co następowało zwykle około dwunastego roku życia, a i wtedy do obowiązków małżeńskich przysposabiano ją ostrożnie i delikatnie. „Dziewczyna wzięta gwałtem – uprzedzał Watsjajana z całą powagą – znenawidzi tego, któremu zabrakło wobec niej delikatności”. Radził odczekać dziesięć dni po ceremonii ślubnej. Dopiero wtedy „mąż zostaje sam na sam z żoną; zwraca się do niej miłymi słowy, przygarnia ją do siebie i przyciska delikatnie do piersi (...) za każdym razem tylko na chwilę”. Do pełnego stosunku mogło dojść po upływie kolejnych trzech dni, w czasie których mąż miał stopniowo ośmielać małżonkę i zdobywać jej zaufanie.

Zamężna hinduska dziewczynka miała się na ogół lepiej niż jej rówieśnice w innych krajach. Mąż zwykle należał do tej samej klasy (a później kasty) co ona, wywodził się z tego samego środowiska, odebrał więc podobne wychowanie i wyrósł w tym samym kręgu obyczajowym. Na ogół żona nie miała w domu konkurencji. Prawo, co prawda, nie zabraniało poligamii, ale poza arystokracją rodową i majątkową było to zjawisko rzadkie. Więcej nawet, w pewnych regionach, jak choćby na Wybrzeżu Malabarskim i na himalajskim przedgórzu, utrzymywał się zwyczaj poliandrii. Pięciu braci – bohaterów *Mahabharaty*, wielkiej epopei sanskryckiej – ma jedną żonę, w czym pewnie pobrzmiewa echo dawnych obyczajów, które późniejszych hinduskich prawodawców zmuszało do nie lada gimnastyki kazuistycznej, aby sprawę przedstawić w należyтым świetle. Tymczasem obyczaj, który zaistniał z końcem



pierwszego tysiąclecia naszej ery, dopuszczał nawet poliginię, gdy legalnie poślubiona małżonka okazywała się bezpłodna, a także w podobnych okolicznościach, teoretycznie przynajmniej – poliandrię. Bezpłodny mąż, jak ongiś w Sparcie, mógł „scedować swe małżeńskie prawa na rzecz osobnika bardziej wydolnego, oczekując odeń pięknych i żywych dzieci, bez naruszania małżeństwa”[5].

Warto zwrócić uwagę na psychologiczne skutki hinduskiego modelu małżeństwa. Na podstawie dostępnych źródeł można sądzić, że mężowie traktowali swe młodociane żony jak dzieci. Otaczali czułością i opieką, nie żądali dorosłych zachowań (poza oczywiście łóżkiem). Żona-nastolatka znajdowała w mężu pełne oparcie intelektualne, emocjonalne i materialne i zapewne odnosiła się doń z szacunkiem jak do istoty wyższego rzędu, co wynikało z nakazów religii. Dwunastoletnią małżonkę dzieli od dwudziestoosmioletniego męża przepastna różnica wieku, która zanika, gdy żona ma 20 a mąż 36 lat. I właśnie wtedy młoda kobieta odkrywała swoje możliwości. Kiedy mąż wchodził w trzeci okres życia, a dzieci szły na swoje, Hinduska zaczynała czwartą dekadę życia. Pełna energii i zapału, mogła wreszcie realizować własne ambicje i aspiracje.

Trudno powiedzieć, ile miała na to czasu. Księgi praw zakładały, zdaje się, że życie mężczyzny zamyka się w pięćdziesięciu latach, skoro miał się żenić w wieku 24 lat i doczekać się wnuków ćwierć wieku później. Wydaje się jednak, że mężczyźni żyli znacznie dłużej. Gdyby bowiem przeciętna oscylowała wokół półwiecza, to na trzeci i czwarty okres życia pozostawałoby naprawdę niewiele lat. Ale nawet jeśli przyjmiemy granicę półwiecza i zgodzimy się, że kobieta żyła czterdzieści czy pięć lat krócej, to i tak pozostawało jej co najmniej dziesięć lat wdowieństwa. I nie ma czego zazdrościć, zwłaszcza gdy należała do którejś z ortodoksyjnych rodzin z wyższych klas.

O ponownym małżeństwie i związanych z tym uciechach dla ciała raczej nie było mowy. Nawet dziewczynki, które zostawały wdowami przed skonsumowaniem małżeństwa, nie miały takich szans. Wdowa sypiała na ziemi, dostawała jeden posiłek dziennie (postny – bez miodu, mięsa, wina i soli), nie wolno jej było nosić niczego kolorowego, używać pachnideł, a jakby tego było mało, w średniowieczu kazano jej golić głowę. Czas spędzała na modlitwach i obrządkach religijnych, mających zagwarantować, że w nowym wcieleniu znów złączy się ze zmarłym mężem. Poza dziećmi nie widywała nikogo. W rzeczy samej była żywym trupem.

Trudno więc się dziwić, że przynajmniej niektóre odchodziły za mężem. Nie tylko Indie, ale praktycznie cały ówczesny świat – Mezopotamia, Egipt, Azja Środkowa, Chiny – składał pamięci mężów ofiary w postaci wdów, utrzymanek, ulubionych koni zmarłego, wiernych psów. Ile wdów szło na śmierć w porywie serca, dobrowolnie, nie dowiemy się nigdy. Ale w Indiach sprawa wyglądała chyba inaczej. Instytucja *sati* (co dosłownie oznacza niewiastę pełną cnót) wrosła tam głęboko w obyczajowość i jeśli pominąć naciski środowiskowe i rodzinne, wdowy z własnej woli wstępowały na stos, na którym palono szczątki męża. Rytuał ten był dość powszechny w średniowieczu[\*\*\*\*], ale z ksiąg wedyjskich wynika, że jego korzenie tkwią głęboko w dawnych czasach[6], choć pierwszy taki udokumentowany przypadek notuje się dopiero w IV wieku. Niektórzy mędrcy i władcy byli temu przeciwni i wręcz potępiali instytucję wdowiego samobójstwa, inni głosili, że *sati* ofiarą życia zmazuje swoje i męża grzechy, a w nagrodę będzie jej dane szczęśliwe życie z ukochanym mężem w hinduskim odpowiedniku Raju, i to praktycznie po wsze czasy, bo przez 35 milionów lat!

## WOKÓŁ KAMASUTRY

Legenda głosi, że pierwszą *sati* była małżonka boga Rudry, czyli Śiwy w pierwotnym jego wcieleniu. Hinduizm zaczął się wykształcać około V stulecia p.n.e. jako rodzaj ekumenicznego aliansu różnych sekt, połączonych wspólną wiarą w święte księgi wedyjskie. Ale mimo wspólnej bazy trzeba było nie lada wysiłków, aby nowy system nabrał kształtu, jaki istnieje dziś. Mniej więcej w III wieku naszej ery dawne bóstwa coraz bardziej odchodziły w cień, ustępując miejsca Trimurti – świętej trójcy hinduistycznej, składającej się z Brahmy, czyli mądrego stwórcy, dobrotliwego Wisznu, czyli tego, który utrzymuje istnienie, oraz ojcowskiego, a zarazem straszliwego Śiwy – boga płodności, pana duchów i upiorów, króla płasów, a jednocześnie niszczyciela-szaleńca, wandalą – chciałoby się powiedzieć – na kosmiczną miarę.

W tym samym czasie na świętą scenę jęły wstępować także boginie, i to z powodzeniem, co było tym ciekawsze, że do tej pory, jeśli już, to wyłącznie statystowały w boskich spektaklach. Owszem, prosty lud, zwłaszcza z południa, gdzie

maskulinizm aryjskich najeźdźców napotkał największy opór, czcił boginie urodzaju, rzeczne nimfy i inne żeńskie bóstwa, ale hinduscy intelektualiści, wierni tradycji swych przodków – wędrownych pasterzy – zawsze głosili chwałę zdecydowanie męskiego panteonu, w którym kobiety pojawiały się wyłącznie w tle, w roli towarzyszek prawdziwych bogów, bo ci, podobnie jak ich wyznawcy, posiadali oczywiście żony.

A jednak boskie małżonki nabierały znaczenia, co objawiało się w sposób niezwykle i jedyny w swoim rodzaju. Życie codzienne hinduskich bogów, jak zresztą bogów innych ludów, stanowiło lustrzane odbicie życia wiernych. Ale mechanizm, wspólny dla wszystkich chyba systemów religijnych, w Indiach dał zupełnie inny skutek. Wystąpił tu bowiem zdecydowanie inny „podział pracy” na boskim szczycie. Bóg – mężczyzna – trzymał się z dala od codziennych spraw, panował, ale nie rządził. Tym zajmowała się jego małżonka – *siakti*, czyli moc, potencja swego pasywnego towarzysza – boga. Bóg trwał, ona działała. To jakby chińska doktryna o *yn* i *yang* z kompetencjami a *rebours*.

Jedną z boskich żon, która wybiła się na teologicznej scenie, była małżonka Śiwy Parwati. Śiwa – o czym wspomnieliśmy – był w poprzednim wcieleniu wedyjskim bogiem Rudrą, a Parwati jako *sati* kazała się w stosownym momencie spalić na stosie ofiarnym na cześć małżonka. Obecnie jako *siakti* występowała w równie wielu postaciach (aspektach) co małżonek. Jako *Gauri* – Biała – partnerowała Śiwie w jego wcieleniu boga płodności. Jako *Kali* – Czarna – towarzyszyła Śiwie-niszczycielowi. Wszystkie dosłownie wcielenia (aspekty) Śiwy i Parwati mają widoczne zabarwienie seksualne, zwykle twórcze, lub przeciwnie – niszczycielskie, czasami tylko boskie małżeństwo odrzuca seksualizm. Tak jest wtedy, gdy Śiwa pojawia się jako „wielki asceta”, a Parwati jako *Durga*, czyli Niedostępna.

Wśród wczesnych dzieł indyjskiej sztuki rzeźbiarskiej znajdujemy oczywiście symbole urodzaju i płodności, w większości o wyraźnie fallicznych kształtach i wielce erotyczne. Figurki *maithuna*, przedstawiające parę, czasami więcej osób złączonych w miłosnym uścisku, były chyba czymś zwyczajnym w społeczeństwie, traktującym seks jako coś normalnego, oczywistego i funkcjonalnego. Nic dziwnego, że w Indiach znacznie później niż gdzie indziej zaczęto w tego typu dziełach sztuki dopatrywać się obrazy moralności. Ale między 500 a 900 rokiem naszej ery, zapewne pod wpływem kontaktów z zagranicą i z bardziej wyrafinowanymi kulturami, rzeźby *maithuna*

nabrały jeszcze wyraźniejszego uwodzicielskiego, seksualnego charakteru, choć eksponowano je dość dyskretnie.

Sytuacja jednak zmieniała się, i to dość gwałtownie, a złożyły się na to między innymi przyczyny natury politycznej. Ponieważ tylko braminom – najwyższej z czterech tradycyjnych klas – przysługiwał przywilej odprawiania świętych obrzędów, ortodoksyjny hinduizm nabierał cech religii klasowej, co oczywiście musiało wywołać negatywną reakcję w społeczeństwie. Nie wiadomo, kiedy pojawiły się nowe kulty, faktem jednak jest, że się pojawiły, a co ważniejsze, w niektórych rola kapłanów została sprowadzona do zera. Wierny mógł sam, bez niczyjego pośrednictwa, obcować z bogiem. Bramini skupiali się na ofiarach i rytuałach, a tymczasem w centrum nowych kultów znalazło się coś, co przemawiało do ludu, a była tym miłość. Kilka czynników – doktryna *kamy*, seksualizm Śiwy i jego towarzyszkę Parwati, nie mówiąc już o równie przedsiębiorczym pod tym względem (i znacznie zabawniejszym w swoich miłostkach) Wisznu – sprawiło, że o boskiej miłości jęto myśleć w zdecydowanie ludzkich kategoriach.

Szczególne miejsce w owych kultach przypadło Śiwie. Z upływem wieków przyciągały one coraz więcej zwolenników, co oczywiście nie uszło uwagi władców, którzy potraktowali sprawę politycznie, manifestując poparcie dla wierzeń ludu. Gdy ma się do czynienia z analfabetami, nie wystarczy uroczysty edykt o tolerancji. Swoją wolę i zdanie władza musiała objawić inaczej – wznosząc liczne świątynie, które jak dzisiejsze plakaty wyborcze głosiły łączność władzy z ludem. „Plakatami” były kamienne świątynie ozdobiane niesłychanie erotycznymi rzeźbami, erotycznymi, bo taki był charakterystyczny ryt kultów, którym służyły.

Całe pokolenia historyków i hinduskich, i zachodnich wylały morze atramentu, aby wykazać, że erotyka, ba – rozpusta – to tylko przykrywka, za którą kryją się głębokie pokłady religijnego mistycyzmu. Najtęższe umysły tworzyły strzeliste teorie, w gruncie rzeczy wyłącznie po to, aby skryć własne zakłopotanie widokiem tego, co w owych świątyniach oglądali. To prawda, że hinduizm we wczesnym średniowieczu rozwinął pewne elementy seksualnego mistycyzmu, ale powiedzmy sobie szczerze, że mistyka, mistyczne postrzeganie świata to sprawa elity. Erotyczne rzeźby w takich świątyniach jak: Kajlasanathy w Elurze, Konaraku i Khadžuraho, mogły powstać pod dłutem bądź na zlecenie jakiegoś mistyka, ale ludzie przychodzący tam na modły z niejakim uradowaniem postrzegali je zupełnie inaczej. Jeden ze współczesnych autorytetów

uważa nawet, że erotyczne figury w świątyni w Konaraku, umieszczone na wysokości oczu zwiedzającego i chyba mniej doskonałe, jeśli idzie o wykonanie, niż inne, wyraźnie sakralne, spełniały wręcz komercyjną funkcję – reklamowały usługi *dewadasi* – świątynnych tancerek prostytutek, których dochody stanowiły walną część budżetu świątyni[8]. (W świątyni Radżaradżeswara w Tańdżawurze było ponad czterysta kobiet). Jeśli pamiętać, że Konarak – dziś ruiny leżące na uboczu, wśród piachów – był pulsującym życiem portem, ściągającym wiele ludzi, hipoteza ta może być trafna.

Niestety, nie ma waloru uniwersalnego. Nie przystaje na przykład do świątyń w Khadżuraho, w których rzeźbione w erotyczne sceny fryzy wznoszą się wysoko poza zasięg wzroku najbardziej wyposzczonego żeglarza (czy pałającego świętym oburzeniem bramina), a każdy, najmniejszy nawet fragment stanowi perełkę sztuki rzeźbiarskiej, całość zaś składa się na najwspanialszy w świecie zbiór rzeźby erotycznej. Około roku 1000, gdy większość z 83 świątyń w Khadżuraho już była wzniesiona bądź miała właśnie powstać (do dziś zachowały się ruiny tylko 20 przybytków), w indyjskim budownictwie sakralnym zapanował nowy styl. Świątynie miały przypominać świętą górę Meru [w pobliżu której – jak wierzą – na himalajskich szczytach mieszkali bogowie i którą traktowano jako centrum świata – *przyp. tłum.*]. W sztucznej grocie, która sama w sobie stanowi przepiękne dzieło sztuki inżynierskiej, urządzono mroczne sanktuarium, mające obrazować serce i łono. Człowiek tworzy boga na własny obraz i podobieństwo. Zawsze i wszędzie boskie istoty wyobrażano sobie na kształt istot ziemskich, nie zwyczajnych oczywiście, ale pięknych i bogatych – książąt z bajki, królów z legend – w stosownym otoczeniu, ze swiątą służbą, nadwornymi kapłanami, tancerkami, grajkami, nałożnicami i armią dworzan, a czasami – błaznami i nieszczęśnikami dopraszającymi się łaski pana. Indie pod tym względem nie są wyjątkiem. Boże domy wznoszone na subkontynencie miały zjednywać masy do religii, która przynajmniej na podstawowym poziomie powinna się jawić jako przyjazna, życzliwa, zrozumiała i wyrozumiała. Takie przesłanie miał odebrać każdy, nawet ten, komu zabroniono wstępu do prawdziwego sacrum w sercu świątyni – śiudra, wyrzutek społeczeństwa i (w północnych Indiach) kobieta. Nie bez powodu większość, a czasami wszystkie rzeźby o treści erotycznej w głównych świątyniach i wielkich budowlach Czolów i Czandellów – Kesari i Ganga – wbudowano w ściany zewnętrzne. Właśnie tam, na zewnątrz, bogowie-księżęta i ich

nałożnice spoglądają sobie głęboko w oczy, właśnie tam wykuci w kamieniu dworzanie obłapiają tancerki w pozach zalecanych przez *Kamasutrę*, a kamienni asceci potępieńcy i społeczne wyrzutki cierpią nad swoją seksualną niesławą, co każdy może obejrzeć na własne oczy.

Tak się jawił ten zewnętrzny świat bogów – żywy, tłumny, rubaszny, różny od tego, co widziało się w świątynnym wnętrzu, w *garbhagrihci* – łonie, gdzie modlący się doznawał ponownych urodzin, gdzie zasiadał bóg we własnej osobie, czasami wyobrażony nader realistycznie, czasami symbolicznie. Wielcy bogowie mieli różne postacie i różne były ich symbole. Jeden wszakże był niepowtarzalny, zastrzeżony dla wielkiego Śiwy, i nie pozostawiał wątpliwości, że właśnie Śiwa jest bogiem płodności. Symbolem tym była *linga* – fallus. Czasami Śiwę-*lingę* wyobrażano w towarzystwie Parwati, oczywiście ukazanej też w postaci symbolu – sromu, co ogromnie gorszyło wiktoriańskie dusze Brytyjczyków, którzy władali Indiami przez prawie dwa stulecia. Nie ingerowali, co prawda, w wierzenia religijne swoich poddanych, ale nie kryli oburzenia i pogardy dla ludzi, którzy prąciu oddawali boską cześć. I nie zmienili zdania nawet wtedy, gdy zrozumieli, że nie o zwykłe prącie chodzi, lecz o boskie wyobrażenie.

Właśnie taki pogląd Brytyjczyków na hinduizm przyczynił się do tłumienia, a nawet prześladowania indyjskiej kultury nie tylko w okresie ich panowania – 1757–1947 – ale i później, choć oczywiście w bardziej wyrafinowany sposób. Otóż ta garstka Brytyjczyków, co „zanurzyła się w Gangesie” – zafascynowała się Indiami (i podjęła trud popularyzowania ich kultury na Zachodzie) – uznała, że dla dobra sprawy erotycznym rzeźbom trzeba sprawić duchowe szaty. Jak pomyśleli, tak zrobili, i w efekcie takie na przykład tantryczne kulty mistyczno-seksualne do dziś w owych szatach paradują.

## KLEJNOT W KWIECIE LOTOSU

Tajemne sposoby porozumiewania się mają równie długą historię jak dzieje naszego gatunku. Gdy tylko nauczyliśmy się mówić, wymyśliliśmy sobie sposoby, aby nikt poza wtajemniczonymi nie dobrał się do naszych sekretów. Alchemicy na przykład używali w dawnych czasach takich określeń jak: „szary wilk” czy „siostrzyca smoka”, i mało

kto wiedział, że chodzi o antymon i rtęć. Język alchemików był tak samo albo nawet bardziej niedostępny dla laików, jak dziś rozmaite żargony zawodowe czy wyszukana terminologia naukowa. Naukowcy potrafią zamknąć cały skomplikowany wywód w jednym zdaniu, ale bywa, że na określenie czegoś bardzo prostego wymyślają jakieś wielce uczone słowo, którego normalny człowiek nie jest w stanie rozgryźć. Czasami wręcz nie sposób rozwikłać sprawy czy zjawiska, przybranego w tajemne formuły, a nieraz próbując coś odczytać, rzecz jeszcze bardziej gmatwamy.

Tak właśnie było z tantrą – tantrycznymi kultami, tekstami i obrzędami. Co do tekstów, to nie dość, że same w sobie są bardzo specyficzne, to jeszcze – jak twierdzi jeden ze współczesnych wyznawców tantryzmu – „specjalnie pisze się je tak, aby nic z nich nie wynikało, przynajmniej nic konkretnego... Z rozmysłem pomija się pewne istotne sprawy, a całość gmatwa tak, żeby bez fachowej pomocy nikt nie mógł z tego skorzystać. Dodatkową przeszkodą jest język, pełen mistycyzmów, zrozumiałych tylko dla kogoś, kto otrzymał sekretne nauki”, a wszystko dlatego, aby nikt niepowołany nie odkrył ani potężnych zaklęć, ani „mocy psychicznych” i nie użył ich w niegodnym celu[9].

W rezultacie co kto się weźmie za analizę tekstów tantrycznych, to przedstawia nową ich interpretację. Na przykład akt rytualnej defloracji, a jest coś takiego w tantrycznych obrzędach. Jak go rozumieć? Dosłownie czy jako metaforę, oznaczającą sięgnięcie po moce, co drzemią w ludzkiej istocie tam, gdzie się kończy stos pacierzowy, i uniesienie ich w górę, do czaszki? A gdy mowa o napojach mających magiczną moc, czy rzeczywiście potrzebna jest do tego krew trupa, krew trędowatego, krew dziecka z kazirodczego związku i menstruacyjny upław, czy trzeba to odczytać jako metaforę? Nie ma jednoznacznej odpowiedzi i wydaje się, że uczone interpretacje zależą nie tyle od chłodnej analizy, ile od stanu żołądka badacza, bo receptura może przyprawić o mdłości. A współczesny badacz, który ma wątpliwości i nie potrafi sprawy wyjaśnić, zaraz ubiera wszystko w niezrozumiały żargon naukowy, jeszcze bardziej zaciemnia sprawę, snuje teorie filozoficzne i teologiczne. Czytelnik zaś w zależności od stanu ducha i umysłu albo machnie ręką na całą tę tantrę, uznając, że to obrzydlistwo, albo popadnie w euforię, że takie to odkrywcze, albo zrezygnowany uzna, że i tak nic z tego nie rozumie.

Tantryzm rzeczywiście jest zjawiskiem złożonym, co wcale nie znaczy, że mówiąc o nim, trzeba sięgać do tak wydumanych terminów jak „kosmiczna geneza”, „polaryzacja



symboli”, czy pisać o „fenomenologii i nominalizmie” i przekonywać, iż tantryzm łączy jedno i drugie. Nikt tak naprawdę nie wie, czym był tantryzm u swego zarania, jak się przejawiał w pierwszych stuleciach naszej ery. Niewielu badaczy interesuje się tym. Nie bada się fundamentów, poświęcając całą uwagę niezwyklej budowli, jaka na nich w ciągu stuleci powstała. Tymczasem zwykły rozsądek podpowiada, że fundament musiał być solidny, skoro nie brakło wyznawców. Jak zaś wyglądał, można dociec, analizując związki kultów tantrycznych z innymi nurtami religijnymi.

W dużym uogólnieniu można powiedzieć, że cechą charakterystyczną całej indyjskiej filozofii jest rezygnacja. W hinduizmie na przykład nie ma raju ani niczego podobnego. Najwyższą nagrodą za godne, właściwe postępowanie jest wyzwolenie od nieustannego powielania własnego istnienia. Kto postępuje właściwie, może liczyć, że nie odrodzi się już w jakimś nowym wcieleniu, ale zanurzy się w nicości. Podobnie w buddyzmie. Nirwana nie jest synonimem nieba, oznacza po prostu kres istnienia – nicość.

Właśnie odejście w nicość stanowi ostateczny cel, wspólny dla obu tych systemów i w rzeczy samej dla wielu innych kultów i wyznań funkcjonujących w Indiach. Skoro cel jest ten sam, to różnice mogą sprowadzać się wyłącznie do sposobów jego osiągnięcia. Każdy nowy kult czy nurt religijny obiecywał najkrótszą z możliwych i najskuteczniejszą drogę dotarcia do kresu, jeśli tylko wyznawca spełni określone warunki. I tak *hinajana*, czyli odłam buddyzmu zwany „małym wozem”, kładła nacisk na osobiste starania i poleganie na samym sobie. *Mahajana*, czyli „wielki wóz”, nie była aż tak wymagająca, nie żądała poświęceń, a co ważniejsze – gwarantowała pomoc *bodhisattua*, miłosiernych opiekunów. Jeśli *hinajanę* porównać do lotu prymitywnym dwupłatowcem z czasów, gdy latanie wymagało nie lada poświęceń, to *mahajana* jawi się jak lot jumbo jetem pod opieką fachowych stewardes. Ale latać można jeszcze szybciej, choćby naddźwiękowym *concordem*. I właśnie coś takiego oferuje *wa-dźrajana* – „wóz gromu”. Kto nań wsiądzie, rychło pokona duchową barierę, za którą rozciąga się nirwana. Podobnie jak buddyzm, hinduizm otwierał rozmaite drogi do wyzwolenia, czyli różne systemy zbawienia, jak choćby *njaję* – rodzaj szkoły logiki i epistemologii, kładącą nacisk na jasność myślenia i logiczne argumenty, bo to one gwarantują najwyższe szczęście. Innym systemem jest *joga* – dyscyplina ducha, a jeszcze innym *wedanta*, wedle której oddając się medytacji można zjednoczyć własną duszę z Duszą Świata, co wypełnia wszechpustać.

Wszystkie te systemy odrzucały świat zjawisk, zwłaszcza nakazywały rezygnację z ziemskich rozkoszy, bo odcinając się od nich, najłatwiej osiągnie się wyzwolenie od nieustannej wędrówki. Ci, których nie było stać na takie poświęcenie, mogli kroczyć inną drogą: żyć najlepiej, jak potrafią, i wierzyć, że kiedyś dostąpią wyzwolenia.

Tantra otwierała zupełnie inną perspektywę. Kładła nacisk na działanie, a nie na studia. Wyzwolenia mógł dostąpić każdy, i to w obrębie jednego istnienia, jeśli tylko odda się przyjemnościom, jeśli roztoczy przed sobą wizję i uwierzy aż do ekstazy. Dlaczego właśnie tak? A dlatego, że świat jest przejawem tego, co boskie, wszystko w nim jest boskie, i trzeba to czcić, szanować i hołubić, a nie odrzucać. Było to nader hedonistyczne podejście i trudno się dziwić, że od razu zyskało wielu zwolenników.

Nie brak opinii, że tantra, jak wiele innych rewolucyjnych ruchów religijnych, była w istocie wyrazem protestu przeciwko rzeczywistości społeczno-politycznej. Faktycznie, wiele tantrycznych obrzędów pomyślano tak, jakby chciano przełamać zastany system klasowo-kastowy. Inne – choćby magiczne ceremonie, stosowanie środków oszalamiających czy obrzędowe stosunki seksualne – też rzucały wyzwanie przyjętemu tabu, też naruszały konwencję, podobnie jak – mówiąc w dużym uproszczeniu – łamało ją społeczeństwo alternatywne w latach sześćdziesiątych XX wieku.

Szkoły tantryczne rozwinęły się i działały tak w obrębie buddyzmu, jak i hinduizmu. Różniły się, ale łączyło je przekonanie, że celem jest nicość, bo nicość to prawdziwa rzeczywistość, podczas gdy istniejący świat to iluzja albo wielce niedoskonałe odbicie boskiego, bezosobowego wszechświata. Trzeba więc postępować tak, aby indywidualną duszę identyfikować z Duszą Świata.

Jak tego dokonać? Tu zaczyna się problem. Trzeba mianowicie przeorientować przepajające ciało i duszę strumienie twórczej energii w taki sposób, aby zespoliły się z Duszą Świata. Twórcze może być wszystko i wszystko da się przedstawić w kategoriach tantrycznych. Co się tyczy strumieni energii, to nie trzeba ich przeorientowywać indywidualnie. Pomocą może być i magia, i seks, ale trzeba umieć z tego korzystać.

Jednym z instrumentów ułatwiających skupianie energii była *mantra* – sylaba lub kilka sylab, które należy wypowiadać w stosowny sposób, a wtedy strumień energii, jak światło za pomocą soczewki, można skupić i skierować w pożądanym kierunku. Podobną moc jak *mantra* w sferze dźwięku miała *jantra* w sferze doznań wizualnych.

*Jantra mandala* to nakreślona na ziemi linia magiczna, podobnie jak *mantra* mająca tę właściwość, że przepaja wyznawcę boską siłą, która może przyspieszyć nadejście wyzwolenia, a więc zagłębienie się w nicości. Nie wszystkie *mantiy* miały jednaką wartość i moc. Najczęściej stosowana to *Om mami padme hum* – mająca mniej więcej takie samo znaczenie jak klęknięcie na początku modłów w Kościele chrześcijańskim. Niesie wiele treści i można ją przełożyć na wiele sposobów, ale najczęściej spotyka się wersję „klejnot w kwiecie lotosu”, to zaś znaczy tyle co „*linga w joni*”.

Seksualnych metafor znajdziemy więcej, i nie tylko w *mantrach*. W Indiach (ale nie w Tybecie) buddyzm tantryczny niczym w istocie nie różni się od buddyzmu *wadžrajany*, czyli „wozu gromu”, w nim zaś stosunki seksualne to element rytuału wiodący do wyzwolenia. Pomocą w kierowaniu strumienia ludzkiej energii ku Duszy Świata służą żeńskie bóstwa działające jak rodzaj odgromników. Dusza Świata z samej definicji jest nieodgadniona i bezpostaciowa, co nie przeszkodziło wyznawcom tantryzmu wyobrażać ją na podobieństwo Śiwy – jako coś potężnego, pełnego majestatu, odległego i biernego. I tak jak Śiwie towarzyszy *siakti* – symbol siły czy potencji, z którą trwa w wiecznym uścisku – tak i Dusza miała swój żeński pierwiastek, bo tylko w tym kształcie mogła przejawiać się żeńska energia twórcza. Stosunek seksualny nabierał w ten sposób boskich wymiarów, poprzez *siakti* wyznawca jednoczył się z samą Duszą.

W obrzędach tantrycznych uczestniczyło zwykle kilka par pod opieką guru, który baczył, aby stosunki seksualne odbyły się zgodnie z rytuałem i aby w przebieg obrzędu nie wkradły się jakieś rytualne nieczystości. Tak czy owak, wieczorne zgromadzenia wyznawców jawiły się jako imprezy całkiem przyjemne, z napojami, niezłym daniem głównym i męsko-damskim zakończeniem. Po odprawieniu określonego ścisłymi regułami nabożeństwa uczestnicy mogli oddawać się „pięciu przyjemnościom”. Wedle współczesnych badaczy miały one być wyzwaniem rzuconym ortodoksom. Nie jest to teza zbyt przekonująca, bo żadna z „pięciu przyjemności” nie naruszała żadnego z ówczesnych tabu. Na początek raczono się napojami alkoholowymi lub palono jakiś łagodny narkotyk. Zwało się to *madja*. Kolejna faza to *mansa* – jedzenie mięsa, i *matsja* – spożywanie ryby. I żadne z tych pierwszych trzech „m” nie stanowiło specjalnej rzadkości. Wino, ryby, mięso (zwłaszcza wieprzowina) pojawiały się dość regularnie na stołach co zamożniejszych mieszkańców Indii od VIII do XI wieku, więc w tej części tantrycznego nabożeństwa nie mogło być nic obrazoburczego. Potem

następowała *mudra* – symboliczne gesty, a na koniec *majthuna* – stosunek seksualny – w którym też nie było nic obrazoburczego, bo w istocie chodziło o doznanie uczucia jedności z partnerem lub partnerką, a w konsekwencji jedności własnej duszy z Duszą Świata. Ponieważ takie uczucie dane jest przede wszystkim prawdziwym kochankom, praktykowano wymianę partnerek i partnerów, czasami nawet sprowadzano *dewadasi* – świątynne prostytutki. Tantra nie głosiła ascezy jako warunku wyzwolenia, nie odrzucała przyjemności, przeciwnie – wpisała je w swój rytuał. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przyjąć, że przynajmniej na początku przyjemności te miały wymiar zgoła fizyczny, a dopiero później nabrały najprzeróżniejszych symbolicznych znaczeń. To tak samo jak z chlebem i winem w kręgu kultury chrześcijańskiej. Chleb i wino stały na stole podczas Ostatniej Wieczerzy. 1200 lat później umówiono się, że chleb to ciało, a wino to krew Zbawcy.

Można założyć, że znakomita większość wyznawców kultów tantrycznych nigdy nie wyszła poza podstawowy krąg wierzeń i zasad, obejmujących trochę przyjemności, nutę protestu (przeciwko klasom i kastom, co przejawiało się między innymi w łączeniu się w czasie obrzędu w pary bez względu na przynależność klasową czy kastową) i odrobinę przeżyć duchowych – poczucie siły płynące z powtarzania magicznych zaklęć i kreślenia magicznych linii.

Ale były jednostki, które w swej wierze szły dalej, licząc na spełnienie tego, co zapisano w świętych księgach, a więc na wyzwolenie, odejście w nicość w ciągu jednego istnienia. Takie osoby przechodziły specjalną ceremonię inicjacji, która miała zawsze charakter indywidualny. Niewiele o tym wiemy, niczego bowiem nie zapisano, ale wydaje się, że nad inicjacją czuwała partnerka, która wcześniej spółkowała z kimś plasującym się wyżej w hierarchii duchowej, przez co stawała się „naczyniem boskiej energii” albo *dakinia*.

Z kolei osoba, która przeszła inicjację, stawała się *sadhaką* i jako taka wypełniała określone obrzędy, obejmujące głęboką medytację aż po ekstazę, a jednocześnie stosunki seksualne, recytowała *mantry*, uprawiała jogę i – jak to przepięknie wyraził jeden z badaczy – „rozwijała połączone energie damsko-męskie”[11]. Ale partner z krwi i kości towarzyszył jedynie początkującym *sadhakom*. Na wyższym poziomie dostępowało się dobrodziejstwa „wewnętrznego samospełnienia”. Ponieważ każdy przejaw ekscytacji seksualnej interpretowano jako objaw boskiej energii, więc niejedyn świątobliwy adept modlił się żarliwie do własnego penisa w stanie wzwodu.

Na jeszcze wyższym poziomie, gdy następowała pełna identyfikacja z bogiem i jego *siakti*, człowiek głęboko wierzący mógł odbywać stosunki sam ze sobą.

Aczkolwiek niemożliwe ze względów anatomicznych, zostało to racjonalnie osadzone na wyższym poziomie teorii tantryzmu w postaci doktryny „subtelnego ciała”. Idea, że każda żywa istota nosi w sobie jakby (replikę samej siebie, składającą się z nerwów, emocji, strumieni energii, intelektu i duszy, była popularna w społecznościach przednaukowych. Tantryści, podobnie jak taoiści, uważali, że w każdej kobiecie tkwi pierwiastek męski, a w każdym mężczyźnie żeński. „Ciało subtelne” zawiera jakby dwa kanały nerwowe: żeński (w terminologii buddyjskiej zwany *lalana*), biegnący lewą stroną stosu pacierzowego, i męski (*rasana*) – usytuowany po prawej stronie. Prócz tego każde ciało zawiera kilka kręgów nerwowych – ośrodków energii psychicznej, zwanych *czakra*. Hindusi rozróżniali sześć takich kręgów, buddyści – cztery. Mają one kształt kwiatu lotosu i rozmieszczone są pionowo wzdłuż stosu pacierzowego, od dołu do góry. W czasie rytualnego stosunku seksualnego, zwłaszcza jeśli para przyjmie stosowną pozycję, która ma tę właściwość, że stymuluje system nerwowy, energia żeńska, oddziałując na ośrodek energii psychicznej mężczyzny umieszczony wokół pępka, sprawia, że nasienie przemienia się w magiczną esencję (*bindu*), ta zaś przebija się przez *lalanę* i *rasanę*, tworzy własny kanał i zdąża do *czakry* zwanej *sahasrara* – „kwiatem lotosu o tysiącach płatków” – mieszczącej się w czaszce i stanowiącej niejako bramę do nicości. Gdy magiczna esencja *binda* dojdzie właśnie tam, osiąga się zbawienie, jednoczy się z Duszą Świata, a ta przecież ma cechy obu płci.

Zawiera się w tym interesująca analogia z chińskim wierzeniem dotyczącym *coitus reservatus* i *coitus obstructus*. Taoiści uważali przecież, że nie wydalone nasienie jako *yang* też odkłada się w głowie i zasila mózg. W tekstach tantrycznych znajdujemy niewiele materiału czysto informacyjnego, ale z pewną dozą prawdopodobieństwa można założyć, że buddyjscy tantryści stosowali techniki kontroli oddechu znane nam z zaleceń mistrza Tung-hsüana, a do dziś hinduscy tantryści z Bengalu praktykują *coitus obstructus*, tak jak opisano to w *Ważnych sprawach Jadeitowej Komnaty*. Nieżyjący już Robert Van Gulik, wybitny znawca zagadnienia, twierdził, że hinduscy tantryści przejęli ideę *coitus reservatus/obstructus* z chińskiego taoizmu około V lub VI wieku naszej ery. Sprawę przenieśli do Indii buddyjscy (a nie hinduscy) misjonarze działający w Chinach. Później, gdy tantra w Indiach okrzepła, do Chin udawali się

misjonarze tantryjscy i w ten sposób Chiny jeły przejmować pewne idee hinduskiego tantryzmu. Wreszcie około XIV wieku, gdy Chiny uległy najazdom Mongołów, do Państwa Środka przenikały idee tantryzmu w wydaniu tybetańskim i nikt już nie pamiętał, że to, co tantra oferuje, ma w rzeczywistości chińską, taoistyczną proveniencję.

Ale i tak na podstawowe pytanie, kto był pierwszy i jak dokonywała się wymiana myśli między kulturami i cywilizacjami, nigdy nie znajdziemy zadowolającej i jednoznacznej odpowiedzi. A zresztą podobieństwa wcale nie muszą wskazywać na plagiat.

Pozbawiona wystroju religijnego, zaklęć, autosugestii i modlitw (zdecydowanie różnych w zależności od tego, czy jest to tantra buddyjska czy hinduska), tantra jawi się jak Biblia wyzuta z poetyki i objawień. Ale też niewiele systemów religijnych przedstawia się kusząco bez *decorum*. Tantra to nie tylko magia i seks – przekonuje jeden ze współczesnych europejskich badaczy. Co prawda hinduscy i buddyjscy krytycy głoszą, że tantryści wykorzystują religię jako przykrywkę dla grzesznych żądz i rozpusty, ale tantryści odpowiadają na to, że do zaspokojenia zwykłego popędu nie trzeba aż tak skomplikowanych rytuałów i trudów, jakie nakazuje ich obrządek[12]. I to też prawda.

---

[\*] Wszystkie cytaty z *Kamasutry* według przekładu Bohdana H. Jezierskiego, KAW, 1986 – *przyp. tłum.*

[\*\*] W późniejszych czasach ceremonii tej dostępowali wyłącznie bramini. Otrzymanie świętego sznura oznacza ponowne, „prawdziwe” narodziny.

[\*\*\*] L'or. Arthur L. Basham, *Indie, od początków dziejów do podboju muzułmańskiego*, przekład Zygmunt Kubiak, PIW, Warszawa 1973 – *przyp. tłum.*

[\*\*\*\*] Instytucja sati nie ograniczała się do Indii, spotyka się ją u wielu ludów indoeuropejskich, m.in. wśród Słowian naddunajskich w VI, a u Serbów w X wieku[7].





1. Kłopoty zaczęły się, kiedy z żebra Adama powstała Ewa. Bez niej nie byłoby grzechu pierworodnego (fragment mozaiki z ok. 1158 roku z Capella Palatina w Palermo, fot. Anderson)





2. Zgubne żądze, będące (według św. Augustyna) wieczną karą Bożą za wykroczenie popełnione w Raju, przejawiały się w dziejach ludzkości od samego początku, i to w rozmaity sposób. Czasami przybierały kształt grzesznej ciekawości, jak na rycie z epoki kamiennej (ryt na kości z jaskini Isturitz we Francji, 30 000–20 000)



3. ...czasami, jak w starożytnej Grecji, wymagały energii (czerwonofigurowe malowidło na kylicie z V wieku p.n.e., British Museum)



4. ...a czasami zmuszały do nie lada wysiłku, jak wtedy, gdy dawano im upust w pozycji zwanej „taczka”, zalecanej przez włoskiego poetę Pietro Aretino (rycina z E. Fuchs, t. I, patrz Bibliografia)





5. W Indiach proponowano skomplikowane figury inspirowane treścią Kamasutry, co obrazuje ta rycina (Radżasthan, XIX wiek), jak również rzeźby zdobiące choćby świątynie w Khadźuraho



6. Taoistyczne księgi poświęcone sztuce alkowy polecają pozycję „unoszącego się motyla”  
(figurka z XVII wieku, Gulbenkian Museum of Oriental Art)





7. Do mniej akceptowanych form życia erotycznego należał homoseksualizm, który przyniósł zagładę Sodomy i ucieczkę rodziny Lota. Żona Lota zamieniła się w słup soli. J. M. Klotz w „Journal of the Royal Society of Medicine” (lipiec 1988) tak wyjaśnia to zjawisko: obejrawszy się za siebie na płonące miasto, „żona Lota doznała tak silnego wstrząsu, że doszło do wytrącenia z płynów fizjologicznych dużych ilości wapnia, który natychmiast skryształizował się i kobieta skamieniała”. Reszty dopełniło przesycone solą powietrze znad Morza Martwego. Drobiny soli jęły osadzać się na znieruchomiałej postaci

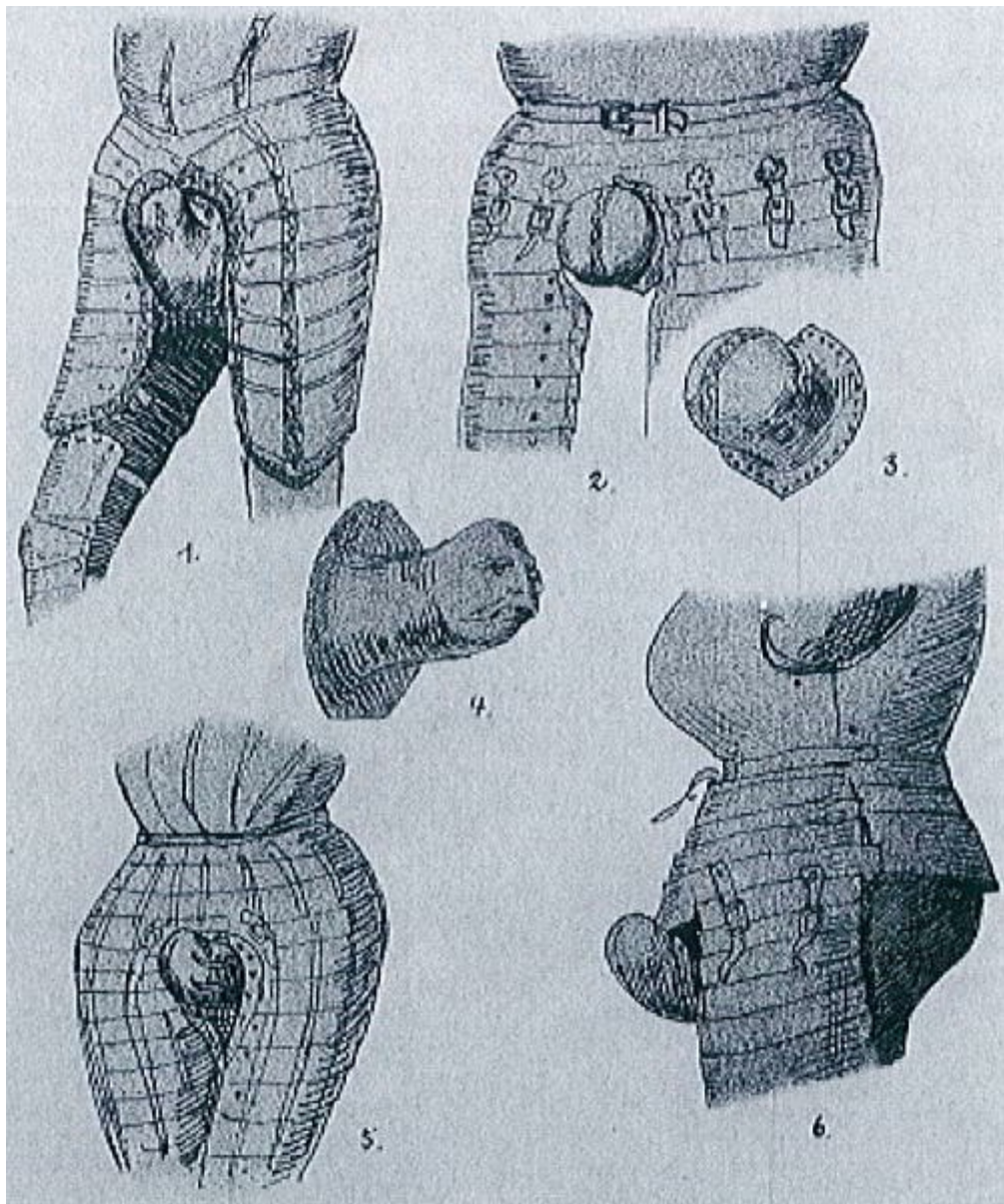


8. *W późniejszym okresie heteroseksualne stosunki analne były powszechnie stosowaną metodą antykoncepcji (na zdjęciu naczynie do picia z Peru)*

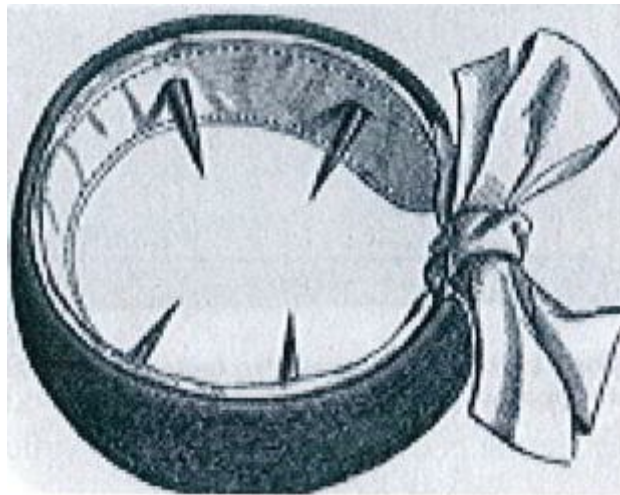




9. W społecznościach rolniczych – i nie tylko – dochodziło do zoofilii. Praktyki takie występowały także wśród koczowników mongolskich (na zdjęciu malowidło indyjskie)

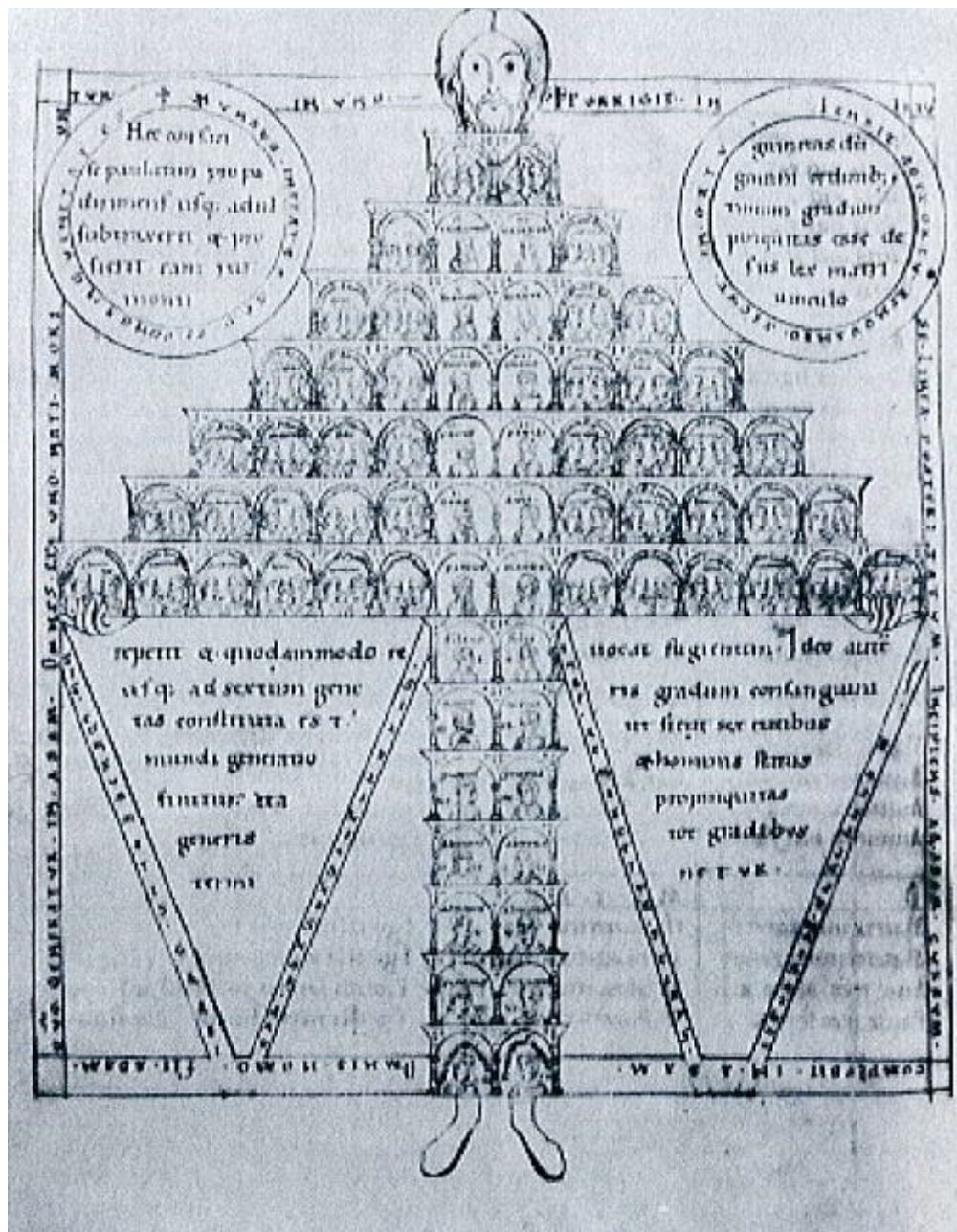


10. Bez względu na to, co sądzili Peruwiańczycy (zdzj. 8), w Europie gabaryty męskich atrybutów traktowano z całą powagą i czyniono z nich przedmiot dumy. Odpowiedni szczegół rycerskiej zbroi miał świadczyć o nie byle jakiej zawartości (zbroja z lat 1510–1562, z E. Fuchs, t. I. patrz Bibliografia)



*11. W epoce wiktoriańskiej taka „zbroja” miała chronić przed nocnymi polucjami, budząc z najgłębszego snu*

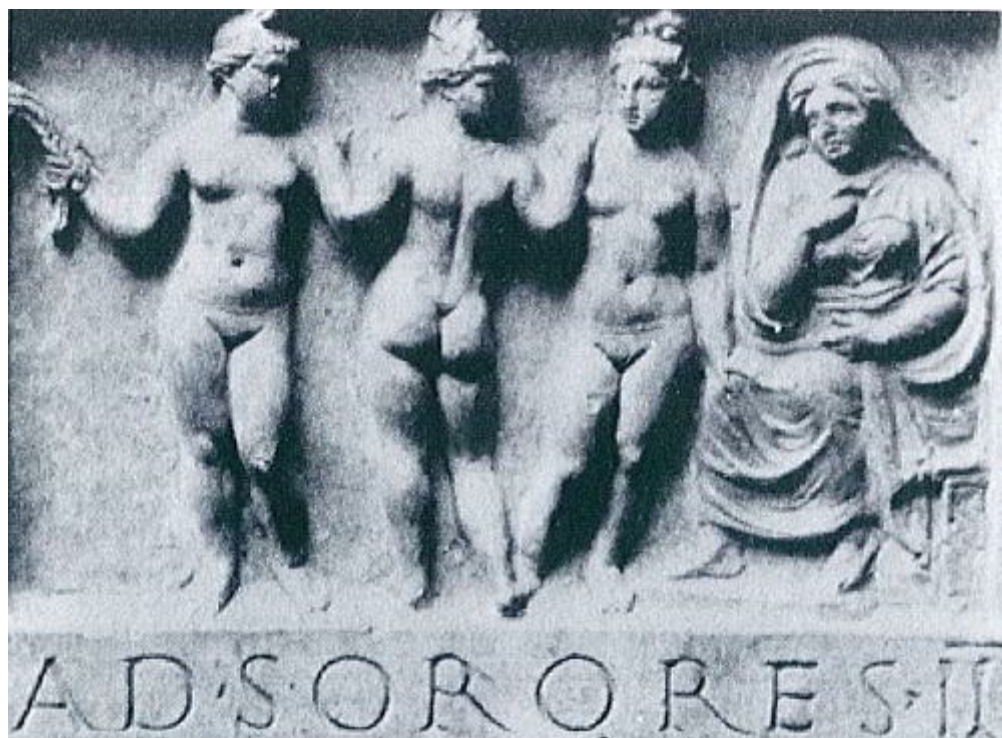




12. „Drzewo pokrewieństwa” – tablica więzów krwi ułatwiająca ustalenie, czy dany związek nie jest kazirodczy. W centrum – osoby związane najściślej: matka, ojciec, syn i córka.

Związki w pierwszym stopniu pokrewieństwa były zawsze absolutnie zakazane. Co się tyczy dalszych krewnych, bywało, że Kościół udzielał zgody. W czasach małej mobilności społeczeństwa znalezienie odpowiedniego partnera nastęrczało wiele trudności

Mężczyzna mający kłopoty małżeńskie zawsze mógł znaleźć wytchnienie w odpowiednich instytucjach.

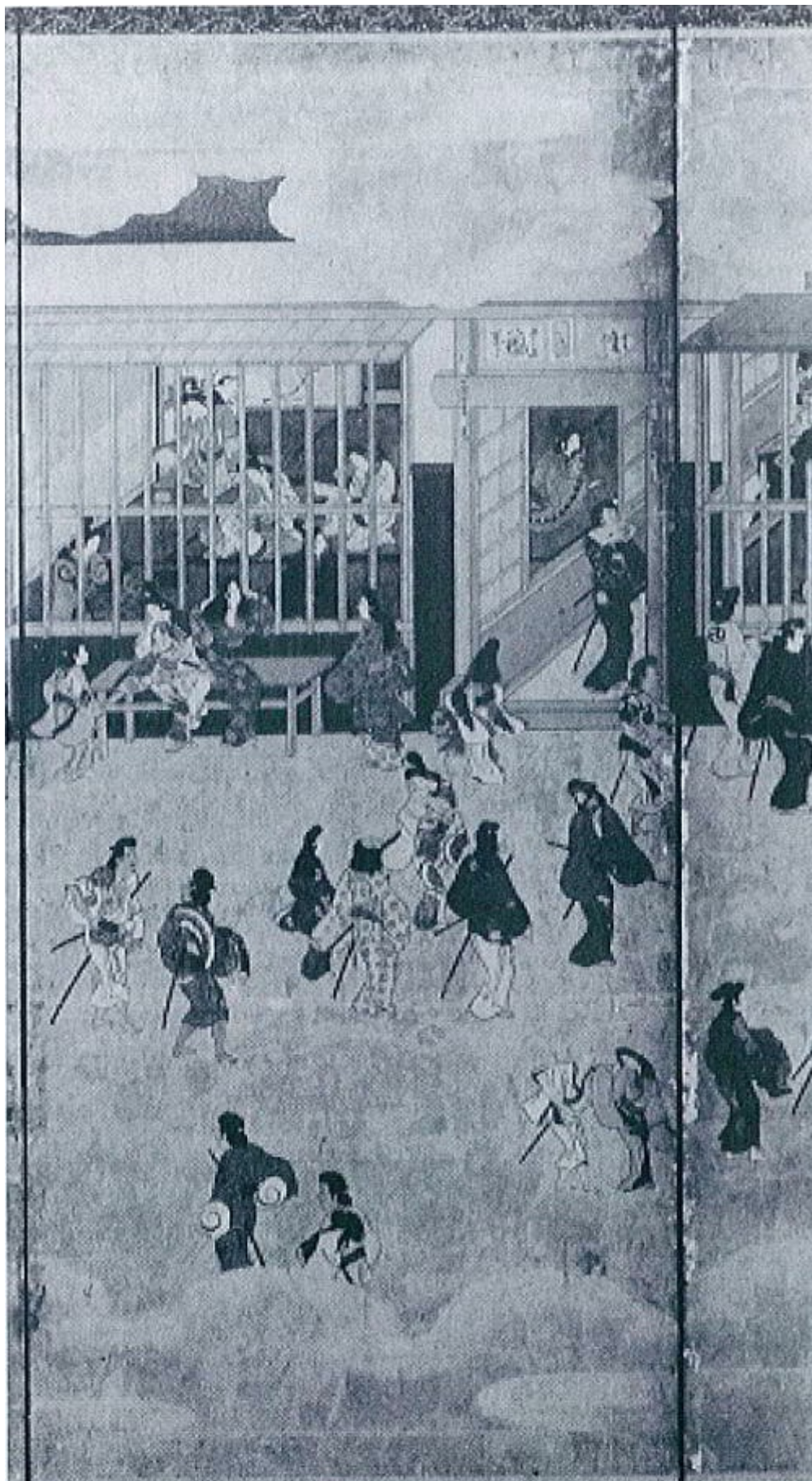


*13 – szyld rzymskiego domu publicznego.*



*14 – renesansowa łaźnia publiczna.*





*15 – dzielnica rozrywki w Kioto w XVII wieku*



*16. Inną możliwością nie tylko dla kalifów czy maharadzów był harem lub zenana. W Indiach na początku panowania Brytyjczyków zdarzało się, że ten i ów Anglik fundował sobie zenanę, w której mógł, ćmiąc nargile, bawić się wśród tańczących i śpiewających nałożnic. Kres tym przyjemnościom położyły w połowie XIX wieku angielskie damy, który zaczęły towarzyszyć mężom w koloniach*





17. ...co oznaczało, że spragniony pozarodzinnego towarzystwa gentleman znów ją odwiedzać wiadome przybytki





18. Życie małżeńskie zawsze dawało satyrykom pole do popisu. W XVI wieku popularnością cieszyły się rysunki z cyklu „Kto tu nosi spodnie?”



19. W XIX wieku kobieta została „aniołem domowego ogniska”, obarczona wszystkimi obowiązkami, jakie z tego tytułu wynikały. „Kobieto! Najcudowniejsza istoto, królowo ludzkości, matko ludzkiego gatunku... ściągnij mi buty!” – brzmiał podpis pod rysunkiem Gavarniego





*20. Druga strona oltarza...*



## 9. ISLAM

**B**agdad bez wątpienia miał szczęście. Wspaniała stolica kalifów islamskich, miasto z Tysiąca i jednej nocy chyba rzeczywiście wygrało los na loterii historii, bo faktem jest, że krótko bo krótko, przez ledwie parę stuleci, ale stuleci niezwykle ważnych i owocnych, w Bagdadzie jak w tyglu mieszał się dorobek wielkich historycznych cywilizacji, poczynając od najstarszych – sumeryjskiej i egipskiej, poprzez grecką, rzymską, perską aż po cywilizację Indii i Chin. Jeśli był to zbieg okoliczności, to niezwykle szczęśliwy. Bagdad zbudowano w roku 763 niemal dokładnie w miejscu, gdzie trzy tysiące lat wcześniej wznosiła się pierwsza stolica pierwszej wielkiej cywilizacji – sumeryjskie miasto Kisz, i genius loci bez wątpienia zadziałał.

Wzorem bowiem sumeryjskich skrybów, którzy odkryli, że ciężko zdobytą wiedzę można utrwaląć na glinianych tabliczkach i w ten sposób przekazywać następnym pokoleniom, ich następcy w Bagdadzie też zaczęli utrwaląć i udostępniać wiedzę, korzystając przy tym ze znacznie większych zasobów mądrości, bo z europejskich z jednej, a z azjatyckich z drugiej strony, i z lepszego nośnika niż glina, bo z papieru. Wynaleźli go Chińczycy, ale na Zachód przekazali Arabowie, i właśnie dzięki ich przemyślności na Zachodzie mogła dokonać się rewolucja o nieznanym do tej pory charakterze. Nikt jej nie przewidział, niewielu doceniało jej wagę, a tymczasem zmieniła wszystko, całe dotychczasowe życie.

Przez pięćset lat poprzedzających narodzenie Chrystusa koczownicze plemiona zamieszkujące jałowe ziemie na półwyspie między Morzem Czerwonym a Zatoką Perską nauczyły się korzystać ze swego wyjątkowego położenia między Wschodem a Zachodem i czerpały zyski z pośrednictwa w handlu korzeniami, głównym

przedmiotem eksportu i importu. Wspólny interes okazał się jednak lichym spoiwem. Sytuacja uległa zmianie po 622 roku naszej ery, kiedy Mahomet zbiegł z Mekki do Medyny (hidzra), ogłosił się prorokiem i jął głosić wiarę zwaną islamem. Słowo to oznacza „poddanie się wierze”. Muzułmanie to ci, co oddali się w niewolę wiary. Co prawda czerpała ona sporo i z religii żydowskiej, i chrześcijańskiej, i ze starych wierzeń arabskich, ale bez wątplenia stanowiła nową jakość.

Niewierni, zrazu z najbliższego sąsiedztwa, rychło pojęli, że lepiej się „poddać”, bo wierni rośli w siłę. W ciągu stulecia po śmierci Proroka (w roku 632) jego wyznawcy opanowali Syrię, Mezopotamię, dawne posiadłości perskie na wschodzie, całe afrykańskie wybrzeże Morza Śródziemnego i całą dosłownie Hiszpanię.

„Uczcie się i szukajcie wiedzy, choćby nawet w tak odległych krajach jak Chiny” – mawiał Prorok, ale jego następcy nie musieli się aż tak wysilać, bo nowe mocarstwo jak magnes ściągało wybitnych przedstawicieli wszelkich nauk, filozofów, najlepszych rzemieślników, mechaników i ludzi sztuki. Wraz z podbojem Persji Arabowie stali się nie tylko dziedzicami miejscowej, wspaniałej kultury, ale także za pośrednictwem uczonych, którzy zbiegli z Bizancjum do Dżungarii (największego ówczesnie ośrodka nauk w zachodniej Azji), mogli czerpać z tego, co ongiś w sferze nauki i kultury wypracowali Grecy, a co przez stulecia wzbogaciło się o dorobek ludów Syrii, Persji, a nawet Indii. Prąc dalej na wschód, arabscy zdobywcy zetknęli się wkrótce z Chinami, które pod rządami dynastii Tang przeżywały okres najświetniejszego rozkwitu. Na południu stykali się z kulturą hinduską i buddyjską.

To, co islam wchłonał, począwszy od dziedzictwa starożytnych Greków, po idee zrodzone na najdalszych rubieżach Azji, przenikało z kolei na Zachód, który po wsze czasy pozostanie jego dłużnikiem.

Przez cztery stulecia, między VIII a XI wiekiem naszej ery, islam skupiał wszystko co najważniejsze w sferze nauki i kultury w ówczesnym świecie, a jego wpływy rozciągały się od Dżungarii po Bagdad, Kair, Sycylię i Hiszpanię. Nie tylko skupiał i rozwijał, ale przekazywał dalej. Dzięki Arabom odżyła sztuka medyczna starożytnych Greków, o której Zachód już zapomniał. Dzięki nim upowszechnił się hinduski system zapisywania liczb za pomocą dziewięciu cyfr i zera (uznany później za arabski), który zastąpił skomplikowany zapis rzymski, rewolucjonizując matematykę, eksperymenty naukowe i całe ludzkie życie. Z Chin Arabowie przejęli sztukę wytwarzania papieru, czego przecenić się nie da. Również z Chin zaczerpnęli pomysł kuszy,

rewolucjonizując sztukę wojenną. Ale to daleko nie wszystko, bo islamowi świat zawdzięcza znacznie więcej, żeby wspomnieć tylko o barwnych jedwabiach, sztuce układania witraży, damasceńskiej stali, łóżach pod baldachimem, dywanach, nowych barwnikach do tkanin, kopułach wieńczących budowle, szklanych lustrach, alfabecie gotyckim, łaźniach publicznych, szpitalach pod świeckim nadzorem, lutni, bębnach i egzotycznych opowieściach, które później zainspirowały twórców tej miary co Boccaccio, Chaucer, Wolfram von Eschenbach i La Fontaine[1].

Zachód przejmował z islamu niemal wyłącznie to, co mieściło się w sferze wynalazków praktycznych, bo na wszystko inne Kościół i władze świeckie nakładały embargo, bojąc się ideologicznej kontaminacji. Ochoczo przyjęto „arabski” zapis matematyczny, bo nie dotyczył teologii. Z równą ochotą władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego przejęli znak dwugłowego orła, tureckiej przecież proveniencji, bo też nie niośł zagrożeń ideologicznych, a miał znaczenie praktyczne. Gwarantował, że w tumultach walki łatwo odróżni się swego od obcego.

Ale to i owo ze sfery myśli przeniknęło jednak na Zachód i tak jak import w sferze materialnej zmienił wystrój świata chrześcijańskiego, tak to, co przejęto ze sfery niematerialnej, miało swoje, często zaskakujące konsekwencje. Weźmy choćby arabskie pieśni miłosne. Rzecz przedziwna, ale właśnie Arabia, będąca dziś ostatnim chyba bastionem dyskryminacji kobiet, stworzyła coś, co w efekcie zmieniło postawę Zachodu wobec kobiet, sposób, w jaki zaczęto je postrzegać i wreszcie ich społeczny wizerunek. Wcześniej monogamicznym chrześcijańskim mężczyznom dane było ujrzyć rozkosze poligamii i wspaniałości haremu, co też przejęli, ale na swój, mniej sformalizowany sposób. Średniowieczni rycerze na Zachodzie nie tylko wzdychają do swych „pań serca”, ale zaczynają korzystać z wygód, jakie oferują związki pozamałżeńskie. To też nie wszystko, bo za sprawą islamu Zachód poznał również instytucję eunuchów, niezwykle ważną na całym Bliskim Wschodzie, zwłaszcza w Bizancjum, w porównaniu z którą celibat propagowany przez Kościół rzymski jawił się jako instytucja wielkiego miłosierdzia i niezmiernej łagodności. W porównaniu z kastracją – rzeczywiście.

## **ROZWÓJ HAREMU**

Mógł sobie ten i ów wzdychać do pustyni i romantycznych nocy pod rozgwieżdżonym niebem, ale w Bagdadzie żyło się lepiej, a na pewno inaczej. Inaczej też wyglądały sprawy seksu i miłości. Bagdadzka jeunesse doree, nawet jeśli hołubiła w sobie jakiś sentyment do dawnych czasów, na sprawy męsko-damskie spoglądała po swojemu. W eleganckim towarzystwie znano dwa rodzaje kobiet: kurtyzany – zwykle cudzoziemki, wykształcone, dowcipne, piękne, utalentowane, w większości artystki, no i oczywiście szalenie niestałe w uczuciach i faworach, oraz niewiasty wielce szanowane, lecz niedostępne, bo takie było prawo i obyczaj. Można je było wielbić, ale tylko z daleka.

Nie zawsze tak było. W czasach przed Mahometem, choć też obowiązywały restrykcyjne prawa (plemienne), kobiety korzystały z większych swobód osobistych. Nie separowano ich, jak później w mieście, bo nie było takiej konieczności, a poza tym trudno byłoby wprowadzać to w warunkach koczowniczego życia na pustyni. Niektóre kobiety już wtedy przysłaniały twarze, ale nie był to powszechny obyczaj. Wszystko jednak zaczęło się zmieniać, gdy islam ruszył na podbój świata. Sam Prorok starał się ulżyć sytuacji kobiet, zmienić ich los na lepsze, ale na przeszkodzie stanęły i odwieczne obyczaje Bliskiego Wschodu, i wszystko to, co łączyło się z życiem w mieście. Zdobywcy ciekawie patrzyli na prawa i obyczaje nie tylko swoich nowych poddanych, ale także sąsiadów. Rola mentora przypadła Bizancjum. Z fatalnym skutkiem.

Trudno o bardziej splątane dziedzictwo kulturowe niż właśnie bizantyjskie. Z upływem stuleci Bizancjum stało się prawdziwą mozaiką ludów i narodów. Ormianie, Syryjczycy, Grecy, Żydzi, Macedończycy i Włosi – każda, społeczność dokładała swoją cegiełkę do wspólnoty. W rezultacie powstał przedziwny splot cywilizacyjno-kulturowy z grecko-rzymskim systemem prawnym, z chrześcijańską religią i śródziemnomorską obyczajowością, a w takim układzie kobiecie przypadło dość podłe miejsce. Rodzić dzieci i nie pokazywać się – oto ich podstawowy obowiązek (nie dotyczyło to oczywiście członkiń rodziny cesarza). Niezameżne panny trzymano w zamknięciu, nawet służba nie miała prawa ich oglądać. Ceremoniał ślubny przewidywał jeden moment, kiedy panu młodemu wolno było spędzić chwilę z wybranką, zajrzeć pod czarczaf i wreszcie zobaczyć oblicze przyszłej żony. Jeden ze znawców zagadnienia twierdzi, że zdarzały się małżeństwa, których nigdy nie konsumowano. Bywało ponoć, że mąż oświadczał świeżo poślubionej małżonce, iż w trosce o jej duszę będą żyli jak brat i siostra, a zdarzało się nawet, że zaraz po ślubie

wstępował do klasztoru i polecał małżonce uczynić to samo[2].

Ale kwef noszony przez Arabki nie ma wyłącznie bizantyjskiej proveniencji. Do sprawy dołożył się Prorok, deklarując, że jego własne panie na znak szacunku mają zakrywać twarze, i to wystarczyło, aby wyznawczynie, zwłaszcza z wyższych klas, uczyły tak samo.

W wielkomijskim, rozswawolonym i mało zdyscyplinowanym Bagdadzie kwef miał być dla kobiety ochroną. Może i tak było. Tymczasem jednak muzułmańska poligamia w połączeniu z bizantyjską segregacją kobiet zaowocowały w straszny dla niewiast sposób.

W czasach przedislamskich poligamia nie była zjawiskiem pospolitym wśród Arabów. Rozwijała się i kwitła z przyczyn zrozumiałych właściwie tylko wśród co bardziej wojowniczych plemion, a także tam, gdzie występowały wyraźne i sztywne podziały klasowe, gdzie nie brakowało niewolników, a nade wszystko środków materialnych.

Mahomet jednak popierał poligamię i zachęcał wiernych do wielokrotnej żeniaczki. Istnieje hipoteza, że chciał w ten sposób zwiększyć liczbę wiernych, ale istnieje też inna, że pragnął zabezpieczyć los licznych wdów i sierot po ofiarach rzezi pod Uhud. Koran jest szalenie niejednoznaczny, różne wersy można różnie interpretować, tak jest z fragmentem o wielożeństwie. Wyznawcy wszakże uznali, że Prorok dał im przyzwolenie na posiadanie do czterech żon, pod warunkiem że żadnej nie będą wyróżniać, a wszystkie traktować jednakowo uprzejmie. Kto tego nie umiał, powinien ograniczyć do jednej żony. Co do nałożnic, to nie ma ograniczeń[3]. Ale typowy wyznawca nauk Proroka znalazł jeszcze wygodniejsze wyjście: poślubiał jedną, a potem zmieniał. Rozwód nie stanowił najmniejszego problemu.

Muhammad al-Ghazali, jeden z najwybitniejszych teologów islamu (1058–1111), w pracy *Nasihāt al-muluk* (Rady dla królów) przedstawia obszerną listę nieszczęść, jakie spadły na Ewę za grzeszny uczynek, którego dopuściła się w Raju (opowieść o grzechu pierwородnym ma równie wielkie znaczenie dla muzułmanów, jak i dla chrześcijan). Lista ta w istocie wyraźnie ukazuje pozycję kobiet w społeczeństwie islamskim oraz stanowi dowód, że religia sankcjonowała to, co ukształtowało się w obyczaju i tradycji.

Al-Ghazali pisał:

„Kiedy Ewa zjadła owoc z drzewa, z którego Pan zakazał jej spożywać, Bóg –

niech imię jego będzie pochwalone – zesłał na kobiety osiemnaście kar, jako to:

1. menstruację,
2. poród,
3. oddzielenie od matki i ojca i zamążpójście za obcego,
4. ciążę,
5. pozbawienie władzy nad własną osobą,
6. mniejszy udział w spadku,
7. i taką karę, że mąż może się z nią rozwieść, podczas gdy ona nie może rozwieść się z nim,
8. i to, że mężczyzna może posiadać cztery żony, a ona tylko jednego męża,
9. i to, że w domu musi pozostawać na osobności,
10. i to, że w domu musi nakrywać głowę,
11. i to, że trzeba świadectwa co najmniej dwóch kobiet przeciwko świadectwu jednego mężczyzny,
12. i to, że bez towarzystwa kogoś bliskiego z rodziny nie wolno jej wychodzić z domu,
13. i to, że mężczyźni biorą udział w piątkowych i świątecznych modłach oraz w pogrzebach, a kobiecie tego czynić nie wolno,
14. i to, że nie mogą uczestniczyć we władzach i sądach,
15. i to, że na tysiąc zasług, da jej się przypisać tylko jedną,
16. i to, że płodna doświadczy o połowę mniej męczarni, gdy nadejdzie „Dzień Wybawienia”,
17. i to, że gdy mąż jej umrze, musi ona odczekać co najmniej cztery miesiące i dziesięć dni (nim ponownie wyjdzie za mąż), 18. i to, że gdy mąż ją oddali, musi ona odczekać co najmniej trzy miesiące i trzy menstruacje (nim wolno jej będzie ponownie wyjść za mąż)[\*1][4].

Oczywiście w miejscu publicznym manifestowano posłuszeństwo wobec wszelkich nakazów i zakazów, ale w zaciszu domowym, zwłaszcza w uboższych rodzinach, bywało inaczej. Niezamożni nie mogli sobie pozwolić na zamykanie żon i córek w harimie (dosłownie: sanktuarium), ale w domach bogatych starano się wypełniać wolę Proroka. Prorok nakazywał, aby wszystkie żony traktować jednakowo, każda więc miała osobny pokój, a bywało, że i cały osobny dom. W takich warunkach niejedna ulegała różnym pokusom.

Muzułmanie żywili podobnie jak Chińczycy, Hindusi czy starożytni Grecy bądź Rzymianie przekonanie o niskiej moralności kobiet.

„Faktem jest – pisał al-Ghazali – iż to od kobiet biorą się wszystkie nieszczęścia i cierpienia, jakie dotyczą mężczyzn”[5]. I to wystarczyło, aby bizantyjskim wzorem zacząć kobiety więzić, bo faktycznie stały się więźniarkami we własnych domach. To z



kolei wywarło wpływ na kształt arabskich pieśni i poezji miłosnej. Obiekt westchnień pozostawał na ogół niedostępny i nieosiągalny, więc wzdychający poeta i piewca coraz bardziej go idealizował.

## ARABSKIE PIEŚNI MIŁOSNE

Podbita Persja olśniła muzułmańskich zdobywców emocjonalnie i intelektualnie. Wywarła na nich wpływ w sprawach ważnych i pozornie – ale tylko pozornie – błahych. Jednym z kanałów, którymi perskie wpływy docierały do arabskiej świadomości i wyobraźni, były... opowieści. Bliski Wschód słynął z bazarzy. Stanowili stały element krajobrazu, zawsze gotowi snuć opowieści czy to na ulicy, jeśli znaleźli się chętni słuchacze, czy na dworze kalifa, jeśli chciano ich tam słuchać. Repertuar mieli, zwłaszcza bazarze z Persji, zadziwiająco szeroki. Czerpali z Biblii i Wed, sięgali do legend starożytnych Greków, opowiadali o rzymskich wojownikach i egipskich królowych, o aniołach i dżinach, skrzydlatych rumakach i latających dywanach, o ukrytych skarbach i hurysach w Raju. Byli zawodowcami w każdym calu, a malowane przez nich żywym słowem obrazy i dzieje pełne egzotycznych wspaniałości rychło zawładnęły wyobraźnią Arabów.

A ta znalazła rychło jeszcze inną pożywkę. Pełen romantycznych tęsknot Arab znalazł żywe ucieleśnienie egzotycznej wspaniałości w utalentowanych niewolnicach pieśniarkach, brankach z wypraw wojennych. Pewne siebie, piękne, wykształcone i obyte dziewczęta równie rychło jęły cywilizować swych właścicieli na całym obszarze, który podbili, od Persji po Hiszpanię[6]. Podziwiano je, wielbiono i słuchano ich pieśni z napięciem, choć jako cudzoziemki musiały strasznie kaleczyć język. Ważniejsze, że śpiewały o dawnych czasach i życiu na pustyni, że nuciły w rytm wielbłądziego kłusa, co w miejskim krajobrazie przydawało im jeszcze większego czar. A proste pieśni o miłości trafiały do arabskich serc, tak jak do ich wyobraźni romanse perskich bazarzy.

Miłosne pieśni podsuwały wyobraźni zupełnie nowy obraz kobiety zmysłowej. Egzotycznych branek pieśniarek nie starczyłoby dla wszystkich, nie mówiąc już o tym, że tylko najbogatsi mogli sobie na ich towarzystwo pozwolić, zwracano się więc do swoich. Nowego, niezwykłego, tajemniczego czar. Jęła nabierać ortodoksyjna

rodaczka z harimu, a w konsekwencji ukształtowały się dwa typy pieśni miłosnych i w ślad za nimi dwa rodzaje miłosnych uniesień – dwie szkoły miłości.

Do pierwszej należeli doświadczeni, elegancyści zalotnicy, smakujący przyjemności tego świata. Umizgiwali się do urodziwych niewolnic pieśniarek, chętnych kurtyzan, chcąc zaznać ich dowcipu i piękna. Jakże potrafili czarować i w rzeczy samej to właśnie lubili najbardziej. Liczyło się oblężenie, a nie kapitulacja, bo gdy już osiągnęli cel, zaraz wyznaczali sobie nowy, równie piękny, kuszący i wspaniały. A panie? Panie też chyba nie były od tego i gra je podniecała, choć zapewne (niekoniecznie świadomie i z wyrachowania) stosowały w praktyce rady mistrza Watsjajany i dbały o materialny wymiar flirtu, co wytykał im bez ogródek al-Dżahiz – światły i bystry obserwator. „Rzadko kiedy są szczerze – pisał – sprytnie natomiast ponad miarę, i stale tylko myślą, jak przejąć fortunę swej ofiary, a gdy im się to uda, zaraz go rzucają”[7]. Nie ma się co dziwić, że panie te przywiązywały do pieniędzy tak wielką wagę. Zdobywszy bowiem stosowną ich ilość, mogły wedle prawa wykupić się z niewoli.

W tej grze jedynym rywalem kurtyzany mógł być... osiemnastoletni młodzieniec. Arabowie, jak ongiś Grecy i Persowie, ulegali chłopięcym czarom. Nietrwale romanse, hedonizm to nic nowego i nic szczególnego w cywilizowanym świecie.

Co innego „czysta miłość”. Wyrażała się na zupełnie innej płaszczyźnie, a jeśli i ją przyrównać do gry, była to męska gra, obliczona na zaspokojenie wysublimowanych męskich uczuć. Kurtyzana była osobą z krwi i kości, czego nie da się powiedzieć o heroinach z pieśni o czystej miłości. Obiekt takiej miłości nie miał wymiaru fizycznego.

Był od początku do końca tworem wyobraźni piewcy, bo niby skąd mógł on wiedzieć, jak naprawdę jego heroina wygląda, co myśli i czuje, skoro przebywała w czterech ścianach haremu, zamknięta na głucho, ukryta za czarczafem. Zdaje się, że wiele bohaterek pieśni miłosnej nawet nie zdawało sobie sprawy, że dzięki nim powstała sztuka poetycka i muzyczna.

Miłość jest sprawą serca, seks – ciała, i wedle Arabów nie ma najmniejszego powodu, aby łączyć jedno z drugim. Przy takim podejściu wpisana w arabską obyczajowość ścisła segregacja kobiet nie stanowiła żadnej przeszkody, jeśli idzie o miłosne uniesienia, przeciwnie – sprzyjała im. Skoro miłość per se jest czysta, przeto konsumpcja miłosnego związku byłaby jej zaprzeczeniem, wręcz zdradą. Pierwsza

więc i najważniejsza reguła prawdziwej miłości to czystość uczuć. Druga to wierność, absolutna, do końca życia, trzecia – oddanie się w niewolę ukochanej osoby, też absolutne, nawet kosztem życia, bo odtrącona miłość to śmierć. „I błągasz o miłość swą morderczynię” – pisał w uniesieniu poeta Dżamil[8]. Na początku piewcy i poeci gotowi byli głosić światu imiona swych ukochanych, później, około VIII wieku, miłość stała się anonimowa, żeby nie powiedzieć bezosobowa. Cierpiano miłosne katusze, umierano z zazdrości i natychmiast sięgano po pióro, żeby to uwiecznić, bo miłość, „czysta” miłość, uszlachetniała, uduchowiała i stawała się źródłem twórczej inspiracji[9].

W tym kształcie idea „czystej miłości” przywędrowała do Europy, dając początek doniosłym przemianom obyczajowości. Nim jednak to nastąpiło, oczom, a zwłaszcza wyobraźni, pielgrzymów i krzyżowców objawiły się rozkosze haremów, co skłoniło ich do refleksji nad własnym modelem monogamicznego, często interesownego małżeństwa, w którym na osobiste uczucia – tę reakcję chemiczną, co powinna zachodzić między osobami mającymi się ku sobie – pozostawał niewielki margines.

Co do rozkoszy haremów, to rzecz jasna z zewnątrz wydawały się cudowne. Od wewnątrz – niekoniecznie.

## W WIELKIM SERAJU

Poligamia rodzi określone problemy, ale nigdzie nie objawiają się one z taką ostrością jak na najwyższych szczeblach hierarchii społecznej i politycznej. Tysiąc lat przed Arabami doświadczyli tego Chińczycy i jak to oni z miejsca spróbowali rozwiązać kwestię w sposób ze wszech miar logiczny. Uznali, że władca powinien posiadać jedną pełnoprawną małżonkę z królewskim tytułem i przywilejami, trzy małżonki nieco mniejszej rangi, dziewięć kolejnych z tytułem zwykłych żon, dwadzieścia siedem klasyfikowanych jako małżonki trzeciej kategorii oraz osiemdziesiąt jeden nałożnic (Chińczycy wierzyli w magiczne własności określonych cyfr i liczb). Przy tak licznym zespole pań zaszła konieczność stworzenia instytucji „seksualnych sekretarek”, które baczyły, aby władca odbywał stosunki z odpowiednią partnerką w odpowiednim czasie i z odpowiednią częstotliwością. Żony i nałożnice niższej rangi dostępowały tych zaszczytów częściej niż panie wyżej usytuowane. Królową przyprawiano do

króla mniej więcej raz w miesiącu, gdy jego męski potencjał – *yang* – został stosownie wzmocniony przez *yn* ostatnich partnerek. Wszystko skrupulatnie księgowano, używając w tym celu specjalnego czerwonego pędzelka, z czego – nawiasem mówiąc – wzięło się określenie o „zapisach czerwonym pędzelkiem”, będące synonimem „tajemnic monarszej alkowy”.

Zapisywano dzień i godzinę wizyty każdej z żon i nałożnic, a żeby nie było pomyłek, każdą z nich zaopatrywano w srebrny pierścień, który po seansie w cesarskiej sypialni właścicielka przekładała z palców prawej dłoni na lewą. Gdy wizyta u monarchy okazywała się owocna, a więc gdy pani zachodziła w ciążę, zamiast srebrnego dostawała złoty pierścień.

Za dynastii Tang (618–907 rok n.e.), gdy w Bagdadzie ledwie zaczynało ogarniać problem, monarsze haremy w Chinach rozrosły się niebywale. Zaszczytu obcowania z cesarzem dostępowały setki pań, a „sekretarki seksualne” miały pełne ręce roboty, układając kalendarz wizyt z uwzględnieniem dni menstruacji, oznak zajścia w ciążę i innych niezbędnych w tego typu księgowości danych. Chodziło nie tylko o księgowość, ale i bezpieczeństwo, bo niewłaściwa pani w niewłaściwym dniu nie wróży niczego dobrego, może wręcz sprowadzić niełaskę, a panie z rozmaitych przyczyn próbowały zamieniać się „dyżurami”. Dla bezpieczeństwa więc każdą z nich stemplowano po wizycie u władcy. Przykładano pieczętkę z napisem: „Wiatr i księżyc (co oznacza stosunek) są zawsze nowe”. A żeby jedna z drugą nie zlizywała stempla, smarowano go niejadalną maścią z kory cynamonowej[10].

Ani arabscy kalifowie, ani hinduscy władcy nie posunęli się aż tak daleko w tej dziedzinie i nie obowiązywał ich aż tak ścisły protokół. W Indiach władca sam decydował, z kim ma się przespać. Watsjajana jakby pomija te sprawy, w każdym razie nie rozwija tematu, a nawet zamieszcza rady dla młodzieńców, mających ochotę na romans z którąś z monarszych nałożnic. Poucza, jak mają się zachować, gdy uda im się zmylić strażę i dostać do zenany. A zaraz na wstępie radzi: „należy upewnić się, jak się [po wszystkim] wymknąć...”[11] Średniowieczna Europa niewiele jednak wiedziała o obyczajach chińskiego dworu cesarskiego, z hinduskimi maharadzami też nie miała bliższych kontaktów. Siłą rzeczy chińska i hinduska poligamia na szczytach władzy minęła w Europie bez echa. Ale zetknięcie się ze światem muzułmańskim w czasie wypraw krzyżowych dało Europejczykom możliwość bliższego poznania egzotycznych z ich punktu widzenia obyczajów panujących na dworze kalifów w

Bagdadzie. Co prawda nie znano Księgi tysiąc i jednej nocy i zawartych w niej opowieści z seraju – przełożono ją na języki europejskie dopiero na początku XVIII wieku – ale znano ich treść, bo w czasach krzyżowców baśnie, które później zebrano w Księdze, należały do stałego repertuaru zawodowych bazarzy, a tych nie brakowało. A zresztą nie baśnie, będące w istocie przeróbką wątków znanych z innych źródeł – perskich, hinduskich, greckich, hebrajskich czy egipskich, złożyły się na legendę seraju, bo naprawdę rozkwitła ona później, za czasów imperium osmańskiego, po roku 1453, kiedy Turcy zajęli Konstantynopol – ostatni i osamotniony już bastion odchodzącego do historii imperium wschodniorzymskiego.

Nie miejsce tu na przedstawianie dziejów Turków osmańskich, a na pewno jeszcze nie pora na ostateczną ocenę wpływu ich obyczajowości nie tylko na społeczność Bliskiego Wschodu, ale na cały Zachód. Jest wiele czynników, które bez wątpienia odegrały jakąś rolę.

Sułtanowie prowadzili wybujałe życie seksualne, a z drugiej strony ich gwardziści – janczarzy – żyli defacto w celibacie. Wybitną rolę w państwie odgrywali kastraci – eunuchowie. Każdy z tych czynników rodził jakieś konsekwencje i bez głębszych analiz socjobiologicznych i psychoanalitycznych nie można ferować wyroków. Jedno wszakże można stwierdzić z całą pewnością – nigdzie i nigdy wybujały seksualizm z jednej strony i tłumienie tegoż – z drugiej, nie zaważyło na polityce i dyplomacji tak bardzo jak w państwie osmańskim.

Wygląda na to, że do czasu podboju Bizancjum wywodzący się z koczowniczych ludów mongolskich Osmanowie za nic sobie mieli rozkosze haremu. Ale gdy wkroczyli do Konstantynopola, coś się w nich zmieniło. Zaczęli się kierować zasadą segregacji pici, a system wymyślony przez arabskich poprzedników doprowadzili do absolutnego ekstremum. Skutek był taki, że do roku 1909, kiedy obalono sułtana Abdula Hamida II, skazując go na banicję w skromnym towarzystwie trzech żon i czterech nałożnic, świat właściwie nie wiedział nic, a przynajmniej nic pewnego, o haremie Wielkiego Turka – taka te sprawy osłaniała tajemnica i tak ściśle harem[\*2] odgradzony był od reszty świata. O haremach kalifów bagdadzkich też niewiele wiadano, co oczywiście pobudzało wyobraźnię i rodziło rozmaite spekulacje, nie mówiąc o marzeniach. M. N. Penzer, autor pierwszego europejskiego studium poświęconego instytucji haremu, zauważa, że przez ponad czterysta lat Zachód wyobrażał sobie harem jako miejsce, gdzie sułtan spędza dni „w otoczeniu setek

półnagich kobiet, gdzie stale unosi się słodki zapach perfum i biją chłodne fontanny, brzmi muzyka, a władca oddaje się niebywałym rozkoszom, bo spragnione seksu nałożnice wymyślają bez przerwy, jak jeszcze umilić życie swemu panu”[12]. Rzeczywistość wyglądała jednak inaczej.

Gdy pod jednym dachem gnieździ się 300–1200 nałożnic, nie licząc służby, straży, urzędasów, nadzorców i nadzorczyń – od sukien, od łaźni, klejnotów, od kredensu i zastawy stołowej, nie mówiąc już o lektorze, którego obowiązkiem było głośne czytanie Koranu – trudno o erotyczną atmosferę, choć od emocji aż wrzało. Większość dziewcząt to niewolnice skupowane na użytek sułtana na targach wokół Morza Śródziemnego i Czarne, bądź prezenty od gości i oficjeli liczących na sułtańską przychyłność[\*3]. Każda miała wyznaczone miejsce zależne od wieku, statusu i postępów w haremowej edukacji. Nowo przybyłą oddawano pod opiekę jednej z nadzorczyń i uczono różnych praktycznych rzeczy: haftu, parzenia kawy, muzyki czy rachunków. Chodziło o to, żeby mieć z niej pożytek, gdyby nie wpadła w oko władcy. Dziewczyna, która nie przypadła sułtanowi do gustu, zostawała nadworną hafciarką, kawiarką, służyła pomocą w księgowości lub grała na instrumencie aż do „odejścia na emeryturę”, co oznaczało zesłanie do Eski Serai – Starego Seraju, gdzie dożywały swoich dni nałożnice poprzedniego sułtana. Gdy jednak sułtan rzucił na nowo przybyłą łaskawym okiem, wszystko wyglądało inaczej. Młoda dama otrzymywała prywatny apartament i służbę do wyłącznej dyspozycji, a gdy z wysokich sypialni nadchodziło wezwanie, prowadzono ją spieszenie do łaźni, myto, namaszczano pachnidłami, masowano, depilowano naturalne owłosienie ciała poza czupryną, którą starannie fryzowano, malowano paznokcie, strojono i tak przygotowaną prowadzono przed najwyższe oblicze niby to sekretnie, a w rzeczywistości na oczach całego haremu. Tak wyglądał pierwszy (a często i ostatni) krok na drodze ku władzy, potędze i zaszczytom, spływającym na tę z dziewcząt, która zostawała Wali – Matką [przyszłego] Sułtana. To był szczyt, choć nie zawsze godny pozazdroszczenia.

Zwykłą żonę lub nałożnicę sułtan mógł odprawić w każdej chwili, ale Wali zajmowała szczególną pozycję. To właśnie ona, a nie sułtan czy któraś z jego faworyt, faktycznie zarządzała haremem, co samo w sobie dawało ogromną władzę. Jeśli była osobą z charakterem, a syn był słaby, mogła sięgnąć po jeszcze większą władzę, daleko wykraczającą poza mury haremu. O takim urzędzie marzyły wszystkie, o taki zabiegały, nie cofając się przed żadną intrygą. Ale moment glorii nadchodził tylko w



jednym wypadku: gdy umierał sułtan, któremu Wali dała syna.

W kwestii dziedziczenia tronu muzułmański obyczaj różnił się od europejskiego i bizantyjskiego. W krajach chrześcijańskich dziedziczenie było oparte na zasadzie primogenitury, co oznacza, że tron obejmował najstarszy męski potomek z prawego łoża. Dbając o polityczne interesy rodu, elity żeniły się między sobą. Synów czy córki królów wydawano za potomków innych królewskich rodów. Arystokracja też preferowała związki wsobne, ze szkodą oczywiście dla dzieci z nieprawego łoża. Tych zaś w pewnych okresach było znacznie więcej niż potomstwa zrodzonego *legę artis*. Ale tylko tym ostatnim przysługiwało prawo dziedziczenia tytułów i w ogóle wszystkiego, bez względu na to, czy mieli po temu jakiegokolwiek predyspozycje.

Ale w krajach, w których funkcjonowała instytucja haremu, takiej zasady nie można było ani przyjąć, ani wdrożyć. Harem sułtana czy kalifa był takim samym symbolem władzy jak korona, berło i królewskie jabłko. Większość nałożnic stanowiły niewolnice i to one rodziły następców tronu. Z trzydziestu ośmiu kalifów dynastii Abbasydów, którzy rządili w Bagdadzie, trzydziestu pięciu wydały na świat cudzoziemskie nałożnice[14]. W świecie islamu chrześcijańska koncepcja potomka z prawego łoża nie miała najmniejszego sensu.

W kwestiach dziedziczenia kierowano się zupełnie inną zasadą, zwaną *chalifa* (stąd wyraz „kalif”). Sprawa rozgrywała się w obrębie rodu, ale o sukcesji nie decydował wiek, lecz przymioty osobiste kandydata na następcę. Sukcesorem głowy rodu albo władcy mógł więc zostać jego młodszy syn, jeśli okazywał się bardziej dynamiczny od swych starszych braci. Tych zresztą rychło eliminował w fizycznym tego słowa znaczeniu. Nie tylko ich, bo także innych krewnych, choćby stryjów, którzy mogli stanowić zagrożenie. Turcy wprowadzili też zasadę, że władza przechodzi w ręce tego z synów, który pierwszy po nią sięgnie. Nie rozstrzygano z góry, który z męskich potomków ma być tym pierwszym.

W haremie obowiązywał system senioratu oparty na koranicznej zasadzie, że wierny może posiadać najwyżej cztery żony, ale osmańscy sułtanowie rzadko wchodzili w oficjalne związki małżeńskie.

Nałożnica, która dawała sułtanowi syna, otrzymywała zwykle godność *kadiny*, z czym łączyły się pewne przywileje. Ale tytuł i pozycja *kadmy* nie były dane raz na zawsze, kolejna *kadina*, jeśli umiejętnie rozgrywała karty, mogła usunąć pierwszą w cień i stać się „numerem dwa” w haremie, bo pierwszą niezmiennie pozostawiała Wali,

Matka Sułtana, z którą kadina – co zrozumiałe – toczyła nieustanną wojnę, a gdy nie brakło jej przebiegłości i sprytu, mogła sięgnąć jeszcze wyżej – sprawić, że to jej syn stawał się ulubieńcem sułtana, a z takiej pozycji droga do sukcesji stała otworem. Ale nie tylko o sukcesję chodziło, także – a może przede wszystkim – o życie. A tak było do XVII wieku.

Brak ścisłych reguł sukcesji sprawiał, że sprawa zwykle kończyła się rzezią. Pod koniec XV wieku krwawą łaźnię wpisano do kodeksu praw. Stało się to za sprawą edyktu Mehmeda II o bratobójstwie.

Zgodnie z nim syn, który dziedziczył tron, miał natychmiast nakazać egzekucję swych braci, jeśli oczywiście jeszcze ich nie wymordował. Prawo to miało zapobiec ewentualnym secesjom, walkom i podziałom państwa ze szkodą dla jego potęgi, a także – paradoksalnie – ograniczyć upływ krwi. Gdyby dziewiętnastu braci Mehmeda III zjednoczyło się i wszczęło rebelię, padłoby znacznie więcej ofiar. Następca Mehmeda Ahmed I (1603–1617) zbuntował się przeciw praktyce bratobójstwa i zmienił prawo, ale nie przewidział skutków, nad wyraz dotkliwych dla jego następców. Nowelizacja polegała na tym, że miast eliminować ewentualnych konkurentów do sukcesji, zaczęto ich więzić w niewielkim budynku, zwanym nomen omen klatką.

Tam rywale przebywali z garstką kobiet[\*4] i służbą, aż łaskawy los wyznaczał spośród nich następcę urzędującego sułtana. I tak późniejszy sułtan Ibrahim spędził w klatce 22 lata, nim wstąpił na tron w wieku lat 24. Sulejman II odsiedział aż 39 lat. Osman III, który władał w XVIII wieku, przebywał w klatce równo pół wieku. Klatka zabezpieczała sułtana przed knowaniami, ale też rodziła niezbyt dobre konsekwencje. Władca z klatki był siłą rzeczy słaby, oderwany od ludzi, świata i spraw własnego państwa.

Z każdego punktu widzenia w interesie kadiny leżało, aby właśnie jej synowi udało się wkraść w łaski sułtana. Inteligentne i dalekowzroczne nie poprzestawały na tym, ale rozwijały skomplikowane operacje, aby zyskać sobie poparcie wezyrów, janczarów, wpływowych eunuchów, a nade wszystko wielkiego muftiego.

Niejedna kadina pozostawiła po sobie ślad w historii, a najbardziej trwały Roksolana (Hurrem Sułtan), małżonka Sulejmana Wspaniałego. Małżonka – podkreślmy – lege artis, bo udało jej się skłonić go do formalnego małżeństwa, co samo w sobie jest godne podziwu, jako że od stu lat żaden sułtan nie wstępował w

oficjalne związki małżeńskie. Co więcej, ten rzekomo lubieżny Turek – bo za takiego go miano – prowadził się jako małżonek znacznie bardziej przykładowie niżli jego ówczesni odpowiednicy w świecie chrześcijańskim. Henryk VIII, władca Anglii, zmieniał żony jak rękawiczki, a Henryk II, suweren francuski, czynił to samo z licznymi kochankami. Roksolana – Ukrainka porwana w jasyr – wywierała spory wpływ na małżonka i na politykę państwa. Powiada się, że odegrała istotną rolę w skomplikowanych operacjach politycznych przeciwko władcy Świętego Cesarstwa Rzymskiego, królowi Hiszpanii Karolowi V, którego Sulejman uważał za największego wroga. W historii zapisała się także Wali następcy sukcesora Sulejmana – Safieh. Wywodziła się z weneckiej szlachty, została porwana przez tureckich piratów i trafiła na sułtański dwór, gdzie zaczęła się szarogęsić, i to do tego stopnia, że ponoć faktycznie dowodziła wojskami sułtana, gdy on zajmował się haremem. Wreszcie została Wali, ale skończyła marnie. Zraziła sobie mnóstwo ludzi i zamordowano ją we własnym łóżku.

Zdarzało się, że kadina wyzwalała się z haremu i w ogóle spod kontroli dworu. Działo się tak, gdy nowy sułtan, likwidując swych braci konkurentów, pozbywał się również ich matek, wydając je za mąż za prowincjonalnych możnowładców. Jedną, którą spotkał taki los, zasłynęła w historii pod przydomkiem, a raczej przezwiskiem, „Flejtucha” – tak przynajmniej brzmi to w tłumaczeniu. Nie miało ono nic wspólnego z higieną osobistą owej pani, która po śmierci męża sułtana uznała, że nie warto marnować talentu i wiedzy zyskanej na dworze, i zajęła się... stręczycielstwem. Otworzyła w Konstantynopolu ekskluzywną placówkę, coś w rodzaju pensji dla dziewcząt czy agencji towarzyskiej połączonej ze szkołą, bo edukowała wybrane dziewczęta we wszystkim, co trzeba, a następnie wynajmowała eleganckiej, męskiej oczywiście klienteli, wśród której, co ciekawe, też przebiegała. Odmówiła na przykład sułtanowi Mehmedowi IV przyjęcia jego zamówienia.

Z żalem trzeba przyznać, że o zawodowej czy – jak kto woli – intymnej edukacji w haremie wiemy niewiele. Prawdopodobnie dziewczętom wkładano to i owo do głowy w kwestii osobistych preferencji władcy w sprawach łóżkowych. Wiadomo skądinąd, że sułtanowie miewali różne gusty. Niektórzy zaszczycali wyłącznie dziewice i nigdy nie wzywali tej samej dziewczyny powtórnie. Inni korzystali z nałożnic wyłącznie w celach dynastycznych, wyzywali się natomiast w towarzystwie, ściślej w objęciach, młodych chłopców. Jeszcze inni, jak niesławnej pamięci Ibrahim, uwielbiali orgie. Te

z jego udziałem nie były jeszcze szczególnie wyuzdane. Ale lubił bawić się w ogiera buszującego w stadzie klaczy-nałożnic i przeglądać się przy tym w lustrach, których ponoć pełno było w stosownej komnacie. Nadwątlone siły podtrzymywał różnymi afrodyzjakami. Ale niesławną pamięć zawdzięcza nie orgiom, lecz podłości. Kazał bowiem cały swój harem – 280 nałożnic – potopić w workach w Bosforze.

Jedyne, co wiemy naprawdę, bo istnieją w tej kwestii materiały dokumentalne, to przebieg wizyty nałożnicy w sułtańskiej sypialni. Odbywało się to z zachowaniem ścisłego protokołu. Sułtan spoczywał w łożu, a dziewczyna miała obowiązek wślizgnąć się pod koc, kołdrę czy czym tam jego wysokość raczyła się przykrywać od strony sułtańskich stóp i z szacunkiem przeczołgać się do przodu. Nie był to zresztą protokół wyjątkowy. Podobny obowiązywał także na dworze cesarzy Chin, i to niemal do końca XIX wieku[16]. No cóż, bywają tacy, zwłaszcza nuworysze, co zawsze i wszędzie domagają się oznak czołobitności. Kto od kogo wziął ten obyczaj, Chińczycy od Turków czy odwrotnie, trudno powiedzieć. Może pomysł zrodził się niezależnie i tu, i tam, ale nie można wykluczyć, że w jedną albo w drugą stronę przywlekli go Mongołowie, którzy w XIV wieku władali olbrzymim terytorium obejmującym szmat rdzennie chińskich ziem i spory obszar Bliskiego Wschodu.

Poza tą niezwykłą grą wstępną cała reszta, czyli seksualne techniki stosowane na dworze Osmanów, chyba nie różniła się od tego, z czego korzystano w całym islamskim świecie. Bliski Wschód miał własną Kamasutrę, swoją Ananga ranga, swoje Księgi Jadeitowej Komnaty. Tytuły niektórych dzieł mogą odstraszać, choćby Księga wystaw nauki kopulacji – bo tak to niestety brzmi w tłumaczeniu – albo Księga stref wygod kopulacyjnych. Ale były też inne, wręcz przesadnie poetyckie, jak choćby Wonny ogród ku duszy rozrywce.

Ta powstała w XV bądź XVI wieku praca – różnie się ocenia – zawiera niezwykle praktyczne treści, poezja ogranicza się w zasadzie do tytułu, bo cała reszta pisana jest nader dosadnym, ale zabawnym językiem.

W rzeczy samej Ogród niewiele się różni od Kamasutry, z tym że jest obszerniejszy. Zawiera liczne opowiadania i przypowieści, ilustrujące rozmaite problemy z zakresu psychologii seksualnej, dobrane specjalnie na użytek „mężczyzn, którym erekcja sprawia trudność”[17].

Książka powstała z inspiracji czy wręcz na zlecenie wezyra w służbie beja Tunisu. Autor, Nefzawi, znał indyjskie podręczniki seksu. Odwołuje się do nich, w dość

ciekawy zresztą sposób, w rozdziale poświęconym pozycjom. Otóż wyliczywszy i opisałwszy wszystkie jedenaście (!) standardowych pozycji znanych na Bliskim Wschodzie, dodaje, że mieszkańcy Indii „dysponują znacznie większą aniżeli Arabowie wiedzą na temat stosunków płciowych”, i na dowód przytacza aż dwadzieścia pięć pozycji rodem – jak twierdzi – z Indii. Watsjajana miałby niejaki kłopoty z rozpoznaniem przynajmniej niektórych z nich, bo bardziej przypominają nie indyjskie, ale chińskie sztuczki.

Na zakończenie tego fragmentu swego dzieła Nefzawi zachwala zwłaszcza jeden z indyjskich – jak pisze – wynalazków – pozycję mającą dawać „niezapomniane wrażenia”. Rzecz zaś wygląda tak: „Kobieta spoczywa na plecach, mężczyzna siada na jej piersiach z twarzą w stronę stóp partnerki. Podciąga nogi, palcami stóp zapiera się o ziemię, unosi biodra. Kobieta w tym czasie unosi się na plecach, poddaje biodra w taki sposób, że następuje zbliżenie, o które chodzi”. Nefzawi nie kryje wątpliwości. „Jak widać – pisze – jest to pozycja nader męcząca, szalenie trudna i, jak sądzę, możliwa do realizacji tylko w słowach”[\[18\]](#)[\[\\*5\]](#).

I pewnie miał rację! A już na pewno pozycji tej nie stosowano w sypialni Wielkiego Turka. Pomijając drobnostkę, że kobieta w takim układzie musiałaby mieć stalowe żebra i kauczukowy kręgosłup, to tego typu wyczyn wymagałby wielu prób i długiej praktyki. Praktyka poza sułtanem nie wchodziła w grę. Harem i wszystkie jego mieszkanki należały do sułtana, i tylko do niego, i on był jedynym nauczycielem i źródłem wiedzy praktycznej wszystkich swych nałożnic.

## EUNUCHOWIE

Nawet przy najlepszej woli i chęci sułtana nałożnica nie mogła liczyć na więcej niż jeden-dwa seanse rocznie w sypialni władcy.

Raz, że była jedną z wielu, a dwa, że sułtan miał jeszcze parę innych obowiązków na głowie. Nic dziwnego, że panie nudziły się i popadały we frustracje. Utrzymanie haremu w ryzach było zadaniem ciężkim i odpowiedzialnym. Powierzano je zgodnie z tradycją, starszą zresztą od imperium osmańskiego, osobom najbardziej do tego przygotowanym, mianowicie kastratom, bardziej znanym jako eunuchowie[\[\\*6\]](#).

Zasadzało się to na dość prostym przekonaniu: mężczyzna pozbawiony całości bądź

części zewnętrznych organów płciowych nie może skorzystać z pokus haremu. W istocie jednak sprawa ma głębszy podtekst. Otóż od czasu Cyrusa II, zwanego Wielkim, który pierwszy zracjonalizował sprawę w VI wieku p.n.e., uważano, że niewolnicy eunuchowie, oderwani od bliskich i nie mogący siłą rzeczy założyć nowej rodziny, całkowicie i bez reszty oddają się „tym, którzy mogą obsypać ich bogactwami, chronić, gdyby zdarzyło się im postąpić źle, i nadać godności i honory”. Inaczej mówiąc, eunuch to najbardziej lojalny sługa, a ułomność „wcale nie umniejsza jego umiejętności jako wojownika ani nie ogranicza jego ambicji... A już nikt nie służy wierniej swemu panu jak eunuch... Właśnie dlatego Cyrus otaczał się eunuchami, powierzając im wszystkie stanowiska od odźwiernego w górę”[19].

Tak pisał Ksenofont, ale niezależnie od jego zachwytów nad Cyrusem król Persów wcale nie był pierwszym władcą na Bliskim Wschodzie, który korzystał z usług eunuchów. Zjawisko jest zapewne starsze, a jego korzenie tkwią w dawnych – tu i ówdzie uprawianych nawet współcześnie[\*7] – praktykach kastrowania mężczyzn uznanych za winnych gwałtu lub cudzołóstwa. Wedle praw obowiązujących w Asyrii w latach 1450–1250 p.n.e. mąż, który przyłapał żonę z kochankiem, mógł oboje zabić albo ukarać w ten sposób, że żonie ucinał nos, a cudzołożnikowi genitalia[21].1 wygląda na to, że z tego prawa korzystano nader często. Tak można wnosić z faktu, że wiele dworskich urzędów pełnili kastraci. Również oni strzegli królewskiego haremu, składającego się z czterech żon oraz czterdziestu nałożnic i innych kobiet. Mieszkankom, czy raczej więźniarkom, haremu nie było wolno zbliżać się do strzegących ich eunuchów bliżej niż na siedem stóp (dwa i pół metra) i wszczynać z nimi rozmowy, gdy były nieodpowiednio odziane[22].

Persowie, którzy po Asyryjczykach wybili się na mocarstwo na Bliskim Wschodzie, zaczęli z rozmysłem kastrować wziętych do niewoli jeńców. Herodot zauważa, że wybierali do zabiegu co przystojniejszych młodych ludzi[23]. Można z tego wnosić, że ofiary przeznaczano do służby w nietuzinkowych haremach. Dariusz Wielki, król Persów, zażądał jako daniny od Babilończyków tysiąca talentów w srebrze i pięciuset wykastrowanych chłopców, ustanawiając pewien obyczaj. Od tego momentu bowiem upowszechnia się praktyka sprowadzania cudzoziemskich niewolników-eunuchów.

Z Persji pomysł angażowania kastratów do służby monarchów przeniknął do Chin, choć niewykluczone, że Chińczycy sami sobie to wymyślili. Wiadomo, że w Chinach,



przynajmniej w starożytnych, przestępców piętnowano i okaleczano. Kastrację zwano nawet „dworską karą”, a kastratów zwykle zmuszano do służby w książęcych domach. Gdy brakło przestępców, sprowadzano młodych chłopców i poddawano ich stosownym zabiegom. Ale generalnie rzecz biorąc, Chińczycy zastrzegali prawo do korzystania z usług eunuchów właściwie tylko dla cesarza i jego rodziny. Eunuchowie pilnowali oczywiście haremu, ale czasami powierzano im także inne zadania, jak choćby zabójstwa[24].

W Grecji, też poddanej perskim wpływom, kastrację zmerkantylizowano. Herodot przytacza opowieść o niejakim Panoniuszu z Chios, „który zarabiał na życie w najobrzydliwszy sposób. Gdy wpadł mu w ręce jakiś przystojny chłopiec, kastrował go, a następnie wiódł do Sardes lub Efezu i sprzedawał z wielkim zyskiem”[25]. Jeśli wierzyć Swetoniuszowi, Rzym też miał swoich Panoniuszów, a kastracji poddawali się nie tylko kapłani nowej religii, ale także – jeśli z kolei zawierzyć kpiarzom – kochankowie pewnych przedsiębiorczych dam. Cesarz Domicjan zakazał takich praktyk, a że był przebiegły, jednocześnie obłożył handel niewolnikami-eunuchami kontrolą cen[26].

W chrześcijańskim Bizancjum eunuchowie wybili się na wyżyny.

Pomni bojów o sukcesję, władcy jęli dobierać sobie ministrów, a nawet patriarchów Kościoła spośród osób uważanych za niezdolne do płodzenia potomstwa, a więc wolnych od rodzinnych bądź rodowych ambicji. Właśnie dla nich zarezerwowano osiem najwyższych urzędów w państwie. W rezultacie w wielodzietnych rodzinach poddawano kastracji jednego bądź dwóch synów w nadziei, że w przyszłości będą działać na rzecz swych niewykastrowanych braci. I tak też było, co najlepiej ilustruje przykład Jana Orfanotrofusa. „Jeśli istniał kiedyś ktoś naprawdę przebiegły, to on nim był” – pisał o nim Michał Psellus[27]. I rzeczywiście, przebiegły był jak mało kto. Najpierw brata, a później bratanka umieścił na cesarskim tronie. Ten pierwszy – Michał IV – był mu głęboko za to wdzięczny. Drugi – Michał V – okazał się wielkim okrutnikiem. Jana skazał na banicję, a wszystkich męskich członków rodu kazał uczynić eunuchami[28].

Na Zachodzie z eunuchami było inaczej. Nie korzystano z ich usług, nie zatrudniano, jeśli pominąć Papieski Chór Kaplicy Sykstyńskiej (do czasu papieża Leona XIII, który położył kres tej praktyce) i włoską operę, też zresztą do czasu. Skąd ta wstrzeźliwość?

Przyczyny są złożone. Jeśli idzie o scenę polityczną, to tylko w wielkich państwach pojawia się konieczność delegowania władzy i wyznaczania niepodatnych na korupcję (przynajmniej teoretycznie) administratorów. Na Zachodzie takiego państwa nie było, a władcy i księżta i księżewek pomocników nie potrzebowali – sami dawali sobie radę. Nie było więc zapotrzebowania na usługi eunuchów w aparacie władzy. Nie było też popytu na drugą ich specjalność – pilnowanie kobiet, bo korzystały one jednak z pewnej swobody. A poza tym Zachód zapamiętał ostrzeżenie zawarte w Księdze Powtórzonego Prawa, że „nikt, kto ma zgniecione jądra lub odcięty członek, nie wejdzie do zgromadzenia Pana” (Pwt. 23, 2). Taki stosunek do kastratów – typowy dla dawnych ludów koczowniczych – to spadek po Hebrajczykach. Na Zachodzie trafił na wyjątkowo podatny grunt wszelakich uprzedzeń wobec barbarzyńców, którzy – nawiasem mówiąc – odegrali ogromną rolę w rozwoju średniowiecznej Europy. Taki sam stosunek do kastratów upowszechnił się także w Indiach. Przynieśli go tam Ariowie. Faktem jest, że w wierzeniach wedyjskich i hinduistycznych eunuchowie uchodzą za zdecydowanie nieczystych. Ten pogląd przejęli na subkontynencie nawet wyznawcy islamu – Mogołowie, którzy władali Indiami w latach 1526– 1806. Indyjskiej zenany strzegły zwykle starcy i uzbrojone strażniczki. O eunuchach wspomina się niezwykle rzadko[29].

Muzułmanie na ogół nie przywiązywali żadnej wagi do koloru skóry i pod tym względem nie mieli żadnych uprzedzeń, ale ciekawe, że do strzeżenia sułtańskiego haremu dobierali czarnoskórych eunuchów (sześciuset lub ośmiuset). Służbę w selamiku pełnili wyłącznie biali kastraci. Nie był to przejaw rasizmu, ale rozwiązanie praktyczne. Rzecz w tym, że co do białych nigdy nie można było mieć pewności, czy rzeczywiście są stuprocentowymi impotentami.

Czarnoskórzy z Afryki takich wątpliwości nie pozostawiali, bo wycinano im absolutnie wszystko, z prąciem włącznie (siusiali przez rurkę sporządzaną z ptasich piór). Biali eunuchowie, którzy w XV wieku rekrutowali się głównie spośród Madziarów, Słowian i Niemców, a w późniejszym okresie spośród Ormian, Gruzinów i Czerkiesów, mieli zwykle amputowane tylko jądra, co – o czym wiedzano jeszcze w starożytnej Grecji, a niewykluczone, że i wcześniej – nie eliminuje popędu płciowego, co więcej, taki kastrat może jeszcze przez jakiś czas po utracie jąder doznawać wzwodu. Zależy to od okoliczności i przede wszystkim od kondycji prostaty oraz serca. Richard Burton, dziewiętnastowieczny angielski podróżnik i odkrywca [1821–

1890; znał doskonale arabski, tłumaczył Baśnie z tysiąca i jednej nocy, w roku 1853 w przebraniu odwiedził Mekkę i Medynę – *przyp. tłum.*], zrelacjonował rozmowę z kobietą zamężną z eunuchem. Twierdziła ona, że odpowiednio podniecony jej mąż miewa nawet ejakulacje (nie wiedziała zapewne, że chodzi o wydzielinę gruczołu krokowego, która stanowi normalną część ejakulatu)[[30](#)].

Starożytni Grecy wiedzieli, że coś takiego jest możliwe, wiedzieli także Rzymianie. Szydząc z obyczaju swych rodaczek, Juwenalis pisał:

Są niewiasty, co wielbią niemęskich eunuchów – bo takich gładkich, Gołobrodych tak miło całować, a i o ciążę nie ma się co martwić.

Ale najbardziej podniecają ich czarni osiłkowie, co samcami byli, Nim chirurg dobrał im się do krocza. Właśnie, niech jądra dojrzeją, Niech wypełnią się i wiszą jak dwufuntowe kule, A wtedy to, co chirurg ciachnie, skrzywdzi co najwyżej golibrodów[\*8].

Ale nad losem chłopców niewolników okaleczonych przez handlarzy Juwenalis pochyła się z wyraźną sympatią:

Wstydzą się swych pustych toreb i boleją nad utraconymi groszkami.

Spójrzcie na nich – poznacie ich na milę, Bo każdy ich zna – ukazują swe piękne ciała w łaźni Ku zazdrości Priapa. A tymczasem są eunuchami, bo taka była wola ich pań. Niech więc teraz sypiają sobie z nimi[[31](#)].

Nikt ówczesnie nie był pewien, czy amputowany organ nie odrośnie, w każdym razie liczono się z taką możliwością. W arabskich haremach nadworni lekarze mieli oko na eunuchów, aby w razie czego pospieszyć z interwencją w celu przywrócenia status quo ante.

Taką właśnie akcję przeprowadzono w Chinach w XVII wieku. Zaczęło się od tego, że jeden z eunuchów niebaczenie obraził pewnego wysokiego urzędnika dworu cesarskiego. Ten postanowił się zemścić, a uczynił to w bardzo przemyślny sposób. Udał się do cesarza z donosem. „Bywa – szeptał do cesarskiego ucha – że amputowany organ odrasta, i tak bujnie, że operację należy powtórzyć. On o tym wie, bo słyszał, że coś takiego zdarzyło się za czasów dynastii Ming [nie ma w tej sprawie żadnych dokumentów). Eunuchowie zaczęli się dobierać do cesarskich nałożnic, co oczywiście wywołało chaos na całym dworze... Do takiego skandalu nie można dopuścić, trzeba więc jak najpilniej sprawdzić wszystkich eunuchów, a tych, którym przyrodzenie odrosło – wyczyścić. I o to właśnie błaga jego cesarską moc”. Tak też

uczyniono, ale – jak przyznaje Ch’ien-lung – wielu eunuchów, których poddano ponownej operacji, w jej wyniku zmarło[32]. W Chinach stosowano afrykański model kastracji, usuwano wszystko, i jądra, i prącie. Podczas akcji opisanej przez Ch’ien-lunga wycinano zapewne kikuty pozostawione po pierwszym zabiegu, bo o odroślach jako takich mowy raczej nie ma.

Istniały cztery metody kastrowania. Pierwsza – najdalej idąca – polegała na usuwaniu i jąder, i członka. Druga – to wycięcie jąder. Trzecia – stosowana na bardzo młodych chłopcach – nie wymagała interwencji chirurga, gdyż jąder nie usuwano, ale uszkodzono je wewnątrz moszny. Czwarta wreszcie polegała na resekcji członka z pozostawieniem jąder. Ofiara takiego zabiegu zachowywała zdolności rozrodcze, ale bez możliwości ich realizacji w praktyce (nadzieją mogła być chirurgia plastyczna, ale takie metody medyczne pojawiły się znacznie później). Sposób zabiegów, nie mówiąc już o higienie, różnił się w zależności od kraju i epoki. Wskaźnik śmiertelności bywał wysoki. I tak nad Górnym Nilem – a stamtąd właśnie sprowadzano do Europy gros stuprocentowych eunuchów – tylko jeden na czterech przeżywał zabieg[33].

Rzym znał dwa ekstrema. Kapłani nowicjusze bogini Kybele uroczystości pozbawiali się męskości w czasie dies sanguinis – dnia krwi.

Łacińskie źródła dotyczące tych uroczystości nie są do końca jasne, ale wygląda na to, że rzecz odbywała się wedle wzorców czy tradycji ustanowionej w Syrii. Akt samookaleczenia dokonywał się w transie. Kapłani i nowicjusze gromadzili się na świątynnym dziedzińcu, rozbrzmiewała muzyka, rozlegały się śpiewy, zaczynały się płąsy podobne do tańca derwiszów i w szczytowym uniesieniu bohaterowie uroczystości odsłaniaли szaty i dopełniali ofiary za pomocą specjalnego miecza. Sztuka polegała na tym, aby uciąć jądra jednym cięciem[34]. Zapewne łatwe to nie było, skoro parę stuleci później Rzymianie skonstruowali specjalną maszynkę gwarantującą zakładany skutek. Na prącie nakładano coś w rodzaju pierścienia, aby lepiej wyeksponować mosznę i jądra, które z kolei ujmowano w rodzaj kleszczy. Wystarczyło jedno cięcie nożem i było po wszystkim. Resztkę moszny zszywano lub zabezpieczano klamrami[35]. Metoda okazała się i nowatorska, i bezpieczna, w każdym razie nie pociągała za sobą tylu śmiertelnych ofiar co dawniejsze. W istocie nie była chyba bardziej niebezpieczna niż nowoczesna wasektomia, choć oczywiście znacznie bardziej bolesna. Najwięcej zejść śmiertelnych zdarzało się przy usuwaniu prącia. Krytyczne były trzy pierwsze dni, kiedy blokowano cewkę moczową, aby rana

zaczęła się zblizniać[36]. Eunuchowie pozbawieni prącia do końca życia cierpieli na nietrzymanie moczu.

Sposób zagospodarowania „klejnotów rodzinnych” pozostałych po zabiegu – Chińczycy nazywali je precjozami – daje ciekawy wgląd w ludzką psychikę. Paul Valery szydził kiedyś z historyków Wielkiej Rewolucji, że obrzucają się świętymi na gilotynie głowami.

Jeśli rzeczywiście coś w tym było, to i tak rzecz błędnie w porównaniu z tym, co czynili wyznawcy bogini Kybele w Syrii. Otóż po akcie samookaleczenia pędzili po ulicach z uciętymi genitaliami w garści.

Biegali tak do utraty tchu, a na koniec wrzucali swe „precjoza” w pierwsze lepsze okno[37]. Nie wiemy, jak Rzymianie reagowali na takie praktyki. Być może, w Rzymie nikt nie biegał wymachując własnymi „precjozami”. Kapłani Kybele w Rzymie po dokonaniu aktu samookaleczenia odprawiali ponoć modły nad utraconą częścią ciała, a następnie grzebali ją, dopełniając obrządku na cześć płodności. W Chinach eunuchowie niechętnie rozstawali się z utraconymi fragmentami własnej osoby. Jak dziecko, co chowa ząb mleczny, tak oni umieszczali genitalia w „specjalnym pojemniku, który stawiano na półce”. Miało to pewien racjonalny sens. Chodziło o to, aby w stosownym czasie „precjoza” trafiły do trumny właściciela w celu skompletowania całości. Ale istniał jeszcze inny motyw. Otóż „precjoza” stanowiły rodzaj świadectwa przydatności zawodowej. Eunuch, który ubiegał się o – powiedzmy – awans (jeszcze w XIX wieku), okazywał przełożonemu pojemnik z zakonserwowanymi genitaliami (trzymano je w odpowiednich roztworach) jako dowód, że ma pełne kwalifikacje na stanowisko, do którego aspiruje. Kto o to nie zadbał w stosownym czasie, musiał później odkupywać „precjoza” od chirurgów za słoną cenę albo pożyczać lub wynajmować coś takiego od przyjaciela[38].

Wedle dość powszechnego przekonania eunuch to postać budząca obrzydzenie, złośliwa, o piskliwym głosie, tłusta, lubiąca słodyczne, jaskrawe kolory i głośne rytmy, mściwa, okrutna i zapatrzona w siebie.

Kastracja rzeczywiście mogła wyostrzać pewne osobnicze cechy negatywne, ale tylko u osób, które je miały. Rzadko, jeśli w ogóle, takie negatywne cechy okazywały osoby, które (w miarę) dobrowolnie poddawały się kastracji. Dowodziłby tego przynajmniej przykład Bizancjum. Co innego nieszczęśnicy, których okaleczono wbrew ich woli.

Doznawali oni podwójnej krzywdy: raz, że ich okaleczono, a dwa, że pogardzano nimi dlatego, że byli okaleczeni. Właśnie u nich mogły się wykształcać i nasilać pewne cechy negatywne.

Eunuchowie z haremów nie pozostawili po sobie żadnych pamiątek, ale w literaturze znajdujemy dwa wybitne świadectwa przeżyć osób, które siłą wykastrowano w dojrzałym wieku. Zostawili je dwaj najślawniejsi eunuchowie w dziejach świata – Sima Qian (145–90 p.n.e.), historyk na dworze cesarzy z dynastii Hań, oraz znakomity francuski filozof Pierre Abelard (1079–1142).

Tego pierwszego uczyniono rzeźnikiem za próbę wprowadzenia cesarza w błąd. Osiem lat później pisał: „Siedzę oszołomiony i zagubiony, nie wiem, co mnie czeka. Gdy tylko wspomnę na swój wstyd, pot zlewa mi ciało tak, że ubranie można wyjąć. Nadaję się już tylko do tego, by jak niewolnik pilnować pokoi kobiet. Lepiej byłoby się skryć gdzieś głęboko w górach, a tymczasem potulnie godzę się na wszystko – niech się dopełni mój upadek”[39].

Abelard – brutalnie okaleczony przez wuja swej ukochanej Heloizy – pisał, że zrazu „bardziej dokuczał mu wstyd i upokorzenie niż niedola”. Później jakby pogodził się z losem. Dwanaście lat po tragedii pisał do Heloizy: „Bóg zlitował się nad nami... w mądrości swojej zesłał na nas zło, w ten sposób nauczył pokory. Jedną raną, którą zadano memu ciału, dwie uzdrowił dusze... Z łaski Pana naszego zostałem oczyszczony, bo pozbawiono mnie tego oto członka ciała mego, co słusznie zowią «częścią wstydliwą», bo własnej nie ma nazwy. Stało się tylko tyle, że usunięto mi tę niedoskonałość, abym mógł dostąpić czystości doskonałej... Dziękuj więc Panu razem ze mną, bośmy razem grzeszyli i razem doznajemy łaski”[40].

Obaj mężowie należeli do elity intelektualnej swoich czasów.

Przeżyli szok, cierpieli, ale znaleźli ucieczkę w rozmyślaniach. Nie było to dane eunuchom z haremu. Swoją nadwrażliwość kompensowali w inny, ale zawsze afektowany sposób, najczęściej jednak wzmożoną agresją bądź, przeciwnie, zamykając się w sobie.

Trudno powiedzieć, jaki los czekałby eunuchów niewolników, gdyby w swoim czasie nie zostali okaleczeni, czyli gdyby przyszło im wieść zwykły męski żywot. Żaden zapewne nie trafiłby na dwór Wielkiego Turka. Pasałoby bydło w rodzinnych wioskach. Co zdolniejsi mogliby ewentualnie awansować na wioskowych przywódców. Za sprawą kastracji tymczasem szli wyżej i wyżej sięgali. Na urzędach



państwowych i administracyjnych sprawdzali się lepiej niż ludzie, którym los oszczędził okaleczenia. Byli ambitni, bywali bezlitośni i bezwzględni wobec otoczenia, bo niewiele mieli mu do zawdzięczenia, bywali przekupni, chciwi i pazerni, jak choćby naczelny czarnoskóry eunuch na dworze sułtana (znany pod imieniem Kislar Aga). Nie było chyba bardziej skorumpowanego urzędnika w całym osmańskim państwie, a władzę miał ogromną. Należał do rady stanu, sprawował nadzór nad finansami sułtańskich meczetów, stał na czele baltaji – sułtańskich halabardników, nosił tytuł paszy, nadzorował sułtański harem i miał nieograniczony dostęp do władcy – prawo wstępu na sułtańskie pokoje o każdej porze dnia i nocy. Zgromadził ogromny majątek, głównie z łapówek, które brał na lewo i prawo. Był równie bogaty, co znieawidzony, bali się go wszyscy. Ale cóż po władzy i majątku, skoro po śmierci wszystko zabierał sułtan.

Eunuchowie odeszli do lamusa historii razem ze swymi panami, co ostatecznie nastąpiło na początku XX wieku. W latach trzydziestych została ich już tylko garstka, choć jeszcze pod koniec XIX wieku do Arabii, Egiptu i Turcji sprowadzano co najmniej osiem tysięcy kastratów rocznie[41]. N. M. Penzer, który badał te sprawy w Turcji przed II wojną światową, wytropił ledwie dwóch czy trzech żyjących jeszcze eunuchów. Tylko tyle owych „dziwnych istot” – jak go zapewniano – zostało w dawnej metropolii[42].

Osbert Sitwell, który interesował się tym samym tematem w Chinach w latach trzydziestych, miał więcej szczęścia. Dane mu było poznać aż dwudziestu eunuchów – byłych sług w byłym pałacu cesarskim w Zakazanym Mieście. Staruszkowie, nader chętni do rozmowy, dożywali swych dni w specjalnie dla nich stworzonym schronisku tuż obok modnego wówczas klubu golfowego Pa Pao Szan[43].

Kto miał szczęście, ten mógł jeszcze w 1981 roku porozmawiać z dawnym eunuchem na dworze monarchów koreańskich. Czung Wan-ha liczył wtedy 88 lat. Jego dworska kariera trwała stosunkowo krótko, ledwie 24 miesiące, bo w 1910 roku, gdy miał piętnaście lat, zlikwidowano dworski zastęp eunuchów. Odszedł w przeszłość razem z ostatnią dynastią Yia[44].

---

[\*1] Zdaje się to raczej błogosławieństwem niżli karą.

[\*2] Tureckie słowo haremlik, oznaczające część domu przeznaczoną dla kobiet, ma ten sam źródłosłów co arabski haram. Męska część domu to selamik. Używane czasami jako synonim haremu słowo sera; wywodzi się z perskiego i ma szersze znaczenie; oznacza rezydencję władcy obejmującą

wszystko, a więc i haremlik, i selamik. Hinduskie słowo zemana ma tę samą konotację, co haram.

[\*3] Pod tym względem Mongołowie byli lepiej zorganizowani. Wedle Marco Polo na dworze chana Kubilaja rzecz załatwiano w taki sposób, że każda prowincja chanatu wysyłała do stolicy 400–500 najpiękniejszych dziewcząt rocznie. Na miejscu oceniano je wedle ustalonego systemu punktowego (maksimum 21 punktów) i zdobywczynie pierwszych 30–40 miejsc umiły władcy życie przez rok. Te, które w punktacji plasowały się na dalszych miejscach, oddawano zausznikom chana wedle piastowanych godności[13].

[\*4] Kobiety zwykle sterylizowano, usuwając jajniki. Stosowano również środki antykoncepcyjne, najczęściej w postaci pessarium – krążka macicznego. Zajmował się tym nadworny lekarz. Rutynowo zakładał pessarium każdej dziewczynie po menstruacji. Medycyna arabska przez sześćset z górą lat wspierała się na kanonie Awicenny (980–1037) i w metodach antykoncepcji była dość zaawansowana, ale wygląda na to, że pessarium pozostawiano na miejscu na dłuższy czas, nawet na kilka tygodni[15]. Gdy któraś z kobiet zachodziła w ciążę i rodziła, dziecko bezceremonialnie topiono.

[\*5] Pewien mój czytelnik z Kalifornii zapewniał mnie listownie, że „pozycja ta jest całkiem wykonalna i może ją z powodzeniem zastosować nawet niezbyt wysportowany pan sporo po pięćdziesiątce”. Być może, ale czy warto?

[\*6] Słowo to wywodzi się z greckiego i w oryginale oznaczało osobę mającą pieczę nad łóżkiem.

[\*7] W San Diego w Kalifornii w latach 1955–1975 kastracji poddało się 397 przestępców seksualnych w zamian za złagodzenie kary długoletniego więzienia. Podobnie w Danii w latach 1929–1950. Na kastrację zdecydowało się tam 300 więźniów i internowanych. W Wielkiej Brytanii przestępcom seksualnym podaje się środki farmaceutyczne tłumiące libido. Światowa Organizacja Zdrowia potępia te praktyki[20].

[\*8] Kastraci tracą męski zarost.

## CZĘŚĆ CZWARTA

---

# ROZSZERZAJĄCY SIĘ ŚWIAT 1100-1800

---

*Chociaż Kościół, chrześcijański potępiał seks, a na kobiety patrzył podejrzliwie, to z nastaniem XII wieku coś zaczęło się zmieniać. Za sprawą rycerskiej miłości, wyrosłej z arabskiej idei „miłości czystej, bez zmayı i skazy”, i dzięki przejętemu z Bizancjum kultowi Niepokalanej kobieta zaczęła zyskiwać osobowość. Przemieniała się w „damę” – czystą, niedostępną, cnotliwą i wielbioną. Zrazu była to tylko zmiana wizerunku, sposobu postrzegania kobiet, ale okazała się początkiem prawdziwej rewolucji, która nabrała tempa w XVI wieku, gdy reformacja podniosła rolę rodziny, i w następnym stuleciu, gdy nauka udowodniła, że męskie nasienie samo w sobie nie decyduje o prokreacji, jak sądzono od czasów Arystotelesa. Z tą chwilą kobieta przestała być wyłącznie nosicielką potomstwa, inkubatorem, stała się matką. W XIX wieku moralność i macierzyństwo stworzyły jeszcze inny wizerunek kobiety: „aniola domowego ogniska”, co przyniosło zaskakujące skutki polityczne.*

*Hiszpanie tymczasem oczyścili Amerykę Łacińską z zarazy sodomitów, która ponoć się tam panoszyła, i dali początek nowej, prężnej populacji o mieszanym pochodzeniu. Brytyjczycy uczynili coś podobnego w Indiach, a jednocześnie podminowali fundamenty hinduizmu, wprowadzając prawa chroniące kobiety. A w Ameryce uprzedzenia kulturowe białych jęły przybierać formę uprzedzeń i dyskryminacji rasowej, czemu dodatkowo służyły prawa wymierzone w miłość.*

## 10. EUROPA, 1100-1550

„**A**wy, szlachetny panie, z jakąż to białogłową chcielibyście mieć do czynienia, z taką, o której źle powiadają, a cnotką się okazuje, czy raczej z taką, której cnoty chwala, a nie wiedzą, że swawolna to bestyjka?” Skomplikowane to pytanie, a prawidłowa nań odpowiedź w czternastowiecznej Francji brzmiała: „Wolę taką, co nieposzlakowaną ma opinię, ale diabła za skórą”<sup>[1]</sup>.

Dwieście lat wcześniej taka odpowiedź wywołałaby zaskoczenie, nawet szok. Żaden szanujący się krzyżowiec nie przedłożyłby niewieściej reputacji nad własne uciechy. Ale wyprawy pod znakiem krzyża po chwałę, sławę i łupy miały to wszystko zmienić. Za ich między innymi sprawą kresu dobiegł Wiek Nieokrzesania i nastąpiła Era Rycerska, a beneficjentką przemian stała się kobieta.

Między XII a XVI wiekiem w sytuacji kobiet dokonała się zmiana wręcz epokowa, kto wie, czy nie najdonioślejsza od neolitu. Nie zmienił się co prawda ani prawny, ani materialny status kobiet, ale transformacji uległ ich wizerunek. Z obiektu pogardy – nie tylko ze strony mężczyzn, ale i samej siebie, stawała się osobą szanowaną, więcej nawet – wielbioną. Mógłby ktoś powiedzieć, że jak na rewolucję efekty były skromne. Owszem, to prawda – bezpośrednie skutki były takie sobie, ale otworzyły dalszą drogę. Trudno w ciągu kilku stuleci całkowicie wyzwolić się, przełamać okowy pogardy i poczucie niższości wpajane kobietom przez pięć tysięcy lat. Trzeba więc będzie jeszcze lat, by rewolucja objawiła się w całej pełni, choć nadal wiele kobiet nie jest gotowych bądź nie potrafi z niej korzystać.

Dziś publiczny wizerunek to towar, który zamawia się u specjalistów. Bierze się trochę danych, dodaje parę niewiadomych, wprowadza do komputera, uruchamia

program i mamy image zgodny z obstalunkiem. Ale historia to nie komputer, zmiany nie następują za kliknięciem myszy, lecz pod wpływem wielu czynników. Każdy z nich z osobna może nic nie ważyć, dopiero zebrane razem zaczynają funkcjonować. Na takiej właśnie zasadzie zmienił się wizerunek kobiety. Zdziałał splot wielu okoliczności, a mężczyzna przegapił historyczny moment, tak jak kobieta w neolicie nie spostrzegła, że partner wyrasta ponad nią, i nie przyhamowała go w porę. Zajęty sobą, pochłonięty własną, męską duszą, mężczyzna machnął ręką na kielkujące w jego żeńskim otoczeniu poczucie własnej wartości.

Może myślał (jeśli w ogóle zadawał sobie trud myślenia), że nie ma się czym przejmować, bo i tak nic się nie zmieni. Ale zmieniło się, kobieta stała się damą i niewiele już wody upłynie w rzekach, kiedy jej nowy status da o sobie znać w praktyce.

Na temat wzajemnego usytuowania płci w średniowieczu istnieje tyle teorii, ilu jest znawców epoki. Nadal jednak nie wiadomo, jak to się stało, że kobiety zaliczono wreszcie do ludzkiego gatunku. Poruszamy się tu po niezgłębionym terenie stosunków międzyludzkich, a w tych – wiadomo – reakcje zachodzą różne, gra swoista chemia.

Literatura też nie wyjaśnia wszystkiego, bo po pierwsze trudno dziś rozróżnić, co wniosło do niej życie, a co ona sama do życia. Poza tym, powiedzmy sobie szczerze – nic przy tym nie ujmując ani autorom, ani ich dziełom – że księgi Tomasza z Akwinu, Peire Yidala czy romanse Chretien de Troyes tak się miały do codzienności XII i XIII wieku, jak książki Salmana Rushdiego, Terry'ego Wogana czy czytała Jackie Collins do rzeczywistości drugiej połowy wieku XX.

Miłość dworska zajmuje znaczące miejsce w literaturze tamtej epoki i zapewne kwitła na bogatych dworach. Nie sposób jednak ocenić, na ile literatura odzwierciedlała życie.

Na awans kobiety złożyło się wiele czynników i pewnie nie o wszystkich wiemy, kilka wszakże da się wyróżnić. Jednym z nich bez wątpienia były krucjaty. Hasło rzucił papież Urban II w roku 1095. Wedle dzisiejszych ocen<sup>[2]</sup> w pierwszych trzech dekadach, licząc od papieskiego apelu, co najmniej połowa francuskiego rycerstwa ruszyła wyzwalać Ziemię Świętą z rąk niewiernych bądź walczyć z Saracenami w Hiszpanii. Nieco później, ale za to równie tłumnie, ruszyli Anglicy i Niemcy<sup>[\*1]</sup>. Tym, którzy dotarli do Lewantu, a i tym, którzy zatrzymali się bliżej, na Sycylii albo w Hiszpanii, dane było ujrzeć wszystkie cuda islamu, cywilizację i kulturę znacznie

przewyższające najsmielsze wyobrażenia zakutych w żelastwo wojaków z Europy. Z wszystkich wypraw krzyżowych tylko pierwsza zakończyła się jakim takim sukcesem militarnym. Ale bardziej niż łupy, choć i tych nie brakło, liczyło się to, co wojownicy przywieźli w sercach i umysłach – wrażenia, czasami ulotne, czasami głębsze, ale wystarczające, aby powracający z wojen życzliwym okiem spoglądali na zmiany, jakie tymczasem zaczęły zachodzić w ich rodzinnych stronach.

Islamskie wpływy nie omijały nikogo. Krzyżowcy doświadczali ich bezpośrednio w czasie dalekich wypraw, inni – za starzy albo za młodzi, zbyt wrażliwi bądź zbyt wyrachowani, aby wyprawiać się na wojny – stykali się z dziełami islamskich mędrców, a za ich pośrednictwem z zapomnianym w Europie dorobkiem czasów nazywanych klasyką – z nauką, filozofią, humanizmem Greków, którego Rzymianie woleli nie przejmować. Wszystko to docierało do Europy okrężną drogą, przez muzułmańską Hiszpanię, wzbogacone o oryginalny dorobek literacki autorów spod znaku półksiężycy, wywierając wpływ na pozycję kobiet na Zachodzie.

A w ogóle przed kobietami – nie wszystkimi oczywiście, bo mówimy tu o elicie – otworzyła się niebywała szansa. Ci, których można określić mianem konserwatystów, przebywali za morzami, ci, co zostali na miejscu, byli otwarci na nowe prądy. Powstała więc niesłychanie sprzyjająca sytuacja i kobiety z niej skorzystały. Do końca XI wieku pozostawały w absolutnej zależności od ojców, mężów i synów.

Nawet Pan w Niebiesiech uważał je za istoty nieodpowiedzialne, skoro za ich czyny mieli odpowiadać przed Jego obliczem ojcowie i mężowie.

A tymczasem pod nieobecność mężów żony musiały wziąć w swoje ręce rozmaite męskie sprawy i odkryły, że sztuka zarządzania majątkami, podatki, dziesięciny, nawet polityka, to dziedziny wcale nie tak tajemnicze i skomplikowane, jak je przez stulecia przekonywano. Zaczęły bywać, obracać się w towarzystwie, pokazywać się na dworach, wymądrzać, plotkować, popisywać dowcipem, a i intrygować, bo tak się na dworach działo. Rzecz jasna, Kościół ich do tego nie zachęcał, ale przyłożył się do wzmocnienia pozycji kobiet, gdy swoją jurysdykcją objął prawo rodzinne. Do tej pory znudzony małżonką mąż mógł ją oddalić bez najmniejszego trudu. Gdy jednak o rozpadzie i ewentualnym rozwiązaniu małżeństwa zaczęły decydować trybunały kościelne, co nastąpiło właśnie w XI wieku, rozwód stał się rzadkością[\*2]. Tak więc Kościół przyczynił się do ustabilizowania prawnej sytuacji kobiet. Ale w tym samym czasie pojawiło się jeszcze coś, co wpłynęło na postawę i Kościoła, i mężczyzn



wobec kobiet. Mowa o kulcie Niepokalanej Matki Bożej, który z Bizancjum zaczął w XII wieku za sprawą krzyżowców, pielgrzymów i kupców przenikać na Zachód, gdzie do tej pory symbolem kobiety była biblijna Ewa, co sprowadziła Adama na złą drogę. W XIV wieku miejsce na piedestale zajęła Maria, z korzyścią dla wszystkich kobiet.

Wszystkie te zjawiska i okoliczności miały ogromne znaczenie, ich konsekwencje można obserwować w wielu dziedzinach życia. My skupimy się na jednej – miłości dworskiej. Ta męsko-damska gra zaistniała najpierw w literaturze, ale rychło, bo w pierwszej połowie XII wieku, także w życiu. Klasyczny to przykład sytuacji, kiedy życie podąża za fikcją literacką, a nie odwrotnie. Miłość dworska – sentymentalna, wyidealizowana, elitarna z samej swojej istoty, bo łącząca nie byle kogo, ale szlachetnie urodzone damy i równie szlachetnych rycerzy, mydlana opera czasów średniowiecza, sposób na zabicie czasu – niby nic wielkiego, a jednak dzięki niej zmienił się kodeks stosunków międzyludzkich, upowszechnił nowy rodzaj zachowań, który zasadniczo wpłynął na społeczny status kobiet.

## KOBIETA DAMĄ

Miłość dworska stale intryguje historyków z wielu przyczyn, także dlatego, że będąc w istocie fenomenem pozareligijnym, żeby nie powiedzieć przeciwnym wierze, rozkwitła w czasach szczytowej potęgi Kościoła. Do XIX wieku utrzymywał się pogląd (błędny), że jej korzenie tkwią w charakterystycznej dla ludów germańskich i celtyckich rewerencji wobec niewiast. W innym kierunku szła nieco późniejsza teza – spiskowa. Wedle niej trubadurzy mieli być katarami buntującymi się przeciw papiestwu, a ich pieśni miłosne narzędziem propagandy antypapieskich idei[\*3]. Teoria ta ustąpiła jeszcze innej, że „pańszczyzna miłości” to w istocie emanacja feudalnych stosunków społecznych. Gdy sprawą zainteresowali się antropologowie, uznali, że w miłości dworskiej przejawia się ukryte pragnienie powrotu do dawnych stosunków, charakterystycznych dla matriarchatu i związanego z nim modelu życia seksualnego. A kiedy na naukową scenę wkroczyli psychoanalitycy, miłość dworską kazano postrzegać w kategoriach kompleksu Edypa[4].

Nie wydaje się jednak, aby każdy zakochany dworzanin i dama jego serca byli religijnymi dysydentami czy osobnikami o zachwianej psychice, których należałoby

leczyć z kompleksów. Dziś setki milionów czytelników pochłaniają tysiące romansów i thrillerów i nikt nie każe im się bić w piersi ani biegać do psychiatry czy psychoanalityka. W średniowieczu czytano mniej, funkcje literatury przejęła więc gra w miłość, którą można było uprawiać do woli ku powszechnej (jeśli pominąć Kościół) uciechu. Jak parę innych nowinek owych czasów, choćby szachy, które mają wiele wspólnego z grą w miłość, również tę częściowo zawdzięczano Arabom[5].

Zasadnicza, fundamentalna wręcz różnica między społecznością islamską a zachodnią polegała na segregacji płci. Muzułmanie izolowali kobiety, czego na Zachodzie nie czyniono, i właśnie dlatego kobietę w Europie przybrano w pancierz cnoty. Arabska koncepcja miłości czystej, uszlachetniającej wyrosła pod murem otaczającym harem. Arabski poeta lub pieśniarz sławił zalety wybranki, której zwykle nie dane mu było nawet widzieć, co otwierało nieograniczone pole wyobraźni. Europejski bard nie miał tak komfortowej sytuacji. Wybrankę mógł oglądać do woli, słuchać jej i niekoniecznie tylko wzdychać, bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mógł ją też posiadać.

Jak w takich warunkach uprawiać czystą miłość? Świadomie lub nie, poeci z południowo-zachodniej Francji, gdzie zrodziły się pieśni miłosne i dworska miłość w europejskim wydaniu, jęli więc wznosić coś na kształt murów otaczających harem. W odróżnieniu od oryginału mur nie miał materialnego kształtu, ale swe zadanie spełnił.

Ale po kolei. W zajętej przez Maurów Hiszpanii kontynuowano oczywiście arabskie tradycje literackie. Tworzył tam Mocadem z Kordoby (ok. 900 roku n.e.), najwybitniejszy przedstawiciel kierunku miłości pragnień, Ibn Sara – wybitny piewca miłości czystej, oraz w XI wieku Ibn Hazm – poeta i myśliciel, co powiadał, że „związek dusz jest po tysiąckroć piękniejszy od związku ciał”[6]. Naturalną kolejną rzeczą ich twórczość przenikała przez Pireneje do Francji, trafiając na podatny grunt, na chętne, barwne, żywotne społeczeństwo, otwarte i ciekawe bogactw islamu. Czasy się zmieniały, zmieniała się moda, ubierano się kolorowo, jadano lepiej i smaczniej, upowszechniała się oświata. Niemal w każdej arystokratycznej rodzinie był ktoś, kto potrafił czytać, i czynił z tej sztuki użytek, co światlejsi nawet oddawali się rozrywkom kształtującym umysł. Na dworach zaczęto muzykować, co było swoistą rewolucją, bo do tej pory muzyka towarzyszyła wyłącznie nabożeństwom kościelnym. Pojawiło się pojęcie gustu czy dobrego smaku, szybko nabierając cech klasowych. Moźniejsi sprowadzali na dwory ludzi nauki. Spełniali oni rozmaite pożyteczne

funkcje – prowadzili księgi, spisywali umowy – ale też sama ich obecność wpływała na pobudzenie życia umysłowego elity.

Inny ośrodek nowej kultury ukształtował się na północy Francji, między Normandią, doliną Loary oraz Ile-de-France. Był mniej chłonny, bardziej dogmatyczny, ostrożniejszy. Owszem, otworzy się na miłość dworską, wniesie do niej coś z siebie, ale później, gdy idea okrzepnie i straci nieco ze swej młodzieńczości. Wcześniej i szerzej na nowe prądy otworzyło się południe Francji, a palma pierwszeństwa należy się niezwykle barwnemu feudałowi – siódmemu hrabiemu Poitiers, dziewiętemu księciu Akwitanii, panu o imieniu Guilhem, najpotężniejszemu ówczesnie władcy w całym zachodnim świecie chrześcijańskim.

Guilhem (1071–1127) musiał znać, i to nieźle, hiszpańsko-arabską poezję miłosną i jej filozofię. Za żonę miał Filippę Aragońską, jedna z jego sióstr wyszła za Alfonsa VI, króla Kastylii, druga za Pedra – władcę Aragonii. Wedle przekazów Guilhem używał życia, uwodził damy na lewo i prawo, aż pewnego dnia zjawił się charyzmatyczny kaznodzieja Robert D'Arbrissel i położył kres dworskim romansom. Wystraszył mianowicie wszystkie damy dworu, że jeśli nadal będą popełniać grzech cudzołóstwa, to po wsze czasy smażyć się będą w piekle. Pozbawiony towarzystwa Guilhem jął ubierać swoje smutki w rymy i przelewać je na papier. Nie był w tej sztuce nowicjuszem, pisywał wcześniej smakowite erotyki, ale teraz spod jego pióra zaczęła wychodzić poezja innego typu, poważniejsza, głębsza, refleksyjna, nie erotyczna, ale miłosna, żywo przypominająca utwory Ibn Hazma o miłości uszlachetniającej. Miłość – głosił Guilhem – nie poniża, lecz uwzniośla, nie jest grzechem, lecz boskim wręcz misterium, a miłować to wielbić damę serca jak boginię. Zdaniem niektórych znawców nowe westchnienia Guilhema płynęły rzeczywiście z głębi serca – niegdysiejszy playboy miał przejść głęboką przemianę wewnętrzną[7]. Wedle innych nowa poezja i postawa była li tylko cyniczną zagrywką. Trudno powiedzieć, kto miał rację, nie ma to zresztą znaczenia. Ważniejsze jest bowiem, że damom bardzo się to spodobało, gdyż nie ma takiej, co nie chciałaby być bóstwem, choćby nawet miała wylądować w całkiem ziemskim łóżku. W każdym razie Guilhem przedstawiał ewentualny grzech w szalenie eleganckiej otoczce[\*4].

Rychło też wątki jego miłosnych utworów poszły w świat. Podchwycili je trubadurzy, wędrowni poeci i pieśniarze, głosząc chwałę miłości w utworach prościutkich, ale przemawiających do wyobraźni. I znajdowali wdzięcznych słuchaczy

a jeszcze więcej słuchaczek, zwłaszcza na – jak byśmy dziś powiedzieli – prowincji, w małych zamkach, dworach i dworkach, gdzie życie biegło utartym torem, a towarzystwo nie dorastało do damskich tęsknot. Właśnie tam panie witały trubadurów z otwartymi ramionami i stale domagały się pieśni, w których mogłyby odnaleźć siebie. Gdzie jest popyt, tam jest podaż. Twórcy jęli więc przykrawać pieśni pod zapotrzebowanie słuchaczek. Pojawił się nowy typ poezji miłosnej o młodzieńcach, co zakochują się w szlachetnych, ale z racji wyższego urodzenia niedostępnych damach. Jest więc dramat, jest też happy end, bo zakochany młodzieniec pokonuje tysiące przeszkód, a dama na koniec ofiarowuje mu swoją miłość.

W porównaniu z pierwowzorem były to dzieła bardziej rozwinięte, wyrafinowane, ale – jak się rychło miało okazać – groźne dla twórców. Zgodnie z konwencją historii miłosne pisano i śpiewano w pierwszej osobie, co niejedna słuchaczka brała poważnie. Wydawało się jej, że trubadur śpiewa o swojej miłości, a do kogóż by innego, jak nie do niej! Sprawa stawała się niebezpieczna i gdy wędrowni piewcy miłości zdali sobie sprawę, że lada moment przemienia się w wędrownych żigolaków, zatrąbili na odwrót. Zaczęli szukać możliwości odcięcia się od biologicznych konsekwencji uprawianej przez siebie sztuki, łypiąc zazdrosnym okiem na swoich arabskich kolegów, którzy nie mieli tego typu kłopotów, bo uwięzione w haremach arabskie bogdanki nikomu zagrozić nie mogły.

Wyjście z impasu znalazł Gaskończyk imieniem Marcabru – mizogin pierwszej wody, moralista, który chyba strasznie cierpiał nad erotycznym podtekstem miłości dworskiej w jej wczesnym wcieleniu. Marcabru głosił, że wysokie urodzenie i uroda to za mało, by kobietę wynosić na piedestał, potrzebne są jeszcze inne przymioty, a przede wszystkim cnota. Ryzykowna to była teza, bo gdyby ją potraktować dosłownie, wkrótce zabrakłoby i budowniczych piedestałów, i postaci godnych na nich stanąć. Ale dla trubadurów okazała się kołem ratunkowym, którego tak bardzo potrzebowali. Dama mogła w imię miłości przekreślić wysokie urodzenie, ale ofiary z cnoty złożyć już nie mogła. A poza tym żaden prawdziwy gentleman takiej ofiary nie mógłby się domagać.

Fenomen miłości dworskiej rozgrywał się jakby na trzech płaszczyznach. Obejmował po pierwsze twórców – głównie mężczyzn, choć nie brakło i kobiet – którzy komponowali poematy i pieśni; po drugie – pieśniarzy, bardów i trubadurów, którzy owe pieśni (nierzadko własnego autorstwa) nieśli w świat, pełniąc funkcję

dzisiejszych mediów; a na koniec ówczesny high life, z zapalem uprawiający dworsko-miłosną grę wedle wzorów i zasad wyłożonych w zasłyszanych pieśniach.

Tak więc ton nadawali twórcy, poeci, pilnie bacząc na reakcje słuchaczy i – jakbyśmy dziś powiedzieli – głosy krytyki. Najsilniej zaś rozbrzmiewał głos Gaskończyka Marcabru – adwokata życia cnotliwego. Nie był poetą, nie obracał się w sferze abstraktu i literackiej fikcji, troszczył się o los realnie istniejących niewiast, grzmiał więc i pouczał, że damy winny wieść życie cnotliwe i nie ulegać pokusom. Poeci funkcjonowali na innym diapazynie, ale wołanie Marcabru było im na rękę. Za sprawą cnoty mogli wynieść kobietę na niedostępne wyżyny, oczyścić miłość z wszelkiej cielesności, wysublimować, przenieść w sferę ducha. Z cegiełek cnoty wzniesli bastion na podobieństwo murów otaczających islamskie haremy.

Ten oczywiście zaistniał w literaturze. Czy miał odpowiednik w życiu – trudno powiedzieć. Wydaje się, że gra miłosna toczyła się na wzór pieśni. Bohaterka była wysoko urodzoną damą, złączoną węzłem małżeńskim z potężnym władcą bądź władzką. Jej wielbiciel, zakochany bez pamięci, był uboższy metryką. Dramat nie polegał na tym, że wybranka była już komuś poślubiona, ale że między nim a nią rozpościerała się przepaść urodzenia. Przepaść oczywiście zostaje w jakimś momencie zasypana. Kochanek dokłada starań i zdobywa miłość wybranki. Nie ma wszakże mowy o konsumpcji, ba – nie ma mowy o głoszeniu światu własnego szczęścia. Sprawę trzeba trzymać w najgłębszej tajemnicy, aby chronić reputację wybranki. Ale miłość nie rozwija się w próżni, potrzebni są pośrednicy, noszący liściki, słuchający zwierzeń, pomagający, a czasem przeciwnie – intrygujący, narażający kochanków na niebezpieczeństwa. Droga do szczęścia nigdy nie jest łatwa.

A samo szczęście ma dość niejasną postać. W pieśniach trubadurów nie ma mowy o biologicznych konsekwencjach miłości. Niektórzy poeci wręcz stwierdzali, że prawdziwa miłość jest wolna od żądy. Inni, jak Dżamil 400 lat wcześniej, głosili chwałę czystości – nie ma sytuacji, w której prawdziwie miłujący skalaliby swe uczucia, sprowadzając je do logicznego finału. Dżamil zaiste wysoko podnosił poprzeczkę. Dopuszczał uściski, pocałunki, nawet wspólną noc w łóżku w stroju Adama i Ewy, z tym że winna ona upłynąć wyłącznie na wzajemnych zapewnieniach o miłości[8]. Podobnie ujął to Francuz Andreas Capellanus, który w roku 1186 głosił, że amorpurus to „uściski, pocałunki, kontakt z nagą kochanką, ale skromny, bez finału, bo nie przystoi on tym, co miłują miłością czystą”[9].

Naiwnością byłoby sądzić, że literackie kodeksy miłości przekładały się na postawy w życiu. Wątpliwe, aby jakiś dworzanin i jego dama, pokonawszy tysięczne przeszkody, objąwszy się, ucałowawszy i zrzuciwszy szaty, poświęcali resztę danego im czasu wyłącznie na sycenie oczu własnym widokiem. Ale niczego przesądzać nie należy. Różnie to mogło wyglądać. Na południu Francji przez kilka co najmniej pokoleń ton nadawała twórczość Guilhema i jego oryginalna koncepcja połączenia w jedno miłości pragnień z miłością uszlachetniającą. Kwestią osobistych preferencji było, na ile w ewentualnym związku skorzysta się z tej pierwszej – satysfakcjonując ciało, a na ile z drugiej – sycąc ducha. A w każdym razie wszechobecny postulat cnoty stanowił dogodny wyjście z rozmaitych kłopotliwych sytuacji. Na północy, gdzie panował surowszy klimat moralny, gdzie Kościół miał więcej do powiedzenia, a kary za cudzołóstwo wymierzano bez litości, cnota pewnie odnosiła w życiu równie wielkie triumfy jak w poezji.

## DAMA ALEGORIA

Tak więc przez niespełna półwiecze lekceważona do tej pory kobieta przekształciła się w otoczoną szacunkiem damę. Uczyniono z niej postać pomnikową. Pigmalion przewróciłby się w grobie, gdyby dotarło doń, że można chcieć odwrotnie. Ale cały ten pomnik zbudowano na piedestale cnoty, i tylko cnoty. Rzeczywiste zasługi kobiet w tej mierze były mierne. Innych przymiotów od nich nie oczekiwano, a już najmniej zalet umysłu. Ale i w tej dziedzinie i także za sprawą literackiego kaprysu coś miało się zmienić.

Zacząło się od małżeństwa wnuczki Guilhema Eleonory Akwitańskiej z Ludwikiem VII w 1137 roku. Wychowana na południu, przywiozła na północ Francji w posagu umiłowanie poezji dworskiej.

Nie trafiła na chętnych słuchaczy. Północ wolała swoje legendy pełne przygód, bohaterskich czynów, wolne od mdlawych westchnień i sentymentów. Przedsiębiorcza dama, a później jej córki, jęła więc – jakbyśmy to dziś określili – sponsorować twórczość, która łączyłaby oba gatunki.

Północ miała własną tradycję i własną literaturę o wielowiekowej tradycji – chansons de geste, śpiewne poematy epickie, z charakterystycznym metrum wspartym



na współbrzmieniu samogłosek, recytowane na ogół przy akompaniamencie instrumentu i opowiadające o przewagach wojowników i bohaterów, o księżach, dzielnych rycerzach i obrońcach wiary z czasów Karolingów. Z początkiem XII wieku pojawił się jeszcze inny gatunek: romans, poemat rymowany, dający większe pole wyobraźni i twórcy, i słuchaczowi, bo zwykle opowiadający o wędrówkach w nierzeczywistym świecie, o miłości, bojach i przygodach. We wczesnych utworach nurtu jak: Historia Aleksandra Wielkiego, Historia tebańska, Historia trojańska, odbija się echem kultura klasyku, którą wtedy świat odkrywał na nowo.

Szukano jednak tematów bliższych geograficznie i historycznie, bo taka była potrzeba polityczna. I tu właśnie pomysłowością wyróżniła się Eleonora Akwitańska, ówczesnie (1170) zamężna z Henrykiem II Plantagenetem – królem Normandii i Anglii. Dzięki niej odkryto bogactwo legend celtyckich o królu Arturze i rycerzach Okrągłego Stołu. Było w nich wszystko – historia, przygody, wspaniałe postaci i rycerska miłość. Eleonora osobiście opiekowała się wieloma wybitnymi trubadurami, wykorzystującymi ten temat. Jednym z nich był sam Bernart de Ventadorn. Jej dzieło kontynuowały córki, zwłaszcza Marie de Champagne, której kapelan Andreas stworzył słynny traktat Sztuka miłości dworskiej. Sporo w nim Owidiusza, ale też sporo Akwitanii. Pod opieką Marii rozkwitł talent Chretien de Troyes, który udanie łączył poezję miłosną z epicką, z miłości uczynił przygodę i stworzył postać błędnego rycerza. Tak pojawił się etos rycerski.

Naturalnie miała w nim swoje miejsce dama, dla której rycerz dokonywał czynów chwalebnych. Ale na północy Francji i w Niemczech, mniej skłonnych do romantycznych uniesień, dama rychło staje się enigmą, jakby znika z pola widzenia. Zamiast niej pojawiają się jakieś magiczne moce, przydające rycerzowi, gdy trzeba, siły, zręczności i wytrwałości, aby mógł dokonywać swoich bohaterskich czynów. On zaś odwdzięcza się wiernością, bo wierność – w Niemczech na przykład – wyrasta na pierwszą z rycerskich cnót. Ritter służy więc wiernie Bogu, władcy i damie serca – taka jest hierarchia. Minnedienst – rycerski obowiązek wobec damy serca – to bić się i zwyciężać z jej imieniem na ustach, czynić wszystko, aby być jej godnym, niczego nie oczekując w zamian, chyba że słów uznania.

Gdyby jakiś czarodziej dowcipniś wymienił damę na sztandar czy inny tego typu symbol, rycerz pewnie nie zauważyłby, że coś się zmieniło.

Miłość dworska obdarzyła damę przymiotem cnoty, rycerski romans przydał jej

władczych cech, bo z jej imieniem na ustach ruszano do zmagania na śmierć i życie. A jeszcze później tenże romans wyposażają w przymioty i umiejętności, które do tej pory rezerwowano wyłącznie dla mężczyzn.

Zaczął się od Jaufre Rudela, współczesnego Marcabru piewcy „miłości z oddali”. Ową daleką i niedostępną ukochaną wedle trzynastowiecznego biografisty, który dość dowolnie skonfabulował dzieje Rudela, miała być hrabina Trypolisu[\*5]. Uchodziła za legendarną wręcz piękność, a Rudel miał o niej usłyszeć od pielgrzymów wracających z Ziemi Świętej. Na jej cześć napisał cały zbiór pieśni miłosnych, a w 1147 roku zabrał się z wyprawą krzyżową w nadziei, że dane mu będzie na własne oczy ujrzeć obiekt swoich westchnień. Po drodze wszakże śmiertelnie się rozchorował i na brzeg Ziemi Świętej wyniesiono go umierającego. Czekala go jednak nagroda, bo ostatecznie tchnienie wydał w ramionach uwielbianej damy. Historia wzruszająca do łez, ale z rzeczywistością miała zapewne niewiele wspólnego. Wśród znawców trwa spór o prawdziwy obiekt westchnień autora. Ale raczej chyba mają ci, co uważają, że przedmiotem jego poetyckich uniesień była nie tyle dama, ile Ziemia Święta. Wedle Rudela czysta miłość stanowiła więc wartość samą w sobie, sens istnienia albo wręcz istnienie ze wszystkimi nadziejami, cierpieniami i radościami, jakie niesie miłość. Miłować zaś można wszystko, choćby Ziemię Świętą albo Łaskę Boską, a na kartach poematu przedstawiać obiekt tęsknot w damskiej postaci[10].

Był więc Jaufre Rudel wynalazcą wielkiej metafory. Następcy poszli dalej, tworząc gatunek literackiej alegorii, który rychło zdominuje całą literaturę średniowiecza. Palma pierwszeństwa należy do trzynastowiecznych twórców wielkiego Roman de la Rose. Romans o róży wyszedł spod piór dwóch autorów. Część pierwszą o tym, jak pewien kochanek staje w ogrodzie miłości, widzi przepiękną różę (metafora damy) i serce zaczyna mu płonąć, napisał (ok. 1230 roku)

Guillaume de Lorris. Kluczowa kwestia oczywiście sprowadza się do pytania: zerwać różę czy nie? Problem ciągnie się przez cztery tysiące wersów. Kochankiem targają sprzeczne uczucia, wyobrażone w poemacie jako alegorie Wygody i Kurtuazji, Radości i Nadziei, Piękna i Bogactwa, Słodkich Słów, Groźby, Pomówienia, Obawy i Wstydu. Jest też oczywiście Rozum, jest i Wenus, ale problem – zerwać czy nie – pozostaje nie rozwiązany.

Do czasu, bo czterdzieści lat później inny poeta – Jean de Meung – postanowił zagadkę rozwiązać i do pierwszej części dopisał drugą, znacznie obszerniejszą –

liczącą 18 tysięcy wersów – zupełnie inną w tonie i sposobie ujęcia tematu. Podczas gdy Guillaume de Lorris rozmarzał się, nurzał w sentymentach, dzielił włos na czworo, rozważając takie kwestie, jak choćby czy sztuczna kurtuazja sprzyja zabiegom miłosnym, Jean de Meung nie dywagował, pisał żywo, z dowcipem, wręcz cynicznie, głosząc chwałę zwykłej sztuki uwodzenia. De Lorris wynosił damę na niedostępne piedestały, de Meung, realista, traktował ją zwyczajnie, z lekceważeniem, wzgardą nawet, jak w życiu, bo taki był los większości kobiet. Tylko wybrane i tylko nieliczne, wysoko urodzone, bogate i piękne doświadczały innego życia i dworskiej miłości.

Jak na warunki średniowiecza *Roman de la Rose* był bestsellerem, zaczytywano się nim do końca epoki, debatując nad kontrowersyjną drugą częścią, bo to ona walnie przyczyniła się do sukcesu całości. Ale satyra Jeana de Meunga nie zmieniła wizerunku damy.

Pozostał jako pewien ideał oczywiście, a nie odbicie rzeczywistości.

Wielkie znaczenie *Roman de la Rose* polega zresztą na czymś innym.

Poemat zapoczątkował prawdziwe szaleństwo alegorii nie tylko w literaturze, ale i w sztuce, co nie powinno nas dziwić, bo nawet dziś stosunkowo nieliczni mają umiejętność abstrakcyjnego myślenia.

Alegoria pomagała zrozumieć skomplikowane problemy i zjawiska, a właśnie pod koniec średniowiecza nauka jęła czynić wielkie postępy. Pojawiały się nowe idee, zmiany następowały we wszystkich dziedzinach, od kosmologii po wychowanie dzieci, i alegoria stanowiła doskonałą metodę, by nowe dotarło także do prostych, mieszczańskich umysłów.

Ze zrozumiałych powodów artystycznych i estetycznych przynajmniej niektóre alegoryczne postaci musiały mieć kształt kobiety, co nierzadko dawało zaskakujące efekty. Łatwo wyobrazić Czystość, Cnotę, Naturę czy Wygodę pod postacią kobiety. Z Rozumem było już nieco gorzej, bo nie pasowało to do ówczesnego stereotypu, ale spotykało się i coś takiego. Więcej nawet, w kobiece kształty przybierano cechy i sprawy, które do tej pory uważano za męską domenę, jak choćby Sprawiedliwość, Naukę, Sztukę czy Geometrię. Gdyby rzecz miała charakter incydentalny, pewnie nie byłoby o czym mówić, ale alegoria jako forma artystycznego wyrazu przetrwała dobre dwieście lat i skojarzenia utrwaliły się. Nawet jeśli nikt nie wierzył, że kobieta może znać się na geometrii albo wymierzać należycie sprawiedliwość, to alegorie Geometrii i Sprawiedliwości z pewnością odegrały znaczący wpływ na tworzenie się

nowego statusu kobiet.

Oczywiście bohaterka dworskiej miłości i dama z alegorii to abstrakt – wyobrażenie, symbol stworzony przez mężczyzn na ich własną miarę i użytek, i oni przede wszystkim z owych ideałów korzystali. Ale też zaistnienie owych nierzeczywistych, pięknych, pełnych cnót istot przyniosło korzyść ich daleko niedoskonałym substytutom w rzeczywistym życiu, zapoczątkowało nowy etap wzajemnych stosunków obu płci i wpłynęło na postawy i wzorce zachowań. Mężczyźni stawali się bardziej rycerscy, kobiety – może nie bardziej cnotliwe, ale z pewnością bardziej wdzięczne, nie mówiąc już o tym, że i oni, i one z L'amour courtois czerpały sporo zwyczajnej przyjemności i radości.

## MARIA

Zbyt bliska była zbieżność w czasie między pojawieniem się zjawiska miłości dworskiej a nagłym upowszechnieniem się kultu maryjnego w Europie, aby mówić o przypadku, ale też tak ścisła koincydencja wyklucza raczej tezę, że jedno zjawisko zrodziło drugie.

Święta Maria miała oczywiście swoje miejsce w kalendarzu kanonicznym Kościoła zachodniego, ale takie samo jak wszyscy inni wyniesieni na ołtarze. Tak było do początku XII wieku, kiedy kult maryjny przeniknął z Bizancjum na Zachód i znalazł charyzmatycznego propagatora w osobie Bernarda z Clairvaux – wielkiego francuskiego teologa i mistyka, reformatora zakonu cystersów. Z jego inspiracji i za jego staraniem powstawały setki nowych klasztorów w całej Europie, a w nich kaplice poświęcone Niepokalanej. Na znak czci dla niepokalanego poczęcia cystersi przyjęli białe habity. Kult maryjny rozprzestrzenił się, przekroczył klasztorne progi z takim między innymi skutkiem, że z początkiem XIII wieku w pieśniach bardów i trubadurów nastąpiło kompletne pomieszanie i nie wiadomo było, czy wyraża się w nich uwielbienie dla Niepokalanej czy całkiem ziemskiej damy. Zatarła się granica między sacrum a profanum, a ci, którym udawało się oddzielać jedno od drugiego, jak choćby Dante Alighieri, czynili tak w imię czystości stylu literackiego, a nie z potrzeby ducha. Niepokalana przemieniła się w Notre Damę – Naszą Panią – postać zgoła arystokratyczną, znacznie bardziej przystającą do książęcych zamków na Zachodzie

niżli do ubogiej stajenki w Betlejem. W XIV i XV wieku jednak dzięki franciszkanom Maria zeszła z arystokratycznych wyżyn, stając się Serdeczną Matką, opiekunką ubogich i nieszczęśników.

Franciszkanie i cystersi wiele zrobili dla upowszechnienia jej kultu, niemało – bardowie i trubadurzy, ale równie wiele feudałowie, kupcy, a nawet mieszcianie, którzy zamawiali i opłacali dzieła sztuki i architektury tworzone i wznoszone ku czci Marii, którą postrzegano jako serdeczną, pełną ciepła opiekunkę – matkę albo wzór matki, nie tylko Bożej, ale takiej, o jakiej każdy mężczyzna marzył dla swojego syna. Wszelako uczeni ortodoksi, mający w swej pieczy sprawy kościelnej doktryny, nie przejawiali specjalnego entuzjazmu. Miało się to zmienić dopiero w okresie kontrreformacji, a więc w drugiej połowie XVI wieku. Na razie Kościół uważał, że tak w kulcie Madonny, jak i Naszej Pani wyrażają się idee nie przystające do sytuacji. Co innego Niepokalana. Ale kult, coraz powszechniejszy i coraz bardziej różnicujący się wewnątrz, wymykał się z ciasnych ram doktryny. Laikat, który godził się, że wiara i logika nie zawsze idą w parze, przyjmował bez zastrzeżeń, że Maria może być i Niepokalaną, i Matką, i Poślubioną Chrystusowi[\*6]. Ale dla teologów taka mnogość ról stanowiła problem niezwykle trudny do rozwiązania, nie tylko teoretyczny, lecz mający także określone implikacje praktyczne. Prosty chrześcijanin widział w Marii bardziej ideał kobiecości niżli świętą, a Kościół bolał, że Madonna podminowuje cały gmach kościelnej polityki, przeczy bowiem jego naukom w kwestii miejsca kobiet w życiu. Musiał jednak ustąpić i przyznać Marii miejsce szczególne, uzasadniając to jej wyjątkowością, co – dialektycznie rzecz biorąc – nie było mocnym argumentem[11].

## MARTA

Do dziś kościoły reformowane – protestanckie – podtrzymują fundamentalne stanowisko w kwestii kobiet, jakie w XIII wieku sformułował Tomasz z Akwinu. A głosił on, że skoro kobieta powstała z żebra Adama, jej oczywistym przeznaczeniem jest związek z mężczyzną. W tym związku kobieta ma być partnerem równoprawnym, ale wyłącznie w sferze, w której jej udział jest biologicznie niezbędny, a więc w prokreacji. Poza tą sferą mężczyzna występuje jako partner zdecydowanie „równiejszy”. Jest przecież głową rodziny, ponieważ to on jest nosicielem

„pierwiastka rozumu”. Przewaga mężczyzny wyraża się nawet w akcie seksualnym, w którym jemu przypada aktywna, a przeto szlachetniejsza rola, podczas gdy kobieta biernie mu ulega[12][\*7].

Według Tomasza z Akwinu i innych teologów małżeństwo ma dwie tylko godne uwagi cechy. Po pierwsze, tylko w związku małżeńskim można spłodzić potomstwo, nie popełniając grzechu, po drugie – małżeństwo chroni mężczyznę przed różnymi występkami seksualnymi. Te zaś, licząc od najpoważniejszych, to: zoofilia, sodomia (homoseksualizm), uprawianie stosunków w niewłaściwy sposób – „lubo z użyciem niestosownych środków [instrumentów?], bądź jak bestie lub potwory [chodzi zapewne o stosunki oralne i analne]”, dalej – masturbacja, kazirodztwo, cudzołóstwo, uwiedzenie i zwykłe, codzienne zleganie.

Pocałunki i pieszczoty nie są grzechem, jeśli ich motywem nie jest żądza (rzadki przykład zgodności Kościoła z ideami głoszonymi przez bardów i trubadurów). Co do nocnych zmaż, to w zasadzie też są wolne od grzechu, chyba że dochodzi do nich na skutek innych grzesznych czynności, jak: obżarstwo, opilstwo i oddawanie się lubieżnym myślom[13]. Wszelako jeden ze współczesnych teologów zauważa chytrze, że „w rozumieniu powyższej definicji nie stanowią jednak grzechu polucje przydarzające się kapłanom w konsekwencji wcześniejszych rozważań na tematy seksualne, kapłani bowiem, czasami przynajmniej, muszą te kwestie podejmować”[14].

Wzmianka o „lubieżnych myślach” nabiera szczególnego znaczenia wobec plagi strzyg, strzygoniów i tym podobnych upiorów, które ponoć nawiedzały bogobojących ludzi w średniowieczu. Jeszcze w IX wieku Hincmar, arcybiskup Reims, notował, że kobieta może paść ofiarą diabła, który przybiera postać ukochanego przez nią mężczyzny i wodzi ją na pokuszenie. Opowiadał też o cierpieniach pewnej zakonnicy, którą stale nawiedzał upiór, i dopiero ksiądz egzorcysta położył temu kres. W następnych stuleciach o nocnych upiorach słyszało się niewiele. W XII wieku sprawa znów odżyła, znajdując dobitny wyraz w rozmaitych kronikach. Ze szczególnie trudnym przypadkiem miał do czynienia Bernard z Clairvaux: pewną kobietę demon nawiedzał przez sześć lat i wykorzystywał co noc, podczas gdy jej ślubny mąż spał głębokim snem. Nie pomagały ani modlitwy, ani pielgrzymki do świętych miejsc. Bernard dał kobiecie swój pastorał, polecając, aby położyła go obok siebie w łóżku. Pomogło, ale nie do końca. Demon wprawdzie nie wykorzystał jej tej nocy, ale stanął



w progę i wykrzykiwał straszne obelgi. W pierwszą niedzielę po owej nocy Bernard wezwał do świątyni wszystkich mieszkańców Nantes, gdzie to się działo, wyjawiał sprawę publicznie, obłożył klątwą demona i surowo zakazał mu dalszego molestowania nieszczęsnej kobiety. W kronikach nie zanotowano, która z czynności podjętych przez świętego męża dała oczekiwany skutek: klątwa czy upublicznienie sprawy. W każdym razie któraś z nich – a może wszystkie – okazała się skuteczna, bo demon odstąpił od swej ofiary[15].

Trudno nie zauważyć, że plaga demonów wybuchła z całą siłą w okresie rozwoju miłości dworskiej, i choć upiory nie przestrzegały jej zasad, to między jednym a drugim istnieje chyba ścisły związek. Moda zrodzona i funkcjonująca na społecznych wyżynach bez wątpienia przenikała w dół, gdzie panowały nieco inne warunki. Gorzej urodzone damy mogły co najwyżej marzyć o ślubujących im miłość rycerzach, a piękne marzenia hołubione w ciągu dnia w nocy przybierały formę takich czy innych... fantazji. Klasyczny przykład samospełnienia się gorących pragnień. Demony, przybrane w damskie postaci, nawiedzały też mężczyzn, ale ciekawe, że strzygi nie wywoływały takich koszmarów jak ich męskie odpowiedniki i mężczyźni nie skarżyli się tak głośno jak kobiety. I nie wyjaśnia sprawy fakt, że mężczyźni są oswojeni z polucjami. Musiał być jeszcze jakiś czynnik zewnętrzny, sprawiający, że kobiety cierpiały koszmary, przynajmniej twierdziły, że cierpią, a mężczyźni nie. Kościół był wielce zaniepokojony. Tomasz z Akwinu i inni teologowie żywili przekonanie, że demon wykorzystujący kobiety jest w stanie je zapłodnić. Jak? W bardzo przemyślny sposób:

przybiera najpierw postać kobiety i w tym wcieleniu wchodzi w posiadanie męskiego nasienia, następnie wraca do własnej postaci i składa nasienie w łonie kobiety[16]. Wygląda na to, że dobre siedemset lat przed wynalezieniem sztucznego zapłodnienia z użyciem nasienia od anonimowego dawcy znano tę metodę!

Plagi nocnych demonów nie łączono zrazu z czarami, choć otwierało się po temu dogodne pole, a niejedną ofiarę nocnych wizyt można by zakwalifikować jako czarownicę. Wielkie polowania na czarownice zaczęły się później, a ich nasilenie nastąpiło w XVI i XVII wieku. Na torturach nieszczęsne kobiety pomówione o czary gotowe były przyznać wszystko, rzucić pierwszym lepszym nazwiskiem – urzędnika, kupca, nauczyciela czy oberżysty, krótko mówiąc, osoby publicznej, jako winnej współdziałania w jej rzekomych knowaniach[17]. Podkreślam:

kobiety, bo wśród oskarżanych o tego typu praktyki ich liczba znacznie przekraczała liczbę mężczyzn. W Szwajcarii na przykład, w regionie Lucerny, w latach 1450–1550 wytoczono 32 procesy o uprawianie czarów, w tym oskarżonym był tylko jeden mężczyzna. W Anglii, w Essex, w latach 1560–1680 odbyło się 291 procesów o czary, z czego tylko 23 przeciwko mężczyznom, z których zresztą jedenastu miało działać w ścisłym porozumieniu z kobietami[18]. Statystyczna czarownica była na ogół mężatką lub wdową w wieku 50–70 lat (starą jak na tamte czasy), złośliwą i brzydką. Wiele z nich było wioskowymi lub miejskimi akuszerkami, który to zawód w czasach wysokiej śmiertelności niemowląt budził wiele podejrzeń. Wierzono, że na sabatach czarownice raczą się krwią nie ochrzczonych niemowląt.

W *Malleus Maleficarum* (1486) – pierwszej wielkiej „biblii” inkwizytorów zajmujących się czarami – znajdujemy zeznania rzekomych czarownic, że dopuszczały się stosunków z szatanem. Znajdujemy też opis kochanka ze świata ciemności. Miał być ogromny, czarny, straszny, z penisem jak dyszel, z którego w stosownym momencie dobywało się nasienie zimne jak lód. Autorzy podręcznika przyjmowali takie opowieści równie bezkrytycznie jak dzisiejsi psychoanalitycy wynurzenia swoich pacjentów.

Fakt, że w późnym średniowieczu traktowano podstarzałe gospodynie domowe bez cienia szacunku, nie mówiąc o zwykłej ludzkiej życzliwości, nie powinien budzić zdziwienia. Tak to już jest, gdy nie jest się ani młodą, ani piękną. Ale nie wyjaśnia to ani nie usprawiedliwia innego faktu, mianowicie, że tak wiele z nich padało ofiarą sławetnych polowań na czarownice. Można by powiedzieć, że im doskonalszy ideał kobiety, tym sroższy los tych, które od owego ideału dzieliła największa przepaść. A liczby mogą wręcz przerazić. Otóż wedle bardzo ostrożnych, raczej zaniżonych ocen współczesnych badaczy tylko w szwajcarskim Vaud w latach 1591–1680 zamęczono 3371 rzekomych czarownic. W niewielkim miasteczku Wiesensteig w Niemczech tylko w roku 1562 spalono na stosie 63 kobiety.

W Obermarchtal, też w Niemczech, w ciągu dwudziestu czterech miesięcy posłano na stos 54 osoby – siedem procent całej ludności miasta. W liczącym ledwie 650 mieszkańców Oppenau w ciągu dziewięciu miesięcy stracono 50 osób[19].

Na szczęście większość ówczesnych Mart uniknęła prześladowań. Były to głównie mieszkanki miast, a chroniło je właśnie to, że zamykały się w swoim niewieścim świecie oraz że mężczyźni mieli inne sprawy na głowie, co nie znaczy, że ułatwiali

swoim małżonkom życie. Obrazowo można powiedzieć, że ówczesnym paryżankom dokuczały nie tyle upiory, ile ciągłe pretensje mężów, że nie są ani takie eleganckie, ani pełne cnót jak damy z pięknych pałaców, ani tak pokorne i niepokalane jak święta Maria, Matka Boża.

Zaraz na początku epoki rycerskiej wytworzyła się moda na „podręczniki etykiety” – poradniki wskazujące zakutym w żelastwo osiłkom, jak mają się obracać w cywilizowanym świecie. Pod koniec XIV wieku, gdy męski świat pojął, że do kobiet też dochodzą rozmaite treści i że nie są one pozbawione umiejętności uczenia się, powstały podobne dziełka adresowane właśnie do kobiet. Jedno z najwcześniejszych i najciekawszych opracował czternastowieczny kupiec z Paryża, człowiek dość już wiekowy, ale żonaty z osobą ledwie piętnastoletnią. Jego nazwiska niestety nie znamy, w historii pozostał jako Gospodarz z Paryża, a gospodarzem był chyba niezłym. Martwił się o żonę. Zakładał i godził się z tym, że po jego śmierci małżonka wyda się ponownie za mąż, a że nie chciał, aby w oczach następcy wyszła na brudasa i kocmołucha, napisał coś w rodzaju encyklopedii z hasłami i poradami dotyczącymi obowiązków religijnych i moralnych, prowadzenia domu, gotowania, zachowania się, dobrych manier – wszystkiego, co może ucieszyć męską duszę[20]. Było to dziełko zaiste imponujące, zawierało wszystko po trochu, i z Księgi Przysłów, i z Ischomachusa, i z poradników dobrej gospodyni. Niewiastę dzielną, któż znajdzie? Nowatorstwo dzieła Gospodarza z Paryża polegało na jego encyklopedycznej formie. Nie chodziło o to, aby książkę przeczytać raz od deski do deski, ale żeby po nią sięgać w miarę potrzeby.

Był to czas, kiedy i przed klasą średnią otworzył się dostęp do oświaty.

Sztuka czytania przestawała być rzadkością, co samo w sobie stanowiło rewolucję. Do tej pory za wszystkie źródła musiało wystarczać słowo mówione, osobiste doświadczenie i pamięć. Wraz z upowszechnieniem oświaty, a jeszcze bardziej z wynalazkiem druku, co w Europie nastąpiło pod koniec XV wieku, umysły wyzwalały się z parafialnych okowów. Słowo, choćby wypowiedane przez nie byle kogo, nie stawało się automatycznie prawem, bo coraz więcej ludzi miało odwagę, ambicję i możliwość wyrażenia swoich poglądów.

W latach 1100–1400 postawa mężczyzn wobec kobiet uległa nieporównywalnie większym zmianom niż w ciągu poprzednich czterech tysiącleci, jakie upłynęły od zarania cywilizacji. Ale moda na cnotę i moralność miała pewne, niezbyt przyjemne

skutki uboczne, zwłaszcza w środowiskach miejskich. Praktyczni kupcy i rzemieślnicy, trzymający swój dobytek pod kluczem, uznali, że małżonki też dobrze będzie zamknąć na cztery spusty.

Tak oto w XIV wieku pojawił się pas cnoty, zwany zrazu florenetyńskim, co wskazywałoby na włoskie pochodzenie pomysłu, ale niekoniecznie. Tak już jest z wynalazkami o wątpliwej wartości lub wstydliwymi, że zwykle przypisuje się je obcym. Jeśli idzie o pas cnoty, to padło na Włochów. Początkowo pomyślano go jako zabezpieczenie przed gwałtem, dość pospolitym przestępstwem w tamtych czasach. Rychło jednak wynalazkiem zainteresowali się mężowie, ci zwłaszcza, którzy żywili stare jak świat przekonanie, że kobieta z samej swojej natury jest istotą rozwiązłą.

Średniowieczny pas cnoty sporządzano zwykle z metalu. Urządzenie ściśle obejmowało krocze i miało dwa otwory na tyle duże, że umożliwiały normalne funkcje fizjologiczne, ale na tyle małe, aby nie dopuścić żadnego intruza. Pas zakładano na biodra i zamykano na klucz, którego jedyny egzemplarz miał oczywiście mąż, przynajmniej taką żywił nadzieję. Zdaniem ówczesnych prześmiewców i kpiarzy kluczy na ogół było więcej. Kursowały tysiące dowcipów na temat zapasowych kluczy, wytrychów i w ogóle sposobów pokonania przeszkody. Ciekawe, że pasy cnoty (dla kobiet, ale i mężczyzn)

figurowały w katalogach medycznych aż po lata trzydzieste ubiegłego wieku, z tym że polecano je jako urządzenia zapobiegające masturbacji. Jeden z najpopularniejszych modeli skonstruował w połowie XIX wieku doktor John Moodie z Edynburga, który twierdził z całą stanowczością, że połowa jego rodaczek Szkotek uprawia onanizm przy użyciu sztucznego penisa. Urządzenie doktora Moodie'ego i podobne modele były już znacznie wygodniejsze do noszenia, jeśli o wygodzie w tym kontekście w ogóle można mówić. Pojawiły się nowe materiały – kauczuk, potem guma. Szeroko stosowano kość słoniową i fiszbiny. Słowem – postęp[21][\*8].

## MARIA MAGDALENA

Mimo wymuszającego cnotę wynalazku francuscy i niemieccy historycy określają wiek XV jako wiek bastardów. Jednocześnie jest to wiek – co może nie być zbiegiem okoliczności – kiedy w domach pojawiły się kominy i kominki, a zamiast dawnych

alków przylegających do przepastnych sal zaczęto budować wygodne i ciepłe sypialnie, dające znacznie więcej poczucia prywatności.

W rodzinach arystokratycznych dziecko z nieprawego łoża traktowano normalnie, jako część rodzinnego domu. Nieprawy potomek wychowywał się na ogół ze swoimi prawymi braćmi i siostrami w domu ojca, a ojciec zwykle zapisywał mu w spadku jakąś kwotę lub ustanawiał dlań stałą pensję, ale do dziedziczenia rodowego majątku raczej nie dopuszczał. Niemal w całej Europie (łącznie ze Szkocją] dziecko z nieprawego łoża zyskiwało pełnię praw, gdy rodzicom udało się zawrzeć związek małżeński. Ale nie w Anglii. W roku 1235 wprowadzono tu prawo, mocą którego status dziecka był raz na zawsze określony w chwili jego urodzenia i nie mogło tego zmienić nawet późniejsze małżeństwo rodziców. Prawo to obowiązywało aż do lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Wiąże się to być może z faktem, że Anglicy niezbyt sobie cenili instytucję kochanek. Częściej, gdy już mieli taką potrzebę, korzystali z mniej lub bardziej ochotniczych usług służących bądź prostytutek, a tych oczywiście nigdy nie poślubiano.

W oczach cudzoziemców Anglicy jawili się jako niezwykle wstrzemięźliwi i nieskorzy do objawiania uczuć. Taki ich wizerunek utrzymywał się od 1500 do 1900 roku. „Owszem – zauważał pewien przybysz z Włoch – Anglicy wcale nie są wolni od żądz, ale nigdy nie widziałem, aby któryś z nich zabiegał o względy kobiety bądź umizgiwał się do jakiejś damy. Wniosek jest jeden: albo są niezwykle dyskretni, albo niezdolni do miłości, czego wszakże nie można powiedzieć o Angielkach, bo są one strasznie namiętne i wcale tego nie ukrywają”[23]. W rejestrach sądów kościelnych i dworskich z tamtych czasów odnotowano setki spraw o cudzołóstwo, co mogłoby świadczyć, że Angielki rzeczywiście miały temperament. Jeśli jednak pamiętać, że w tym samym czasie, w latach 1430–1545, utrzymywała się znamienna nierównowaga demograficzna – na każde sto kobiet przypadało 133 mężczyzn – sprawa zaczyna wyglądać inaczej.

Zwłaszcza na wsi wygłodniali osiłkowie folgowali sobie przy lada okazji. Edmund Paston wspomina smutny przypadek swego ulubionego pacholka, który – jak pisał – „lubieżny był strasznie i zrobił to w szczerym polu, ale miał pecha, bo go podejrzano i biedak musiał odejść”. W miastach działano bez wątpienia dyskretniej i przemyślniej. Stary plotkarz de Brantôme[\*9] pisał o pewnej sprytniej Francuzce, która nigdy nie robiła tego „po bożemu”. Nie pozwalała się położyć na plecach, przeciwnie, sama



zlegała na kochankach. Dlaczego? Otóż dlatego, żeby z podniesionym czołem twierdzić, że nigdy nie poddała się żadnemu mężczyźnie[24].

Londyńczycy mogli korzystać z burdelów w Southwark w poczuciu absolutnego bezpieczeństwa, bo wiedzieli, że czuwa nad nimi arcybiskup Canterbury pospołu z biskupem Winchester, do których należała jurysdykcja nad owymi przybytkami. Prostytcja kwitła w Europie od niepamiętnych czasów i władcy nic nie mogli na to poradzić. Kiedy Ludwik IX [z dynastii Kapetyngów, król Francji od roku 1226, później kanonizowany – *przyp. tłum.*] próbował położyć jej kres, napotkał sprzeciw poddanych, zwłaszcza mieszkańców Paryża, którzy wołali, że w tej sytuacji ich córki i żony nie będą mogły pokazać się na ulicy, bo wszędzie grozić im będzie gwałt[\*10]. Prostytcji nie zlikwidowano, a wraz z wzrostem aglomeracji miejskich przybrała ona rozmiary wręcz skandaliczne.

Kościół niewiele mógł poradzić, zresztą nie bardzo chciał. Jeszcze św. Augustyn powiadał, że jakkolwiek nierząd jest grzeszny i naganny, to „zakaz prostytucji sprawi, że wszystko przesiąknie żądzą”. Tomasz z Akwinu dołączył swój głos, porównując prostytucję do „brudnej fali w czystym morzu lub ścieku w pałacu... Usuniecie ściek, a brud i sodomia rozpleni się w całym pałacu”[26]. W tej sytuacji Kościół wołał skanalizować interes, a dziewczęta wziął pod swoją egidę.

I tak powstały przykościelne przybytki płatnej miłości. W takiej to placówce w Awinionie dziewczęta dzieliły czas między modlitwy, posługi religijne i usługi dla ludności. Tylko dla chrześcijan. Żaden Żyd ani poganin nie miał prawa przekroczyć progów przykościelnego burdelu. Papież Juliusz II był ponoć pod takim wrażeniem pomysłu pasterzy z Awinionu, że na początku XVI wieku założył podobną instytucję w Wiecznym Mieście.

Ale jak gracz, który obstawia wszystko, Kościół jednocześnie wzywał dziewczęta do porzucenia grzesznych praktyk, stawiając za wzór Marię Magdalenę – nawróconą nierządnicę[\*11]. Wybudowano „domy Magdaleny” dla upadłych kobiet, które zdołały się opamiętać. Miejscowi obywatele nie szczędzili na to grosza. Na przykład placówka założona w Wiedniu w roku 1384 pod nazwą Domu Dusz otrzymała tyle darów i legatów, że rychło stała się najbogatszą instytucją w mieście.

W roku 1480 wybuchł wielki skandal, gdy okazało się, że przełożona zakładu i wiele pensjonariuszek raz po raz schodziło z drogi cnoty.

Obok zwykłych i świątynnych domów publicznych funkcjonowała w Europie



jeszcze jedna ciekawa instytucja, zwana na kontynencie łaźnią, a w Anglii – „gorącą łaźnią”. Dawny rzymski obyczaj gorących kąpeli odszedł już w zapomnienie, ale krzyżowcy przywieźli do Europy ze świata islamskiego pomysł publicznych łaźni – zmodyfikowawszy jego formę. Średniowieczna europejska łaźnia mogła pomieścić pół tuzina osób, ale także można było urządzać sobie kąpiel we dwoje. Można też było wynająć pokój. Tylko w Paryżu na początku XV wieku działało ponoć trzydzieści takich placówek.

W Rzymie w roku 1490 liczbę „kobiet publicznych” oceniano na siedem tysięcy, co zdaje się potwierdzać fakt, że wśród stałych mieszkańców Wiecznego Miasta przeważali mężczyźni. Panie te kwaterowały na ogół w domach należących do kościoła lub klasztoru. Nierzadko można je było zobaczyć na ulicy w towarzystwie księdza. Wedle Sanudo, kronikarza Wenecji, w mieście liczącym ówczesnie 300 tysięcy mieszkańców swoje usługi oferowało 11 654 filles de joie. W czasach renesansu zachowywały się one mniej więcej tak jak hetery w starożytnych Atenach. Aretino, papieski poeta, zapewnia, że zdarzyło mu się spotkać jedną, „co znała na pamięć całego Petrarke i Boccaccia oraz mnóstwo poematów Wergiliusza, Horacego, Owidiusza, nie wspominając o pomniejszych mistrzach”. Jeśli przesadził w zachwycie, to chyba niewiele, bo faktem jest, że kurtyzany w epoce renesansu celowały w sztukach – potrafiły pięknie śpiewać, grać na instrumentach, recytować, a nawet pisać poezję. Niektóre zasłynęły na szerszym polu, jak choćby Tullia d’Aragona, szesnastowieczna autorka traktatu w stylu Platona. Inne, nie aż tak ambitne, prowadziły prawdziwe salony literackie. Tego typu działalność wymagała oczywiście stosownych środków, co znajdowało odbicie w cennikach. Na przykład Veronica Franco brała 4–5 koron za jeden pocałunek, 50 za „pełną usługę” – jak to ładnie określił Montaigne. Za noc z Tullią d’Aragoną pewien amator z Niemiec wyłożył równe sto koron. Trudno to przeliczyć na dzisiejsze pieniądze, ale dość powiedzieć, że Veronica brała za jeden pocałunek mniej więcej tyle, ile niezła służąca za pół roku pracy[28].

Z początkiem XVI wieku domy publiczne i samodzielnie pracujące prostytutki przeszły poważny kryzys – na skutek epidemii syfilisu, schorzenia o niejasnym pochodzeniu, załamał się rynek. Francuzi, zawsze skorzy do zrzucania z siebie odpowiedzialności, nazwali kiłę „chorobą neapolitańską”, Hiszpanie – „chorobą francuską”, a Niemcy – „hiszpańskim świerzbem”. Zdaniem wielu badaczy pierwotne ognisko syfilisu znajdowało się za oceanem, bo epidemia – brzmi argument –

wybuchła w półtora roku po powrocie Kolumba z pierwszej wyprawy w roku 1493. Gdyby jednak była to prawda, Kolumb i cała jego załoga – pięćdziesięciu chłopów – musieliby naprawdę ciężko „pracować”. Wedle innej teorii syfilis miał zrodzić się w samej Europie, gdy obojętne do tej pory bakterie na skutek mutacji nabrały właściwości patogennych. Jeszcze inni badacze twierdzą, że syfilis towarzyszył ludziom od zawsze, a nowością była tylko skala epidemii. Głosiciele tej teorii twierdzą, że liczne wzmianki o trądziku w średniowiecznych zapisach odnoszą się w istocie do kiły[29]. Trudno powiedzieć, kto ma rację, smutne jest natomiast, że choroba, która z całą mocą objawiła się w XVI wieku, nadal pochłania wiele ofiar.

## RENEZANS

Istnieje dość rozpowszechniony mit – powstały jak wiele innych w wiktoriańskiej Anglii – że włoski renesans dał nie tylko początek nowej kulturze, ale otworzył nowy rozdział w życiu kobiet. Zdaniem Burckhardta, żeby pojąć, jak żyła arystokracja, trzeba najpierw zwrócić uwagę, że kobiety należące do tej klasy korzystały z takich samych praw jak mężczyźni, i to we wszystkim[30]. Gdyby powiedział, że podobnie jak w XII wieku istniała pewna grupa kobiet ciesząca się szczególnymi względami, nic nie można by mu zarzucić, lecz uogólnienie idzie za daleko. Owszem, pewne kobiety cieszyły się wyjątkowym statusem i pozycją, ale do XVI wieku (początek renesansu datuje się na ogół na wiek XIV) zjawisko to miało ograniczony zasięg geograficzny i społeczny. Zamykało się obrębem najwyższej klasy i występowało w kilku ośrodkach miejskich na północy i w środkowej części Półwyspu Apenińskiego.

Świat włoskiego renesansu był światem mężczyzn – mężczyzn przekonanych o swoim przeznaczeniu, prawdziwych indywidualności, szlachetnych, romantycznych, bohaterskich i tragicznych. Te dwie ostatnie cechy przenikały całe ówczesne życie kulturalne, społeczne i polityczne, co armii historyków, zachwyconych wspaniałościami stylu włoskiego renesansu, dało asumpt do wysunięcia tezy, że świadczy to o duchowej dojrzałości ludzi i epoki. Ale granica między indywidualizmem a narcyzmem jest ulotna, a rezultat dążeń do objawienia siebie nie zawsze chwalebny. Szczególną wartością owej epoki stanowi natomiast elegancja i galanteria mężczyzn. Tak jak średniowiecze stworzyło rycerza, tak renesans dał

gentlemana – osobnika o nienagannych manierach, ale wyczerpanego z wszelkiej moralności, który nade wszystko uwielbiał mówić o seksie.

Pod tym względem wiek XV nie różni się od naszego. Seksem, a ściślej gadaniem o sprawach damsko-męskich, zajmowano się powszechnie, nie bacząc na żadne tabu. Weźmy wspomnianego Aretino, nadwornego poetę, a właściwie błazna przy tronie papieża Klemensa VII z Medyceuszów. Dał się we znaki niejednemu mężowi, wykpiwając go w rymowankach i sonetach, za co wyrzucono go z papieskiego dworu. Przeniósł się do Wenecji, żył na szerokiej stopie w otoczeniu kobiet i chłopców, wydając wspaniałe przyjęcia pod wymyśloną przez siebie nazwą festiwali miłości.

Pojawiła się moda na nagość, co biorąc pod uwagę atmosferę epoki nie powinno dziwić. Nie była to wszakże moda wszechogarniająca, jak ten i ów mógłby sobie życzyć. Objawiała się w sztuce – rzeźbie i malarstwie – nie tyczyła życia, co według Lorenzo Valli (1405–1457), znakomitego filozofa i erudyty, stanowiło absolutną nielogiczność. „Oto – pisał – zgadzamy się, aby właścicielki pięknych włosów, cudownego oblicza i wspaniałych piersi ukazywały nam swoje skarby, nie pozwalamy natomiast, aby podobnie czyniły te, których wspaniałości ukryte są w innych częściach ciała”[31]. Niektórzy ze współczesnych Valli podzielali jego pogląd, że kobiety noszą stanowczo za dużo szat, choć nie chodziło im dokładnie o to samo co jemu. Włochy w okresie renesansu opływały w bogactwa.

Nadmorskie miasta zbiły majątek na wyprawach krzyżowych, a później – zwłaszcza Wenecja – na handlu korzeniami. Mimo to mężczyźni bez przerwy narzekali na ekstrawagancje kobiet, choć sami nie byli bez winy. We Florencji w latach 1343–1396 wydano siedem aktów prawnych, określających maksymalną liczbę sukien, jakie kobieta może posiadać, długość trenu oraz wartość tkaniny i dodatków, a także głębokość dekoltu. W tej ostatniej sprawie nie chodziło o pieniądze, ale o znak przynależności klasowej.

Z nadejściem XV wieku zaczęła się również moda na akty męskie. Może nawet więcej niż moda i nie chodziło tylko o sztukę. Zjawisko tkwiące korzeniami w ponownym odkryciu kultury starożytnej Grecji wyrażało się nie tylko w nagich posągach Verrocchia, aktach młodzieńców pędzla Botticellego i Leonarda, ale także w życiu.

Mieszkaniec Włoch epoki renesansu wielbił nie tylko damskie, ale i męskie ciała. Brantôme wspomina, że w czasie pierwszej podróży do Włoch słyszał o niebywałej,

acz znamiennej aferze. Otóż pewien mąż zapłonął wielkim uczuciem do młodzieńca, który zbiegiem okoliczności umizgiwał się do jego małżonki. Namówił więc żonę, aby któregoś dnia sprowadziła owego chłopca do domu. Szczęśliwy młodzian znalazł się w łóżku z obiektem swoich tęsknot, a że rzecz była ukartowana, w stosownym momencie zdradzany mąż wychynął z ukrycia ze sztyletem w rękę, grożąc, że poderżnie młodzieńcowi gardło (czego mógł dokonać bez najmniejszych konsekwencji zgodnie z ówczesnym prawem), chyba że... no właśnie – młodzieniec zechce i jemu użyzyć swoich wdzięków![\[32\]](#) Wygląda na to, że już w XV wieku znano zabawę w lisa koło drogi.

Chociaż włoski renesans nawiązywał do dziedzictwa starożytnych Greków, choć fascynował się platońską koncepcją miłości (właśnie „odkryto” Ucztę), pederastia we włoskim wydaniu miała niewiele wspólnego z greckim pierwowzorem. Bardziej przypominała to, co pod koniec średniowiecza określano [angielskim] słowem buggery.

Oznacza ono sodomię i ma ciekawe pochodzenie, sięgające III wieku naszej ery i... manicheizmu – ruchu religijnego stworzonego w Persji przez Maniego, obwołanego przez Kościół heretykiem. Manicheizm przenikał na Zachód, dając początek różnym sektom w Prowansji, Niemczech, północnej Francji i we Włoszech, ale jego główny ośrodek pozostał na Wschodzie, ściślej, na obszarze dzisiejszej Bułgarii i właśnie dlatego słowo „Bułgar” (i jego rozmaite pochodne, jak „Bułgar”, „Bulgres”, „Bugari”, „Bugres”) stało się synonimem słowa „heretyk”. Z manicheizmu zrodził się ruch katarów, albigensów i inne sekty uznane przez Kościół za heretyckie i traktowane jako śmiertelne niebezpieczeństwo. O albigensach powiadano, że wykluczali prokreację, zakazywali uprawiania seksu i płodzenia dzieci. Widziano więc w nich odszczepieńców, ale rzecz szła dalej.

Skoro nie chcą płodzić dzieci, to jak to robią? Zapewne uprawiając stosunki homoseksualne – w średniowiecznej Francji była to najpowszechniej stosowana metoda antykoncepcji. Brantôme zauważa, że wielu jego znajomych „częściej używa swoje małżonki od tyłu niżli od przodu; od przodu tylko wtedy, kiedy chcą mieć dzieci”[\[33\]](#) [tak słowo buggery, wywodzące się od Bogu ducha winnych Bułgarów, stało się w angielskim synonimem sodomii – *przyp. tłum.*].

Z trzech krajów, które do dziś stanowią ostoję Kościoła katolickiego w Europie, Francja jak to Francja przykroiła doktryny na własny użytek, Włochy

podeszły do sprawy z właściwym sobie cynizmem, a Hiszpania z taką gorliwością neofitki, że wydała najsurowsze prawa przeciwko sodomii i najsurowiej je wdrażała, nie tylko u siebie, ale także w Nowym Świecie. Być może stało się tak w reakcji na lata arabskiej okupacji i arabskiej pederastii. Stałym elementem hiszpańskiego krajobrazu pod arabskim panowaniem byli bardajes – męskie prostytutki. Wedle powszechnego przekonania pielgrzymi do Mekki wynagradzali sobie trudy podróży stosunkami z poganiaczami wielbłądów, a i ze zwierzętami też. Surowe prawa dały jednak efekt. Dość wspomnieć, że w czasie licznych i długich wypraw konkwistadorów za ocean zanotowano tylko dwa wypadki stosunków homoseksualnych, a w żadnym nie uczestniczyli Hiszpanie. Pierwszego dopuścili się Niemcy – członkowie załogi, drugiego Włosi w czasie podboju ziem późniejszej Wenezueli. Winnych natychmiast ukarano. Na rozkaz hiszpańskiego gubernatora „uduszono ich i spalono ku powszechnej aprobacie”[34].

W Hiszpanii, Anglii i innych krajach europejskich równie zajadłe jak sodomię (homoseksualizm) zwalczano zoofilię. Jeronimo de Barrionuevo – kapłan i kronikarz – pisał z niekłamany uznaniem o wykonaniu w roku 1659 kary śmierci na dwóch wieśniakach. Pierwszy miał nieszczęście zakochać się we własnej oślicy, drugi „zlegął z maciorą”, i to w sytuacji – podkreślał Barrionuevo z przyganą – gdy „wokół jest tyle kobiet, że za szelągą można mieć trzy naraz”[35].

Ale sprawa opisana przez kronikarza była chyba wyjątkowa. Równie rzadkie były występki w postaci stosunków analnych i homoseksualnych, też zresztą obłożone karą śmierci. Generalnie w Hiszpanii notowano niewiele wykroczeń zwanych tam „włoskimi”. Może dlatego Francisco Gomes de Quevedo pozwolił sobie na sardoniczną uwagę, że „Genueńczyka i Hiszpana zadowoli jedna i ta sama kochanka, jako że nie będą sobie przeszkadzać, bo każdy zajmie się inną stroną tejże damy”[36].

Kochający normalnie lub inaczej mężczyzna włoskiego renesansu żywił mieszane uczucia względem kobiet. Niewątpliwie lubił gadać, a gadał gładko. Podobnie jak jego poprzednik ze średniowiecza, wdzięczył się do pięknych i bogatych, mniej zamożne i przystojne traktował z pobłażliwą uprzejmością, a całą resztą kobiecego gatunku pogardzał.

Coś się jednak zmieniało. Świadectiono znajdziemy choćby u Petrarcki (1304–1374), „pierwszego twórcy epoki współczesnej”. W sonetach sławił swoją Laureę – uosobienie cnót, piękna, szlachetności i w ogóle wszystkiego co naj[37]. Później

jednak pisał: „Kobieta... to prawdziwy diabeł, wróg pokoju, źródło prowokacji, przyczyna kłótni. Kto chce zażyć spokoju, niech się od niej trzyma z daleka... Żeni niech się ten, kto chce mieć żonę, kto ceni sobie conocne uściski, wrzask dzieciaków i bezsenne godziny... Co do nas, jeśli tylko stać nas na to, zapisujemy się w historii talentem, a nie małżeństwem, książkami, a nie dziećmi, cnotą, a nie towarzystwem kobiet...”[38.] Dwieście lat później niejeden taki Petrarca chciałby to powtórzyć, ale byłaby to musztarda po obiedzie. Mury zostały skruszone.

Odrzucono tezę Kościoła, że piękno to instrument zła. Nieco zbladła wartość cnoty. Kobiety zaczęły odgrywać znaczniejszą rolę w życiu religijnym, a nawet politycznym. Gdy stało się jasne, że dają sobie radę z obowiązkami i odpowiedzialnością równie dobrze jak mężczyźni, tym ostatnim zaczęło wreszcie świtać, że może należałoby coś zmienić w prawach. Żadne czyny za tym, co prawda, nie poszły (i nie pójdą jeszcze przez trzysta lat), ale fundamenty pod zmiany zostały położone.

Baldassare Castiglione (1478–1529), autor Dworzanina [polską adaptację Dworzanin polski wydał I. Górnicki – *przyp. tłum.*], włożył w usta jednego z bohaterów swego dzieła taką oto sentencję: „Nie masz takiego, co nie wie, że bez kobiet nie ma ani radości, ani zadowolenia. Bez nich żylibyśmy jako te bestie. To one oczyszczają nasze serca, a jak się zastanowić, to i myśli, bo nie tłumią, a przeciwnie, pobudzają przecież nasze umysły...”[39]. Takiego zdania nie napisałby nikt, gdyby nie to wszystko, co nastąpiło – dworska miłość, alegorie, kult Matki Bożej i edukacja Marty.

---

[\*1] Gdy zaczynała się III wyprawa krzyżowa, tym, co się ociągali, dawano pierze, kądziel i wełnę na znak, że „postępują jak kobiety”[3], co było niesprawiedliwe dla tych ostatnich, bo za rycerstwem pociągnęło ich wiele. Z samych prostytutek, które poszły za wojskiem, dałoby się stworzyć parę ładnych pułków.

[\*2] Pomijamy tu kwestie polityczno-religijno-dynastyczne, które zawsze traktowano wyjątkowo.

[\*3] Za tą teorią stoją wątpliwe argumenty. Katarzy wszelkie rozkosze ciała uważali za grzech, nawet małżeństwo mieli za instytucję służącą uprawianiu grzesznych stosunków.

[\*4] Miłość to nie transakcja, lecz dar serca – uważano w średniowieczu (a i dziś też). Nie ma przeto miejsca na miłość w małżeństwie, bo małżeństwo jest układem, w którym coś dostaje się za coś, a osobiste preferencje nie mają znaczenia.

[\*5] Miasto w dzisiejszym Libanie, a w XI wieku państewko krzyżowców założone przez Rajmunda IV, hrabiego Tuluzy – *przyp. tłum.*

[\*6] Godfryd z Admontu (zm. 1165) twierdził nawet, że Maria była poślubiona również



pozostałym członkom Trójcy świętej.

[\*7] Nauki Tomasza z Akwinu nadal stanowią fundament studiów teologicznych w większości seminariów, co sprawia, że odradzają się z każdym kolejnym pokoleniem kapłanów.

[\*8] Społeczności plemienne stosowały i stosują jeszcze dalej idące metody zagwarantowania czystości i wierności małżeńskiej. Jeszcze dziś mieszkanki Nubii z całą gotowością poddają się zabiegowi szycia warg sromowych, gdy małżonek wyjeżdża na dłużej. Po powrocie szwy się usuwa i wszystko wraca do normy[22].

[\*9] Pierre de Bourdeille, 1540–1616, autor m.in. *Żywotów pań swawolnych – przyp. tłum.*

[\*10] W roku 1976 mieszkańcy Leicester i Southampton w Anglii skarżyli się, że ich córki i żony są bez przerwy nagabywane na ulicach, nie dlatego wszakże, że brakuje prostytutek, ale że potencjalni klienci nie potrafią odróżnić jednych od drugich[25].

[\*11] Na postać Marii Magdaleny złożyły się trzy niewiasty występujące w Biblii, z których żadna nie była nierządnicą. Kościół potrzebował jednak świetlanej postaci, która mogłaby być wzorem dla grzeszników i dowodem, że skrucha jest drogą do zbawienia, a nawet świętości[27].

## 11. PRZEDSIĘWZIĘCIA IMPERIALNE

**M**ark Twain miał zapewne na myśli własny kontynent, gdy stwierdzał, że historię spisano atramentem uprzedzeń i przesądów[1], bo rzeczywiście w zderzeniu z prekolumbijską cywilizacją amerykańską, różną od europejskiej pod każdym względem, Hiszpanie zatracili zdolność racjonalnej oceny. Między Ameryką a Europą rozciągał się i ocean, i przepaść cywilizacyjna. Europa miała za sobą dwa tysiące lat postępu technicznego, rozwoju politycznego i filozofii judeochrześcijańskiej. Lista grzechów, jakie hiszpańscy odkrywcy i zdobywcy przypisali Inkom i Aztekom, obejmuje wszystko, co najcięższe i najgorsze: kanibalizm, rytualne mordy, kazirodztwo, narkotyki, pijaństwo, sodomie, cudzołóstwo, rabunki, zabójstwa. Brakuje tylko herezji, ale tego akurat grzechu nie sposób było Indianom zarzucić – byli wszak poganami, z samej więc definicji niezdolni do herezji[\*1].

Ale w XVI wieku nikt nie zastanawiał się, czy Hiszpanie myślą racjonalnie. Teologów i polityków absorbowała inna sprawa: jak zakwalifikować czerwonoskórych. Niby wystarczyło „grzechów”, aby uznać ich za bestie – okrutne, brutalne i „bezrozumne”, a jako takie łupić bez litości. „Istoty pozbawione rozumu nie są niczego władne, a przeto nie mogą mieć praw; nie korzystają z praw, bo nie są niczego władne”[3]. Taką właśnie wymyślono ideologię – jakże prostą, wygodną i znakomicie dostosowaną do imperialnych interesów zamorskich przybyszów. I sprawy rozwijałyby się bez przeszkód, gdyby nie bulla *Inter cetera* papieża Aleksandra VI z hiszpańskich Borgiów, ogłoszona w maju 1493 roku. Jej mocą Hiszpania zyskała władzę nad niemal całym Nowym Światem, jednocześnie jednak miała przywieść go na łono Kościoła. Miano więc „bezrozumne bestie” wychować w wierze, co samo w

sobie było paradoksem. Ale misjonarze znaleźli rozwiązanie. Przyszłe owieczki – twierdzili – nie są bezrozumne, jeno zagubione. Takie postawienie sprawy nie było jednak na rękę łupieżcom, czyli państwu. Łatwiej bowiem łupić bezrozumną bestię niżli zagubioną owieczkę. Powstał więc ostry konflikt między interesami państwa i Kościoła.

Gdy papież Paweł III uznał w roku 1537 Indian za „prawdziwych ludzi”, zwolennicy przeciwnego poglądu odrzucili werdykt jako stronniczy. Podobnie potraktowali szyderczą uwagę wielkiego hiszpańskiego teologa Francisco de Vitorii, że jeśli Hiszpania łupi Indie Zachodnie tylko dlatego, że panoszy się tam sodomia, to Francja mogłaby spokojnie złupić Włochy[4]. Zwolennicy poglądu o bestialstwie Indian nie tylko trwali przy swoim, ale z uporem godnym najlepszych propagandystów głosili swoją prawdę najhałaśliwiej, jak mogli, wychodząc z założenia, że nic tak nie przekonuje, jak uporczywe i głośne powtarzanie swego.

„Ich pomówienia obieły cały świat – zauważał z goryczą Bartolome de las Casas, dominikański misjonarz – i świat dał im wiarę, bo zawsze łatwiej wierzy się w zło niż dobro”[5].

Świat rzeczywiście wierzył, a mrozące krew w żyłach opowieści o kanibalizmie i rytualnych mordach trafiały na podatny grunt. Nie próbowano niczego zrozumieć, nie szukano żadnego wyjaśnienia, wystarczały opowieści konkwistadorów o wszechobecnej woni krwi. Reszty dopełniły bariery językowe, tępota i niszczycielskie działania bigotów, takich jak arcybiskup Zumarraga z Meksyku czy biskup Landa na Jukatanie, którzy spalili całe bogactwo świadectw z okresu prekolumbijskiego. Od samych Indian też niewiele można się było dowiedzieć, bo ci, co mogliby coś wyjaśnić, „starali się przypodobać Hiszpanom” i – jak wieśniacy – „odpowiadać zgodnie z ich oczekiwaniami”[6].

Gdy jednak zaczęto badać zagadnienie, okazało się, że sodomia, kazirodztwo i cudzołóstwo, gwałty, zabójstwa i rabunek stanowiły w państwach Azteków i Inków takie samo przestępstwo jak w Hiszpanii, że opilstwo – dopuszczalne w Hiszpanii – Aztekowie traktowali jako występki, że Inkowie podobnie jak Hiszpanie uważali prostytutkę za zło, ale – niestety – konieczne, że wcale nie dopuszczali się kanibalizmu i rzadko składali swoim bogom ofiary z ludzi.

Ale w świecie zdążył się już utrwalić zupełnie inny obraz mieszkańca Ameryki Łacińskiej, równie odległy od prawdy, jak odległy od rzeczywistości był wizerunek

średniowiecznej damy z opowieści o dworskiej miłości. Jeden i drugi obraz kreśliła obca ręka i w imię obcych interesów.

## „ROZWIĄZŁOŚĆ ODPYCHAJĄCA, NIENATURALNA”

Dziś rzekome dowody i świadectwa sodomii w prekolumbijskiej Ameryce brzmią co najmniej nieprzekonująco, a powtarzające się zarzuty tylko pogłębiają wątpliwości. Oto w roku 1519 pewien nieznany z nazwiska konkwistador pisał, że mieszkańcy Panuco nad Zatoką Meksykańską to „straszni sodomici”. Wkrótce potem, w roku 1522, władze miejskie w Veracruz (za zachętą samego Cortesa)

stwierdzają, że sodomia pleni się w całym Meksyku. W roku 1522 López de Gómara pisał, że sodomia ogarnia właściwie całe Indie Zachodnie. Wtórował mu Augustin Zarate, raportując dwa lata później, że sodomia szerzy się również w Peru. W 1569 roku temat podejmuje López Mendel. Nie pisze co prawda wprost, ale zauważa, że w Meksyku i w Gwatemali „panują nader osobliwe obyczaje”, których jednak wzbrania się opisać, żeby nie urazić niczyich uszu. Nie krępował się natomiast López de Velasco, który pięć lat później opisywał mieszkańców Puerto Viejo w Peru<sup>[7]</sup>. I tak to się ciągnęło.

Ale niektórzy ówczesni kronikarze podchodzili do sprawy w sposób odpowiedzialny i choć tu i ówdzie wyczuwa się przesadę w drugą stronę, to na podstawie ich zapisów można nakreślić obraz obyczajów seksualnych, ściślej: serię obrazów ukazujących społeczeństwo hiszpańskich Indii na różnych etapach rozwoju, od społeczności plemiennej o dość liberalnym stosunku do seksu po społeczność daleko bardziej zorganizowaną<sup>[\*2]</sup>.

Gdy rozpoczynała się konkwista, w Ameryce istniały trzy wielkie cywilizacje – Azteków w dolinie meksykańskiej, Inków w Peru i Majów na Jukatanie. Dwie pierwsze były stosunkowo młode, prężne i autorytarne, ostatnia – schyłkowa. Toteż cywilizacja Majów pozostaje najbardziej tajemnicza, najmniej zbadana, choć swoim wpływem obejmowała chyba największy obszar.

Obyczaje Majów dopuszczały stosunki homoseksualne wśród młodych ludzi. Więcej nawet, przedkładano je nad stosunki heteroseksualne. Rodzice młodego człowieka do momentu osiągnięcia przezeń wieku stosownego do małżeństwa

zapewniali mu odpowiednie męskie towarzystwo, zwykle niewolnika, z którym mógł się wyżywać. Obyczaj i prawo zakazywały innych form rozładowywania popędu płciowego. Za stosunek z niezamężną kobietą karano grzywną.

Jeśli partnerka była dziewczicą, aranżowano pospieszne zaślubiny[9].

Narzuca się więc wniosek, że małżeństwo traktowano z całą powagą, a heteroseksualne stosunki pozamałżeńskie postrzegano jako znacznie poważniejsze zagrożenie niżli stosunki homoseksualne.

Wypada dodać, że Majowie w odróżnieniu od Azteków oraz Inków tolerowali także homoseksualizm dorosłych.

Hiszpanie najpierw natknęli się na cywilizację Majów, skutkiem czego nabrali przekonania, że sodomia jest zjawiskiem powszechnym w całych Indiach Zachodnich. Był to oczywiście błąd, ale błąd zrozumiały. Odkrywczy nie zdawali sobie sprawy z ogromu kontynentu, na którym wylądowali. Poruszali się zrazu na obszarze między Jukatanem a [dzisiejszą] Panamą, zamieszkanym przez Majów lub plemiona im podległe, i rzeczywiście wniosek, że wszyscy tubylcy to sodomicy, nasuwał się sam przez się. W ojczyźnie odkrywców, w Hiszpanii, homoseksualizm uchodził za występki, sprawę wstydliwą i skrywaną. Tu tymczasem zetknęli się z zupełnie innym obyczajem. „Spójrzcie tylko, jak oni się tym chwalą – grzmiał Fernandez de Oviedo, unosząc złotą ozdobę wyobrażającą dwóch młodzieńców w miłosnym uścisku. – Cóż to za obrzydliwość!”[10] Rzec działa się w drugim dziesięcioleciu XVI wieku (dwadzieścia lat po pierwszej podróży Krzysztofa Kolumba). Fernandez de Oviedo nadzorował królewskie przetapialne złota, do których dostarczano najrozmaitsze dzieła sztuki indiańskiej. To, o którym mowa, wywołało tak gwałtowną reakcję Oviedo, że „własnoręcznie rozkruszył je młotem na drobne kawałki”[11].

Oburzenia nie krył też Vasco Nunez de Balboa [jako pierwszy z odkrywców dotarł w 1513 roku do brzegów Oceanu Spokojnego – *przyp. tłum.*]. „Panuje tu odrażająca rozpusta – raportował z Panamy. – Brat króla otacza się młodzieńcami w niewieścich strojach i oddaje się najobrzydliwszym praktykom”. Balboa załatwił sprawę krótko. Czterdziestu owych młodzieńców rzucił na pożarcie psom. Chciał w ten sposób opanować plagę, wierzył bowiem, że homoseksualizm może rozprzestrzeniać się jak zaraza. Podkreślał w raporcie, że „na szczęście odrażająca plaga nie dotknęła jeszcze prostego ludu”[12].

Innego zdania był Cortes. Idąc z Veracruz na stolicę Azteków Tenochtitlan, raz po

raz ostrzegał „wszystkich i każdego z osobna, aby odstąpili od czczenia bożków, nie składali ofiar z ludzi, położyli kres rabunkom i sodomii”[13]. Kiedy przedstawił tak brzmiący apel władcy Azteków Montezumie, ten wielce się zdziwił. Akurat pod tym względem prawo Azteków było niezwykle surowe. Wykluczało homoseksualizm pod każdą postacią. Winnych karano śmiercią. Również transwestyci wyjęci byli spod prawa i podlegali karze śmierci. Podejrzanych ścigano tak, jak gdzie indziej czarownice[14]. W prekolumbijskiej Ameryce nie znano pojęcia piekła i nie odkładano sprawiedliwości na później. Stosowano ją natychmiast, i to z całą surowością, wychodząc zapewne z założenia, że im poważniejsze przestępstwo, tym surowsza winna być kara, bo tylko taka skutecznie odstraszy innych. I tak, temu z partnerów związku homoseksualnego, który zachowywał się jak kobieta, „wrywano wnętrzności, wiązano go do pala, pozwalano gawiedzi zasypać nieszczęśnika popiołem, a losu dopełniano, układając stos i wzniecając ogień. Partnera czynnego też wiązano do pala i żywcem grzebano”[15]. Wynikałoby z tego opisu, że biernego uczestnika aktu homoseksualnego, a więc tego, któremu przypadała rola kobiety, traktowano okrutniej niżli tego, który odgrywał bardziej aktywną rolę. W istocie rzecz miała się inaczej. W prekolumbijskiej Ameryce życie ludzi miało niewielką cenę. Nad trudy życia przedkładano samobójstwo. Jeśli o tym pamiętać, to względnie szybka śmierć na stosie jawi się jako akt łaski w porównaniu z agonią pod warstwą wulkanicznego popiołu.

Dalej na południe, w Peru, winnych sodomii karano w ten sposób, że najpierw nieszczęśnika wleczono na linie przez całe miasto, następnie wieszano, a na koniec „palono z całym ubraniem”, zapewne aby wyplenić zło do samego końca[16]. W identyczny sposób karano winnych zoofilii. W górzystym Peru spotykało się znacznie częściej niż w Meksyku, bo więcej po temu było możliwości. Peruwiańczycy zdążyli bowiem udomowić lamy i wikunie, podczas gdy w Meksyku hodowano wyłącznie indyki oraz psy.

Poza tym w górskim Peru ludność żyła w rozproszeniu, w niewielkich osiedlach, do których z rzadka przybywał ktoś nowy. Można podejrzewać, że w odległych czasach homoseksualizm był w Peru zjawiskiem dość rozpowszechnionym, zwłaszcza w zakątkach odciętych od świata, ale został wypleniony jeszcze przed przybyciem konkwistadorów. Inkowie, jak wszyscy władcy absolutni, niszczyli wszelkie odstęstwa od tego, co uważano za normę. W miarę rozszerzania swych wpływów i



władzy plenili „odrażające praktyki”, gdzie tylko mogli[17].

Garcilasso de la Vega pisał, że „monarcha osobiście nakazał śledzić sodomitów, a winnych występku – niekoniecznie złapanych na gorącym uczynku, bo wystarczały najmniejsze nawet poszlaki – palić żywcem na oczach tłumu... Nawet sama nazwa zbrodni budziła odrazę i żaden Indianin nigdy nie używał tego słowa. Kto zaś publicznie wypowiedział zakazane słowo, tego traktowano jak istotę nieczystą”[18].

Cieza de Leon, jeden z najbardziej chyba obiektywnych i rzetelnych badaczy życia Inków w XVI wieku, pisał, że w regionie Chimu na północy, gdzie w nadrzecznej dolinie otoczonej pustynią powstała swoista cywilizacja, po interwencji Inków i wymordowaniu sodomitów na jednego mężczyznę przypadało aż piętnaście kobiet[19]. (Nie dodaje, czy w efekcie rozpleniły się tam związki lesbijskie). W rzeczy samej wiele wskazuje na to, że Chimu od lat stanowiło swoistą enklawę libertynizmu obyczajowego, który Inkowie poczytywali za zagrożenie dla swojej kultury. Tak więc „ostateczne rozwiązanie kwestii sodomii” na tym obszarze trzeba widzieć w znacznie szerszym kontekście polityczno-społecznym.

Pięćset kilometrów na północ od Chimu, w regionie Puerto Viejo w dzisiejszym Ekwadorze, w okresie przed konkwistą sodomię ponoć praktykowano otwarcie i z upodobaniem, choć – jak zauważa kronikarz – „nie brakowało tam kobiet, i to nader urodziwych · Źródła zjawiska – przynajmniej wedle legendy – miały tkwić w odległej przeszłości. Otóż „miejscowy lud został opanowany przez przybyszów z za morza, osobników o posturach olbrzymów, którzy któregoś dnia zjawili się na brzegach Puerto Viejo. Nie przywieźli ze sobą kobiet, a miejscowych nie mogli posiąść, bo były jak na ich rozmiar zbyt skromnie zbudowane, a poza tym olbrzymowie mieli zwyczaj uprawiania sodomii, no i grzech ten rozplenił się ponad wszelkie wyobrażenie. Nie bano się ani Boga, ani ludzi, dopuszczając się onych odrażających praktyk otwarcie i bez cienia wstydu”. Ale później, w latach czterdziestych XVI wieku – relacjonował Cieza de Leon – grzeszników spotkała zasłużona kara. „Oto pewnego dnia, gdy wszyscy olbrzymowie bez wyjątku oddawali się sodomii, niebo otworzyło się, na ziemię spłynął straszny ogień, rozległ się ogłuszający dźwięk, pojawił się anioł z błyszczącym mieczem w ręku i jednym cięciem wybił olbrzymów do nogi”[20]. Wszelkie analogie z losem Sodomy i Gomory są oczywiście zupełnie przypadkowe.

Legenda o olbrzymach rzuconych na brzegi Puerto Viejo jest głęboko zakorzeniona w kulturze tamtejszych mieszkańców i ma pewne materialne podstawy. Uważa się

bowiem, że przybysze z wysp Pacyfiku mogli docierać do zachodnich brzegów Ameryki Południowej już około 2500 roku p.n.e.[21] Kimkolwiek byli – śmiałkami, co świadomie wyprawiali się za morze, czy rozbitkami – lądowali wygłodzeni seksu. Jest więc możliwe, że za ich sprawą heteroseksualna społeczność zetknęła się z homoseksualizmem, możliwe jest nawet, iż homoseksualizm zaistniał zrazu jako obyczajowa sublimacja, mniej więcej tak jak w starożytnych Atenach, a później stał się zjawiskiem powszechnym i względnie trwałym. Jeszcze bowiem w roku 1580 Pedro Gutierrez de Santa Clara, metys, syn żydowskiego konwertyty i Indianki – zapisywał, że nadal mieszkańcy Puerto Viejo „oddają się sodomii w czasie rozmaitych pogańskich uroczystości, świąt i gdy sobie popijają”[22].

## JAKO TE GADY

Sodomia w znaczeniu, w jakim używali tego słowa hiszpańscy zdobywcy Ameryki, oznaczała głównie związki typu homoseksualnego.

Nawet niezbyt bystry obserwator z łatwością rozpozna i właściwie oceni młodego człowieka w niewieścim stroju, z kobiecym naszyjnikiem i bransoletami na rękach, nie mówiąc już o takich, co „zajmują się w domu czynnościami z natury wykonywanymi przez kobiety, jak choćby sprzątanie, zmywanie czy pranie”[23]. Co innego jednak sodomia w innym, węższym znaczeniu – jako synonim heteroseksualnych stosunków analnych. Tu wkraczamy na obszar znacznie bardziej dyskretny, wymagający znacznie wnikliwszego rozeznania. W tej mierze Hiszpanie dokonali pewnych odkryć, rzadko jednak o tym pisali. Jedyne ślady tego zjawiska w dokumentach dotyczą przypadków szczególnych, rzucających się w oczy, zwłaszcza gdy towarzyszą poligamii. Przykład znajdujemy w Historii naturalnej Indii Zachodnich spisanej przez Owiedę: „Wódz Behechio miał trzydzieści żon, z którymi zlegał nie tylko w taki sposób, jaki przystoi żonatemu mężczyźnie, ale także w sposób grzeszny i odrażający... Wódz Goacanagari miał specjalne białogłowy, z którymi zlegał jako te gady, bo tylko od bestii mógł się nauczyć takiego obrzydlistwa...”[24] Niewykluczone, że heteroseksualne stosunki analne upowszechniły się w reakcji na działania władców azteckich i inkaskich, mające na celu wyeliminowanie homoseksualizmu, i że właśnie w czasach konkwistadorów rzecz osiągnęła skalę szczególną. Tak przynajmniej można zakładać,

bo dowodów na poparcie tej tezy mamy niewiele. Niewiele bowiem zabytków sztuki prekolumbijskiej i świeckiej, i sakralnej ma za temat lub motyw sprawy seksu. Z kodeksów też niewiele wynika. Jest wszakże pewien wyjątek. Otóż w Peru zachował się interesujący zbiór naczyń glinianych – pucharów i kielichów – zdobnych w motywy, które mogą (jeśli potraktować je jako typowe) rzucić pewne światło na zwyczaje seksualne prekolumbijskich ludów zamieszkujących przedgórza And.

Lud Chimu – ten, któremu Inkowie zgotowali zagładę pod hasłem walki z homoseksualizmem – to spadkobiercy znacznie wcześniejszej cywilizacji, znanej pod nazwą Moche (lub Mochica), która rozkwitła w Ameryce Południowej około pierwszego tysiąclecia naszej ery i którą dałoby się porównać ze starszą o trzy tysiące lat cywilizacją Sumerów. Otóż wśród Indian Moche wykształcił się obyczaj umieszczania w grobach zmarłych rozmaitych przedmiotów codziennego użytku. Znaleziska archeologiczne w andyjskich nekropoliach dowodzą, że rzemiosło i sztuka Moche stały na dość wysokim poziomie, zwłaszcza sztuka lepienia naczyń i rzeźby. Twórcy mieli wyjątkowy talent przestrzenny i – co szczególnie ciekawe – wyraźną predylekcję do „sztuki erotycznej”. Charakterystyczne dla kultury Moche są pękate naczynia z wygiętymi na kształt łuku uchwyty, służącymi jednocześnie jako dzioby czy otwory, przez które wypijało się zawartość.

Parę lat temu ukazała się szczegółowa monografia tych obiektów pióra dwóch znakomitych znawców przedmiotu: historyka sztuki peruwiańskiej Rafaela Larco Hoyle'a (w posiadaniu jego rodziny znajduje się spora kolekcja omawianych tu zabytków)[[25](#)] oraz doktora Francisco Guerry – badacza społeczności prekolumbijskich. Przeanalizowali oni i opisali ponad sto naczyń, stwierdzając, że:

31 procent z nich przedstawia heteroseksualne stosunki analne, 24 procent ma za motyw męski członek, 14 procent ukazuje stosunek oralny, 11 procent – normalny stosunek heteroseksualny, 6 procent – akt seksualny ze zwierzęciem, 5 procent – masturbującego się mężczyznę, 4 procent – srom, 3 procent – homoseksualny stosunek analny, 1 procent – stosunek lesbijski, 1 procenta nie udało się zidentyfikować[[\\*3](#)].

Czy rzeczywiście w cywilizacji Moche nad „normalne” stosunki heteroseksualne przedkładano seks oralny i analny, a stosunki lesbijskie i homoseksualne były aż tak rozpowszechnione?

Stwierdzić się tego nie da, bo nie wiemy, czy znalezisko, o którym mowa, stanowiło wyjątek czy tak zwany reprezentatywny przykład. O porównania trudno, bo

odkryć archeologicznych jest niewiele. Jedno można powiedzieć z pewnością: Indianie Moche uprawiali seks na wiele sposobów. Co do stosunków analnych, nie można wykluczyć, że cała tajemnica sprowadza się do antykoncepcji – bo to najprostszy i najbardziej dostępny sposób uniknięcia niechcianej ciąży. Możliwe też, że chodziło o pozycję satysfakcjonującą partnera, gdy pochwa traciła elastyczność na skutek licznych porodów.

Równie prawdopodobne jest jeszcze inne wyjaśnienie. Otóż przy dość prymitywnej technice obrzezania mogło dochodzić do uszkodzenia szczególnie wrażliwej tkanki w okolicy żołądki i jurny Peruwiańczyk doznawał satysfakcji tylko w zetknięciu z silnym mięśniem okrężnym odbytnicy.

I jeszcze jedno, otóż twórcy – a ściślej twórczynie owych naczyń, bo wszystko wskazuje na to, że wyszły one spod kobiecej ręki – miały nie być jakieś poczucie humoru, i to raczej w rubasznym stylu. 24 procent przebadanych naczyń ma dziobek, przez który wypijano zawartość, w formie męskiego członka. Kilka uformowano na kształt sromu, a dwa naczynia wyposażono w dwa dziobki – męski i damski, co istoty rzeczy nie zmieniało, bo kto chciał ugasić pragnienie, musiał złożyć swoisty hołd miłości oralnej.

Oczywiście *jeux d'esprit*, z którą tu mamy do czynienia, musiała w jakiś sposób odzwierciedlać obyczaje panujące w połowie pierwszego tysiąclecia w Chicama, Moche czy Viru – dolinach, gdzie rozkwitły omawiane cywilizacje. Należy jednak zachować umiar i nie wyciągać zbyt daleko idących wniosków. Ostrzeżeniem niech będą sceny wyobrażające stosunki ze zwierzętami, a ściślej kobiety w uścisku z jaguarem, psem, a w trzech wypadkach z kormoranami.

## GRZESZNICY I ŚWIĘTY

Niezależnie od faktów w okresie konkwisty hiszpańskiej Kościół oczywiście zakładał, że sodomia ma charakter powszechny, i przystąpił do działania, zbrojąc spowiedników w zestawy pytań, jakie należało zadawać w konfesjonale.

„Czy zlegałeś z żoną w dniach jej słabości [menstruacji]? Czy łączyłeś się z nią w niestosowny sposób? Czy może dopuszczałeś się innych rodzajów rozpusty? Przypomnij sobie i szczerze wszystko wyznaj”[27].

W tekstach przygotowanych na użytek spowiedników, podobnie jak w materiałach, którymi posługiwali się penitencjarze, znajdujemy opisy wszelkich możliwych grzesznych czynności seksualnych. Rzadko który dokument zawiera tyle dosłowności i wulgaryzmów jak tekst, z którego korzystali spowiednicy niosący światło wiary wojowniczym Indianom plemienia Tarascan w zachodnim Meksyku w roku 1697:

„Jesteś zasię mężatką czy wdową? Dziewicą? Zali utraciłaś dziewictwo? A ile razy? Pożadasz kogoś? Krewnym ci on? W jakim stopniu? Grzeszyłeś z kobietą? Była to twoja krewna? Zali grzeszyłeś, biorąc kobietę w opaczny sposób? Całowałeś li białogłowe? Zali była to twoja mac – ta która cię zrodziła? Dopuszczałeś się sodomii?

Dotykałaś mężczyznę we wstydlive miejsca i miałaś grzeszne myśli?

Dopuszczałeś się grzechu ze zwierzęciem? Zlegałeś grzesznie z kobietą w taki sposób, że spoczywała ona pod tobą na czterech jako ta bestia? A z iloma to mężczyznami dopuszczałaś się grzechu? A ten, co cię posiadł, to twój ojciec? Starszy brat? A może młodszy? Zlegałaś li z niewiastą jak z mężczyzną?”[28] W roku 1583 okrzyknięty reformatorskim Trzeci Prowincjonalny Synod w Limie wydał tekst kazania do nawróconych Indian.

„Jeśli jest tu między wami taki, co dopuścił się sodomii, taki, co zgrzeszył z innym mężczyzną, z chłopcem lubo bestią, niech wystąpi i niech się ukorzy, bo za takie czyny ognie spadły z niebios na Sodomę i Gomorę i z obu tych miast ostały się jeno popioły. I wiedzcie, że za takie czyny grozi kara śmierci wedle praw naszych hiszpańskich monarchów... Wiedzcie też, że to za sprawą występnych czynów waszych przodków, a i grzeszników, którzy nadal są wśród was, Pan w niebiesiech sprawił, że oto wy – Indianie – musicie cierpieć od innych ludów...[\*4] Pan was uśmierci, jeśli się nie ukorzycie i nie wstąpicie na drogę poprawy. Już to czyni. Odrzućcie pijaństwo, odrzućcie wasze święta. Oneż to stanowią grunt, na którym wyrastają te odrażające grzechy. Wypędźcie chłopców i mężczyzn z waszych legowisk, nie zlegajcie pospołu jako te wieprze. Niech każdy sam układa się do snu. Nie śpiewajcie brudnych pieśni, nie używajcie nieprzystojnych słów, nie obłapiajcie się, bo to grzech i śmierć wam grozi i ognie piekielne też”[29].

Kościół nie miał zbyt wielkiego mniemania o swoich indiańskich owieczkach, los sprawił jednak wszystkim niezwykłą niespodziankę. Oto meksykańscy sodomici zyskali coś, co nie było dane ich współnikom w grzechu w całym świecie chrześcijańskim. Doczekali się mianowicie własnego patrona, legę artis świętego. W

roku 1732 niejaki Jose Manuel Garcia del Valle y Araujo, kapłan szpitala w mieście Meksyk, założonego jeszcze przez Cortesa w celu leczenia syfilityków, opublikował nowennę – specjalną dziewięciodniową modlitwę do świętego Bonifacego Męczennika z błaganiem, aby wstawił się u Pana i pozwolił grzesznikowi pozbyć się owych „odrażających wad”. Wielkie zaiste zaufanie pokładano w moc świętego Bonifacego, skoro tekst nowenny przedrukowywano i rozpowszechniano aż po wiek XIX. Inna sprawa, co sam święty Bonifacy, który w VIII wieku walczył z homoseksualizmem bliźnich, mógł myśleć o bagażu obowiązków, jaki nań nałożono w Meksyku[30].

## PROBLEMY DEMOGRAFICZNE

Święta wojna, jaką Hiszpanie wydali sodomii w Nowym Świecie, w istocie zaczęła się znacznie wcześniej. Jej źródła tkwią głęboko w historii i w boskim przykazaniu „bądźcie płodni i rozmnażajcie się”, do którego i Inkowie, i Aztekowie, choć oczywiście go nie znali, stosowali się w całej pełni. Dowody na to znajdziemy w ich prawodawstwie. Inkowie prowadzili wyraźną politykę prorodzinną. Zależało im na wysokim przyroście naturalnym, bo w ciągu zaledwie sześćdziesięciu lat niebywale rozbudowali swe imperium. U szczytu potęgi dawne państwo wielkości (dzisiejszej) Kalifornii sięgało od (dzisiejszego) Ekwadoru na północy po (dzisiejsze) środkowe Chile na południu. Północną granicę państwa Inków dzieliło od południowej prawie cztery tysiące kilometrów. Budowano drogi, systemy irygacyjne, zakładano pola uprawne na górskich zboczach, zagospodarowywano ugory, siano zboża, organizowano administrację, rozlokowywano garnizony wojskowe, zakładano gospodarstwa rolne i osiedla, słano kapłanów, aby umacniali władzę i cywilizację Inków na podbitych terenach. Rządy sprawowano żelazną ręką, ale rozumnie. System praw był surowy, lecz kary wymierzano w miarę łagodne, nie kierując się oczywiście zasadami humanitaryzmu, ale zdrowym rozsądkiem. Gwałt na dziewicy na przykład karano ukamienowaniem, ale od egzekucji odstępowano, „gdy ofiara wyrażała gotowość poślubienia sprawcy”[31][\*5].

Małżeństwo i praca – oto dwa filary inkaskiego ładu prawnego.

We wszystkich prawie miastach urzędowali specjaliści sędziowie, którzy „baczyli na



leniwych i ospałych, wymierzali im kary i posyłali do użytecznych zajęć”. Znaczniejsi obywatele i wodzowie mieli obowiązek „obsłużenia po pięćdziesiąt kobiet każdy, aby zwiększyć liczbę ludności”[32]. Czy to się komu podobało czy nie, prawo zabraniało pozostawania w stanie bezzennym.

Monarcha był ojcem narodu i jako taki miał obowiązek wydania każdej ze swoich „córek” za mąż. Obowiązek ten traktował z całą powagą. Raz w roku pod jego przewodnictwem odbywała się uroczystość masowych zrękowin w stolicy – Cuzco, a pod protektoratem królewskich wysłanników we wszystkich zakątkach kraju. Młoda para otrzymywała ziemię i dom budowany przez miejscową społeczność, krewni dostarczali meble. (Podobny system rozwinął się także w państwie Azteków). Skoro młoda para miała odtąd odpowiadać za siebie, musiała być w stosownym wieku. Wynosił on zwykle 18–20 lat dla kobiet i 24 dla mężczyzn, co oznacza, że w porównaniu z ówczesną Europą Indianie dość późno wchodzili w związki małżeńskie. Na temat poglądów i obyczajów Inków dotyczących dziewictwa wśród znawców epoki nie ma zgody. Jeden z siedemnastowiecznych biskupów Quito skarżył się, że nie sposób „przekonać indiańskich dziewcząt, aby dochowały dziewictwa *onte nuptios*, co w cywilizowanym świecie traktuje się z należyтым szacunkiem. Indianki przeciwnie – rade są tracić cnotę, a gdy nie mają po temu sposobności, rozpaczają, że nikt ich nie chce”. Eksceleńcja załamywał ręce nad owieczkami, które na wiele miesięcy przed ślubem żyją w grzechu, bo „każdy Indianin chce się doświadczalnie przekonać, czy przysła żona będzie mu odpowiadać”[33].

Pierwszą, czy też główną małżonkę Indianin poślubiał z nadania władcy. Nie mogło więc być mowy o rozwodzie ani wypromowaniu małżonki numer dwa na pierwsze miejsce, gdy taki wakat powstał (taki obyczaj zapewniał święty spokój w haremie). W razie śmierci małżonki danej od władcy wdowiec miał prawo, ale nie obowiązek, wzięcia kogoś w jej zastępstwie. Wdowa miała znacznie bardziej ograniczony wybór. Mogła poślubić wyłącznie brata zmarłego męża. Na tle tego swoistego prawa lewiratu pojawiła się w XVI wieku teza, że Inkowie są potomkami jednego z zaginionych plemion Izraela. Po śmierci ojca najstarszy syn przejmował obowiązki głowy rodu i roztaczał opiekę nad kobietami zmarłego.

Harem władcy zapełniano mniej więcej tak, jak czyniono to na dworze chana Kubilaja. Wysłannicy króla regularnie odwiedzali większe i mniejsze skupiska poddanych, wybierali co piękniejsze dziewczęta, zwykle dziesięcioletnie, które

następnie kierowano na naukę do specjalnych zgromadzeń przypominających klasztory. Po czterech– pięciu latach, gdy edukacja dobiegała końca, dziewczęta, noszące tytuł *acllacuna* – „niewiast wybranych”, poddawano swego rodzaju egzaminowi i przedstawiano władcy, który dokonywał ostatecznego wyboru. Część zatrzymywał dla siebie, część oddawał do dyspozycji dostojników, których chciał w ten sposób uhonorować, pozostałe przeznaczał do posług religijnych jako Dziewice Słońca.

Miały one obowiązek zachowania cnoty, w przeciwnym razie karano je śmiercią. Jeden z konkwistadorów twierdził wszakże, i to nader cynicznie, że „uchodziła z życiem dziewczica, która zaszła w ciążę, ale przysięgła, że stało się to za sprawą Słońca”[34]. I w rzeczy samej wymóg cnoty nie był chyba traktowany zbyt surowo. Wiadomo, że Dziewice Słońca stanowiły również pogotowie seksualne dla elity – ceniono je za urodę i wychowanie. Słano je także w prezencie Hiszpanom, trafnie zakładając, że docenią wartość daru. Niektóre źródła podają, że osoby pełniące funkcje spowiedników Dziewic Słońca[\*6] „były eunuchami lubo mężczyznami, którzy ślubowali czystość” – zwykle starymi ludźmi. Jeden z kronikarzy dodaje, że spowiednik podejrzany o nieprzystojne rozmowy z podopiecznymi karany był śmiercią[35].

Świadczyłyby to, że Inkowie mieli podobne problemy jak Turcy.

Obyczaj zastrzegania najpiękniejszych pańien do dyspozycji dworu jako Dziewic Słońca miał określone znaczenie religijno-polityczne. Władca uważał się za dziecko Słońca i „słoneczne” pochodzenie stanowiło manifestowaną na wszelkie sposoby legitymację władzy. Nałożnicami króla mogły być wyłącznie Dziewice Słońca, małżonką – tylko osoba o takim samym „słonecznym” pochodzeniu jak władca, co oznaczało, że – podobnie jak w starożytnym Egipcie – monarcha wchodził w związki kazirodzkie: żenił się z własną siostrą, bo tylko ona gwarantowała czystość rodu.

Kazirodstwo w pozamonarszym wydaniu karano z całą surowością, podobnie postępowano w państwie Azteków, a także w wielu indiańskich społecznościach plemiennych. Co do innych wykroczeń, to generalnie rzecz biorąc, w społecznościach Indian amerykańskich nie tolerowano gwałtów, cudzołóstwa i aborcji. W państwie Majów cudzołóstwo traktowano nieco łagodniej w tym sensie, że tylko recydywistów skazywano na śmierć.

W Peru, a więc w państwie Inków, zabiegano o wysoki przyrost naturalny w interesie umacniania imperium. W państwie Azteków sprawa miała inne tło. Obyczaj

składania na ołtarzach ludzkich ofiar powodował permanentny deficyt ludności i trzeba było temu zaradzać na wszelkie możliwe sposoby.

Warto w tym kontekście przyjrzeć się azteckim wojnom. Toczyły się nieustannie, stanowiły święty obowiązek, ich celem wszakże nie były zdobycze terytorialne, ale branie jeńców. Zwykle bitwę rozpoczynali łucznicy i oszczepnicy, zaraz potem zaczynała się walka wręcz, w istocie indywidualne pojedynki zbrojnych w tarcze i miecze wojowników. Nie chodziło o to, aby przeciwnika zabić, ale by osłabionego od ciosów zwlec z pola bitwy i jako jeńca oddać w ręce ciurów. Gdy prawdziwa wojna z takich czy innych przyczyn była niemożliwa, urządzano rodzaj igrzysk albo turnieju rycerskiego zwanego „wojną kwiatów”. I znów nie chodziło o pokonanie przeciwnika, ale o wzięcie możliwie największej liczby jeńców, aby w stosownym czasie dokonać na nich rytualnego mordy na ołtarzu.

Toczono te wojny z sąsiadującymi plemionami i Aztekowie zwykle wychodzili z ich zwycięsko, niemniej starcia i ciąg dalszy okazywały się kosztowne, jeśli przeliczyć je na ludzkie istnienia. Na ołtarzach składano bowiem tysiące ofiar. Swoisty rekord miał paść w roku 1486, kiedy w ciągu czterech dni wymordowano ponoć dwadzieścia tysięcy ofiar. Wedle niektórych znawców zagadnienia Aztekowie co roku poświęcali na ołtarzach ćwierć miliona ludzi. Siedemset ofiar dziennie![\[36\]](#) Liczba ta wcale nie jest nieprawdopodobna, jeśli zważyć, że tyczy całego państwa i niezliczonych świątyń, w których dokonywały się mordercze obrzędy.

Nie pozostawało to bez wpływu na sytuację demograficzną. Przy specjalnych okazjach na ołtarzach poświęcano kobiety i dzieci, głównie jednak ofiarami obrzędowych mordów padali młodzi mężczyźni.

Jeśli przyjąć siedemset ofiar dziennie i odnieść je do liczby ludności ocenianej na 25 milionów, to łatwo sobie wyobrazić, że takie tempo rodziło poważne ilościowe i jakościowe problemy demograficzne. To ostatnie oznacza ogromną nierównowagę płci. Ale w skali wartości Azteków i sąsiadujących z nimi plemion bardziej liczyła się przychylność bogów niżli fizyczne istnienie narodu, a bogowie domagali się ofiar.

Inkowie spoglądali w przyszłość, Aztekowie o nią nie dbali, nie wprowadzili więc żadnych rewolucyjnych zmian w polityce rodzinnej. Trzymali się starych zasad. Te – owszem – sprawdzały się wcześniej, ale nie wystarczały, gdy pod koniec XV wieku nastął czas masowych mordów rytualnych. Stare zasady polegały na tym, że karano nieproduktywne związki seksualne i wykluczano aborcję (pod groźbą kary śmierci).

Zachęcano do wcześniejszego niż u Inków wstępowania w związki małżeńskie (14–15 lat dla dziewcząt i 20 dla mężczyzn), dopuszczano do rozwodu, gdy małżeństwo okazywało się bezpotomne, i nie miano nic przeciwko poligamii w nadziei – jeśli oczywiście ktokolwiek nad tym się zastanawiał – że wielożeństwo może okazać się skutecznym remedium na deficyt ludnościowy. Nadzieje okazały się co najmniej płonne, jeśli zjawisko ocenić na przykładzie władcy Texcoco – posiadacza dwóch tysięcy nałożnic.

Dumny monarcha spłodził z nimi ledwie 144 potomków – skandaliczny rezultat jak na zainwestowane środki i zbyt nikły, żeby zmienić sytuację demograficzną państwa[37]. Biorąc pod uwagę konkretne liczby, nie można przyjąć wysuwanej przez niektórych historyków tezy o zbawiennych skutkach poligamii[38]. Król Axayacatl spłodził 22 dzieci, Auitzotl miał ich 20, Montezuma – 19, a Tlacaeleltzin – 17[39].

Takie liczby mogłyby imponować w związkach monogamicznych, ale w odniesieniu do „mnogich żon” rozczarowują. Świadczą też o kapitalnym marnotrawstwie potencjału rozrodczego. Wydaje się, że prości ludzie, żyjący z konieczności w związkach monogamicznych, osiągnęli lepsze rezultaty i legitymowali się większym wskaźnikiem płodności niżli pozostający w wielożeństwie możni ze szczytów władzy. Z drugiej strony jednak wielożeństwo dawało sporej grupie kobiet poczucie pewnego bezpieczeństwa i komfortu. W sytuacji braku równowagi demograficznej, gdy tak wielu kandydatów do małżeństwa marnowano na ołtarzach, kobiety te nie miałyby innych szans.

## RÓŻE MEKSYKU

Naturalnie niektóre niewiasty nie chciały lub nie myślały o wyjściu za mąż. Miały do wyboru kilka dróg. Mogły zająć się rzemiosłem – szyciem, tkaniem, mogły zatrudniać się do sporządzania manuskryptów, do gotowania, służyć jako akuszerki lub uzdrowicielki, a także jak wszędzie indziej kupczyć własnym ciałem. Mimo dość restrykcyjnych obyczajów dotyczących cudzołóstwa Aztekowie tolerowali prostytutkę[\*7], a nawet więcej, wyznaczali prostytutkom pewną rolę w ceremoniach religijnych.

Czterdzieści lat po konkwiście franciszkanin Bernardino de Sahagun badał

obyczaje Azteków. Przeprowadził wiele wywiadów z Indianami dotyczących przeszłości. Wyłania się z nich interesujący obraz dam z meksykańskiego półświatka. Zakonnik mógł się oburzać, ale faktem jest, że meksykańskie auianime miały wiele wspólnego z babilońskimi harimtu, z Chinkami z Zielonych Altan, greckimi heterami i z aivan z Bagdadu.

Kobieta publiczna – pisał ów badacz w Historia general de las cosas de Nueva Espana – „zaczyna swój proceder w młodym wieku i nie porzuca go do starości. I sprzedaje swe ciało, upijając się i na nic nie zważając. Jest piękna, elegancka, ale zepsuta do cna... rozpustna, wulgarna i gadatliwa. Dbą o siebie, stroi się i przysposabia, a po wszystkich zabiegach jawi się jako róża. Najpierw zerka w zwierciadło, potem bierze kąpiel, myje się starannie i odświeża, aby dobrze wyglądać... Namaszcza się żółtym kremem, zwanym axin, by mieć bladą skórę, na twarz nakłada róż, by wydać się światową. Zęby barwi szkarłatem, włosy rozpuszcza, by wydać się jeszcze bardziej piękną... Skrapia się perfumą i ciągiem żuje tzićli [żywicę, z której wytwarza się gumę do żucia], kłapiąc szczękami jak kastanietami.

Chodzi po ulicach wyglądając rozpustnych mężczyzn, śmieje się przy tym bez przerwy, ale serce ma niespokojne... Chodzi po ulicach, zaczepia wszystkich, popatruje na mężczyzn, strzela oczami, czyni wymowne gesty, uśmiecha się, aż znajdzie kogoś, kto jej odpowiada”[40].

O stawkach pobieranych przez dziewczęta w Meksyku kroniki milczą. W sąsiedniej Nikaragui w latach czterdziestych XVI wieku gaża za usługę seksualną wynosiła dziesięć straków kakao[41].

W Ameryce Środkowej funkcjonowały domy publiczne, czego Hiszpanie zrazu nie odkryli. Wydawało im się, że mają do czynienia z zupełnie niewinnymi łaźniami. W rzeczy samej przybytki owe bardziej przypominały fińskie sauny niżli domy kąpielii hiszpańskiej proveniencji. Były to niewielkie budowle z kamienia. Ogień rozpalano na zewnątrz, a gdy ściana nagrzała się wystarczająco, zlewano ją wodą i łaźnia napełniała się parą. Zażywający kąpielii smagali się trawą, jak gdzie indziej brzezinowymi witkami, a następnie wypoczywali na matach rozłożonych na ziemi. Kąpiel oczywiście służyła higienie, ale także stanowiła rodzaj rytuału, czego jednak Hiszpanie nie pojmowali. W ich opisach łaźnia jawi się jako przybytek zła, w którym „mężczyźni i kobiety obnażają się i oddają grzesznym czynnościom”[42].

W metropoliach, jak choćby Tenochtitlan, wejście do zawodu było stosunkowo

proste. Inaczej rzecz przedstawiała się w społecznościach plemiennych. Przykładem niech będą Indianie Sinaloa, mający swoje siedziby w okolicach dzisiejszej Arizony. Istniał tam specjalny obrzęd „konsekrowania” prostytutki. Wedle opisu hiszpańskiego kronikarza wyglądał mniej więcej tak: „miejscowi wodzowie obnażali się i nadzy szli w płas z przyszłą nierządnicą. Następnie wiedli ją do specjalnie przystrojonej chaty. Główny wódz obdarzał niewiastę [szalem] i bransoletami z turkusa i jako pierwszy zlegał z nią. Po nim inni wodzowie, a na koniec każdy, kto chciał. Kobieta tak naznaczona musiała się później oddać każdemu, kto gotów był jej zapłacić żadaną sumę. Nawet jeśli wychodziła za mąż, nadal musiała służyć wszystkim i każdemu, kto zechciał jej zapłacić”[43].

## NARODZINY METYSA

Hiszpańscy zdobywcy Nowego Świata cieszyli się w swoim kraju zasłużonym szacunkiem. Ruszali za ocean z oficjalnym błogosławieństwem po majątek dla siebie i skarby dla króla. Mało który, jeśli w ogóle, wyprawiał się tam „na stałe”, choć temu i owemu przydarzało się zostać za morzem po kres swych dni. Zwykle jednak pobyt w Nowym Świecie traktowali jako czasowy. Kłopotów z powrotem nie było, bo królewskie galeony i karawele krążyły między obu kontynentami niemal wahadłowo. Podobnie w późniejszych latach przedstawiała się wstępna kolonizacja brytyjskich Indii Zachodnich. Wyprawiano się na krótko, zawsze z zamiarem powrotu do ojczyzny.

Wróćmy jednak do Hiszpanów. Za ocean wyprawiali się bez kobiet.

Żony nie miały prawa towarzyszyć mężom w tych dalekich rejsach.

Siłą rzeczy u celu podróży musiało dochodzić do zbliżeń z miejscowymi kobietami, czasami za ich zgodą, czasami wbrew ich woli. Bywały kontakty przypadkowe, gdy jakiś żołdak dopadał wieśniaczkę, ale zdarzały się też związki bardziej stałe – między oficerami i dziewczynami z wysokich miejscowych rodów. Niektóre związki legalizowano, a i bez tego zawiązywały się względnie trwałe stadła, jak choćby sam Cortes i Malinche (Dona Marina – jak nazwali ją jego towarzysze). Malinche była niewolnicą, ale oddała niezwykle usługi swemu panu. Można powiedzieć, że bez niej nie doszłoby do podboju Meksyku.

Potomstwo mieszanych związków dziedziczyło cechy obojga rodziców, a



najważniejsze, że po ojcach okazywało się odporne na rozmaite zawleczone z Europy choroby, które bardziej niż sami Hiszpanie dziesiątkowały miejscową ludność. Ocenia się, że przed konkwistą Meksyk i Jukatan zamieszkiwało około 25 milionów Indian. Niewiele lat później było ich już tylko siedem milionów, a około roku 1650 liczbę rodowitych Indian oceniano na półtora miliona. Peru wedle pierwszych hiszpańskich ocen miało około dziesięciu milionów mieszkańców, a w 1650 roku tylko dwa miliony rodowitych Indian[44]. Lukę zapelnili Metysi – rasa zrodzona z hiszpańskich ojców i czerwonoskórych matek, najlepiej chyba przysposobiona genetycznie do objęcia w posiadanie całej Środkowej i Południowej Ameryki.

## INDIE WŁAŚCIWE

W prawdziwych Indiach sprawy rozwinęły się zgoła inaczej. Gdy Vasco da Gama dotarł do brzegów subkontynentu w roku 1498, sześć lat po pierwszej wyprawie Kolumba przez Atlantyk, nie odkrywał żadnej nowej ziemi. Lądował w kraju znanym Europejczykom od wieków, a znaczenie jego wyprawy polegało na przetarciu nowego szlaku do Indii – źródła tzw. korzeni. Handel nimi, zwłaszcza pod koniec średniowiecza, odgrywał ogromną rolę w gospodarce ówczesnej Europy. Morski szlak, który wytyczył, pozwalał Portugalii na przełamanie turecko-weneckiego monopolu na import korzeni, sprowadzanych do tej pory lądem.

Indie zawsze stanowiły łakomy kąsek. W konsekwencji wielu najazdów od północy subkontynent ułożył się w niezwykle barwną mozaikę rozmaitych kultur, religii, języków, systemów i interesów politycznych. W odróżnieniu od Chin Indie nigdy nie wchłaniały i nie asymilowały obcych żywiołów. Nie pozwalała na to religia. Nie można jej było przyjąć ani się na nią nawrócić. Hindusem był tylko ten, kto urodził się Hindusem. Powstało więc państwo wielonarodowe, a przybysze zachowywali swoje obyczaje i religię, chyba że przyjęli buddyzm lub dżinizm, które jednak nie miały takiego zasięgu jak hinduizm. Nierzadko zachowywali także język[\*8]. Sam hinduizm ulegał jednak pewnym przemianom, dostosowując się do nowych czasów, warunków i wpływów kolejnych zdobywców – Portugalczyków, Mogołów, a na koniec Brytyjczyków.

Podczas gdy za sprawą Hiszpanów w Ameryce Łacińskiej powstał nowy

genetycznie naród, to Portugalczycy i Brytyjczycy dołożyli tylko kamyczek do barwnej mozaiki narodów Indii – chrześcijan mieszanego, europejsko-azjatyckiego pochodzenia. Kamyczek co prawda niebłahy, ale jeden z wielu. Przybycie Mogołów natomiast, należących do świata islamu, zaowocowało ostatecznie bolesnym podziałem Indii w roku 1947 i powstaniem Pakistanu.

Mogołowie nastali w Indiach w roku 1526. Przywiódł ich Babur i on też założył dynastię i państwo, które z czasem stało się symbolem luksusu, smaku i wszelkich bogactw. Szesnaście lat wcześniej, w roku 1510, Portugalczycy przejęli Goa – niewielkie terytorium na zachodnim brzegu kontynentu – i jęli budować własną potęgę wspartą na handlu, znajomości szlaków morskich, a nade wszystko na poczuciu chrześcijańskiej wspólnoty i lojalności coraz liczniejszej grupy *mesticos*.

Chrześcijaństwo w Indiach rozwijało się wolno, nawróceń zrazu było niewiele. Dopiero gdy w roku 1542 przybyli jezuici, walka o dusze nabrała wyrazu i tempa[\*9]. Niszczono świątynie dawnych bóstw, wypędzano kapłanów, palono święte księgi. Na skutek nie trzeba było długo czekać. I hindusi, i muzułmanie, i żydzi z terenów przyległych do portugalskich enklaw jęli przyjmować chrzest, już choćby dlatego, że nie mieli gdzie czcić własnych bogów. Reszty dopełniły dekrety i edykty synodów Kościoła w Goa (opatrzone sankcją wicekróla), wchodzące głęboko w sferę prywatnego życia. Zakazano innych poza chrześcijańskimi ceremonii ślubnych, wykluczono obrzędy *sati*, zabroniono wielożeństwa. Kto zdążył poślubić więcej niż jedną kobietę, musiał wyrzec się wszystkich poza pierwszą. Kto miał wyłącznie nałożnice, musiał wziąć jedną do ołtarza, a resztę oddalić.

Wspólnota wiary, choć oparta na takim wątpliwym fundamencie, okazała się trwalsza niżli wspólnota krwi. Pierwszy portugalski gubernator Wschodu Alfonso de Albuquerque uznał, że *mesticos* – potomkowie portugalskich żeglarzy i miejscowych kobiet – winni są lojalność Portugalii, choć ich ojczyzną są Indie. Teza brzmiała atrakcyjnie, a przed portugalskimi żołnierzami i handlarzami otwierała perspektywę legalizacji związków z miejscowymi kobietami, w które wchodzili równie chętnie jak Hiszpanie z Indiankami w Ameryce.

Wielu gotowych było stanąć nawet na ślubnym kobiercu, zwłaszcza że niepisane prawo dozwalało mieć żonę i tu, i tam – jedną w Portugalii, drugą w Indiach. Był to układ nader wygodny i tylko misjonarze od czasu do czasu podnosili alarm, grząc na tych, co posuwali się krok dalej i nabywali sobie „stada niewolnic, jakby to były

owce”, i pokładali się ze wszystkimi po kolei. Przeciętne damskie „stado” przeciętne przybysza z Europy lub jego miejscowego, euroazjatyckiego potomka liczyło 15–20 „owieczek”[46].

Z czasem jednak zaczęły się kłopoty. Nie ze stadem, ale z mesticos. Teza gubernatora Albuquerque poszła w zapomnienie, a powszechna opinia zwróciła się przeciwko nosicielom mieszanej krwi.

Uważano ich za zbyt miękkich, mało męskich, wręcz zniewieściałych, nie nadających się do niczego, nawet na mięso armatnie. Począwszy od roku 1634 mestico, który pragnął zaciągnąć się do wojska, musiał przedstawić zaświadczenie od proboszcza, że jest synem, a przynajmniej wnukiem rodowitego Portugalczyka. Również w administracji utrudniano mieszkańcom kariery. W efekcie coraz więcej Euroazjatów portugalskiego pochodzenia obdarzało zamorską metropolię bardziej niechęcią niżli lojalnością.

Nie sprawdziły się także nadzieje gubernatora Albuquerque na wzrost populacji Euroazjatów. Stanowili oni nikły procent ludności Goa. Jedną z przyczyn był skromny napływ mężczyzn z metropolii.

W XVI stuleciu w podróż do Indii ruszało rocznie około 2400 śmiałków, ale tylko mniej niż połowa wytrzymała trudy wielomiesięcznej żeglugi. Tubylców tymczasem stale przybywało. W XVI wieku było ich w Goa milion. Portugalczycy, w przeciwieństwie do Hiszpanów w Ameryce, nie zgotowali miejscowym rzezi, a na przywleczone z Europy choroby tubylcy okazali się dość odporni (co zawdzięczali swemu indoeuropejskiemu pochodzeniu). W tej sytuacji Euroazjaci pozostawali absolutną mniejszością[\*10], a z czasem ich liczba uległa dalszej redukcji. Co bardziej przedsiębiorczy opuszczali Goa, przenosząc się do brytyjskich Indii, gdzie otwierały się szersze perspektywy[47].

Inni wtapiali się w hinduskie otoczenie. W 1956 roku spośród półmilionowej ludności Goa tylko tysiąc osób podawało się za descendentes – potomków Portugalczyków z mieszanych związków[48]. W sumie był to niewielki kamyczek w mozaice indyjskich ras i religii, ale ciekawy – genetycznie indyjski, a pod względem języka, obyczajów, poczucia moralności katolickiej zdecydowanie portugalski.

Znacznie wyraźniejszy ślad w indyjskiej mozaice zostawili Brytyjczycy, którzy władali Indiami od 1757 po rok 1947, kiedy Indie zyskały niepodległość. Przybysze z Brytanii obdarzyli Indie o wiele liczniejszym (i wpływowym) mieszanym potomstwem

niżli Portugalczycy, a co ważniejsze, zmienili oblicze hinduizmu.

Brytyjczycy nie chcieli ingerować w obyczaje i tradycyjny indyjski tryb życia. Były jednak sprawy, z którymi nie mogli się pogodzić.

Już w roku 1795 wprowadzili prawa przeciwko dzieciobójstwu, a ściślej, przeciwko usankcjonowanemu obyczajem zabijaniu dziewczynek. Prawo okazało się jednak mało skuteczne, a tradycja niezwykle silna i trwała. „Jeśli głowa rodu nie poczyni szczególnych zastrzeżeń i zdarzy się tak, że wyjedzie, wtedy rodzina uśmierca nowo narodzoną dziewczynkę w przekonaniu, że spełnia życzenie nieobecnego ojca”<sup>[49]</sup> – wyjaśniał w połowie XIX wieku sir Williamowi Sleemanowi jeden z bogatych feudałów z Radżputany. Jeszcze w roku 1870 władze [brytyjskie – *przyp. tłum.*] próbowały wprowadzić system rejestracji urodzin i monitoringu nowo narodzonych dzieci płci żeńskiej, ale nadal bez skutku.

Kolejny problem to sati. Na długo przed nastaniem Brytyjczyków cesarz Aurangzeb z dynastii Wielkich Mogołów wprowadził zakaz obrzędowego całopalenia wdów. Sati obrażało uczucia religijne muzułmanów równie mocno jak chrześcijan. Ale praktyka ta utrzymywała się nadal, zwłaszcza, podobnie jak dzieciobójstwo, na ziemiach Radżputów, znanych z szowinistycznego stosunku do kobiet. W 1780 roku 64 małżonki zmarłego właśnie radży Marwaru spłonęły obok niego na stosie. Zdając sobie sprawę z religijnego znaczenia sati, Brytyjczycy działali ostrożnie, a zaczęli od tego, że wysyłali policjantów na ceremonie pogrzebowe z zadaniem sprawdzenia, czy wdowa wstępuje na stos z własnej woli, czy nie jest w ciąży i czy skończyła szesnaście lat. Było to jednak wątpliwe rozwiązanie, a zainteresowani potraktowali je jako de facto przyzwolenie na praktykę całopalenia wdów. Liczba notowanych oficjalnie sati w Bengalu wzrosła z 378 w roku 1785 do 839 w roku 1818. Jedenaście lat później władze zdobyły się na odwagę i wyjęły sati spod prawa na obszarze Bengalu. W 1830 roku podobny zakaz wprowadzono w Madrasie. Wedle nowego prawa każdego, kto asystował przy ceremonii, można było postawić przed sądem pod zarzutem współudziału w zabójstwie. Mimo to w odleglejszych zakątkach kraju obyczaj sati trwał aż po lata sześćdziesiąte XIX wieku. Jeszcze w roku 1932 londyński „Times” donosił o próbie sati, podkreślając, że tylko dzięki energicznej akcji policji udało się uratować wdowę, ale trzy inne osoby poniosły śmierć<sup>[50]</sup>.

Prawo działa tylko wtedy, gdy zainteresowani mają świadomość jego istnienia i gdy daje się skutecznie wdrażać. Nie powiodły się próby Brytyjczyków zakazu

poligamii. Sankcjonowane przez hinduizm wielożeństwo nie było – nawiasem mówiąc – powszechnym zjawiskiem. Ostatecznie kres poligamii położono dopiero w roku 1950, w niepodległych już Indiach, wprowadzając stosowny paragraf do kodeksu karnego[51]. Niewielki skutek przyniosła ustawa Brytyjczyków z roku 1868 o małżeństwie hinduskich wdów. Miała być instrumentem walki z dyskryminacją kobiet, które utraciły mężów, ale niczego w istocie nie zmieniła. Mało kto o niej wiedział, a poza tym tradycja wykluczania wdów z życia społecznego okazała się silniejsza. Podobny los spotkał ustawę o kształceniu kobiet. W 1939 roku naukę w szkołach pobierało zaledwie trzy miliony dziewcząt – dwa procent żeńskiej populacji Indii[52].

Ale niezależnie od tego, ile osób zdawało sobie sprawę z wpływu nowych praw na święte tradycje i obyczaje hinduskie, sam fakt, że jedno pociągnięcie piórem może sprawić, iż to, co przez wieki było święte, okazuje się występkiem, wywołało szok. Nowe prawa uderzały nie tyle w podstawy filozofii bramińskiej, ile w sam fundament systemu – w życie rodzinne. Hinduizm – skała, na której wspierał się cały system społeczny Indii – zaczął się kruszyć.

Brytyjczycy mieli wiele wątpliwości, ogłaszając prawa, które w efekcie doprowadziły do erozji zastanego w Indiach systemu. W rzeczy samej dla świętego spokoju i w imię swojej filozofii rządzenia woleliby zostawić sprawy po staremu. Podobnie jak Portugalczycy, rozważali w pewnym momencie możliwość stworzenia silnej społeczności euroazjatyckiej (anglo-indyjskiej). Skończyło się na rozważaniach, bo sprawę załatwiło samo życie. Przez pierwsze siedemdziesiąt lat niewiele Angielek towarzyszyło mężom w wyprawach do Indii. Później przybywało ich więcej, co jednak nie miało wpływu na zachowania młodych kawalerów, których kierowano do służby w kolonii, nie mówiąc już o wiecznie wygłodzonych seksualnie żołnierskich masach, a liczba żołnierzy, zwłaszcza po powstaniu sipajów w roku 1857, ciągle rosła. Rosła też liczba potomków z mieszanych – anglo-indyjskich – związków.

Ale jako grupa Anglo-Hindusi wielce różnili się od swych odpowiedników w Goa. Rzecz w tym, że w skatolicyzowanej enklawie portugalskiej przestały funkcjonować tradycyjne podziały kastowe.

W konsekwencji descendent, jeśli tylko chciał (lub chciała), zawsze mógł powrócić do swych indyjskich korzeni – wtopić się w miejscową społeczność. Dla Anglo-Hindusa powrotu nie było. Na przeszkodzie stał właśnie system kastowy. W brytyjskich Indiach nikt nikogo nie nawracał i hinduizm, a wraz z nim system kastowy,

trwał niezachwiany. Dzieci mieszanych małżeństw z samej definicji nie kwalifikowały się do żadnej z kast. Skutek był taki, że Anglo-Hindusi skupiali się wokół siebie, tworzyli jakby odrębną klasę, nad którą Brytyjczycy roztaczali szczególną opiekę, otwierając jej drogi do awansu na średnie szczeble administracji, zwłaszcza (uważano ich za godnych zaufania) w policji i kolei państwowej.

## DOM NA OBCZYŹNIE

Przedsięwzięcia imperialne wpłynęły na współczesne dzieje świata. W historii zapisują się datami, bitwami, wyprawami i traktatami, ale – choć rzadko o tym pamiętamy – za każdą wyprawą, datą, bitwą czy traktatem kryją się żywi ludzie i ludzkie emocje. Hiszpańskie wyprawy do Ameryki były aktem politycznym. W imię polityki konkwistadorzy i ich następcy wybili niemal do nogi miejscową ludność. Gdy jednak zagrały ludzkie emocje i zwykłe seksualne żądze, ogołocony z tubylców kontynent zaludnił się ponownie. W Indiach podobny imperatyw sprawił, że pojawiła się całkiem nowa etniczna mniejszość – Euroazjaci. Nie tyle polityka, ile właśnie emocjonalny imperatyw – humanitaryzm, którym Brytyjczycy zawsze chcieli się szczycić – sprawił, że podjęto walkę z rytuałem sati i dzieciobójstwem, powodując erozję systemu, który trwał w Indiach przez dobre dwa tysiąclecia. W Ameryce Północnej, w Australii, Afryce Południowej emocje sprawiły, że na gruncie uprzedzeń kulturowych wyrósł gmach uprzedzeń rasowych.

Europejczycy, którzy w XVII wieku jęli napływać do Ameryki Północnej, nie szukali zwady z tubylcami, przeciwnie – starali się żyć z nimi w pokoju i spokoju. Tam, gdzie nie było srebra, złota, jedwabiu, korzeni ani niczego, co w ówczesnym świecie budziło pożądanie, wojna nie miała sensu. Tak więc koloniści zostawiali Indian w spokoju i unikali prowokacji. Traktowali ich jak dzikusów, ale spotykali się z nimi, rozmawiali, handlowali i stosunki między przybyszami a tubylcami układały się na ogół poprawnie, jak między obcymi sobie, ale sąsiadującymi szczepami. Rzeź czerwonoskórych zaczęła się dwieście lat później.

Większość kolonistów stanowili purytanie, nie było więc mowy o żadnych związkach seksualnych nie uświęconych małżeństwem, tym bardziej z miejscowymi. Co prawda, wśród przybyszów nie brakowało kawalerów, nawet bezbożników czy



jurnych osiłków, ale atmosfera w koloniach skutecznie tłumiła żądze. Purytanie wszelkiej maści – hugenoci, kwakrzy, morawianie i inni – przybywali do Ameryki, uciekając przed prześladowaniami w ojczyźnie. Pragnęli zbudować tu nowe społeczeństwo, w którym nie będą mniejszością, lecz przeciwnie – większością dyktującą normy postępowania. I tak się stało. W latach 1630–1650, gdy liczba purytanów w koloniach sięgnęła dwudziestu tysięcy, mogli oni przystąpić do realizacji swych marzeń.

Purytanie mieli oczywiście i negatywne cechy, ale uprzedzenia rasowe do nich nie należały. Nie ma, co prawda, racji ów uczony mąż, który stwierdza dziś, że „tezę, iż każdy Europejczyk doznawał uczucia fizycznego obrzydzenia na widok ludzkiej istoty różnej od niego samego, można włożyć między bajki”[53], ale też faktem jest, iż zjawisko określane dziś mianem „uprzedzeń rasowych” zaczęło narastać dopiero w XIX wieku.

Co innego uprzedzenia kulturowe. W Ameryce Północnej (a także w Australii i Afryce Południowej) objawiały się one od samego początku i kształtowały stosunek przybyszów z Europy do tubylców w bardzo specyficzny sposób. Hiszpanie w Ameryce Południowej, Portugalczycy w Azji, Brytyjczycy w Indiach traktowali swój pobyt za morzem jako tymczasowy. Przybywali, aby zdobywać, władać, administrować, handlować, ale zawsze z myślą o powrocie do domu. Byli obcymi na obcej ziemi i za takich się uważali. Bywało, że nienawidzili klimatu, ludzi, kraju, ale mieli świadomość, że wcześniej czy później wrócą do siebie. Z tego względu ich stosunek do tubylców, czasami historyczny, był jednak pełen rezerwy, żeby nie powiedzieć obojętności. Natomiast europejscy koloniści w Ameryce Północnej, Brytyjczycy w Australii i Holendrzy w Afryce Południowej nie myśleli o powrocie i w nowej ojczyźnie pragnęli stworzyć sobie dom na wzór i podobieństwo tego, który zostawili za morzem, I właśnie przemożne pragnienie zachowania własnej tożsamości, własnego stylu życia, sposobu myślenia, tradycji i historii ważyło na ich stosunku do tubylców, a w rzeczy samej nie tylko do nich, ale także Murzynów niewolników sprowadzanych z Afryki, z którymi z oczywistych powodów pozostawali w bliższych kontaktach niż z tubylcami.

Nie miał w istocie znaczenia fakt, że „inni” – Indianie, Murzyni – mieli inny kolor skóry. W identyczny bowiem sposób koloniści traktowaliby na przykład białoskórych (i znacznie od nich urodziwszych) kaszmirskich braminów, gdyby przyszło im osiedlać

się między nimi. A gdy już zapuścili korzenie na obczyźnie, gdy stworzyli domy i nowe ojczyzny, uznali, że pierwszym i najważniejszym zadaniem jest obrona tych ojczyzn, obrona własnej kultury i dziedzictwa przed zagrożeniem ze strony obcego kulturowo otoczenia ludzi o ciemnej bądź śniadej karnacji.

Stawką była kultura i dziedzictwo białej Europy i białej Ameryki.

W obronie tych wartości zaczęto zamykać się we własnym świecie.

W roku 1691 w Wirginii wprowadzono zakaz mieszanych małżeństw.

Czternaście lat później śladem Wirginii poszło Massachusetts. W ówczesnych warunkach mogły się to wydawać działania rozsądne, mające chronić europejskie dziedzictwo kolonistów. Ale wznosząc mur zakazów, odcinając się od swoich miedziano-i czarnoskórych sąsiadów, biali w Ameryce zamknęli się w swoistym getcie. Uczynili to równie skutecznie i za pomocą podobnych środków[\*11] jak Żydzi przed dwoma tysiącami lat wobec swoich nieżydowskich sąsiadów.

Ale w Ameryce zagrały dodatkowe czynniki – kolor skóry, seks, a także poczucie absolutnej wyższości wobec otoczenia, mentalność klanu, chciałoby się powiedzieć, która każe spoglądać na obcych z wyrachowaną wzdargą. Wszystko to zaowocowało daleko idącymi konsekwencjami.

Pogarda okazywana kolorowym wynikała raczej z imperatywu politycznego niżli z osobistych przekonań mieszkańców białej Ameryki. Świadczą o tym historyczne fakty. Wielu białych przekraczało granice wytyczone kolorem skóry. Romans Thomasa Jeffersona z Sally Hemings, Mulatką w służbie jego córki, dla nikogo nie jest już tajemnicą. Z zakazanego związku zrodziło się pięcioro dzieci, co – nawiasem mówiąc – nie stanowiło szczególnego rekordu. Tysiące rodaków trzeciego prezydenta Stanów Zjednoczonych wchodziło w podobne związki i płodziło tyle samo albo i więcej dzieci z czarnoskórymi kobietami, co fatalnie zaważyło na późniejszych stosunkach rasowych. Zwłaszcza na południu Ameryki właściciele i zarządcy plantacji traktowali niewolnice tak, jak mężczyźni zawsze i wszędzie traktowali zniewolone kobiety – jak własność, przedmiot. Nie mają więc racji ci, którzy w stosunku osiemnastowiecznych amerykańskich południowców do czarnych niewolnic dopatrują się jakiegoś szczególnego, nie spotykanego wcześniej okrucieństwa, bo zjawisko wcale nie było nowe, przeciwnie – głęboko zakorzenione w historii stosunków między mężczyznami a kobietami. A w ogóle całą rzecz trzeba odnieść do rzeczywistości XVIII wieku – brutalnej, zaborczej i okrutnej. Dzisiejsza elita – WASP, biali protestanci legitymujący

się anglosaksońskim pochodzeniem – gotowa jest potępiać swych przodków, zarzucając im brak wrażliwości. Jest to jałowy zarzut, bo pomija realia epoki. Podobnie jałowo jawią się pretensje dzisiejszych czarnych mieszkańców Ameryki do ich pradziadów, że nie stawiali oporu, nie podnosili buntów, nie walczyli. W ówczesnych warunkach nie można było nawet myśleć o oporze czy walce.

Zakaz mieszanych małżeństw sprawiał, że tam, gdzie rodziło się uczucie, rodziła się również nienawiść, a kontakty seksualne sprowadzały się do aktów gwałtu lub transakcji między klientem a prostytutką. Na Południu sprawy przybrały jeszcze bardziej nienawistny kształt wedle logiki, że czarny to niewolnik, niewolnik to istota gorsza, każdy więc czarnoskóry z samej swojej natury należy do podlejszego gatunku. Trudno się dziwić, że gdy w XIX wieku pojawiły się „naukowe” potwierdzenia tego sylogizmu – rozmaite teorie na temat wyższości jednej rasy nad drugą – wielu białych Amerykanów przyjęło je za dobrą monetę. I tak na tle dawnych uprzedzeń kulturowych wyrosła dyskryminacja rasowa.

## NATURALNA MORALNOŚĆ

Z wszystkich krajów stanowiących cel imperialnych ekspansji tylko Chiny uniknęły obcej okupacji, co więcej, Państwo Środka wywarło większy wpływ na cały Zachód niżli Zachód na Chiny. Weźmy choćby Konfucjusza i jego tezę o „naturalnej moralności”. Nie wprost oczywiście, bo od czasów twórcy jego idee ewoluowały w wielu kierunkach, ale to właśnie myśl Konfucjusza zainspirowała francuskich racjonalistów XVIII wieku.

Paradoks historii sprawił, że największe zasługi, jeśli idzie o przybliżenie Chin Europie, mają... jezuici – najbardziej wojowniczy, a zarazem najświatlejsi apostołowie wiary katolickiej, którzy tę wiarę z całą gorliwością próbowali zaszcześcić w Chinach, uznając, że da się to zrobić na gruncie... konfucjanizmu. Analizując konfucjańską ideę, na której wspierała się władza dynastii Ming, a później – po roku 1644 – rządy cesarzy z (mandżurskiej) dynastii Qing, jezuici doszli do wniosku, że konfucjanizm to nie religia, lecz kodeks zasad moralnych, które z łatwością dadzą się pogodzić z doktryną chrześcijańską. Jeśli tylko Rzym zechciałby pójść na pewne drobne ustępstwa, wielkie Państwo Środka można by sprowadzić na

łono Kościoła. Rzym jednak na żadne koncesje pójść nie chciał.

Choć jezuici okazali się nieco nadgorliwi, to trzeba przyznać, że konfucjański ład społeczny rzeczywiście wykazywał wiele podobieństw do zachodniego, zwłaszcza jeśli idzie o pozycję jednostki i stosunki rodzinne. Weźmy za przykład usytuowanie kobiet. W czasach silnych wpływów taoizmu kobieta była przyporządkowana mężczyźnie, później jednak, za czasów dynastii Ming, a więc po roku 1386, pod wpływem neokonfucjanizmu wprowadzono – i przestrzegano – zasadę pełnej separacji płci. Portugalski misjonarz Gaspar da Cruz, który w roku 1556 dotarł do Kantonu, pisał z uznaniem, że „tylko kobiety z gminu i służące pokazują się na ulicy”, a nie czyni tego żadna szanująca się niewiasta[54]. Cruz (i nie tylko on) uważał, że pełna pokory i skromności postawa Chinek to w istocie te same cechy, czy raczej cnoty; które charakteryzowały ich chrześcijańskie odpowiedniczki na Zachodzie w dawnych, lepszych, bardziej bogobojnych czasach.

Opis chińskich obyczajów małżeńskich z końca XVI wieku pióra Matteo Ricci można by (z drobnymi tylko korektami) odnieść do ówczesnych zwyczajów europejskich. „Ludzie ci – zauważał Ricci – wchodzi w związki małżeńskie w dość młodym wieku. O małżeństwie decydują rodzice, nie pytając młodych o zgodę, choć bywa, że wysłuchują ich zdania. Wyższe sfery zawierają małżeństwa w obrębie swojej klasy i tylko wtedy małżeństwo uznaje się za ważne, gdy rodziny są sobie równe pod względem zajmowanej pozycji. [W Europie nie obowiązywały tego typu prawa, ale panował dokładnie taki sam obyczaj.] Mężczyźni mogą mieć nałożnice [w Europie tę funkcję spełniały utrzymanki i prostytutki], a te dobiera się dla ich urody, nie bacząc na urodzenie czy pozycję... Wśród niższych klas małżonki nabywa się wedle woli i odstępuje za miarkę srebra”[55]. Podobny obyczaj zaistniał w Europie dopiero w XVIII wieku, tyle że władze nie ustalały oficjalnego cennika, a opłatę niekoniecznie wnoszono w srebrze. Pewien Szkot, o czym wiemy z literatury, kupił sobie małżonkę od swego rodaka, płacąc po dwa pensy za funt. Historia milczy o wadze „towaru”[56].

Zafascynowany podobieństwem Ricci pomija sprawy, które przynajmniej wtedy zasadniczo różniły obyczaje chińskie od zachodnich.

I on, i inni cudzoziemcy nie potrafili dostrzec, co kryło się za elegancją, neokonfucjańską fasadą, a kryły się tam głębokie pokłady taoistowskich libertynizmów. Konfucjanizm stanowił tyleż kodeks moralny, co kodeks dobrego wychowania, a tylko prostacy mówią o seksie i manifestują swoją seksualność.

Mówienie o seksie jest wulgarne, nie ma więc prawa bytu pośród osób dobrze ułożonych. Można powiedzieć, że Konfucjusz był pierwszym w świecie gentlemanem z prawdziwego zdarzenia. Z drugiej jednak strony seks to nie tylko sprawa doznań fizycznych, ale także duchowych, nawet jeśli nie towarzyszy mu uczucie zwane dziś miłością. Jest więc czynnością ze wszech miar pożyteczną, lecz uprawiać ją należy wyłącznie w cichości własnej sypialni.

W taoizmie sprawy te wyglądają zupełnie inaczej. Seks to przyjemność, ale też czynność wymagająca znajomości rzeczy. Im głębsza wiedza o tajnikach seksu, tym większe korzyści. Ale z nadejściem epoki Ming wiedza o seksie z wolna zanikała. Kierująca się wskazaniem konfucjanizmu elita nie uważała co prawda seksu za niemoralny, ale za niemoralne miała erotyczne księgi i praktyczne podręczniki seksu. W konsekwencji literaturę tego typu rugowano z obiegu. Gdy w latach 1444–1447 wydano na nowo dzieła z taoistowskiego kanonu, wszystkie starannie wyczyszczono z wszelkich wzmianek o seksualnej alchemii. Wcześniej podobnemu zabiegowi poddano kanon buddystów, usuwając wszystkie seksualne treści tantryczne.

Pojawiały się nowe podręczniki, ale docierały do wąskiego kręgu odbiorców. Niewiele też wносиły w porównaniu z klasyką sprzed tysiąca pięciuset lat, z której zresztą obficie czerpały. Wyłącznie w kategoriach ciekawostki, bo pożytku z tego niewiele, można potraktować skromne dywagacje na temat rozmiarów i prężności męskiego przyrodzenia, zawarte w dziełku Ciekawe wynurzenia prostej dziewczyny. Księga ta zawiera także rozsądne skądinąd ostrzeżenie przed nadużywaniem rozmaitych środków, mających rzekomo wyrównywać niedoskonałości wspomnianej części męskiego ciała. Jest tam również sentencjonalne stwierdzenie, że jeśli uczuciom partnera towarzyszą takie same uczucia partnerki, jeśli spaja ich jedność ducha, to w nocy wszystko pójdzie jak należy. W Prostej dziewczynie wyczytać można również uwagę, że kobieta o sromie wysuniętym ku przodowi jest szczególnie „sposobna do zlegania z nią zimą, gdy noce są chłodne. Mężczyzna może bowiem osiąść ją, kładąc się na niej pod ciepłą kołdrą”. W lecie i upale lepiej uprawiać stosunki z kobietą, której srom znajduje się nieco bliżej pleców, bo taką „można wziąć na kolana, siedząc sobie w cieniu, i osiąść od tyłu” (proponowana pozycja nie ma nic wspólnego z pozycją określaną mianem zbliżania Kwitnącej Gałęzi ku Księżycowi w Pełni, za którą to poetycką nazwą kryje się stosunek analny).

Z początkiem XVII wieku literatura erotyczna odeszła w ogóle do lamusa. Nikt jej

nie czytał, a ten i ów z wybitnych ludzi kultury i nauki pozwalał sobie nawet na niewybredne kpiny z ich treści. Wang Chieh uważał na przykład (chyba tylko na podstawie zasłyszanych opinii), że praktyki zalecane w klasycznych podręcznikach są z gruntu fałszywe i wręcz szkodliwe – mogą w istotny sposób obniżyć męską potencję.

Szydził z tych, co wierzyli, że seks daje mądrość i wydłuża ludzkie życie. Kpił z tych, co chętnie sięgali po afrodyzjaki sporządzane z genitalii zwierząt będących symbolem jurności. „Nie widziałem jeszcze – pisał – jaszczurki, która stworzyłaby eliksir życia, nie znam bobra, który stałby się nieśmiertelny, ani foki, która wstąpiłaby do nieba!”

Jeszcze bardziej znamienne jest to, że autorzy tak słynnych powieści erotycznych, jak choćby Chin-p'ing-mei, legitymują się jeszcze skromniejszą wiedzą o seksie. Owszem dywagują na temat rozmaitych sposobów uprawiania seksu – włączając w to seks oralny („muzykowanie na flecie”), stosunki homoseksualne i lesbijskie oraz seks analny – ale czynią to w sposób mało wyrefinowany, w stylu, który byłby zrozumiały dla każdego mieszkańca globu, bez chińskiej finezji i pomijając rzecz dla Chińczyków podstawową: że stosunek służy przede wszystkim wzmocnieniu sił witalnych mężczyzny i sprzyja długiemu życiu[57].

W jednym wszakże regionie Chin podręczniki erotyczne zachowały popularność aż po ostatnie dni epoki Ming. Chodzi o bogate ziemie na południe od Jangcy, dokąd zdążali pisarze, artyści, bogaci kupcy i emeryci dworscy, przedkładając swobodną atmosferę tej krainy nad sztywny reżim i polityczne intrygi stolicy, Pekinu. W owych czasach Ciangnan – jak zwano wtedy ten region – słynął jako centrum życia kulturalnego. Rzeczywiście kultura i sztuka epoki Ming tu właśnie rozkwitały najpełniej, a miejscową społeczność – zwłaszcza w schyłkowych latach epoki Ming – można by porównać do Francji tuż przed rewolucją, jeśli chodzi o elegancję, galanterię i wysublimowany do ostatnich granic smak. Uczeni-artyści sięgnęli szczytów wyrefinowania, a ze szczytu droga prowadzi tylko w dół. I rzeczywiście! Poeci z Ciangnan pławili się w pornografii, nurzali w orgiastycznych opisach, czerpiąc... z taoistycznych podręczników, ale w najwulgarniejszy sposób. Bohaterowie i damy ich utworów zwykle kończą tragicznie z seksualnego wyczerpania lub z nadmiaru afrodyzjaków. Ciekawe jednak, że w literaturze tego regionu i tej epoki nie znajdziemy cienia sadyzmu, tak charakterystycznego dla francuskich pornografów także w czasach wyprzedzających markiza de Sade'a. Są natomiast wszelkiej maści



obscena – równie obrzydliwy, ale mniej bolesny przejaw patologii seksualnej.

Poza poematami i powieściami miejscowe środowisko artystyczne stworzyło nowy rodzaj albumu z erotycznymi sztychami i poetyckimi opisami. Ryciny nie idą tak daleko jak powieściowe opisy, ale i tak stanowią interesujący materiał badawczy. Robert Van Gulik przebadał i sklasyfikował ponad trzysta rycin z dwunastu różnych albumów[58]. Rezultat warto przytoczyć i porównać go z treścią dziełek garncarzy, czy raczej garncarek Moche, o których wcześniej wspomnieliśmy. I tak ryciny ukazują:

25 procent – zwykły, heteroseksualny stosunek, mężczyzna na kobiecie twarzą w twarz, z niewielkimi urozmaicheniami; 20 procent – pozycję „na jeźdźca” – kobieta na mężczyźnie z twarzą zwróconą ku jego twarzy lub ku jego stopom; 15 procent – kobietę spoczywającą na plecach, z nogami uniesionymi wysoko w górę, nierzadko wspartymi na krześle lub czymś podobnym, i mężczyznę w pozycji stojącej; 10 procent – kobietę w pozycji kucznej, sugerującej penetrację od tyłu; 10 procent – heteroseksualny stosunek analny; 5 procent – mężczyznę i kobietę leżących na boku; 5 procent – partnerów w pozycji kucznej lub uprawiających seks w wannie; 5 procent – seks oralny w wykonaniu mężczyzny; 3 procent – „muzykowanie na flecie”; 1 procent – mniej konwencjonalne pozycje typu „69”, „trójkąty” lub z użyciem „pomocy” w postaci np. huśtawki; 1 procent – stosunek lesbijski.

Na mniej więcej połowie ilustracji widnieją wyłącznie kochankowie, ale na pozostałych widać także „publiczność” w postaci innych kobiet. Są to zapewne żony lub nałożnice, gotowe pospieszyć z pomocą lub po prostu obserwujące.

Wraz z upadkiem dynastii Ming nastąpił kres podręczników erotycznych i albumów. Przez jakiś czas nie pojawiały się żadne nowe pornograficzne powieści. Zdobywcy – założyciele dynastii Qing – jak to często bywa w wypadku nowej władzy, wprowadzili system kontroli wydawnictw i ścisłą cenzurę. Chińczycy, tak jak niegdyś po najeździe Mongołów, zamknęli się w sobie, starannie chroniąc swoją prywatność. Ale cenzura okazała się skuteczna. Tradycyjne źródła, z których czerpano wiedzę o bardziej wyrafinowanych formach życia seksualnego, wyrugowano. W rezultacie seks, choć w Chinach nikt nigdy nie okrzykał go czynnością niemoralną, stracił swój dawny blask, przemienił się w obowiązek wypełnienia konfucjańskiego przykazania – splodzenia męskiego potomka.

Dwa tysiące lat tradycji i seksualnego wyrafinowania poszło na marne! Ale nie całkiem i nie wszędzie. Dawne chińskie tradycje kultywowano, w miejscowym już

oczywiście wydaniu, w silniejszej duchem i mniej skłonnej do konformizmów niż Chiny Japonii. Do XIX wieku niewielu cudzoziemców miało okazję oglądać Japonię na własne oczy, ale ci, którym się to udało, nie posiadali się ze zdumienia na widok dzielnic rozrywki w japońskich miastach. W niczym nie przypominały one siermiężnych, ukrytych w zaułkach podobnych instytucji na Zachodzie. Japończycy bez najmniejszej żenady bywali w przybytkach rozkoszy. To oraz fakt, że wiadome instytucje funkcjonowały także jako salony towarzyskie, w których nie liczyły się podziały klasowe i w których kobiety nosiły się bez zwyczajowej pokory, sprawiały, iż dzielnice rozrywki tętniły życiem. Rozświetlone papierowymi lampionami i okolone drzewami wiśniowymi „salony” kusiły i zapraszały do wypoczynku. W miastach o dłuższej historii, na przykład w Kioto czy Osace, dzielnice takie istniały od wieków.

Ale na przykład w Edo, wojskowej stolicy Japonii (dzisiejsze Tokio), której wznoszenie rozpoczęło się w XVII wieku, już na etapie planowania zabudowy rezerwowano miejsce pod domy dla kurtyzan. W roku 1657 dzielnicę przeniesiono na nowy, obszerniejszy teren, na którym trwała aż do roku 1958, kiedy (pod naciskiem grup feministycznych) zamknięto wszystkie dzielnice rozrywek erotycznych w całej Japonii.

W połowie XVIII wieku centrum rozkoszy w Edo (Yoshiwara) zyskało nazwę „Miasta bez nocy”. I rzeczywiście, dzielnica funkcjonowała jak osobne, całkiem spore miasto, ze wszystkim, co miasto powinno oferować. Miała więc własne teatry, herbaciarnie, warsztaty rzemieślnicze, własne święta i obyczaje, nawet język – jeśli zaklasyfikować tak miejscowy sposób eleganckiego wysławiania się – i trzy tysiące kurtyzan, równie eleganckich jak język, który tu obowiązywał. Panie nosiły się bogato i ze smakiem, w pięknych haftowanych srebrem i złotem kimonach, przewiązywanych równie wytwornymi pasami zwieńczanymi skomplikowanym węzłem na plecach. Ich koafiury stanowiły wręcz dzieła sztuki. Wedle obowiązującej etykiety spotkanie z taką damą aranżowano za pośrednictwem którejś z herbaciarni. Tamże można było zamówić miejsca w teatrze, ale herbaciarnie oferowały także własne programy artystyczne z udziałem tancerek, śpiewaczek i muzykujących dam zwanych gejszami (geiko – w Osace i Kioto).

Wbrew utartemu na Zachodzie przekonaniu gejsza nie jest kurtyzaną ze szczytów tej profesji, lecz artystką – śpiewaczką i tancerką o doskonałym przygotowaniu muzycznym. Owszem, zdarzało się, że ta i owa sprzedawała swoje wdzięki, ale

postępowanie takie uważano za bardzo naganne. Co więcej, zawód gejszy wcale nie był zastrzeżony wyłącznie dla kobiet. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX stulecia w eleganckich lokalach w Tokio w roli gejszy występował pewien mężczyzna. Gejsza nie musiała też być szczególnie urodziwa, liczył się bowiem talent muzyczny i poziom artystki, czego oczywiście świat zachodni nie pojmował, a jak dalece nie pojmował, można się przekonać, oglądając *Madame Butterfly*.

„Świat na falach” – jak zwano dzielnice rozrywki Kioto, Osaki czy Edo – zainspirował niejedno dzieło literackie. Natchnienia szukali tam i wyrobnicy literatury, jak choćby autor słynnego instruktażu *Czterdzieści osiem transakcji z nierządnicą*, i twórcy pierwszej rangi, jak Saikaku czy Chikamatsu – zwany japońskim Szekspirem, oraz Hokusai i Kunisada – uznani mistrzowie grafiki, protoplasci impresjonizmu. Nawet dziś, choć nie jest to takie oczywiste i konsekwentne, Japonia pozostaje krajem o bardzo liberalnym stosunku do spraw erotyki i seksu. Trudno zresztą, żeby było inaczej w miejscu, w którym rodzime dziedzictwo kulturowe ścierało się z chińskim i zachodnim i na którym ślad odcisnął i sintoizm, i taoizm, i konfucjanizm, i chrześcijaństwo.

---

[\*1] Europejczycy zawsze byli skorzy do rzucania oskarżeń na prawo i lewo. Przez piętnaście stuleci wszystko co najgorsze zarzucali dysydemtom wszelkiej maści[2]. Co do Indian, to wystarczyło, że Kolumb napotkał kanibali na Antylach, a Cortes zetknął się z ludzkimi ofiarami w Meksyku, i już obciążono ich absolutnie wszystkimi grzechami.

[\*2] Z badań współcześnie istniejących społeczności plemiennych (przeprowadzonych w roku 1952) wynika, że w dwóch trzecich z nich uznaje się za normalne stosunki homoseksualne wśród młodzieży w wieku pokwitania, a wśród takich plemion jak Cubeo w Amazonii, Mohave i Zuni w Ameryce Północnej homoseksualizm młodych ludzi został wręcz zinstytucjonalizowany[8]. Wedle współczesnych psychologów w rozwoju młodych ludzi zwykle występuje faza homoseksualna. W większości systemów kulturowych albo starano się nie dostrzegać tego zjawiska, albo je zwalczano.

[\*3] O trudnościach, jakie napotkali badacze, świadczyć może ich zapis dotyczący jednego z naczyń: „Przedstawia ono nadzwyczaj realistyczny wizerunek waginy stymulowanej przez kastrata, choć nie można wykluczyć, że strona aktywna to nie kastrat, lecz również kobieta, a całość wyobraża stosunek lesbijski”[26].

[\*4] Zaskakująco szczere wyznanie!

[\*5] Podobne prawo obowiązywało we Włoszech do roku 1978. Winny gwałtu nie ponosił kary, jeśli ofiara zgadzała się wyjść za niego za mąż. Przepis ten otwierał drogę do wielu nadużyć. Zwłaszcza na południu Włoch traktowano go jako sposób zmuszenia panny do pójścia do ołtarza.

[\*6] W prekolumbijskiej Ameryce istniała tego typu instytucja, bliższa wszakże naszemu pojęciu powiernika.

[\*7] W odróżnieniu od Inków, którzy surowo zabraniali prostytucji w miastach, ale przymykali oczy na nierząd na terenach wiejskich. Dziewczęta z profesji nazywali całkiem a propos „kobietami z odludzia”.

[\*8] Jeszcze dziś konstytucja Indii wymienia trzynaście oficjalnych języków, a w użyciu jest ich ponad trzysta.

[\*9] Mimo że Kościół zakazał misjonarzom nawracania siłą, faktycznie przymusili oni innowierców w Goa do przestrzegania zasad chrześcijańskiej moralności we wszystkich dziedzinach życia, z łóżkiem włącznie. Sytuacja zaostrzyła się po nastaniu inkwizycji w roku 1560. „Ostatecznie wygaszono stosy, na których płonęły sati, nieszczęsne hinduskie wdowy – zauważał brytyjski historyk C. R. Boxer – ale jednocześnie rozpalono inne, na których inkwizycja jęła przypiekać żydów”[45].

[\*10] Inaczej niż na przykład w Angoli, w której do dziś Afrykanie portugalskiego pochodzenia stanowią znaczący odsetek ludności. Warto wszakże pamiętać, że w szczytowym okresie handlu niewolnikami z Angoli wywożono rocznie 20 tysięcy Murzynów, co zaważyło na strukturze demograficznej kraju”.

[\*11] Jeszcze w latach siedemdziesiątych XX wieku nowojorska Rada Rabinów wykluczała ze swojej organizacji członków, którzy udzielali ślubów mieszanym parom. Nawet mająca się za reformatorską Centralna Konferencja Amerykańskich Rabinów oficjalnie apelowała do swoich członków, aby nie uczestniczyli w podobnych uroczystościach.

## 12. EUROPA I AMERYKA 1550-1800

Czy królowa Anglii Elżbieta I była – jak ją nazywano – „dobrą panią Bess”, „królową dziewicą” czy może feministką? „Swawolną trzpiotką” czy „pocziwym węgorzem w saku pełnym żmij”? Te ostatnie określenia należą do czcigodnego Johna Aylmera, wojowniczego biskupa, który na kategorie „trzpiotek” i „węgorzy” dzielił cały damski stan. „Węgorzy – twierdził – jest zdecydowanie mniej, a jeśli nawet jakiemuś szczęściarzowi udałoby się wyłowić węgorza z worka pełnego jadowitych żmij, to i tak dzierżyłby w ręce mokry ogon i nic więcej”[1].

Biskup zdaje się przesadzać, choć może w jego określeniu było źdźbło prawdy, bo faktem jest, że Elżbieta I, jak większość jej znakomitych poprzedniczek w historii naszego globu, niezbyt przejmowała się losem kobiet. Dlaczego? Może dlatego, że takie były reguły gry. Kobiety u steru rządów – władczynie i monarchinie wszelkiej maści – działały w zdecydowanie męskim świecie i w świecie tym odgrywały de facto męskie role. A może ważył inny czynnik? Otóż nie ma takiej kobiety, co wspięłaby się na szczyty bez męskiej poręki, i nie ma takiej, co władzy nie brałaby z męskich rąk – ojca, męża lub kochanka. Wszystkie dochodziły do prominencji taką właśnie drogą. Męska poręka była ich legitymacją, a świat mężczyzn – płaszczyzną odniesienia. Niezależnie od własnych talentów i dokonań każda z wielkich władczyń w historii wspierała się na jakimś męskim autorytecie, żadna – jeśli można tak powiedzieć – nie stała na własnych nogach[\*1].

Ale z początkiem XVII wieku, gdy epoka elżbietańska dobiegała końca, sprawy zaczęły przybierać inny obrót. Nie nastąpiło co prawda żadne uderzające przebudzenie kobiet, nie powstał żaden ruch feministyczny. Zagrały inne przyczyny – skomplikowany

zbieg okoliczności i wiele rozmaitych sił i procesów społecznych, przede wszystkim humanistyczna filozofia i pierwsze powiewy racjonalizmu. Pewną rolę odegrały też wojny i rewolucje, których fala przeszła przez Europę w XVII i XVIII wieku. Wiele z nich z racji udziału kobiet dawało iluzję absolutnej równości mężczyzn i kobiet, jeśli tylko te ostatnie zechcą wraz z mężczyznami sięgnąć po broń[\*2]. Straganiarki, które w październiku 1789 roku ruszyły tłumem na Wersal, przeżywały pewnie podobne chwile uniesienia co precieuses – intelektualistki – które sto lat wcześniej otwierały salony kulturalno-polityczne. I choć śmiałe straganiarki i ambitne precieuses w żadnym sensie nie reprezentowały większości kobiet, to nie odegrałyby roli, jaka przypadła im w udziale, i nie pojawiłyby się na scenie publicznej, gdyby nie zmiany zachodzące w świecie w wyniku reformacji, kontrreformacji i powstania prężnej klasy burżuazji.

## MAŁŻEŃSTWO PROTESTANCKIE

Zrazu wyglądało na to, że reformacja i kontrreformacja przekreślą cały dorobek trzech poprzednich stuleci w dziedzinie wzajemnych stosunków obu płci.

Buntujący się przeciwko władzy papieskiej reformatorzy życia religijnego z początku XVI wieku, pragnąc oczyścić pole z wielowiekowego teologicznego złomu, zwracali się do źródła – Biblii. W jej treściach znajdowali inspirację i wskazówki, wedle których chcieli budować nowe życie. Nowe oznaczało także bunt przeciwko doktrynie o celibacie kapłanów i ślubom czystości. Zdaniem reformatorów celibat to nie tylko oznaka zniewolenia w służbie papieża, ale wręcz przekreślenie praw danych od Boga. Walcząc o możliwość zakładania normalnej rodziny przez kapłanów, reformatorzy odrzucili obowiązujący w Kościele katolickim pogląd, że małżeństwo to tylko mniejsze zło, a tym samym generalnie podnieśli rangę tej instytucji.

Luter uważał dziewictwo za niepożądane, wstrzemięźliwość za coś sprzecznego z naturą, a całkowite wyrzeczenie się seksu okrzyknął zgoła niebezpiecznym, w czym wyprzedził Freuda o dobre czterysta lat. Ale też nie do końca potrafił wyzwolić się od Augustyńskiej tezy, stawiającej znak równości między seksem a grzechem. Małżeństwo uważał za tak samo niezbędne i zgodne z naturą jak jedzenie i picie[3], ale seks jako taki traktował w kategoriach „leku”, a akt płciowy porównywał do „pobytu w szpitalu”. Kalwin – mniej chyba popędliwy i mający pod tym względem mniej



kłopotów ze sobą niż Luter – zajął bardziej konstruktywne stanowisko. Kobięte postrzegał nie tylko jako rodzicielkę i instrument rozładowywania męskich żądz, ale także jako nieodłączną towarzyszkę życia.

Skoro małżeństwo spełnia tak ogromną rolę, to oczywiste, że zły związek małżeński jest nieszczęściem. Kościół katolicki, do którego od XII wieku należała jurysdykcja w tych kwestiach, głosił nierozzerwalność więzów małżeńskich. Ślub to sakrament opromieniony łaską Boga, a przeto musi trwać do końca życia. Ale zdaniem reformatorów żaden z biblijnych zapisów nie uzasadnia takiego podejścia.

Chrystus wykluczał ponowne małżeństwo, ale dopuszczał separację, co Luter zinterpretował dość szeroko. Twierdził, że wystarczy akt cudzołóstwa, aby małżeństwo uznać za rozwiązane, a odmowa spełniania przez żonę obowiązków małżeńskich oznacza w istocie zerwanie związku i stanowi wystarczającą podstawę do rozwodu. Odmawiając mężowi tego, co w małżeństwie należne, żona nie pozwala mu żyć po bożemu, a przeto ich związek traci podstawy istnienia.

Odrzucając tezę o sakramencie matrimonium, reformatorzy skłaniali się do przekazania jurysdykcji w kwestiach małżeńskich w ręce władz świeckich, choć nie do końca. Pozostawili bowiem otwartą furtkę. Przyjęli, że teologowie mają obowiązek służyć radą i opinią, oświecać władze świeckie co do pryncypiów, na których winny się opierać wszelkie sądy. Takie też zasady przyjęto we wszystkich protestanckich krajach europejskich poza Anglią. W Anglii za sprawą króla Henryka VIII i jego miłosnych afer sytuacja rozwinęła się inaczej. Król ogłosił się głową Kościoła anglikańskiego, a ten jął manipulować prawami rozwodowymi ku królewskiej wygodzie i dopiero w roku 1857 Anglia wzorem innych krajów przekazała sprawy małżeńskie do kompetencji sądów świeckich.

Głosząc chwałę instytucji małżeństwa, reformatorzy jednoznacznie i bezkompromisowo tępiłi wszelkie przejawy stosunków pozamałżeńskich. Podczas gdy Kościół katolicki w swoim ambiwalentnym stosunku do małżeństwa okazywał się nader wyrozumiały wobec kawalerów, którym zdarzyło się zejść z drogi cnoty, reformatorzy grzmieli: „Mężczyzna nie powinien uwodzić zacnych matron, nie powinien nurzać się w rozpuście, powinien się żenić, bo takie życie Bóg mu przeznaczył”[4]. Małżeństwo stanowiło więc właściwe i jedyne miejsce uprawiania seksu i – co ważne – niekoniecznie z myślą o prokreacji. Wedle reformatorów bowiem seks jako taki był dopuszczalny i usprawiedliwiony nie tylko wtedy, gdy przyświecało

mu „pragnienie posiadania potomstwa”, ale także dla uniknięcia „czynów rozpustnych, ulżenia smutkom oraz w celu ukochania się nawzajem”[5]. Bogata to lista i – jak widać – na każdą okoliczność. Nie pozostawiała żadnego wolnego pola, które zająć by mogły kochanki lub prostytutki. Pewnie o to chodziło. Jak bowiem wywodził siedemnastowieczny duchowny, „lepiej pogodzić się z groźbą, że parę uczciwych żon lub przyzwoitych panien padnie ofiarą gwałtu, niżli skazać całe miasto domami złej sławy, bo te wcale nie umniejszają zła, nie zapobiegają napaściom na cnotliwe niewiasty, przeciwnie, pobudzają żądze i sprzyjają panoszeniu się złych obyczajów”[6]. Luter sprzeciwiał się otwarciu domów publicznych w Saksonii, ale gdy pojawił się problem zamknięcia takiej placówki w Halle, z jezuicką logiką opowiedział się przeciwko zbyt pospiesznym w tej mierze działaniom, argumentując, że może to przynieść więcej zła niż dobra[7].

Gdyby zreformowane religie nie zachłysnęły się tak Biblią, mogłyby wnieść znaczący wkład do zapoczątkowanej pod koniec średniowiecza poprawy sytuacji kobiet. Tak się jednak nie stało. Piły z odnalezionego źródła zachłannie, nie bacząc, że w ciągu dwóch tysięcy lat, jakie minęły od czasu, gdy Hebrajczycy spisali swe prawa, coś się jednak zmieniło. Mimo że rzeczywistość była już zgoła inna, reformatorzy kazali swym owieczkom wzorować się na modelu rodziny żywcem wyjętym z ksiąg Starego Testamentu, z wszechmocnym ojcem rodu, „dobrą żoną” i zniewoloną progeniturą. Awansowali żonę, ale nie kobietę, co przyniosło bardzo interesujące skutki, zwłaszcza w Ameryce, gdzie koncepcje reformatorów dotyczące seksu i małżeństwa wcielano w życie w laboratoryjnych – chciałoby się powiedzieć – warunkach, w atmosferze wolnej od katolickich zwyczajów Starego Świata.

## **PATRIARCHOWIE PIELGRZYMÓW**

Trzeba przyznać, że purytański model rodziny doskonale sprawdzał się w trudnych warunkach, w jakich kolonistom przyszło budować nowe społeczeństwo. Osadnicy, którzy wylądowali w Ameryce przed purytanami i założyli Jamestown, ugięli się przed przeciwnościami losu, a reszty dopełniła ich własna beztroska[\*3]. Tymczasem solidni, poważni i gderliwi purytanie z Nowej Anglii, trafnie przewidując, co ich może czekać, narzucili sobie surową dyscyplinę, w rzeczy samej aż nazbyt surową.

U podstaw purytańskiego poglądu na świat legło przekonanie, że każdy, choćby nawet należał do wybrańców Opatrzności, jest z samej swojej natury istotą grzeszną, rodzi się bowiem z brzemieniem grzechu pierworodnego i grzechu w nim tyle, ile „w ropusze jadu”. „Wasze serca – grzmiał świątobliwy kaznodzieja Thomas Shepard z Cambridge w stanie Massachusetts – to cuchnący rynsztok pełen niewiary, sodomii, bluźnierstw, mordy, nierządu, pogańskich zaklęć i pederastii [brakło tylko kanibalizmu i kazirodztwa].

Jeśli nawet jest w waszych sercach drobina dobra, to tylko kropla w morzu pełnym trucizny”[8]. Ciężkie to zarzuty i ciężki bagaż do dźwigania, tym cięższy, że protestantom nie dany był przywilej ulżenia sobie w konfesjonale. Na silniejszych w wierze spoczywał obowiązek opieki nad ułomniejszymi duchem, i to bez względu na to, czy zainteresowany pragnął stanąć do walki ze złem i pokusami.

Pierwszą linię frontu walki ze złem stanowiła rodzina, prowadzona żelazną ręką ojca rodu, który w obrębie tej małej społeczności był jak sam Jahwe. Posłuszeństwo, solidarność i płodność w imię Pana – dary, jakimi Pan obdarzył dzieci Izraela – oto fundamenty, na których wspierała się purytańska rodzina i na których miała powstać Ameryka.

Nie od razu i nie bez trudności, a te piętrzyły się od samego początku. Ojcowie Pielgrzymi wsiedli na pokład Mayflower z rodzinami – żonami i dziećmi, ale trzynastie z osiemnastu żon nie przetrzymało pierwszej zimy na nowej ziemi. Przez kilka dziesiątków lat liczba mężczyzn w kolonii znacznie przekraczała liczbę kobiet.

Tam, gdzie nie staje kobiet dla wszystkich i panuje atmosfera podejrzliwości, panoszy się grzech. Z tego punktu widzenia purytańskie przekonanie o wrodzonych ludzkich słabościach zdaje się w pełni uzasadnione. Zgodnie z duchem czasu grzeszników karano dotkliwie. Podejrzanych o rozpustę chłostano, a na dodatek zmuszano do publicznego wyznania grzesznych uczynków. Cudzołożników i cudzołożnice karano jeszcze dotkliwiej, bo nie tylko chłostano i upokarzano, ale i piętnowano. Pręgierz i dyby czekały rodziców, których dziecko przychodziło na świat wcześniej niż dziewięć miesięcy po ślubie, a dzieciom zrodzonym w niedzielę często odmawiano chrztu, bo uważano, że skoro przyszły na świat w dzień święty, przeto w dzień święty musiano je płodzić. Podejrzane o czary słano na stos, a ulegających grzesznym pokusom wieszano. Taki właśnie los spotkał parobka Thomasa Grangera z Duxbury, który ponoć miał się grzesznie wyżywać na kobyle, krowie, dwóch kozach,

pięciu owcach, dwóch jałówkach oraz indycze. Pewnego złodziejaszka skazano na śmierć pod absurdalnym zarzutem, że dopuścił się grzechu z maciorą. Dopuścił się takiego występku – wywodzono – bo co najmniej jedno prosię z miotu miało wyraźnie ludzkie cechy i „bielmo na jednym oku” jak rzekomy winowajca. „Właśnie ono bielmo sprowadziło nań podejrzenie, a potem sam się przyznał”[9].

W społeczeństwie, w którym słowo ojca rodu stanowiło prawo, i to surowsze niż kiedykolwiek w katolickiej Europie, gdzie oddzielano Kościół od państwa, co rozsądniejsze kobiety wolały trzymać się na uboczu. Zbyt wiele zmian zaszło jednak od czasów Ojców Pielgrzymów, aby godziły się na rolę przedmiotu. Purytańska moralność trojako wpłynęła na przyszłą Amerykę. Po pierwsze, zrodziła wiktoriańską mentalność na dobre pół wieku przed nastaniem królowej Wiktorii. Po drugie, nauczyła Amerykanki, że z powodzeniem mogą panować nad płcią przeciwną, grając z jednej strony rolę słodkich cnotek, a z drugiej pokornych małżonek rodem ze Starego Testamentu. Po trzecie wreszcie, moralność purytańska niesłychanie podniosła rolę rodziny.

W perspektywie purytańska walka o utrzymanie własnych, surowych norm moralnych była skazana na porażkę. Ale Ojcowie Pielgrzymi byli na tyle silni, na tyle pewni swoich racji i siebie samych, na tyle ufni, że narzucili swoje idee co najmniej kilku pokoleniom kolonistów, i to wcale nie bigotom, bo tych było coraz mniej. Purytanom sprzyjał fakt, że wśród nowych imigrantów przeważali protestanci. Ktoś, kto w XVIII wieku podróżowałby z Bostonu do Karoliny, napotkałby po drodze rozmaite kongregacje protestanckie – baptystów, presbiterianów, kwaków, purytańskich ortodoksów i członków zreformowanych Kościołów z Holandii, Niemiec czy Francji, luteranów rodem ze Szwecji, Finlandii i Niemiec, menonitów i radykalnych pietystów, wyznawców Kościoła anglikańskiego i braci różańcowych, ale nielicznych tylko katolików i jeszcze mniej Żydów[10].

Właśnie dlatego purytański etos i etyka wywarły tak przemożny wpływ na późniejszą historię Stanów Zjednoczonych. Do dziś każdy senator czy kongresman stara się przekonać wyborców, że jest bardziej oddany rodzinie niż konkurent, i na tym buduje karierę polityczną, bo takie właśnie wartości koloniści z Nowej Anglii wpisali w amerykański etos. W żadnym kraju, dopóki nie zaczęto małpować Ameryki, od żadnego polityka nie oczekiwano, że zaprezentuje się publicznie z żoną i tabunem dzieci.

# RODZINA W EUROPIE

Za oceanem sytuacja była jasna. Kolonizując Amerykę, purytanie zaszczepili jej jednocześnie własny ideał rodziny. W Europie coś takiego nie było możliwe. Na stosunkach rodzinnych ważyły wielowiekowe tradycje judeokatolickich praw i obyczajów.

Historycy toczą zajadły spór o dzieje rodziny w Europie, zwłaszcza w średniowieczu. Niektórzy zachwycają się metodami analizy statystycznej. Wyniki, do jakich dochodzą, są równie wątpliwe jak dane wyjściowe. W jednym z badań wprowadzono do komputera liczbę gospodarstw domowych i dane z ksiąg parafialnych ze stu lat i wyliczono, że statystyczne gospodarstwo składało się z 4,75 osoby (plus jedna osoba służby)[11]. Wynik zaiste odkrywczy i równie oświecający jak stwierdzenie, że przeciętny wzrost zbiorowości składającej się z pięćdziesięciu dwumetrowych osobników i pięćdziesięciu stucentymetrowych karłów wynosi metr pięćdziesiąt bez kapeluszy.

Rzeczywisty obraz był bardziej złożony. Istniała znacząca liczba jednoosobowych, wdowich najczęściej, gospodarstw domowych. Zwykła wiejska rodzina bywała przeważnie dwupokoleniowa. W szlacheckich, nie mówiąc już o magnackich dworach kłębił się tłum bliższych i dalszych krewnych, powinowatych i pociotków z całym orszakiem służby, totumfackich, pieczeniarzy i rezydentów. Gdzieś pośrodku między wdowim gospodarstwem a dworem plasuje się typowy dom z ojcem, matką, dziećmi oraz młodszym rodzeństwem rodziców, osieroconym bratankiem lub siostrzenicą, a także jedną lub dwiema kuzynkami, co straciły mężów i przytuliły się do rodziny.

Jeden z brytyjskich znawców zagadnienia wyróżnia trzy wyraźne etapy rozwoju rodziny od XIV wieku do czasów nam współczesnych[12]. Etap pierwszy to rodzina średniowieczna – bardzo liczna, żyjąca pospołu, której członkowie dzielili wszystko, od stołu po łożę[\*4].

W takich warunkach trudno było o prywatność, a jeszcze trudniej o kontakty intymne (także małżeńskie). Ale po roku 1550, gdy pojawiła się silna klasa kupiecka, zmienił się także model rodziny. Dawna, tłumna i rozwichrzona, ustąpiła miejsce skromniejszej liczbowo, zhierarchizowanej i ściślej ze sobą związanej. Zdawałoby się, że taki model powinien dawać znacznie większe poczucie stabilności. W tamtych warunkach jednak było to niemożliwe. Dość wspomnieć, że w XVI wieku nadal

utrzymywał się wysoki wskaźnik śmiertelności, że mało kto żył dłużej niż 25–30 lat, a więc niewiele dłużej niż w paleolicie. Rzadko które dziecko dorastało pod ręką własnej matki i własnego ojca, częściej dostawało się pod opiekę macochy lub ojczyma, bo rodzice umierali. Młody człowiek mógł mieć ze dwie albo trzy macochy i tyluż ojczymów, nim osiągnął dojrzałość, a przeciętna młoda kobieta mogła przeżyć dwa małżeństwa i dwa razy zostać wdową, nie osiągnąwszy jeszcze dwudziestego roku życia.

Ale w połowie XVII wieku sytuacja poprawiała się. W miarę zamożna Angielka mogła liczyć, że dożyje 32 lat. Trend ten stale się umacniał i gdy pod koniec XVIII wieku ustąpiły zarazy, które dziesiątkowały ówczesne społeczeństwa, przeciętna długość życia sięgnęła prawie 50 lat[13]. Oczywiście nikt się wtedy nad tym nie zastanawiał, ale faktem jest, że z nadejściem jaśniejszej epoki renesansu zaczęto się z wolna otrząsać z lęku przed śmiercią.

Około 1640 roku rodzina przechodzi kolejną metamorfozę. Pojawia się model charakteryzujący się ciepłem życia rodzinnego, sprzyjający stabilizacji emocjonalnej i bardziej zindywidualizowanym potrzebom członków rodziny, z reguły dwupokoleniowej. Jednocześnie obserwuje się ostry spadek liczby dzieci z nielegalnych związków, co potwierdza zalety nowego modelu rodziny. Gdyby zjawisko to ograniczało się do Anglii, można by sądzić, że ma związek z rewolucją cromwellową. Ale podobną tendencję można było zaobserwować także w innych krajach, choćby we Francji, gdzie odpowiednie wskaźniki utrzymywały się na niezwykle niskim poziomie do drugiego ćwierćwiecza XVIII stulecia, kiedy liczba bastardów znów jęła się piąć w górę[14].

Tło zjawiska jest dość skomplikowane, ale wydaje się, że ma związek z konfliktami religijnymi targającymi Europą XVI wieku.

Rodziły one poczucie niepewności i braku bezpieczeństwa. Ludzie zamykali się w kręgu najbliższych sobie osób, mniej więcej tak jak Chińczycy w czasach najazdów Mongołów i później za władzy równie obcych cesarzy z dynastii Qing.

Mimo że był to okres, gdy na królewskich dworach, jak choćby Karola II, a jeszcze bardziej Ludwika XIV (nim madame de Maintenon zaprowadziła porządek), w sprawach obyczajowych poczynano sobie dość swobodnie, gdy hrabia Rochester publikował wiersze, które i dziś mogą czytelnika przyprawić o rumieniec, a Tirso de Molina w 1630 roku w głośnej sztuce *El Burlador de Sevilla y el Convivado de*



Piedra dał światu postać Don Juana, ówczesna Europa żyła zdumiewająco skromnie i cnotliwie. Dosadny język i sporadyczne szaleństwa trzeba zapisać na konto przeszłości. W zwyczajach prostego ludu wyraża się przemożny wpływ reformacji i katolickiej kontrreformacji, głoszących chwałę dawnych, surowych zasad postępowania.

Na 24. sesji Synodu Trydenckiego (który obradował z przerwami od 1545 do 1564 roku) Kościół rzymski potwierdził sakramentalny charakter małżeństwa, wprowadził nowe reguły zapowiedzi ogłaszanych z ambony i zgody rodziców na zawarcie małżeństwa, zapowiedział surowsze wdrażanie zasady celibatu duchownych, przyjął tezę, że dziewictwo jest bardziej błogosławione niżli stan małżeński, i potępił wszelkie dzieła sztuki malarskiej obliczone na rozniecanie żądz, co dość skutecznie, choć nie na długo, położyło kres erotycznym tematom w sztuce włoskiej. (Papież Paweł IV w swojej nadgorliwości nakazał przysłonić szatami nagie postaci z Sądu Ostatecznego – fresku Michała Anioła na plafonie Kaplicy Sykstyńskiej).

Dla wiernych doktrynalne rozstrzygnięcia niosły niewiele zrozumiałych treści, bardziej liczyła się atmosfera, która budziła wspomnienie o niedawnych koszmarach, gdy protestanci topili anabaptystów, a katolicy wyrzynali hugenotów. Kto miał odrobinę rozsądku, ten przestrzegał kościelnych kanonów moralności i nie wychylał się poza wąskie granice konwencjonalnych zachowań społecznych i seksualnych. I tak trwało to blisko sto lat, nim gorliwość strażników wiary nieco stępieła.

Niewielka, zamknięta w sobie rodzina była bardziej produktem epoki niżli biologii. Perspektywa dłuższego życia wbrew pozorom nie przekładała się na dłuższy i bardziej stabilny związek małżeński, podniosła się bowiem zwyczajowa granica wieku, w którym przystępowano do ołtarza.

Nowy obyczaj podyktowało samo życie. Do tej pory kwestia wieku nie miała specjalnego znaczenia. W rodach szlacheckich najstarszy z synów – dziedzic rodzinnego majątku – żenił się, gdy znalazł stosowną partnerkę. Młodszy synowie, skazani na wieczną łaskę brata, też postępowali wedle tego wzorca. Feudalni chłopcy żenili się wtedy, gdy pan im kazał lub pozwolił. Jednak wraz z pojawieniem się mieszczaństwa, zwłaszcza nowej klasy – kupców, sprawy uległy zmianie. Młodzi kupcy, jak plebs w starożytnym Rzymie, najpierw próbowali się dorobić. Żony brali, gdy już ich było stać na założenie rodziny. I tak w XVII wieku rzadko który młody człowiek wstępował w związki małżeńskie przed ukończeniem dwudziestego piątego

roku życia. Wielu czekało nawet do trzydziestki, a wcale nie miała grupa w ogóle rezygnowała z małżeństwa. Jeśli w średniowieczu tylko pięć procent społeczeństwa żyło w stanie bezżennym, to w XVII wieku wskaźnik ten wzrósł do piętnastu procent. Bardziej brzemienne w skutki zjawisko tyczyło wieku małżonek. Jeśli dawniej chętny do żeniaczki mężczyzna rozglądał się za kandydatką młodszą od siebie o dwadzieścia lub więcej lat, teraz przeważały małżeństwa w tej samej grupie wiekowej. W konsekwencji również kobiety zaczęły wstępować w związki małżeńskie w wieku dość dojrzałym. Tylko w Ameryce, gdzie sytuacja demograficzna kształtowała się inaczej niż w Europie i gdzie kobiet ciągle było mniej niż mężczyzn, wiek małżeński dla kobiet utrzymał się na poziomie 16–18 lat. W Europie – jak świadczą dane z XVIII wieku z Wenecji, Niderlandów, Bawarii, Francji i innych krajów – kobieta zostawała żoną z reguły nie wcześniej niż w wieku dwudziestu kilku lat[15].

Prawdopodobna wydaje się teza, że praktyczni i zapracowani mężowie mieli zbyt dużo problemów na głowie, żeby zajmować się emocjonalnie niedojrzałą partnerką. Kiedy mężczyzna, który coś już w życiu osiągnął – a dotyczy to nie tylko nowo powstałej warstwy kupieckiej, ale ogółu społeczeństwa, bo zwyczaj jął się upowszechniać – postanawiał założyć rodzinę, rozglądał się za dobrą gospodynią, osobą rozsądną, która będzie i chętną nałożnicą, i kompetentną matką. Miłość nie odgrywała większej roli, ale też w związkach, o jakich mowa, w niewielkich i bardzo zżytych ze sobą rodzinach, pojawiała się niespotykana dotychczas szansa na wzajemne uczucie i serdeczność.

Z kobiecego punktu widzenia była to zmiana wręcz rewolucyjna.

Małżeństwo, jak każdy bliski związek dwojga ludzi, to ciągłe ścieranie się osobowości. Silniejsza nie zawsze bierze górę, zawsze natomiast wpływa na słabszą. W małżeństwie, w którym występuje znaczna różnica wieku, dojrzały partner z reguły narzucał swoje opinie, kształtował postawy i ukierunkowywał ambicje partnerki, zbyt jeszcze młodej, aby odkryć własną osobowość. I to właśnie zmieniło się radykalnie, gdy kobiety jęły wychodzić za mąż w dojrzałym wieku, mając pełną świadomość własnej tożsamości. Mąż przestał być wyrocznią, zszedł z piedestału, a związek małżeński nabrał nowego wymiaru i nowej treści. Tylko słabe i uległe kobiety nadal poddawały się męzowskiemu dyktatowi. Z innymi mężczyznami nie mieli już tak łatwo. Owszem, bywało, że na tym tle w związku działało się gorzej, generalnie jednak małżeństwu jako instytucji przemiany wyszły na dobre, nie mówiąc już o tym, że

kobieta zaczęła inaczej postrzegać siebie i swoją rolę w społeczeństwie.

## EUROPEJSKA WERSJA NATURALNEJ MORALNOŚCI

Późniejszy wiek zamążpójścia i (przynajmniej teoretycznie) dłuższy okres przedmałżeńskiej abstynencji seksualnej miały określone konsekwencje, zwłaszcza gdy przemiany obyczajowe zbiegły się na początku XVIII wieku z erą oświecenia – epoką sceptycyzmu, radości, przyzwolenia i umysłowego ożywienia. Na tej fali odkryto konfucjanizm, czerpiąc pełnymi garściami z jezuickich zapisów. Z entuzjazmem neofitów filozofowie epoki jęli głosić chwałę starochińskiej zasady „harmonii ducha i naturalnej moralności”. Tę ostatnią – jak na ironię – rozumieli w sposób absolutnie opaczny jako wyzwolenie z okowów wszelkiej dyscypliny, *corte blanche* na wszystko. Był to oczywiście błąd, ale wybaczalny.

Filozofia stanowiła męskie powołanie, jest więc oczywiste, że koncepcja tego, co naturalne w sferze seksualnej, odzwierciedlała męski sposób myślenia. Z wrażliwością człowieka czułego na krzywdę, ale też z szowinizmem właściwym swojej płci, Jean Jacques Rousseau stwierdzał, że „kobiety doznają niesprawiedliwości, ale natura stworzyła je do uległości wobec mężczyzn”[16]. Osiemnastowieczne dane dotyczące liczby dzieci ze związków pozamałżeńskich wskazują, że teza wielkiego filozofa znajdowała powszechne uznanie.

Dane są daleko niepełne, wielu urodzin nigdzie nie odnotowywano, ale zachował się niezwykle ciekawy zapis w postaci ksiąg metrykalnych z Nantes we Francji. Otóż prowadzono tam, jak zresztą w wielu innych miastach, skrupulatne zapisy urodzin w bardzo praktycznym celu. Chodziło mianowicie o ustalenie rzeczywistego ojca, aby obciążyć go kosztami pobytu matki w szpitalu[17]. Na początku XVIII wieku ledwie trzy procent dzieci urodzonych w Nantes pochodziło ze związków pozamałżeńskich. Pod koniec stulecia wskaźnik wzrósł do dziesięciu procent[\*5].

Nie znaczy to, że w równym stopniu wzrastała liczba pozamałżeńskich afer miłosnych. Wydaje się, że mężczyźni po prostu stali się mniej ostrożni, nieodpowiedzialni, żeby nie powiedzieć egoistyczni. Społeczeństwo w swojej masie stało się bardziej mobilne. Robotnicy rolni we Francji w poszukiwaniu zatrudnienia sporą część roku spędzali poza domem. W obcym otoczeniu, w przypadkowych

kontaktach z kobietami zachowywali się bardziej żywiołowo i mniej ostrożnie niż w podobnych sytuacjach w rodzinnych stronach.

Z drugiej strony, w XVIII wieku pojawił się środek antykoncepcyjny w postaci prezerwatywy. Wynalazł ją jeszcze w XVI wieku włoski lekarz i anatom Gabriele Falloppio jako środek chroniący przed zarażeniem kiłą. Opis wynalazku znajdujemy w jego dziele, które ukazało się w roku 1564, dwa lata po śmierci autora. Istota sprawy sprowadzała się do nałożenia na żołądź rodzaju kapturka z cienkiego płótna, na który następnie nasuwało się napletek, zabezpieczając w ten sposób rzecz przed zsunięciem. Ale z nastaniem XVIII wieku kondom – choć nadal zalecany jako środek chroniący przed chorobami wenerycznymi – znalazł nowe zastosowanie jako (wedle sformułowania Casanovy) instrument „uwalniający płeć nadobną od lęku”. W nowym wydaniu instrument ów wyrabiano z baranich jelit lub rybiej skóry, oferowano w domach publicznych bądź (rzadziej) w wyspecjalizowanych hurtowniach, jak np. londyńska firma pani Philips, polecająca swe usługi „aptekarzom, drogistom, mydlarzom oraz posłom, cudzoziemcom, gentlemanom oraz kapitanom statków i ich załogom wybierającym się do obcych krajów”[18].

Takie okoliczności utrudniają interpretację danych statystycznych. Jedno wszakże na podstawie ksiąg z Nantes można stwierdzić z całą pewnością, mianowicie, że w dziele płodzenia bastardów marynarze mieli znacznie większy udział niżli wędrowni robotnicy rolni. W rzeczy samej, przed wolnymi najmitami na liście ojców dzieci z nielegalnych związków plasują się szanowani zapewne i majątni obywatele. Połowa samotnych matek figurująca w archiwalnych księgach Nantes z lat 1726–1736 to – wedle ich własnych deklaracji – służące, a ojcowie ich nieślubnych dzieci to ich chlebobdawcy.

Tak było na początku XVIII wieku, bo później panowie z lepszych sfer – rentierzy, prawnicy i kupcy – zmienili nieco zainteresowania, przestali molestować służące, a zaczęli fundować sobie mniej lub bardziej oficjalne kochanki, instalując je w wynajętych apartamentach w bezpiecznej odległości od domu. Moda na utrzymanki nastąpiła po roku 1750, co rychło znalazło odbicie w księgach położnic w Nantes. W latach osiemdziesiątych już tylko dziewięć procent panien służących, którym zdarzyło się zajść w ciążę, podawało jako sprawców swoich chlebobdawców. Pisząc w roku 1784 Wesele Figara, Beaumarchais kierował ostrze satyry przeciwko bogatym lubieżnikom, czyhającym na cnotę niewinnych pokojówek, i jak wielu zawodowych

szyderców przed nim i po nim spóźnił się, i to sporo, ze swoją filipiką.

Nantes i tamtejsze afery można chyba potraktować jako typowe miasto i typowy obraz z życia ówczesnej Europy. Tak zapewne było wszędzie poza wielkimi stolicami, w których z racji dużej liczby mieszkańców, nie mówiąc o atmosferze metropolii, życie układało się nieco inaczej, biegło pewnie szybciej i pieściło niewielu. Ciekawe liczby potwierdzające tę tezę przytacza świadek tych czasów Georges Leclerc de Buffon, filozof i przyrodnik, członek Akademii Francuskiej. W roku 1745 w paryskich przytułkach wychowywało się 3233 podrzutków. W roku 1766 ich liczba wzrosła do 5604, a w 1772 około czterdzieści procent dzieci urodzonych w Paryżu – 7676 z ogólnej liczby 18 713 – trafiło do miejskich ochronek[19]. Nie wszystkie dzieci z nielegalnych związków chowały się w ochronkach i nie wszyscy wychowankowie sierocińców byli sierotami. Co, na przykład, powiedzieć o pięciorgu drobiazgu zrodzonego z wieloletniego, nielegalnego, bo nie uświęconego sakramentem, związku Jeana Jacquesa Rousseau z Therese Le Vasseur? Dzieci – jedno po drugim – trafiały do sierocińca. Rousseau uważał, że nie da rady ich utrzymać, i nie chciał ich nawet oglądać. Ale większość wychowanków miejskich przytułków stanowiły dzieci oddane tam przez niezamężne matki bądź ubogie rodziny. Obok nich do przytułków trafiały, i to sporo, dzieci pochodzące z luźnych związków, głównie z warstwy rzemieślniczej, których uczestnicy nie chcieli zawracać sobie głowy przychówkiem. W sumie liczba niechcianych dzieci – sierot społecznych, jakbyśmy dziś powiedzieli – była nader wysoka.

Świadczyło to o pilnej potrzebie edukacji w zakresie antykoncepcji i i odzwierciedlało wielką nędzę, w jakiej żyły szerokie masy społeczeństwa – ubóstwo, z którego niebawem, w roku 1789, zrodzi się rewolucja.

## **BOSKI MARKIZ**

Gdyby cała Francja żyła jak dwór w Wersalu, rzeczywiście XVIII stulecie mogłoby nosić miano „stulecia kobiet”. W Wersalu ton nadawały mesdames de Pompadour, du Barry i oczywiście Maria Antonina, a w ostatniej dekadzie przed „potopem” mężczyźni, nawet najbardziej męscy z męskich, jęli po kobiecemu pudrować lica, nakładać róże, stroić się w jedwabie, obwieszać biżuterią i w ogóle nosić się z

damską ostentacją. Pewnie nie tylko za sprawą pani de Pompadour i jej koleżanek, bo od co najmniej trzech stuleci mężczyźni stroili się i puszyli jak pawie, i nie to stanowiło nowość. Sztafaż był stary, nowe były didaskalia i styl pełen teatralnej sztuczności. Dwór stał się sceną, a jego mieszkańcy aktorami. Wystawiano zaś nie kończący się serial o libertyńskich miłosnych affaires z silną nutą narcyzmu.

Libertynizm był grą próżniaków, wielce podobną do arabskiej sztuki miłosnych pragnień z czasów pierwszych Abbasydów, tyle że na tej scenie w roli bohaterek występowały nie tylko damy, ale i gorzej urodzone baletnice. *Affaire d'amour* obejmuje cztery fazy: wybór, uwiedzenie, zniewolenie i rozstanie. Tylko drugorzędni roués pokroju Casanovy głoszą chwałę trzeciej fazy. Prawdziwi znawcy wiedzą, że cały smak, rzeczywisty dramat, zawiera się w akcie ostatnim, gdy objawia się okrutna prawda.

Cała ówczesna gra w miłość obfitowała zresztą w brutalność i okrucieństwo, co wyraźnie przebija w literaturze epoki. Nie powstawała ona na wysokich salonach, autorzy nie należeli do dworskiej elity, ale byli blisko i sporo widzieli. Szczytowym przykładem tego gatunku literackiego stały się utwory markiza de Sade, szlachcica z Prowansji, od którego nazwiska wywodzi się sadyzm – nazwa jednej z perwersji seksualnych. Ale markiz nie był pierwszy. Gatunek zrodził się w Anglii w latach 1747–1748, gdy Samuel Richardson wydał opowieść *Clarissa, Or the History of a Young Lady* (Klarysa, czyli historia młodej damy). Spisana w formie listów, przedstawia dramat uwiedzionej dziewczyny, która dokonuje życia w więzieniu dla dłużników. Anglia dała światu tzw. powieść gotycką, prekursorkę dzisiejszych horrorów, pełną melancholii, mrocznych scen, lęków i przerażającej ciszy przerywanej tylko pohukiwaniem puszczyków. W czasach Richardsona był to gatunek całkiem nowy. *Clarissa* wpisuje się weń w całej pełni, też jest mroczna, ponura, momentami przerażająca. Oto bohaterka śni, że kochanek unosi ją na cmentarz, a tam „przebija jej serce nożem i spycha do głębokiego, właśnie wykopanego grobu, w którym walają się szczątki wcześniej pogrzebanych zwłok.

Okrutny kochanek gołymi rękami grzebie dziewczynę, w której jeszcze tli się isierka życia, a na koniec udeptuje mogiłę nogami”[20].

Opowieść Richardsona o niewinnej dziewczynie poddanej najokrutniejszym próbom odniosła wielki sukces nie tylko w Anglii, ale i we Francji, gdzie zainspirowała wielu naśladowców. Echo *Clarissy* pobrzmiewa w *La Religieuse*



Diderota i w Nowej Heloizie Rousseau oraz w kilku naprawdę wielkich dziełach francuskiej literatury osiemnastowiecznej, na przykład w Niebezpiecznych związkach Choderlosa de Laclosa. Bohaterowie powieści Laclosa: Valmont – perfidny Don Juan, złośliwie dowcipna madame de Merteuil, próżna i tępa Cecile i miękki Danceny to nie tylko symbole rozmaitych występków, ale pełnokrwiste, wzięte z życia postaci, nakreślone z wyjątkowym znawstwem tajników ludzkiej psychiki.

Wszystkie te utwory, pełne zmysłowości, zawierają wiele brutalnych scen, opisów tortur, męczarni zadawanych niewinnym dziewczynom, cnót poddawanych najwyższym próbom, wszystko zaś po to, aby na koniec zaświadczyć, iż cnota zawsze zwycięża, choćby i w ten sposób, że maltretowana i umęczona dziewczyna, przyodziana w białe gieźło, wstępuje do nieba przy wtórze anielskich pień[21]. Większość twórców, z wyjątkiem Laclosa, pisała dla pieniędzy, trafiając na chętnych odbiorców, i to nie tylko na wysokich salonach. Mimo swej cynicznej moralności Wersal wcale nie był ani jedynym, ani głównym odbiorcą literatury, a w roku 1791, gdy markiz de Sade publikował (anonimowo) swoją pierwszą powieść Justyna, czyli Nieszczęścia cnoty, dwór miał znacznie większe problemy niż zajmowanie się lekturą. Pięć lat później, gdy ukazała się kolejna książka markiza – Juliette, ou les prosperites du vice, dworu w ogóle już nie było, a rynek czytelniczy istniał nadal. De Sade'em zaczytywali się wszyscy. Wcale mu nie przychylny Retif de la Bretonne twierdził, że wśród czytelników Justyny był sam wielki Danton – przywódca rewolucji. Książka miała go podniecać[22]. Wygląda na to, że francuscy bourgeoisie sycili się soczystościami litterature galante, a jednocześnie oburzali na deprawację ancien regime'u.

Przełomowe lata 1777–1790 de Sade spędził w więzieniu, skazany za trucie prostytutek cantharides – afrodyzjakiem, zwanym także „hiszpańską muchą”, który w nadmiarze jest rzeczywiście niebezpieczny dla zdrowia. Resztę życia też zresztą spędził za kratami, najpierw w rozmaitych aresztach, a później w zakładzie dla obłąkanych. Niedoskonałości stylu, luki w doświadczeniu literackim, brak dowcipu i dystansu do tematu nadrabiał niebywałą wyobraźnią, pozwalającą mu z godnym podziwu znawstwem produkować utwory opisujące wszelkie możliwe perwersje seksualne, zwłaszcza te, których uczestnicy czerpią rozkosz z zadawania bólu. Żadna niewiasta w całej literackiej i przedliterackiej historii nie doznała od nikogo tyle cierpień fizycznych, ile od markiza de Sade. Nieszczęsną Justynę de Sade pętał, rozciągał na ziemi, wydawał na żer zgłodniałym psom, ratował w ostatniej chwili

rękami chirurga tylko po to, aby tenże medyk mógł poddać ją sekcji, a gdy i z tego wychodziła cała, rzucał ją pod stopy żadnego mordy tłumu. Spłakaną i zrozpaczoną, zmęczoną walką o własną cnotę, ratował na koniec za pomocą pioruna zesłanego w porę przez Naturę. Dziś taki scenariusz (jeśli pominąć nienaruszoną cnotę) jest czymś zwyczajnym w literaturze, ale w latach dziewięćdziesiątych XVIII stulecia szokował nowością. Nie tyle nawet scenami brutalnej przemocy, ile faktem, że de Sade traktował przemoc jako coś zwyczajnego i naturalnego.

Głęboko bowiem wierzył w zasadę „naturalnej harmonii”, którą kilka dziesiątków lat wcześniej racjoniści przejęli od Konfucjusza i zaadaptowali do własnych celów. Podobnie jak Diderot i inni, de Sade widział w „naturalnej harmonii” wystarczające uzasadnienie dla swego brutalnego „realizmu”. Polemizując z Gillesem de Rais i jemu podobnymi, pisał: „Głupcy zarzucają mi, że moi bohaterowie to potwory. Owszem, są takimi w świetle naszych obyczajów i w naszym rozumieniu, ale... są oni tylko narzędziami w rękach [Natury], która wyposażyła ich w krwawe i barbarzyńskie cechy charakteru, aby wdrażali jej prawa”[23]. De Sade był przekonany, że świat jest ze swej istoty zły, i pod tym względem różnił się zasadniczo od poprzedników. Wedle niego „naturalna harmonia” to zaprzeczenie cnoty, żyć naturalnie to żyć w sposób występny. Bardzo to wygodna i w świetle jego powieści całkiem logiczna (choć oburzająca) teoria. Cnota prowadzi do nędzy i upadku, występki przeciwnie. Gdy więc rzecz ma się kończyć happy endem, a musi, bo taka jest tradycja, zwycięstwo musi należeć do występku.

De Sade zmarł we Francji w roku 1814. W tym samym roku zakazano druku i rozpowszechniania *Justyny*, a w następnym również *Juliette*, co miało tylko taki skutek, że Boski Markiz (jak zaczęto go nazywać), choć pisał nędznie, zawładnął bez reszty umysłami francuskich i frankofońskich autorów. Romantycy, dekadenci, surrealiści przyznają, że czerpali zeń inspirację. Zachwycał się nim Baudelaire, zachwycali Lamartine, Swinburne, D’Annunzio, Nietzsche i Cocteau – i nie wiadomo, czy wielbili Boskiego Markiza dlatego, że krwawe wytwory jego wyobraźni satysfakcjonowały jakieś ich ukryte pragnienia, czy też dlatego, że targnął się na burżuazyjną przyzwoitość, zlewając ją kubłem nieczystości.

## TEORIE NASIENIA

Wiek XVI i XVII przeszły do historii jako okres niebywałych przygód. Wiek XVIII przyniósł wzmożoną aktywność intelektualną. Wśród wielu odkryć naukowych dał także odpowiedź na pytanie frapujące ludzkość od co najmniej dziesięciu tysięcy lat, mianowicie, jakie to czynniki sprawiają, że efektem stosunku jest dziecko. Choć minione dziesięć tysiącleci wydało na świat co najmniej czterysta ludzkich pokoleń i nawet najbardziej gapowaty obserwator musiał zwrócić uwagę, że dzieci w równym stopniu bywają podobne do matek co i ojców, to jednak przez wszystkie te lata utrzymywał się pogląd, iż rola kobiet w procesie prokreacji jest zgoła marginesowa.

Grecy jako pierwsi na Zachodzie wyszli z teorią, że czynnikiem decydującym o prokreacji jest sperma, kobieta zaś spełnia wyłącznie funkcję inkubatora. Arystoteles uważał spermę za rodzaj nośnika ludzkiej duszy[\*6], który łącząc się z krwią wydzielaną w czasie menstruacji daje początek ludzkiej istocie. Kreślił obrazowe porównanie z procesem produkcji sera z mleka. „Ciało to jakby mleko [element materialny], ale zaczynem sera jest podpuszczka lub sok figowy [sperma]”. Arystoteles formułował swoją teorię w IV wieku p.n.e.

Pięćset lat później podobną hipotezę wysunął rzymski medyk Claudius Galen(us), przyrównując składanie nasienia w łonie kobiet do rzucania ziarna w glebę. Żyjący w tym samym okresie chrześcijański teolog i filozof Klemens z Aleksandrii głosił, że sperma to niemal istota ludzka[25]. Obaj więc podnosili znaczenie męskiego nasienia.

Teoria Klemensa wyjaśnia chyba, dlaczego Kościół z tak wielkim nabożeństwem potraktował nasienie, obwieszczając, że marnowanie spermy, a więc wydalanie jej niezgodnie z przeznaczeniem, to grzech.

Teorie Klemensa legły też u podstaw kościelnych przykazań dotyczących dozwolonych i niedozwolonych form uprawiania seksu.

Będąc niemal istotą ludzką, nasienie musi być tworem boskim, więc tylko bluźnierca może wątpić w jego doskonałość – tak uważano w chrześcijańskim świecie. W Azji inaczej. Chińczycy mimo wielce abstrakcyjnej natury filozofii taoistowskiej podchodzili do sprawy w sposób bardzo rzeczowy, uważając, że można poprawiać jakość nasienia, a w tym celu należy systematycznie wzmacniać je czynnikiem yn. Ale dopiero Hindusi, a w ślad za nimi Arabowie, podeszli do kwestii jakości spermy w sposób naprawdę poważny.

Stosunkowo niedawno, w roku 1950, jeden z wybitnych psychologów przeprowadził serię wywiadów z mieszkańcami wioski w pobliżu Udajpur, Hindusami

wysokiej kasty, właśnie na ten temat.

Wedle Hindusów nasienie powstaje w bardzo skomplikowany sposób. Dla jednej kropli spermy potrzeba aż czterdziestu kropel krwi i tyleż dni, z tym że proces powstawania nasienia można przyspieszyć, stosując odpowiednią dietę, złożoną z mleka, masła, pszennej mąki, ryżu i białego cukru (a więc wcale nietaniach produktów). Jeden z rozmówców uczonego, uchodzący w wiosce za szczególnie sprawnego seksualnie, zalecał także rodzaj koktajlu z surowych jajek, miodu i mleka[\*7]. Dobre nasienie powinno być takie jak tłuste mleko, należy je szanować i starannie przechowywać. Nadwyżki gromadzi się w głowie, ale w ograniczonej ilości, bo więcej niż siedem uncji ( 155 mililitrów) nie da się zmieścić[27][\*8].

Brzmi to może naiwnie, ale wcale takie nie jest. W pojęciu Hindusów aktywność seksualna, potencja, to oznaka dobrego zdrowia, a zdrowie zależy między innymi od właściwego odżywiania. Hindusi uważali również, że po ejakulacji musi minąć jakiś czas, nim nasienie odzyska swoją moc. (Podobnie per implicite uważali Chińczycy, natomiast świat zachodni tego poglądu nie podzielał). Rozumowali trafnie.

Jak wynika ze współczesnych badań, trzeba mniej więcej czterdziestu godzin, aby ejakulat nasycił się nasieniem[28]. „Zbiornik” w mózgowym czasie rzeczywiście brzmi absurdalnie, jednak w kontekście tantrycznej koncepcji „delikatnego ciała” sprawa staje się całkiem logiczna.

Bez względu jednak na różnice poglądów w rozmaitych kwestiach wszystkich mieszkańców Eurazji łączyło głębokie przekonanie, że nasienie należy szanować, że żadną miarą nie wolno go marnotrawić.

Chińczycy uważali, że rozrzutność w tym względzie prowadzi do ogólnego osłabienia organizmu. Hindusi byli zdania, że zasoby nasienia są nader ograniczone, a na Zachodzie, zgodnie z poglądami ukształtowanymi z jednej strony przez wizję ogni piekielnych, z drugiej przez przesadnie nabożny stosunek do substancji będącej niemal ludzką istotą, wierzono, że kto marnotrawi spermę, tego spotka kara w postaci najgorszych chorób i nieszczęść. W pojęciu marnotrawstwa mieścił się i homoseksualizm, i onanizm, w czasach wiktoriańskich uważany za grzeszny występki, i stosunki częstsze niż raz w tygodniu. Włoski medyk Sinibaldi, autor pierwszej w Europie pracy na temat seksualizmu *Geneanthropeia*, wydanej w roku 1642 (w roku 1858 ukazał się jej angielski, oczyszczony z rzekomych nieprzyzwoitości przekład *Rare Verities, the Cabinet of Venus Unlocked*), uprzedzał, że onanizm wywołuje

podagrę, zaparcia, skrzywienia kręgosłupa, niezdrowy oddech i zaczerwienienie nosa. Dwieście lat później Ellen White – wizjonerka i popularyzatorka doktryny Kościoła adwentystów dnia siódmego – przestrzegała, że kto zgrzeszy sam ze sobą, stanie się kaleką lub imbecylem. Jeszcze pod koniec XIX wieku znawcy medycyny utrzymywali, że onanizm prowadzi do ślepoty i padaczki, a tym, co oddają się masturbacji ze szczególnym upodobaniem, grozi upadek moralny i bankructwo w sensie najzupełniej fizycznym.

Od czasów Arystotelesa po wiek XVII na Zachodzie wierzono, że męskie nasienie spełnia aktywną rolę w procesie prokreacji (co jest zgodne z prawdą, ale oczywiście nie w arystotelesowskim sensie). Z początkiem naszej ery medycy w Aleksandrii odkryli jajniki, uznali jednak, że organ ten nie ma szczególnego znaczenia – te jakby męskie jądra spełniają marginalną funkcję, bo chociaż wydzielają rodzaj ejakulatu, to pod żadnym względem nie równa się on męskiemu. Wzmiankę o odkryciu aleksandryjskich medyków można znaleźć w szesnastowiecznej hiszpańskiej Historii ludzkiego ciała z ciekawą uwagą autora. „Ufam – pisał, niechętnie potwierdzając istnienie wzmiankowanych organów u kobiet – że niewiasty nie staną się bardziej aroganckie, wiedząc, że też mają jądra”[29]. Ale w XVII wieku wynaleziono mikroskop.

Dzięki niemu w roku 1672 młody chirurg z Holandii Regnier de Graaf odkrył pęcherzyki jajowe [pęcherzyki Graafa] i stwierdził, że dojrzałe jajo przechodzi z jajników do jajowodu i dalej do macicy. Ale co sprawia, że jajo zaczyna wędrować? Graaf uznał, że wywołuje to aura seminalis – fluidy zawierające się w ejakulacie mężczyzny. Trzy lata później rodak de Graafa przyrodnik Antonie van Leeuwenhoek umieścił pod mikroskopem kroplę spermy i zaobserwował, że pełno w niej żywych miniaturowych tworów przypominających z kształtu kijanki. Nazwał je animalkulami.

No i zaczął się spór trwający kilka dziesiątków lat. Zwolennicy de Graafa – owuliści – głosili, że właśnie w jaju mieści się zminiaturyzowany dorosły osobnik, zwolennicy van Leeuwenhoeka – animalkuliści, zwani również spermistami – dzieląc poglądy swych przeciwników w kwestii preformacji [ukształtowania – *przyj. tłum.*], utrzymywali, że nosicielem miniatury dorosłego człowieka jest plemnik. Gdyby komuś z nich przyznać rację, trzeba by uznać, że rola rodziców w procesie prokreacji jest wyłącznie instrumentalna. Preformacja oznacza predestynację, a rozumując dalej, trzeba przyjąć, że skoro w zarodku (czy to w jaju, czy w plemniku) mieści się



miniatura dorosłego osobnika – z kompletem wyposażenia, jak zauważał Leibnitz, a więc z duszą oraz grzechem pierworodnym – to w tejże miniaturze zawierać się musi kolejna miniatura, w niej zaś następna i tak od infinitum cały rodzaj ludzki upakowany na podobieństwo rosyjskich matrioszek. Spór gęstniał, pojawiały się nowe teorie, ale żadnemu z ich twórców nie przychodziło do głowy, że dziecko dziedziczy cechy fizyczne i intelektualne obojga rodziców. Dyskusja zainspirowała jednak licznych naukowców do dalszych badań mikroskopowych, które przyniosły wiele pożytecznych i ciekawych wyników, w tym dowód, że Kościół głosi prawdę w kwestii „niepokalanego poczęcia”. Zaobserwowano bowiem, że samiczki pewnego gatunku mszyc mogą wydawać na świat do dziewięciorga potomstwa dziennie wyłącznie własnym wysiłkiem, bez udziału zewnętrznego czynnika. A skoro dane to jest mszycom, to...

Około połowy XVIII wieku botanicy udowodnili, że przynajmniej w świecie flory każda następna generacja roślin dziedziczy cechy po obojgu „rodzicach”, a więc po roślinie, z której wzięto pyłek, i po tej, do której szypułki pyłek wprowadzono. Spór animalkulistów z owulistami, choć jedni i drudzy zapędzili się w ślepy zaułek, także okazał się pożyteczny – podważył zastały od stuleci pogląd o cudownym, nadprzyrodzonym niemal działaniu nasienia w procesie reprodukcji ludzkiego gatunku. Naukowcy, którzy zachowywali równy dystans wobec owulistów i spermistów, zaczęli przyglądać się rasom mieszanym i dostrzegając pewne prawidłowości – na przykład, że czarni rodzice wydają na świat czarne dzieci, że z białych rodziców rodzą się białe, a z mieszanych par przychodzą na świat Mulaci. Wolno, bo wolno, ale zaczęto sobie uświadamiać, że dziecko dziedziczy cechy i po ojcu, i po matce. Udowodniono to ponad wszelką wątpliwość dopiero w roku 1854, obserwując po raz pierwszy w historii, oczywiście za pomocą mikroskopu, moment połączenia jaja ze spermą. Materiał badawczy pochodził co prawda od żab, ale mimo wszystko dowód był niezbity[30].

Odkrycie rzeczywistej, istotnej roli kobiety w procesie prokreacji przyniosło także pewien skutek uboczny. Otóż w pierwszej połowie XIX wieku pojawiła się nowa teoria, raczej doktryna, o wyższości pewnych ras nad innymi. Wsparta na fundamencie badań nad gatunkami biologicznymi i na wątpliwych spekulacjach historycznych, zyskała spore uznanie, zwłaszcza w Niemczech, ogarniętych falą antysemityzmu, i w Stanach Zjednoczonych, gdzie toczył się zacięty spór o zniesienie niewolnictwa.



Doktrynę w całej jej krasie zarysował w latach pięćdziesiątych XIX stulecia Joseph Arthur hrabia de Gobineau w *Essai sur l'inegalite des races humaines* (Esej o nierówności ludzkich ras), a opublikowane w 1859 roku dzieło Darwina *O powstawaniu gatunków* zdawało się potwierdzać tezę, że w wyniku doboru naturalnego pewne rasy mogą rzeczywiście przewyższać inne pod względem posiadanych cech. To oraz wiedza, że dzieci dziedziczą po obojgu rodzicach, sprawiły, iż na mieszane małżeństwa jęto spoglądać ze specjalną uwagą, a teoretycy po obu stronach Atlantyku zaczęli głosić, że mieszane związki muszą w konsekwencji zagrozić nosicielom wyższych cech. Za oceanem pojawił się termin *miscegenation* – oznaczający skażenie rasy.

Użyto go po raz pierwszy w roku 1864 w propagandowej, pseudonaukowej broszurze wyborczej Partii Demokratycznej *Miscegenation: Theory of Blending of the Races, applied to the American White Man and Negro* (Skażenie ras – rzecz o mieszanii ras na przykładzie Białych Amerykanów i Murzynek).

Na szczęście nowe odkrycia owocowały także inaczej i na innych polach. Skoro Bóg dał kobiecie możliwość przekazywania potomstwu swoich cech, to nie należy ona do istot z natury podlejszych, jak mężczyźni zawsze uważali.

---

[\*1] Szyderca mógłby twierdzić, że w tych sprawach nic się nie zmieniło, i na dowód przywołałby przykłady królowej Elżbiety II (córkę poprzedniego króla), królowej Beatrix z Holandii (też córki), Benazir Bhutto – szefowej rządu Pakistanu, ale przecież córki byłego premiera tegoż państwa, czy Corazon Aquino, której kariera polityczna zaczęła się po tragicznej śmierci małżonka, znanego działacza ówczesnej opozycji filipińskiej. Przykłady to jednak zwodnicze, bo zmieniło się, i to wiele, o czym świadczą biografie Margaret Thatcher, Goldy Meir czy Yigdis Finboggasdottir – prezydenta Islandii. Każda z nich sobie tylko zawdzięcza karierę.

[\*2] I w tej mierze niewiele się zmieniło. Dziewczęta z grupy Baader-Meinhoff, która terroryzowała Niemcy w latach sześćdziesiątych XX stulecia, należały do tej samej kategorii co słynna Chai Ho-ku – szefowa Triady – chińskiej mafii z lat pięćdziesiątych XIX wieku, co nie mniej głośne bojowniczkę tajpingów, co bojowniczkę algierskiej rewolucji spod znaku Frontu Wyzwolenia Narodowego i paryżankę z barykad Komuny[2]. Historia uczy jednak, że równość w walce nie przekłada się na równość w czasie pokoju.

[\*3] Błąd autorki. Założona w 1607 roku osada w Jamestown przetrwała, dając początek kolonii w Wirginii. Nie powiodła się natomiast wcześniejsza próba kolonizacji, podjęta w roku 1585 z inspiracji i za pieniądze sir Waltera Raleigh – *przyp. tłum.*

[\*4] Niewykluczone, że dość powszechny do końca XVIII wieku w Ameryce i niektórych krajach europejskich obyczaj towarzyszący zrękowinom, a polegający na tym, że narzeczeńską parę posyłano

na trochę do łóżka, ale w pełnym odzieniu, to pozostałość tamtych właśnie czasów.

[\*5] Ciekawe, że w Dover, też miście portowym jak Nantes, dwieście lat później, w roku 1975, w epoce pigułki antykoncepcyjnej, ten wskaźnik sięgał 9,19 procent.

[\*6] W starożytnym świecie przydawano duszy pewien materialny wymiar. Jedni traktowali ją jako „esencje”, inni jako „tchnienie” życia, a jeszcze inni jako niewidzialny co prawda, ale stale towarzyszący człowiekowi cień[24].

[\*7] Arabowie wierzą w podobną dietę. Wonnny ogród zalecał miód, jaja, mięso i ciasta, ale nie wspominał o mleku, co jest zrozumiałe o tyle, że Arabowie nie hodowali krów. Miast krowiego spożywali mleko owcze bez szczególnego apetytu i zapału, uznając, że nie jest to produkt godny uwagi[26].

[\*8] Wcale niemało! Wystarczy, jak można wnosić ze współczesnych badań, na 65 przeciętnych wytrysków, zawierających w sumie 3600 milionów plemników.

## CZEŚĆ PIĄTA

---

# KU WSPÓŁCZESNOŚCI 1800-1989

---

*W epoce wiktoriańskiej, głównie za sprawą powrotu na scenę dworskiej miłości, dama z klas średnich przemienia się w słodką, ale niedostępną strażniczkę moralności, którą seks napawa wstrętem, co prowadzi do eksplozji prostytucji, epidemicznego wręcz wzrostu przypadłości wenerycznych oraz chorobliwej predylekcji do masochizmu.*

*Damy, zatrwożone wieściami o powszechnym rozpasaniu i występku, dochodzą do wniosku, że tylko one, moralnie czyste i nieskalane, mogą uzdrowić sytuację i skierować społeczeństwo na właściwą drogę. Zaczynają się domagać i w efekcie uzyskują pełnię praw wyborczych. Jednocześnie wybucha walka o upowszechnienie wiedzy o antykoncepcji. Trudna, bo trudny jest przeciwnik – lobby moralistów głoszących, że jedynym dopuszczalnym i uświęconym środkiem antykoncepcyjnym jest abstynencja seksualna. Sztucznie stworzony ideał rodziny wiktoriańskiej przetrwał wiele lat, funkcjonował jeszcze długo w XX stuleciu, znajdując wpływowego poplecznika w Hollywood, który okazał się tu skuteczniejszy niż Kościół. Wiktoriański ideał jął się wreszcie chwiać pod naporem odkryć Kinseya i jego następców, a także pod wpływem psychoanalizy oraz ekonomicznej rzeczywistości. Ale trwa! Trwa mimo pojawienia się Ruchu Wyzwolenia Kobiet, organizacji gejowskich i proponentów seksualnych swobód, wyrażających sprzeciw wobec tradycyjnego modelu stosunków społecznych. Prawa wprowadzone w wielu krajach zrównują status kobiet i mężczyzn, ale w dziedzinie społecznej pozostaje wiele do zrobienia.*

## 13. WIEK XIX

**W**iek XIX tak kojarzy się z osobą dostojnej starszej pani w sukni z czarnej bombazyny, że czasami ma się wrażenie, iż bez niej w ogóle by go nie było. Trudno się dziwić. Królowa Wiktorja panowała niemal przez całe stulecie, ale wiktorianizm nie stanowi ani wyłącznej własności Imperium Brytyjskiego, ani nie zamyka się w tym jednym stuleciu. Przekraczał cezury wieków i granice państw. Ucierpiały odeń i Chiny – gdzie zaistniał w swoistej formie na tle obaw przed zachodnim imperializmem i na gruncie neokonfucjańskiej pruderii – i Ameryka, i Niemcy, gdzie pojawił się wcześniej niż w brytyjskim mateczniku. W Ameryce wyrósł na glebie purytanizmu, a w Niemczech – w odpowiedzi na polityczne przesilenia i wyzwania XVIII stulecia. We Francji objawił się nieco później i na jeszcze innym tle.

Borykając się z sześćdziesięcioletnim kryzysem poprzedzającym przełom roku 1848 (i następne), Francja zamykała się we własnym zaścianku, chroniąc się w ten sposób przed politycznym oszołomstwem. W Wielkiej Brytanii nowa, świadoma swojej tożsamości klasa średnia, którą tak zwane lepsze sfery krytkowały za wulgarny komercjalizm, udanie połączyła stare filozofie z nowymi prądami intelektualnymi, tworząc kodeks moralno-obyczajowy znakomicie odpowiadający jej społecznym ambicjom.

Europę i Amerykę spinała stała wymiana kulturalna, nic więc dziwnego, że po obu stronach Atlantyku nowe postawy przybierały podobną formę – być może komuś uda się kiedyś wyjaśnić, dlaczego taką, a nie inną, i dlaczego w XIX wieku pełen wdzięku i elegancji osiemnastowieczny neoklasycyzm, wzbogacony frywolnymi akcentami chinoiserie i gotyku, ustąpił miejsca wykrochmalonej pompatyczności, z lekka tylko

skontrapunktowanej przez romantyzm, w którym egzotyka (zwłaszcza rodem z Bliskiego Wschodu) jawiła się jak smakoszowi kawior. „Poważny” gotyk, całkiem różny od swojej wymyślnej wersji sprzed kilku dekad, najpierw przejawiał się z całą mocą w literaturze i architekturze, by później ogarnąć niemal wszystko – i sztukę, i życie. Wyfraczony, zdobny w bokobrody wiktoriański gentleman, przejęty średniowieczną nostalgią, odnosił się do „ladies” – dam – z wyszukaną galanterią, stając się w ich oczach uosobieniem rycerskości, co chcąc nie chcąc, znów sprowadzało „ladies” do roli obserwatorek turnieju życia. Rola była wygodna. Właśnie „wygody miast sprawiedliwości” – oto co zdaniem Harriet Martineau Amerykanin oferował swojej damie w trzeciej dekadzie XIX stulecia[1]. To samo można powiedzieć o Europejczykach, a Europejki, podobnie jak Amerykanki, przyjmowały to z zadowoleniem. Podobały im się hołdy, zachwyty, wyrazy uwielbienia i własna rola słabych, kruchych, niewinnych, oderwanych od życia aniołów, do których mężczyzna wraca, by zażyć wytchnienia od brutalnych zmagania w okrutnym świecie biznesu[\*1].

Ale walca nie tańczy się w pojedynkę. Od kobiet wymagano więc, aby traktowały mężów z nabożeństwem, jak kogoś, kto jest samym Panem Bogiem i sir Galahadem jednocześnie. Najistotniejsze – pisała Sarah Ellis w roku 1842 w poradniku dla Angielek – to uznać „wyższość męża po prostu dlatego, że jest mężczyzną... W osobie szlachetnego, oświeconego i prawdziwie dobrego mężczyzny mieści się siła, a zarazem delikatność bliska temu, co zwykliśmy uważać za przymiot aniołów... żadne słowa nie są w stanie wyrazić podziwu i szacunku, jakie sama myśl o nim powinna wywoływać... Być w jego sercu, korzystać z jego rad, być wybraną partnerką na dobre i złe! Trudno powiedzieć, czy pokora czy wdzięczność winna przepełniać kobietę tak wyróżnioną i tak błogosławioną”. Ale w słodkiej prozie pani Ellis krył się cień, który zraniłby wszystkich jej poprzedników – Księgę Przysłów, Ischomachusa, panią Pan Czaa, św. Hieronima i innych. Choć bowiem zapewniała, że wyższość mężczyzn wpisana jest w porządek rzeczy, dodawała, że mimo to może się zdarzyć, iż żona okaże się bardziej utalentowana i dopracuje się większych osiągnięć niż Pan Bóg i sir Galahad w jednym, czyli mąż[2].

## MIEJSCE KOBIETY

Szły nowe czasy, nim jednak sytuacja kobiet zmieniła się na lepsze, najpierw uległa pogorszeniu. Pod społeczną presją życie jeszcze bardziej niż zwykle jęło naśladować sztukę.

Przed rewolucją przemysłową społeczeństwo Europy dzieliło się, z grubsza rzecz biorąc, na arystokrację i resztę. Po rewolucji do miejsca arystokracji zaczęli aspirować przedstawiciele klasy średniej. Ich legitymacją był sukces ekonomiczny. Ale rzeczywisty awans wymagał jeszcze zdobycia tak zwanej pozycji. I właśnie mozolna wspinaczka na kolejne szczeble hierarchii społecznej stała się obsesją nowej klasy w Europie. Za oceanem wyglądało to nieco inaczej, co nie znaczy, że Ameryka była wolna od obsesji. Niby wszyscy byli tam równi, ale każdy chciał być równiejszy.

Jedną z miar sukcesu była służba. Aspirująca do wyżyn pani musiała mieć i kuchenne, i podręczne, pokojówki i garderobiane, słowem – całą armię służących. Dysponujemy w tej mierze ciekawą statystyką, świadczącą o triumfie klasy średniej. Według spisu powszechnego z roku 1841 Anglia i Walia liczyły 16 milionów ludzi, z czego blisko milion to służba domowa. Dziesięć lat później pracą zarobkową zajmowały się 3 miliony kobiet i dziewcząt w wieku powyżej dziesięciu lat, z czego 751 641 (co czwarta) najmowało się do służby w zamożnych domach. W roku 1871 armia służących liczyła już 1 204 477, co oznacza wzrost dwukrotnie większy w porównaniu ze stopą wzrostu całej ludności. W XIX wieku, a w rzeczy samej aż do roku 1914, służba domowa stanowiła najliczniejszą profesję, jeśli idzie o kobiety, i drugą co do liczebności w odniesieniu do ogółu zatrudnionych w Anglii[3].

Wyręczana przez służbę pani domu, nie obarczona praktycznie żadnymi obowiązkami, miała mnóstwo wolnego czasu. Wydawało jej się – mężowi także – a potwierdzały to liczne podręczniki etykiety, święcące triumfy na rynku wydawniczym, że żyje jak dama. Ale gdzież takiej nuworyszce do damy! Nie chodzi nawet o urodzenie i pochodzenie. Prawdziwa milady doskonale wiedziała, jak korzystać z wolnego czasu. Prawda, że czasami nadużywała swobód, ale prowadziła barwne życie, podróżując, udzielając się w towarzystwie, na którego brak nie mogła narzekać, bo mężowie i kochankowie też mieli mnóstwo wolnego czasu. Tymczasem mężczyźni należący do nowej klasy harowali bez przerwy, doglądali interesów, zostawiając swoje kobiety samym sobie. Niektóre potrafiły wypełnić pustkę i robiły coś pożytecznego, ale większość nudziła się i zabijała czas, wędrując po sklepach, plotkując i udając damy wedle zaleceń podręczników dobrych manier.



„Chcąc uchodzić za damy, takie panie nie dotykają niczego swymi gładkimi rączkami, bawią się pierścionkami, najwyżej brzdąkną czasami na fortepianie lub gitarze” – pisała w roku 1842 A. J. Graves, autorka *Women in America*, a Sarah Ellis w *Women in England*, książce z tego samego roku, stwierdzała ze smutkiem, że „tłum ospałych, niechętnych i beczynnych młodych kobiet wylegujących się na sofach i brzydzących się nawet najmniejszym wysiłkiem, to widok zaiste żalospny”. Ale tam, gdzie nakazy mody i etykiety – „bariery, za którą towarzystwo chroni się przed impertynencją, wulgarnością i przed tym, co nie wypada”[4] – skazywały mieszkanki pięknych dzielnic na beczynność, sama beczynność stała się schorzeniem prowadzącym do zapaści fizycznych i nerwowych. Nie wszystkie wiktoriańskie damy mdlały wyłącznie dla pozoru, by wydać się bardziej interesującymi.

Mężowie owych znudzonych dam tylko pogarszali sytuację swoją nadopiekuńczością, chroniąc kobiety przed brutalną rzeczywistością otaczającego świata. Nawet w Ameryce – jak pisał w roku 1828 James Fenimore Cooper – kobieta z lepszych sfer „żyje zamknięta w świątyni własnego domu... odcięta od zagrożeń, jakie niesie kontakt ze światem”. W roku 1840 wyrok sądu w Londynie potwierdził prawo męża do użycia siły w celu sprowadzenia w rodzinne pielesze żony, która odeń uciekła (nie narażając jednak na szwank małżeńskiej cnoty), i trzymania jej pod kluczem. Sąd orzekł, że „szczęście i honor małżeństwa zasadza się na tym, że mąż sprawuje opiekę nad żoną, co oznacza także, że ma chronić ją przed niebezpieczeństwami, jakie niesie nieograniczony kontakt ze światem, że ma absolutne prawo wymusić na niej przebywanie pod wspólnym dachem”[5].

Niestety świat, przed którym należało chronić damy, obejmował również medycynę. Przed obliczem lekarza dama mogła stanąć wyłącznie w obecności przyzwoitki. O dokładniejszym badaniu w ogóle nie było mowy. Pacjentka opisywała swoje dolegliwości, posługując się glinianą lalką. Badanie ginekologiczne było dopuszczalne tylko w wyjątkowych wypadkach, a i wtedy odbywało się w zaciemnionym pokoju i pod prześcieradłem. Dziś pewnie za takie praktyki lekarz straciłby prawo wykonywania zawodu, wtedy jednak wielu przedstawicieli medycznej profesji składało hołd tak pojętej damskiej skromności. W *Godey's Lady Book* – poradniku dla kobiet z roku 1852 – umieszczono wypowiedź pewnego profesora z Filadelfii, który sławił swoje rodaczki za to, że „wolą cierpieć i znosić najgorsze bóle, niżli uchybić cnocie skromności”. Jego zdaniem taka postawa dowodziła „wysokiego poczucia

moralności” Amerykanek[6]. Owa „wysoka moralność” nie tylko nie pozwalała na normalne badania, ale prowadziła do totalnej ignorancji kobiet, jeśli idzie o ich anatomię i fizjologię. Przykładem może być zwykła miesiączka. Był to po pierwsze temat tabu, a po wtóre i damy, i lekarze traktowali ją jako rodzaj schorzenia, i to dość groźnego dla otoczenia. Jeszcze w roku 1878 „British Medical Journal” przez pół roku dywagował, odwołując się do opinii czytelników, czy rzeczywiście szynka, której dotknęła kobieta w okresie menstruacji, pokrywa się pleśnią i gnije. Wedle wiktoriańskiej opinii „prawdziwie cnotliwej kobiecie obce są żądze i pragnienia seksualne”[7]. Ówczesni medycy w odróżnieniu od pornografów, którzy (jak można zakładać) nie zadawali się z cnotkami, niewiele wiedzieli o takich sprawach jak orgazm u kobiety i funkcja łechtaczki.

Rycerskość, szlachetność, delikatność oraz zwyczajna ignorancja sprawiały, że dziewiętnastowieczna przedstawicielka klasy średniej tkwiła odcięta od świata w czterech ścianach własnego domu i nawet odkrycie rzeczywistej roli kobiety w prokreacji niczego zrazu nie zmieniło. Jeśli sprawę oceniać przez pryzmat równouprawnienia, to owszem, można mówić o pewnym zrównaniu statusu mężczyzn i kobiet, ale tylko w kategoriach biologicznych, a beneficjentką była nie tyle kobieta, ile matka. Liczyła się matka, strażniczka domowego ogniska, i tę jej rolę podnoszono w wielkiej debacie intelektualnej dotyczącej *ius maternum*.

Nie była to całkiem nowa idea, ale w XIX wieku „prawo matki” zyskało szczególną interpretację. Debatę zapoczątkował w roku 1861 szwajcarski jurysta i historyk Johann Jakob Bachofen, stawiając problem na płaszczyźnie filozoficzno-naukowej w taki sposób, że zawładnął wyobraźnią swoich współczesnych. Bachofen podważył tezę o „przyrodzonej” wyższości mężczyzn nad kobietami. Obficie czerpiąc ze źródeł antropologicznych i historycznych, wywodził, że w czasach, gdy ludzki gatunek egzystował bliżej natury, a jedynym widomym wyróżnikiem związków rodowych było macierzyństwo, władza należała do kobiet. Później jednak, gdy zwyciężył duch, rządy przejęli mężczyźni. Koncepcja Bachofena zyskała wielu wpływowych zwolenników. Amerykański etnolog Lewis N. Morgan wzbogacił jego teorię o własne badania plemienia Irokezów, kreśląc obraz rozwoju związków seksualnych i rodzinnych w prehistorii. Zdaniem Morgana na początku pradziejów życie seksualne nie podlegało żadnym ograniczeniom i nie rządziły nim żadne zasady. Wszyscy żyli ze wszystkimi. Z kolei gospodarce zbieracko-łowieckiej towarzyszyły

kolektywne małżeństwa. W obu tych okresach ojciec pozostawał anonimowy, o związkach rodowo-rodzinnych decydowała matka i w konsekwencji właśnie ona odgrywała pierwszorzędną rolę[\*2]. Dopiero w okresie rozwoju gospodarki rolniczej i pojawienia się prywatnej własności, dzięki czemu nawet mała rodzina stała się samowystarczalna, zaczęły przeważać stosunki monogamiczne, wzajemne usytuowanie obu płci uległo zmianie, a kobieta jąła odgrywać podrzędną rolę w stosunku do mężczyzny.

Koła postępowe z ogromnym entuzjazmem przyjęły tę teorię, zwłaszcza tezę, że istnieje ścisły związek między pojawieniem się własności prywatnej a zniewoleniem kobiet. Ius maternum stało się częścią katechizmu socjalistów, aktem wiary pierwszych feministek i stałym elementem wszelkich debat o roli kobiety w społeczeństwie.

Kobietę-matkę wyniesiono na piedestał, czczono jak boginię, co jednak nie zmieniło rzeczywistej sytuacji kobiet[\*3].

Ale teza, że właściwym miejscem kobiety jest dom, nie była wynalazkiem ery wiktoriańskiej. W XIX wieku przybrano ją jedynie w słowa, i nie bez powodu. Kobiety znalazły się wtedy u progu, ale tylko u progu, rzeczywistej niezależności. Więcej nie dało się osiągnąć, bo nie można wybić się na niezależność bez stosownego zaplecza ekonomicznego, a przynajmniej szansy na jakie takie utrzymanie z własnej pracy i własnych środków.

Walkę o finansową niezależność kobiety wygrają dopiero w następnym stuleciu, i nie od razu. Nie dotyczyło to oczywiście wyższych sfer, wśród których funkcjonował dyskretny system układów przedmażeńskich, intercyz i umów rozwodowych. Żadnej kobiecie z tej sfery nigdy nie groziła nędza a tym bardziej śmierć głodowa. Inaczej miały się sprawy w klasie średniej. Doktryna, że „miejscem kobiety jest dom”, w poważny sposób ograniczała szansę zatrudnienia nawet osób niezamężnych. Niejeden pracodawca obawiał się, że zatrudnienie nawet nieźle wykształconej kobiety z tak zwanego dobrego domu może fatalnie odbić się na interesach, nie mówiąc już o reputacji firmy. W roku 1861 spośród 2 700 000 pracujących zawodowo w Anglii i Walii kobiet i dziewcząt w wieku powyżej piętnastu lat (26 procent żeńskiej populacji) ledwie 279 było zatrudnionych na stanowiskach urzędniczych[8].

Co do biedoty, to do XX wieku teza o właściwym miejscu dla kobiety nie miała zastosowania, bo kobiet z nizin społecznych nie było stać na dom. I one też płaciły największą cenę za rewolucję przemysłową i przemysłowy kapitalizm. Rewolucja

zniszczyła tradycyjny model wiejskiej rodziny, w której kobieta miała znacznie większe poczucie własnej wartości niż w rodzinach należących do bardziej wpływowych klas. Na wsi kobiecie przypadała istotna rola w podziale pracy. Nie oznaczało to oczywiście niezależności, ale kobiety z nizin społecznych cieszyły się znacznie większą swobodą niż panie z wyższych warstw. Uprzemysłowienie zrujnowało ten model.

Kobieta pracująca, podobnie jak jej mąż i dzieci, stała się wyrobnicą, i to znacznie gorzej opłacaną niż mężczyźni. Zwykle dostawała połowę albo i mniej za tę samą pracę. W połowie XIX wieku amerykański robotnik w przemyśle bawełnianym zarabiał 1,67 dolara tygodniowo. Przeciętna płaca robotnicy wynosiła 1,05 dolara. W Anglii tkacz zatrudniony w przemyśle dostawał 14–22 szylingi tygodniowo, a tkaczka – 5–10 szylingów. Drukarzowi we Francji płacono do dwóch franków dziennie, kobiecie na tym samym stanowisku – franka[9]. System wsparty na taniej sile roboczej sprawiał, że kobiety nie były w stanie utrzymać się z własnej pracy, jednocześnie jednak premiował je w ten sposób, że łatwiej znajdowały zatrudnienie niż mężczyźni, co w jakimś sensie stanowiło akt sprawiedliwości dziejowej.

Ale też zasada, że wynagradzano za płeć, a nie za faktyczną pracę, podminowywała teorię o „solidarności ludu pracującego”. Dopiero w czasach nam współczesnych mężczyźni zaczynają godzić się z faktem, że kobieta może mieć równe prawa ekonomiczne. Ale do prawdziwej równości jeszcze daleko. Trzeba bowiem, aby mężczyzna przestał dzielić kobiety na żony (które nawet nieźle zarabiają) i na konkurentki, z którymi musi współzawodniczyć o pracę.

## **KOBIETY UPADŁE**

Fakt, że kruchą, delikatną i uległą wiktoriańską żonę postrzegano jako istotę wyzutą z cech płciowych, nie powinien nikogo dziwić, bo taka też ona była: nieświadoma własnej fizjologii, wychuchana, wydmuchana, „uduchowiona”. Nawet te, wśród których spełnianie „obowiązków małżeńskich” nie budziło wstrętu, wymagały bardzo delikatnego podejścia, czemu niewielu wiktoriańskich mężów potrafiło sprostać. Mieli własne problemy, własne kompleksy, a świadomość, że „anioł”, który nawet ulegle idzie do łóżka, tak naprawdę brzydzi się „obowiązkami małżeńskimi”, żadną

miarą nie sprzyjała wzajemnej satysfakcji.

Sytuacja była patowa, ale w sukurs przyszedł sam św. Augustyn w daleko nie świętym przymierzu z medycyną. Ojcowie Kościoła – jak wiadomo – głosili, że seks, nawet w małżeństwie, jest dopuszczalny wyłącznie wtedy, gdy ma na celu prokreację, którą to tezę Kościół katolicki przejął z całym dobrodziejstwem inwentarza (rozwijając ją i odnosząc do wielu innych aspektów życia wiernych). W konfrontacji jednak z naturalnym instynktem człowieka i przy braku mechanizmów masowej komunikacji doktryna ta miała dość ograniczone rezultaty. Do czasu, gdy na scenę dziejów weszli dziewiętnastowieczni protestanci. Gorliwi badacze zagadnień teologii sięgnęli bezpośrednio do źródeł, wnikając w nauki św. Augustyna głębiej niżli ich katoliccy poprzednicy – ze zdumiewającym skutkiem.

Nie każdy, co prawda, dochodził do tak daleko idących wniosków jak Amerykanka Alice Stockham, która w roku 1894 orzekła, że mąż domagający się, aby żona poszła z nim do łóżka bez myśli o spłodzeniu potomstwa, czyni z niej swoją osobistą prostytutkę[10], ale wszyscy zgadzali się, że małżonek nie powinien narzucać się żonie ze swymi zwierzęcymi instynktami częściej, niż jest to absolutnie konieczne – raz w miesiącu, ewentualnie raz w tygodniu, gdy naprawdę nie potrafi się powstrzymać, nigdy natomiast w czasie menstruacji.

Nie znaczy to, że wiktoriańskie małżonki leżały odłogiem. W roku 1871 statystyczna angielska rodzina z klasy średniej legitymowała się szóstką potomstwa, a 177 na każde tysiąc rodzin wydawało na świat dziesięcioro i więcej dzieci[11]. Łatwo jednak wyliczyć, że zakaz stosunków płciowych w czasie ciąży i w okresie menstruacji sprawiał, iż ten narzucony celibat obejmował co najmniej sześć lat w pierwszych dwunastu latach statystycznego związku małżeńskiego, co – być może – nie martwiło żon, ale mężów musiało przyprawiać o niebywałe stresy.

Na szczęście, a może na nieszczęście, nie wszyscy chcieli i musieli się z tym godzić. Bez względu bowiem na to, jak się sprawy miały w małżeńskiej sypialni, wiktoriański gentleman wcale nie musiał tłumić swych naturalnych instynktów. Miał wiele możliwości, a w rzeczy samej niejeden był święcie przekonany, że postępuje dobrze, czyni żonie uprzejmość, realizując swe instynkty poza domem. Co więcej, korzystanie z usług prostytutek zyskało religijną sankcję. Św. Augustyn bowiem, rozważając kwestię seksu w Raju, doszedł do wniosku, że (pominąwszy nieszczęsny epizod z Ewą, wężem i jabłkiem) stosunek seksualny w wydaniu Adama i Ewy musiał



być czynnością wykonywaną w sposób chłodny, wyrachowany, wolną od wszelkich „niekontrolowanych podnieć”. I tak by było po wsze czasy, gdyby nie grzech pierworodny. To za jego sprawą akt płciowy obrósł w żądze i grzeszne namiętności. Logiczny ciąg dalszy dopisali dziewiętnastowieczni lekarze, uznając, że kopulacja, jakkolwiek szkodliwa w nadmiarze, nie zagraża zdrowiu, gdy nie towarzyszą jej jakieś szczególne emocje. Inaczej mówiąc, seks z prostytutką, beznamiętny i chłodny, „stanowi mniejsze zagrożenie dla zmysłów” niżli ta sama czynność uprawiana z żoną[12].

I tak prostytucja rozkwitła jak nigdy dotąd. Niestety nie dysponujemy żadnymi rzetelnymi statystykami w tej kwestii. W grę wchodziło zbyt wielu ludzi i zbyt wiele interesów moralno-politycznych.

Wedle danych paryskiej policji w latach sześćdziesiątych XIX wieku w stolicy Francji pracowało 30 tysięcy prostytutek, co wydaje się liczbą zaniżoną, jeśli odnieść ją choćby do 35 tysięcy osób aresztowanych tylko w 1868 roku pod zarzutem żebractwa i włóczęgostwa.

Wedle nieoficjalnych ocen w Paryżu było w tym czasie blisko 120 tysięcy prostytutek[13].

Różnice w ocenach ich liczebności w Londynie są jeszcze większe.

Szef Policji Metropolitalnej twierdził w roku 1839, że w Londynie funkcjonuje ledwie siedem tysięcy prostytutek, podczas gdy z obliczeń Michaela Ryana z Towarzystwa do Walki z Występkami wynika, że blisko 80 tysięcy[14]. Wbrew twierdzeniom niektórych historyków nie jest to liczba przesadzona. Otóż działania Policji Metropolitalnej obejmowały tylko część londyńskiej aglomeracji, skupiającej w roku 1841 blisko dwa miliony mieszkańców. Większość prostytutek trzymała się raczej przedmieść. Policja nie miała jeszcze tajnych agentów, jej dane więc opierają się na ocenach posterunkowych i dotyczą części prostytutek.

Profesjonalistki nie miały powodu, aby kryć się przed wzrokiem władzy, co innego amatorki i panie pracujące na pół etatu, które – rzecz jasna – na widok policyjnego munduru znikwały w bramach i czeluściach domów. Jeśli przyjąć, że na tysiąc mieszkańców (a tak się zwykle zakłada) przypada 350 mężczyzn w wieku 15–60 lat i że w dziewiętnastowiecznych miastach na dwunastu aktywnych seksualnie mężczyzn przypadała jedna prostytutka (a takie są oceny), łatwo wyliczyć, iż mieszkańców wielkiego Londynu w latach czterdziestych XIX wieku obsługiwało około 50 tysięcy



prostytutek.

Za stolicę seksu w ówczesnej Europie uchodził jednak Wiedeń, liczący w latach dwudziestych 400 tysięcy mieszkańców i 20 tysięcy prostytutek, to znaczy jedną na siedmiu mężczyzn[15]. Wielbiciele habsburskiego Wiednia twierdzą, że panie obsługiwały głównie turystów. Wydaje się, że podobne zjawisko występowało w Nowym Jorku – mieście imigrantów i podróżnych, będącym tylko przystankiem na trasie. W latach trzydziestych Nowy Jork miał ponoć 20 tysięcy prostytutek. Robert Dale Owen, reformator społeczny, podaje tę liczbę w wątpliwość. Wylicza mianowicie, że gdyby każda z panienek pracowała przez pięć dni w tygodniu (odliczając okresy menstruacji) i gdyby przyjmowała trzech klientów dziennie, co drugi stały mieszkaniec Nowego Jorku musiałby korzystać z ich usług co najmniej trzy razy w tygodniu[16]. Rzeczywistość musiała być więc nieco inna, co nie znaczy, że Nowy Jork był miastem szczególnej wstrzemięźliwości seksualnej. Raczej przeciwnie. Gdy wielu przyjeżdżało i wielu wyjeżdżało, a więc w warunkach wielkiej mobilności społecznej, niejedna amatorka lub dziewczyna w potrzebie korzystała z okazji, żeby zarobić parę dolarów. Wychodziła na ulicę na parę dni, czasami na parę tygodni, i ruszała dalej albo wycofywała się z zawodu. Inaczej sprawy się miały w San Francisco w okresie gorączki złota, kiedy w ciągu czterech lat – 1848–1852 – liczba mieszkańców eksplodowała z kilkuset do 25 tysięcy, wśród których było blisko trzy tysiące prostytutek przybyłych tu ze wszystkich krańców świata – z Nowego Jorku, Nowego Orleanu, Francji, Anglii, Hiszpanii, Chile, a nawet Chin – i ledwie garstka „godnych szacunku” kobiet. Przy takiej konkurencji amatorki nie miały co szukać.

W dwustu tysięcznym Cincinnati liczbę prostytutek w roku 1869 oceniano na siedem tysięcy. Siedmiusettyśieczna Filadelfia miała ich mieć dwanaście tysięcy – proporcjonalnie znacznie mniej niż to pierwsze miasto, ale też Filadelfia miała potężnego konkurenta w postaci pobliskiego Atlantic City, o którym to nadmorskim kurorcie tak pisał w roku 1867 pewien angielski dziennikarz podróżnik: „Paryż jest pewnie subtelniejszy, Londyn większy, jeśli idzie o występki, deprawacje, grzech i godną potępienia rozpustę, ale ani Paryż, ani Londyn, ani żadne inne miasto świata nie umywa się do Atlantic City”[17].

Kobiety, które w XIX wieku chwytały się prostytucji, czyniły to zwykle dlatego, że potrzebowały pieniędzy. Taki był wspólny mianownik skądinąd wielce zróżnicowanej wewnętrznie armii dziewcząt, obejmującej z jednej strony ambitne, myślące o samodzielności kobiety, z drugiej borykające się z życiem młode wdowy i samotne matki. Te pierwsze zdawały sobie doskonale sprawę, że chcąc żyć dostatnio, a za cały kapitał mając tylko siebie, mogą albo pójść na scenę – zostać aktoreczką – albo zacząć się sprzedawać. Te drugie starały się jakoś wiązać koniec z końcem, podejmowały jakieś prace, ale zarabiały zbyt mało, by utrzymać siebie i dziecko. Wiedziały, że gdy zwrócą się o pomoc do parafii lub gminy, władze odbiorą im dzieci, bo tak to się zwykle działo. No cóż, w epoce wiktoriańskiej szanowano macierzyństwo, ale do pewnych granic.

Kokoty i nędzarki to były ekstrema, między którymi mieściła się cała reszta – robotnice z londyńskich szwalni, pracownice zakładów tytoniowych z Louisville, dziewczęta tyrające za grosze, które musiały się sprzedawać, bo innego wyjścia nie miały. Ale niemal każda przeżywała dramat, wiele nosiło piętno upadłych, jeszcze zanim trafiło na ulicę, bo w tamtych czasach wystarczał jeden nieostrożny krok, chwila zapomnienia. W roku 1888 komisarz ds. pracy w rządzie USA zebrał dane dotyczące poprzednio wykonywanych zawodów 3866 zarejestrowanych prostytutek z Bostonu, Chicago, Cincinnati, Louisville, Nowego Orleanu, Filadelfii i San Francisco.

1236 z nich nigdy nie imać się żadnego innego zajęcia, od razu wyszły na ulicę, ale 1115 pracowało wcześniej jako służące w zamożnych domach lub hotelach, 505 – w szwalniach, 126 – w handlu jako sprzedawczynie bądź kasjerki, 94 – w fabrykach tekstylnych. Listę zamyka 11 dziewcząt – byłych telefonistek i telegrafistek[18]. Wedle innego podziału 1100 spośród poprzednio gdzieś zatrudnionych miało szczęście pracować w warunkach, w których nie były narażone na zaczepki, ale 1500 to służące, pokojówki i dziewczęta wykonujące podobne funkcje w prywatnych domach i w miejscach publicznych, gdzie łatwo ulec pokusom lub paść ofiarą niewybrednych zabiegów.

Do prawdziwej kariery w zawodzie nie wystarczała sama uroda.

O powodzeniu decydowały osobowość i ambicja. Liczyło się także miejsce. W Milwaukee czy Manchesterze większych perspektyw raczej nie było. Sukces i pieniądze obiecywały wielkie metropolie, jak Paryż lub Wiedeń.

Właśnie Paryż w gorączkowym okresie Drugiego Cesarstwa szczył się swymi

kurtyzanami. Demi-monde – półświatek – krąg towarzyski na obrzeżach dworu cesarskiego – hołubił bohaterki jednego lub więcej sezonów, choć daleko im było do heter i innych wielkich poprzedniczek w profesji. Dama z półświatka nie musiała mieć wybitnej metryki ani wychowania, nie musiała nawet celować urodą czy szczególnymi walorami umysłu, jak hetery, w cenie było co innego – wdzięk, a przede wszystkim dowcip, koniecznie śmiały i koniecznie lubieżny. W oczach swej wielkiej patronki sprzed stu lat Madame de Pompadour jawiłaby się pewnie jako wulgarna i prostacka, ale w ocenie młodszego o sto lat Hollywoodu każda nadawałaby się co najmniej na gwiazdkę srebrnego ekranu. W każdym razie żadna nie miała specjalnych kłopotów ze znalezieniem możnego wielbiciela ze sfer bankowych, z finansjery, korpusu oficerskiego czy międzynarodowej arystokracji, ściągającej tłumnie do rozświetlonego gazowymi latarniami Paryża. Rosyjscy wielcy książęta, tureccy paszowie, południowoamerykańscy milionerzy byli gotowi płacić krocie za przywilej wielbienia tej czy innej Damy Kameliowej. Od swego niemieckiego sponsora – właściciela kopalń – urodzona ponoć w Moskwie słynna La Paiva (Therese Łachman) otrzymała w darze pałac ze schodami z onyksu, z marmurową wanną i wysadzanymi drogimi kamieniami kranami. Kuzyn cesarza, zwany pieszczotliwie PlonPlon, pospołu z księciem orańskim i – jak się można domyślać – kilkoma innymi gentlemanami łożył na utrzymanie Córy Pearl (z domu Emmy Crouch), i to tak hojnie, że dama urządzała tańce na dywanie ze storczyków i kąpiele w szampanie. Jedno i drugie oczywiście na oczach tłumu gości i oczywiście nago. „Gdyby u Braci Provencaux [słynnych restauratorów] podawano omlet z brylantami, Córa bywałaby tam co wieczór”<sup>[19]</sup> – zauważał książę de GrammontCaderousse. Nikomu nie przeszkadzało, że Córa mówi jak chłopak stajenny, bo nie potrafi przyzwoicie się wysłowić, i jak mało kto dba o swój interes.

Paryski demi-monde był jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny. Londyn też miał luksusowe kurtyzany, ale nikomu nie przyszłoby do głowy wprowadzać je do towarzystwa. W Londynie obowiązywała pełna dyskrecja i tylko te, które potrafiły zadbać o pozory, można było wpuścić do salonu bez obawy o utratę twarzy. Klasycznym przykładem pozostaje Lily Langtry. Waszyngton też miał swoje damskie towarzystwo – „panie lobbystki”, zjeżdżające do stolicy na czas posiedzeń Kongresu i znikające z miasta po politycznym sezonie.

Wzorcowy przykład harmonijnego bilansowania seksualnej podaży z popytem stanowi Nowy Orlean, w którym w roku 1850 skupiała się niemal cała ludność

Luizjany – 116 tysięcy na 134 tysięcy. O wyjątkowym charakterze miasta stanowiły tamtejsze dziewczęta, kwaternionki – córki Mulatek i białych, dawnych kolonistów francuskich i hiszpańskich, wychowywane od dziecka nie na żony, matki czy prostytutki sensu stricto, lecz na kochanki. System funkcjonował w taki sposób, że gentleman poszukujący partnerki udawał się na bal, który wydawano właśnie w tym celu, wybierał sobie dziewczynę i... podejmował negocjacje z matką. Jeśli należał do zamożnych, fundował wybrance jakiś ładny dom i cieszył się jej towarzystwem aż do ślubu... własnego, oczywiście z zupełnie inną osobą.

Jeśli nie było go stać na takie rozwiązanie, umawiał się na wizyty u dziewczyny w domu, gdzie traktowano go lekką przekąską i od czasu do czasu wpuszczano do panińskiej sypialni. Ów kontraktowy system trwał ku wygodzie i zadowoleniu wszystkich zainteresowanych aż do roku 1897, kiedy pod naciskiem obywateli o surowszych obyczajach wydano rozporządzenie ograniczające prostytucję do jednej tylko, wyznaczonej dzielnicy. Rychło zyskała ona nazwę Storyville od nazwiska rajcy Sidneya Story'ego, autora wspomnianego rozporządzenia.

Oczywiście tylko dziewczęta naprawdę wysokiej klasy mogły liczyć na rezydencję przy eleganckiej nowoorleańskiej Rampart Street czy przy nowo wytyczanych wielkich bulwarach w Paryżu. Na szczyblu niżej szczytem marzeń był któryś z renomowanych domów publicznych. Na początku XIX stulecia za najwspanialszy burdel w Europie uchodził luksusowy amsterdamski przybytek „Fontanna”.

Obok prywatnych gabinetów do dyspozycji gości była oczywiście restauracja, sala balowa, kawiarnia i sala bilardowa – dziewczęta ponoć grywały chętnie, zwłaszcza że z zasady wygrywały, dekoncentrując partnerów strojem Ewy[20]. Ale wbrew utartemu przekonaniu niewielka tylko część światowej populacji prostytutek rezydowała w burdelach. W Berlinie na przykład burdeli w ogóle nie było. Z setki przybytków, jakie istniały tam jeszcze w roku 1780, na początku XIX wieku uchowało się ledwie 26, a i te zamknięto w roku 1844 na fali kampanii na rzecz moralności publicznej[21]. W innych krajach europejskich, zwłaszcza we Francji i Belgii, wprowadzono restrykcyjne przepisy policyjne wiążące dziewczęta z konkretnymi „zakładami pracy”. Gdy dziewczyna dostała się do policyjnej kartoteki jako prostytutka, traciła to, co w jej zawodzie najcenniejsze – swobodę osobistą. Praktycznie nie miała już szans na opuszczenie burdelu.

W Londynie w połowie XIX wieku burdeli było stosunkowo niewiele, co innego w

Nowym Jorku. W roku 1866 miało ich być wedle komendanta policji 621. Liczbę tę podał on w odpowiedzi na nieprzemyślaną chyba uwagę biskupa Kościoła metodystów Simpsona, że w mieście jest tyle kurew co członków jego kongregacji[22]. Do najbardziej ekskluzywnych placówek należał przybytek Josephine Wood przy Clinton Place. Dziewczęta występowały w sukniach wieczorowych, pito wyłącznie szampana, wystroju dopełniały puszyste dywany i kryształowe żyrandole, a o wejście wcale nie było łatwo.

Wpuszczano wyłącznie arystokratów. Na drugim końcu skali mieściły się słynne „krowiarnie” z San Francisco, ze sławetną „Nimfą” na czele. Był to barak z 450 klitkami i personelem złożonym głównie z nimfomanek. Właściciele widać głęboko wzięli sobie do serca mądrość, że tylko osoba autentycznie lubiąca swoje zajęcie pracuje wydajnie i chętnie. Chcieli nawet, aby przybytek nosił nazwę „Nimfomania”, ale nie dostali na to zgody. Interes działał do roku 1903, kiedy niezłomny Ojciec Caraher wygrał batalię o wolne od występku miasto.

Formalnie rzecz biorąc, „Nimfa” kwalifikowała się jako pensjonat. Właściciele pobierali opłatę za wynajem pokoi dziewczętom, a nie za świadczone przez nie usługi. Podobne rozwiązania finansowe stosowano ówczesnie dość powszechnie, ku zadowoleniu pensjonariuszek. Zapewniały im one większy margines swobody niż praca w klasycznym burdelu, a jednocześnie uwalniały od największego problemu, z jakim borykały się prostytutki pracujące na własną rękę, mianowicie od kłopotów z wynajęciem mieszkania, a zarazem miejsca pracy. Lepszym rozwiązaniem dla pań świadczących usługi indywidualnie było całkowite rozdzielenie sfery życia prywatnego od zawodowego. Służyły temu przybytki zwane z francuska *maisons de rendezuous*, a z angielska *houses of assignation* lub *accommodation houses* – hoteliki z pokojami wynajmowanymi na godziny. Korzystały z nich nie tylko prostytutki, ale często mężatki spotykające się z kochankami. W Londynie wiele takich przybytków mieściło się na modnym West Endzie. Urządzano je dyskretnie na pięterku, nad eleganckimi sklepami z damską galanterią, lub na zapleczu salonów piękności, jak choćby przy „Beautiful for Ever” – ekskluzywnej firmie Madame Rachael. W Nowym Jorku podobne placówki dla lepszej klienteli funkcjonowały przy Piątej Alei, ciesząc się największym powodzeniem w godzinach tradycyjnych popołudniowych zakupów[\*4].

Miejsce pracy jest oczywiście ważne, ale najpierw trzeba zdobyć klienta. Niemal



każde miasto miało (i ma) takie miejsca, gdzie to się odbywa. Co wytworniejsze dziewczęta, w jedwabiach i piórach, polowały głównie w teatralnych kularach, eleganckich restauracjach i kasynach. Te ostatnie pełniły raczej funkcje dancingów niżli przybytków hazardu. W „Portland Rooms” w Londynie dbano o odpowiedni poziom klienteli – obowiązywał frak i biała kamizelka. Wieczorami, gdy teatry i kasyna zamykały podwoje, towarzystwo przenosiło się do „nocnych domów” – tawern, ale też na stosownym poziomie. Żadna zwykła prostytutka, żaden notoryczny pijak nie mieli tam prawa wstępu. W nocnym domu firmowanym przez Kate Hamilton tuż obok Leicester Square podawano wyłącznie szampana lub wino mozelskie. O cenach lepiej nie mówić, a dziewczęta w komitywie z właścicielami namawiały oczywiście klientów do picia. Ci rewanżowali się reklamą, korzystną zresztą dla obu stron. Otóż jeszcze w XVIII wieku wytworzył się obyczaj, że właściciele tawern wydawali rodzaj folderów z wyliczeniem dam, które u nich bywają. Jeden z restauratorów, niejaki Harris, publikował w latach 1760–1793 regularny rocznik z sylwetkami dam z Covent Garden, bywających w jego tawernie przy Drury Lane. Nakład wynosił ponoć osiem tysięcy egzemplarzy i rozchodził się w całości. Nieco więcej i nie tylko takich informacji zawierał „The Rangers’ Magazine”, który w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku drukował co miesiąc „Listę Cypryjek z Covent Garden, czyli vademecum przyjemności każdego mężczyzny”[\*5]. Tradycje te kontynuowało przez pewien czas erotyczne wydawnictwo „The Exquisite”, które na początku lat czterdziestych XIX wieku zamieszczało stosowne informacje pod takimi tytułami jak:

„Wizerunki kurtyzan”, „Uwodzenie bez tajemnic”[\*6]. Bywało i tak, że te dyskretne informacje znajdowały się w wydawnictwach będących zaprzeczeniem ówczesnych „świerszczyków”. W miarę rozgarnięty nowojorczyk mógł w latach trzydziestych XIX wieku znaleźć stosowne adresy w czasopiśmie wielebnego Johna R. McDowalla „McDowall’s Journal”. Świątobliwy pastor tępił występki, a czynił to, ujawniając na swych łamach siedliska wszelkiego grzechu. W kręgach zainteresowanych czytelników gazeta zyskała nieoficjalny tytuł „Przewodnika po burdelach”. Ale Nowy Orlean nie byłby Nowym Orleanem, gdyby i na tym polu nie sięgnął po palmę pierwszeństwa.

Tam właśnie ukazała się po raz pierwszy Green Book, or Gentleman’s Guide to New Orleans – „Zielona książeczka czyli przewodnik po Nowym Orleanie dla gentlemanów”[\*7] – a gdy zaistniało nowoorleańskie Storyville, z początkiem 1902



roku zaczęto wydawać Blue Book (Niebieską książeczkę), reklamującą miejscowe burdele, dziewczęta i w ogóle. Wykładano ją w hotelach, na stacjach kolejowych, w kioskach, w porcie i na przystaniach. Polecały się w niej – na przykład – panie Dianę i Norma jako znane na obu kontynentach. Jeśli nawet słabo znały geografę, to seks – przeciwnie. Zapewniały w inseracie, że gotowe są zaspokoić najwyszukańsze apetyty i tylko „ktoś z niemęskimi skłonnościami” wyjdzie od nich niezadowolony.

Jednego tylko spragniony czytelnik nie znalazłby w przewodnikach, mianowicie informacji o amatorkach – paryskich midinetkach, londyńskich dollymops, ślicznotkach, co po godzinach ciężkiej pracy w szwalniach, gorseciarniach, sklepach lub szpitalach chętnie uprzyjemniały czas jakiemuś młodemu przystojniaczkowi lub starszemu panu z pieniędzmi w zamian za kolację w restauracji, bombonierkę, drobny prezent lub coś w tym rodzaju. Najrzetelniejsze z przewodników nie mówiły też o weterankach zawodu, wyranżerowanych prostytutkach, gotowych wyświadczyć pospieszną usługę w najbliższej bramie lub zaułku, ryzykując, że klient nie sięgnie nawet do portmonetki, a jak już sięgnie, to rzuci byle pensa zamiast umówionej stawki.

Ryzyko bywało obopólne. Narażały się nie tylko prostytutki, ale także klienci.

## CENA GRZECHU

Seksualne rozpasanie epoki wiktoriańskiej wywołało niebywałą plagę chorób wenerycznych. Prostyucja sprzyjała ich rozprzestrzenianiu, co nie znaczy, że prostytutki ponoszą wyłączną odpowiedzialność za epidemię. Nie o wszystkich bowiem można powiedzieć, że lekcewały symptomy choroby, nie dbając o zdrowie swoje i klientów. Rzeżączka – na przykład – we wstępnej fazie choroby nie wywołuje u kobiety praktycznie żadnych objawów. U mężczyzn natomiast objawia się po dwóch–pięciu dniach od zakaźnego kontaktu w postaci ropnego wycieku z cewki moczowej. Nie leczona, przechodzi w stan przewlekły, prowadzi do bolesnego zwężenia cewki i zapalenia gruczołu krokowego. Inaczej rzecz się ma z kiłą i w wypadku tej choroby można mówić o równej odpowiedzialności prostytutek i klientów.

Kiła ma to do siebie, że we wczesnej, pierwotnej, i wtórnej fazie choroby następują samoistne remisje objawów. Polegają na tym, że po okresie wylęgania się choroby, trwającym tydzień, a nawet miesiąc, powiększają się węzły chłonne w

pachwinie i pojawia się niebolesne owrzodzenie o twardej podstawie. Objawy te szybko jednak ustępują. Po kolejnych dziewięciu mniej więcej tygodniach pojawiają się objawy wtórne – wysypka na skórze i błonach śluzowych oraz ponowne powiększenie gruczołów chłonnych – ale i te ulegają remisji. Po kilku latach – zwykle trzech – rozwija się kiła zwana późną lub narządową. Powstają wówczas nieodwracalne zmiany w organizmie. Choroba atakuje układ nerwowy, co czasami objawia się charakterystycznym brakiem koordynacji ruchów. W ostrych przypadkach chory miewa halucynacje, a ostatecznym efektem może być choroba psychiczna. Łatwo sobie wyobrazić, że nieostrożny, nieodpowiedzialny lub zwyczajnie nieświadomy osobnik mógł lekceważyć wczesne objawy kiły i prowadzić normalne życie seksualne, zarażając nie tylko zdrowe prostytutki, ale także własną żonę, i płodząc dzieci dziedzicznie obciążone syfilisem.

Lekarze byli bezradni, choć niewielu przyznawało się do tego. O istocie choroby wiedzano mało albo zgoła nic, a niejeden z medyków wierzył w przepisywane przez siebie kuracje, myląc samoistne remisje objawów z autentyczną terapią. Większość nie zdawała sobie sprawy, że rzeżączka i kiła to dwie różne jednostki chorobowe, i dość często objawy pierwszej brano za przejaw wczesnej fazy drugiej. Na obie choroby polecano tylko jeden lek – rtęć, która pomaga (w ograniczonym zakresie), ale tylko na kiłę, nie mówiąc już o tym, że kuracja jest bolesna i długa. Lekarze jednak nie czuli się winni.

Wedle nich źródłem epidemii chorób wenerycznych była wyłącznie notoryczna rozpusta.

A tymczasem liczba zachorowań stale rosła. W Wiedniu w latach trzydziestych i czterdziestych XIX wieku do miejskich szpitali trafiało rocznie 6–7 tysięcy kobiet (głównie prostytutek), cierpiących na rzeżączkę lub kiłę. Ale już w roku 1856 w trzech miejskich szpitalach w Londynie leczono 30 tysięcy kobiet i mężczyzn, i liczba ta nie obejmowała wszystkich przypadków, bo co najmniej połowa pacjentów leczonych ambulatoryjnie w czwartym z londyńskich szpitali to także chorzy wenerycznie[24]. 60 procent prostytutek odsiadujących wyroki w paryskim więzieniu dla kobiet Saint Lazare w latach sześćdziesiątych XIX wieku było zarażonych. Tylko w ciągu trzech miesięcy 1865 roku zwolnienia od służby w Gwardii Cesarskiej w związku z koniecznością hospitalizowania gwardzistów zarażonych kiłą bądź rzeżączką wyniosły aż 20 tysięcy osobodni. W Kopenhadze w ostatnim dwudziestopięcioleciu XIX wieku

na choroby weneryczne miał zapadać co trzeci statystyczny mieszkaniec, a w Ameryce w roku 1914 wedle równie pesymistycznych ocen na rzeźączkę cierpiała ponad połowa mężczyzn[25].

W większości krajów władze odpowiedzialne za stan sanitarny próbowały opanować plagę przez kontrolę prostytutek. Rzeczywiście, gdyby objęto regularnymi badaniami wszystkie prostytutki, udałoby się zmniejszyć wskaźnik zachorowalności w skali całego społeczeństwa[\*8]. Rzecz jednak w tym, że zadanie było niewykonalne. Prostytucją zajmowały się nie tylko profesjonalistki, ale także rzesza półprofesjonalistek i amateerek, a te wymykały się spod kontroli. W kontynentalnej Europie coś jeszcze można by zrobić, bo zakładano tam kartoteki wszystkim kobietom podejrzanym o nierząd. W Wielkiej Brytanii i w Ameryce czegoś takiego jednak nie było, a kiedy rząd brytyjski, zaniepokojony szerzeniem się chorób wenerycznych w wojsku w skali, którą uznano za zagrożenie bezpieczeństwa imperium, chciał taki system wdrożyć, napotkał ogromne kłopoty w parlamencie. Nad ustawą o walce z chorobami wenerycznymi debatowano trzykrotnie. Po raz pierwszy w roku 1864, następnie w 1866 i – na koniec – w 1869 roku.

Ustawa wprowadzała przymusowe badania lekarskie kobiet uprawiających nierząd w promieniu 15 mil od baz marynarki wojennej i miast garnizonowych z wyłączeniem Londynu. W konsekwencji policja brytyjska po raz pierwszy musiała uruchomić system notowania prostytutek, a przede wszystkim określić, o kogo naprawdę chodzi. Z autentycznymi profesjonalistkami, zwłaszcza z personelem uznanych domów publicznych, kłopotów nie było. W tej grupie zdawano sobie sprawę, że stawką jest i zdrowie, i utrzymanie się w zawodzie, zgadzano się więc na regularne badania. Z pozostałymi było już inaczej. Nieświadome zagrożeń amatorki i plebejuszki spod latarni, na ogół zresztą już zarażone, po pierwsze – bały się utraty zarobków w czasie leczenia, po wtóre – mało którą było stać na kurację. Problemem też było identyfikowanie prostytutek. Korzystano głównie z informatorów i donosicieli, a w takiej sytuacji łatwo o pomówienie lub zwyczajną pomyłkę.

Sposób realizacji ustawy wzbudził wiele protestów i kontrowersji, a linie podziału przebiegały nader dziwnie. Za ustawą mianowicie byli i właściciele domów publicznych, i stręczyciele, przeciw – damy, których cnoty nikt nie śmiałby podać w wątpliwość. Szanowane matrony i piastunki wszelkiej moralności argumentowały, że przymusowe badania prostytutek to pogwałcenie ich konstytucyjnych swobód. Z punktu

widzenia naszych czasów pełen pikanterii jest fakt, że pani Josephine Butler, małżonka pastora i przywódczyni Ladies National Association, Krajowego Stowarzyszenia Dam, grzmiała na całą Anglię, iż badania krocza to obraza skromności dziewcząt, dla których odkrywanie tego miejsca było codzienną czynnością. Ale damy wysuwały także poważniejsze argumenty, jak choćby ten, że karanie kobiet za to, do czego doprowadziły ich niekontrolowane męskie żądze, jest aktem jawnej niesprawiedliwości[\*9]. W rzeczy samej jednak bojowniczkom powiewającym sztandarem sprawiedliwości społecznej chodziło o coś zupełnie innego. Trafnie przewidywały, że eliminacja zakażonych dziewcząt niczego do końca nie załatwi, lecz tylko umocni instytucję pań świadczących usługi seksualne. Żądały więc całkowitego zakazu prostytucji.

Moralny ekstremizm tej kampanii zaowocuje daleko idącymi skutkami społecznymi dopiero w przyszłości. Na razie bojowniczki o sprawiedliwość wygrały mniejszą bitwę. Pod ich naciskiem w roku 1883 zniesiono przymusowe badania prostytutek, a w roku 1886 wycofano całą ustawę o chorobach zakaźnych. Rok wcześniej damy spod znaku pani Butler przyczyniły się do uchwalenia poprawki do kodeksu karnego, uznającej stręczycielstwo oraz prowadzenie domów publicznych za przestępstwo kryminalne. Nie dopuściły jednak do penalizacji prostytucji jako takiej – od piętnastu przecież lat pani Butler głosiła solidarność ze swymi „siostrami”. Ale mimo braku paragrafu policja nie dawała „siostram” żyć. Zadziałał prosty mechanizm: wyjęcie instytucjonalnej prostytucji spod prawa spowodowało, że seksualnym interesem zainteresował się świat zorganizowanej przestępczości, a to otworzyło pole do szerokich działań policyjnych.

Również w Ameryce bigoci skutecznie zablokowali możliwość powstania legalnej, licencjonowanej i kontrolowanej prostytucji.

Nowy Orlean w latach 1870–1874 i San Francisco w 1911–1913 to wyjątki bez wpływu na ogólny obraz[\*10]. W tej sytuacji amerykańskie władze wojskowe zaczęły, podobnie jak brytyjskie, podejmować w trosce o zdrowie armii rozmaite środki zaradcze, co generalnie sprowadzało się do wydawania prezerwatyw żołnierzom i marynarzom wychodzącym na przepustkę. Inicjatywa władz wywołała wrzawę w społeczeństwie i ogromne protesty tych, których nie obchodziło, że chodzi o zabezpieczenie przed chorobą weneryczną. Uważali, że darmowa dystrybucja prezerwatyw to zachęta do uprawiania antykoncepcji[27]. Akcję jednak utrzymano i w

czasie I wojny światowej oddziały na frontach europejskich zaopatrywano w prezerwatywy z zaleceniem, aby żołnierze korzystali z nich w czasie tego, co elegancko zwano fraternizacją. W kraju jednak z całą energią przystąpiono do walki z wszelkimi przejawami grzechu przeciwko moralności. I tak w roku 1917 wydano dekret nakazujący zamknięcie wszystkich domów publicznych w promieniu pięciu mil od baz Marynarki Wojennej. Jedną z konsekwencji nowego prawa był ostateczny upadek nowoorleańskiej Storyville. Działania władz – trzeba przyznać – okazały się dość skuteczne, choć bowiem historycy załamują ręce nad niebywałą ich zdaniem liczbą 280 tysięcy przypadków chorób wenerycznych w wojsku, zarejestrowanych między wrześniem 1917 a lutym 1919 roku[28], było to jednak znacznie mniej niż kilka lat wcześniej. Amerykańskie siły zbrojne liczyły wtedy pięć milionów żołnierzy i marynarzy – młodych mężczyzn w okresie szczytowej aktywności seksualnej – i statystycznie rzecz ujmując, tylko co siedemnasty zapadał na chorobę weneryczną. A jeszcze w roku 1914 oceniano, że co drugi Amerykanin w jakimś momencie swego życia zakazi się rzeżączką (być może była to przesadnie pesymistyczna opinia).

Niemcom też udało się ograniczyć skalę epidemii. Na początku wojny grupa wybitnych naukowców ostrzegła Naczelne Dowództwo, że sytuacja jest krytyczna i należy zamknąć wszystkie domy publiczne, a w wojsku wprowadzić obowiązek abstynencji seksualnej. Uznano to jednak za rozwiązanie idące zbyt daleko i szkodliwe dla morale armii, zorganizowano natomiast sieć specjalnych burdeli dla wojska. Przybytki te docierały niemal na linię frontu. Burdele żołnierskie i podoficerskie oznaczano czerwonym światłem, oficerskie – niebieskim, a wszystko odbywało się z pruskim drylem, bez żadnych ochów i achów. Przy wejściu dyżurował kapral z oddziałów sanitarnych, sprawdzał książeczki zdrowia i żołdu wszystkich chętnych, zapisywał imię, nazwisko, stopień i jednostkę, dokonywał oględzin, żeby się upewnić, czy amator seksualnego relaksu jest rzeczywiście zdrowy, wydawał prezerwatywy i maści przeciwzapalne, pobierał opłatę, którą później przekazywał właścicielce przedsiębiorstwa, i wpuszczał do środka. Przeciętą pracownica frontowego burdelu przyjmowała między czwartą po południu a dziewiątą wieczorem około dziesięciu klientów. Gdy kolejka się wydłużała, czas trwania wizyty ograniczano do dziesięciu minut, nad czym też czuwał kapral przy wejściu, kładąc kres rozkoszom gromkim okrzykiem:

Następny![29] W tym czasie niemieccy naukowcy wiedzieli o etiologii chorób

wenerycznych tyle co i reszta świata. W roku 1900 w Berlinie na syfilis lub rzeżączkę leczyło się – wedle oficjalnych statystyk – 16 tysięcy osób, co było chyba liczbą zaniżoną, bo nieoficjalnie oceniano, że zachorowań było znacznie więcej. Jeden z ówczesnych autorytetów twierdził, że w Berlinie i Hamburgu co najmniej 37 procent mężczyzn w wieku 15–50 lat zapada na syfilis, a jeśli idzie o rzeżączkę, to każdy mężczyzna przynajmniej raz w życiu musi się zarazić[30]. I znów był to chyba zbyt pesymistyczny obraz, ale zatrwożył wszystkich głoszących chwałę germańskiej siły i zdrowia. Faktem jest, że przełomowe odkrycia, zwłaszcza dotyczące kiły, zostały dokonane w Niemczech i przez Niemców.

W roku 1905 protozoolog z Prus Wschodnich Fritz Schaudinn odkrył krętki blade – zarazki wywołujące kiłę. Rok później bakteriolog z Berlina August von Wassermann opracował metodę badania krwi umożliwiającą dokładniejszą, choć nie stuprocentową diagnozę kiły – nie u wszystkich bowiem pacjentów i nie na każdym etapie choroby da się wykryć obecność krętków. W roku 1909 chemik z Frankfurtu nad Menem Paul Ehrlich rozpoznał magiczne wręcz działanie arsenu (który nazwał salwarsanerri) na zarazki kiły. I choć na początku na skutek braku stosownych technik dozowania preparatu dochodziło do nieprzyjemnych wypadków, nowy lek okazał się rzeczywiście zbawienny.

Był głównym środkiem walki z kiłą do czasu odkrycia antybiotyków i sulfonamidów. Nadal jednak kiłę można wyleczyć tylko w jej pierwotnym i wtórnym stadium. W trzeciej, zaawansowanej fazie choroby dochodzi do nieodwracalnych zmian w organizmie.

Dłużej trwało znalezienie skutecznego leku na rzeżączkę. W roku 1879 młody laborant z Wrocławia zidentyfikował dwoinki rzeżączki (gonokoki), dzięki czemu opracowano metodę pozwalającą stwierdzić, czy pacjent został wyleczony, czy też choroba przeszła w stadium utajone. Ale dopiero odkrycie sulfonamidów w roku 1935 i penicyliny w roku 1941 umożliwiło szybkie i skuteczne leczenie. Do czasu. Bakterie mają niebywałą zdolność przetrwania i rychło pojawiły się nowe mutacje dvoinek, odporne i na penicylinę, i na sulfonamidy. Zamiast penicyliny pojawiły się nowe antybiotyki, ale Światowa Organizacja Zdrowia nie uznaje bitwy za wygraną. Pod koniec lat siedemdziesiątych XX stulecia notowano w świecie około stu milionów przypadków rzeżączki[\*11], a dziesięć lat później świat stanął w obliczu kolejnego wyzwania – AIDS, zbierającego szczególnie obfite żniwo wśród kręgów tradycyjnie



podatnych na choroby weneryczne.

## APETYT NA DZIEWICE

Wiktoriański lęk przed chorobami wenerycznymi zrodził niebывały popyt na prostytutki dziewice. Zakładano, że nietknięta dziewczyna jest z pewnością wolna od choroby (co więcej, wierzono – z tragicznym skutkiem dla kobiet – że stosunek z dziewicą gwarantuje wyleczenie mężczyzny, który już zapadł na kiłę lub rzeżączkę). Na początku XIX wieku w Londynie za stosunek z dziewicą płacono sto funtów – jak na owe czasy ogromną sumę. W latach osiemdziesiątych stawka spadła do pięciu funtów, co wcale nie świadczy o mniejszym popycie, ale o znacznie większej podaży, a to daje podstawę do podejrzeń, że nie każda oferowana na rynku virgo intacta taką rzeczywiście była.

Amatorów dziewic nigdy nie brakowało. Entuzjaści tego rodzaju przygód twierdzą, że stosunek z dziewicą to wyjątkowa przyjemność i wyjątkowe przeżycie, łączące w sobie element agresji, zawłaszczenia i odrobinę sadyzmu. Całkiem spora grupa współczesnych historyków, zainspirowana fałszywymi tezami doktora Duhrena[\*12], gotowa jest uznać szczególną skłonność do dziewic za przywarę typowo angielską, co jednak nie znajduje potwierdzenia w historii. Były bowiem okresy w dziejach, gdy akt defloracji zyskiwał szczególną rangę, stawał się wręcz instytucją, zwykle w postaci droit de seigneur lub ius primo nocte, zgodnie z którym feudalny władca – król, książę, a nawet pomniejszy władca – miał przywilej spędzenia nocy ze świeżo poślubioną małżonką poddanego, nim małżeństwo zostało skonsumowane. Obyczaj sięga czasów odległych, o czym świadczy choćby fragment sumeryjskiego eposu o Gilgameszu, w którym mówi się o niezadowoleniu ludu Uruk z władcy nie chcącego odstąpić od tradycyjnego przywileju królów: król „będzie pierwszy u białogłowy, a dopiero po nim mąż”. Obyczaj przeniósł się do Europy i trwał po XI–XII wiek. W trzynastowiecznej Francji mawiano o nim w czasie przeszłym jako o dawnej tradycji, co nie znaczy, że ten i ów z feudałów, jeśli tylko miał ochotę, nie mógł owej tradycji odkurzyć i skorzystać z prawa władcy do kobiety poddanego[32].

Tam, gdzie panowie nie korzystali z przywilejów, robili to bogowie lub ich reprezentanci. W starożytnym Rzymie panna wstępująca w związek małżeński kuciała

nad rzeźbionym w kamieniu fallusem, wyobrażającym jedno z bóstw płodności, i w ten sposób pozbawiała się atrybutu dziewictwa. W średniowiecznej Kambodży aktu rytualnej defloracji na kandydatce do małżeństwa dokonywał zwyczajowo buddyjski mnich[33].

W większości kultur i cywilizacji do dziewictwa panny młodej przywiązywano ogromną wagę. Zwykle wiązało się to z kwestiami prawnymi – zagwarantowaniem legalności związku, a przede wszystkim dziedzictwa. Są jednak podstawy, aby twierdzić, że w grę wchodziły także pewne aspekty obyczajowości seksualnej. W Sparcie, na Krecie i w Rzymie ceremonia zaślubin obejmowała m.in. akt symbolicznego uprowadzenia panny młodej i rytualnego gwałtu, co w kategoriach psychologicznych stanowiło krańcową formę defloracji[\*13]. Wśród indyjskich wyznawców islamu praktykowano w pewnych okresach obyczaj publicznej defloracji na dowód, że panna młoda jest dziewicą. Świadkom ceremonii okazywano zakrwawione prześcieradło. Podobnemu obyczajowi hołdowali Kurdowie, aby dać dowód dziewictwa wydawanej za mąż niewiasty. Jeśli spojrzeć na sprawę z nieco innego punktu widzenia, to i indyjski, i kurdyjski obyczaj zawiera silny element męskiego szowinizmu – manifestuje władzę mężczyzny nad partnerką. Dla wyznawców islamu hymen stanowi w ogóle przedmiot szczególnej fascynacji.

Dość wspomnieć, że w islamskim Raju na każdego wiernego czeka dziesięć tysięcy dziewic, a rozkosze defloracji mają trwać bez końca, każda bowiem z dziewic będzie miała tę właściwość, że po użyciu powróci do stanu pierwotnego.

Defloracja małżonki i defloracja prostytutki, choć w teorii stanowiły akty innego rzędu, w istocie nie różniły się. Praktyczni Chińczycy równie uroczyście obchodzili akt defloracji w małżeństwie, jak i poza nim. Szczęśliwy rozdziwiczacz gotów był wyłożyć na bankiet z okazji defloracji kurtyzany tyleż gotówki, co na ceremonię ślubną[35].

Do powstania mitu o szczególnym upodobaniu rodaków do defloracji walenie przyczynił się dziewiętnastowieczny dziennikarz angielski W. T. Stead. W roku 1885 opublikował na łamach poczytnej „Pall Mall Gazette” serię sensacyjnych reportaży o „białych niewolnicach”[\*14] pod wspólnym tytułem The Maiden Tribute of Modern Babylon (Danina dziewic we współczesnym Babilonie). (Babilonem nazywano potocznie kilka kwartałów ulic na londyńskim West Endzie, stanowiących centrum rozrywki i prostytucji). Stead uprawiał ten rodzaj reportażu, który dziś nazywany

śledczym, oraz tzw. reportaż współuczestniczący, zasadzający się na tym, że reporter nie tylko opisuje wydarzenia, ale także je aranżuje i bierze w nich udział. No i właśnie clue opowieści Steada polegało na tym, że kupił dziewczynę, płacąc stosowną sumę jej matce, i wywiózł ją nielegalnie do Paryża. Przedsięwzięcie kosztowało go trzy miesiące aresztu, choć dość rychło przekazał nabytek pod opiekę Armii Zbawienia.

Udowodnił, że kto się uprze, rzeczywiście może kupić sobie kobietę, co nie znaczy, że proceder był powszechny. Tak czy owak wywołał sensację. Jego reportaże o rzekomo sprawnie działającym w Londynie rynku kobiet i gwałtach na dziewicach czytano z wypiekami na twarzach. Czytelnicy w wiktoriańskiej Anglii uwielbiali horrory pod warunkiem, że nie tycząły ich osobiście.

Większość dziewcząt – twierdził Stead – była zbyt młoda, by zdawać sobie sprawę ze swego losu. Twierdził też, że handel dziewicami idzie na dużą skalę choćby dlatego, że przedmiotem obrotu jest towar jednorazowego użytku. Niektóre domy publiczne specjalizujące się w dziewicach wyławiały kandydatki na stołecznych dworcach kolejowych, zwłaszcza spośród naiwnych przybyszek z prowincji. Inne przeczesywały londyńskie parki. Nietrudno było przekonać młodą ekspedientkę, służącą lub przybyłą ze wsi piastunkę, żeby zamieniła dziewictwo na złotą gwineę, choć zwykle, gdy już miało dojść do skonsumowania transakcji, dziewczyny przejawiały pewne opory. Z tej przyczyny domy publiczne specjalizujące się w dziewicach stawiano na odludziu, a w funkcjonujących w bardziej zwartej zabudowie dbano o należytą izolację dźwiękową.

W niektórych burdelach urzędowali etatowi lekarze wydający stosowne świadectwa. Klienci zwykle żądali gwarancji, że towar jest należytej jakości. Bywało, że medycy przywracali dziewczynom atrybut kwalifikujący je jako dziewice. Polegało to na odtworzeniu hymenu, czyli błony dziewiczej – fałdu błony śluzowej, osłaniającej ujście pochwy u dziewiczych kobiet (i samic niektórych ssaków). Przy pierwszej pełnej penetracji błona ta zwykle ulega rozdarciu, choć niekoniecznie, bo może się rozciągnąć (wszystko zależy od indywidualnych cech, od budowy, grubości tkanki itd.). Występuje przy tym krwawienie, choć też nie zawsze – bywa, że obfite, a bywa, że ledwo zauważalne. Samo krwawienie niczego nie dowodzi, choć właśnie ślady krwi i wąskie ujście pochwy to w przekonaniu mężczyzn dowody dziewictwa. Ale niemal od zarania dziejów kobiety we własnym interesie potrafiły (i potrafią) udanie symulować jedno i drugie. W Europie odpowiednie techniki opisali na początku

średniowiecza Awicenna – wybitny lekarz i filozof – oraz Albert Wielki – przyrodnik i teolog. Sporządzone przez nich listy „znaków dziewictwa lub jego braku” okazały się (wbrew intencji autorów) bezcennym przewodnikiem dla cyrulików, łąziebnych, emerytowanych prostytutek i medyków, którzy oferowali usługi przywracania dziewictwa.

Krwawienie – żaden problem. Wystarczy wsunąć do pochwy gąbkę nasączoną krwią. Pacjentce, która życzyła sobie obfitszego wypływu krwi, polecano rybi pęcherz napełniony krwią. Coś takiego trudniej było utrzymać na miejscu, ale efekt wart był trudu. Polecano jeszcze inne metody, wymagające jednak większych wysiłków – wykarmione pijawki lub kawałki tłuczonego szkła. Więcej trudności nastroczało zwężenie ujścia pochwy, ale i z tym dawano sobie radę.

Czasami sięgano po igłę z nitką, częściej stosowano rozmaite preparaty obkurczające tkankę, jak napar z octu lub mirry, albo polecano wypełnić pochwę żółędziami lub owocami tarniny. W niektórych domach publicznych nie tylko w Londynie, ale także w Paryżu, Berlinie, Nowym Jorku, San Francisco i Nowym Orleanie, gdzie klientom oferowano specjalne programy rozrywkowe z udziałem dziewic, profesjonalna virgo intacta poddawała się zabiegowi przywracania hymenu kilka razy w tygodniu[\*15].

Niektórym amatorom dziewic nie wystarczała nastolatka i żądali młodszych. We Francji prawo przeciwko pedofilii było na tyle surowe, że nie powstały tam domy publiczne z dziecięcym personelem.

W Londynie jednak działały takie instytucje. Oferowano w nich na ogół dziewczęta w wieku 14–15 lat, a więc dzieci, choć w XVIII stuleciu osoby w tym wieku uważano niemal za dorosłe. Gorzej, że na początku XIX wieku pojawiały się na rynku prostytucji jeszcze młodsze – dziewczęta dwunastoletnie z miejskich slumsów wysyłane na ulicę przez własnych rodziców – jeśli ich miały – aby zarobiły na chleb, wszystko jedno jak. Wychowane w nędzy i biedzie, w takich ponurych dzielnicach jak londyńskie Seven Dials czy nowojorskie Five Points, dzieci te uczyły się realiów życia równie szybko i naturalnie jak mówienia czy chodzenia i rychło od obserwacji przechodziły do praktyki. Niektóre kształciły się pod ręką ojca lub brata, co i dziś zdarza się w ubogich rodzinach sypiających w sześcioro czy siedmioro w jednym barłogu[36]. Tabu kazirodztwa, towarzyszące naszemu gatunkowi od zarania i stanowiące dziś powszechny nakaz moralny, nie ma mocy tam, gdzie idzie o fizyczne

przetrwanie.

A dziewiętnastowiecznym samcom zachciewało się coraz więcej i coraz bardziej wyszukanych podniet i sposobów zaspokojenia własnych chuci. Zapotrzebowanie na dzieci-prostytutki stale rosło. Josephine Butler nie popełniła chyba błędu, przytaczając dane z 1869 roku odnoszące się do jednego z angielskich wielkich miast portowych. Twierdzi, że działało tam dziewięć tysięcy prostytutek, z czego „wedle najnowszej wiedzy tysiąc pięćset nie skończyło jeszcze lat piętnastu, a trzecia część z tej liczby – lat trzynastu”[\*16]. Zebrzące dzieci i pracujące na własną rękę nieletnie dziewczęta, sprzedające się za grosze, stanowiły naturalne pole rekrutacji do specjalistycznych domów publicznych, których pod koniec stulecia pełno było w takich miastach jak Londyn czy Nowy Jork. W niektórych dziewczynki przysposabiano do „zawodu” dziewicy za pomocą odpowiednich zabiegów, nie mówiąc już o stosownych lekcjach. W innych oferowano młodziutki, ale „doświadczone w grzechu” – jak mawiano wtedy – dziewczęta. Długo można by się zastanawiać, czy los tych dzieci był rzeczywiście gorszy od losu tysięcy ich rówieśników tyrających w kopalniach i fabrykach po osiemnaście godzin dziennie od piątego roku życia. Tragiczną ironią jest jednak fakt, że dziecięca prostytutka rozkwitła dokładnie wtedy, gdy prawodawcy w wielu krajach zaczęli wreszcie pochylać się z troską nad problemem wyzysku świata pracy w ogóle.

## POWRÓT DO ATEN

Wiktoriańscy i edwardiańscy koneserzy erotycznych dreszczyków nie ograniczali się do dziewcząt i dziewczynek. Cenili sobie także chłopców. W Anglii funkcjonowało nawet stowarzyszenie (niezbyt wybitnych) poetów pod wezwaniem Uranii[\*17], hołdujących greckiej tradycji pederastii. Jego uczestnicy, inteligenci, brali pod opiekę chłopców z ubogich środowisk, kształcili ich, wychowywali i oczywiście miłowali we wszelakim tego słowa znaczeniu[38].

Był to jednak wyjątek, znacznie częściej spotykało się związki mniej eleganckie, bez żadnych odsyłaczy do historii, wyprane z emocji, oparte na zasadach podaży i popytu, czego dowodzą wędrowki wielebnego Charlesa Parkhursta po Nowym Jorku w roku 1892.

Oskarżył on nowojorski magistrat o sprzyjanie „występkowi i rozpuście”, ale nie dysponował konkretnym materiałem dowodowym. Władze miejskie poczuły się dotknięte i pozwały pastora do sądu. Gdy wielebny Parkhurst zorientował się, że przed sądem może przegrać, najął prywatnych detektywów i ruszył w miasto w poszukiwaniu materiałów dowodowych. Detektywi znali metropolię od podszewki i poprowadzili pastora w okolice Tenderloin i Haymarket – nowojorskich dzielnic występku. Pokazali mu mroczne saloony, domy publiczne, chińskie palarnie opium, a na koniec zaprowadzili na Trzecią Zachodnią ulicę do „Golden Rule Pleasure Club”, „Klubu Rozrywki Złoty Podział”. W suterenie oczom pastora ukazały się rzędy klitek, a w każdej chłopiec z wyzywającym makijażem, o miękkich, dziewczęcych ruchach, przyuczony do mówienia falsetem i noszący dziewczęce imię. Gdy detektywi wyjaśnili pastorowi, co ci chłopcy robią, ten salwował się ucieczką[39].

Pomijając kwestię wieku, komercyjny homoseksualizm zaistniał w Anglii i Stanach Zjednoczonych dopiero pod koniec dziewiętnastowiecznej eksplozji prostytucji. We Francji pojawił się wcześniej, w czym miał swój udział szacowny skądinąd Kodeks Napoleona. Jeszcze w XVIII wieku Francuzi ślali homoseksualistów na stos – palili ich znacznie dłużej niż czarownice, bo aż po rok 1725. Za pierwszego cesarstwa jednak położono kres dyskryminacji „kochających inaczej”. Stanowił o tym właśnie Kodeks Napoleona. Przesadą byłoby twierdzić, że na skutek liberalizacji praw we Francji doszło do wybuchu homoseksualizmu i miłości lesbijskiej, ale w latach sześćdziesiątych XIX wieku obu tym zjawiskom towarzyszyła atmosfera tolerancji towarzyskiej i prawnej, pod warunkiem że nie tyczyły nieletnich poniżej dwudziestego pierwszego roku życia. W Paryżu działało około trzystu męskich prostytutek, ze słynnym Andre na czele. Wedle Edmonda de Goncourt Andre miał w sezonie, a więc gdy odbywały się bale w Operze, zgarniać do 1800 franków za swoje usługi[40].

(Dniówka zdolnego rzemieślnika wynosiła wtedy 2–4 franki, a wspomniana już luksusowa kurtyzana Córa Pearl brała pięć tysięcy franków za noc). Niektórych z prostytuujących się mężczyzn nie sposób było nie zauważyć na ulicy. Nosili kobiece suknie, makijaż, a braki w anatomii na biuście uzupełniali odpowiednio przygotowanymi baraniami płucami. Surowiec najpierw gotowano, następnie przycinano, aby rzecz zyskała stosowny kształt. Francois-Auguste Veyne opowiadał o nieszczęściu, jakie przytrafiło się jednemu z właścicieli baraniego oprzyrządowania. Jego pech polegał na tym, że gdy po wygotowaniu „wyniósł był one płuca na strych, by



przestygły, kot zakradł się na górę i pożarł jeden cycek”[41]. Inni raczej się kryli, w każdym razie nie rzucali się w oczy, co czasami prowadziło do dwuznacznych sytuacji. Bracia Goncourt zanotowali incydent związany z jednym z oficjeli Ministerstwa Wojny. Miał on szerokie kontakty wśród żołnierzy Gwardii Cesarskiej i wielu z nich wprowadzał na salony, przedstawiając swoim znajomym. Władze – piszą Goncourtowie z pewną ironią – powzięły podejrzenie, że w wojsku szykuje się spisek[42].

W Niemczech też podejrzewano spisek. Na przełomie wieku pojawiły się pogłoski, że na dworze cesarskim panoszy się klika homoseksualistów i że otoczyła kajzera tak szczelnym kordonem, iż nie mają doń dostępu bardziej odpowiedzialni (czyt. – heteroseksualni) doradcy. Plotki nasiliły się, gdy graf Giinther von der Schulenburg rozesłał do znanych sobie homoseksualistów arystokratów zaproszenie do udziału w Lidze Przyjaciół na Rzecz Obrony (Urnings), którą właśnie zakładał.

W tej sytuacji wydawca poczytnego berlińskiego czasopisma „Die Zukunft” Maximilian Harden uznał, że sprawy zaszły za daleko, i postanowił zdemaskować Urnings. Pisał więc w roku 1906, że chodzi o „bractwo znacznie bardziej potężne niżli łoże wolnomularskie, związek ściśle ze sobą związanych ludzi działający ponad granicami państw, klas i religii. Jego uczestnicy przenikają wszędzie – mają wpływy na dworze, sprawują wysokie urzędy w wojsku, działają w prasie, w handlu i oświacie, nie brak ich nawet w sądach. Tworzą wspólny front przeciwko wspólnym wrogom”[43]. Mamy tu do czynienia z odwieczną teorią spiskową. Zwykle odnosi się ją do Żydów, a w drugiej kolejności do masonów i braci różańcowych. Tym razem celem stali się homoseksualiści. Społeczeństwo poczuło się zaniepokojone, tym bardziej że rzekoma groźba czyhała wszędzie. Żydów da się od biedy rozpoznać, homoseksualistów nie. Akcja Hardena okazała się skuteczna w tym sensie, że Urnings rozwiązano, a jednocześnie opinię publiczną nastawiono przeciwko homoseksualistom.

Mimo wysiłków i argumentów słynnego ówczesnie berlińskiego seksuologa Magnusa Hirschfelda, który uważał homoseksualistów za „trzecią płć” i domagał się dla nich ochrony prawnej, społeczeństwo w swojej masie zajęło wrogą postawę wobec obcej sobie orientacji seksualnej. Nauczono się rozpoznawać „pedałów”, zaczęto ich bojkotować i prześladować, szyderczo przezywając „sto siedemdziesiąt pięć” – od numeru paragrafu w niemieckim kodeksie karnym odnoszącego się do

homoseksualistów.

W Anglii sytuacja homoseksualistów przedstawiała się inaczej.

Anglicy do absolutnej doskonałości doprowadzili sztukę niezauważania skłonności homoseksualnych u tych, których darzyli szacunkiem lub sympatią i traktowali jak swoich, przy jednoczesnym potępianiu w czambuł tych samych cech u obcych (cudzoziemców i przedstawicieli dołów społecznych) oraz odszczepieńców (jak Oscar Wilde). W sprawach seksu w wiktoriańskiej Anglii więcej było złudzeń niżli hipokryzji, choć akurat w kwestii homoseksualizmu ta ostatnia zdawała się brać górę. Taką postawę kształtował między innymi paragraf o karze śmierci za sodomie. Obowiązywał do roku 1861, choć rzadko do niego sięgano. W systemie, w którym o „prawie” stanowi ewolucja i precedens, często występują niekonsekwencje i dowolna interpretacja takich czy innych paragrafów. Przykładem niech będzie wykroczenie w postaci „publicznego uprawiania sodomii”, to znaczy dopuszczania się jej w obecności trzeciej osoby, ale nigdzie w paragrafach nie określono istoty sodomii. Tak więc zdarzało się jeszcze w XVIII wieku, że zsyłano do więzienia pechowca, który lubował się w przywdziewaniu damskich szat, choć poza tym nic złego nie czynił. W roku 1828 wprowadzono jednak ustawę o przestępstwach przeciwko nietykalności cielesnej. Znalazł się w niej zapis, że „kto dopuści się odrażającego aktu sodomii na innej osobie lub zwierzęciu, zostanie stracony jako zbrodniarz”. Co więcej, w tym samym rozdziale dodano, że jakkolwiek w przeszłości zdarzało się, iż winny sodomii lub gwałtu unikał kary „ze względu na trudności z ustaleniem, czy dopuścił się pomienionego, odrażającego występku”, to w przyszłości o winie „nie będzie decydował fakt ejakulacji, bo wystarczy stwierdzenie, że penetracja miała miejsce”[44]. I taki przepis obowiązywał do roku 1861, kiedy wycofano z kodeksów karę śmierci za „sodomie”, zastępując ją karą więzienia od dziesięciu lat do dożywocia.

Ówczesna nowelizacja praw tyczyła nie tylko homoseksualistów.

W latach 1826–1861 parlament zredukował liczbę przestępstw zagrożonych najwyższym wymiarem kary z dwustu do czterech (zdrada, morderstwo, piractwo oraz czyny przeciwko ustawie o ochronie portów)[45], a kary za homoseksualizm też znacznie złagodzone. Kto miał na tyle zdrowego rozsądku, aby w sprawie swoich seksualnych upodobań zachować jaką taką dyskrecję, mógł się czuć absolutnie bezpieczny.

Tak było do roku 1885, kiedy parlament uchwalił kagańcową nowelę do ustawy o przestępstwach kryminalnych w celu – jak głosiła preambuła – „ochrony kobiet i dziewcząt, likwidacji domów publicznych itd.” W pierwszej wersji dokumentu nie było wzmianki o homoseksualizmie. Odpowiedni przepis wprowadzono później, zapewne bez głębszego zastanowienia, jeśli sądzić po dość niefortunnej redakcji. A brzmiał ten paragraf tak: „Mężczyzna, który popełnia, ułatwia bądź próbuje popełnić lub przymusza innego mężczyznę do aktu o niemoralnym charakterze”, dopuszcza się przestępstwa zagrożonego karą do dwóch lat więzienia, a sąd może dodatkowo skazać winnego na ciężkie roboty[46]. Był to przepis wielce restrykcyjny. W jego świetle ściganiu podlegały wszelkie związki homoseksualne, a więc i te, których uczestnikami są dorośli mężczyźni, realizujący swe seksualne pragnienia w dyskrecji i za obopólną zgodą, jak również takie, które pozostawały nie skonsumowane. Tak sformułowany paragraf otwierał szerokie możliwości szantażu. Obowiązywał aż do roku 1967, kiedy został znowelizowany i zliberalizowany, choć nie do końca. Owszem, uznano, że dwaj dorośli mężczyźni mogą robić ze sobą, na co mają ochotę, nadal jednak karze podlega homoseksualista w mundurze – wojskowy lub policjant.

Prawo z roku 1885 przyniosło jednak skutek inny niż zamierzony.

Mimo mniejszego wymiaru kary (dwa lata wobec dawnych dziesięciu lub dożywocia) zwykły homoseksualista poczuł się bardziej zagrożony.

Po pierwsze dlatego, że właśnie na skutek zmniejszenia maksymalnego wymiaru kary policja i sądy częściej niż przedtem były gotowe wytaczać sprawy o przestępstwa seksualne, a po wtóre, że każdej takiej sprawie towarzyszył rozgłos, bardziej ważący na życiu i losach „winnego” niżli perspektywa więzienia. Co innego zawodowcy. Ci nie musieli obawiać się ani zdemaskowania, ani utraty reputacji, a dwa lata więzienia nie stanowiły czynnika odstrasżającego.

Męskiej prostytutce zawsze było łatwiej niż kobiecie. Nie rzuca się tak w oczy i jeśli unika ostentacji, nie przebiera się w damskie ciuszki, policja na ogół daje jej (mu) spokój, nawet jeśli wyrusza na łowy w miejscach, gdzie z góry wiadomo, kto jest kim i co robi. Jest taki zabawny przewodnik turystyczny po Londynie z lat pięćdziesiątych XIX wieku, który opisuje owe miejsca i tereny łowów na użytek ciekawych stolicy przybyszów z prowincji. „Quadrant, Holborn, Fleet Street oraz Strand – oto okolice, gdzie ich [męskich prostitutek] pełno. Jeszcze do niedawna w co przyzwoitszych hotelach w pobliżu Charing Cross wywieszano tabliczki: «Uwaga – w

okolicy grasują pederasci». Poznać ich łatwo. Stoją zwykle przed galeriami i sklepami z obrazami, wystrojeni wedle mody, z wyglądu podobni do kobiet... Najwięcej ich na Quadrancie i tu też paradują najbardziej znani, polując na klientów tak samo jak zwykle prostytutki”[47].

Autorzy przewodnika chyba przesadzili. W XIX wieku męskie prostytutki nie miały aż tak wielkiego wzięcia i nie było ich aż tak wiele, jak sugerują. Klimat społeczny i obyczajowy sprawiał, że biseksualiści, którzy mogliby stanowić potencjalną klientelę, skłaniali się raczej ku związkom heteroseksualnym, a większość mężczyzn o skłonnościach homoseksualnych zwyczajnie nie uświadamiała sobie tego. Spośród zdecydowanych homoseksualistów chyba nie więcej jak cztery–pięć procent korzystało z usług męskich prostytutek.

O rzeczywistej skali homoseksualizmu w ówczesnej Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych trudno powiedzieć coś pewnego.

Każda ocena będzie obarczona sporym marginesem błędu, choćby dlatego, że w obu krajach powstała właśnie moda na mocne męskie przyjaźnie. Często kryły się za tym zwykle stosunki homoseksualne, niekiedy przyjaźń kompensowała zapewne skrywane homoseksualne pragnienia. Ważne jest co innego, mianowicie, że były to związki towarzysko akceptowane, a nawet otoczone pewnym szacunkiem, jeśli tylko mieściły się w określonej konwencji obyczajowej, a ich uczestnicy nie przekraczali granicy, za którą – jak to pięknie sformułował Herman Melville – zaczyna się „najśłodsze z uczuć, jakie może łączyć dwoje ludzi”[48]. Jednak z nadejściem fin de siecle obyczaje ulegają zmianie. Młode pokolenie zaczyna coraz śmieiej przekraczać granice uznane do tej pory za nienaruszalne. Właściwie każdy z uczniów angielskich public schools[\*18] doświadczał inicjacji homoseksualnej. Sprzyjał temu klasztorny reżim szkolnych internatów, w których młody człowiek spędzał dobre kilka lat. Ale doświadczenia homoseksualne zwykle kończyły się wraz z zakończeniem nauki. Pod koniec wieku jednak zachodzi pewna zmiana. Szkolne doświadczenia, a co za tym idzie – orientacje seksualne, nabierają trwalszego charakteru i niejednen z byłych uczniów ulega im również w dorosłym życiu. Cytowany już W. T. Stead trafił chyba w sedno, pisząc na marginesie sprawy Oscara Wilde’a, że „gdyby tak jak Wilde potraktować wszystkich dopuszczających się podobnego występku, do [więzień] Pentonville i Holloway trzeba by przenieść całe Eton, Harrow, Rugby i Winchester. Tymczasem jednak chłopcy nadal będą tam nabierać obyczajów i nawyków, za które w

dorosłym życiu mogą trafić do więzienia lub na ciężkie roboty”[49].

Skończywszy Eton albo Harrow, młody człowiek trafiał zwykle do Oxfordu lub Cambridge i kontynuował naukę w podobnych warunkach, to znaczy mieszkał w internacie i uczył się w college’u dla chłopców. Dopiero w latach siedemdziesiątych XX stulecia, gdy o tych sprawach można było mówić w miarę otwarcie, wyszło na jaw, że angielskie instytucje oświaty dla elit to de facto wylęgarnia homoseksualistów. Zrozumiano też, jak dalece ów system zagrażał bezpieczeństwu poszczególnych osób i państwa. Wychowankowie Etonów i Winchesterów zajmowali z reguły wysokie stanowiska w rządzie, dyplomacji i administracji i stawali się łatwym celem wszelkiej maści szantażystów.

## ANGIELSKI WYSTĘPEK

Dziewiętnastowieczni Francuzi uważali homoseksualizm za *le vice allemand*, niemiecką przywarę, a o biczowaniu z taką samą dezynwolturą powiadali, że to *le vice anglais* – nałóg Anglików. Ironia albo specyficznie pojęty patriotyzm sprawiły, że w ślad za Francuzami ruszyli seksuolodzy z Niemiec i Anglii, produkując naukowe dowody, że tak rzeczywiście jest, że homoseksualizm to cecha Niemców, a Anglik dozna rozkoszy tylko wtedy, gdy towarzyszy jej ból fizyczny. Nie bacząc na kłopotliwe wyjątki jak markiz de Sade i Jean Jacques Rousseau, zapominając o średniowiecznych hiszpańskich flagelantach, biczujących się w religijno-erotycznej ekstazie, angielscy uczeni wywodzili z całą powagą, że to baty wymierzane uczniom w public schools sprawiają, iż w dorosłym życiu młody człowiek staje się dewiantem. To fakt, że młodemu Anglikowi z dobrego domu razów nie szczędzono. I nianie, i nauczyciele wierzyli w zbawienną moc różgi i tłukli wychowanków, ile wlezie, w przekonaniu, że w przeciwnym razie młody człowiek zejdzie na manowce. Wedle uczonej teorii łożenie skóry miało tak głęboko zapadać w jaźń młodego człowieka, że w dorosłym życiu też błagał o razy, bo bez solidnego bicia nie doznawał erotycznych spełnień. No cóż, gdyby z każdego bitego dziecka miał wyrastać dewiant, świat byłby pełen erotycznych flagelantów, a zjawisko nie ograniczałoby się do wychowanków ekskluzywnych angielskich szkół. Poza Indiami i pewnymi, nielicznymi zresztą, ludami plemiennymi, dzieci wszędzie i zawsze traktowano z niewyobrażalną dziś

brutalnością.

Oczywiście ma pewne znaczenie, kto daje razy. Można założyć, że gdy katem jest niania lub guwernantka, występująca również w dziecięcych rojeniach seksualnych, lub nauczycielka, w której młody człowiek skrycie się podkochuje, wtedy rzeczywiście w jego podświadomości może zaistnieć związek między różgą, razami a podnieceniem. Jednak najczęściej ten rodzaj dewiacji seksualnej pojawia się na tle mniej lub bardziej wrodzonych skłonności do masochizmu.

Pierwszą definicję masochizmu dał pod koniec XIX wieku austriacki lekarz policyjny i psychiatra dr Richard von Krafft-Ebing, autor pracy o patologicznych zachowaniach seksualnych *Psychopathia Sexualis* (1886), do której sięgali pornografowie wszelkiej maści, jeśli tylko stać ich było na dobry słownik łaciński. Większość bowiem co bardziej istotnych i ciekawych szczegółów autor wyraził po łacinie. Wiadomo, jaka jest etymologia słowa „sadyzm”, oznaczającego specyficzny rodzaj przyjemności płynący z zadawania bólu.

Słowo „masochizm”, będące przeciwieństwem sadyzmu, bo oznaczające czerpanie zadowolenia płciowego z bólu zadawanego przez partnerkę lub partnera, ma podobną proveniencję. Wprowadzając ów termin, Krafft-Ebing posłużył się nazwiskiem swego rodaka Rittersa Leopolda von Sacher-Masocha – akademika, który porzucił naukę dla literatury. Z początkiem roku 1870 jął produkować powieści i opowiadania erotyczne pisane wedle jednego schematu, z bohaterem spod sztancy, który doznawał spełnienia tylko wtedy, gdy partnerka zechciała się nad nim znęcać.

Najsłynniejsze dzieło z literackiej manufaktury Sachera-Masocha nosi tytuł *Venus w futrze* i jest klasyką gatunku pod każdym względem – akcji, postaci, wystroju i wszystkiego co niezbędne dla pełni masochistycznych przeżyć. Bohaterka, piękna, władcza, strojna w futra i oczywiście okrutna Wanda, zwabia swego kochanka Seweryna w pułapkę. Uwięzionemu i spętanemu objawia się z biczem w ręku. Futra, bicze, szatańskie (i koniecznie arystokratyczne) piękności to stałe elementy powieści Sachera-Masocha.

„Piękna kobieta pochyliła się nad swym wielbicielem. W jej zielonych, lodowatych i spragnionych zarazem oczach pojawił się dziwny błysk. Uniosła się z wolna, przeszła przez pokój, zarzuciła na siebie szkarłatny jedwabny płaszcz, bogato obszyty gronostajami, i sięgnęła po bicz leżący na stoliku. Krótki trzonek, długi rzemień – zwykle karciała nim swego brytana.



– A więc chcesz tego – ni to spytała, ni stwierdziła.

– Tak – szepnął kochanek nie wstając z kolan. – Błagam – wykrzyknął – zrób to!”[50] Ale Sacher-Masoch wcale nie był pierwszym literackim flagelantem. Jego produkcja niejako zwieńcza długą tradycję literackich femmes fatales, co zadawały cierpienia, ba – nawet śmierć – kochanym lub upragnionym przez siebie mężczyznom, którym katusze sprawiały niewysłowioną radość. Do XIX wieku nie pojawił się jednak żaden wyraźny stereotyp takiej drapieżnej feministki, choć takie cechy jak „dziki, a zarazem władczy majestat” występują nader często[51]. Ale w czasach wiktoriańskich, pełnych publicznie okazywanej galanterii i starannie skrywanego kompleksu winy, taki stereotyp musiał powstać.

„Zachwyca mnie majestat ludzkiego cierpienia” – mawiał hrabia Alfred de Vigny (który sam bólu nigdy nie doświadczył), a jego współcześni dzielili szlachetny poryw serca, nie dostrzegając otaczającej ich rzeczywistości – slumsów, biedy, potu i wyzysku, jakie niosła rewolucja przemysłowa. Wielu z nich jakby w pokucie za sadystyczną obojętność wobec ludzkiej nędzy uciekało w sztuczny świat masochistycznych iluzji. Nie musieli szukać daleko. Pod ręką były gotyckie powieści o dworskiej miłości, pełne bólu i cierpienia na tle niespełnionych uczuć, bo gotycka kochanka z reguły była niedostępna. No i właśnie ten motyw rozdmuchano w XIX wieku do niebywałych rozmiarów. Obok niego na początku stulecia pojawił się motyw *homme fatal* – męskiego odpowiednika kobiety fatalnej (wzorowany na Byronie). Kariera *homme fatal* trwała krótko. W połowie wieku rządy ostatecznie przeszły w ręce zadającej ból i cierpienia *femme fatale*. Stanowiła ona absolutne zaprzeczenie wiktoriańskiej „anielicy domowego ogniska”, a ten sam mężczyzna, który z anielicy uczynił sobie sługę i podnózek, w obliczu kobiety fatalnej sam stawał się najpokorniejszym z poddanych[\*19].

Pierwszymi mistrzami wątku *le vice anglais* w literaturze byli bez wątpienia Francuzi, a stawkę otwierał Theophile Gautier – twórca nowego, dość oryginalnego, trzeba przyznać, wcielenia *femme fatale*. Jego Kleopatra – królowa oczywiście – okrutna, barbarzyńska, każdego ranka wydaje na śmierć kochanka, z którym spędziła noc[53].

Następcy Gautiera dodali do panteonu bezlitosnych dam wiele innych postaci, wśród nich Nyssię (orientalną odpowiedniczkę Lady Makbet), Herodiadę, Helenę trojańską oraz królową Saby. Prosper Merimee z kolei roztoczył przed czytelnikami

obraz Hiszpanii jako kraju, w którym jeśli nie każda, to co druga dama jest *femme fatale* pierwszej wody. Pod koniec stulecia Hiszpania pod tym względem ustąpiła Rosji.

Nie umniejszając zasług Francuzów, stwierdzić należy, że najlepsze, najbardziej egzotyczne wizerunki „piękności rodem z piekieł”[54] wyszły spod pióra Anglika Algernona Charlesa Swinburne’a.

Nieskazitelnny gentleman, za jakiego uchodził, miał obsesję na punkcie masochizmu, co w jego uczonych biografiach kwituje się eufemistycznym stwierdzeniem o „nieumiarkowanym stylu życia”. Uważał, że tylko ten, co „padnie ofiarą niepohamowanego gniewu pięknej kobiety”[55], może zaznać szczęścia. Taką okrutnicą była z pewnością „Dolores – Pani zmysłowego bólu”.

Za jej...

Lodowatymi powiekami kryły się oczy  
Twarde jak diament, lecz miękkie chwilami.

Ręce mocne, płeć biała, i usta okrutne,  
Szkarłatne jak trujące kwiecie...

W jej to obecności...  
Ból mieszał się ze łzami i dawał rozkosz;  
Śmierć znaczone krwią dawała życie[56].

No cóż, przy czymś takim Sacher-Masoch to małe piwo.

Ale pierwsze miejsca w literackim panteonie masochistów należą do romantyków, którzy w *femme fatale* z biczem w ręku dostrzegali coś więcej niż tylko ból. Romantycy żyli we własnym świecie marzeń, z pewnością bogatszym, ale też nie tak bardzo różnym od nierealności, w których nurza się dzisiejszy nałogowiec filmów grozy czy kobietka, co z wypiekami na twarzy czytuje sprawozdania z sądów kryminalnych i podnieca się, wypełniając kupon *totalotka*. W życiu występował jeszcze inny rodzaj masochistów, którzy zwyczajnie nie mogli się obyć bez porządnego lania.

Mowa o tak zwanych masochistach funkcjonalnych – grupie wielce różnorodnej, bo

funkcjonalnym masochistą mógł być i znudzony światowiec, i niedopieczony mieszczuch, pantoflarz i prymitywny brutal, „zwierzę w ludzkiej skórze, którego podnieca wyłącznie hałaśliwa zmysłowość” – jak napisał kiedyś Hippolyte Taine, francuski estetyk, filozof i krytyk. Taine uważał, że Anglicy stają się dewiantami – erotycznymi flagellantami – ponieważ za dużo piją i za dużo spożywają czerwonego mięsa[57]. Jest to zbyt daleko idące uproszczenie. W rzeczywistości zjawisko ma charakter psychosomatyczny. Ból zwykle tłumi reakcje splotów nerwowych na bodźce seksualne, ale u niektórych osobników przeciwnie – wzmacnia wrażliwość określonych końcówek nerwowych. Nie tylko ból, ale także gniew i złość, przez co wielu spośród funkcjonalnych masochistów skłania się również do sadyzmu. (Naukowe określenie stanów patologicznych polegających na czerpaniu przyjemności z zadawania bądź odczuwania bólu to algologia).

Masochiście romantykowi wystarczała na ogół własna wyobraźnia i dyskretny romans, masochista funkcjonalny potrzebował czegoś więcej. Korzystał więc z profesjonalnych usług, a gdy ich brakowało, sięgał po pornograficzne dziełka, w jakich ówczasie specjalizowali się Anglicy. Dość wymienić kilka tytułów: *Lady Bumtickler's Revels* (Zwierzenia pani Tyłkochłosty), *Madame Birchinis Dance* (Taniec Pani Różgowskiej) czy *The Romance of Chastisement; or reuelations ofschool and bedroom* (Romans z chłostą, czyli tajemnice szkoły i sypialni), *By an Expert, etc.* (Piórem eksperta i coś więcej[\*20]). Nie brak było poradników dla właścicieli burdeli i pracujących na własną rękę prostytutek, przyjmujących również szczególnie wymagających klientów. W jednym z nich radzono, aby „mieć pod ręką album z rycinami i opisami rozmaitych sposobów wymierzania batów, by klient mógł sobie wybrać to, co mu najbardziej odpowiada”[58].

Znaczenie miało również ubranie. Autorzy *Exhibition of Female Flagellants* (Kolekcji dam z różgą) wykluczali strój Ewy. Klient – pisali – „będzie bardziej usatysfakcjonowany” w rękach damy odzianej w szaty ukazujące sporo, ale nie wszystko. Na liście zalecanych strojów poczesne miejsca zajmują futra, dobre wyniki miał też dawać zakonny habit, jedwabne pończochy zdobione złotą nitką, haftowane złotem trzewiki lub biała jedwabna szata, wykończona koronką i uzupełniona koronkowymi pończochami.

Erotyczne biczowanie – zdaniem niezrównanego doktora Dührena – wymaga „ogromnej delikatności i sporej dozy *savoir faire* – znajomości rzeczy”[59]. I właśnie

z savoir faire słynęła w Londynie na początku XIX wieku Mrs. Collet, rychło jednak ustąpiła miejsca perfekcyjnej Teresie Berkley (vel Berkeley). Pani Teresa przykładła ogromną wagę do akcesoriów. Mieszkała w niezłej dzielnicy, tuż przy Portland Place. Zapas różg trzymała w wodzie, aby „były świeże i jędrne. Miała tuzin batów z krótkim biczyskiem i długim rzemieniem, tuzin dyscyplin o dziewięciu rzemieniach wybijanych cienkimi gwoździami, całą kolekcję rozmaitych prętów i szpicrut, pęta z grubej skóry, zgrzebła i skórzane obroże nabijane gwoździami, zahartowane od ciągłego użycia, a także rośliny – janowiec, ostrokrzew oraz iglicę włoską, zwaną popularnie krzewem rzeźnika. A latem w szklanych i porcelanowych wazonach trzymała pęki pokrzyw”[60]. Wygląda na to, że u pani Berkley bywali prawdziwi koneserzy.

Z myślą o nich dokonała w roku 1828 wynalazku wręcz epokowego. Zbudowała urządzenie zwane „koniem Berkley” lub z francuska – „Chevalet”. Podstawą była rozkładana drabina, dopasowywana każdorazowo do wzrostu klienta, obita ku jego wygodzie miękkim materiałem. Klient, nagi oczywiście, stawał przy „koniu”, wciskając twarz między górne szczeble, a to co najważniejsze między dolne.

Pętano go i zaczynał się seans, polegający na tym, że stojąca z tyłu „guwernantka” smagała go różgami lub batem po pośladkach czy plecach – wedle życzenia, a stojąca z przodu, skąpo odziana panienska masowała mu genitalia[\*21]. Wynalazek okazał się wielce zyskowny. Dochód z ośmioletniej eksploatacji „konia” wyniósł ponoć 10 tysięcy funtów (16 tysięcy dolarów), co na owe czasy było sumą bardzo znaczną.

W jednym z pierwszych i bardziej znanych poradników z tej dziedziny Venus Schoolmistress, or Birchen Sports (Nauczycielka Wenus lub rozrywki z różgą) z roku 1788 (drugie wydanie – rok 1898), sklasyfikowano amatorów tego rodzaju przyjemności wedle trzech grup. Do pierwszej zaliczano tych, co przepadają za chłostą wymierzaną przez kobietę, do drugiej tych, co sami lubią chłostać, a do trzeciej tych, których podnieca wyłącznie oglądanie tego typu scen (chętny mógł zawsze zamówić sobie takie widowisko w odpowiedniej placówce). W sumie chodzi więc o masochizm, sadyzm i podglądactwo, co dzisiejsza psychoanaliza klasyfikuje jako rodzaje perwersji seksualnych.

Z punktu widzenia psychoanalizy wiktoriańskie życie seksualne można by scharakteryzować jako perwersyjne. Wiktoriański gentleman obnosił się z absolutną pewnością siebie, w głębi duszy jednak był głęboko znerwicowany i cierpiał na kompleks winy, dlatego zwykła nawet wizyta u prostytutki stawała się dlań aktem

intelektualnego i moralnego masochizmu. Gustave Flaubert trafił chyba w sedno, gdy o sprzecznościach, jakie targwały jego współczesnymi, pisał:

„Wiele traci mężczyzna, który nigdy nie zbudził się w obcym łóżku, mając przed oczami twarz, której nigdy więcej nie będzie chciał oglądać, i taki, który wymyka się świtem z burdelu, przepełniony obrzydzeniem do tego stopnia, że gotów byłby skoczyć z mostu do rzeki”[61].

---

[\*1] Z czymś podobnym mieliśmy do czynienia sto lat później w nazistowskich Niemczech. Wedle wizji Hitlera każdy Niemiec miał być teutońskim rycerzem, a każda Niemka – nową Gretchen. Tak powstał kult Niemki-matki, któremu służyła stosowna polityka władz – życzliwa dla chętnych matek, niechętna wobec kobiet próbujących pozarodzinnych karier. A Niemki? Z zapałem wcielały się w rolę Gretchen i ochoczo rodziły dzieci na chwałę Rzeszy.

[\*2] Czas jakiś trwało, nim uczeni wskazali na istotny błąd w teorii Morgana. Polega on na zatarciu granicy między pojęciem matrylineatu (zasady pokrewieństwa, wedle której dziecko włączane jest do rodu matki) a matriarchatu (czyli systemu organizacji społecznej, w którym szczyt hierarchii wyznacza matka). Późniejsze badania wskazują, że matriarchat był zjawiskiem historycznie rzadkim, a co się tyczy matrylineatu, na ogół było tak, że prawa należące nominalnie do matki faktycznie wypełniał jej najbliższy krewny – mężczyzna, najczęściej ojciec lub najstarszy z braci.

[\*3] Jednocześnie podnoszono rolę kobiety-bogini w historii, przypisując jej większe zasługi i wpływy, niż miała w rzeczywistości.

[\*4] Współczesnym odpowiednikiem hotelu „Nimfa” stały się popularne w Europie Północnej „Eros Centers”. W Rotterdamie w roku 1977 otwarto coś takiego... na wodzie. Dziewczęta pracowały na barkach zakotwiczonych na amsterdamskich kanałach. Jedna z weteranek zawodu ostrzegła przed związanym z tym niebezpieczeństwem. „Jeśli czterysta dziewcząt jednocześnie przyłoży się do pracy, to mogą tak rozkołysać wody kanału, że fala wyleje się na nabrzeże. Trzymajcie się z daleka od kanałów, bo możecie się zmoczyć” – radziła. Ale żaden z dawnych i nowoczesnych *maisons de rendez-vous* nie umywa się do japońskich. Jest ich ponad 25 tysięcy (wszystkie legalne i pod kontrolą władz). Mogą zaspokoić wszelkie gusta, bo urządzono je z niebywałą wyobraźnią. Można wybierać np. między pałacami z „Tysiąc i jednej nocy”, średniowiecznymi zamkami znad Renu i dworami nawiedzonymi przez duchy. Służą nie tylko profesjonalistkom, ale także zwykłym parom. Japonia należy do najgęściej zaludnionych rejonów świata i niejedna zakochana para nie ma się gdzie przytulić[23].

[\*5] W ówczesnej angielszczyźnie słowo „Cypryjka” funkcjonowało jako synonim prostytutki – *przyp. tłum.*

[\*6] W 1961 roku (w procesie Shawa) sąd brytyjski uznał publikację adresów prostytutek za „spisek przeciwko moralności publicznej” i „akt obliczony na sianie zamętu”, a jako takie za przestępstwo ścigane z mocy prawa.

[\*7] Tradycja Green Books trwa do dziś – są to publikowane na zasadzie roczników rodzaje Who Is Who miejscowych elit – *przyp. tłum.*

[\*8] Za taką tezę może przemawiać przykład Włoch. W roku 1958 zamknięto tam kontrolowane przez władze domy publiczne. Dwa lata później zanotowano dwakroć tyle zachorowań na kiłę co rok przed zamknięciem tych przybytków.

[\*9] Argument szlachetny, ale naiwny. Prostytucja była produktem systemu społecznego, zdominowanego co prawda przez mężczyzn, ale też za przyzwoleniem kobiet. Nawet jeśli rzeczywistość końca XIX wieku potwierdzała modną (do dziś zresztą) tezę, że „gdyby nie męskie chucie, nie byłoby prostytucji”, to w odniesieniu do całej historii naszego gatunku jest to teoria fałszywa, bo nie tylko popyt pobudza podaż, ale i odwrotnie. Inaczej mówiąc, bez prostytutek nie byłoby klientów.

[\*10] Do dziś kodeksy większości stanów traktują prostytucję jako przestępstwo ścigane z mocy prawa, ale szczegółowe przepisy są różne. W Nowym Jorku karze się za nagabywanie potencjalnych klientów na ulicy, w Chicago – nie. W New Jersey przestępstwem jest korzystanie z usług prostytutek, w Newadzie przeciwnie – wręcz zachęca się potrzebujących do korzystania z oficjalnie działających, czystych, kontrolowanych przez władze domów publicznych, z których sporo funkcjonuje na zasadzie spółek akcyjnych. W roku 1989 akcje jednego z nich dopuszczono nawet na giełdę[26]. Ogólną liczbę prostytutek w USA ocenia się na pół miliona.

[\*11] Nawet w ówczesnych krajach komunistycznych obserwowano nasilającą się falę chorób wenerycznych. W ówczesnej Litwie w ramach zwalczania epidemii zarażenie kogoś rzeżączką, nawet nieświadome, uznano za przestępstwo. Podobnie penalizacji podlegało odmówienie leczenia i picie alkoholu w czasie przyjmowania leków. W radzieckiej Rosji zarażenie kogoś chorobą weneryczną też podlegało ściganiu jako „poważne przestępstwo przeciwko nietykalności cielesnej dokonane z premedytacją”, zagrożone karą do trzech lat więzienia lub roku obozu pracy[31].

[\*12] Pod pseudonimem Iwana Blocha wydał on na początku XX wieku dziełko *Sexual Life in England Past and Present* (Życie seksualne w dawnej i dzisiejszej Anglii), które do dziś stanowi kliniczny przykład błędnego rozumowania.

[\*13] We wschodniej części basenu Morza Śródziemnego dziewictwu do dziś nadaje się wielką rangę, a hymen ma swoją konkretną cenę. W roku 1978 sąd w Atenach przyznał rodzicom szesnastoletniej dziewczyny, którą uwiódł jej nauczyciel języków obcych, odszkodowanie w wysokości 350 tysięcy drachm (około 2250 dolarów według ówczesnego parytetu). Tyle wedle sentencji wyroku rodzice musieli dołożyć do posagu córki, aby „skompensować brak dziewictwa ewentualnemu zięciowi z tej samej warstwy społecznej”[34].

[\*14] Instytucja „białych niewolnic” to też mit. Stworzyły go dziewiętnastowieczne powieściopisarki na użytek żądnych dreszczyku czytelników. W ludnej Europie było aż nadto kandydatek do prostytucji, aby ktokolwiek musiał się uciekać do przemocy. Rzekomo porwane i uprowadzane za granicę kobiety to w większości chętne emigrantki. Inaczej rzecz się miała w Ameryce, zwłaszcza w San Francisco, gdzie rzeczywiście sporo sprowadzanych tam Chinek było niewolnicami w każdym tego słowa znaczeniu. W drugiej połowie XIX wieku organizatorzy amerykańskiej prostytucji zwabiali do Ameryki kobiety z Polski, Irlandii, Puerto Rico i Kuby. Na przełomie wieków był to naprawdę wielki przemysł, w którym działało ponoć i z którego żyło 50 tysięcy sutenerów, stręczycieli i dostawców.



[\*15] Zabieg przywracania dziewictwa (w Tokio na przykład) znany jest dziś pod nazwą „odradzania hymenu”. Ocenia się, że w Japonii takiej operacji poddaje się 30–40 tysięcy kobiet rocznie. Wedle badań ankietowych 80 procent Japończyków oczekuje, że ich małżonka będzie *virgo intacta*. Stosowny ścieg wykonuje się przy użyciu nici chirurgicznych z kiszek baranich. Ważna jest data zabiegu, bo nici wchłaniają się w ciągu miesiąca. Ewentualne opóźnienie ceremonii ślubnej może oznaczać konieczność ponownej wizyty u chirurga plastyka.

[\*16] Nowojorska policja oceniała w roku 1977, że w metropolii przebywa około 20 tysięcy zbiegłych z domów dzieci w wieku poniżej 16 lat i że wiele z nich utrzymuje się z prostytucji. W Chicago funkcjonowały całe grupy prostytuujących się nieletnich dziewcząt, w tym poniżej 12 roku życia. Dane z Los Angeles z tego samego okresu mówią o trzech tysiącach dziewcząt i chłopców w wieku poniżej 14 lat uprawiających nierząd[37].

[\*17] Urania – jedno z imion Afrodyty.

[\*18] Wbrew nazwie prywatne i zdecydowanie ekskluzywne szkoły – *przyp. tłum.*

[\*19] Jeśli w epoce wiktoriańskiej mężczyzna doznawał erekcji na samą myśl o aroganckiej *femme fatale*, to jej dzisiejsza następczyni – wojująca feministka – niejednego samca przyprawia o impotencję[52].

[\*20] Do czasu wprowadzenia obwolut „coś więcej” stanowiło typowy chwyt reklamowy wiktoriańskich wydawców książek.

[\*21] W oryginale *cock and bollocks*. W latach trzydziestych XIX wieku słowa te nie miały obscenicznej konotacji.

## 14. WIELKA DEBATA

„**G**dy: kobiety wstąpią do wojska, zaciągną się do marynarki, staną za sterem okrętu, pójdą za pługiem, gdy zaczną walczyć o chleb i nurzać się w tłumie żarłocznych konkurentów w handlu i biznesie, gdy nad ciepło domowego ogniska miłsze im będą zdrada i fałsz sceny politycznej, rozpustny żołnierski obóz, huk dział i krew na polu bitwy, wtedy, i tylko wtedy możemy się zastanawiać nad ich prawami wyborczymi” - oświadczył w roku 1866 senator George H. Williams z Oregonu[1].

Motywów, dla których prawodawcy epoki wiktoriańskiej odmawiali kobietom prawa głosu, było wiele. Niektórzy, jak senator Williams, strzegli status quo i nie zgadzali się na zmiany dla samej zasady. Innych przerażała myśl, że kobiety mogłyby wejść w świat polityki i zakłócić ich święty spokój. Jeszcze inni bali się, że dopuszczenie kobiet do urn wyborczych wywróci do góry nogami całą polityczną scenę, bo nikt przecież nie wie, na kogo zechcą głosować (choć zakładano, że żeński elektorat byłby raczej konserwatywny). Były to obawy niegodne mężów stanu, wytaczano więc na użytek publiczny inne argumenty. Przez ponad pół wieku z fałszywą troską głoszone zgodnym chórem, że chodzi wyłącznie o „szczególne” miejsce kobiet w życiu i ich „szczególne” poczucie moralności.

A taki argument łechtał kobiecą próżność. Jedną z najaktywniejszych głosicielek doktryny, że świat niewiast i świat mężczyzn to dwie „odrębne sfery”, była właśnie kobieta - Catharine Beecher, siostra Harriet Beecher Stowe[\*1] i wielbionego Henryego Warda Beechera, jednego z najwybitniejszych duchownych w ówczesnej Ameryce.

Wedle panny Beecher podział społeczeństwa na kobiety i mężczyzn był absolutnie

naturalny i politycy czy filozofowie nie powinni go zamazywać, przeciwnie - powinni „wytyczać nowe sposoby utrwalania granicy dzielącej świat kobiet od świata mężczyzn, zwłaszcza w środowiskach miejskich, gdzie kobiety i mężczyźni często spełniają te same funkcje[\*2]”. Jeśli zaś idzie o obszary działań przypisane każdej z płci, to sprawowanie rządów należało oczywiście do mężczyzn, a skoro tak, również głosowanie w wyborach powinno być ich wyłączną domeną[3].

Z punktu widzenia logiki był to argument doskonale skonstruowany i nawet dziś trudno byłoby go podważyć. A jednak podważyła go sama autorka, stwierdzając, że i bez dostępu do urn wyborczych kobiety mogą wywierać wpływ na sprawy publiczne. Jak? Zwyczajnie - kształtując poglądy swoich mężów i synów, a więc tych, co mają prawo głosu. W istocie oznaczało to, że kobiety mogą sprawować władzę, nie ponosząc przy tym żadnej odpowiedzialności. Układ wygodny dla zainteresowanych, ale z gruntu nieuczciwy, nikt jednak autorce tego nie wytknął. Mężczyźni milczeli, bo sami zapędzili się w ślepy zaułek, głosząc tezę, że kobieta z natury jest moralnie doskonalsza i już z tego tytułu powinna wywierać zbawienny wpływ na płęć mniej doskonałą.

Korzenie tej kuriozalnej koncepcji tkwią w średniowiecznej galanterii dziewiętnastowiecznych romantyków. Gdy William Ewart Gladston[\*3] oświadczył w latach osiemdziesiątych XIX wieku, że nie zgadza się na przyznanie praw wyborczych kobietom, bo darzy je zbyt wielkim szacunkiem i zbyt ceni ich „delikatność, czystość, doskonałość i wysokie poczucie moralności”, aby narażać je na zetknięcie z wulgarnym życiem politycznym[4], nikt nie podniósł głosu. Milczały zwłaszcza same zainteresowane. Nie ma dowodów, aby dama z epoki dworskiej miłości rzeczywiście wierzyła w mit o swojej duchowej doskonałości, ale jej następczynie w epoce wiktoriańskiej przyjęły tezę o naturalnej wyższości kobiet nad płcią przeciwną z całym zapałem i dobrodziejstwem inwentarza, w czym zresztą walnie pomogli im wszyscy, od ojców i mężów poczynając, na reformatorach społecznych i kościołach protestanckich kończąc. Te ostatnie w swoim własnym interesie - bo potrzebowały oddanych pracownic - dawno już odrzuciły katolicką filozofię dotyczącą miejsca kobiety w życiu.

A kobiety garnęły się do kościoła. Znakomita ich większość z klasy średniej wyżywała się w akcjach dobroczynnych, bo o innych karierach trudno było marzyć. Nawet popularna, wielce samodzielna i bojowa angielska powieściopisarka Humphry

Ward głęboko wierzyła, że owe „szczególne przymioty moralne”, jakimi natura obdarza kobietę, doznałyby uszczerbku w zetknięciu z „ordynarnym mechanizmem życia politycznego” i że przyznanie praw wyborczych kobietom to pierwszy krok do anarchii, „niszczenie wartości i ruina fundamentów, na których wznosi się gmach społeczeństwa”[5].

Humphry Ward i Catharine Beecher były inteligentne i mocno stały na własnych nogach. Rozumowały poprawnie, wyciągały logiczne wnioski, tyle że cała konstrukcja myślowa miała wątki podstawy. Zyskały jednak wiele zwolenniczek po obu stronach Atlantyku, zwłaszcza wśród kobiet zadowolonych z istniejącego stanu rzeczy, które jak tonący brzytwy chwyciły się tez o „szczególnym miejscu kobiet” i ich „szczególnych przymiotach moralnych”, aby bronić status quo. A broniły, bo lękały się samodzielności, a co za tym idzie - odpowiedzialności za siebie, a taka perspektywa zbliżała się nieuchronnie. Susan B. Anthony, która ponad pięćdziesiąt lat poświęciła walce o prawa kobiet, z goryczą stwierdziła w roku 1902, że kobiety w swojej masie są znacznie bardziej zachowawcze niż mężczyźni. Wiązała to z „izolacją, brakiem szerszych horyzontów, zniewoleniem i surowymi karami, jakich społeczeństwo nie szczędzi tym, które ośmielą się wykroczyć poza przypisane im role, a przede wszystkim religii, bo to religia każe kobietom wierzyć, że sam Stwórca wyznaczył im takie a nie inne miejsce w życiu i że burzyć się przeciwko temu, to burzyć się przeciwko Bogu”[6]. Było w tym sporo prawdy, co oczywiście utrudniało działania radykalnej mniejszości.

„To nie mężczyźni rzucają kłody pod nogi kobietom próbującym przystosować się do nowych warunków życia - mówiła Olive Schreiner, działaczka na rzecz praw kobiet z Południowej Afryki. - Znacznie częściej spotykamy się z oporem naszych zacofanych i zachowawczych siostrzyc”[7].

Gdy dziś ocenia się długą debatę o prawach wyborczych kobiet, zdumiewać może fakt, że hasłem „kobiecej moralności” szermowali nie tylko reakjoniści, ale także kręgi radykalne. Ci pierwsi argumentowali, że kobietom nie wolno przyznać praw obywatelskich ze względu na ich szczególne przymioty. Sufrażystki z kolei żądały praw wyborczych dla kobiet właśnie z powodu ich szczególnych walorów.

„Daje się prawa kryminalistom, ludziom nieuczciwym, niemoralnym i zepsutym [czyt. - mężczyznom], a nie przyznaje się ich tym, co uosabiają uczciwość, czystość, sumienność, moralność i wiarę [czyt. - kobietom]... Inaczej mówiąc, dopuszcza się do

urn najgorszy element, a wyklucza najlepszy” - głosił jeden z manifestów[8].

Takie stanowisko nie mogło oczywiście zjednać mężczyzn, nawet tych, do których nie odnosił się ów akt oskarżenia, ale będzie się przewijać przez cały okres wielkiej debaty, aż po dzień dzisiejszy, czego dowodzą choćby wystąpienia Phyllis Schlafly i Andrei Dworkin. Dla tej pierwszej „kobieta to strażniczka moralności”, druga głosi tezę o przyrodzonej wyższości kobiet, co dobitnie świadczy, że obie panie tkwią duchem w XIX wieku.

Ruch sufrażystek rozwijał się inaczej w Europie, inaczej w Ameryce. W liberalnej Ameryce nie występowały podziały klasowe i tradycje, które w Europie odgrywały ogromną rolę. Z drugiej strony, w Ameryce sufrażystki miały do czynienia z niezwykle skomplikowanym systemem instytucji politycznych. Zaczniemy od tradycji. Do roku 1882 w Wielkiej Brytanii prawo stanowiło, że nieruchomości nabyta przez mężatkę w trakcie małżeństwa lub nawet przed jego zawarciem staje się własnością męża. Sprawa jest o tyle ważna, że do roku 1884 w większości hrabstw obowiązywał cenzus majątkowy – prawo głosu otrzymywali ci, co legitymowali się określonym majątkiem. Oznacza to, że gdyby wtedy przyznano kobietom prawa wyborcze, skorzystać z nich mogłyby tylko stare panny i wdowy posiadające jakąś własność, i tylko te, które rezydowały w miastach.

Z tych powodów brytyjskie sufrażystki kładły na początku większy akcent na „naturalną sprawiedliwość” niż na „prawa kobiet”. W tym kontekście w Wielkiej Brytanii niesłychanie podnosi się rolę filozofa Johna Stuarta Milla, twórcy zasady utilitaryzmu w etyce. Gdy w roku 1867 trwała debata nad ustawą o reformach wyborczych, Mill wniósł, aby stosowne prawa przyznać również kobietom. Ale John Stuart Mill był także gorącym orędownikiem wprowadzenia innego rodzaju cenzusu wyborczego – kryterium wykształcenia. Proponował rodzaj egzaminu dla wyborców. W zależności od wyniku wyborca otrzymywałby określoną liczbę głosów (niewykształcony robotnik miałby jeden głos, prawnik lub duchowny – sześć)[9]. Wiadomo, jak wyglądała oświata dla kobiet w tamtych czasach. Z tego punktu widzenia marchewka, jaką Mill ofiarowywał kobietom, była dość przywiędła. Z drugiej jednak strony podniósł kwestię równych praw (co z dzisiejszej perspektywy powinno być głównym argumentem na rzecz praw wyborczych kobiet). Sprawa stała się nośna i co roku wypływała w parlamencie. Inna rzecz, że bez skutku wobec absolutnej obojętności partii politycznych.

Mechanizmy polityczne w XIX wieku funkcjonowały podobnie jak dziś, co oznacza, że reformatorzy pragnący wpłynąć na politykę muszą odwoływać się do tych, którzy politykę kształtują, inaczej mówiąc – zyskać poparcie w parlamencie. Dziewiętnastowieczna Brytania była krajem stosunkowo niewielkim, jednorodnym kulturowo, szanującym swoje tradycje parlamentarne (dziś z lekka skorodowane) i swój system stanowienia prawa. W takich warunkach paręset zdecydowanych osób może rzeczywiście doprowadzić do radykalnych zmian, jeśli tylko przestrzega określonych reguł gry. Tak właśnie uczyniły sufrażystki. Nawet tak żywiołowe działaczki jak Emmeline Pankhurst i jej córki, walczące nie tylko o prawa wyborcze, ale i o szersze reformy społeczne, wybrały tradycyjną drogę, gdy na własnej skórze przekonały się, że działania wykraczające poza przyjęte reguły przynoszą więcej szkody niż pożytku. Zaprzestały więc burzliwych demonstracji, zorganizowały się w grupę nacisku, wpływając na stanowisko Labour Party w kwestii praw wyborczych dla kobiet, i w roku 1914 zyskały poparcie większości posłów. Pozostawało jeszcze przekonać przywódców i aparat partyjny. To także się udało i w roku 1918 przyznano prawa wyborcze kobietom, które ukończyły trzydziesty rok życia. Dziesięć lat później, gdy przekonano się, że wyborczynie nie różnią się od wyborców, że nie istnieje żaden „kobięcy spisek”, granicę wieku obniżono do dwudziestu jeden lat.

W Ameryce sprawy przybrały inny obrót, wywołując znacznie więcej emocji niż gdzie indziej, nie dlatego, że kobiety (oczywiście zdaniem mężczyzn) kierują się emocjami, lecz ponieważ takie były uwarunkowania, a sprawa wymagała zaangażowania milionów ludzi.

Amerykanie spisali sobie konstytucję wkrótce po ogłoszeniu niepodległości. Pisana konstytucja ma to do siebie, że jest szalenie nieelastyczna. Te same zabezpieczenia, które w zamyśle mają strzec ustawy zasadniczej przed manipulacjami, stanowią przeszkodę, gdy idzie o działania pożyteczne i w dobrej wierze. Z tego powodu amerykańskie sufrażystki stanęły przed znacznie trudniejszym zadaniem niż ich koleżanki w Europie – musiały doprowadzić do uchwalenia odpowiedniej poprawki do konstytucji, bo innej drogi nie było. Procedura z tym związana była i jest wielce skomplikowana. Poprawka przechodzi, gdy ratyfikuje ją trzy czwarte stanów. Należało więc najpierw zapewnić sobie poparcie w poszczególnych stanach i taką strategię przyjęły amerykańskie sufrażystki – rozpoczęły działania na szczeblu lokalnym. W obrębie „terytoriów”<sup>[\*4]</sup> sprawa była stosunkowo łatwa – wystarczała ustawa



wydana przez miejscowe władze. Trudniej było w stanach (a tych po wojnie secesyjnej było trzy razy więcej niż terytoriów), bo w każdym należało doprowadzić do uchwalenia stosownej noweli konstytucyjnej, co wymagało nie tylko odpowiedniej większości w dwuizbowym parlamencie (kongresie), ale także ogólnostanowego referendum, o którego wynikach decydowała tzw. konstytucyjna, czyli kwalifikowana większość. Przy takich uwarunkowaniach sufrażystki musiały przekonać do swojej sprawy nie paruset parlamentarzystów jak w Wielkiej Brytanii, lecz miliony wyborców, a to było naprawdę trudne. Nie mogły liczyć na poparcie liderów partyjnych, bo ci nie widzieli żadnego interesu w przyznaniu kobietom praw wyborczych, z kolei bez poparcia liderów nie mogły liczyć na pomoc aparatu partyjnego. W tej sytuacji pozostawało tylko jedno – tworzenie odpowiedniej atmosfery społecznej, a atmosfera to emocje. Gdy mamy do czynienia z systemem, w którym religia odgrywa znaczącą rolę, gdy – jak powiada jeden ze współczesnych myślicieli amerykańskich – „wiara jest sprawą serca, a nie rozumu... wtedy rozum jawi się jako jałowy, a nawet niebezpieczny”[10]. Wiktoriańska Ameryka kierowała się bardziej uczuciami niżli kategoriami intelektualnymi, tamtejsze sufrażystki odwoływały się więc nie do rozumu i sprawiedliwości, lecz do uczuć.

## **PRAWDZIWYCH PRZYJACIÓŁ...**

Czego jak czego, ale sentymentu do kobiet Amerykanom nie brakowało. Więcej nawet – odnosili się do nich z wręcz przesadną galanterią[\*5]. Przy takim nastawieniu sufrażystki powinny mieć ułatwione zadanie. I rzeczywiście tak się na początku wydawało. Postulat przyznania kobietom prawa głosu wysunięto oficjalnie na konwencji w Seneca Falls, w stanie Nowy Jork, w roku 1848 i już dwadzieścia jeden lat później, gdy National Woman Suffrage Association (Krajowe Stowarzyszenie na Rzecz Praw Wyborczych Kobiet) i American Woman Suffrage Association (Amerykańskie Stowarzyszenie na rzecz Praw Wyborczych Kobiet) ledwie raczkowały, kobietom przyznano prawa wyborcze w Wyoming – wtedy jeszcze terytorium w samym sercu tzw. Dzikiego Zachodu.

Sukces spektakularny i – dla współczesnych – niewytłumaczalny. Ówczesne Wyoming było symbolem bezprawia, najbardziej bandyckim krajem na całym

Zachodzie. Słyszano z opryszków, występku, z miast, w których rządził wszechobecny colt, i z kolei żelaznej, która w 1867 dotarła do Cheyenne, a dwa lata później do Laramie, gdzie też działały się niestworzone rzeczy. W Wyoming mieszkało sześciokrotnie więcej mężczyzn niż kobiet, a jednak właśnie tam w 1869 roku nie tylko przyznano prawa wyborcze wszystkim kobietom, które ukończyły dwudziesty pierwszy rok życia, ale także dano im prawo zasiadania w sądach w charakterze przysięgłych, a mężatkom – prawo samodzielnego posiadania majątku. Co więcej, nauczycielkom zagwarantowano taką samą płacę jak nauczycielom.

Wiele mówiło się (i mówi) o egalitaryzmie amerykańskiego pogranicza, to jednak nie tłumaczy fenomenu Wyoming. Tajemnica zasadza się chyba na czymś innym. Stawiając na kobiety – symbol moralności i cnót obywatelskich – praworządni obywatele Wyoming chcieli pokazać światu, że ich kraj nie jest taki zły, jak się powszechnie uważa. Manewr był dość ryzykowny, ale udał się. Dwanaście lat później prezes tamtejszego sądu najwyższego Hoyt stwierdził: „Przy wszystkich moich uprzedzeniach wobec polityki czuję się w obowiązku stwierdzić, że kobiety zasiadające w ławach przysięgłych spełniły swój obowiązek z godnością, honorem, znajomością rzeczy i mądrością, zyskując uznanie wszystkich uczciwych obywateli Wyoming...

W dwa dni po otwarciu sesji wielkiej ławy przysięgłych[\*6] wszyscy właściciele podejrzanych spelunek z tańcami, hazardziści i damy podejrzanej konduity wynieśli się tchórzliwie z miasta, lękając się, że nasze przysięgłe wytoczą przeciwko nim akty oskarżenia. I chcę dodać, że nigdy w czasie dwudziestu pięciu lat pracy w naszych sądach nie miałem do czynienia z tak oddaną, inteligentną, tak sprawiedliwą i tak ładną ławą przysięgłych”[12]. A tymczasem w pierwszych wyborach z udziałem kobiet zanotowano w Wyoming znacznie... niższą frekwencję niż w poprzednich. Osiłkowie i chuligani zostali w domach, aby swoją obecnością nie obrażać dam![13] W trzy miesiące po Wyoming, na początku roku 1870, również Utah – ówczesnie też terytorium – przyznało kobietom pełnię praw wyborczych, co wcale nie uradowało sufrażystek. Przeciwnie, wprawiło je w konsternację. Rzecz w tym, że Utah to kraj mormonów, a mormoni praktykowali poligamię. Założyciel Kościoła świętych dnia ostatniego Joseph Smith z pewnością nie był purytanem, ale pod rządami jego następcy Brigham Younga [który wyprowadził mormonów z matecznika z Missouri i powiódł na Zachód, do Utah – *przyp. tłum.*] mormońska poligamia, jak i wszystko inne, nabrała

bardzo surowej barwy. Nakazem była pobożność, wstrzemięźliwość, skromność, wierność i asceza[\*7]. Zakazy obejmowały antykoncepcję, sztuczne poronienia oraz stosunki seksualne w czasie ciąży, menstruacji i laktacji – wszystko żywcem przeniesione ze Starego Testamentu. Od kobiet wymagano absolutnego posłuszeństwa (co jest charakterystyczne dla wszystkich społeczności poligamicznych). W rzeczy samej mormoni wiedli życie niezwykle cnotliwe pod każdym względem, ale świat widział tylko wielożeństwo i miał ich za najgorszych grzeszników. Można więc zrozumieć konsternację sufrażystek, że prawa wyborcze nadano jawno grzesznicom, najbardziej niemoralnemu stadku kobiet w całej Ameryce.

A tymczasem sprawa, podobnie jak w Wyoming, zrodziła się z męskiej przebiegłości. Mógłby ktoś powiedzieć, że mormoni właściwie niczego nie ryzykowali, trzymali przecież swoje kobiety mocno w garści. Chodziło jednak o władzę i wpływy w Utah. Mormoni lękali się, że z napływem nowych osadników stracą większość, a co za tym idzie – władzę, dali więc prawa wyborcze swoim kobietom, aby utrzymać jedno i drugie. Wprawdzie wedle statystyk tylko 25 procent mormonów uprawiało wielożeństwo, ale za to na sporą skalę.

Pięć żon nie uchodziło wcale za wybujałą liczbę, a Brigham Young zawarł aż 27 związków małżeńskich.

Ale eksperyment wyborczy w Utah trwał ledwie siedemnaście lat.

W roku 1887 Kongres federalny przegłosował ustawę Edmunda-Tuckera, obliczoną na złamanie mormońskiej teokracji w Utah. Za jednym zamachem mormonom odebrano władzę, a kobietom prawo głosu. Nie na długo, bo gdy w roku 1896 Utah stał się pełnoprawnym stanem, w stanowej konstytucji znalazł się zapis o prawach wyborczych kobiet. Poligamia została zakazana, teokratyczne rządy też, choć 90 procent ludności stanu deklarowało przynależność do Kościoła świętych dnia ostatniego[15].

Prezent od mormonów wprowadził sufrażystki w zakłopotanie, ale to jeszcze nic w porównaniu ze spektakularnymi akcjami innych działaczy społecznych, mieniących się sojusznikami bojowniczek o prawa kobiet. Był wśród nich George Francis Train, który objechał świat w osiemdziesiąt dni (za co Jules Verne i Mike Todd[\*8] powinni być mu wdzięczni, bo dał im pomysł), były osławione siostry Victoria i Tennessee Claflin – socjalistki i niezłomne propagatorki wolnej miłości, krótkich spódnic, okultyzmu (nie mówiąc już o medycynie niekonwencjonalnej, podatkach od nadmiernych

dochodów, wegetarianizmie i światowym superrządzie) i – rzecz jasna – praw wyborczych dla kobiet. Siostry rzeczywiście miały fantazję, tupet i szczęście. Przy finansowej pomocy samego Corneliusa Vanderbilta zostały pierwszymi w świecie maklerkami giełdowymi, a gdy interes zaczął się kruszyć, założyły tygodnik polityczny i jako pierwsze w Ameryce wydrukowały Manifest komunistyczny. Victoria została nawet kandydatką na wiceprezydenta u boku Fredericka Douglasa – nominata efemerycznej partii Równe Prawa, pierwszego Murzyna ubiegającego się o najwyższy urząd w Ameryce.

Siostry Claflin uważały się za lepsze od mężczyzn na każdym polu, a Victoria – osóбка niezwykle czarująca, piękna i wyjątkowo bezczelna – udowodniła, że rzeczywiście tak jest, a na pewno w jednej dziedzinie – reklamie. Działała oczywiście w Krajowym Stowarzyszeniu na Rzecz Praw Wyborczych Kobiet przy pełnym poparciu Elizabeth Cady Stanton, Susan B. Anthony i całej reszty szacownych dam, choć jej hasła niekoniecznie musiały im być w smak.

Victoria bowiem walczyła nie tylko o prawa wyborcze, ale propagowała wolną miłość i w ogóle rzucała wyzwanie wszystkiemu, co nazywa się amerykańskim stylem życia, nie mówiąc o tym, że szydziła z tradycyjnie pojętej kobiecej moralności. Gwiazda Victorii na scenie publicznej błyszczała niedługo, wszystkiego pięć lat, ale to wystarczyło, żeby narobić wiele szkód sprawie przez wielkie S. Przegrana w Michigan w roku 1875, kiedy Kongres stanowy opowiedział się przeciwko prawom wyborczym dla kobiet, to bez wątpienia jej zasługa.

Victoria wmieszała się wtedy w głośny proces Beecher przeciwko Tilton, który przez szesnaście tygodni nie schodził z czołówek gazet w całym kraju. Wszyscy zaczytywali się skandalizującymi szczegółami afery łóżkowo-towarzyskiej, a skutek był taki, że ruch sufrażystek stracił sporo poparcia. No cóż, mając takich sojuszników jak Victoria Claflin, nie trzeba nawet wrogów, żeby ponieść klęskę.

Ale wrogów też nie brakowało.

## **MORALNOŚĆ NA ŚCIEŻCE WOJENNEJ**

Stosunkowo mniej było ich w nowo powstałych stanach. Tam postęp w zakresie stanowienia praw na rzecz kobiet, choć powolny, był widoczny. Podobnie jak

Wyoming, także inne terytoria i stany chciały ściągnąć jak najwięcej osadników, najchętniej całe rodziny, starały się więc pokazać w jak najlepszym świetle. Służyło temu między innymi nadawanie kobietom praw wyborczych. Do roku 1900 wprowadzono je w czterech stanach, a w kolejce czekało już kilka dalszych[\*9].

Taka sytuacja mile łechtała próżność sufrażystek i przydawała im pewności siebie. Na przełomie wieku ruch sufrażystek uległ pewnemu przeobrażeniu. Dawne działaczki spod znaku kobiecej moralności zastąpiły nowe, bardziej stanowcze i bezkompromisowe, co podobało się kobietom, ale budziło niechęć mężczyzn, a bez ich przyzwolenia nie mogło być mowy o załatwieniu sprawy do końca.

Sufrażystki od samego początku działały na szeroką skalę i na wielu polach. Domagały się nie tylko praw wyborczych, ale także dostępu do szkolnictwa wyższego, możliwości podejmowania pracy w wolnych zawodach, praw majątkowych i gwarancji praw rodzicielskich w razie rozwodu. A na jeszcze szerszej scenie angażowały się w kampanie na rzecz pokoju, opowiadały się za zniesieniem niewolnictwa i domagały systemowych rozwiązań, jeśli idzie o opiekę społeczną, nie mówiąc już o walce z alkoholizmem.

Na tym ostatnim polu Amerykanki działały znacznie energiczniej i z większym poświęceniem niż mieszkanki Europy. Jedne robiły to pod wpływem Kościoła, inne kierowały się bardzo osobistymi motywami. Faktem jest, że Amerykanie nie wylewali za kołnierz, pili dużo – piwo (najczęściej własnego warzenia), whisky, rum, żeby nie wspomnieć o zwykłym bimbrze. W latach bezpośrednio poprzedzających wojnę o niepodległość statystyczny kolonista wypijał blisko cztery galony (ok. 15 litrów) rumu rocznie[16]. Pół biedy, kiedy raczono się tym, co każdy napędził na własne potrzeby. Z czasem jednak coraz chętniej sięgano po gorzelniane trunki, a to kosztowało, obciążając domowe finanse. Ale kobiety miały jeszcze inny powód, by ruszyć ławą na front walki z pijaństwem. Wiadomo, jak podchodziły do seksu – jak do przykrego obowiązku, bo tak je wychowano. A gdy pijany mąż zabierał się do egzekwowania małżeńskich praw, seks budził jeszcze większy wstręt, zwłaszcza że ofiara miała świadomość, że gdyby nie wydał wszystkich pieniędzy na gorzałkę, poszedłby do najbliższego burdelu.

Nie było wątpliwości, przynajmniej nie miała ich bardziej świadoma część społeczeństwa amerykańskiego, że w tym względzie sufrażystki mają rację. Alkoholizm był problemem i coś w tej sprawie warto by zrobić. Dla wielu

dopuszczenie kobiet do urn wyborczych wydawało się krokiem we właściwym kierunku.

Tymczasem w latach siedemdziesiątych, kiedy ruch sufrażystek nie otrząsnął się jeszcze ze skutków katastrofy spowodowanej przez osławione siostry Claflin, powołano do życia Women's Christian Temperance Union – Unię Chrześcijańek na Rzecz Wstrzemięźliwości.

Nazwa nie oddawała istoty rzeczy, bo unia nakreśliła sobie radykalniejszy cel – walczyła o prohibicję, a przy okazji o powszechny zakaz palenia tytoniu i wyjęcie spod prawa prostytucji. Pod przywództwem energicznej Frances Willard ruszyła na wielki bój o nowy klimat moralny w kraju. Słusznie rozumując, że bez kobiecego elektoratu wojny nie wygra, WCTU stanęła również do walki o prawa wyborcze dla kobiet.

Działała szerokim frontem, wyznaczając zadania wedle sił i możliwości. Dama, która wstydziła się stanąć w propagandowym kiosku na lokalnym festynie, mogła udzielać się w lokalnym przedszkolu pod egidą WCTU albo splatać wianuszki ze świeżych kwiatów z cytatami z Biblii w prezencie dla więźniów miejscowego aresztu. Każdej dawano jakieś zajęcie i poczucie uczestnictwa, co okazało się szalenie skuteczne. Szeregi WCTU rosły, a tym samym rosła armia bojowniczek o prawa wyborcze.

Gdy w roku 1898 zabrakło Frances Willard i organizacja straciła impet, ponownie na pierwszą linię frontu wysunęły się sufrażystki i znów w nowym wcieleniu. U steru stała jeszcze niezłomna i pochłonięta jedną tylko ideą Susan B. Anthony, z wierną i coraz bardziej wiekową gwardią, ale ruch zaczął się zmieniać. Przychodziły nowe działaczki, bogatsze o doświadczenie WCTU. Głosiły, że trzeba iść szerokim frontem, miały ogromne poczucie misji i jeszcze większą wiarę w siebie. Co nie zgadzało się z ich poczuciem moralności, musiało być z gruntu złe. Nie zostawiały żadnego marginesu na zwykłe ludzkie słabości. A to odstraszało wielu potencjalnych sojuszników.

Nawet ci mężczyźni, którzy nie mieli nic przeciwko nadaniu kobietom praw obywatelskich, wzdragali się na myśl o lustracji obyczajowej i cenzurze nawyków, co zapowiadały panie spod znaku przywilejów wyborczych dla kobiet i wstrzemięźliwości dla wszystkich. Lobby alkoholowe też biło na alarm, że kobiety przy urnach to zapowiedź prohibicji[\*10], I rzeczywiście. W stanie Waszyngton panie



z ruchu antyalkoholowego taktycznie zamilkły, gdy w roku 1910 decydowała się sprawa praw wyborczych dla kobiet. Prawa uchwalono, a cztery lata później uchwalono również ustawę o prohibicji. W latach 1914–1917 prohibicję ogłoszono w siedmiu zachodnich stanach USA, w których wcześniej kobiety zdobyły prawo głosu[17].

A tymczasem sufrażystki zraziły sobie innego potencjalnego sojusznika, liberałów. Poszło o politykę imigracyjną, choć tło sprawy jest bardziej skomplikowane. Zaczniemy od tego, że we fronce zdecydowanych przeciwników politycznej emancypacji kobiet obok politycznych strażników status quo i alkoholowego lobby (oraz bigotów, co wierzyli, że „św. Piotr obrazi się”[18], gdy zobaczy kobietę przy urnie), stanęli również świeży imigranci z Europy, wychowani na katolickiej doktrynie o miejscu i roli kobiet w życiu. Tak to się ukształtowało w latach siedemdziesiątych XIX wieku. Na początku XX stulecia, gdy do USA dotarła wielka fala imigracji, powstał jeszcze inny front, front obrony przed obcymi – Włochami, Rosjanami, Polakami, Węgrami, Grekami i Azjatami. Jak kiedyś, społeczeństwo jęło zwierać szeregi w obronie amerykańskiej tożsamości kulturowej. Jej depozytariuszami mienili się WASP (White Anglo-Saxon Protestants) – biali, zasiedziali w Ameryce od kilku pokoleń protestanci, legitymujący się anglosaksońskim pochodzeniem. Z tej grupy wywodziła się najaktywniejsza i najliczniejsza część amerykańskich sufrażystek i ona też poczuła się szczególnie powołana do stawiania czoła rzekomemu zagrożeniu. Ilustruje to manifest Idy Husted Harper z roku 1904. Sumując z pewną ironią udział w życiu politycznym „Murzynów, Indian oraz imigrantów, którzy zyskali prawa obywatelskie w ostatnich 35 latach”, autorka apeluje do czytelników, aby zastanowili się, czy „przyznanie praw wyborczych kobietom nie stanowiłoby stosownej przeciwwagi wobec politycznego uwłaszczania rozmaitych mniejszości. Niech ci, którzy lękają się głosów obcych i kolorowych wyborców, pamiętają, że liczba rdzennych Amerykanek przewyższa i liczbę przybyszów obu płci, i liczbę kolorowych”[19]. Głosy białych mieszkank miałyby – zdaniem autorki – zagwarantować „czystość Ameryki”[\*11].

Na zwycięstwo sufrażystek w Ameryce, bo w końcu wygrały, złożyło się kilka czynników. Po pierwsze, w roku 1915 bojowniczk o prawa kobiet zyskały mocne wsparcie związków zawodowych i reformatorów społecznych. Ważniejszy wszakże wydaje się fakt, że w okresie I wojny światowej zasady moralne, jakie głosiły,

niespodziewanie znalazły szeroki oddźwięk społeczny. W warunkach wojennych hasła wstrzeźliwości i ograniczenia imigracji nabrały raptem nowego, zgoła patriotycznego sensu. Tak przynajmniej postrzegano je wtedy. Oba postulaty – zrzuceniem złośliwego losu – wprowadzono w życie przed ostatecznym dopuszczeniem kobiet do urn wyborczych. W 1917 roku uchwalono ustawę o ograniczeniu imigracji, dwa lata później ratyfikowano XVIII poprawkę do konstytucji wprowadzającą powszechną prohibicję, a dopiero w sierpniu 1920 roku, 72 lata po apelu z Seneca Falls, na mocy XIX poprawki, dano kobietom prawo głosu.

## POKŁOSIE

Wedle stanu na rok 1920 z praw wyborczych korzystały mieszkanki Nowej Zelandii, Australii, Wielkiej Brytanii (w ograniczonym zakresie) oraz Stanów Zjednoczonych. Na fali radykalnych przemian politycznych prawa takie otrzymały także Finki (w 1906) i Norweżki (1907), a tuż po wojnie do grona krajów, które przyznały kobietom prawo głosu, dołączyły: Austria, Kanada, Czechosłowacja, Niemcy, Holandia, Polska i Rosja. Postęp nie ominął nawet dyktatorskiej wtedy Turcji i rzecz nie w prawie głosu, które w ówczesnych uwarunkowaniach nie miało tam większego znaczenia, lecz w reformach społecznych. W 1926 roku zniesiono w Turcji wiele tradycyjnych przywilejów przysługujących mężczyznom, zabroniono poligamii, a kobietom nakazano zdjąć czarczafy i odsłonić twarze.

Po II wojnie światowej prawo głosu otrzymały mieszkanki Albanii, Francji, Węgier, Włoch, Japonii i Jugosławii. W 1948 roku powszechne prawo wyborcze wprowadzono w utworzonym właśnie państwie Izrael, a wkrótce potem w licznych dawnych koloniach, rozpoczynających samodzielny byt państwowy. W latach 1949–1956 prawo głosu zyskały obywatelki Indii, Indonezji, Pakistanu (nie na stałe jednak), Ghany, Czadu, Dahomeju (obecnie – Benin), Mali oraz Senegalu.

Dziś w ponad dwóch trzecich państw na całym świecie kobiety mają prawo uczestnictwa w wyborach ogólnokrajowych. Ale nadal pokutuje stereotyp dzielnej kobiety, która niestrudzenie walczy o równość i sprawiedliwość, staje w szeregach rozmaitych rewolucji i wojen o niepodległość i w nagrodę za swoje poświęcenie dostaje wreszcie to, co jej należne. Jak wiele stereotypów dotyczących stosunków

męsko-damskich, tak i ten mija się z historyczną prawdą, ale trwa, bo jest wygodny dla wszystkich zainteresowanych i nie szarga żadnych świętości.

To prawda, że przynajmniej część sufrażystek walczyła o równość i sprawiedliwość, ale też niejedna głośno domagała się „równych praw”, widząc siebie w roli tej „równiejszej” od innych. Kobiety zyskały prawa polityczne przede wszystkim dlatego, że wojna obnażyła absurdalność odmawiania im tego. W wielu państwach przyznano im te prawa, ponieważ – paradoksalnie – leżało to w interesie zachowawczych sił politycznych. W krajach, które dopiero zyskały niezawisłość, działało także prawo mimikry. Dawne kolonie wzorowały się na dawnych metropoliach, a polityczne uwłaszczenie kobiet stało się swego rodzaju miarą nowoczesnej państwowości.

No cóż, nie każda rewolucja jest dziełem rewolucjonistów, ale tak czy owak liczy się efekt, a ten – przynajmniej wtedy – jawił się jako epokowy. Nadanie praw wyborczych kobietom uznano za symboliczne zamknięcie długiej, trwającej pięć tysięcy lat, ery męskiej dominacji.

## **OKRES PRZEJŚCIOWY**

Musiało upłynąć blisko czterdzieści lat, nim Brytyjki i Amerykanki zorientowały się, że tak naprawdę nic się nie zmieniło, że symboliczne zamknięcie epoki było tylko symbolem. Potrzebna była nowa rewolucja. I ta nastąpi, ale dopiero w latach sześćdziesiątych.

A tymczasem wydarzenia toczyły się lawinowo: strajk powszechny w Wielkiej Brytanii w roku 1926, krach na Wall Street w 1929, wielki kryzys lat trzydziestych, II wojna światowa, po której Europa długo dochodziła do siebie, w różnym zresztą tempie – przegrani szybciej, zwycięzcy wolniej. Jednocześnie dokonywały się kolosalne przemiany społeczne, w tym także, a może przede wszystkim, przemiany dotyczące sytuacji kobiet. G. K. Chesterton zauważał co prawda szyderczo, że „dwadzieścia milionów młodych kobiet obwieściło dumnie, że ma dość dyktatu, i zaraz potem najęło się do stenografowania”, ale faktem jest, że przed pokoleniem lat dwudziestych otwierała się autentyczna perspektywa niezależności. Wystarczyło tylko chcieć.

Problem w tym, że nikt kobiet do tego nie zachęcał, a wszystko, co zaczęto im podtykać po wojnie – kosmetyki, powiewne suknie, tania biżuteria, płyty gramofonowe, wakacje nad morzem, dancingi, restauracje, kawiarnie, herbaciarnie, a zwłaszcza kino – obliczone było na jedno: uszczknąć jak najwięcej z zarobków kobiet. Jak najwięcej i jak najszybciej, bo wiadomo, że kobiety pracują zarobkowo stosunkowo krótko, kilka lat między szkołą a zamążpójściem. Prawo głosu i kilkuletnia pensja to za mało, aby przełamać nawyki utrwalane przez ponad pięć tysięcy lat.

W pierwszym szeregu utrwalaczy systemu, w którym kobieta stanowi własność mężczyzny, stanęło Hollywood. Amerykańska fabryka snów od samego początku, od lat dwudziestych, aż po kres swego powodzenia w latach pięćdziesiątych, gdy musiała ustąpić miejsca telewizji, konsekwentnie, świadomie i całkiem skutecznie wpajała widzom wiarę, że małżeństwo to naturalny cel i romantyczna kulminacja życia każdej kobiety. Wielu było mistrzów marketingu, ale z Hollywood nie równa się żaden, jeśli idzie o sprzedaż wiążaną. Oczarowanie, romans i małżeństwo – trzy w jednym opakowaniu, hollywoodzka oferta nie do odrzucenia. Choć od czasu, gdy „nowoczesna kobieta” odrzuciła wiktoriańskie idee i obyczaje, minęło wiele lat, Hollywood nader skutecznie przekonywał ją, że jej przeznaczeniem jest dom. Nie przymuszał, nie twierdził, że nie ma innego wyjścia, ale roztaczał przed nią wizję wielkiej miłości, czemu ona poddawała się z całą ochotą. Chwył nie był nowy, sięgał korzeniami okresu trubadurów, jeśli nie głębiej, ale został twórczo przysposobiony do nowych czasów. Podczas gdy literatura, nie wyłączając mdławych romansideł z ubiegłego stulecia, przedstawiała miłość jako wyjątkową reakcję chemiczną zachodzącą między dwiema osobami, Hollywood objawił ją jako prawo przysługujące wszystkim przyzwoitym ludziom, opatrzone dożywotnią gwarancją w postaci ślubu.

Hollywoodzka indoktrynacja objęła również mężczyzn. Betty Gracie i Alice Faye – gwiazdy Hollywoodu – uczyniły więcej dla podniesienia morale amerykańskich żołnierzy walczących na frontach II wojny światowej niż najdzielniejszy generał czy mąż stanu z nieodłącznym cygarem w zębach. Hollywood nucił marsze, mamił wizerunkiem dziewczyny z sąsiedztwa i przekonywał chłopców w mundurach oraz całą resztę społeczeństwa, że gdy tylko wojna się skończy, wszystko będzie jak dawniej, a nawet lepiej.

Stało się inaczej, przede wszystkim za sprawą 12 milionów młodych ludzi w mundurach, którzy po wojnie ściągnęli do domu. Wracali dojrzałsi, odmienieni, do

kraju, którego wojna nie dotknęła w takim sensie jak Europę. Po sześciu latach walk stanowili jakby inne pokolenie, różne od generacji swoich rówieśniczek, z którymi przyszło im się żenić, co oczywiście niosło zapowiedź konfliktu. I konflikt rychło dał o sobie znać. Powojenne małżeństwa okazały się wyjątkowo nieudane. Parom trudno było znaleźć wspólny język, zwłaszcza w pierwszych latach po ślubie, które z samej natury nie są łatwe. W takiej sytuacji należałoby pomyśleć o rozwodzie, ale przełamanie starych nawyków okazało się zadaniem ponad siły, zwłaszcza że wpisując się w starą wiktoriańską tradycję, Hollywood głosił chwałę małżeństwa. Wedle hollywoodzkiej doktryny nic – ani gderliwa żona, ani krnąbrne dzieci, ani nuda i finansowe stresy – nie mogło umniejszyć glorii stanu małżeńskiego. Skutek był taki, że znakomita większość niedobrych par z klas średnich wolała męczyć się ze sobą, niż wystąpić o rozwód. I trwały tak, dla dobra dzieci – jak się usprawiedliwiano, a w istocie z lęku przed skandalem, bo w takich kategoriach traktowano rozwiązanie nieudanego związku.

A dzieci było dużo. Powojenny baby boom – wyż demograficzny – trwał ponad dziesięć lat, umacniając powszechne przekonanie, że dobrze jest, jak jest. Ale na fasadzie szczęścia zaczęły się pokazywać pierwsze rysy. Wedle ustaleń Kinseya z lat 1948 i 1953 20-70 procent amerykańskich mężczyzn korzystało z usług prostytutek, a 40 procent mężów zwyczajnie zdradzało żony. 37 procent mężczyzn i 19 procent kobiet przyznawało się do co najmniej jednego kontaktu homoseksualnego. Co szósty robotnik rolny ocierał się o zoofilię. W porównaniu z minionymi czasami dane te wyglądały nieźle, ale pokoleniem wychowanym na hollywoodzkim ideale miłości wstrząsnęły do głębi.

Zaczął się run na znawców tajników ludzkiej psychiki. W dziesięcioleciu 1946–1956 liczba członków Amerykańskiego Towarzystwa Psychologicznego wzrosła o 241 procent. Nastąpiła moda na psychoanalizę, obnoszono się z kompleksami i mówiono o Freudzie i jego teoriach, sformułowanych na przełomie wieku, a że mało kto je rozumiał, więc większość popadała w jeszcze głębsze nerwice. Wedle Freuda kobieta ma więcej cech masochistycznych i narcystycznych niż mężczyzna, a poza tym jest z natury zachowawcza, mało elastyczna, po trzydziestce w ogóle nie potrafi się zmienić, nie mówiąc już o tym, że nie dorasta do wysokiego morale mężczyzny, a wszystko dlatego, że nie ma penisa. Brak tegoż, odkryty w niemowlęctwie, wstrząsa kobietą do głębi i waży na całym jej życiu[\*12]. Nieważne, czy Freud miał rację, ważniejsze były

skutki. Moda na psychoanalizę sprawiła, że niezadowoleni z życia zagłębiali się we własne problemy, zamiast szukać modus Vivendi z otoczeniem. Głębsza znajomość siebie nie przekładała się na większą tolerancję wobec innych.

Tamy puściły w połowie lat sześćdziesiątych, kiedy w całej pełni objawił się proces rozpoczęty dziesięć lat wcześniej w Wielkiej Brytanii, gdy po okresie odbudowy zaprzestano wreszcie zaciskania pasa.

Pokolenie wychowane w powojennych szarościach zaczęło odkrywać nowy kolorowy świat i czerpać zeń pełnymi garściami. Kult młodości, który się wtedy rozwinął, stanowił ledwie cząstkę niezwykle złożonej rewolucji społecznej, ale umacniał się, do czego przyczyniły się także niewyżyte tęsknoty i zwykła zazdrość starszego pokolenia, bolejącego nad zmarnowaną przez wojnę młodością.

Pokolenie powojennego wyżu demograficznego dało znać o sobie na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Młodzież po obu stronach Atlantyku buntowała się przeciwko politycznej, społecznej i seksualnej ortodoksji rodziców. Nie ma znaczenia, że buntownicy wpadali we własne sidła – łamiąc zastałe konwencje, rychło stworzyli nowe (wliczając w to „kultowy” bałagan fizyczny i mentalny) – liczy się skutek. A skutek był taki, że starsi, chcąc nie chcąc, też zaczęli się zastanawiać nad własnymi normami postępowania. W roku 1965 co czwarte amerykańskie małżeństwo kończyło się rozwodem, w 1977 – już co drugie.

W przeszłości wiele niedobrych par trwało w małżeństwie, bo kobieta kurczowo trzymała się nawet najbardziej nieudanego związku. W połowie lat siedemdziesiątych ów aksjomat przestał funkcjonować. Ruch feministek nabrał nowych rumieńców wraz z powstaniem w 1966 roku National Organization of Women – Krajowej Organizacji Kobiet. Przyczyniła się do tego rywalizacja z innymi wielkimi ruchami społecznymi: ruchem na rzecz praw obywatelskich i ruchem przeciwników wojny w Wietnamie. W swoim nowym wcieleniu ruch feministek różnił się od pierwowzoru sufrażystek, a do przemiany doszło na skutek pewnego odkrycia z zakresu medycyny właśnie w latach sześćdziesiątych. To, czego nie załatwiło ani uwłaszczenie polityczne, ani szansa na rozwój zawodowy, załatwiła the Pili – pigułka antykoncepcyjna.

## **ANTYKONCEPCJA**



Od niepamiętnych czasów kobiety łykały rozmaite mikstury w nadziei, że nie zajądą ciąży. I wreszcie pojawiała się the Pili – doustna pigułka rzeczywiście skuteczna, a co ważniejsze, niebywale wygodna. Można jej było użyć w dowolnym czasie. I właśnie dlatego, że akt antykoncepcji nabrał jakby autonomicznego charakteru, nie obciążał aktu płciowego, że stał się niekłopotliwy, dawne wiktoriańskie zastrzeżenia natury moralnej, politycznej, społecznej i estetycznej straciły na znaczeniu.

Kwestia kontroli urodzin nie pojawiła się nagle. Kościół i państwo od zawsze brały ten problem pod uwagę, ale dopiero w XIX wieku stanął z całą ostrością na forum publicznym. Stało się tak za sprawą „najbardziej obrażanego człowieka swojej epoki”, ekonomisty Thomasa Roberta Malthusa. W roku 1798 opublikował on *Essay on the Principle of Population as It Affects the Future of Improvement of Society* [polski przekład ukazał się w roku 1925 pod tytułem *Prawo ludności – przyp. tłum.*], będący w zamierzeniu polemiką z optymistycznymi tezami Rousseau, a zwłaszcza Williama Godwina[\*13] (żonatego z Mary Wollstonecraft – „pierwszą nowoczesną feministką”), co do rozwoju społecznego. Adwersarze Malthusa wywodzili, że wzrost ludności i uspołeczniona własność ziemi otwierają drogę do Utopii, do powszechnego dobrobytu w warunkach sprawiedliwości społecznej. Malthus twierdził, że naturalny przyrost ludności stale wyprzedza wzrost środków utrzymania, a przeto należy go ograniczyć, podejmując odpowiednie działania, a te z samej swojej istoty muszą być skierowane przeciwko najliczniejszej grupie społeczeństwa – biedocie.

Tezy Malthusa nie wywołałyby takiego echa, gdyby nie znamienny zbieg okoliczności. Otóż przeprowadzony w Wielkiej Brytanii w roku 1801 powszechny spis ludności wykazał, że liczba Brytyjczyków wzrosła ponad wszelkie przewidywania statystyków i polityków.

To, co do tej pory było przedmiotem akademickiej dyskusji, stawało się palącym problemem. W Europie uderzono na alarm, bo faktycznie produkcja żywności sięgała szczytu ówczesnych możliwości. W Ameryce nie widziano powodów do obaw i przynajmniej do końca stulecia nikt się Malthusem nie przejmował, bo – jak zauważał Thomas Jefferson – „w Europie, gdzie siły roboczej jest aż nadto, problem polega na jak najlepszym gospodarowaniu ziemią, my zaś ziemi mamy w bród, gorzej z siłami, więc nasz problem polega na jak najlepszym ich wykorzystaniu”[21].

Zdaniem europejskich specjalistów z ponurej wizji Malthusa płynęło kilka wniosków. Po pierwsze – ostrzegano – sprawa nie dotyczy wyłącznie biedoty. Jeśli

biedni nadal będą się rozmnażać w takim tempie, to w efekcie ucierpią również bogaci. Po wtóre, dopóki nie ograniczy się liczby najuboższych, nie ma mowy o poprawie warunków ich życia. Trzeba więc zrobić coś, aby zmniejszyć liczebność rodzin z biednych warstw społeczeństwa. Ale co? Malthus – pastor anglikański przez wiele lat, nim został wykładowcą historii współczesnej i ekonomii politycznej w college’u East India Company w Haileybury – był zdecydowanym przeciwnikiem antykoncepcji i gorącym wyznawcą tezy św. Augustyna, że seks w małżeństwie bez myśli o prokreacji to grzech, w czym zresztą nie był odosobniony.

Podobnie myślało wielu jego rodaków. W chrześcijańskich sumieniach nie było miejsca na zapobieganie ciąży.

Francuzom jednak udało się pogodzić ogień z wodą – chrześcijańskie sumienie z antykoncepcją, i to z takim skutkiem, że pod koniec XVIII wieku wbrew wszelkim rachunkom prawdopodobieństwa przyrost naturalny we Francji zaczął spadać. Demografowie wiążą to niebywałe jak na owe czasy zjawisko ze sporem, jaki rozgorzał na przełomie XVII i XVIII wieku wokół tez flamandzkiego teologa Corneliusa Jansena. Jansen głosił, że doktryna katolicka we współczesnym wydaniu w istocie przeczy naukom św. Augustyna. Jansenizm wywarł wielki wpływ na życie religijne i społeczne we Francji także dlatego, że wzbraniał swoim wyznawcom przystępowania do spowiedzi. Był to krok brzemienny w skutki, bo przeniósł niejako odpowiedzialność za dochowanie zasad chrześcijańskiej moralności w codziennym życiu z konfesjonału w sferę sumienia. Tyczyło to również seksu w małżeństwie. O tym, co moralne i prawe, mieli więc decydować małżonkowie, a nie kapłani[22]. Dzieciobójstwo i porzucanie niechcianych dzieci było częstą praktyką w XVIII wieku – w ten sposób regulowano nadmierny przyrost na poziomie rodzin. Ale pod koniec wieku niepokoje społeczne z jednej strony, z drugiej szesnaście nieurodzajnych lat (1773–1789) i związane z tym znaczne pogorszenie warunków życia, sprawiły, że w wielu rodzinach z najuboższych, ale i średnich klas, zaczęto stosować praktyki antykoncepcyjne, głównie *coitus interruptus*. Nie odwróciło to trendów demograficznych – liczba ludności w Europie wzrastała, ale stopa przyrostu we Francji w porównaniu z innymi krajami zdecydowanie spadła.

Wiek XIX do religijnych argumentów przeciwko antykoncepcji dodał kilka innych, choćby taki, że antykoncepcja per se jest paskudna, bo przeczy romantycznej wizji macierzyństwa. Niejedna z kolei dama odrzucała możliwość zabezpieczenia się przed

ciężą w obawie, że pijany mąż będzie tym bardziej domagał się łóżkowych serwitutów. Jediną formą antykoncepcji była dla nich abstynencja seksualna. W rzeczy samej pierwsze głosicielki idei „świadomego macierzyństwa” żądały prawa do odmowy spełniania małżeńskich powinności. Antykoncepcyjnego frontu dopełniały z jednej strony przeciwniczki sufrażystek – zwolenniczki idei „odrębnych sfer”, swoistego apartheidu płci, propagatorki podziału ludzkich postaw i zachowań na „naturalne” i „nienaturalne”, z drugiej właśnie sufrażystki. Te pierwsze uważały antykoncepcję za działanie sztuczne, niezgodne z naturalnym porządkiem świata, te drugie, jako strażniczki moralności, nie mogły aprobować praktyk, które dawałyby pole do miłosnych namiętności obarczonych skazą niemoralności.

Do tej armii dołączał niemal cały świat medyczny – równie zachowawczy jak klasa, której służył. Swe poglądy wyraził w szacownym periodyku naukowym „Lancet”: „Mąż, który stosuje metody zwane eufemistycznie «kopulacją zapobiegawczą», sprowadza żonę do roli prostytutki”. Tezę filozoficzną uzupełniano ostrzeżeniem przed konsekwencjami natury medycznej: „zapobiegawcza kopulacja” prowadzi do rozmaitych schorzeń macicy, zwłaszcza gdy kończy się orgazmem[23].

Mimo bicia na alarm, bojów i potyczek coraz więcej było sypialni, w których stosowano rozmaite metody antykoncepcyjne. Nadal jednak na forum publicznym zachowywano ostrożność i manifestowano dystans do sprawy. Propagatorzy antykoncepcji dawali do zrozumienia, że adresowana jest ona do niższych warstw, bo tam rodzą się problemy, przed którymi ostrzegają demografowie. Ale w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku po metody antykoncepcji sięgnęła klasa średnia, broniąc w ten sposób swego stanu posiadania, nadal jednak, z fałszywą moralnością, potępiała ich szersze wprowadzenie. A tymczasem do szeregu propagatorów antykoncepcji dołączyli uczniowie Malthusa, łamiąc jeden z kanonów mistrza – twórca maltuzjanizmu był przecież przeciwnikiem antykoncepcji. Jego następcy nie widzieli jednak innego sposobu zaradzenia groźbie nadmiernego przyrostu naturalnego. Przy okazji maltuzjaniści zantagonizowali pierwsze pokolenie marksistów. Jedni i drudzy już dawno mieli ze sobą na pieńku. Marksiści odrzucali tezę Malthusa, że klasa robotnicza sama jest winna swojej nędzy, bo nie panuje nad własnym życiem seksualnym i płodzi zbyt dużo dzieci.

Równie niechętnie odnieśli się do tez neomaltuzjanistów, że najskuteczniejszym instrumentem walki z nędzą i niskimi płacami jest ograniczenie przyrostu ludności

przez antykoncepcję. Marksziści mieli na to inną receptę – obalenie kapitalizmu.

Z humanitarnego punktu widzenia było to stanowisko fatalne.

Spośród wszystkich kobiet ówczesnej Europy edukacja i pomoc w zakresie antykoncepcji przydałyby się właśnie robotnicom. To one harowały najciężej w okrutnych warunkach dziewiętnastowiecznych fabryk. To one dźwigały cały ciężar utrzymania rodziny. Żyły w piwnicznej izbie bez wody i kuchni – typowej robotniczej norze, jak typowe były zgiełkliwe warsztaty, tkalnie i farbiarnie, w których spędzały dni od świtu do nocy, za całe wyżywienie mając „miskę kartofli rzadko okraszonych boczkiem”. A i taki luksus nie był dany wszystkim. Wielu musiał wystarczyć kawałek chleba i ułamek sera, a w jeszcze biedniejszych miskach Irlandczyków były tylko suche kartofle[24]. Cięża za ciężą, poronienia, martwe porody – to zwykłe życie zwykłej robotnicy. A dziecko? Jeśli przyszło na świat żywe, jeśli przetrwało pierwszy rok i parę następnych, to w piątym lub szóstym roku trafiało do kopalni na dwunastogodzinną szycbę albo do fabryki na szesnaście godzin pracy ponad siły.

Chroniczne niedożywienie i wysiłek ponad miarę zbierały tragiczne żniwo. W robotniczych rodzinach rzadko które dziecko rodziło się bez dziedzicznych obciążeń. Wymowna pod tym względem jest ulotka „Do małżonków obojga płci”, wydana w roku 1823 przez Francisa Place’a, neomaltuzjańskiego propagatora antykoncepcji. Autor przekonywał w niej, że zwłaszcza kobiety mające zwężoną miednicę powinny unikać ciąży, a przeto stosować środki antykoncepcyjne.

Trudno powiedzieć, jak powszechne było to wtedy schorzenie, wiadomo jednak, że zwężenie miednicy, które zwykle uniemożliwia donoszenie ciąży, jest pochodną krzywicy – choroby układu kostnego atakującej dzieci w okresie wzrostu. Krzywica występuje zawsze na tle niedożywienia, zwłaszcza przy deficycie witaminy D. Rozpoznano ją w połowie XIX wieku. W latach siedemdziesiątych co trzecie dziecko z nizin społecznych w takich miastach jak Londyn czy Manchester miało widoczne zmiany krzywiczne[\*14]. Gdyby zastosować dzisiejsze metody diagnostyczne, odsetek chorych byłby zapewne większy[25].

Kobiety z klas pracujących ponosiły znacznie większe ryzyko związane z życiem płciowym niżli ich partnerzy. Gdy zapobieganie ciąży sprowadzało się w praktyce do *coitus interruptus* lub prezerwatywy (niepewnej i niewygodnej), od żon zależało niewiele lub zgoła nic. W razie nieszczęścia pozostawały niebezpieczne dla zdrowia środki chemiczne lub próba aborcji, przedsięwzięta samodzielnie i prymitywnie, przy

użyciu drutu, szydełka lub zgoła noża w nadziei, że się uda uszkodzić łożysko i wywołać poronienie.

W tej sytuacji motywy, jakimi kierowali się propagatorzy antykoncepcji, nie miały znaczenia. I nieważne, czy Francis Place i inni traktowali rzecz w kategoriach politycznych, ważne, że służyli radą, że starali się dotrzeć do kobiet z rzetelną informacją o dostępnych i w miarę skutecznych metodach zapobiegania ciąży, które mogły samodzielnie stosować. Place polecał środki znane już starożytnym Hebrajczykom: „Wystarczy – pisał – wsunąć [do pochwy] kawałek gąbki na sznurku – jeśli kto chce, można ją nieco zmoczyć – a po stosunku wyciągnąć. W ten prosty, łatwy i bezpieczny dla zdrowia sposób można uniknąć ogromu nieszczęść z korzyścią dla społeczeństwa jako całości”[26]. Trzydzieści lat później równie wpływowy działacz doktor George Drysdale, autor *Elements of Social Science* (Zagadnień nauk społecznych; 26 wydań w 1854–1887!), zalecał, aby niezależnie od gąbki zastosować po stosunku irygację z letniej wody, co bez wątplenia podnosiło skuteczność metody Place’a.

Drysdale nie rewidował swojej książki i jego dzieło nie nadało za postępem, jaki się dokonał. W latach siedemdziesiątych pojawiły się nowe środki antykoncepcyjne, a co ważniejsze, zmienił się klimat społeczny, choć zrazu zmiany tyczyły tylko zamożniejszych warstw ludności.

Według dość częstej w historiografii teorii spadek wskaźnika urodzin, jaki wystąpił w Wielkiej Brytanii i większości krajów europejskich na początku lat osiemdziesiątych, łączy się ze zmianą postaw w klasie średniej – świadomym ograniczaniem liczebności potomstwa dla zachowania majątku i pozycji. Wydaje się jednak, że przyczyny były bardziej złożone oraz że „świadome ograniczanie” zapewne nie nastąpiłoby, gdyby nie lepsze i wygodniejsze prezerwatywy, jakie pojawiły się wtedy na rynku. Sięgano po nie coraz chętniej, choć zrazu wcale nie po to, aby zapobiec zapłodnieniu, lecz raczej żeby uniknąć zarażenia. Spór wokół osławionych ustaw o zapobieganiu chorobom zakaźnym uprzytomnił wiktoriańskim gentlemanom korzystającym z usług prostytutek groźbę zawleczenia zarazy do domu. Żony nie protestowały, gdy mąż zjawiał się w sypialni odpowiednio zabezpieczony, zwłaszcza że prezerwatywa chroniła nie tylko przed wstydliwą chorobą, ale i przed widmem kolejnej ciąży. I chyba nie jest przypadkiem, że właśnie wtedy zaczyna się moda na eleganckie, ponętne stroje nocne. Kuszący negliż zastępuje dawne



zniechęcające barchany[27]. Wolne od obaw o konsekwencje, damy zaczynają konkurować z prostytutkami o względy mężów.

Kondom w dotychczasowym wydaniu nie był ani tani, ani łatwy do sprokurowania[\*15], nie mówiąc już o tym, że rzadko który pasował, a z nakładaniem też były kłopoty. Ale pod koniec lat trzydziestych XIX wieku opracowano technologię wulkanizacji kauczuku i wkrótce pojawiły się pierwsze prezerwatywy z gumy. W latach siedemdziesiątych korzystano z nich coraz powszechniej, a kolorowe wizerunki królowej Wiktorii i jej premiera Williama Ewarta Gladstone'a, zdobiące pakiety z prezerwatywami, czyniły z nich towar nader szlachetny[29]. Pięćdziesiąt lat później technologia koagulacji lateksu i automatyzacja produkcji sprawiły, że prezerwatywy przestały być luksusem. Nie ma niestety danych z Wielkiej Brytanii ani z Niemiec, ale w Ameryce w połowie lat trzydziestych XX wieku sprzedaż kondomów sięgała 317 milionów sztuk rocznie[30][\*16].

Znacznie wolniej upowszechniał się bardziej wyrafinowany, ale trudniejszy w użyciu środek antykoncepcyjny z kategorii mechanicznych – pessarium dopochwowe, zwane ówczesnie diafragmą Mensinga. Pomysłodawcą był niemiecki wynalazca Friedrich Adolph Wilde, który udoskonalił dość szeroko stosowaną przez mieszkanki europejskich wsi metodę sięgającą korzeniami starożytnego Egiptu, a polegającą na zablokowaniu dostępu do szyjki macicznej. W Egipcie używano w tym celu krokodylego łajna, gdzie indziej – skrawków płótna albo pokruszonych liści. Wilde wymyślił, żeby najpierw zdejmować woskowy odcisk z szyjki i na jego podstawie, jak na kopycie, sporządzać gumowy kapturek, który można nosić praktycznie stale poza okresem menstruacji. Pomysł Wilde'a, dzisiejszy kapturek antykoncepcyjny, wtedy nie przyjął się. Większą popularność (zwłaszcza w Wielkiej Brytanii i Holandii, ale nie w USA, gdzie zaczęto go szerzej stosować dopiero w dwudziestoleciu międzywojennym) zyskał wynalazek doktora Mensinga z lat siedemdziesiątych – diafragma, czyli krążek maciczny. Produkuje się go z folii gumowej o usztywnionych brzegach, jest większy od zalecanego przez Wilde'a kapturka, ale i wygodniejszy, bo nie wymaga starannej miary i dopasowania.

A tymczasem powstał inny problem: czy rozpowszechnianie informacji o środkach antykoncepcyjnych nie kłóci się z obowiązującym prawem, a prawo pod tym względem było nieprecyzyjne. W 1877 roku doszło w Anglii na tym tle do głośnego procesu o książkę amerykańskiego autora Charlesa Knowltona *The Fruits of*



Philosophy; or the private companion of young married people (Owoce filozofii, czyli intymny poradnik dla młodych małżonków), wydaną w 1832 roku i dającą rzetelny opis ówczesnie dostępnych technik i środków antykoncepcyjnych. Po pewnym czasie zainteresował się nią prokurator generalny i zaskarżył wydawców o upowszechnianie „obscenicznych treści”. Książka – wywodził – jest „pełna brudów”, a co gorsza, „zachęca do uprawiania stosunków sprzecznych z przykazaniami bożymi”[31]. Sprawę wygrał. Przysięgli uznali wydawnictwo za „niemoralne”, a oskarżonych za winnych. Rychło jednak wydawców zwolniono z więzienia pod lada pozorem, a władze jęły unikać tego typu spraw. Rzecz jednak miała ciąg dalszy. Otóż jedna z oskarżonych Annie Besant założyła Ligę Maltuzjańską, pod jej egidą zaczęła domagać się prawa do swobodnego rozpowszechniania informacji o zapobieganiu ciąży i nikt już nie śmiał nazwać tego typu wydawnictw obscenicznymi.

Z punktu widzenia europejskich neomaltuzjanistów sprawa antykoncepcji stawała się coraz bardziej paląca. Rzecz w tym, że przy całej nędzy i głodzie epoki rewolucji przemysłowej niemal wszędzie w Europie notowano spadek umieralności niemowląt, co przekładało się na wzrost wskaźnika przyrostu naturalnego. W połowie XVIII wieku tylko co trzecie dziecko przychodzące na świat w angielskich miastach dożywało pierwszych urodzin. Na przełomie wieku proporcje się odwróciły: ze statystycznej czwórki niemowląt przeżywało troje[32]. Zwolennicy ograniczenia przyrostu naturalnego oraz rodzice mający już liczne pociechy nie mieli wyjścia. Gdy nie można liczyć na palec losu, trzeba sięgnąć po antykoncepcję.

Najszybciej i najskuteczniej sięgnęli po nią Amerykanie i Francuzi.

Jeśli w roku 1800 w Ameryce wskaźnik dzietności wśród białych kobiet sięgał 7,04 – co oznacza, że statystyczna kobieta rodziła siedmioro dzieci, z których przeżywało pięcioro, to w roku 1880 wskaźnik ten spadł do 4,24, a na przełomie wieku do 3,56. Spadek następował wolno, ale systematycznie, a wedle autorytetów z początku XX wieku był to wynik świadomego i coraz powszechniejszego sięgania po środki antykoncepcyjne, co natychmiast obwołano aktem „rasowego samobójstwa”. Sprawa rozpaliała namiętności i angażowała pierwsze osoby w państwie. Prezydent Theodore Roosevelt powiedział, że tendencja do ograniczania liczby dzieci jest przejawem „dekadencji”. Zapobieganie ciąży nazwał „zbrodnią przeciwko własnej rasie... czynem, który budzi obrzydzenie zdrowej części społeczeństwa”[33]. Jeśli jednak pamiętać, że dziewiętnastowieczna Amerykanka była osobą pobożną,

wychowaną w duchu nauk św. Augustyna, można z dużym prawdopodobieństwem stwierdzić, że „zbrodni przeciwko rasie” dopuszczała się w jeden jedyny sposób, mianowicie zmuszając siebie i męża do abstynencji seksualnej, choć, gdyby chciała, mogłaby się z łatwością dowiedzieć o innych metodach.

Publikacji na ten temat nie brakowało. W roku 1831 wyszła rozprawa Roberta Dale’a Owena *Moral Physiology; or a brief and plain treatise on the population question* (Fizjologia moralna, czyli krótki i prosty traktat o problemie ludzkiej populacji), a wkrótce potem wiele podobnych rozpraw i poradników, między innymi *Fruits of Philosophy* Knowltona. Knowlton usilnie zalecał czytelniczkom stosowanie irygacji bezpośrednio po stosunku, najlepiej za pomocą gumowej gruszki, sobie – nawiasem mówiąc – przypisując autorstwo wynalazku. Faktem jest, że gruszka znakomicie ułatwiała zalecaną czynność. Jeszcze sto lat później należała do stałego wyposażenia domowych apteczek.

Jeszcze barwniejszą postacią z tego kręgu był John Humphrey Noyes. Co prawda nie zostawił po sobie tak trwałego śladu jak Knowlton, ale w swoim czasie odegrał niemałą rolę jako założyciel Oneida Community i propagator instytucji zwanej „kompleksowym małżeństwem”. W połowie XIX wieku zakładano przeróżne komuny, rzucając wyzwanie konwenansom. Idea kompleksowego małżeństwa polegała na tym, że w Oneida Community można było dowolnie dobierać partnerów i partnerki i dowolnie taki związek małżeński zawiązywać i rozwiązywać, z pewnym wszakże zastrzeżeniem, jeśli idzie o owoce pożycia. W Oneida starano się płodzić jak najdoskonalsze potomstwo i w tym celu dbano o dobór przyszłych rodziców. Inaczej mówiąc, uprawiano rodzaj eugeniki, opatrując proceder nazwą stirpiculture[\*17]. O tym, kto z kim może, a kto nie, decydowali przełożeni grupy. Jeśli uznano, że dana para nie powinna mieć dzieci, zainteresowani mieli obowiązek powstrzymać się od poczęcia, a zalecaną metodą była Karezza, pod którą to nazwą kryje się znany z Chin i Indii coitus obstructus. Jeszcze w roku 1844 Noyes doszedł do wniosku, że możliwy jest stosunek bez ejakulacji, i wypracował odpowiednią technikę, ale w druku przedstawił to dopiero w roku 1866, publikując broszurkę *Male Continence* (Mężczyzna powściągliwy)[34].

Uważał się za pioniera – nie wiedział, że metodę stosowano dużo wcześniej w Azji. Noyes twierdził, że zapewnia ona pełne zaspokojenie potrzeb seksualnych mężczyzn i kobiet, a jednocześnie ogranicza „nadmierną”, wręcz „niebezpieczną”

prokreację, która ówczesnie stanowiła rzeczywiście dość powszechny problem. Poza tym – głosił – jego metoda nie wymaga stosowania innych środków, w rodzaju prezerwatyw czy gąbki, które nie dość, że są „nienaturalne, niezdrowe i nieprzyzwoite”, to jeszcze „niszczą miłość”[35]. Metoda Noyesa nie dawała oczywiście stuprocentowej pewności i pod tym względem ustępowała innym środkom, była jednak bezpieczna w tym sensie, że wbrew temu, co powiadali krytycy, nie wywoływała żadnych negatywnych skutków ubocznych. Syn Noyesa Theodore twierdził, że w czasie dwudziestu dwóch lat stosowania tej metody w Oneida Community notowano znacznie mniej przypadków chorób nerwowych niż gdzie indziej, a wskaźnik śmiertelności utrzymywał się na niezwykle niskim poziomie[36].

A tymczasem w efekcie działalności Anthony’ego Comstocka sprawa antykoncepcji zaistniała w Stanach na scenie politycznej.

Regulacje w zakresie zwalczania pornografii i druków obscenicznych leżały w kompetencjach władz poszczególnych stanów. Comstock wyniósł problem na szczebel federalny, skutecznie zabiegając w Kongresie o uchwalenie w 1873 roku ustawy, wedle której przesyłanie materiałów tego typu z jednego stanu do drugiego stanowiło przestępstwo ścigane z mocy prawa. A właśnie za pornografię uznano wszelkie materiały dotyczące antykoncepcji. Comstock wstąpił do służby państwowej w Ministerstwie Poczty i z tytułem „specjalnego agenta” osobiście wdrażał nowe prawo. Pod koniec życia chwalił się, że postawił przed sądem i „doprowadził do skazania tylu przestępców, ilu zmieściłoby się w pociągu złożonym z 61 wagonów”. Wychodzi, że blisko cztery tysiące osób. Podkreślał też z dumą, że „osobiście zniszczył 160 ton obscenicznej makulatury”[37].

Ale ustawa Comstocka – od nazwiska inspiratora – nie okazała się w praktyce ani tak groźna, ani tak restrykcyjna, jak można by sądzić z peanów jej twórcy i jego zwolenników. W stanach odznaczających się liberalnym stosunkiem do antykoncepcji właściwie na nią nie zważano, w zachowawczych odegrała pewną rolę. Ograniczyła swobodny przepływ informacji, a co gorsza przyczyniła się do stworzenia atmosfery dezaprobaty wobec tych spraw, co z kolei utrudniło działania ruchu na rzecz świadomego macierzyństwa, który powstał w USA na początku XX wieku, a więc nieco później niż w Europie.

Neomaltuzjaniści, którzy zapoczątkowali ten ruch, obawiali się, że niekontrolowany przyrost naturalny w najuboższych warstwach zagrozi światu klęską głodu. W drugiej

połowie XIX wieku obawy te nieco przygasły. Po pierwsze, Europa zyskała dostęp do zasobów żywnościowych na innych kontynentach. Po drugie, rozpoczął się „eksport nadwyżki ludnościowej” – ruszyła wielka fala emigracji do Australii, Kanady, Nowej Zelandii, południowej Afryki, a przede wszystkim do Stanów Zjednoczonych. Europie ulżyło, ale w USA zaczęto się martwić. Na przełomie wieku przybywali tu głównie ludzie niewykształceni, w większości katolicy i w większości płodzący liczne potomstwo. Martwiono się nie o ich wykarmienie – żywności nie brakowało – ale o przyszłość i pozycję WASP. I właśnie oni jęli domagać się ograniczenia imigracji oraz ustanowienia pułapu, jeśli idzie o liczbę dzieci w imigranckich rodzinach. Stanęli więc w jednym szeregu z neomaltuzjanistami, którzy sto lat wcześniej także występowali z pozycji elitarnych. Sufrażystki zachowywały wyniosłe milczenie nie dlatego, że antykoncepcja kłóciła się z manifestowaną przez nie moralnością. Chodziło im raczej o podkreślenie własnej argumentacji, że tylko kobiecy elektorat może zneutralizować siłę i wpływy środowisk imigranckich.

Tak więc kontrola urodzin w Ameryce, podobnie jak i w Europie, miała służyć rozwiązaniu palących problemów społecznych w sposób liberalny i humanitarny, stała się instrumentem walki klasowej, w której odwoływano się do eugeniki, szermując hasłem „poprawy jakości populacji”. Dość wspomnieć w tym kontekście o dwóch najwybitniejszych propagatorkach świadomego macierzyństwa na Zachodzie – Amerykance Margaret Sanger i Brytyjce Marie Stopes.

Niezmordowane bojowniczkami o prawo kobiet do decydowania o sobie kierowały się ideologią elitaryzmu. „Regulacja urodzin – pisała Margaret Sanger w roku 1919 – to więcej dzieci w odpowiednich rodzinach, a mniej w takich, które tego warunku nie spełniają – oto istota sprawy”[\[38\]](#). A Marie Stopes, gdyby tylko mogła, zastosowała by hitlerowskie metody i poddała przymusowej sterylizacji tych, których kondycja fizyczna lub walory umysłu plasowały poniżej określonych norm.

Mimo swego aroganckiego charakteru, mimo przeszkód stawianych przez władze i mimo faktu, że wiktoriański konwenans nakazywał milczenie w sprawach seksu, ruch na rzecz regulacji urodzin rozwijał się. Marie Stopes i Margaret Sanger otwierały poradnie świadomego macierzyństwa, pisały całe serie książek pod takimi tytułami jak: *Married Love* (Miłość małżeńska) czy *Happiness in Marriage* (Szczęście w małżeństwie), polemizowały z przeciwnikami, występowały na setkach spotkań i wieców. Zwłaszcza poradnie dawały ciekawe pole obserwacji. Okazało się, że

większość zgłaszających się pacjentek miała już pewne doświadczenie, jeśli idzie o antykoncepcję. Jak wykazały badania amerykańskie, tylko połowa korzystała z zaleceń poradni. Pozostałe w ciągu dwu lat wracały do dawnych metod, wśród których pierwsze miejsce zajmowała irygacja, drugie – gąbka lub dopochwowy tampon. Wedle ocen z 1934 roku środki te okazywały się skuteczne w 50 procentach. W poradniach tymczasem polecano przede wszystkim krążki dopochwowe, kapturki, irygacje, gąbki i oliwę z oliwek[39].

W latach trzydziestych w Ameryce działało 55 poradni świadomego macierzyństwa – w 23 miastach 12 stanów. W Anglii sytuacja wyglądała nieco lepiej. Ministerstwo Zdrowia oficjalnie zezwalało na udzielanie porad w zakresie antykoncepcji, gdy ciąża mogła zagrozić zdrowiu kobiety. W Ameryce przełom nastąpił w roku 1937, gdy w Karolinie poradnictwo w zakresie antykoncepcji włączono do stanowego programu opieki zdrowotnej. Wzorem Karoliny poszły wkrótce inne stany amerykańskiego Południa. Można mieć wiele wątpliwości co do motywów tych decyzji – szlachetne na pewno nie były – ale ważniejszy jest skutek. Dzięki nowej polityce wiele murzyńskich kobiet otrzymało możliwość uzyskania istotnej porady.

Jednak stare uprzedzenia trwały, i to zdumiewająco długo, jak dowodzi wymiana zdań w brytyjskim parlamencie między ministrem zdrowia i przedstawicielem opozycji:

– Czy to nie absurd – brzmiała poselska interpelacja – że poradnie planowania rodziny, funkcjonujące przecież w budynkach należących do lokalnych władz, nie mają prawa reklamować swoich usług?

Minister nie podzielił tego poglądu i uznał, że nie ma nic nienormalnego w sytuacji, gdy państwowa służba zdrowia nie informuje społeczeństwa o usługach utrzymywanych przez państwo poradni[40].

Do tej wymiany zdań doszło w roku 1962, kiedy nie mówiono już o eugenicie, gdy kwestia świadomego macierzyństwa przestała budzić emocje, gdy w tych sprawach kierowano się zdrowym rozsądkiem, a w każdej brytyjskiej aptece można było dostać doustną pigułkę antykoncepcyjną, bo właśnie rok wcześniej wprowadzono ją do oficjalnego spisu leków.

## **REWOLUCJA BIOLOGICZNA**



Jeszcze na początku lat trzydziestych udowodniono, że zastrzyk z naturalnego estrogenu, progesteronu lub męskiego hormonu, testosteronu, sprawia, że z jajnika nie wydziela się jajeczko, a w konsekwencji nie przedostaje się do jajowodu, gdzie zwykle dokonuje się akt zapłodnienia. Ale odkrycie to wykorzystano w praktyce dopiero w roku 1955, kiedy na bazie progesteronu wyprodukowano pigułkę antykoncepcyjną. Do szerokiego użycia weszła w latach sześćdziesiątych. I to było to, na co kobiety czekały od zawsze. Pigułka progesteronowa może niestety wywoływać negatywne skutki uboczne, ale w porównaniu z korzyściami natury psychologicznej nie ma to większego znaczenia.

Liczy się bowiem fakt, że kobieta otrzymała wygodny, nie tak siermiężny jak gąbka, kapturek czy krążek, a co ważniejsze, w pełni skuteczny i zupełnie niekrępujący środek antykoncepcyjny[\*18].

Jednocześnie z pigułką pojawiły się dwie nowe metody zapobiegania ciąży, równie komfortowe i równie skuteczne. Pierwszą była mała giętka spirala wewnątrzmaciczna, sporządzana zwykle z tworzywa sztucznego lub miedzi, umieszczana – zgodnie z nazwą – w macicy. Działanie spirali polega na tworzeniu wewnątrz macicy środowiska nie sprzyjającego zagnieżdzeniu się zapłodnionego jaja. Niestety, podobnie jak pigułka spirala daje pewne negatywne skutki uboczne[\*19], ale tak czy owak stanowi alternatywę dla kobiet, które z różnych względów nie mogą używać pigułki lub nie potrafią jej brać systematycznie, od czego zależy jej skuteczność. Założenie spirali wymaga wizyty u lekarza. Może pozostawać w macicy przez kilka lat.

Druga metoda opracowana na użytek mężczyzn to wasektomia – chirurgiczne przecięcie lub podwiązanie nasieniowodów. Zrazu stosowano ją niemal wyłącznie w Indiach. Na Zachodzie budziła opory natury medycznej i psychologicznej. Uważano ją za nazbyt radykalną i lękano się o skutki. Gdy jednak okazało się, że nie ma negatywnego wpływu na potencję, a co więcej, że zabieg nie jest ostateczny, bo w każdej chwili chirurg może przywrócić drożność nasieniowodów, sprawa stanęła w nowym świetle. Radykalny charakter ma sterylizacja.

Jest to chyba najpopularniejsza obecnie metoda, z której korzystają kobiety po trzydziestce.

Z nadejściem lat siedemdziesiątych świat zachodni (z wyjątkiem katolików) jął traktować antykoncepcję w kategoriach osobistego wyboru, a więc jako sprawę



absolutnie prywatną. Nie tyczy to jednak aborcji. Przerwanie ciąży budziło i budzi wielkie emocje. Feministki rade by widzieć zabieg jako niezbędne uzupełnienie katalogu środków kontroli urodzin, ale taka postawa i w Wielkiej Brytanii, i w Ameryce spotkała się z gwałtowną, „biblijną” – chciałoby się powiedzieć – opozycją niektórych grup i środowisk[\*20].

Zachód mógł sobie pozwolić na traktowanie kwestii kontroli urodzin w kategoriach osobistego wyboru. Malejący od stulecia przyrost naturalny i rosnąca podaż żywności przeczyły tezie Malthusa.

Inaczej jednak było w krajach zwanych eufemistycznie „rozwijającymi się”. Sławetna „zielona rewolucja” nie przynosiła oczekiwanych efektów, a demografowie mieli powody, żeby bić na alarm. Wyglądało bowiem na to, że w latach 1971–2007 liczba mieszkańców naszego globu podwoi się, a gwarancji, że wszystkich da się wyżywić, nie było. Widmo katastrofy wydawało się całkiem realne.

W tej sytuacji właśnie tzw. trzeci świat zdobył się na konkretne działania. Na Filipinach ówczesny prezydent Ferdynand Marcos wydał dekret zakazujący udzielania małżeństw parom, które nie odbyły specjalnego kursu planowania rodziny. W Indiach podjęto działania bardziej radykalne, z czasem wręcz brutalne. Zaczęto od zachęt. Każdemu mężczyźnie, który poddał się wasektomii, dawano w prezencie radio tranzystorowe i nagradzano medalem za właściwą postawę obywatelską. Rezultaty nie wszystkich zadowoliły i w niektórych indyjskich stanach sięgnięto po dalej idące środki. I tak w stanie Maharasztra w roku 1976 wprowadzono do kodeksu karnego paragraf stanowiący, że mężczyzna, który spłodzi więcej niż dwoje dzieci, musi poddać się sterylizacji pod groźbą kary dwóch lat pozbawienia wolności. Zgodnie z zasadą kija i marchewki ogłoszono także, że gmina, która w ciągu roku wykaże się największą liczbą sterylizacji, otrzyma pierwszeństwo w stanowym programie nawadniania ziemi. Akcję prowadzono tak stanowczo, że tu i ówdzie wieśniacy kryli się po domach, aby nie wpaść w ręce ekip dokonujących sterylizacji, a te działały w sposób bezwzględny. We wspomnianym roku 1976 rząd z triumfem ogłosił, że w ciągu dwunastu miesięcy przeprowadzono siedem milionów wasektomii... i przegrał wybory[43]. Nowy rząd wycofał się z polityki kija, poprzestając na marchewce[\*21].

W Chinach wdrożono dość radykalne zasady polityki ludnościowej. W 1979 rzucono hasło „jedno dziecko w rodzinie”. W połowie lat osiemdziesiątych politykę tę nieco złagodzono w odniesieniu do mieszkańców słabo zaludnionych terenów

wiejskich, udzielając zgody na następne dziecko, jeśli pierwsze urodziło się z wrodzonymi wadami. W latach 1981–1986 Chinom przybyło o 14 milionów mniej ludności, niż przewidywano.

Warto przy tym zwrócić uwagę, że podczas gdy na całym świecie na każde 100 dziewczynek rodzi się 106 chłopców, to w Chinach w roku 1981 proporcja ta wyrażała się stosunkiem 100 do 108.

Jak wiele innych ludów Azji, Chińczycy uważają, że syn jest błogosławieństwem dla rodziców, córka ciężarem. Co prawda, w roku 1949 w Chinach oficjalnie zakazano dzieciobójstwa, ale nie sposób nie zauważyć, że od czasu wprowadzenia polityki „jednego dziecka”

statystyki wykazują wyjątkowo wysoką liczbę śmiertelnych zejść niemowląt płci żeńskiej na skutek – jak się stwierdza – „nieudanego porodu kleszczowego”. Są też podstawy do podejrzeń, że obecnie, gdy badania prenatalne pozwalają określić płeć płodu, wiele Chinek decyduje się na sztuczne poronienie, aby jedyne dziecko, do jakiego mają prawo, było synem. Już niedługo objawią się konsekwencje takiego podejścia, za kilka lat bowiem dorosnie pokolenie urodzone w 1986 roku i (wedle przewidywań opublikowanych w „Demography Journal”) co najmniej 48 milionów Chińczyków pozostanie w stanie bezzennym, gdyż zabraknie dla nich partnerek[44].

## REWOLUCJA FEMINISTEK

Polityka i pigułka pospołu sprawiły, że ruch feministyczny nabrał w latach sześćdziesiątych szczególnego charakteru. Stał się wyjątkowo głośny i bojowy. To samo można odnieść do wielu znanych działaczek, dodając, że niejedna była przy tym wyjątkowo głupia. Ale ważniejsze jest, że w tym, co feministki głosiły, było wystarczająco dużo prawdy, by pobudzić sumienia nawet najleniwszych liberałów. Ekstremistki, a tych nie brakowało, zamierzały wywrócić do góry nogami cały ład, jaki ukształtował się w ciągu pięciu tysięcy lat męskiej dominacji. Pragmatyczki uważały, że walkę o równouprawnienie należy rozstrzygnąć na polu prawa. Ufały, że wraz z liberalizacją paragrafów reszta problemów rozwiąże się sama. Może nie od razu, ale z czasem, stopniowo.

Gdy rok 1975 ogłoszono Międzynarodowym Rokiem Kobiet, feministki jęły głosić,

że przez siedem lat zrobiły więcej niż ich poprzedniczki – sufrażystki – w ciągu lat siedemdziesięciu. I dęły w fanfary, jakby wszystko, co udało się osiągnąć, zawdzięczały wyłącznie własnym talentom i determinacji, podczas gdy prawda jest taka, że przyszło im działać w bardziej sprzyjających warunkach niż poprzedniczkom i w zdecydowanie innym świecie – świecie telewizji, radia i wielonakładowych gazet.

A w tym nowym świecie kobiety szturmem ruszyły na granice nakreślone w roku 1866 przez senatora George'a H. Williamsa z Oregonu. Podejmowały zajęcia, przy których senator nigdy sobie kobiet nie wyobrażał. Przywdziewały mundury żołnierskie, zaciągały się do marynarki, ruszały do prac na farmach i w fabrykach, obejmowały posady w bankach, w adwokaturze, sądach i organach ścigania, zasiadały za kierownicą tirów, za sterami samolotów, stawały w salach operacyjnych, przeprowadzając najbardziej skomplikowane operacje chirurgiczne. W Wielkiej Brytanii kobieta objęła urząd premiera. „Żelazna Dama” rządziła bardziej zdecydowanie niż wszyscy jej poprzednicy i ostatecznie relegowała do lamusa historii wiktoriańską ideę „anioła domowego ogniska”. I wszystko byłoby świetnie, gdyby nie... rozwój wydarzeń w mateczniku feminizmu – Ameryce. Chodzi o oczywistą zdawałoby się sprawę: konstytucyjny zapis gwarantujący równouprawnienie kobiet. Kongres uchwalił stosowną poprawkę do konstytucji i zgodnie z procedurą przedstawił ją do ratyfikacji przez poszczególne stany. W 1981 roku, po jedenastu latach zabiegów, poprawka nie przeszła.

Tekst poprawki brzmiał:

„1. Żadna ustawa federalna lub stanowa nie może naruszać zasady równouprawnienia płci.

2. Kongresowi [federalnemu] przysługuje prawo wdrażania powyższego przepisu poprzez odpowiednie działania ustawodawcze.

3. Niniejsza poprawka wejdzie w życie dwa lata po ratyfikacji”.

Pod koniec ery Reagana 50 milionów Amerykanek pracowało zawodowo, ale ich przeciętne wynagrodzenie nadal było o 25 procent niższe niż mężczyzn[45]. Nadal nie miały prawa do płatnego urlopu macierzyńskiego, choć w 117 państwach takie prawo zostało zagwarantowane. Na sto mandatów senatorskich tylko dwa piastowały kobiety. Wśród 435 członków Izby Reprezentantów było 26 kobiet[\*22].

W Wielkiej Brytanii sprawy miały się lepiej. Trudno powiedzieć, czy dlatego, że feministki poczyniły tam sobie mniej energicznie. W każdym razie w roku 1975

weszły tam w życie ustawy o niedyskryminacji ze względu na płeć i o równej płacy za taką samą pracę.

Mimo to (i mimo wielu procesów sądowych o jej naruszenie) przeciętna płaca kobiet pod koniec lat osiemdziesiątych sięgała ledwie 75 procent zarobku mężczyzn[\*23]. Dopełnijmy bilansu stwierdzając, że Brytyjki zyskały prawo do płatnych urlopów macierzyńskich, że wśród 1107 członków Izby Lordów było 51 kobiet, a w Izbie Gmin (650 członków) w roku 1987 – 42.

Swoistym komentarzem do sytuacji kobiet w obu tych krajach, w których feministki działały najgłośniejszy, niech będzie stwierdzenie zaczerpnięte z ocen organizacji monitorujących te sprawy w skali globu. Pod względem faktycznego, a nie formalnego, równouprawnienia Stany Zjednoczone plasują się na trzecim miejscu w świecie, a Wielka Brytania na szesnastym[46].

Dlaczego tak nisko? No cóż, wrzaski i krzyki bywają czasami potrzebne, żeby sprawy ruszyły z miejsca, ale ustawodawcy częściej przychylają się do tych, co siedzą cicho i zachowują spokój.

---

[\*1] Autorki Chaty wuja Toma - *przyp. tłum.*

[\*2] Problem ten dał już o sobie znać w środowisku pozamiejskim. W pionierskich czasach, gdy na Dzikim Zachodzie ciągnęły karawany zaprzężonych w muły wozów osadników, kobiety pracowały równie ciężko jak mężczyźni, wraz z nimi stawiając czoło trudom życia na prerii. Jednak według współczesnych badań nawet w tych warunkach starały się zachować swoją tradycyjną rolę. Nie uważały się za równe mężczyznom, nie chciały być równoprawnymi partnerkami. Jak rekrut w wojsku, godziły się z koniecznością, marząc o „pójściu do cywila”[2].

[\*3] Wielokrotny premier Wielkiej Brytanii - *przyp. tłum.*

[\*4] Terytorium – w historii USA obszar uznany za własność Stanów Zjednoczonych, korzystający z ograniczonych praw samorządowych. Na odpowiednim szczeblu zorganizowania terytorium stawało się stanem i jako taki wchodziło w skład Unii, czyli Stanów Zjednoczonych. Taką procedurę przeszła większość z obecnych pięćdziesięciu stanów USA – *przyp. tłum.*

[\*5] Zainteresowane przyjmowały to z coraz większą irytacją, i nie bez powodu. „Tuż przed I wojną – wspomina Harriet Stanton Blatch – protestowałyśmy przeciwko molestowaniu... W Anglii – jak sądzę – zajęłyby się nami policja, wsadzono by nas do aresztu... a tu u nas – w Ameryce – zaproszono nas przed oblicze komisji kongresowej, wysłuchano, potraktowano z najwyższą uprzejmością i... – oczywiście – nigdy nie odpowiedziano na nasze postulaty... Trudno o większą zniechęcenie!”[11]

[\*6] Instytucja amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości decydująca o postawieniu podejrzanego w stan oskarżenia – *przyp. tłum.*

[\*7] Nawiasem mówiąc, jest to recepta na długowieczność, jeśli kogoś interesuje przedłużanie życia na takich warunkach. Mormoni nie piją, nie palą, nie uprawiają stosunków pozamałżeńskich,

dzięki czemu żyją długo i zdrowo, co potwierdziły badania z lat 1950–1969. W środowisku mormonów notowano 22 procent mniej przypadków raka płuc, przełyku i krtani niż w całym społeczeństwie amerykańskim[14].

[\*8] Amerykański producent filmowej wersji przygód pana Fileasa Fogga – *przyp. tłum.*

[\*9] W roku 1914 kobiety korzystały z pełni praw wyborczych w jedenastu spośród osiemnastu świeżo utworzonych stanów, ale w żadnym z trzydziestu najstarszych.

[\*10] I nie bez powodów. Wystarczyło popatrzeć na to, co stało się w Nowej Zelandii. Dzięki wysiłkom tamtejszej WCTU, przy niezamierzonym, ale faktycznym poparciu tamtejszego premiera, mieszkanki Nowej Zelandii zyskały w roku 1893 prawa wyborcze. Jeszcze w tym samym roku WCTU z pomocą sojuszników-pantoflarzy wygrała pierwszą bitwę w wojnie o prohibicję: doprowadziła do uchwalenia ustawy oddającej koncesje na sprzedaż alkoholu do decyzji lokalnych społeczności, co miało taki skutek, że zaczęły się mnożyć „suche” wsie, miasteczka i gminy.

[\*11] Warto przypomnieć casus Australii, która za przykładem Nowej Zelandii przyznała w roku 1902 pełnię praw obywatelskich kobietom. Prohibicji w Australii, co prawda, nie wprowadzono, ale przygotowano ustawę o ograniczeniu imigracji z myślą – oczywiście – o obronie „białej Australii”.

[\*12] Teoria ta, rozwinięta przez Freuda w latach 1900–1910 (czyli wtedy, gdy moralistki-feministki na Zachodzie zaczęły na serio pokazywać pazury), niesie wyraźne treści klasowe. Dzieci z ubogich rodzin często biegały jak Bóg je stworzył, natomiast małe damy z ery wiktoriańsko-edwardiańskiej rzeczywiście miały co odkrywać. W tzw. dobrych domach przestrzegano zasady rozdziału płci i pilnowano, żeby dzieci nie oglądały się nago, a broń Boże, w czasie załatwiania się.

[\*13] Brytyjski pisarz i myśliciel, zwolennik komunizmu utopijnego, 1756–1836 – *przyp. tłum.*

[\*14] W języku polskim określano krzywicę mianem „angielskiej choroby” – *przyp. tłum.*

[\*15] Wedle przepisu z połowy XIX wieku należało „wziąć jelito [tzw. ślepe] owcy, wymyć, moczyć dwa dni w wodzie z sodą, zmieniając roztwór co cztery, pięć godzin, następnie usunąć mechanicznie błonę śluzową, przesypać siarką, ponownie wypłukać, a na koniec przemyć w mydlanej wodzie, nadmuchać i powiesić do wyschnięcia, potem przyciąć do stosownych rozmiarów i zaopatrzyć w sznurek lub wstążkę do mocowania na biodrach, żeby się nie zsuwało”[28].

[\*16] Wedle spisu powszechnego z roku 1930 Stany Zjednoczone miały 123 miliony mieszkańców – *przyp. tłum.*

[\*17] Połączenie słów: stirps – ród lub w terminologii zoologicznej – grupa – oraz culture – kultura – *przyp. tłum.*

[\*18] Wkrótce po pojawieniu się pigułki antykoncepcyjnej oszołomi wszelkiej maści uderzyli na alarm. Zaczęli straszyć kobiety widmem raka i zawału z takim skutkiem, że wiele dziewczyn zrezygnowało z brania pigułki. Oczywiście, ingerencja w procesy chemiczne zachodzące w organizmie niesie pewne ryzyko, ale można je z powodzeniem ograniczyć – nie brać pigułek ponad miarę, dbać o dietę i kondycję. Zdaniem nawet bardzo ostrożnych specjalistów pigułkę można brać nawet przez dwa, trzy lata, potem jednak należy z niej zrezygnować na rzecz innego środka. Tymczasem w laboratoriach biochemicznych przygotowuje się wiele nowych propozycji w tym zakresie, jak np. hormonalne plastry, krążki dopochwowe, pigułki antykoncepcyjne dla mężczyzn, oraz doskonalili się metody ustalania tzw. bezpiecznych dni.

[\*19] ...także takie, których nikt nie przewidział. Oto w roku 1974 w Szwecji pewna dama wytoczyła proces o alimenty słynnemu magikowi Uri Gellerowi. Geller miał niezwykły talent: potrafił bez dotykania, wyłącznie siłą woli, wyginać metalowe łyżeczki. Dama obecna była na jednym z pokazów, na którym Geller prezentował swoje umiejętności. W pozwie stwierdziła, że wygiął nie tylko łyżkę, ale również uszkodził jej spiralę, przez co zaszła w ciążę, co prawda nie z Gellerem, ale za jego sprawą, przeto od niego domaga się stosownego zadośćuczynienia[41].

[\*20] A co by to było, gdyby amerykańscy i brytyjscy proliferers – obrońcy życia poczętego – znaleźli się w Rosji? Wedle „Prawdy” w latach osiemdziesiątych w Rosji na sto porodów przypadało 120 sztucznych poronień, a wszystko za sprawą dotkliwego deficytu skutecznych środków antykoncepcyjnych[42].

[\*21] W roku 1971 Indie liczyły około 550 milionów ludności, w 1986 – 777 milionów, w 1998 – 984 miliony, a rok później przekroczyły miliard. Wedle prognoz pod koniec trzeciej dekady obecnego stulecia Indie mogą liczyć 1457 milionów mieszkańców i wyprzedzą Chiny (1408 milionów w roku 2028) na liście najludniejszych krajów świata. Wskaźnik przyrostu naturalnego w skali globu wynosił w roku 1970 dwa procent, w 1995 – 1,6, w 1998 – 1,4 procent – *przyp. tłum.*

[\*22] W tej samej dekadzie, w roku 1988, dano sakrę biskupią pierwszej kobiecie. Sukces? Do pewnego stopnia, bo nominacja wywołała wstrząs w całym Kościele anglikańskim.

[\*23] Dokładnie tyle, ile w roku 1975, gdy uchwalano ustawę o równej płacy.



## EPILOG

**T**rzeba było aż dwunastu pokoleń, zanim średniowieczna Europa oswoiła się z myślą, że kobiety zasługują na szacunek. Przez trzy generacje dojrzewała w epoce wiktoriańskiej idea, że powinny im także przysługiwać zwykłe prawa obywatelskie. A współczesny nam świat chciał w ciągu dwudziestu lat dokończyć dzieła – doprowadzić do niemal całkowitego zrównania płci w dziedzinie prawnej i seksualnej.

Trudno się dziwić, że rezultat był, delikatnie mówiąc, mieszany, a koszty psychologiczne wysokie. Jeszcze długo będziemy je płacić.

Gdy wyzwolona kobieta ogłosiła deklarację swej niepodległości seksualnej, świat doznał szoku. I znów trudno się dziwić. Było to przecież najbardziej rewolucyjne wyzwanie rzucone nawykom i postawom kształtowanym przez pięć tysięcy lat, w dodatku pierwsze, bo wyprzedzało wszystkie inne treści i przejawy procesu określanego mianem wyzwolenia kobiet. Rzeczywistość jednak tego szoku nie usprawiedliwiała. Rzekome seksualne szaleństwo, jeśli zaistniało, to tylko werbalnie. Pisali o nim pismacy, gadały „gadające głowy”, co prawda niebywale otwarcie, głośno i bez przerwy (jakby nie było innych tematów). Rzeczywistość daleko od tego obrazu odbiegała, co nie przeszkadzało mniej wyzwolonym bić na alarm i załamywać rąk nad „upadkiem obyczajów i zasad moralnych”. Gdyby jednak „zasadniczki” zdobyły się na trzeźwą, obiektywną analizę sytuacji, spostrzegłyby, że co bardziej wyzwolone kobiety robią tylko to, co większość mężczyzn robiła od samego początku naszego gatunku, a na pewno od początku jego udokumentowanej historii, mianowicie kładły się do łóżka, z kim chciały i kiedy chciały.

Narzekanie na upadek obyczajów jest stare jak świat, przynajmniej świat zapisany w dokumentach, a gdyby przyjąć to za podstawę, można by dojść do wniosku, że jeśli idzie o normy moralne, staczamy się bez przerwy co najmniej od czasów Katona (Starszego, zwanego Cenzorem). Warto jednak zauważyć, że fale przesadnego zainteresowania seksem zawsze zbiegały się z okresami, kiedy ludzkość traciła poczucie celu. Tak było w „złoty epokach” większości wielkich cywilizacji:

w Rzymie u szczytu rozwoju, w Indiach – za Guptów, w Chinach – pod rządami cesarzy z dynastii Tang, i we Francji Ludwika XV. Gdy wydawało się, że nie ma już nic do zdobycia, seks zyskiwał na znaczeniu, co wszakże świadczy nie o upadku obyczajów, ale o braku innych zajęć. Większość ludzi doskonale zdaje sobie sprawę, że seks to nie wszystko, ale też większość, czasami przynajmniej, zachowuje się tak, jakby poza seksem nic już nie istniało. I tak właśnie wyglądało to w „złoty dniach” ruchu wyzwolenia kobiet. W rezultacie mężczyzna o najzwyczajszej orientacji seksualnej (zwłaszcza mieszkaniec Stanów Zjednoczonych) zaczął popadać w panikę i chować się po kątach, zastraszone ciągłym atakiem agresywnych badaczy opinii publicznej, seksuologów i odkurzonych wiktoriańskich femmes fatales we współczesnym wcieleniu. Badania z początku lat siedemdziesiątych XX wieku wykazywały, że tak zaszczuty mężczyzna rzadziej idzie do łóżka z kobietą, częściej natomiast ucieka się do „własnoręcznych rozwiązań” i coraz bardziej lubi oglądać „świerszcyki”. Pornografia wkrótce stała się prawdziwą plagą. Nie należy jednak wszystkich tego typu wydawnictw wrzucać do jednego worka. Bywają wśród nich w miarę nieszkodliwe, ale bywają i inne, jak choćby filmy z kategorii hord porno, tandetne i zdecydowanie bez gustu, ale żerujące na męskich kompleksach, bo w obliczu funkcjonującej w świadomości społecznej kobiety wyzwolonej mężczyzna poczuł się słaby jak mysz, żeby nie powiedzieć: starty na puch[\*1].

Po dziesięciu latach mężczyźni oprzytomnieli na tyle, by podnieść się z klęczek i zawołać, że tak dalej być nie może, że nie wolno z jednej strony szermować hasłem równouprawnienia, a z drugiej uprawiać dyskryminację a rebours. Prawo, które pozwala awansować kobietę kosztem lepiej przygotowanego i lepiej wykwalifikowanego mężczyzny, to też seksizm, tyle że na odwrót. Jeśli prawo nakazuje otwierać przed kobietami podwoje męskich klubów, na przykład nowojorskiego „Century”, to również damskie instytucje tego typu, jak choćby słynna „Golony”, powinny przyjmować mężczyzn.

W sądach też powinno się stosować tę samą miarę – jeśli kobieta broni się przed zarzutem zabójstwa, twierdząc, że działała w samoobronie, bo chciano ją zgwałcić, to również mężczyzna powinien mieć prawo do uwzględnienia podobnej okoliczności łagodzącej. Molestowanie seksualne w miejscu pracy dotyka nie tylko kobiety, ale i mężczyzn. A w ogóle nadszedł czas, aby na wzór i podobieństwo National Organization for Women (Krajowej Organizacji Kobiet) – NOW [akronim, czytany *nów*, znaczy „teraz”, był szyldem i hasłem organizacji – *przyp. tłum.*], powołać Krajową Organizację Mężczyzn – NOM.

Seksualna dyspensa raziła nie tylko uczucia mężczyzn i wrażliwość moralistek i moralistów, ale podminowała także instytucję małżeństwa, która jakby nie przystawała do wyzwolonego świata. „Problem polega na tym – zauważył Andrew Hacker, socjolog z Uniwersytetu Cornella – że małżeństwo to instytucja zaprojektowana na półtorej osoby; dla dwóch robi się za ciasna”[2]. Jak słuszna była ta uwaga, wykazały dziewczęta z wyżu demograficznego lat 1946–1964. W dorosłym życiu skupiały się na własnych karierach zawodowych i mało która miała zamiar rezygnować ze świeżo zdobytej wolności[\*2].

To prawda, że wiele z nich nie przejawiało tak wielkiego instynktu macierzyńskiego jak ich matki, ale człowiek jest istotą stadną i mało kto potrafi wieść życie całkowicie niezależne. W efekcie obserwowano się dwa jednoczesne zjawiska – spadek liczby małżeństw przy rosnącej liczbie rozwodów oraz niebywały wzrost liczby wolnych związków, czyli małżeństw bez urzędowej rejestracji[\*3]. Według danych z 1987 roku w Wielkiej Brytanii tylko trzy stadła na dziesięć żyły wedle tradycyjnych wzorców dwupokoleniowej rodziny.

Ale tradycjoniści, choć osłabieni, nie kapitulowali. 61 procent respondentów ankiety tygodnika „Time” z roku 1977 stwierdzało, że coraz im trudniej odróżnić dobro od zła. Jednocześnie 70 procent zgadzało się z tezą, że „prawo nie powinno wkraczać w sferę praktyk seksualnych”, a połowa wyraziła pogląd, że panna młoda nie musi być dziewicą. Ale już 57 procent potępiło homoseksualizm jako „moralnie szkodliwy”[4].

Zaraz potem zaczął się AIDS.

## AIDS

Pojawił się jak piorun z jasnego nieba – tak jak syfilis pod koniec XV wieku – i zaraz zaczął zbierać śmiertelne żniwo. A lekarze mimo niesłychanego rozwoju sztuki medycznej okazali się równie bezsilni jak ich poprzednicy sprzed pięciuset lat.

Na początku nie chcieli nawet przyznać, że chodzi o zupełnie nową chorobę, o której nauka nic nie wie. A i później, gdy już przyznali, że nie mają klucza do zgłębienia jej istoty, też niewiele robili.

Badania nad AIDS szły wolno, bo groźba dotyczyła tylko niewielkiej i szczególnej grupy społeczeństwa – homoseksualistów. Wkrótce do nowej choroby przyłgnęła nazwa „gejowska zaraza”, co tylko pogorszyło sytuację. Nikt nie spieszył z finansowaniem badań. Jeszcze jeden to dowód – choć dowodów nie brakuje – że deklarowana społeczna tolerancja wobec „innych” jest płyciutka. Pierwszy przypadek AIDS w Ameryce zdiagnozowano już w roku 1981, ale wirusa HIV rozpoznano dopiero w roku 1984, nie do końca zresztą, no i nadal nie wiadomo, jak atakuje. „Kto wie, czy całe to nieszczęście nie wyjdzie nam na dobre – mówił w 1987 roku jeden z wybitnych specjalistów – bo dzięki AIDS zgłębimy wreszcie nierozpoznane obszary wirusologii i immunologii”[5].

Tymczasem miało się okazać, że mimo gejowskiej etykiety wirusa nie interesuje seksualna orientacja nosiciela. Interesuje go tylko jedno – dostać się do układu krążenia.

Wedle dzisiejszego stanu wiedzy sprawa wygląda tak:

Każdy człowiek wyposażony jest we względnie skuteczny mechanizm samoobrony organizmu, zwany układem odpornościowym lub immunologicznym. Gdy jakaś bakteria lub wirus przeniknie do ustroju, układ ten natychmiast zaczyna przeciwdziałać inwazji. Niszczy intruza, dzięki czemu co prostsze zagrożenia dla organizmu, jak choćby zwykłe przeziębienie, dają się zwalczyć bez pomocy lekarzy.

Z AIDS sprawa ma się inaczej, bo AIDS atakuje nie cały organizm jako taki, lecz właśnie jego układ odpornościowy. Gdy wirus HIV – Human Immuno-Deficiency Virus – przeniknie do krwi, zaraz rozpoczyna niszczenie (nikt nie wie jak) antyciał, których zadaniem jest obrona organizmu. Co więcej, ma wspaniałe rozpoznanie w siłach przeciwnika i uderza niezwykle celnie, bo nie w antyciała w ogóle, lecz w komórki odpowiedzialne za koordynowanie reakcji obronnych organizmu. Identyfikuje je i sprowadza na swoją stronę, zmuszając do produkowania nowych egzemplarzy samego siebie. Inaczej mówiąc, pod wpływem wirusa HIV komórka, która miała

organizmu bronić, zaczyna wytwarzać armię napastników. Ta z kolei atakuje zdrowe jeszcze komórki. Proces przybiera na sile i gwałtowności, aż w końcu organizm traci wszelką odporność. Zapada na Acquired Immuno-Deficiency Syndrom (AIDS), nabyty zespół upośledzenia układu odpornościowego.

Tak przedstawia się ogólna teoria, pełna zresztą luk, jeśli idzie o szczegóły. Wirus HIV sam w sobie jest nierozpoznawalny. Test na jego obecność stwierdza tylko podwyższoną liczbę antyciał, za pomocą których organizm usiłuje się bronić. Co gorsza, wirus ten mutuje się pięciokrotnie szybciej niż na przykład wirus grypy, co jeszcze bardziej utrudnia i rozpoznanie, i ewentualną walkę z nim. A walka jest tym trudniejsza, że szczepionki i leki daje się sprawdzać tylko na jednym gatunku zwierząt – szympanсах, bo żaden inny HIV nie interesuje, taki jest wybredny. A szympansy stanowią gatunek zagrożony.

## CZYNNIKI RYZYKA

Na razie medycyna jest bezsilna, potrafi tylko takimi lekami jak AZT[\*4] przedłużyć życie pacjenta chorego na AIDS o rok, dwa (bywa, że więcej). Może też walczyć z chorobami pustoszącymi pozbawiony odporności organizm, zwłaszcza z zapaleniem płuc, na które umiera 70 procent chorych na AIDS. Zaatakowany przez AIDS organizm jest bezbronny w obliczu infekcji, z którymi w miarę zdrowy człowiek daje sobie znakomicie radę. Historia medycyny zna podobne przypadki. Śmiertelne żniwo zbierały w Meksyku i Peru choroby zawleczone tam przez konkwistadorów, na które miejscowa ludność była zupełnie nieodporna.

Żniwo, które zbiera AIDS, jest równie zatrważające. Pierwszy przypadek AIDS w Wielkiej Brytanii stwierdzono w roku 1982. Do sierpnia 1989 roku według oficjalnych statystyk na AIDS zmarło 1315 osób. W Stanach Zjednoczonych pierwszy przypadek AIDS zdiagnozowano w 1981 roku. Rok później stwierdzono 248 przypadków, w lipcu 1989 roku – już 95 tysięcy, a liczba śmiertelnych ofiar sięgnęła 60 tysięcy. Wedle ocen Światowej Organizacji Zdrowia na koniec stulecia na całym świecie na AIDS chorowało 20 milionów ludzi, a liczba śmiertelnych zejść sięgnęła pięciu milionów[7].

Przerażająca statystyka, tym bardziej że przy minimum ostrożności przed wirusem

HIV można się skutecznie zabezpieczyć. HIV zaczyna atakować tylko wtedy, gdy dostanie się do krwi, a to oznacza, że ryzyko przypadkowego zarażenia jest niewielkie. Wirus zwykle wnika do ustroju, korzystając z takich „punktów wejścia” jak zadrapana lub zaatakowana jakąś infekcją skóra lub takich miejsc, gdzie tkanka skórna lub śluzówka są wyjątkowo cienkie i przepuszczalne, jak choćby tkanka okrywająca narządy płciowe. To wyjaśnia, dlaczego tak wiele ofiar AIDS znajduje się pośród amatorów seksu analnego. Penis w stanie erekcji to labirynt nabrzmiąłych naczyń krwionośnych, z kolei skóra w i wokół odbytu niezwykle łatwo pęka pod naciskiem.

Szczególną grupę ryzyka stanowią osoby cierpiące na owrzodzenia skórne i owrzodzenia narządów rodnych, a także na rzeżączkę. Rzecz nie tylko w tym, że ogniska zapalne stanowią dogodny punkt inwazji dla wirusa HIV, ale także w tym, że każda infekcja osłabia odporność organizmu. Właśnie na skutek endemicznych schorzeń skórnych, wcale nie wenerycznych, na które cierpią mieszkańcy Afryki, AIDS szerzy się tam zatrważająco w środowiskach heteroseksualnych.

To banał, ale nie pominiemy go: do skażenia krwi może dojść nie tylko w wyniku kontaktów seksualnych. W 1982 roku zakażono wirusem HIV grupę osób, które otrzymały transfuzję krwi od dawców zarażonych AIDS. (Dziś, przy znacznie skrupulatniejszej kontroli, takie ryzyko można już wykluczyć). Zdarzały się też zarażenia, wśród personelu medycznego. Wystarczyło drobne zadrapanie i chwila nieuwagi. Również w czasie bójki, gdy zaczyna się lać krew, może dojść do zarażenia.

Szczególną i największą chyba grupą ryzyka, i to taką, której trudno pomóc, są narkomani, wstrzykujący sobie narkotyki. Niebezpieczeństwo polega na tym, że często kilka osób posługuje się tą samą igłą. Przyłgnęła do nich nazwa „szprycerów”. Tylko w USA jest ich ponad 1,2 miliona, a według danych z marca 1988 roku właśnie spośród nich rekrutował się co czwarty chory na AIDS. Podczas gdy w ostatnich latach wskaźnik zachorowań w środowisku homoseksualistów wyraźnie spada, to wśród narkomanów HIV nadal szaleje.

Istnieją spore różnice osobnicze, jeśli idzie o podatność na zakażenie i propagację wirusa, wiele jednak wskazuje na to, że w miarę postępującej inkubacji ryzyko wzrasta. Ocenia się, że okres inkubacji na Zachodzie wynosi około ośmiu lat. Jest to tylko ocena, sprawa jest zbyt świeża, by formułować ostateczne teorie. Na razie nie wiadomo nawet, u jakiego odsetka nosicieli HIV choroba musi się rozwinąć. W roku 1988 zakładano, że dotyczy to 30–40 procent, ale już rok później liczby te trzeba było



weryfikować, gdy okazało się, że z 6700 pacjentów w San Francisco, u których stwierdzono obecność wirusa HIV, 54 procent zapadło na AIDS[8].

## DEJA VU

Dziś już wiadomo, że AIDS może, ale nie musi przenosić się drogą płciową, czego niestety społeczeństwo nie chce przyjąć do wiadomości, a etykieta „gejowskiej zarazy” nadal kształtuje ludzkie postawy.

Świadczą o tym wyniki badania, które przeprowadził w roku 1988 brytyjski Social and Community Planning Research (Ośrodek Studiów Społecznych i Środowiskowych)[9]. Jeśli w 1983 roku 62 procent Brytyjczyków postrzegało kontakty homoseksualne jako zdecydowanie lub w zasadzie złe, to w roku 1988 odsetek respondentów wyrażających taką opinię wzrósł do 74. Dwie trzecie badanych wyraziło pogląd, że w akcji oświatowej władz w kwestii AIDS należałoby podkreślać, iż pewne praktyki seksualne są naganne z moralnego punktu widzenia. Z kolei jedna trzecia respondentów oświadczyła, że AIDS to kara, jaką świat ponosi za upadek obyczajów i lekceważenie norm moralnych.

Amerykanie, jak to Amerykanie, mają swoje zdanie. Tygodnik „Time” opublikował w roku 1988 list czytelnika z Wirginii, który bił na alarm i wzywał, żeby „zacząć żyć po bożemu jak dawniej i powrócić do dawnych zasad. A w ogóle to najwyższy czas dać odpór całemu złu, jakie niesie komunizm, homoseksualizm, aborcja i ograniczanie dostępu do broni”[10]. Można się tylko zastanawiać, w jakich czasach żyjemy: czy w epoce Elżbiety II czy może królowej Wiktorii?

Czy zagrożeniem jest homoseksualizm i AIDS czy może prostytutka i syfilis?

Gdy w roku 1860 brytyjski parlament uchwalał ustawę o zapobieganiu chorobom zakaźnym, niezłomna Josephine Butler pospieszyła z komentarzem: „Jeśli ma to znaczyć, że mężczyźni będą mogli grzeszyć bez żadnych konsekwencji, to wszystkie powinniśmy być przeciw tej inicjatywie”[11]. Czytając list gentlemana z Wirginii, można tylko stwierdzić, że chrześcijańskie pojęcie cnoty trwa w klinicznie nie zmienionym stanie.

Czytelnik „Time’a” nie był odosobniony. Oto w latach osiemdziesiątych pewien jego rodak, wybitny skądinąd redaktor, protestował przeciwko finansowaniu badań

nad HIV z kasy państwowej, argumentując, że w ten sposób państwo „w imię fałszywie pojętej litości będzie sankcjonować upadek obyczajów”. W Wielkiej Brytanii pewien wielebny pastor bił na alarm, że akcja oświatowa władz na rzecz „bezpiecznego seksu” sprowadza się w istocie do podminowania świętych zasad czystości i wierności małżeńskiej. Jakby tego było mało, Izba Gmin uchwaliła ustawę zakazującą „promocji homoseksualizmu”, co w istocie oznaczało powrót do skompromitowanych praktyk cenzorskich. Amerykański Senat niemal jednogłośnie (94 głosy) zastrzegł, że z funduszy państwowych nie wolno finansować działań „sprzecznych z moralnością”, co w praktyce oznaczało, że wolno propagować „bezpieczny seks” za państwowe pieniądze, pod warunkiem że ma się na myśli abstynencję seksualną[12].

W wielu krajach, zwłaszcza tych, które przeszły przez etap rządów autorytarnych, oraz w takich, w których w swoim czasie obowiązywała rejestracja prostytutek, wprowadzono obowiązek badań na obecność wirusa HIV właśnie prostytutek, ale także więźniów oraz narkomanów. Niektóre kraje poszły jeszcze dalej. W Bawarii na przykład obowiązkowym badaniom podlegają funkcjonariusze służby publicznej, na Węgrzech – partnerzy osób, u których już stwierdzono obecność wirusa HIV, w Rosji – wszyscy obywatele, którzy przebywali za granicą miesiąc lub dłużej i wszyscy cudzoziemcy deklarujący pobyt dłuższy niż trzy miesiące, a na Kubie – cała ludność. W Stanach Zjednoczonych obowiązkiem badań objęto kandydatów do służby wojskowej, imigrantów i uchodźców. W Luizjanie i Illinois badaniom muszą się poddać osoby zamierzające zawrzeć związek małżeński.

Wielka Brytania, jak na razie, zachowuje spokój i konsekwentnie przestrzega jednego z podstawowych praw obywatelskich, mianowicie prawa do decydowania o sobie. Niemniej w roku 1989 i tam uruchomiono ograniczony program anonimowych badań, choć wyłącznie w celach statystycznych, a jednocześnie tytułem eksperymentu rozpoczęto darmowe rozdawnictwo sterylnych igieł na użytek narkomanów. Wszczęto także akcję oświatowo-propagandową, zachęcającą do stosowania prezerwatyw. Wyglądała ona różnie, czasami dziwnie, czasami całkiem nieźle, pomijając fakt, że upstrzono ją smrodkiem dydaktycznym w postaci odniesień do wiktoriańskich zasad moralności, o których pewien cynik powiedział, że od judeochrześcijańskich różnią się tylko wystrojem – surdudem i bokobrodami.

To, co cynik wykiął, komentator religijny „Timesa” potraktował z całą powagą

pisząc, że: „judeochrześcijańskie kanony moralności w sferze seksualnej stanowią podstawowe narzędzie obrony przed groźbą epidemii AIDS... Potępiamy rozwiązłość i cudzołóstwo nie tylko ze względu na groźne konsekwencje (w kontekście AIDS), ale przede wszystkim dlatego, że stanowią zło, że przeczą boskim przykazaniom. Seks ma łączyć ludzi i ta jego funkcja nie jest wynalazkiem psychiatrów, lecz Stwórcy”[13]. Abstrahując od didaskaliów, odnosi się nieodparte wrażenie, że coś takiego już czytaliśmy, i to nieraz, w ostatnich dwóch tysiącach lat. Deja vu!

## OSTATNIA KRUCJATA

Jeśli ma nas zbawiać wiktoriańska moralność, warto zadać sobie pytanie, jakie owoce przyniosły swojej epoce wiktoriańskie wartości. Odpowiedź brzmi: marne.

Sławetną wiktoriańską prawość wykreowali pospółu klechowie i dewotki – „klub piskliwych sióstr i klepiących pacierze braci” – wedle określenia „Saturday Review”[14]. Oni to wszczęli i prowadzili hałaśliwą kampanię przeciwko ustawie o chorobach zakaźnych. Sto lat wcześniej baby do utraty tchu mogłyby sobie wołać o przestrzeganie wartości moralnych i pies z kulawą nogą nie zwróciłby na to uwagi. Ale w nowych czasach kobiety awansowały na Strażniczki Moralności. Z wyżyn swojej nowej pozycji oceniły sytuację i doszły do wniosku, że nie ma czego strzec, i najpierw trzeba zrobić rewolucję.

I zrobiły. Rozwinęły akcję na taką skalę, że zlekceważyć tego już się nie dało. Rewolucyjne hasła znajdowały odbicie w debatach filozoficznych, w dyskusjach o przyznaniu kobietom prawa głosu, a nawet w teorii ewolucji. Stopniowo kampania na rzecz moralności przemieniła się w kampanię na rzecz czystości, a ambicje szły jeszcze dalej.

„Nasz cel i nasze powołanie – deklarowała pani Butler – to odrodzenie religijne... Nie jest ważne, czy nam, pionierom, przyjdzie w tym marszu złożyć ofiarę życia. Ci, co pójdą za nami, pójdą do zwycięstwa. Pamiętajmy zawołanie krzyżowców (a my przecież wyruszyliśmy na jeszcze świętszą krucjatę): BÓG TAK CHCE!”[15] Gdy w roku 1886 anulowano ustawę o chorobach zakaźnych, bojowniczkę zadęły w fanfary zwycięstwa i żadnej nie przyszło do głowy, a z zewnątrz też nikt tego nie podniósł, że poświęciły szesnaście lat, by przywrócić stan rzeczy z roku 1863 – wolny handel

chorobami zakaźnymi – jak zauważał „British Medical Journal”.

Anulowanie ustawy oznaczało, że nie będzie żadnych badań, a chorych prostytutek nikt nie będzie leczył.

„Zwycięstwo” przyniosło także pewne skutki uboczne, co ciekawe – przeczące wiktoriańskim pojęciom moralności. Otóż w sytuacji, gdy normalny seks groził śmiertelną chorobą, mężczyźni jęli grzeszyć w inny sposób, taki, o którym wspomina biblijna przypowieść o Onanie. Jednocześnie wzrósł popyt na prostytutki-dziewice, bo sądzono, że są bezpieczne. Setki tysięcy mężów, co zgrzeszyli przeciwko ślubom wierności, uzbrajało się w prezerwatywy, zjawiając się w małżeńskiej sypialni. Czynili to w trosce o zdrowie żon, ale nie da się nie zauważyć, że tak uzbrojeni, dopuszczali się grzechu przeciwko przykazaniu stanowiącemu, iż seks ma służyć prokreacji, a nie czemu innemu.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy wiktoriański terror moralny – jak określał to H. G. Wells – przyczynił się do opanowania epidemii chorób wenerycznych, która z kolei przyczyniła się do jego powstania. Na danych z epoki nie można polegać, zresztą nie ma ich zbyt wiele. Ale weźmy statystykę z czasów wojny burskiej, a więc z końca stulecia. Okazuje się, że z tysiąca pacjentów wojskowych lazaretów połowa trafiła tam z „wstydliwą chorobą”. W roku 1916, gdy wyrosło kolejne pokolenie wychowane na wiktoriańskim kodeksie moralnym i zimnych kąpielach, królewska komisja ds. chorób wenerycznych stwierdziła w sprawozdaniu, że „wśród ludności miejskiej odsetek zarażonych kiłą nadal przekracza 10 procent, a odsetek zarażonych rzeżączką jest zapewne większy”[\[16\]](#). Inaczej mówiąc, co najmniej trzy miliony Brytyjczyków chorowało na kiłę, a 8–9 milionów na rzeżączkę.

Z perspektywy XX wieku można powiedzieć, że oczywiście moralność judeochrześcijańska przenikała całą epokę wiktoriańską, że ówczesni głęboko w nią wierzyli, co nie znaczy, że byli jej wierni.

Wierzyć i być wiernym to dwie różne sprawy.

Prawdą bowiem jest, że moralność judeochrześcijańska kłóci się z ludzkim instynktem. Wirusa HIV, podobnie jak ongiś krętka bladego, nie da się zwalczyć ani ideą, ani ideologią, choćby wybraną.

Wydaje się, że do czasu wynalezienia przez naukowców odpowiedniego remedium lepiej odwoływać się do zdrowego rozsądku i ludzkiego instynktu przetrwania. I w rzeczy samej zdrowy rozsądek i prezerwatywa to jądro prowadzonej obecnie w

Wielkiej Brytanii kampanii, mającej uczulić na zagrożenia AIDS.

Amerykańscy futurologowie – profesjonalni wróżbici, kreślący na użytek władz i wielkiego biznesu wizję przyszłości – utrzymują, że lęk przed AIDS będzie głównym czynnikiem przemian obyczajowych i społecznych. Miss Faith Popcorn (to nie pseudonim) z firmy konsultingowej Brainreserve twierdzi, że na przełomie wieku, czyli właśnie teraz, Amerykanie ponownie odkryją walory uprzejmości i przyzwoitości. „Zbliża się epoka niewinności, monogamii, piastowania dzieci, prostoty i prostolinijności”. Podobnego zdania jest Edward Cornish z World Future Society – Towarzystwa Przyszłości Świata.

Twierdzi, że świat stanie się solidniejszy, skromniejszy, a media dadzą sobie spokój z seksem. Seks znów będzie zakazanym owocem, a przy okazji soczyste dowcipy staną się znów dowcipne, a nie wyłącznie wulgarne[17].

No cóż, może rzeczywiście czeka nas coś dobrego.

## ENVOI

Jaka z tego wszystkiego płynie nauka?

Gdy zaczynała się udokumentowana historia naszego świata, społeczeństwa autorytarne doskonale wiedziały, że regulacje w sferze stosunków seksualnych mogą być skutecznym narzędziem władzy. Mimo to w życie intymne jednostek ingerowano rzadko, chyba że w grę wchodziły zagadnienia istotne dla całego społeczeństwa – sprawy dynastyczne, dziedzictwo i kontrola urodzin. Świadczy o tym przykład Chin i Indii, a także starożytnych cywilizacji bliskowschodnich.

Gdy seks nie zagrażał interesom państwa, nie nakładano nań żadnego gorsetu. Miarę moralności w sferze seksu stanowiły wartości, którymi rządziły się stosunki międzyludzkie w ogóle.

Ale już w czasach biblijnych, a później w Rzymie okresu republiki, „dobro” i „zło” nabrało rangi absolutu, a absolut to zaprzeczenie wszelkich relatywizmów. Kościół chrześcijański wprowadził je do swojej doktryny. Absolut wyklucza wyjątki. Miłować trzeba Boga, a seks (skażony niestety grzechem) można uprawiać w małżeństwie.

Być chrześcijaninem, to istnieć w określony sposób. Każdą myślą, uczynkiem, każdym porywem serca dorastać do wzorca zbudowanego z ludzkich wyobrażeń i

uprzedzeń przez Ojców religii i ich średniowiecznych następców.

W naszym, zachodnim, kręgu kulturowym prawa kościelne i świeckie przenikały się tak ściśle i przez tak wiele stuleci, że „moralność seksu” – celowo stworzony mit, który zrodził wśród zwykłych ludzi więcej nieszczęść i poczucia winy niż jakiegokolwiek inne z ludzkich czy bożych praw – nadal stanowi potężną broń w walce z nonkonformizmem. Prawdziwym miernikiem sukcesu Kościoła jest fakt, że świat do dziś (wbrew temu, co usiłują wykazać badania socjologiczne) nie ma najmniejszych wątpliwości z określeniem, co w sferze seksu i seksualności jest dobre, a co złe.

W latach siedemdziesiątych mogło się wydawać, że pogląd, iż stosunki seksualne można oceniać wedle rozmaitych kryteriów zaczerpniętych z innych obszarów stosunków międzyludzkich, traci zwolenników. Zaraz jednak nastąpiła kontrakcja. Parę dekad to za mało, aby odrzucić dwa tysiące lat judeochrześcijańskiej moralności. Stare nawyki trzymają się mocno, a stare prawa, choć oprostowywane od lat, zawsze można ponownie uchwalić.

Jedna z weteranek kampanii o odrodzenie moralne prowadzonej przez Josephine Butler powiedziała kiedyś: „Mówi się, że żadna ustawa parlamentu nie uczyni człowieka dobrym, ale to nieprawda. Mówi się, że żadna ustawa nie zagwarantuje trzeźwości, i to też nieprawda. Bo prawo może przecież naznaczyć znakiem diabelskiej nieczystości każdego, kto przeciw niemu występuje”[18].

Pogląd ten do dziś znajduje wielu zwolenników, zwłaszcza w Ameryce. Choć I poprawka do konstytucji uświęca prawo obywatela do prywatności, to Sąd Najwyższy wydał w roku 1986 kilka orzeczeń, które sankcjonowały między innymi prawo państwa do penalizacji stosunków homoseksualnych. „Kto twierdzi, że ustawa zasadnicza ma chronić czyny o charakterze homoseksualnym – oświadczył ówczesny prezes Sądu Najwyższego Warren Burger – ten odrzuca millenia edukacji moralnej”[19].

W roku 1973, orzekając w sprawie Roe przeciwko Wade, Sąd Najwyższy stwierdził, że Amerykanki mają konstytucyjne prawo do aborcji. Ale w roku 1989 tenże sąd zrobił krok do tyłu. Orzeczenie w sprawie Webster przeciwko Reproductive Health Services (Missouri)

oddawało te kwestie pod jurysdykcję poszczególnych stanów, a te mogły, jeśli nie de iure, to de facto, uniemożliwić kobietom skorzystanie z prawa potwierdzonego szesnaście lat wcześniej.



Nadal czyni się wiele, aby diabła nieczystości spętać więzami prawa. Dość wspomnieć, że do końca 1965 roku w Connecticut małżeństwa stosujące środki zapobiegające ciąży podlegały karze.

Kościół zawsze utrzymywał, że małżeństwo winno służyć prokreacji.

Inwokacja sędziego Burgera do „milleniów moralnej edukacji” znakomicie się w to wpisuje.

George Bernard Shaw zauważył kiedyś – w innych czasach i w innej sprawie – że „Anglicy nigdy nie będą niewolnikami, mogą bowiem z całą swobodą czynić to, na co rząd i opinia publiczna im zezwalają”[20]. Wiele wskazuje na to, że mimo głośnych haseł i spektakularnych rebelii przeciwko konwenansom w ostatnich dwudziestu latach będzie tak, iż w sferze seksu korzystać będziemy tylko z jednego prawa – prawa do swobodnych działań w ramach tego, na co państwo i opinia publiczna zechcą wyrazić zgodę.

Sto lat temu John Stuart Mill w eseju O wolności stwierdził:

„Władza może ingerować w sprawy jednostki wbrew jej woli, ale tylko wtedy i tylko po to, aby uchronić inną jednostkę przed szkodą.

Nie może i nie powinna naruszać suwerenności jednostki pod pretekstem działania w imię jej dobra. Każdy człowiek jest swoim suwerenem”[21].

Być może, nadejdzie kiedyś czas, gdy ta maksyma znajdzie zastosowanie w praktyce. Ale chyba nieprędko.

---

[\*1] Ale to, co mężczyźni oglądali na ekranach w latach siedemdziesiątych, to nic w porównaniu z tym, co dziesięć lat później będzie się podsuwać nastolatkom. Gwałty, przemoc, morderstwa, okaleczanie kobiet to typowe treści produkcji filmowych, oferowanych w Ameryce na kasetach i w telewizji kablowej. Ocenia się, że przeciętny młody widz do szesnastego roku życia ogląda na ekranie ponad 200 tysięcy aktów przemocy, z których wiele ma charakter seksualny[1]. Abstrahując od tego, czy na skutek takiego „wychowania” młody człowiek uzna, że okrucieństwo i sadyzm to coś zgoła zwykłego, jedno można powiedzieć z całą pewnością – nie sprzyja to budowaniu normalnych stosunków między mężczyznami i kobietami.

[\*2] W latach 1980–1988 populacja kobiet w przedziale wieku 35–44 lat wzrosła w Ameryce o 36 procent. Mniej więcej w tym samym czasie dochody Levi Straussa, firmy produkującej dżinsy, spadły z 224 milionów dolarów w roku 1981 do 41 milionów w roku 1984. Firma musiała zamknąć aż 22 swoje fabryki[3]. Płynie stąd nauka, że warto baczyć na trendy demograficzne, a stosowne tabele powinni studiować nie tylko krawcy, ale także maklerzy giełdowi.

[\*3] Choć gdzieś, jak w niektórych kantonach Szwajcarii, jeszcze w roku 1980 życie „na kocią łapę” stanowiło w świetle prawa przestępstwo.

[\*4] „To samo AZT, które kiedyś uznano za szkodliwe dla chorych na raka, bez zmrużenia oka aplikuje się ofiarom AIDS, bo to tylko ćpuny i pedały” – zauważył z goryczą jeden z opiekunów chorych na AIDS[6]. Faktem jest jednak, że w niewielkich dawkach AZT daje niewiele niekorzystnych skutków ubocznych, a z pewnością spowalnia proces inkubacji AIDS.